

OPOWIADANIA

Tom I

Wyboru dokonał
i przedmową opatrzył
Władysław Kopaliński

Tłumaczył
Stanisław Wyrzykowski

EDGAR ALLAN POE	4
Metzengerstein	21
Opowieść jerozolimska (A Tale of Jerusalem)	28
Rękopis znaleziony w butelce (MS. Found in a Bottle)	32
Nieporównana przygoda niejakiego Hansa Pfaalla (The Unparalleled Adventure of One Hans Pfaall)	41
Król Mór - Opowieść z alegorią (King Pest)	76
Ligeja (Ligeia)	86
Diabeł w dzwonnicy (The Devil in the Belfry)	98
Zagłada Domu Usherów (The Fall of the House of Usher)	105
William Wilson	120
Człowiek interesu (The Business Man)	136
Człowiek tłumu (The Man of the Crowd)	144
Zabójstwo przy rue Morgue (The Murders in the Rue Morgue)	151
W bezdni Maelströmu (A Descent into the Maelström)	178
Nie zakładaj się nigdy z diabłem o swą głowę - Powiastka z morałem (Never Bet the Devil Your Head)	191
Maska Czerwonego Moru (The Masque of the Red Death)	199
Tajemnica Marii Rog?t (The Mystery of Marie Rog?t)	204
Studnia i wahadło (The Pit and the Pendulum)	242
Złoty żuk (The Gold-Bug)	254
Czarny kot (The Black Cat)	282
Łoś - Poranek nad Wissahickon (The Elk)	290
Bujda balonowa (The Balloon-Hoax)	294
Przedwczesny pogrzeb (The Premature Burial)	304
Skradziony list (The Purloined Letter)	315
System doktora Smoły i profesora Pierza (The System of Doctor Tarr and Professor Fether)	330
Beczka Amontillado (The Cask of Arnontillado)	344
Żabi Skoczek (Hop-Frog)	350
Von Kempelen i jego wynalazek (Von Kempelen and His Discovery)	358

EDGAR ALLAN POE

Afisz Teatru Królewskiego Covent Garden w Londynie z dnia 13 listopada 1795 obwieszcza, że w operze komicznej pt. Młynarka rolę Teodozji odegra pani Arnold. Był to jej ostatni występ w Anglii. Do wyjazdu skłoniły ją, jak można przypuszczać, perspektywy łatwej kariery, otwierające się przed angielskimi aktorami w Ameryce. Początek następnego roku zastaje ją już na scenie Teatru Bostońskiego. Wkrótce odbył się debiut sceniczny jej dziewięcioletniej córki, Elżbiety, uroczego, utalentowanego dziewczątka. Ciężka praca aktorska Elżbiety trwać będzie odtąd nieprzerwanie na deskach scenicznych Bostonu, Filadelfii, Nowego Jorku, Charlestonu i wielu innych miast amerykańskich. Już wkrótce występuje ona nie jako cudowne dziecko, ale jako młodociana amantka. Panna Arnold ma teatr we krwi; prywacje zawodu aktorskiego znosi dzielnie. Występuje w dziesiątkach różnych ról rocznie, śpiewa i tańczy. W 1801 r. gra na filadelfijskiej scenie Ofelię. W 1802 r. poślubia kolegę-aktora, Karola Hopkinsa.

W rok później w Teatrze Charlestońskim zadebiutował dziewiętnastoletni student prawa, Dawid Poe, Irlandczyk z pochodzenia. Nie wiadomo, czy przyczyną jego ucieczki z domu była niechęć do studiów prawniczych, czy miłość do teatru; w każdym razie ten przystojny i krewki chłopiec nie miał najlepszych recenzji. Niekiedy, pod wpływem alkoholu, od którego nie stronił, próbował swe porachunki z recenzentami załatwiać pięścią. Nie przypuszczał zaś z pewnością, że już w pół wieku potem pojawi się książeczka pani Sary Heleny Whitman², o której będzie jeszcze mowa poniżej, gdzie jego drzewu genealogicznemu przydani zostaną tak fantastyczni przodkowie, jak Sir Roger le Poer i Sir Artur le Poer z Zamku Kilkenny, który w XIV w. miał dać początek strasznej wojnie domowej, rzuciwszy w twarz Mauryemu z Desmondu, w utarcze słownej, obelżywe miano wierszoklety. Ale tych praszczurów zrodzić miała dopiero sława i poetycka wyobraźnia jego syna.

W 1804 roku Dawid gra w Charlestonie, a potem w Baltimore w jednej kompanii z Hopkinsami. W 1806, w pół roku po śmierci Hopkinsa, żeni się z młodą wdową, z którą ma troje dzieci: Williama Henryka, Edgara i Rozalię.

Edgar Poe urodził się 19 stycznia 1809 r. w Bostonie. Nie miał ukończonych trzech lat w chwili śmierci swej dwudziestoczteroletniej matki, w Richmond. Ojciec jego jeszcze przedtem zniknął całkowicie z horyzontu. Dziadek, weteran wojny o niepodległość, który służył jako major pod Lafayetteem i żył jeszcze wówczas jako emeryt w Baltimore, wziął do siebie starszego chłopca. Pozostałymi dziećmi zajęły się obywatelki richmondzkie. Edgarem - bezdzietna pani Frances Allan.

Mąż jej, John Allan, był zamożnym kupcem. Zgodził się przyjąć Edgara do domu iłożyć na jego naukę, nie zdecydował się jednak legalnie zaadoptować aktorskiego syna, choć nadał mu, prócz rodowego, także i swoje nazwisko. Tak jak i inni jego rówieśnicy, Edgar spędził zapewne swe wczesne dzieciństwo w towarzystwie czarnych niewolników. W 1815 roku Allan wraz z rodziną udał się w interesach do Anglii. W czasie pięcioletniego pobytu w Londynie Edgar chodził naprzód do szkoły Mile Dubourg, której nazwisko odnajdziemy w Zabójstwie przy rue Morgue, a później do szkoły pana Bransby, opisanej, w fantastycznej transpozycji, w opowiadaniu William Wilson, jako szkoła doktora Bransby.

Niepomyślny bieg interesów skłonił Allana do powrotu. W Richmond Edgar uczęszczał do szkoły pana Clarke, gdzie, tak jak w Londynie, uczył się dobrze, studiując grekę, łacinę i matematykę. Był dobrze rozwinięty fizycznie, pływał szybko i wytrwale. W roku 1823 wstąpił do szkoły Williama Burke, gdzie był jednym z lepszych uczniów. Ostry język nie zyskiwał mu wielu przyjaciół, chłopcy dokuczali mu, wypominając hańbiące aktorskie pochodzenie. Pani Stanard, matka jednego z kolegów, polubiła Edgara; czułością i serdeczną troskliwością, których mu zapewne brakło w domu, zaskarbiła sobie jego płomienną wdzięczność. Jej rychła śmierć była ciosem dla chłopca: w kilka lat potem wyraził to w jednym ze swych najdoskonalszych liryków, wierszu To Helen (Do Heleny).

Wkrótce Allan popada znow w trudności finansowe, które doprowadzają do likwidacji firmy. Dopiero otrzymany w 1825 r. spadek ustala jego zamożność na dobre. W tym okresie stosunki między nim i Edgarem zaczynają się psuć. Obecność chłopca w Richmond jest przybranemu ojcu najwyraźniej nie na rękę. Jego pozamałżeńskie stosunki miłosne musiały być znane w tak małym mieście; szesnastoletni chłopiec, ambitny, bystry, o żywej indywidualności, mógł być powodem kłopotów. Allan opisuje go w jednym z listów jako „ponurego, wybuchowego mruka”. Pretekstem do pozbycia się go stał się, być może, pierwszy młodzieńczy romans Edgara z Elmirą Royster i zaręczyny zawarte wbrew woli rodziców.

Edgar wstąpił na Uniwersytet Wirginijski w Charlottesville w lutym 1826 r., na cztery miesiące przed śmiercią jego sędziwego założyciela, byłego prezydenta Stanów, Tomasza Jeffersona. W chwili przybycia Edgara Uniwersytet istniał dopiero drugi rok. Chociaż była to pierwsza nowoczesna wyższa uczelnia w Ameryce, porządku na niej były dość niesamowite. W pierwszym roku samorząd studencki doprowadził do takich ekscesów, że Fakultet wydać musiał drażniące zarządzenia które z kolei wzburzyły studentów, synów najlepszych rodzin w kraju. Na porządku dziennym były krwawe rozprawy i bójkę, pijatyki, kartograjstwo i szulerka. Zamieszki studenckie wzmagaly się jeszcze w następnych latach; w r. 1840 doszło nawet do zamordowania profesora. Chociaż poziom nauki był, mimo wszystko, wysoki, warunki te nie mogły najlepiej wpłynąć na chłopca stawiającego pierwsze samodzielne kroki w życiu. Wyrazem rosnącej niechęci Allana do Edgara był fakt, że zamiast niezbędnych na pokrycie kosztów 350 dolarów, dał mu tylko 110, stawiając go od razu w trudnym i upokarzającym położeniu. Chłopiec uczył się bardzo dobrze, studiując kurs języków starożytnych i nowoczesnych. Nieznośna sytuacja finansowa skłoniła go do szukania ratunku w hazardzie. Edgar zabrnął w poważne długie karciane, których Allan nie miał zamiaru pokrywać. Nauczył się przy tym pić. Wreszcie grunt zaczął palić mu się pod stopami - musiał rzucić Uniwersytet i wrócić do Richmond. Na tym skończyła się jego edukacja.

Stosunki z przybranym ojcem układają się jak najgorzej. Romans z Elmirą był nieodwołalnie skończony. Chłopiec postanawia uciec z domu. Być może pani Allan dała mu potajemnie jakąś sumkę na drogę. W kwietniu 1827 r. Edgar jest już w Bostonie z niewielkim plikiem wierszy w kieszeni. Jednym z nich jest długi poemat Tamerlane (Tamerian), pisany pod wyraźnym wpływem Byrona. Nie wiadomo, w jaki sposób Edgar potrafił nakłonić pewnego drukarza do wydania tych wierszy. Wyszły one pod tytułem Tamerlane and Other Poems (Tamerian i inne poezje); autor ukrył się pod pseudonimem „Bostończyk”. Nikt nie zwrócił na nie uwagi. Edgar nic dostał ani grosza. Głód zmusił go wreszcie do kroku istic desperackiego; wstępuje do wojska jako prosty żołnierz, co czynili wówczas ludzie, którym prawo deptało po piętach. Aby nie kalać prawdziwego, uczynił to pod przybranym nazwiskiem Perry. Pełnił swą dwuletnią służbę ku zadowoleniu dowódcztwa, awansując w końcu na sierżanta. Nigdy potem nie przyznawał się do tej służby, czyniąc tylko mgliste aluzje do odbytej jakoby w tym okresie podróży po Europie. Jeszcze na początku XX wieku znajdują się w biografiach i encyklopediach informacje o rzekomych przygodach Poego w Grecji, o jego tarapatkach w Petersburgu, gdzie miał się wreszcie znaleźć bez pieniędzy i paszportu.

Służba w Forcie Moultrie, na wyspie Sullivan u ujścia portu charlestońskiego, dała mu wiele czasu do spokojnych rozmyślań. Scenerię wybrzeża morskiego i dziko zarosłych wysepek rzecznych Poe opisze później w Złotym zuku.

W końcu, gdy przejadła mu się służba w wojsku. Poe nawiązał korespondencję z Allanem, prosząc go wielokrotnie, w charakterze syna marnotrawnego, o zgodę na zwolnienie z wojska. Bez tej zgody musiałby odsłużyć pełne pięć lat. Allan milczy; sytuacja Edgara zdaje mu się bardzo dogadzać. Edgar prosi go przeto o protekcję do akademii wojskowej w West Point. Allan nie odpowiada.

W lutym 1829 r. umiera Frances Allan. Zbolały małżonek łagodnieje, przysyła zezwolenie. Zastępcy swemu, którego musi dostarczyć wojsku na swoje miejsce, sierżantowi Graves, Edgar lekkomyślnie obiecuje 50 dolarów z pieniędzy, których spodziewa się od ojca. Pieniądze nie nadeszły, dług pozostał.

Poe przybywa do Richmond w dzień po pogrzebie pani Allan. Nad jej grobem następuje chwilowe pojednanie. Allan obiecuje protekcję do West Point, ale wyprawia go czym prędzej do krewnych w Baltimore.

Tam Poe poznaje swoją ciotkę, Marię Clemm, i jej córkę, siedmioletnią Wirginię. W domu babki panuje bieda - Edgar, znow zależny finansowo od Allana, przypuszcza szturm do wydawców o wydanie drugiego tomiku poezji, w którym umieścić chciał między innymi dłuższy poemat Al Araaf, pisany pod wpływem lektury Milтона i Moore'a. W liście do filadelfijskiego wydawnictwa Carey, Lea & Carey pisze: „Czy Al Araaf będzie opublikowany, czy nie, czy będzie miał powodzenie, czy nie - jestem nieodwracalnie poetą”. W późniejszych czasach powiadał żartem, że nazwisko jego pisać się powinno właściwie POE-TA.

Lecz wydawnictwo zażądało stu dolarów na pokrycie ewentualnych strat. Allan nie tylko odmówił pieniędzy na ten cel, ale dał wyraz swemu głębokiemu oburzeniu: próby literackie Edgara irytowały go. Niezwykle obfita korespondencja Allana daje powody do podejrzeń, że sam miał niewyżyte skłonności literackie. Tomik ukazał się wreszcie, po wielu zabiegach, w Baltimore, nie obudziwszy zainteresowania krytyki.

Przed udaniem się do West Point Edgar przebywał przez pewien czas w Richmond. Allan rozwijał tam przedsiębiorczość nie tylko na polu kupiectwa: pewna kobieta miała mu wkrótce urodzić bliźnięta, poza tym zaś czynił starania o rękę panny Luizy Patterson, z którą ożenić się miał w październiku. Ochoczo więc podpisał w końcu marca cyrograf zobowiązujący Edgara do pięcioletniej służby.

Tymczasem sierżant Graves upomina się natrętnie o swoje 50 dolarów. Poe odpisuje mu 3 maja: „Pan A. jest niezbyt często trzeźwy... Próbowałem z tuzin razy otrzymać od niego pieniądze dla pana, ale on zawsze się od tego uchyla”. Graves skwapliwie posyła ten list Allanowi. Można sobie wyobrazić uczucia Allana, który nic nie wiedział o zatajonym długu! Będąc już kadetem, Edgar, w odpowiedzi na pretensje Allana, pisze: „W istocie, napisałem ten list do Gravesa... w pół godziny potem, gdy Pan znieważył moją rodzinę i mnie pod swym własnym dachem, wzburzywszy przeciw sobie całą gorycz mego serca - i to w czasie, gdy wiedział Pan, że pęka mi ono z bólu”.

Akademia w West Point założona była jeszcze przez Jerzego Waszyngtona, na model francuski. Bohaterami, stawianymi kadetom za wzór, byli dwaj cudzoziemcy, którzy jako młodzi ludzie uczestniczyli w wojnie o niepodległość - Lafayette i Kościuszko. Na dwa lata przed przybyciem Poe'go wzniesiono tam pomnik Kościuszki nad brzegiem Hudsonu, w ogrodzie, nazwanym również imieniem wielkiego Polaka.

W Akademii panowała niezmiernie surowa dyscyplina: cały dzień wypełniony był zajęciami; co gorsza, wzbroniona była lektura książek nie objętych kursem. Edgarowi znów brakło pieniędzy na niezbędne wydatki, co ponad wszelką miarę upokarzało ambitnego chłopca. Chociaż wyniki nauki miał dobre, nieznośna dyscyplina i mściwe skąpstwo Allana skłaniają go wkrótce do decyzji opuszczenia Akademii. Prosi zatem przybranego ojca o niezbędne w tej mierze zezwolenie. Allan milczy. W styczniu 1830 r. Edgar pisze: „Posłał mnie Pan do W. Point jak żebraka. Grożą mi te same trudności, co uprzednio w Charlottesville. Muszę opuścić szkole... Nie mam sił ani zdrowia... Niezbędne mi jest Pańskie piśmienne zezwolenie (jako mego nominalnego opiekuna)... Jeśli go nie otrzymam w ciągu 10 dni, będę zaniebował się w pracy i, tak czy owak, opuszczę szkołę”. Allan milczy. Poe wprowadza groźbę w czyn i zostaje relegowany z Akademii przez sąd wojenny. Edgar nie ubiegałby się o przyjęcie do West Point na ciężką służbę, gdyby nie świtająca mu nadzieja, że po ukończeniu jej, jako oficer, a zatem gentleman, zmaże dręczącą plamę aktorskiego pochodzenia.

W kadeckim kuferku pojawiły się tymczasem nowe wiersze, znacznie dojrzsze od poprzednich. Niektóre z nich autor niejednokrotnie przerabiał i ulepszał w ciągu wielu lat po opublikowaniu. Udało mu się wręczyć swoje manuskrypty nowojorskiemu wydawcy, Elamowi Blissowi, w czasie gdy ten odwiedził swego krewniaka, kolegę z klasy Edgara w West Point. Nic dziwnego zatem, że Poe prosto z Akademii pośpieszył do Nowego Jorku. Tomik wierszy ukazał się już w kwietniu 1831 r. Z nowych utworów zawierał liryk Do Heleny (Stanard), seraficzną, harfianą rapsodię Israfel, Miasto w morzu, przedstawiające śmierć grzesznej duszy, Uspioną, antycypującą opowiadanie Zagłada Domu Usherów, A P?n (Pean) - pierwszy szkic późniejszej Lenory, wreszcie The Valley of Nis (Dolina Nis) - Nis to odwrócony sin, grzech - która stanie się następnie Doliną niepokoju (The Valley of Unrest). Były to twory zdumiewająco dojrzałe i kunsztowne, pełne uroków i tajemnic, nowe i odkrywcz.

Tomik nie przyniósł jednak żadnych korzyści materialnych. Trudno pojąć, skąd chory i zbiedzony Poe czerpał środki utrzymania w Nowym Jorku, a później w Baltimore. W marcu 1831 r., posłyszawszy o powstaniu listopadowym, czyni starania o wyjazd, aby zaciągnąć się do wojska polskiego, starania beznadziejne zresztą ze względu na relegację z West Point. Wbrew powziętym postanowieniom, Edgar pisze co pewien czas rozpaczliwe listy do Allana, błagając o pomoc. Allan milczy.

Poe jedzie do Baltimore - chociaż nie może spodziewać się pomocy od zamieszkałej tam, klepiącej biedę rodziny - pociągnięty, być może, rozwojem tego miasta, naówczas trzeciego pod względem wielkości w Stanach, miasta, gdzie przed rokiem zaledwie otwarto pierwszą w Ameryce linię kolejową. Stara się o posadę - nadaremnie. Chwyta się więc innego sposobu zarobkowania. Zaczyna pisać opowiadania, które pragnie umieszczać w magazynach literackich. Sam był od lat chłopięcym chciwym czytelnikiem słynnego edynburskiego „Blackwood Magazine”, który natchnął go niejednym pomysłem. W Baltimore periodyki literackie ukazywały się (i likwidowały) z zadziwiająco szybkością. Wszystkie one jednak (a również i magazyny wychodzące w innych miastach) z równie zadziwiającą uporczywością odrzucają opowiadania Poe'go. Opowiadania nadesłane na konkurs filadelfijski „Kuriera Sobotniego” w 1831 r., aczkolwiek nie znajdują łaski w oczach jurorów, zostają później w „Kurierze” opublikowane anonimowo i bezpłatnie. Są to: Metzengerstein, The Duc De L'Omelette, Opowieść jerozolimską, Loss of Breath (Bez tchu) i Bon-Bon.

W kwietniu 1833 r. Edgar zdobywa się na ostatni list do Allana. „Minęło przeszło dwa lata - pisze do niego - od czasu, kiedy wspomógł mnie Pan po raz ostatni, a przeszło trzy od naszej ostatniej rozmowy. Niewielką tylko żywię nadzieję, że przeczyta Pan ten list, ale nie mogę powstrzymać się od jeszcze jednej próby zwrócenia Pańskiej uwagi na mój los... Jestem bez przyjaciół, a zatem bez możliwości wystarania się o pracę. Ginę, po prostu ginę z braku pomocy. A przecież nie próżnuję, nie oddaję się złym nałogom ani nie wykroczyłem przeciw społeczeństwu, abym zasługiwał na tak ciężką niedolę. Na miłość Boga, niech się Pan ulituje nade mną i uratuje od zguby”. Allan pozostał głuchy i na tę prośbę. W marcu 1834 r. zmarł nie zapisawszy mu ani centa w testamencie.

Dopiero w konkursie, ogłoszonym przez baltimorski „Saturday Visiter”, na jesieni 1833 r., opowiadanie Rękopis znaleziony w butelce otrzymuje pierwszą nagrodę. Jeden z jurorów, John Pendelton Kennedy, powieściopisarz i zamożny adwokat, człowiek inteligentny i bystry, zainteresował się Poem, wsparł go finansowo (dzięki czemu Poe mógł kupić sobie ubranie i bez wstydu przedstawić się i podziękować swemu dobroczyńcy) i utorował drogę do współpracy w redakcji richmondzkiego pisma „Southern Literary Messenger”.

Gdy Poe wyjeżdżał do Richmond, aby rozpocząć pracę w redakcji, był już autorem co najmniej szesnastu opowiadań, wśród których wymienić trzeba charakterystyczną grupę Ligei - Berenice, Morella, Zagłada Domu Usherów i późniejsza Eleonora - sennych wizji, gdzie, wśród pretensjonalnego sztafażu draperii, zbroic, hebanów i mahoni i średniowiecznych, mrocznych zamkach, rozgrywa się w różnych wersjach motyw śmierci ukochanej kobiety, towarzyszący zresztą twórczości poety przez całe życie. Niektórzy biografowie twierdzą do dziś, że wizje te powstały pod bezpośrednim wpływem opium. Brak jednak obiektywnych danych na to, aby traktować Poe'go jako narkomana. Nie należy przy tym zapominać, że opium sprzedawane było wówczas w każdej aptece, jako zwykły środek uśmierzający, tak jak obecnie aspiryna.

Prócz tych opowieści były tam jeszcze: melodramatyczne, weneckie The Assigination (Spotkanie), pisane pod wpływem Doży i dogressy E.T.A. Hoffmanna; Wielkie figury, Cztery bydłeta w jednej skórze, Milczenie (Baśń), Mystification (Mystyfikacja) i Nieporównana przygoda niejakiego Hansa Pfaalla. W Baltimore powstały również wiersze: Kolizeum, Hymn oraz Do jednej w raj, gdzie w słowach „No more - no more” („nigdy już, nigdy”) przedbrzmiewa już echo sławnego Kruka.

Przybywając do Baltimore Poe był poetą; gdy wyjeżdżał - był już także nowelistą; krytykiem literackim miał zostać jako współpracownik „Messengera” w Richmond.

W czasie czteroletniego pobytu w Baltimore Poe mieszkał u rodziny. Zapalał gorącym uczuciem do swej kuzynki Wirginii, która w chwili jego wyjazdu do Richmond kończyła dopiero 13 lat. Tego lata zmarła ich babka, a wraz z nią skończyła się emerytura po majorze Poem. Edgar, rozpoczynając swą pierwszą stałą pracę zarobkową, wziął na siebie od razu ciężar utrzymania Wirginii i matki jej, Marii Clemm.

Praca redakcyjna w Richmond rozpoczyna się pod złą gwiazdą. Poe, samotny, w otoczeniu przypominającym mu najlepsze lata dzieciństwa, popada w przygnębienie, przeżywa ataki strachu przed obłędem (zmarły niedawno brat, Henryk, zdradzał objawy choroby umysłowej, siostra, Rozalia, była niedorozwinięta) i nadużywa alkoholu. Jeden kieliszek wina wystarczał zresztą, aby go pozbawić przytomności i doprowadzić do ekscesów. Powoduje to kłopoty w redakcji. W październiku Poe sprowadza do Richmond ciotkę i Wirginię, co poprawia jego samopoczucie. Praca w piśmie zaczyna dawać świetne rezultaty. Nakład pisma wzrasta siedmiokrotnie! Poe zamieszcza w nim opowiadania i rozwija bujną działalność krytyczną. Ostrość jego sądów przekracza jednak często granice sprawiedliwej oceny, jadowitość dowcipu stwarza mu niezliczonych wrogów.

W styczniu 1836 r. odpowiadająca jego uzdolnieniom, pełna sukcesów praca brzydnie mu. Rzuca redakcję „Messengera”, uważając, słusznie zresztą, że jest niedostatecznie wynagradzany, ale nie mając konkretnych widoków na jakąkolwiek inną pracę zarobkową. Bierze ślub z Wirginią, po czym wraz z rodziną przenosi się z Richmond, prowincjonalnej dziury, do Nowego Jorku, miasta wielkości dzisiejszego Poznania, gdzie spodziewa się wypłynąć na szersze wody. Niestety, w roku 1837 wybucha kryzys gospodarczy. „New York Review”, w którym Poe ma na wpuł obiecanie stanowisko redakcyjne, ulega likwidacji niemal w chwili jego przyjazdu. Z namowy wydawcy Harpera powstaje jedyne dłuższe dzieło prozaiczne Poego, Opowieść Artura Gordona Pyma z Nantucket, wydane dopiero w połowie 1838 roku, kiedy to Poe, nie mogąc nic zdziałać w Nowym Jorku, przenosi się do Filadelfii, drugiego z kolei ośrodka literackiego w Stanach, w którym życie było tańsze i łatwiejsze.

Przyciśnięty brakiem gotówki, Poe podejmuje się napisania popularnonaukowej kompilacji o muszlach pt. *Conchologist's First Book* (Pierwsza książka konchologa), co stało się później powodem licznych oskarżeń o plagiat.

Ameryka owego czasu była krajem gwałtownych przemian, rozrostu i istnej wędrówki ludów. Na Wschodzie imigracja dostarczała rąk roboczych szybko rosnącym fabrykom, gospodarka rolna ustępowała miejsca przemysłowej, powstawały coraz to nowe, coraz ładniejsze miasta. Zapotrzebowanie na bawełnę zmieniało również oblicze plantatorskiego, niewolniczego Południa. Bawełna zaczęła wypierać dotychczasową produkcję tytoniu, indyga i ryżu. Rozkwit produkcji bawełny, ogarniający coraz dalsze tereny na południe i zachód, przyczynia się do ekspansji ustroju niewolniczego, w którym plantatorzy widzą gwarancję swych raptownie rosnących zysków. Jednocześnie, posuwająca się na nieograniczonych przestrzeniach ku Oceanowi Spokojnemu Zachodnia Granica przyciąga niezliczone rzesze przedsiębiorczych awanturników, którzy wydzierają Indianom wciąż nowe tereny.

Okres ów nie sprzyjał gromadzeniu prywatnych księgozbiorów. Popularność zyskuje tani magazyn, wyrzucany po przeczytaniu, w którym pisarz amerykański zamieszczał swoje utwory, nie widząc innej drogi dotarcia do czytelnika. Największym powodzeniem cieszą się krótkie, interesujące opowiadania. Poe, który musiał pisać, aby żyć, w tym kierunku przeto koncentruje swe wysiłki. W połowie roku 1839 proponuje właścicielowi filadelfijskiego „Gentleman's Magazine”, Williamowi E. Burtonowi, swoją współpracę. Oferta zostaje przyjęta. Poe pracuje tam przez rok, zamieszczać w magazynie swoje opowieści i wiersze. Burton był z zawodu aktorem i dramaturgiem, przeto kompetentna praca Poego przynosiła piśmie wielką korzyść. Poe zamieścił tam m. in. Człowieka, który się zużył, Zagładę Domu Usherów, a także Williama Wilsona.

W końcu 1839 r. ukazuje się pierwsze wydanie książkowe opowiadań Poego, w dwóch tomach zawierających dwadzieścia pięć Opowieści groteskowych i arabskich. Wydawca nie zapłacił autorowi nic. Zbiorek zawierał m. in. ostrą satyrę na mieszczaństwo - *Diabła w dzwonnicy* i słabą groteskę *Why the Little Frenchman Wears His Hand in a Sling* (Dlaczego Francuzik nosi rękę na temblaku).

W tym okresie budzi się w Poem nieodstępne marzenie o posiadaniu własnego magazynu literackiego. Tytuł owego pisma miał brzmieć „Penn Magazine”. W słowie Penn kojarzy się nazwisko Williama Penna, sławnego kwakra, założyciela Filadelfii i Pensylwanii, z wyrazem „pen”, oznaczającym „pióro”. Myśli o własnym piśmie spowodowały zapewne rozstanie się z Burtonem latem 1840 r. Młodziutka żona zaczyna coraz poważniej zapadać na zdrowiu. Kłopoty finansowe nie ustają, aż do chwili gdy inny znów redaktor-amator, z fachu stolarz meblowy, z wykształcenia prawnik, George R. Graham, zakupuje od Burtona „Gentleman's Magazine”, od innego znów wydawcy pismo „Casket” (Szkatułka) i połączywszy je pod tytułem „Graham's Magazine”, proponuje Poemu objęcie redakcji. W numerze z grudnia 1840 r. znajdujemy opowiadanie *Człowiek tłum*. Na wiosnę 1841 r. Poe pracuje już w „Grahamie”, odkładając z konieczności założenie „Penn Magazine” na dalszą przyszłość. W numerze kwietniowym ukazuje się pierwsza z jego nowel detektywnych, „racjocynacyjnych” (opartych na rozumowej analizie), jak je Poe nazywał, *Zabójstwo przy rue Morgue*, w której stworzył pierwszą w literaturze postać detektywa-analityka, Augusta Dupin. Nazwisko to zapożyczył Poe od Marii Dupin, bohaterki jednego z opowiadań osnutych na głośnych wówczas *Pamiętnikach*, których domniemanym autorem miał być Franciszek Vidocq, francuski minister policji. Do tej serii należą również: *Tajemnica Marii Rog?t* i *Skradziony list*. W następnych miesiącach Poe publikuje tamże *W bezdni Maelströmu*, *Wyspę Czarodziejki*, *Trzy niedziele w tygodniu*, *Portret owalny* i *Maskę Czerwonego Moru*.

Poe uprawia tam również działalność krytyczną, w której często zadziwia przenikliwością sądów i celnością sformułowań. Cenne były zwłaszcza jego prace o Tomasz Macaulay, Longfellowie, Dickensie i Nathanielu Hawthornie. W marcu 1842 r. Poe spotkał się w Filadelfii z młodszym od siebie o trzy lata, a sławnym już wtedy autorem *Klubu Pickwicka* i *Oliwera Twista*. Rozmowa z Dickensem, której Poe oczekiwał z napięciem, pozostała jednak epizodem bez dalszych skutków w życiu obu pisarzy. Przedtem jeszcze dotknęło Poego nieszczęście, które szereg następnych lat wypełnić miało mu troską i nieustanną udręką obaw i złudnych nadziei. Wirginia ciężko zachorowała: nastąpił wylew krwi do mózgu. Odtąd życie jej znajdowało się ustawicznie na skraju katastrofy.

Przyjaciel Poego, Fryderyk Thomas, parający się piórem prawnik na rządowej posadzie w Waszyngtonie, zaczął namawiać go na przyjazd do stolicy i objęcie lekkiej i dobrze płatnej posady urzędniczej, która by mu dała czas na nieograniczoną twórczość. Poe, niezadowolony z warunków finansowych u Grahama, zbrzydziwszy sobie zarobkowanie piórem, chwytą się tej myśli z zapalem i przede wszystkim... rzuca pracę w redakcji.

Na jego miejsce wstępuje tam drugorzędny dziennikarz, krytyk i antologista, pastor baptystowski Rufus W. Griswold, fałszywy przyjaciel i zły duch Poe'go, który miał się wsławić jako jedna z najbrzydlivszych kreatur historii literatury. Korzystając z zaufania poety stał się wykonawcą jego testamentu literackiego, pośmiertnym wydawcą jego dzieł i autorem osławionego Memuaru, w którym oczernił i zozydził Poe'go, posługując się nikczemnym kłamstwem, kalumnią, a wreszcie ordynarnym, choć zręcznym, fałszowaniem treści jego listów. Fałszerstwa te, dopiero niedawno bez reszty zdemaskowane, działały poważnie na wielu krytyków i biografów Poe'go jeszcze w sto lat po jego zgonie.

Podróż do Waszyngtonu w roku 1843 w sprawie posady zakończyła się sromotnym fiaskiem. Poe palnął szereg głupstw i skompromitował się przykrymi wybrykami, popełnionymi pod wpływem nadużycia alkoholu.

Poe jest bez pracy. Własne pismo, które wyobraża sobie teraz pod nazwą „Stylus” (Rylec), pozostaje wciąż nie ziszczonym marzeniem. Od pewnego czasu Poe interesuje się kryptografią. Jeszcze w „Grahamie” podjął się był rozwiązania każdego szyfru nadesłanego przez czytelników. Udało mu się tę obietnicę spełnić; rzecz inna, że były to szyfry dość nieskomplikowane. Na początku 1843 roku pisze Złotego żuka, w którym rozwiązanie szyfru jest głównym elementem wątku. Za opowiadanie to Poe otrzymuje pierwszą nagrodę i sumę stu dolarów w konkursie ogłoszonym przez „Dollar Newspaper”. Rok ten przynosi jeszcze wiersz Robak zdobywca, opowiadanie Serce oskarżycielem i zbliżoną do niego w treści, a sławniejszą jeszcze opowieść Czarny kot oraz Poranek nad Wissahickon (późniejszy tytuł Łoś). Próby znalezienia wydawcy dla zbioru opowiadań fantastycznych spełzły na niczym. Próba seryjnego wydania opowiadań skończyła się na pierwszym zeszytcie. Korespondencja Poe'go w owym czasie roi się od kwestii związanych ze staraniami o pięcio- i dziesięciodolarowe pożyczki na opędzenie najniezbędniejszych wydatków. Kapitan Mayne Reid, autor Łowców skalpów i Doliny bez wyjścia, przedstawia ciężkie warunki domowe Poe'go w Filadelfii, opowiada o cichej, delikatnej i chorowitej Wirginii i o wędrownkach pani Clemm po redakcjach, z których zwykle przynosi pocie odmowne odpowiedzi na propozycje drukowania jego utworów i na prośby o wypłatę należnych, oczekiwanych z niecierpliwością honorariów. Wiosną 1844 r. Poe przenosi się do Nowego Jorku. W liście do teściowej, w którym opisuje swą podróż z Wirginią, donosi, że nazajutrz wybierze się na miasto w celu pożyczania trzech dolarów.

Tuż po przyjeździe Poe zamieszcza w „New York Sun” opowieść znaną później jako Bujda balonowa, a ogłoszoną w piśmie pod wielkim nagłówkiem: ZDUMIEWAJĄCE WIEŚCI OSTATNIO OTRZYMANE VIA NORFOLK! PRZEPRAWA PRZEZ ATLANTYK W PRZECIĄGU TRZECH DNI! TRYUMF MACHINY DO LATANIA MR MONCK MASONA! Nieprawdopodobna wtenczas aż do absurdu wiadomość znalazła powszechną wiarę w mieście, plac przed redakcją zapełniły tłumy, pismo zostało w mig rozchwywane. Że łatwowierność nie przestała być cechą publiczności amerykańskiej, świadczy panika, jaka wybuchła w dziewięćdziesiąt cztery lata później, na skutek audycji radiowej o najeździe Marsjan, opartej na Wojnie światów Wellsa.

Poe znów „najmuje się” do pracy redakcyjnej, naprzód u poety i prozaika, Nathaniela Parkera Willisa, w piśmie „New York Mirror”, a następnie w niedawno założonym „Broadway Journal”. Krytyka literacka, jaką Poe uprawiał w tych pismach, odznacza się coraz ostrzejszym sądem, przykrą jadowitością i szyderstwem. Pełne ujście znajduje przy tym jego dawna mania posądzania autorów o plagiat; nie oszczędził nawet Longfellowa, który, jedyny chyba z zaatakowanych przez Poe'go pisarzy, pominął całkowitym milczeniem jego insynuacje. Wszystko to zmobilizowało przeciw Poemu opinie krytyków i pisarzy, odstąpiły od niego wielu przyjaciół.

W tym czasie Poe ogłasza niesamowite opowiadanie Przedwczesny pogrzeb - przebudzenie się z letargu w trumnie było jego obsesyjnym tematem - Rewelację mesmeryczną i groteskę Kariera literacka JWP Fintiflucha Boba.

Wymieni tu trzeba jeszcze Tysiączną i drugą opowieść Szeherazydy, Pogawędkę z mumią, Biesa przewrotności, System doktora Smoły i profesora Pierza oraz Prawdziwy opis wypadku z p. Waldemarem.

Z wierszy ukazuje się świetna Kraina snu oraz poemat Kruk, który, sam jeden tylko, zapewniłby pocie nieśmiertelność. Jest to z pewnością najsłynniejszy wiersz, jaki powstał dotąd na zachodniej półkuli.

Poe próbuje wygłaszać odczyty, udaje mu się wydać tomik zawierający dwanaście opowieści (o tyle pamiętny, że jedyny, za który Poe otrzymał jakieś, choćby groszowe, honorarium!), ale to wszystko nie może go wyrwać z uścisków niedostatku.

Zaczyna bywać w nowojorskich salonach literackich. Błyszczący towarzyskim czarem, sztuką prowadzenia interesującej rozmowy, recytacją swych wierszy. Poetyckie damy otaczają smukłą, niewysoką, starannie, mimo biedy, odzianą postać, wpatrując się w czarne, magicznym blaskiem błyszczące oczy. Działalność krytyczna Poe'go kazała zapewne niejednej zyskiwać sobie jego przychyłość, a on nie pozostawał nieczuły na ich podziw. Amatorskie wiersze, którymi damy zapełniały szpalty magazynów, spotykały się z łagodną, jak na tak surowego krytyka, oceną. Nawiązuje wtedy sentymentalną przyjaźń z panią Frances S. Osgood, która pisała niezgorsze poezje. Przyjaźń ta znalazła dość wcześniej wyraz w modnej wtedy, wierszowanej, publicznej wymianie zapewnień uczuciowych. Przyznać trzeba, że Poe nie wysiłał się tu zbyt, gdyż dwukrotnie dedykował jej tytułem To F... (Do F...) wiersze, napisane uprzednio pod innym adresem. Po śmierci Poe'go pani Osgood wzięła go w obronę przed kalumniami Griswolda.

Pod koniec 1845 r. ukazuje się ostatni, wydany za życia autora, zbiór 81 wierszy pt. The Raven and Other Poems (Kruk i inne wiersze) dedykowany „najszlachetniejszej z kobiet, Elżbiecie Barret Barret”, znakomitej poetce angielskiej, późniejszej żonie Roberta Browninga. Od czasu ukazania się poprzedniego tomiku upłynęło czternaście lat. W przedmowie autor wyjaśnia, dlaczego poezja zajmuje tak nikłe miejsce w jego twórczości: nieszczęsne warunki materialne dławiły jedyną pasję jego życia. Na miesiąc przed ukazaniem się zbioru Poe, zaproszony do Bostonu dla publicznej recytacji swych wierszy, pozwolił sobie, po recytacji i po wypiciu paru kieliszków, na uwagi ubliżające mieszkańcom Żabistawku (tak nazwał swe rodzinne miasto), które wsparł i rozszerzył jeszcze obszerną, złośliwą notą w „Broadway Journal”, zyskując sobie w ten prosty sposób nowy zastęp wrogów.

Rok 1845, który przyniósł Poemu publikację Kruka, kilku najsławniejszych opowieści, temu poezji zebranych i temu opowiadań, dał mu jeszcze, na koniec, najbardziej upragnioną szansę życiową - własne pismo. Dotychczasowy wydawca proponuje mu kupno „Broadway Journal”. Poe chwytając tę okazję, czyni gorączkowe starania o pożyczki u przyjaciół, aby zgromadzić potrzebną gotówkę. W liście do jednego z nich Poe pisze: „Kupiłem to pismo, rozumiesz więc, jakie trudności spadły na mnie - do jakich manewrów musiałem się uciekać, aby je wydawać bez pomocy nikąd. Udało mi się jednak wykupić je i zapłacić za nie, z wyjątkiem 140 dolarów, płatnych dnia 1 stycznia. Zrobię jeszcze na nim fortunę! Na miłość boską, drogi przyjacielu, pomóż mi teraz, jeśli możesz - natychmiast - bo to dla mnie czas trwogi. Jeżeli przetrwam jeden miesiąc, będę już poza niebezpieczeństwem. Jeśli możesz przysłać mi 45 dolarów, to na

miłość boską uczyni to najbliższą pocztą. Jeśli nie wszystko, to przynajmniej cześć. Teraz dla mnie czas to pieniądz, a pieniądz to więcej niż czas”.

Nie pomogły jednak rozpaczliwe wysiłki i starania. Trzeba było wielkiego zaślepienia, aby będąc doświadczonym redaktorem, ludzić się, że można wydawać pismo bez kapitału obrotowego. W styczniu 1846 pismo przestaje istnieć.

Samopoczucie Poego jest fatalne, zdrowie odmawia posłuszeństwa, stan Wirginii pogarsza się ciągle. Z uwagi na jej płuca Poe przenosi się na wieś, do małego domku w Fordham, o trzysta mil od Nowego Jorku. Miejsce to znajduje się obecnie w gęsto zabudowanej, wschodniej dzielnicy miasta.

W 1846 r. słabnie twórczość poetycka i nowelistyczna, obfita jest za to działalność krytyczna Poego. Seria artykułów pod nazwą *The Literati of New York City* („Literaci” Nowego Jorku), w której scharakteryzował trzydziestu ośmiu autorów, dziś przeważnie zapomnianych, wzbudziła wiele zainteresowania, sporo protestów i oburzenia, a także spowodowała sprawę sądową o oszczerstwo, wytoczoną i wygraną przez Poego.

Gruźlica Wirginii robi zastraszające postępy, bieda nie opuszcza domu. Pocięgę i praktyczną pomoc przynosi pani Maria Luiza Shew, nowa, bezinteresowna, nieliteracka przyjaciółka rodziny, oraz Nathaniel Willis, który na tamach „Home Journal” opisuje rozpaczliwą sytuację poety, niesprawiedliwia jego „popędliwość i nerwowość” i, bez wiedzy Poego, wzywa do wspomnienia go finansowo. Poe znajduje się na krańcu nerwowego wyczerpania, co prawdopodobnie skłania go do nadużywania opium, które z kolei pogarsza jego stan psychiczny. Ostateczny cios, jakim był zgon Wirginii w styczniu 1847, przyczynia się jednak do odzyskania przezeń równowagi, z której wytraçały go dotychczas nieustanne nawroty obaw i nadziei. W grudniu Poe publikuje *Ulalume*, wiersz, uważany przez Mallarmego za szczytowe osiągnięcie jego poezji.

Wkrótce potem Poe pisze w liście do znajomego: „...A teraz o «Stylusie». Chcę być swym własnym wydawcą. Być poddanym kontroli - to ruina. Moje ambicje są wielkie. Jeśli mi się uda, będę (w ciągu dwóch lat) w posiadaniu majątku. Zamierzam odbyć podróż na Południe i Zachód, aby zainteresować mych przyjaciół i zacząć z listą przynajmniej pięciuset subskrybentów...” W tym czasie był już gotów w rękopisie „poemat prozą” pokaźnych rozmiarów, pod nazwą *Eureka*, rodzaj traktatu o budowie, prawach i przyszłym losie wszechświata, wizyjna, pseudonaukowa rapsodia. W dzieło to Poe włożył niebywałą ilość pracy i zapału: niestety, trudno dziś przez nie przebrnąć.

W ostatnim okresie życia Poe poświęca wiele czasu gorączkowym zabiegom uczuciowym, których obiektem jest kolejno kilka kobiet. Psychoanalizy, dla których życie osobiste Poego jest nie lada gratką, nazywali to „paroksyzmami platonicznej erotomanii”, współcześni Poemu kwakierscy moralizatorzy określili to prościej, jako „ohydną rozpustę”. Być może, iż była to tylko ucieczka od dręczącej samotności.

Pani Shew, która opiekowała się nim i czuwała nad jego zdrowiem w czasie pracy nad *Eurką*, wdzięczny poeta poświęcił dwa wiersze: *Do M.L.S.* i *Do....* Ona z kolei podsunęła mu pomysł napisania wiersza *Dzwony*. Wreszcie jednak postanowiła przestać się z nim widywać: czuła, że przyjaźń jego przeradza się w uczucie gorętsze, którego chciała uniknąć. Z kolei Poe przypuszcza szturm do innej kobiety, dość zdolnej poetki, 44-letniej wdowy, Sary Heleny Whitman, której poświęcił swój drugi wiersz *Do Heleny*. Pod wpływem perswazji matki i ostrzeżeń przyjaciół pani Whitman zrywa zaręczyny, co zresztą, jak się zdaje, nie było dla obojga zbyt dotkliwym ciosem. Wkrótce Poe zapłonął znacznie gorętszą miłością do mężatki, pani Nancy Heywood Richmond, której dedykował wiersz *For Annie* (Dla Annie). Pani Richmond rozegrała sprawę z taktem i pozostała wierna mężowi. Po śmierci Poego i pani Whitman i pani Richmond dzielnie broniły poety przed oczerniającą go krytyką. Najpiękniejszą pamiątką poetycką uczuć Poego w tym czasie pozostaje wszakże wiersz „*Annabel Lee*”, poświęcony pamięci zmarłej Wirginii.

W okresie tym powstały również opowiadania *Żabi Skoczek*, *Von Kempelen* i jego wynalazek, *Zaesowanie agapitu* oraz esej *The Poetic Principle* (O zasadach poezji), wygłoszony przez Poego w czasie ostatniego pobytu w Richmond. Pojechał tam pełen nowych nadziei na zrealizowanie „*Stylusa*”. Przerażony halucynacjami i napadami manii prześladowczej, postanawia przestać pić, co nie przychodzi mu łatwo w towarzystwie gościnnych i wylewnych południowców. Zapisuje się nawet do stowarzyszenia abstynentów. Spotkanie z pierwszą, młodzieńczą miłością, *Elmirą Royster Shelton*, naówczas już wdową, budzi na nowo zapomniane uczucia. Poe zaręcza się z nią. Ślub wyznaczony został na dzień 17 października 1849 r.

Poe wybiera się do Nowego Jorku, aby sprowadzić panią Clemm na ślub. Jeszcze na dzień przed odjazdem, 25 września, jest w najlepszym humorze. Tegoż wieczora pokazuje znajomym odpowiedź listowną od „swego przyjaciela, dra Griswolda”, który, na jego prośbę, zgadza się być wykonawcą jego testamentu na wypadek nagłej śmierci poety. Nazajutrz, tuż przed wyjazdem, czuł się źle i miał prawdopodobnie gorączkę. Od chwili gdy wsiadł na statek, aż do 3 października wiadomości o jego losach są sprzeczne i niepewne. Tego dnia znaleziono go nieprzytomnego, leżącego na ulicy, w Baltimore. Przewieziony wieczorem do szpitala, nie odzyskał już przytomności i zmarł dnia 7 października 1849 r.

Data urodzenia i data śmierci Poego zbiegają się, z różnicą niewielu miesięcy, z datami urodzin i zgonu Słowackiego i Chopina. Bliższych analogii łatwiej by się jednak doszukać w krótkich wyblaskach powodzenia i nie kończącym się szeregu klęsk, braku uznania u współczesnych i w skomplikowanych dziejach pośmiertnej sławy Cypriana Norwida lub w nieustannej walce z trudnościami i ciągle odradzających się nadziejach sukcesów materialnych Balzaka. W każdym razie losy Poego różnią się jaskrawo od losów współczesnych mu głośniejszych autorów amerykańskich. Bryant, Emerson, Longfellow, Whittier, Cooper i Hawthorne dożyli sędziwych lat, otoczeni uznaniem i chwałą. Oliver Wendell Holmes, rówieśnik Poego, umarł w roku 1894. A przecież żaden z nich nie mógł utrzymać się z twórczości literackiej. Jeśli nie odziedziczyli majątku, jak Emerson, to siedzieli na ciepłej posadzie, jak Hawthorne, lub na profesurze uniwersyteckiej, jak Longfellow. Poe walczył o byt piórem i z walki tej nieodmiennie wychodził pokonany. Dlatego twórczość jego nie mogła rozświecić się pełnym blaskiem.

Jego spuścizna literacka obejmuje około pięćdziesięciu wierszy - z nich kilkanaście ma wartość nieprzemijającą - sześćdziesiąt osiem opowiadań, z których przeszło połowa ostała się stuletniej próbie czasu i zdumiewa oryginalnością i siłą fantazji, pomimo bezliku naśladowców. Jedyna dłuższa Opowieść Artura Gordona Pyma z Nantucket nic należy do szczytowych osiągnięć jego prozy, chociaż jest niewątpliwie warta czytania. Artykuły i eseje krytyczne oraz *Eureka* zainteresować już mogą chyba tylko historyków literatury.

Sława Poego zrodziła się poza granicami Ameryki, we Francji. Mallarme określił to w ten sposób: „Całe pokolenie od Baudelaire'a do dnia dzisiejszego poświęciło tyle uczuć Poemu, iż nawet w uszach rodaków marzyciela

amerykańskiego nie zabrzmi fałszem twierdzenie, że świetny i czysty kwiat jego myśli, tam obcy, tu znalazł swą właściwą glebę”.

Już w 1845 r., za życia Poego, ukazuje się w „Revue Britannique”, przekład Złotego żuka, w 1846 - wolny przekład Zabójstwa przy rue Morgue oraz W bezdni Maelströmu, a w „Revue des Deux Mondes” przenikliwa i przyjazna analiza krytyczna opowieści, pióra E.D. Forgues'a. Poego doszły pewne słuchy o tej krytyce - można sobie wyobrazić, jak się ucieszył! Następne lata przynoszą coraz nowe przekłady. Baudelaire przełożył Rewelację mesmeryczną już w roku 1848. Pierwszy wybór opowiadań, w przekładzie Alfonsa Borgers, ukazał się w Paryżu w roku 1853.

Baudelaire zainteresował się gorąco Poem jeszcze przed 1848 rokiem. W 1852 opublikował esej o jego życiu i twórczości, który, z dużymi zmianami, umieścił jako wstęp do swoich przekładów, należących do najwyższych osiągnięć światowej literatury przekładowej, wydanych w dwóch tomach, w 1856 i 57 roku, pod tytułami: *Histoires Extraordinaires* i *Nouvelles Histoires Extraordinaires*.

...Jakąż żalną tragedią jest życie Edgara Poego! - pisze Baudelaire. - I jego okropne zakończenie - śmierć, której trywialność wzmaga jeszcze jej okropność! Wszystkie przeczytane dokumenty przywiodły mnie do przekonania, że Stany Zjednoczone były dla Poego tylko wielkim więzieniem, które przebiegał, gnany gorączkowym niepokojem istoty stworzonej do oddychania powietrzem wonniejszego świata niż owa wielka Barbaria oświetlona gazem, i że jego życie wewnętrzne, duchowe - poety czy też nawet pijaka - było tylko nieustannym dążeniem do uniknięcia wpływu tej odrażającej atmosfery”.

Chociaż Baudelaire musiał, z konieczności, opierać się w głównej mierze na Memuarze Griswolda i nie posiadał dostępnych nam obecnie dowodów jego fałszerstw, wszakże, kierowany nieomylną intuicją, stanął po stronie obrońców pamięci swego mistrza:

„Niektórzy... szkalowali go z ochotą; a po jego nagłym zniknięciu grubiańsko besztali zmarłego - zwłaszcza pan Rufus Griswold... Ten pedagog-wampir spotwarzył swego przyjaciela w olbrzymim artykule, płaskim i pełnym nienawiści, umieszczonym na wstępie pośmiertnego wydania dzieł Poego. Czyż nie istnieje w Ameryce zarządzenie zabraniające psom wstępu na cmentarze?”

Można by przypuszczać, że Griswold demonizując Poego, aby go zozydzić w oczach pruderyjnych bigotów Nowej Anglii, dla których życie poety było pożądanym przykładem kary boskiej za niemoralne prowadzenie się, dodał niemało blasku jego dziełom w oczach „dekadentów” francuskich. Wynikający z pism Poego ideał „czystej sztuki”, charakteryzujący je niepokój, fantastyka, introspekcja, chorobliwa i perwersyjna tematyka - znajdowały idealne uzupełnienie w jego (jak dziś wiemy, nieco fantastycznym) zyciorysie, pełnym sensacyjnych wybrków, świadczącym o niemożności przystosowania się do otoczenia, neurastenii, rozwiązłości, upodobaniu w narkotykach i alkoholu. Baudelaire pisze: „Sądzę... że pijaństwo Poego było jakby środkiem mnemotechnicznym, metodą pracy... przystosowaną do jego gwałtownej natury... Nie mógł oprzeć się pragnieniu odnajdywania cudownych lub przerażających wizji czy też subtelnych koncepcji, które nawiedzały go w poprzednich burzach”. Życie Poego nie dawało zapewne powodu do aż tak kunstownych motywacji.

Poe wpłynął również i na innych „dekadentów”. Wyrażna jest zależność Art Poétique Verlaine'a od esejów krytycznych Poego, Statku pijanego Rimbauda od W bezdni Maclströmu; niewątpliwy wpływ Rodericka Ushera z Zagłady Domu Usherów na postaci Des Esseintes'a w Na wspaniałą J.K. Huysmansa.

Wiele zawdzięczają mu również symboliści. Stefan Mallarme przyswoił językowi francuskiemu wiersze Poego, tłumacząc większą ich część prozą poetycką. Au Jardin de l'Infante Alberta Samain ma jako motto cytat z Do Heleny; w Le Cypr's Henri de Régniera znajdujemy reminiscencje z Ulalume.

Oczywisty jest wpływ Poego - na sztuki Maeterlincka, na wczesne poezje Valéry'ego: obaj byli jego gorącymi wielbicielami. Bohaterowie Emila Gaboriau - L?coq i P?re Tabaret - oraz Sherlock Holmes Conan Doyle'a naśladowali metody detektywne C.A. Dupina. Robert L. Stevenson czerpał z Poego, jako ze źródła, pisząc swe pirackie powieści, czemu dał wyraz w przedmowie do Wyspy skarbów, Dr Jekyll i Mr Hyde wywodzą się z Williama Wilsona. Jules Verne dedykuje Poemu Sfinksa lodowego i umieszcza tam zamrożone zwłoki Gordona Pyma; widoczne jest także pokrewieństwo Pięciu tygodni w balonie z Bujdą balonową i kryptogramu z Podróży do środka ziemi z szyfrem Złotego żuka.

Rozgłos Poego powrócił do jego ojczyzny późno, odbitą falą i nie bez oporów. Chociaż szerokiej popularności nie zyskał tam nigdy, należy już do panteonu literatury amerykańskiej. Wymierzyć by to można w dolarach. Honorarium otrzymane przez Poego za Kruka wyniosło pięć dolarów; pierwszy zeszyt, na którym skończyło się „zbiorowe wydanie” opowieści z r. 1843, z uwidocznioną na tytułowej karcie ceną 12 i pół centa, ubezpieczony jest obecnie przez Bibliotekę Kongresu w Waszyngtonie na 50.000 dolarów.

Do Młodej Polski Poe dotarł naprzód przez Francję, przez Baudelaire'a i Mallarmego. Przedmiotem zachwytów „modernistów” były przede wszystkim elementy ezoteryczne i sataniczne jego twórczości. Przekłady poezji (Miriam Lange) nie dawały, bo nie mogły dawać, pojęcia o wartościach oryginału. Przekłady opowieści zaciemniała przesadna stylizacja młodopolska. Charakterystyczne w tym względzie są przekłady Bolesława Leśmiana i, w mniejszym stopniu, Stanisława Wyrzykowskiego. Przedmowy obu tłumaczy świadczą o gorącym stosunku do pisarza. Leśmian, bratni duch Poego, równie biegły w sprawach zaświatów, równie nieporadny, choć pełen ambitnych projektów, w skomplikowanych stosunkach z ludźmi, broniąc Poego, broni zarazem swej własnej pozycji poetyckiej; Wyrzykowski sławi jego eteryczną duszę, oddając się „zabójczym upojeniom, by zapomnieć ohydnej rzeczywistości i śnić o niedoścignionym Pięknie”.

Końcowy wstęp przedmowy Wyrzykowskiego służyć może jako próbka, tonu, stylu i nastroju, w jakim pisano wówczas o Poem:

„W wielkim duchowym prądzie, co wszczął się przed wiekiem, a wciąż jeszcze opływa i ogrzewa wystygłe dziś i zdziczałe wybrzeża ludzkości, twórczość poety amerykańskiego znaczy się na toni, rozżęconej bielą, błękitem, złotem i purpurą, jak rdzawa plama krwi, wytoczonej z piersi pochłoniętego przez falę samobójcy. Dzięki tej dani tęsknoty i marzenia Poe wszystek nie umarł. Pozostała po nim demoniczna «Wola, co nie umiera». Jak wid Ligei, niewidzialnie ważąc się w przestworzu, kropla po kropli sączy ona do kielicha Poezji tajemniczą truciznę, co wywołuje przedzgonne wizje Grozy Ostatecznej”.

Życie Poego charakteryzuje ostre, schizofreniczne rozdarcie wewnętrzne, wykluczające jego porozumienie się z otoczeniem. Widoczne od wczesnej młodości, każe mu ono nieustannie przerzucać się z jednej ostateczności w drugą. Już

w stosunku do Allana widać z jednej strony harde, nieustępliwe dążenie do samodzielności, z drugiej pokorne błaganie o pomoc, mimo wszystkich doznanych upokorzeń. Nie otrzymawszy należytego wykształcenia, pragnie olśniewać erudycją, której nie posiada, sypie cytataami z drugiej ręki, przytaczanymi w językach nie dość gruntownie poznanych. Lubi przedstawiać się innym, niż jest: na podawanych przez niego wiadomościach o jego życiu, o metodach pracy niebezpiecznie byłoby polegać. W stosunkach z najbliższymi, z kobietami zwłaszcza - czuły, grzeczny, dżentelmeński, czarujący; w odniesieniu do swych kolegów po piórze - szorstki, wybuchowy, podejrzliwy, bezwzględny. Z obowiązków swych w szkole, wojsku, pracy redakcyjnej wywiązuje się z nienaganną dokładnością i talentem organizacyjnym do chwili, gdy zmiana nastroju, wewnętrzne załamanie się każe mu z dnia na dzień rzucać wszystko i niszczyć rezultaty wieloletnich starań. Po długich okresach wstrzemięźliwości i walki z odziedziczoną, być może, po ojcu skłonnością do alkoholu, jedno poślizgnięcie się przynosi katastrofalne dla jego opinii skutki.

Dwoistość ta oczywiście jeszcze ukazuje się w jego twórczości, gdzie raz wstępuje na krańce kosmosu, przysłuchując się eterycznym hymnom nieśmiertelnych duchów, kiedy indziej zaś lubuje się w koszmarnych efektach groteskowej makabry, w drgawkach mesmeryzowanych nieboszczyków; od chorobliwych halucynacji ucieka w świat zimnej, logicznej analizy; od samobójczej beznadziejności do tryskającej humorem satyry; od maniackalnej introspekcji do epickiej, bystrej obserwacji ludzi i przyrody.

Poe trzymał się na uboczu od prądów, haseł i programów swego czasu; gdyby dożył jednak wojny secesyjnej, byłby zapewne stanął po stronie Południa. Nie był bowiem w żadnym sensie demokratą: bronił instytucji niewolnictwa w interesie... Murzynów.

Nieprzemijającą wartość jego dzieła nadaje nieprześcigniona siła i oryginalność wyobraźni. Trafnie określił ją, w 1861 roku, Dostojewski: „Osobliwością jego wyobraźni, nie spotykaną u nikogo innego, jest potęga szczegółu. W opowieściach Poego wszystkie szczegóły obrazu czy zdarzenia rysują się tak ostro, że w końcu musi się uwierzyć w jego prawdopodobieństwo i rzeczywistość, choćby było całkiem niemożliwe i nigdy nikomu nie przytrafiło się jeszcze”.

Ta właśnie nieprzemierzona, zniewalająca moc wyobraźni, która może być cechą tylko prawdziwie wielkiego twórcy, pociąga nas i czaruje u poety, który przeszedł przez życie (jak to sam pięknie w *Kruku* napisał) *dreaming dreams no mortal ever dared to dream before* - śniąc sny, których śmiertelnik żaden przed nim nie śmiał śnić.

W.K.

Metzengerstein

Pestis eram vivus

moriens tua mors ero. I

(M. Luter)

Groza i przerażenie leży się na świecie przez wszystkie czasy. Po cóż więc nadmieniać, kiedy zaszło zdarzenie, o którym zamierzam opowiedzieć? Dość wspomnieć, iż w okresie owym istniała w środkowych Węgrzech rozpowszechniona, acz skryta wiara w doktrynę metempsychozy. O doktrynie samej - to jest o jej nieprawdziwości czy też prawdopodobieństwie - zamilczę. Jednakowoż zapewniam, iż w znacznej mierze niedowiarstwo nasze (jak powiada La Bruyere o wszystkich naszych niedolach) *vient de ne pouvoir ?tre seuls*3.

Były atoli w owych wierzeniach węgierskich pewne szczegóły, które trąciły mocno niedorzecznością. Węgrzy różnili się bowiem nader istotnie od swych mistrzów ze Wschodu. Na przykład dusza - powiada jeden z nich (przytaczam słowa bystrego i uzdolnionego paryżanina) - *ne demeure qu'une seule fois dans un corps sensible: au reste - un cheval, un chien, un homme m?me, n'est que la ressemblance peu tangible de ces animaux*4.

Między rodami Berlifitzingów i Metzengersteinów istniała waśń odwieczna. Nie było jeszcze przykładu, by dwa tak dostojne rody zawzięły się wzajem na siebie z równie śmiertelną zaciekłością. Źródło owej wrogości kryło się rzekomo w słowach starożytnej przepowiedni: „Runie straszliwie wyniosłe miano, gdy doczesność Metzengersteinów, jako jeździec na swym rumaku, weźmie górę nad nieśmiertelnością Berlifitzingów”.

To pewna, że słowa te miały nader skąpe znaczenie lub nie miały go wcale. Istniały jednakowoż bardziej pospolite powody - i nie tak starodawnego pochodzenia - które były nie mniej brzemiennie w następstwa. Wielmoże ci sąsiadowali ze sobą i od dawna prześcigali się wzajem w piastowaniu różnych zyskowych urzędów. Wiadomo, że bliscy sąsiedzi rzadko bywają przyjaciółmi, a mieszkańcy zamku Berlifitzing mogli spoglądać ze swej wyniosłej twierdzy wprost w okna pałacu Metzengersteinów. Na domiar ta więcej już niż feudalna okazałość nie przyczyniała się bynajmniej do złagodzenia gniewu Berlifitzingów, którzy nie dorównywali swym wrogom ani starożytnością pochodzenia, ani dostatkami. Cóż więc dziwnego, że słowa owej przepowiedni, acz niedorzeczne, mogły przecież podtrzymywać i rozniecać waśń dwu rodów, skłonnych już do zwady na każdy poszept dziedzicznej zawiści? Przepowiednia zdawała się wieścić - jeśli w ogóle wieściła cokolwiek - ostateczny triumf i tak już możniejszego rodu, co oczywiście było dostatecznym powodem, by z goryczą i nienawiścią mówili o niej słabsi i nie tak rozpanoszeni sąsiedzi.

Wilhelm hrabia Berlifitzing, mimo dostojnego pochodzenia, był w okresie niniejszego opowiadania niedołącznym, zidiociałym starcem, który zresztą nie zasługiwałby najzupełniej na wzmiankę, gdyby nie jego nieokiełznana, zadawniona, osobista nienawiść do wrogiego rodu i gdyby nie namiętne zamilowanie do koni i łowów, które posuwało się tak daleko, iż ani wiek, ani osłabienie, ani zniedołącznienie umysłu nie mogły go powstrzymać od codziennego udziału w trudach myśliwskich.

Natomiast Fryderyk baron Metzengerstein nie był jeszcze pełnoletni. Ojciec jego, minister G., zmarł młodo; wkrótce podążyła za nim matka, baronowa Maria. Młody Fryderyk miał podówczas lat osiemnaście. W mieście lat osiemnaście znaczy niewiele; ale na odludziu - i to tak wspaniałym odludziu jak ta włość odwieczna, ruchy zegarowego wahadła głębsze mają znaczenie.

Skutkiem pewnych zarządzeń administracyjnych młody baron po śmierci ojca wszedł niezwłocznie w posiadanie swych rozległych majątkości. Takie dobra nieczęsto dostawały się w puściznie szlachcie węgierskiej. Zamków miał co niemiara, zaś wśród nich najokazalszy i największy był pałac Metzengerstein. Włości jego nigdy dokładnej nie miały granicy, ale największy park liczył piętnaście staj obwodu.

Dziedzic był taki młody, charakter jego tak dobrze znany, a mienie tak ogromne, iż niewiele pozostawało wątpliwości co do jego przyszłego postępowania. Jakoż w przeciągu trzech dni zachowanie się jego zapędziło w kąć samego Heroda i przewyższyło niepomierne oczekiwania najgorętszych jego wielbicieli. Plugawe orgie, jaskrawe

wiarołomstwa, niesłychane okrucieństwa - dały rychło drżącym jego wasalom do zrozumienia, iż ani służalczą uległość z ich strony, ani skrupuły sumienia z jego strony nie będą chroniły ich odtąd przed wyuzdanymi szponami tego młodocianego Kaliguli. Czwartego dnia w nocy spostrzeżono, że stajnie zamku Berlifitzing stoją w płomieniach, zaś opinia sąsiedzka zapisała zgodnie tę zbrodnię podpalenia na potworną już listę występków i rozbojów barona.

Podczas zamieszania spowodowanego tym wypadkiem młody magnat, na pozór pogrążony w zadumie, siedział w przestronnej i odludnej komnacie, która mieściła się na piętrze rodowego pałacu Metzengersteinów. Drogocenne, acz splewiałe opony, co posępnie zwieszały się ze ścian, przedstawiały widziadlane i majestatyczne kształty mnóstwa znakomitych pradziadów. Tu biskupi w gronostajowych szatach i pontyfikalni dostojnicy, siedząc swobodnie w obecności samodzierzcy i władcy, zakładali veto przeciw zachciankom doczesnego króla lub za pomocą fiat papieskiej wszechwładzy poskramiali buntownicze berło odwiecznego Wroga ludzkości. Tam ponure, ogromne postacie książąt Metzengersteinów - kiedy ich ciężkie bojowe rumaki depcą zwłoki poległych nieprzyjaciół - swym wojowniczym wyglądem wstrząsały nawet najsilniejsze nerwy; zaś ówdzie pieściwe, łabędzie zjawy niewieście z minionych czasów przy dźwiękach urojonej muzyki w nierzeczywistym pływały tańcu.

Kiedy baron tak słuchał lub udawał, że słucha stopniowo wzmagającego się zgiełku w stajniach Berlifitzingów - lub też może obmyślał nowy i jeszcze zuchwalszy wybryk swej samowoli - oczy jego bezwiednie zwróciły się na olbrzymie kształty nienaturalnej maści rumaka, którego przedstawiono na jednej z opon jako własność saraceńskiego przodka wrogiego mu rodu. Koń stał na przedzie, nieruchomy i posągowy - zaś dalej, w głębi obrazu, pokonany jego jeździec ginął od rapieru jednego z Metzengersteinów.

Usta Fryderyka przybrały złowrogi wyraz, gdy zdał sobie sprawę, ku czemu podążyły nieświadome jego spojrzenia. Mimo to nie odwrócił wzroku. Żadną natomiast miarą nie mógł pojąć przygnębiającej trwogi, co niby całun padła na jego zmysły. Z trudnością udało się mu pogodzić swe sennie i bezładne odczuwania z niezawodnym przeświadczeniem, że jednak czuwa i nie śpi. Im dłużej patrzył, tym zawrotniejszym stawał się czar, tym niemożliwszym zdawało się mu, by mógł wyzwolić swe oczy spod zaklęcia owego gobelinu. Wtem zgiełk w oddali wzmógł się nagle ogłuszająco, więc jakby z przymusem obejrzał się na czerwona łunę, co padała od płonących stajen na okna komnaty.

Trwało to tylko okamgnienie i znów pierzchył odruhowo jego spojrzenia ku ścianie. Ku niewysłowionemu jego osłupieniu i przerażeniu łeb gigantycznego rumaka zdołał tymczasem zmienić pozycję. Kark zwierzęcia, pochylony przedtem jakby z żalem nad sponiewieranymi zwłokami rycerza, wyprostował się teraz w całej długości ku baronowi. Oczy, dotychczas niewidoczne, rozgorzały ogniście, nabierając ludzkiego, energicznego wyrazu: zaś otwarty pysk snadź podrażnionego konia pozwalał dojrzeć jego obmierzłe, trupie zęby.

Młody magnat zdrętwiał z przerażenia i chwiejnym krokiem postąpił ku drzwiom. Kiedy je otworzył, snop czerwonej poświatli wtargnął w głąb komnaty i odbił się jasną plamą na powiewnych oponach. Zawahawszy się przez chwilę na progu, wzdrygnął się widząc, że owa świetlana plama dokładnie wypełniła miejsce i kontury nieubłaganego i zwycięskiego zabójcy Saracena-Berlifitzinga.

By ulżyć swemu strapiionemu duchowi, wybiegł baron na wolne powietrze. U głównej bramy pałacu spotkał trzech stajennych. Z wielkim trudem i wprost z narażeniem życia powstrzymywali na wodzy olbrzymiego płomiennej maści rumaka, co w dzikich dębił się podrzutach.

- Czyj to koń? Skąd go wzięliście? - zapytał młodzieniec głuchym, posępnym głosem, zauważywszy niezwłocznie, iż ów tajemniczy biegun na oponie komnaty był najdokładniejszą podobizną wspinającego się przed nim zwierzęcia.

- To wasza własność, panie - odparł któryś ze stajennych - przynajmniej nikt inny o niego się nie upomina. Schwytaliśmy go, gdy zapieniony i parskający wściekłością wybiegł z płonących stajni zamku Berlifitzing. Przypuszczając, że należy do zagranicznej stadniny starego hrabiego, odprowadziliśmy go z powrotem. Ale żaden z koniuszych nie przyznał się tam do tego potwora, co jest dziwne, gdyż znać po nim, że ledwie wy dostał się z płomieni.

- Przy tym ma wyraźnie wypalone na czole litery W.V.B. - przerwał drugi stajenny. - Myślałem, że to początkowe litery nazwiska Wilhelm von Berlifitzing, ale cała służba zamkowa utrzymuje, że nic o nim nie wie i przedtem nigdy go nie widziała.

- To szczególniejsze - odezwał się młody baron w zamyśleniu, jakby nie zdając sobie sprawy ze znaczenia swych słów. - Dziwny to, jak mówicie, koń - osobliwszy koń, chociaż macie słuszość, że jest niepewny i narowisty. Niechże on będzie mój - dodał po chwili - taki jeździec jak Fryderyk von Metzengerstein zdoła okiełznać nawet diabła ze stajni Berlifitzingów.

- Mylicie się, panie; ten koń, jak już powiedzieliśmy, nie jest ze stajni hrabiego. Gdyby tak było, to za dobrze znamy nasze obowiązki, byśmy odważyli się przyprowadzić go przed oblicze dostojnej osoby z waszego rodu.

- Dobrze mówisz - odparł baron twardo. W tej chwili nadbiegł z pałacu pokojowy z wypiekami na twarzy i szepnął swemu panu do ucha, że część opony z komnaty, którą wymienił, nagle znikła, podał przy tym różne drobiazgowo szczegóły; opowiadał to wszakże tak cichym głosem, iż stajenni nie zdołali zaspokoić swej podnieconej ciekawości.

Podczas tej rozmowy młodym ich dziedzicem najróżnorodniejsze miotały wrażenia. Wszakże rychło odzyskał spokój i miał na twarzy wyraz złowrogiej stanowczości, gdy wydawał nieodwołalny rozkaz, by ową komnatę natychmiast zamknięto i klucz oddano mu do rąk.

- Czy wasza miłość wie już o żalostnej śmierci tego starego myśliwego, Berlifitzinga? - spytał barona któryś z jego wasali po odejściu pokojowca, gdy potworny rumak, którego magnat przyjął za swą własność, ze zdwojoną wściekłością dębił się i rzucał po szerokiej alei, prowadzącej od pałacu do stajen Metzengersteinów.

- Nie! - rzekł baron zwracając się nagle do mówiącego - powiadasz waść, że umarł?

- Tak jest, wasza miłość, i myślę, że ta nowina nie jest zbyt przykra dla dostojnego waszego rodu.

Przelotny uśmiech błysnął na twarzy słuchającego.

- Jakże to się stało? - zapytał.

- Zapędził się nierozważnie, chcąc ocalić bodaj część swej ulubionej stadniny myśliwskiej, i sam przy tym zginął marnie w płomieniach.

- I-sto-tnie? - wycedził baron, jakby z wolna i stopniowo uświadamiał sobie prawdę jakiejś osobliwszej myśli.

- Tak jest - powtórzył wasal.

- To okropne! - rzekł młodzieniec obojętnie i podążył spokojnie do pałacu.

Od tej chwili w postępowaniu hulawczego młodego barona, Fryderyka von Metzengersteina, zaszła wyraźna zmiana. To pewna, że zachowanie się jego zawiadło wszelkie oczekiwania i rozczarowało niejedną zapobiegliwą mamę, gdyż jego zwyczaje i nawyki w wyższym jeszcze stopniu niż poprzednio były się różnić od przyjętych przez sąsiednią arystokrację. Nie widywano go nigdy poza granicami jego włości i wśród wielkiego mrowia ludzkiego był on zupełnie samotny - o ile się pominie owego tajemniczego, narowistego, ognistej maści rumaka, na którym odtąd stale jeździł i który - nie wiadomo z jakiego powodu - sam jeden mógł chętnie się mianem jego przyjaciela.

Zdarzało się jednak niekiedy, że otrzymywał zaproszenia od sąsiadów: „Czyby pan baron nie zaszczylił naszego zebrania swą obecnością?”, „Czyby pan baron nie wziął udziału w polowaniu na dzika?”. „Metzengerstein nie poluje”, „Metzengerstein nie bywa” - brzmiały wyniosłe i lakoniczne odpowiedzi.

Tych ciągłych zniewag nie mogli znieść butni wielmoże. Zaproszenia stawały się mniej częste i nie takie serdeczne; w końcu ustały zupełnie. Opowiadano, że wdowa po nieszczęsnym hrabim Berlifitzingu miała kiedyś wyrazić życzenie: „Bodajby baron wtedy był u siebie w domu, kiedy tam być nie zechce, skoro gardzi towarzystwem sobie równych; i bodajby wtedy jechał na koniu, kiedy jechać konno nie zechce, skoro woli towarzystwo konia”. Oczywiście był to tylko niemądry odruch rodowej niechęci i dowodził jedynie, do jakiego stopnia bywają niedorzeczne nasze powiedzenia, gdy pragniemy wyrazić je zbyt dobitnie.

Byli jednakże tacy poczciwcy, którzy zmianę w postępach młodego magnata przypisywali synowskiemu żalowi po przedwczesnym zgonie rodziców, zapominając o niesłychanych szkaradziństwach, jakich dopuszczał się przez krótki czas bezpośrednio po ich stracie. Inni osądzali go o zbyt wygórowane pojmowanie swej godności i dostojęstwa. Jeszcze inni (śród których wypadaloby może wymienić lekarza domowego) składali wszystko na chorobliwą melancholię i słabość dziedziczną, zaś między pospółstwem krążyły mętne i jeszcze niezwyklesze pogłoski.

Niepodobna zaprzeczyć, iż graniczące już ze zwyrodnieniem przywiązanie barona do świeżo zdobytego wierzchowca - przywiązanie, które jakby wzmagало się jeszcze po każdym nowym objawie dzikich i demonicznych instynktów zwierzęcia - przedzierzgnęło się w końcu, zdaniem wszystkich rozsądnych ludzi, w ohydą i nienaturalną namiętność. W słonecznej pełni południa czy śród głuszy nocnej, w zdrowiu czy w chorobie, czasu burzy czy czasu pogody młody Metzengerstein zdawał się nie schodzić z grzbietu olbrzymiego rumaka, którego nieuskromione zuchwalstwo licowało tak dobrze z jego własnym usposobieniem.

Istniały ponadto okoliczności, które w zestawieniu z późniejszymi wypadkami dawały jakąś niezmierną i złowieszczą miarę dziwactwa jeźdźcy i przymiotów rumaka. Zmierzone raz dokładnie długość jednego skoku i przekonano się, że przewyższała ona niesłychanie wszelkie najśmielsze i najprawdopodobniejsze przewidywania. Przy tym baron nie miał osobnego miana dla tego zwierzęcia, jakkolwiek inne konie z jego stadniny nosiły odpowiednie przezwania. Stajnia owego wierzchowca znajdowała się w pewnej odległości od innych i kiedy trzeba było podać mu paszę albo spełnić inne czynności, nikt oprócz jego pana nie śmiał tego się podjąć, lękając się nawet przestąpić ogrodzenie, które ją otaczało. Również zauważono, że trzem stajennym, którzy schwytały tego ogiera, gdy uciekał z pożaru w Berlifitzing, udało się wprawdzie okiełznać go przy pomocy arkanu i łańcuszkowego wędzidla, ale żaden nie umiał na pewno powiedzieć, czy podczas tej niebezpiecznej walki lub kiedykolwiek później zdołał który z nich istotnie położyć rękę na ciele zwierzęcia. Przejawy wyjątkowej zmyślności tego szlachetnego i ognistego rumaka nie mogły jednak dawać powodu do jakichś nierozsądnych przypuszczeń, ale zdarzały się wypadki, które narzucały się przemocą uwadze ludzi najobojętniejszych i najbardziej sceptycznych. Opowiadano, że gapiąca się ciżba usuwała się przed nim z trwogą, gdy w dziwnie dobitny i groźny sposób poczynał dawać znaki uderzając kopytem - lub że młody Metzengerstein bladł i cofał się z drzeniem przed nagłym i przenikliwym wyrazem jego myślących i jakby ludzkich oczu.

Śród orszaku barona nie było atoli nikogo, kto by wątpił o nadzwyczajnym przywiązaniu, jakim zapalał młody magnat dla świetnych zalet swego wierzchowca; jedynym może wyjątkiem był niepozorny i poczwarny paź, którego ułomność rzucała się wszystkim w oczy i którego zdanie nie miało najmniejszego znaczenia. Był on do tego stopnia bezczelny, iż utrzymywał (jeżeli w ogóle warto wspominać o jego conceptach), że jego pan nie wskakiwał nigdy na siodło bez niepojętego i niemal niedostrzegalnego drżenia i że za każdym razem, kiedy powracał ze swych zwyczajnych i długotrwałych wycieczek, paczył mu lica wyraz triumfującej złości.

Pewnej burzliwej nocy Metzengerstein, obudziwszy się z ciężkiego snu, wybiegł jak opętaniec ze swego pokoju i z gorączkowym pośpiechem okiełznawszy konia podążył pędem w ostępy leśne. Była to rzecz tak zwyczajna, iż nie zwróciła szczególnej uwagi, natomiast powrotu jego oczekiwali niektórzy domownicy z ogromnym niepokojem, gdyż w kilka godzin po jego wyjeździe wyniosłe i wspaniałe zabudowania pałacu Metzengersteinów były z trzaskiem rozpadać się aż do posad w gruz i perzynę pod wpływem gęstych, rozfalowanych odmetów nieuskromionego ognia.

Zanim się spostrzeżono, pożar poczynił już takie straszliwe postępy, że wszelkie wysiłki, zmierzające do ocalenia chociażby części budynków, okazały się daremne i osłupiali sąsiedzi tłoczyli się beczynnym dokoła, zdrewniali w milczeniu lub obojętnym podziwieniu. Ale wnet nowe i okropne zjawisko przykuło do siebie uwagę ciżby i okazało, że uczucia tłumy wzbierają nieporównanie silniej w obliczu ludzkiej zagłady aniżeli przy najbardziej przerażających widowiskach nieożywionej materii.

W długiej alei, wysadzonej starymi dębami, co wiodła z boru do głównej bramy pałacu Metzengersteinów, ukazał się rumak z rozczochranym jeźdźcem na siodle, pędzący z chyżością istnego demona burzy.

Znać było, że jeździec nie miał już władzy nad tym biegiem. Przerazenie na jego twarzy i kurczowy wysiłek całego ciała świadczyły o nadludzkich zapasach; ale zbolałe jego usta raz tylko drgnęły urywającym okrzykiem i zaciskały się coraz mocniej, nieme ze zgrozy. Po chwili tętent podków szczękłał twardo i donośnie śród szumu wichrów i ryku płomieni; w okamgnieniu przesadziwszy jednym susem rów forteczny i bramę wjazdową, wpadł rumak na chwiejące się schody pałacu i znikł wraz ze swym jeźdźcem w chaotycznym zamęcie ognia.

Natychmiast uśmierzyła się wściekłość burzy i z nagłą nastąpiła głucha cisza. Białe płomienie wciąż jeszcze spowijały budowlę na podobieństwo całunu i szerząc się śród spokojnego powietrza, luną niezmiernego jarzyły się światła, zaś obłok dymu, co zawisł ciężko nad zgłiszczami, przybrał najwyraźniej kształty olbrzymiego konia.

Opowieść jerozolimską

Intensos rigidam in frontem ascendere
canos passus erat...1

(Lukan: De Catone)

Spieszmy na wały - rzekł Abel-Fittim do Buzi ben Leviego i Symeona faryzeusza dziesiątego dnia miesiąca Thammuz, a trzech tysięcznego dziewięćsetnego czterdziestego pierwszego roku od stworzenia świata - podążajmy na wały przytykające do bramy Beniamina, co okalają miasto Dawida i górują nad obozowiskiem nieobrzezanych. Jest bowiem ostatnia godzina czwartej straży i słońce już wschodzi, a bałwochwalczy, czyniąc zadość obietnicy Pompejusza, winni nas oczekiwać z barankami ofiarnymi.

Symeon, Abel-Fittim i Buzi ben Levi byli gizbarim, to znaczy mieli polecone zbierać ofiary w świętym mieście Jeruzalem.

- Zaprawdę - odparł faryzeusz - pośpieszajmy, bowiem ta szczodroblliwość pogan jest rzeczą niezwykłą, a niesłowność znamionowała zawsze czcicieli Baala.

- Iż są niesłowni i zdradliwi, to pewne jak Pięcioksiąg - rzekł Buzi ben Levi - ale tylko względem ludu, którego Bogiem jest Adonai. Czyż kto kiedy słyszał, żeby Ammonici sprzeniewierzyli się swej własnej korzyści? Mnie się zdaje, że to niewielka szczodroblliwość użyć nam baranków na ołtarz Pański, a otrzymać w zamian po trzydziestu syklów srebrem od jagnięcia.

- Zapominasz atoli, ben Levi - odrzekł Abel-Fittim - iż Rzymianin, Pompejusz, który obecnie oblega bezbożnie gród Wszechmogącego, nie ma pewności, czy baranków, zakupionych na ofiarę, nie użyjemy raczej na pokrzepienie ciała niż na wspomnienie duszy.

- Klnę się na pięć pasm mej brody! - wrzasnął faryzeusz, który należał do sekty zwanej objęczaczami (tworzyli oni garstkę świątobliwców, których sposób objęcia i kaleczenia nóg o bruki był od dawna solą w oku i wyrzutem dla wyznawców mniej gorliwych, a istnym kamieniem zgorszenia dla przechodniów nie tak ubłogosławionych). - Klnę się na pięć pasm tej brody, której jako kapłanowi nie wolno mi golić! Po to żyliśmy, aby doczekać dnia, kiedy bałwochwalczy i bluźnierczy dorobkiewicz rzymski będzie mógł odmówić chuciom naszego ciała najświętszej i uświęconej strawy? Po to żyliśmy, aby doczekać dnia, kiedy...

- Nie pytajmy o powody Filistyna - przerwał Abel-Fittim - dziś bowiem korzystamy po raz pierwszy z jego chciwości czy jego szczodroblwości; śpieszmy raczej na wały, aby nie zabrakło ofiar na ołtarz, którego ognia nie zdołają zagasić dżdże niebieskie, zaś unoszących się zeń słupów dymu nie obalą żadne burze.

Część miasta, ku której podążyli cni gizbarim i która wzięła miano od twórcy swego, króla Dawida, stanowiła najwarowniejszą dzielnicę Jeruzolimy, ile że znajdowała się na wyniosłym i stromym wzgórzu Syjonu. Szeroki i głęboki rów obwodowy, wyżłobiony w litej skale, pozostawał pod ochroną potężnego muru, wzniesionego na wewnętrznym jego zboczu. Mur ten zdobiły w równych odstępach graniaste wieżycy z białego marmuru; najniższa z nich miała sześćdziesiąt, najwyższa sto dwadzieścia łokci wysokości. Wszelako w pobliżu bramy Beniamina mur ten nie dźwigał się już z samego skraju rowu. Mianowicie między dnem przekopu a podstawą muru wznosiła się prostopadła, skalista ściana wysokości dwustu pięćdziesięciu łokci, stanowiąca część skrzesanej góry Moriah. Toteż gdy Symeon i jego towarzysze weszli na szczyt wieży, zwanej Adoni-Bezek - najwyższej wśród wież okalających Jeruzolimę, skąd rokowano zazwyczaj z wojskami obleźniczymi - spoglądali na obóz nieprzyjacielski z wysokości przewyższającej o mnóstwo stóp piramidę Cheopsa, a o kilka stóp świątynię Belusa.

- Zaprawdę - westchnął faryzeusz spoglądając w zawrotną przepaść - nieobrzezani są liczni jako piaski na wybrzeżu morskim, jako szarańcza na pustyni. Dolina Królewska stała się doliną Edoma.

- A przecież - dorzucił ben Levi - nie zdołasz mi pokazać Filistyna - ani jednego, od Aleph do Tau, od pustyni aż po warownię, który by wydawał się większy od głoski Jod2!

- Hej, spuszczaćcie no kosz ze srebrnymi syklami! - zawołał w tej chwili rzymski żołnierz szorstkim, ochrypłym głosem, co zdał się dolatywać z podziemi Plutona. - Spuszczajcie kosz z tymi przeklętymi pieniędzmi, od których miana cierpną szczęki szlachetnego Rzymianina! Czy taka to wasza wdzięczność względem naszego wodza, Pompejusza, co, pełen łaskawości, raczył wysłuchać waszych bałwochwalczych natręctw? Bóg Febus, który jest bogiem prawdziwym, już od godziny widnieje w swym pojeździe - a czy nie mieliście być na murach o wschodzie słońca? Aedepol! Zali mniemacie, że my, zwycięzcy świata, nie mamy nic lepszego do roboty, jak wystawać pod ścianą każdej psiej budy i użerać się z pieskim plemieniem? Spuszczajcie zaraz! A baczcie, żeby to wasze śmiecie miało dobrą barwę i rzetelną wagę!

- El Elohim! - zabelkotał faryzeusz, gdy przykry głos centuriona szczekał jeszcze po wiszarach urwiska i zamierał hen, u progów świątyni. - El Elohim! Co to za bóg, ten Febus? Kogo wzywał bluźnierca? Buzi ben Levi, ty co znasz przykazania niewiernych i przebywałeś wśród tych, co kalają się terafimami3, o kim mówił ten bałwochwalcza? Czy o Nergalu? czy o Aszimachu? czy o Nibbasie? czy o Tharthaku? czy o Adramelechu? czy o Abamalechu? czy o Succoth-Benise? czy o Dagonie? czy o Belialu? czy o Baal-Perisie? czy o Baal-Zebubie?

- Zaprawdę, o żadnym z nich; ale bacz, żebyś nie przepuszczał zbyt spiesznie liny przez palce! Bo gdyby kosz miał uwieznąć na wiszarach onej skały, to dokonałaby się żalosna ztrata świętości bożego przybytku.

Przy pomocy nieco nieudolnie skleconego przyrządu ciężki kosz obsunął się wreszcie w ciżbę. Ze swej zawrotnej wyżyny widzieli, jak Rzymianie jęli bezładnie tłoczyć się dokoła, ale niezmierna wysokość i mgła nie pozwalały dokładnie przyjrzeć się ich czynnościom.

Upłynęło już pół godziny.

- Spóźnimy się - westchnął wreszcie faryzeusz spoglądając w otchłań - spóźnimy się! Wyzują nas z naszych urzędów Katholimowie.

- Nie będziemy już spożywać tłustości ziemi - zawtórował Abel-Fittim - nie namaścimy już bród swoich wonnymi olejkami, nie opaszemy już lędźwi swoich przednim płótnem świątyni.

- Rakka! - kłął ben Levi. - Rakka! Czyżby chcieli skraść nam pieniądze? Święty Mojżeszu! A może wazą sykle z namiotu, w którym mieści się Arka Przymierza?

- Wreszcie dali znak! - wrzasnął faryzeusz - wreszcie dali znak! Ciągnijże, Abel-Fittim! I ty ciągnij, Buzi ben Levi! Zaprawdę bowiem powiadam wam, że albo Filistyni przytrzymują jeszcze kosz, albo też Pan zmiękczył ich serca, iż włożyli do niego zwierzę dobrej wagi!

Jakoż gizbarim jęli ciągnąć, a brzemień ich kołysało się ciężko, unosząc się w górę wśród mgły coraz bardziej gęstniejącej.

- Przekleństwo mu! Przekleństwo! - wydarł się okrzyk z ust ben Leviego, gdy po godzinie jakiś przedmiot zamajaczył niewyraźnie u końca liny.

- Przekleństwo mu! Hańba! To tryk z gąszczów Engedi, kosmaty jak dolina Jozafata!
 - To jagnię, najpiękniejsze z trzody! - rzekł Abel-Fittim. - Poznaję je po beczeniu warg i niemowlęcym składzie jego członków. Oczy jego są piękniejsze od klejnotów Napierśnika, a mięso słodsze od miodów Hebronu.
 - To cielec wypasiony na łąkach Baszanu - rzekł faryzeusz - przedziwnie obeszli się z nami poganie! Zawiedzmy psalm!

Nieśmy dzięki, grając na dudach i na cymbałach! na harfach i na rogach! na cytrach i na trąbach!

Dopiero gdy kosz znajdował się o kilka stóp od gizbarim, doleciało ich głuche chrząkanie i ujrzeni wieprza niepośledniej wielkości.

- Naści, El Emanu! - zabelkotała z cicha trójka, odwracając oczy i puszczejąc kosz, z którego warchlak potoczył się w dół, między Filistyny. - El Emanu! Bóg z nami! To mięso niegodne nazwania!

Rękopis znaleziony w butelce

Qui n'a plus qu'un moment ? vivre

N'a plus rien ? dissimuler!

(Quinault: Atys)

O mym kraju ojczystym i o mej rodzinie niewiele mam do powiedzenia. Długie lata niedoli uczyniły mnie wygnańcem i nadwątlily więzy rodzinne. Dziedzicznym w mym rodzie dostatkom zawdzięczam niepospolite wykształcenie, zaś kontemplacyjne właściwości mego umysłu dały mi możliwość uporządkowania zasobów nagromadzonych przez poprzednią nader usilną pracę. Przede wszystkim znajdowałem wielkie upodobanie w dziełach moralistów niemieckich: nie powodował mną przy tym bynajmniej nierozważny podziw dla ich wymownych nedorzeczności, lecz łatwość, z jaką wrodzona ścisłość rozumowania pozwalała mi odsłaniać ich błędy. Niejednokrotnie zarzucano oschłość mojemu uzdolnieniu; brak wyobraźni poczytywano mi za winę, a pyrronizm moich poglądów zawsze jednal mi rozgłos. Jakoż istotnie silny pociąg do filozofii przyrody nadał - jak się obawiam - mojemu umysłowi mylne zabarwienie, nader rozpowszechnione w naszych czasach: rozumiem przez nie skłonność do naginania najbardziej nawet niezgodnych z tą nauką przejawów do jej zasad. Na ogół nie było chyba człowieka, który by okazywał mniej ode mnie chęci do porzucenia surowej dziedziny prawdy dla ignes fatui zabobonu. Uważałem za stosowne dać te wstępne wyjaśnienia, by nieprawdopodobna opowieść, do której przystępuję, nie wydała się raczej brednią niedowarzonej wyobraźni niż istotnym doświadczeniem umysłu, dla którego marzycielskie rojenia bywały zawsze czczym słowem i błahostką.

Po wielu latach, spędzonych na zagranicznych podróżach, roku 18. wsiałem na okręt w Batawii, mieście portowym, położonym na ludnej i bogatej wyspie Jawie, by zwiedzić archipelag Wysp Sundajskich. Wybrałem się jako zwykły podróżny - nie powodowany niczym innym okrom nerwowego niepokoju, co nawiedzał mnie jak zhora.

Nasz statek był pięknym okrętem pojemności około czterystu ton, okutym w miedź i zbudowanym w Bombaju z malabarskiego drzewa tekowego. Wiózł on ładunek bawełny i oliwy z wysp Lakadyw; mieliśmy też na pokładzie włókno kokosowe, cukier palmowy, topione masło bawole, orzechy kokosowe tudzież kilka skrzyń opium. Ładunek rozmieszczono nieudolnie, skutkiem czego statek się przechylał.

Wyruszyliśmy w drogę przy lekkim powiewie wiatru i przez wiele dni płynęliśmy wzdłuż wschodniego wybrzeża Jawy bez żadnych innych przygód, które by rozpraszały jednostajność naszej podróży, prócz spotykanych od czasu do czasu małych dwumasztowców z otaczającego nas archipelagu.

Pewnego wieczora, stojąc na tylnym pokładzie statku, zauważyłem w kierunku północno-zachodnim osobliwą, samotną chmurę. Zastanowiła mnie ona porównie swym zabarwieniem, jak i tym, że była pierwszą, jaką ujrzyliśmy od naszego wyjazdu z Batawii. Zwracałem na nią baczną uwagę aż do zachodu słońca; z tą chwilą rozpostarła się nagle ku wschodowi i zachodowi, opierścieniając widnokrąg wąskim pasmem wyziewów, co wyglądały niby wydłużona smuga płaskiego wybrzeża. Wkrótce potem uderzyła mnie mroczna czerwień księżycy tudzież niezwykle wygląd morza. Podlegało ono naglej zmianie; woda wydawała mi się przezroczystsza niż zazwyczaj. Rozróżniałem dokładnie dno, a jednak, zapuściwszy ółowiankę, przekonałem się, że głębia pod okrętem wynosi piętnaście sążni. Duszność powietrza przesyconego wężykowatymi oparami, podobnymi do tych, jakie się unoszą z rozpalonego żelaza, wzmogła się do niemożliwości. Gdy noc nastała, wiatr ucichł zupełnie i zaległa cisza, o jakiej nie ma się pojęcia. Płomień świecy gorejącej na pokładzie nie ukazywał najłżejszego drżenia, zaś długi włos, zawieszony pomiędzy wielkim i wskazującym palcem, nie poruszał się wcale. Kapitan oświadczył wprawdzie, iż zdaniem jego nic nie zapowiada niebezpieczeństwa, ale zmierzając wprost do brzegu kazał zwinąć żagle i zarzucić kotwicę. Nie ustawiono wcale straży, a załoga, składająca się przeważnie z Malajów, ułożyła się z wolna do spoczynku na pokładzie. Zszedłem na dół - pełen złowrogich przeczuć. Jakoż wszystkie oznaki utwierdzały mnie w przekonaniu, iż zbliża się samum. Zwierzyłem się z mych obaw kapitanowi; lecz nie zwrócił uwagi na moje słowa i nie raczył mi odpowiedzieć. Atoli niepokój nie pozwolił mi zasnąć i gdy nadeszła północ, udałem się na pokład. Kiedym stawał stopę na najwyższym stopniu schodków, przeraził mnie donośny rozhluk, jak gdyby spowodowany nagłym obrotem młyńskiego koła, lecz zanim zdążyłem zdać sobie z tego sprawę, zauważyłem, że statek drży w swych zrębach. W jednym okamgnieniu dziki odmęt piany obalił go na bok i, przewaliwszy się przez całą jego długość, zamiótł pokład od jednego końca do drugiego.

Potężny pęd wichru przyczynił się w znacznej mierze do ocalenia okrętu. Acz przepelniony wodą, jał on przecież, gdy maszty runęły w morze, dźwigać się powoli z odmętu i, ślaniając się czas jakiś pod niezmiernym naporem burzy, powrócił w końcu do równowagi.

Nie umiem powiedzieć, w jaki sposób uniknąłem zagłady. Ogłuszyło mnie uderzenie wody, kiedym zaś odzyskał przytomność, ujrzałem siebie w zakątku między poręczą a sterem. Z trudem podniosłem się na nogi i rozglądając się błędnie dokoła, przede wszystkim uderzony zostałem myślą, iż ulegliśmy rozbiciu; następnie przejęła mnie grozą urągająca najdzikszej wyobraźni, spiętrzona i wirująca pianą czeluść oceanu, co rozwarł dokoła nas swe otchłanie. Po chwili usłyszałem wołanie starego Szweda, który wsiał na statek, gdy okręt już opuszczał przystań. Odpowiedziałem mu głośnym okrzykiem, za którym podążył zaraz chwiejnym krokiem na tylny pokład, ku mnie. Przekonaliśmy się niezwłocznie, iż okrom nas dwóch nikt nie uszedł śmierci. Z pokładu wszystko zostało zmiecione w morze; kapitan i marynarze zginęli zapewne we śnie, gdyż kabiny zatopiła woda.

Pozbawieni pomocy, nie mogliśmy się spodziewać, by dało się cokolwiek uczynić dla zabezpieczenia statku; przy tym nasze wysiłki ubezwładniało z początku nieustanne oczekiwanie zgonu. Nasza lina kotwiczna zerwała się na szczęście, niby wążła nić, za pierwszym podmuchem huraganu, gdyż inaczej bylibyśmy poszli niezwłocznie na dno. Pędziliśmy z przerażającą chyżością, wyprzedzając nurt morski, a woda rozstępowała się nad nami w dostrzegalne okiem szczeliny. Wiązania tylnej części okrętu ucierpiały ogromnie i w ogóle statek nasz doznał znacznych uszkodzeń, lecz ku niewymownej naszej radości pompy pracowały należycie, a obciążenie nie uległo nazbyt dużej zmianie. Przewiała już nad nami nieuskromiona wściekłość powietrznego wiru, zaś silny wicher nie groził nam znaczniejszym niebezpieczeństwem; natomiast z lękiem oczekiwaliśmy chwili, gdy zupełnie przycichnie, słusznie bowiem rozumowaliśmy, iż nasz skołatany statek zginie niechybnie w strasliwym odmęcie, który wówczas zakipi. Jednakże bynajmniej nie zanosilo się na to, by te nader uzasadnione przewidywania miały wkrótce się sprawdzić. Przez długich pięć dni i nocy - kiedy jedynym naszym pożywieniem była odrobina cukru palmowego, wydobywana z niesłychanym trudem spod przedniego pokładu - kadłub naszego statku mknął z chyżością urągającą wszelkim obliczeniom, party nagłymi podmuchami wiatru, które wprawdzie nie dorównywały pierwszemu rozpetaniu samumu, lecz mimo to były okropniejsze od wszystkich burz, jakich dotychczas zdarzyło mi się doświadczyć. Przez pierwsze cztery dni płynęliśmy z nieznacznymi odchyleniami w kierunku południowo-wschodnim i południowym; wedle wszelkiego prawdopodobieństwa podążaliśmy wzdłuż wybrzeża Nowej Holandii. Piątego dnia zaczęło się przejmujące zimno, jakkolwiek wiatr obrócił się nagle na północ. Wschodzące słońce zamajaczyło nikłą, żółtą poświatą i zawisło nisko nad widnokregiem, nie rozszczepiając pełni swych blasków. Chmur nie było widać, mimo to wicher wzmagął się i szalał z zacieklą furią. O ile mogliśmy wywnioskować, zbliżało się właśnie południe, gdy zastanowił nas ponownie wygląd słońca. Nie jaśniało właściwym sobie światłem, lecz jarzyło się mętnym przyćmionym żarem, nie załamując się wcale, jak gdyby wszystkie jego promienie uległy polaryzacji. Gdy już miało skryć się we wzburzonym morzu, płomienny jego ośrodek znikł nagle, jak gdyby pośpiesznie ugaszony przez jakąś niepojętą siłę. Pozostała zeń tylko mgława, srebrzysta obręcz, co wnet stoczyła się również w bezdeń oceanu.

Daremnie oczekiwaliśmy szóstego dnia: dla mnie on jeszcze nie zaświtał - dla Szweda nie zaświta już nigdy. Upowila nas odtąd taka nieprzebita ciemność, iż nie rozróżniliśmy przedmiotów na dwadzieścia kroków od okrętu. Ogarnęła nas wiekiusta noc, nie złagodzona nawet skrzykiem fosforyzującego morza, do którego nawykliśmy pod zwrotnikiem. Zauważyliśmy również, że jakkolwiek burza srożyła się dalej z nielabnącą zacieklnością, niepodobna było mimo to dostrzec ani śladu piany lub wzburzonej fali, która nie opuszczała nas dotychczas. Wszystko dokoła było grozą, nieprzeniknionym mrokiem i czarną, rozemdloną pustynią z hebanu. Zabobonny lęk jał nurtować w umyśle starego Szweda, a moja dusza pogrążyła się w niemym podziwieniu. Przestaliśmy najzupełniej zajmować się statkiem, jakby rzeczą zgoła niepotrzebną, i rozłożywszy się pod zdruzgotanym trzonem przedniego masztu, spoglądaliśmy posepnie w bezmiar oceanu. Nie mogliśmy żadną miarą oznaczyć czasu ni zdać sobie sprawy ze swego położenia. Bądź co bądź nie było nam tajne, iż dotarliśmy na południe znacznie dalej niż wszyscy nasi poprzednicy, i dziwiliśmy się niepomierne, że nie napotykamy zwykłych w tych stronach ławic lodowych. Tymczasem każde okamgnienie groziło nam zagładą, każda potwornie wzdęta fala uderzała, by nas pochłoniąć. Wrzenie oceanu przewyższyło wszelkie możliwości, jakie kiedykolwiek rola moja wyobraźnia, i tylko cudem unikaliśmy co chwila niezwłocznej zguby. Mój towarzysz mówił o lekkości naszego ładunku i zwracał mą uwagę na nieporównane zalety statku; lecz ja nie mogłem podzielać jego otuchy i czując zupełną beznadziejność samej nadziei, przygotowywałem się posepnie na śmierć, która, moim zdaniem, musiała niezawodnie nastąpić w przeciągu godziny, zwłaszcza że z każdym węzłem odbytej przez statek drogi czarna, złowieszczą toń morską kipiała coraz przeraźliwiej. Chwilami zapierało nam oddech na wysokościach niedościgłych dla albatrosa, to znów z zawrotną chyżością spadaliśmy w jakieś piekło wodne, gdzie powietrze gęstniało i żaden szmer nie mącił spokoju morskich dziwotworów.

Znajdowaliśmy się właśnie na dnie takiej otchłani, gdy przenikliwy głos mego towarzysza rozległ się złowróźnie wśród cieniów nocy.

- Patrz! Patrz! - wołał krzycząc mi do ucha. - Wszchemocny Boże! Patrz, patrz!

Gdy to mówił, dostrzegłem nikłą, przyćmioną smugę czerwonej jasności, co ściekała po zboczach niezmiernego zagłębia, w którym przebywaliśmy, i rzucała swą drgającą poświatę na nasz pokład. Podniósłszy oczy ujrzałem zjawę, co ścięła krew w mych żyłach. Na przerażającej wysokości, wprost nad nami i tuż na samym skraju przepaścistego stoku, kołysał się gigantyczny korab około czterech tysięcy ton pojemności. Acz zawisł na szczycie fali stokroć odeń wyższej, mimo to zdał się większym od największego okrętu liniowego lub wschodnio-indyjskiego żaglowca. Ogromny jego kadłub powlekał nalot głębokiej czerni, nie złagodzonej nigdzie rzeźbami zdobiaczami zazwyczaj okręty. Z otwartych strzelnic wзираł pojedynczy rząd spizowych dział, odbijających w swej lśniącej powierzchni blask nieprzeliczonych latarń bojowych, co kołysały się z wichrem na masztach. Największą wszakże grozą i podziwem przejęło nas to, iż pod parciem rozwiniętych żagli niejako rzucał się w paszczę tego nadprzyrodzonego morza i nieokiełzanego huraganu. Gdy się nam ukazał, widzieliśmy zrazu tylko przód jego, dźwigający się powoli z ciemni strasliwego kipiątka, który go otaczał. Przez jedno mgnienie niewysłowionego przerażenia stał na zawrotnej wyżynie, jak gdyby w zadumie nad własną wyniosłością, po czym drgnął, zachwiał się i runął w głąb.

Tejże chwili owładnęła mną jakaś nagła przytomność umysłu. Zatoczyłem się wstecz, aż na sam kraj tylnego pokładu i bez drżenia oczekiwałem nieuniknionej już zguby. Nasz statek nie mógł oprzeć się dłużej żywiołowi i jał tonąć, całym swym przodem pogrążając się w morzu. Cios lecącego ogromu ugodził go zatem w tę część wiązania, która znajdowała się już pod wodą, zaś koniecznym następstwem zderzenia było to, iż pchnięty z nieodpartym rozmachem w górę, znalazłem się na pokładzie obcego okrętu.

Gdy upadł, przystanął nagle i wykręcił się na miejscu; być może, iż skutkiem zamieszania, jakie stąd powstało, uniknąłem baczności załogi. Nie postrzeżony przedostałem się z łatwością do głównego luku, który wówczas był uchylony, i niezwłocznie znalazłem kryjówkę pod pokładem. Nie umiałbym powiedzieć, dlaczego tak postąpiłem. Nieokreślone uczucie lęku, jakiego doznałem na widok żeglarzy sterujących okrętem, zniewoliło mnie prawdopodobnie do ukrywania się przed nimi. Nie chciałem dowierzać ludziom, którzy na pierwsze, przelotne wejrzenie wydali mi się dziwnie obcy, nasuwając zarazem mnóstwo podejrzeń i wątpliwości. I to było przyczyną, dla której obmyśliłem sobie kryjówkę pod pokładem. Uczyniłem to w ten sposób, iż usunąłem część pomostu i znalazłem wygodne pomieszczenie wśród olbrzymich wiązań okrętowych.

Ukończyłem właśnie mą pracę, gdy w głębi rozległo się stąpanie, które kazało mi niezwłocznie skorzystać ze schronienia. Jakiś człowiek przesunął się obok mej kryjówki słabym i niepewnym krokiem. Nie mogłem dojrzeć jego

twarży, lecz zdążyłem zdać sobie sprawę z ogólnego jego wyglądu. Zdradzał oznaki niemocy i sędziwego wieku. Kolana mu drżały, a cała postać ugięła się pod brzemieniem lat. Niskim, załamującym się głosem mruczał do siebie jakieś słowa w niezrozumiałym dla mnie języku, szperając w kącie śród mnóstwa dziwnie wyglądających narzędzi i zniszczonych map żeglarskich. W zachowaniu jego przejawiało się niezwykle skojarzenie zgrzyliwości wtórnego dzieciństwa z uroczystym dostojnością jakiegoś boga. Wreszcie wyszedł na pokład i znikł mi z oczu na zawsze.

Wtargnęło do mej duszy uczucie, dla którego nie znam miana - doznaję wrażeń nie dopuszczających zgłębić analizy, których niepodobna zestawić z doświadczeniami lat minionych i do których - jak się obawiam - nawet przyszłość nie da mi klucza. Dla umysłu takiego jak mój to ostatnie przeświadczenie jest katuszą. Nie pogodzę się nigdy - wiem, że się nie pogodzę - z istotą mych domysłów. Nie jest to dziwne, że te domysły nie dają się określić, gdyż biorą początek ze źródeł tak bardzo nowych. Nowym odczuciem, nową treścią wzbogaciła się dusza moja.

To już tak dawno, gdy po raz pierwszy wstąpił na pokład tego upiornego korabia, i promienie mego przeznaczenia poczynają - jak sądzę - skupiać się w jedno ognisko. Nie pojmuję tych ludzi! Pograżeni w zadumach, których istoty dociec nie mogę, przechodzą mimo, nie zwracając na mnie uwagi. Popeliłem istną niedorzeczność ukrywając się przed nimi, gdyż ci ludzie nie chcą mnie widzieć. Właśnie przed chwilą przeszedłem tuż przed oczyma starszego oficera, zaś niedawno znajdowałem się w prywatnej kabinie kapitana, skąd zabrałem przybory, którymi obecnie piszę i pisałem poprzednio. Zamierzam ten dziennik uzupełniać od czasu do czasu. Być może, iż nie znajdę sposobności, by przekazać go światu, lecz mimo to nie zaniedbam starań. W ostatniej chwili włożę rękopis do butelki i rzucę ją w morze.

Zdarzył się wypadek, który moim rozmyślaniom nowego dostarczył wątku. Czyż takie rzeczy bywają dziełem nieujętego przypadku? Wyszedłem na pokład i nie zwracając niczyjej uwagi, rzuciłem się na stos zużytych lin i starych żagli, znajdujących się na dnie szalupy. Pograżony w zadumie nad niezwykłością mego losu, bezwiednie przesuwalem szczytką od mazi po skrajach starannie złożonego, małego żagla, co leżał obok mnie na beczulce. I oto teraz ten mały żagiel powiewa nad statkiem, a nieumyślne dotknięcia szczytki wypisały na nim słowo: ODKRYCIE.

Poczyniłem niedawno mnóstwo spostrzeżeń nad budową statku. Acz dobrze uzbrojony, nie jest on wszakże - jak sądzę - okrętem wojennym. Urządzenie jego, konstrukcja tudzież wszystkie inne właściwości wykluczają przypuszczenia tego rodzaju. Z łatwością zdałem sobie sprawy, czym nie jest; obawiam się natomiast, iż wprost niepodobna będzie mi orzec, czym jest. Sam nie wiem, jak to się dzieje, iż badając dziwny jego model i osobliwy wygląd rej, ogrom jego kształtów i nadmierny zasób żagli, surową prostotę jego dzioba i przestarzałą budowę części tylnej - ulegam złudzeniu, jak gdyby w mym mózgu przeblyskiwały wrażenia rzeczy kiedyś już znanych i jak gdyby te niejasne mgławice wspomnień zlewały się z niedocieczonymi majaczeniami o przedwiecznych, cudzoziemskich kronikach i wiekach dawno ubiegłych.

Oglądałem wiązania okrętu. Zbudowane są z materiału, którego nie znam. Drzewo to posiada pewną szczególniejszą właściwość, nasuwającą mi domysł, iż nie nadaje się do celu, do którego go użyto. Mam na myśli nadzwyczajną jego porowatość, niezależną bynajmniej od tocących je czerwi, co bywa następstwem żeglugi po tych morzach, i odmienną od spróchnienia spowodowanego przez czas. Jakkolwiek me spostrzeżenie wyda się może nieco dziwaczne, atoli sądzę, iż drzewo to posiadałoby wszystkie cechy hiszpańskiego dębu, o ile by dało się rozmiękczyć spoiwość tego dębu w jakiś nienaturalny sposób.

Czytając powyższe zdanie, odnajduję w pamięci zastanawiające powiedzenie starego, obytego z nawałnicami żeglarza holenderskiego. „Jest to tak samo prawdą - zwykł był mawiać, ilekroć powątpiewano o jego prawdomówności - jak prawdą jest to, że gdziekolwiek okręt przybiera na objętości niby żywe ciało marynarza, tam wszędzie bywa morze”.

Przed godziną odważyłem się wejść między załogę okrętową. Nie zwracali na mnie wcale uwagi i jakkolwiek stałem w samym środku ich gromady, zdawali się najzupełniej nie wiedzieć o mojej obecności. Podobnie jak u ich towarzysza, którego widziałem pod pokładem, widnieją u nich oznaki bardzo podeszłego wieku. Kolana ich drżały z niemocy; grzbiety wyginały się w pałak pod brzemieniem starczości; pomarszczona skóra spierzchnęła na wietrze; głos mieli niski, drżący i przygasły, oczy zachodziły szklawem wieku, a siwe włosy mierzwiły się straszliwie w podmuchach burzy. Dokoła nich leżały porozrzucane po całym pokładzie przyrządy matematyczne, dziwnie niezwyklej i przedawnionej konstrukcji.

Wspomniałem już o rozwinięciu małego żagla. Od tej chwili korab zdany został zupełnie na wolę wichrów; party wszystkimi strzypami swych żagli, co go okrywały od gałek masztowych po najniższe reje, podążał dalej swą straszliwą drogą wprost na południe, pograżając co chwila ramiona rej, krzyżujących się u szczytu bocianiego gniazda, w najokropniejszym piekle wodnym, jakie może uroić wyobraźnia ludzka. Opuściłem pokład, gdzie utrzymać się na nogach było istnym niepodobieństwem, acz załoga nie doznawała widocznie tej niedogodności. Było to dla mnie dziwem nad dziwami, iż ogrom naszego okrętu nie przepadł dotychczas w otchłaniach raz na zawsze. Snadź potępieniem naszym jest ważyć się nieustannie na skraju wieczności, co nas nigdy nie ma pochłonąć. Z niestychanych gór wodnych, jakich dotychczas nie zdarzyło mi się jeszcze widzieć, ześlizgujemy się z lekkością śmigłej mewy morskiej; zaś olbrzymie fale wznoszą nad nami swe lby niby demony głębi, ale demony, którym wolno odgrażać się, lecz niszczyć nie wolno. Nasuwa mi się domysł, iż te nieustanne nasze powodzenia trzeba złożyć na karb jednej tylko przyczyny naturalnej, która może wywoływać takie następstwa. Oto przypuszczam, iż okręt nasz znajduje się na wodzy jakiegoś silnego wiru lub potężnego prądu wodnego.

Widziałem kapitana oko w oko, we własnej jego kajucie - lecz, jak przewidziałem, nie zwrócił na mnie uwagi. W wyglądzie jego, dla oczu przygodnego widza, nie ma żadnego rysu, który by go czynił czymś nieczłowieczym, a jednak patrząc nań doznawałem uczucia nieodpartej czci i grozy, wespół z wrażeniem cudu. Jest mniej więcej mojego wzrostu: to znaczy ma około pięciu stóp i ośmiu cali. Budowę ciała ma kształtną i silną, nie wyróżniającą się niczym poza doskonałym umiarem. Atoli cała szczególność wyrazu przejawia się w obliczu: bije zeń takie mocne, wspaniałe, takie wstrząsające świadectwo pełnej starości, że w duszy mojej budzi się jakiś odruch - drgnienie niewysłowionego uczucia. Jego czoło, acz niezbyt zbrudzone, zda się dźwigać na sobie znamiona miliardów lat. Siwe jego włosy są zabytkami przeszłości, zaś bardziej od nich siwe oczy - Sybillami przyszłości. Posadzka kajuty była zarzucona dziwnymi księgami o żelaznych klamrach, spróchniałymi przyrządami naukowymi i starożytnymi mapami, dawno już zapomnianymi. Z głową wspartą na ręku wpatrywał się płomiennym, niespokojnym wzrokiem w jakiś dokument, który snadź był rozkazem, gdyż - jak

zauważyłem - nosił u dołu podpis królewski. Podobnie jak ów pierwszy marynarz, którego widziałem pod pokładem, szeptał do siebie niskim, zgnębnym głosem jakieś wyrazy w obcym języku; i jakkolwiek ocierał się niemal o mnie, głos jego dochodził mych uszu niby z milowej odległości.

Korab ten wraz ze wszystkim, co na nim się znajduje, jest przepojony duchem prawieków. Załoga snuje się po nim na kształt widziadeł zamarłych stuleci. W ich oczach tli się jakaś myśl, gorzka i niespokojna. Kiedy ich postacie zastępują mi drogę w upiornym blasku latarni bojowych, doznaję uczuć, jakich przedtem nie doznawałem nigdy, acz przez całe życie lubowałem się starożytnością i pławiłem się w cieniu strąconych kolumn Balbeku, Tadmoru i Persepolis, zanim moja własna dusza nie rozspalała się również w perzynę.

Rozglądając się dokoła siebie, czuję się zawstydzony dawniejszym lękiem. Skoro drzeniem przejmowała mnie burza, co była dotąd naszą towarzyszką, to czemuż nie truchleję patrząc na to zmaganie się wichru z oceanem, którego niepodobna już określić takimi spowszedniałymi i bezbarwnymi słowy, jak tornado i samum? W bezpośrednim pobliżu okrętu wszystko jest czernią wiekuiestej nocy i chaosem niezapinionych odmętów; lecz o jaką milę dalej po obu stronach majaczą w niewyraźnych odstępach olbrzymie lodozwały, co wystrzelają w pustkowie niebios na kształt zawór wszechświata.

Jak już przypuszczałem, korab nasz jest snadź ponoszony przez prąd - jeśli tym mianem można nazwać kipiącą toń, co rycząc i wyjąc wśród bieli lodowców grzmi, tocząc się na południe z chyżością lecącego w bezdeń wodospadu.

Groza mych wrażeń nie jest już dostępna ludzkiemu pojmowaniu; jednakże chęć zbadania tajników tych straszliwych krain góruje u mnie nawet nad rozpaczą, i godzi mnie z upiornym widmem śmierci. To pewna, iż zdążamy ku jakiemuś olśniewającemu poznaniu - ku jakiejś nieodgadnionej tajni, którą osiąga się śmiercią. Być może, iż prąd ten niesie nas wprost do południowego bieguna. Trzeba przyznać, iż za tym przypuszczeniem, pozornie tak niedorzecznym, przemawiają wszystkie prawdopodobieństwa.

Załoga krąży po pokładzie drżącym i niepewnym krokiem; wszelako na jej licach widnieje raczej ożywienie nadziei niż zamarłość rozpacz.

Wicher wciąż jeszcze dmie od tyłu, zaś korab nasz, okryty bezlikiem żagli, chwilami wprost wzlataje ponad toń morską. O, grozo nieogarniona! - lody rozstępują się w prawo i w lewo i jakiś zawrotny wir porywa nas w swe niezmierzone, współrodkowe kręgi, taczając w zakolu olbrzymiego amfiteatru, którego ściany zamierzchają u szczytu w ciemności i oddali. Czas mych rozmyślań nad własną dolą już policzony! Kręgi zwężają się nagle - staczamy się obłądnie w gardziel wiru - wśród wycia burzy i gromowych rozhuków ryczącego oceanu korab nasz wzdryga się - o, Boże! - i zapada w bezdno!

PRZYPISEK: Rękopis znaleziony w butelce ogłosiłem po raz pierwszy drukiem w 1831 r.; dopiero znacznie później zapoznałem się z mapami Mercatora, na których Ocean czworgiem gardzieli wlewa się do (północnej) Otchłani Polarnej, skąd przedostaje się do wnętrza ziemi, zaś biegun przedstawia się jako czarna skała, dźwigająca się do niesłychanej wysokości (E. A. P.).

Nieporównana przygoda niejakiego Hansa Pfaalla
 Powściągam serce, którego szął
 Niuskromiony rwie się;
 Pała grot mój - powietrzny koń
 Gubi się ze mną w bezkresie.
 (Pieśń Toma O'Bedlam)

Wedle najświeższych wiadomości z Rotterdamu, miasto to ma znajdować się w osobliwym stanie podniecenia filozoficznego. Jakoż zaszły tam zdarzenia tak dalece nieoczekiwane - tak zupełnie nowe - tak bezwzględnie niezgodne z utartymi poglądami, iż bynajmniej nie wątpię, że niebawem zakipi cała Europa, że wszelka wiedza fizyczna popadnie w zamęt, zaś rozum pocznie wodzić się za łeb z astronomią.

Wiadomo, iż dnia . . . roku . . . (nie jestem pewien daty) nieprzejrzana ciżba ludzka dla nie znanych bliżej powodów zaległa wielki plac Gieldowy dostatniego miasta Rotterdamu. Dzień, jak na tę porę roku, był niezwykle ciepły - nie odczuwało się niemal najmniejszego powiewu, zaś tłumowi bynajmniej nie sprawiało to przykrości, iż od czasu do czasu skrapiał go łagodnie przelotny deszczyk, co mżył z wielkich, białych kłębow chmur rozsianych gęsto w błękitnym przestworzu niebios. Wszelako około południa lekkie, lecz widoczne poruszenie dało się zauważyć wśród ciżby; dało się słyszeć mlaśnięcie dziesięciu tysięcy języków i wnet potem dziesięć tysięcy twarzy zwróciło się ku niebu, dziesięć tysięcy fajek ześliznęło się równocześnie z kątów dziesięciu tysięcy ust i skroś całego miasta Rotterdamu oraz wszystkich jego okolic przeciągle, głośno i wściekle zahuczał okrzyk, który dałby się przyrównać tylko do poryku Niagary.

Przyczyna tego zgiełku stała się wkrótce dostatecznie widoczna. Spoza ogromnego obłoku, co tworzył cząstkę jednego z owych już wspomnianych a wyraziście się uwydatniających kłębow chmur, jał wynurzać się na wolną przestrzeń czystego błękitu jakiś przedmiot niezwykle, nieokreślony, acz bezsprzecznie materialny, o tak cudacznym kształcie i tak dziwacznym sklecony, iż wśród gromady statecznych obywateli, którzy gapili się nań z otwartymi ustami, nikt nie mógł go pojąć, a tym mniej dostatecznie mu się nadziwić. Co to mogło być? Do wszystkich diabłów rotterdamskich, co to miało zwiastować? Nikt nic nie wiedział; nikt nie miał wyobrażenia; nikt - nawet sam burmistrz, Mynheer Superbus van Underduk, nie miał najlżejszych wskazań do rozwikłania tej zagadki. Ponieważ nie pozostawało nic innego, przeto wszyscy obywatele, jak jeden mąż, umieścili z powrotem swe fajki w kątach ust i nie spuszczać oka z owego zjawiska, zakopcili, zatrzymali się na chwilę, kiwnęli się w jedną stronę i chrząknęli znacząco - po czym kiwnęli się w drugą stronę, chrząknęli, zatrzymali się na chwilę i w końcu... zakopcili znowu.

Tymczasem coraz niżej i niżej zlatywał ku sławetnemu miastu przedmiot tej nadmiernej ciekawości i przyczyna tego nadmiernego kopcenia. W kilka minut zniżył się już tak bardzo, iż było można dokładnie go obejrzeć. Prawdopodobnie był to - nie! to był na pewno rodzaj balonu; nie ulega jednak wątpliwości, iż takiego balonu nikt dotychczas nie widział w Rotterdamie. Bo czy słyszał kto kiedy o balonie skleconym w całości z brudnego papieru gazetowego? W Holandii nikt, na pewno! A jednak w tej chwili, tuż pod samym nosem ludu, a raczej nieco powyżej jego

nosa, ukazała się rzecz takowa, utworzona właśnie z materiału, o którym poprzednio nikt nie myślał, aby mógł służyć do podobnego celu. Była to niesłychana obelga, wyrządzona zdrowemu rozsądkowi obywatelstwa rotterdamkiego. Zaś kształt owego zjawiska był jeszcze zdroźniejszy, gdyż przedstawiał po prostu olbrzymią czapę błażeńską, zwróconą dnem ku dołowi. Podobieństwo to nie umniejszyło się bynajmniej, gdy po bliższym zbadaniu zobaczyła ciżba, iż od tego dna zwiesza się potężny kutas, zaś górny brzeg czyli podstawę stożka wieńczy krąg drobnych instrumencików, niby dzwoneczków owczych, co pobrzękiwały nieustannie na nutę Betty Martin. Lecz była rzecz jeszcze gorsza. Oto od szczytu owej fantastycznej maszyny zwisał na błękitnych wstęgach podobny do łodzi, olbrzymi, szary kapelusz bobrowy, o niesłychanie szerokich kresach, uwypuklony na kształt półkuli opasanej czarną wstążką ze srebrną klamrą. Bądź co bądź było rzeczą zastanawiającą, iż wielu obywateli rotterdamkich zaklinało się, że ten sam kapelusz niejednokrotnie widywali już poprzednio; jakoż oczy zebranego tłumu przyglądały się mu niby czemuś, co znały już dobrze i od dawna, zaś wrow Grettel Pfaall, ujrawszy go, wydała okrzyk, pełen radosnej niespodzianki, i oświadczyła, że jest to na pewno kapelusz jej lubego małżonka. Należało tedy wziąć pod uwagę tę okoliczność, iż ów Pfaall znikł był z Rotterdamu wraz z trzema towarzyszami w nagły i niepojęty sposób, że stało się to mniej więcej przed pięciu laty i że do chwili, kiedy zaszły opowiedziane poprzednio wypadki, wszelkie starania, by zasięgnąć o nich wiadomości, spełzły na niczym. Co prawda, w odległej, wschodniej połaci miasta udało się niedawno odszukać trochę kości, które wyglądały jak ludzkie i były pomieszane z jakimiś dziwnymi rupieciami; byli też ludzie, którzy w swych przypuszczeniach posuwali się tak daleko, iż mniemali, jakoby w owym miejscu dokonano ohydneho morderstwa i że to właśnie Hans Pfaall wraz z towarzyszami padł jego ofiarą. Ale wróćmy do rzeczy.

Balon (gdyż, bez wątpienia, nie było to nic innego) znajdował się obecnie na wysokości stu stóp ponad ziemią i pozwalał dokładnie przyrzeć się osobie, która w nim przebywała. Zaprawdę, był to osobnik nadzwyczaj osobliwy. Nie mógł mieć więcej niż dwie stopy wysokości. Wszelako nawet przy tym wzroście, aczkolwiek niepokążnym, mógłby był utracić równowagę i wypaść ze swego małego pojazdu, gdyby nie zapobiegała temu kolista listewka, sięgająca mu do piersi i przytwierdzona do lin balonu. Ciało tego człowieka było nadmiernie przysadziste i nadawało całej jego postaci wygląd wprost nieprawdopodobnej kulistości. Nóg jego, oczywiście, nie było widać. Ręce były potwornie wielkie. Siwe włosy miał splecione w harcapy. Nos był niesłychanie długi, haczykowaty i zaczerwieniony; oczy wylupiate, ogniste i świdrujące; broda i policzki, acz zbrzdżzone wiekiem, były pełne, pucółowate i mięsiste; natomiast niczego podobnego do uszu niepodobna było dostrzec po obu stronach jego głowy. Ten pokraczny dżentelmen miał na sobie surdut z błękitnej jak niebo satyny oraz obcisłe pantalone, odpowiednio dobrane i zaciśnięte poniżej kolan srebrnymi sprzączkami. Kamizelka była z jakiejś jaskrawożółtej tkaniny; na głowie miał włożoną na bakier czapeczkę z białej kitajki; wreszcie dla dopełnienia tego stroju czerwona jak krew chusta jedwabna owijała jego szyję i związana w fantastyczny węzeł wprost niesłychanych rozmiarów, z pretensjonalną gracją opadała mu na piersi.

Opuściwszy się, jak już nadmieniono, do wysokości około stu stóp ponad powierzchnię ziemi, karłowaty staruszek jał nagle drzeć na całym ciełe i bynajmniej nie okazywał ochoty wylądowania na terra firma. Wyrzucił przeto pewną ilość piasku z płóciennego worka, który podźwignął z wielką trudnością, i zatrzymał się na chwilę nieruchomo. Po czym pośpiesznie i niespokojnie jał wyciągać z bocznej kieszeni swego surduta wielki portfel z safianowej skóry. Zważył go podejrzliwie w dłoni i spojrział nań z najwyższym zdumieniem, jak gdyby zdziwiony jego ciężarem. W końcu otworzył go i wyjąwszy zeń ogromny list, opieczętowany purpurowym woskiem i związany starannie sznurkiem takiejże barwy, rzucił go tuż pod stopy burmistrza Superbusa van Underduka. Jego ekscelencja pochylił się, by pismo to podnieść. Wszelako aeronauta, wciąż mocno zaniepokojony i nie mając widocznie nic więcej do czynienia w Rotterdamie, jał teje samej chwili czynić spieszne przygotowania do odlotu; ponieważ zaś potrzeba było pozbyć się części balastu, by balon mógł wznieść się znowu, wyrzucił kolejno pół tuzina worków, nie zadając sobie trudu ich opróżnienia. Nieszczęsny przypadek chciał, iż worki te spadały jeden po drugim na grzbiet burmistrza i przygięły go do ziemi aż sześć razy w obecności wszystkich mieszkańców Rotterdamu. Nie należy jednakowoż przypuszczać, jakoby dostojny Underduk pozwolił, aby nikczemny starowina znieważał go bezkarnie. Wręcz przeciwnie, jak utrzymywano z całą stanowczością, na każdy z owych sześciu ciosów odpowiedział nie mniej niż sześć razy stanowczymi i namiętymi zakopceniami, co wybuchnęły z jego fajki, której przez cały czas i ze wszech sił nie wypuszczał z ust i - da Bóg! - nie wypuści aż do samej śmierci.

Tymczasem balon frunął jak skowronek i unosząc się nad miastem, znikł w końcu najspokojniej za obłokiem podobnym jota w jota do owego, z którego w tak osobliwy sposób przed chwilą się wynurzył; pierzchł kędyś na zawsze sprzed osłupiałych oczu przezacnych obywateli rotterdamkich. Cała uwaga skupiła się tedy na owym liście, którego doręczenie oraz tegoż następstwa odbiły się tak ujemnie zarówno na osobie, jak na osobistej godności jego ekscelencji van Underduka. Mimo wszystko dostojnik ten, ryjąc nosem w ziemię, nie postradał przytomności umysłu i nie zaniedbał schować listu, który, jak się okazało, dostał się do rąk najwłaściwszych, gdyż był zaadresowany do niego samego oraz do profesora Rubaduba, jako do urzędownie powołanego prezydenta i wiceprezydenta Rotterdamkiego Kolegium Astronomicznego. Dostojnicy ci utworzyli list natychmiast i znaleźli w nim następujące, nadzwyczaj osobliwe i, zaprawdę, nader poważne oświadczenie:

Do Ich Ekscelencji van Underduka i Rubaduba, Prezydenta i Wiceprezydenta Państwowego Kolegium Astronomicznego w mieście Rotterdamie.

Wasze Ekscelencje przypominają sobie zapewne skromnego rzemieślnika, niejakiego Hansa Pfaalla, który był z zawodu łataczem miechów i mniej więcej przed pięciu laty znikł z Rotterdamu wraz z trzema towarzyszami w sposób rzekomo niepojęty. Otóż za pozwoleniem Waszych Ekscelencji, ja, który piszę te słowa, jestem właśnie owym Hansem Pfaallem we własnej osobie. Wiadomo jest wielu moim współobywatelom, iż przez czterdzieści lat zamieszkiwałem mały domek ceglany, położony u wylotu uliczki zwanej Sauerkraut, i że przebywałem tani do chwili mojego zniknięcia. Przodkowie moi mieszkali tam również od niepamiętnych czasów i podobnie jak ja stale zajmowali się szanownym i nader zyskownym zawodem łatania miechów; gdyż, mówiąc prawdę, aż do ostatnich czasów, kiedy lud dostał bzika na punkcie polityki, porządny obywatel rotterdamki nie mógł ani wymarzyć, ani upatrzeć sobie szlachetniejszego rzemiosła niż to, które stało się moim udziałem. Kredyt nie zawodził, zamówień miałem w bród, nie zbywało ani na pieniądzech, ani na dobrej woli. Wszelako, jak już się rzekło, odczuliśmy wnet następstwa wolności, przewlekłej gadaniny, radykalizmu i tym podobnych rzeczy. Ludzie, którzy bywali poprzednio najlepszymi klientami na świecie, nie mieli teraz czasu myśleć o nas.

Znajdowali go zaledwie na to, by rozczytywać się o rewolucjach lub śledzić rozwój intelektualny i ducha czasu. Gdy trzeba było rozniecić ogień, używali do tego dzienników; w miarę zaś jak rząd stawał się coraz węższy, nabierałem pewności, iż skóra i żelazo zyskają w odpowiednim stosunku na trwałości; jakoż w krótkim czasie nie było w całym Rotterdamie ani jednej pary miechów, które by potrzebowały łąty albo domagały się pomocy młota. Ten stan rzeczy był nie do zniesienia. Zszedłem wkrótce na psy, a ponieważ miałem do wyżywienia żonę i dzieci, uczułem w końcu, iż brzemię to przewyższa moje siły, i całymi godzinami jałem przemyśliwać nad najlepszym sposobem odebrania sobie życia. Wszelako pijawki lichwiarskie nie pozostawiały mi zbyt wiele czasu do rozmyślań. Dom mój był dosłownie obleżony od rana do nocy. Zwłaszcza trzech wierzyteli dręczyli mnie ponad wszelką miarę i nie odstępowali od moich drzwi, odgrając mi się sądem. Tym trzem poprzysiągłem najzawziętą zemstę, skoro tylko dzięki sprzyjającej sposobności będę mógł ich dostać w swe szpony; i zdaje mi się, że tylko te radosne przewidywania zapobiegły niezwłocznemu urzeczywistnieniu mych samobójczych zamiarów i nie pozwoliły mi palnąć sobie w łeb z dwururki. Sądziłem jednakowoż, iż będzie lepiej nie okazywać im swego gniewu i zbywać ich obietnicami i słodkimi słówkami aż do chwili, kiedy szczęśliwy przypadek nastarczy mi sposobność do odwetu.

Pewnego dnia wymknąwszy się im po kryjomu i czując się bardziej przygnębiony niż zazwyczaj, wałęsałem się długo i bez celu po najciemniejszych zaułkach, aż w końcu natknąłem się gdzieś, na jakimś rogu, na nędzną księgarenkę. W sklepiku znajdował się fotel do użytku klientów; rzuciłem się weń w psim usposobieniu i niemal bezwiednie otworzyłem pierwszą lepszą książkę, która znajdowała się pod ręką. Okazało się, że była to niewielka rozprawa z zakresu astronomii spekulatywnej, napisana przez profesora Encke z Berlina czy też przez jakiegoś Francuza, który miał podobne nazwisko. Miałem niejakie wiadomości z tego zakresu i tak stopniowo pograżyłem się w książce, iż zdażyłem przeczytać ją dwa razy, zanim zdałem sobie sprawę, co się dzieje dokoła mnie. Mrok już ztapał, więc podążyłem z powrotem do domu. Wszelako rozprawa ta (w połączeniu z odkryciem z zakresu pneumatyki, o którym w wielkiej tajemnicy opowiadał mi niedawno mój kuzyn z Nantes) zapisała się mi niezatarcie w umyśle; toteż włócząc się po mrocznych ulicach, odtwarzałem sobie szczegółowo w pamięci osobliwsze i niejednokrotnie wprost niepojęte rozumowania jej autora. Były tam zwłaszcza niektóre ustępy, co oddziały na mą wyobraźnię z niesłychaną siłą. Im dłużej zastanawiałem się nad nimi, tym bardziej wzmagало się rozbudzone we mnie zainteresowanie. Szczupłość mego wykształcenia ogólnego, w szczególności zaś moja niewiedza w dziedzinie filozofii przyrodniczej, miał uczynić mnie nieufnym względem własnych zdolności zrozumienia tego, co przeczytałem, miał rozbudzić we mnie wątpliwości co do wielu nieokreślonych myśli, które następczo się rozwinęły, stała się jedynie tym potężniejszym bodźcem dla wyobraźni i byłem o tyle próżny czy też o tyle rozumny, iż stawiałem sobie pytanie, czy owe pierwotne idee, co rozwijają się w umysłach niedokształconych, nie posiadają często, nie tylko z pozoru, ale także w istocie rzeczy, wszelkich sił, wszelkiej żywotności tudzież innych cech charakterystycznych, wchodzących w skład instynktu czy też intuicji.

Było już późno, gdy przyszedłem do domu i udałem się niezwłocznie na spoczynek. Wszelako zasnąć nie mogłem, gdyż umysł mój zbyt był zajęty, przeleżałem zatem całą noc, pograżony w rozmyślaniach. Wstałem bardzo wcześnie, podążyłem pośpiesznie do owej księgarenki i wydałem niemal wszystko, co jeszcze miałem w gotówce, na zakupno kilku dzieł o mechanice i astronomii praktycznej. Powróciwszy szczęśliwie do domu, poświęciłem wszystkim mój czas, wolny od innych zajęć, na rozczytywanie się w nich i wkrótce poczyniłem takie postępy w tym zakresie, iż zdawało mi się, że jestem dostatecznie przygotowany do wykonania pewnego zamiaru, którym natchnął mnie - sam nie wiem - szatan czy też mój dobry duch. Równocześnie czyniłem wszelkie starania, by ugłaskać owych trzech wierzyteli, którzy sprawiali mi tyle kłopotu. Ostatecznie udało mi się to - częścią w ten sposób, iż sprzedałem nieco mych sprzętów i spłaciłem połowę długu, częścią zaś, iż obiecałem uiścić resztę po urzeczywistnieniu pewnego pomysłu, który płał mi się po głowie i wymagał ich współdziałania. W ten sposób (gdyż byli to ludzie ciemni) powiodło się mi bez wielkiego trudu pozyskać ich dla moich zamierzeń.

Załatwiwszy te sprawy zabrałem się przy pomocy mej żony, z największą przezornością i w najgłębszej tajemnicy, do rozporządzenia moim pozostałym mieniem oraz do wypożyczenia w niewielkich sumach i pod różnymi pozorami wcale znacznej ilości gotówki, nie zważając bynajmniej na to (wyznaję to ze wstydem), w jaki sposób przyjdzie mi ją później zwrócić. Dzięki temu powiększeniu się mych zasobów, udało mi się stopniowo zakupić sporo najlepszego muślinu w sztukach po dwanaście jardów, zapas sznurów, pewną ilość pokostu kauczukowego, wielki i głęboki kosz z łożyny, wykonany na zamówienie, jako też kilka innych przedmiotów, potrzebnych do zbudowania i zaopatrzenia balonu ogromnych rozmiarów. Polecilem mojej żonie uszyć go możliwie najrychlej i udzieliłem jej wszelkich potrzebnych wskazówek, jak to zrobić należy. Równocześnie uplotłem z powrozów sieć dostatecznych rozmiarów, przytwierdziłem do niej obręcz i niezbędne liny oraz zakupiłem mnóstwo materiałów i przyrządów potrzebnych do doświadczeń w górnych warstwach atmosfery. Następnie pod osłoną nocy przewiozłem w odludną okolicę, na wschód od Rotterdamu, pięć beczek z obręczami żelaznymi, oraz szóstą, większą; sześć rur blaszanych, odpowiednio ukształtowanych, o średnicy trzech cali i długości dziesięciu stóp; sporą ilość pewnej substancji metalicznej lub raczej na poły metalicznej, której nazwy wymienić nie mogę, tudzież dwanaście wielkich balonów szklanych z nader pospolitym kwasem. Gaz, który miał powstać z owych składników, przez nikogo dotychczas nie był jeszcze wytwarzany prócz mnie - lub przynajmniej przez nikogo dotychczas nie był jeszcze używany do podobnego celu. Pozwalam sobie tylko nadmienić, że jest to ciało lotne, wchodzące w skład azotu, o którym dotychczas mniemano, iż nie daje się wydzielić i że gęstość jego jest 37,4 razy mniejsza od gęstości wodoru. Nie ma smaku, ale oddziaływa na powonienie; pali się, gdy jest czysty, zielonawym płomieniem i niezwłocznie wpływa zabójczo na istoty żyjące. Nie wahałbym się z odsłonięciem zupełnym jego tajemnicy, gdyby nie to, że jest ona własnością (jak już wspominałem) pewnego obywatela francuskiego z Nantes, który mi jej warunkowo udzielił. Tenże sam osobnik, nie wiedząc nic o moich zamiarach, zapoznał mnie również z metodą budowania balonów z pewnej błony zwierzęcej, przez którą uchodzenie gazu staje się niemal niemożliwe. Wszelako doszedłem do przeświadczenia, iż ten sposób jest zbyt kosztowny i że mocny muślin, powleczony warstwą kauczuku, może oddać te same usługi. Wspominam o tej okoliczności, ponieważ przypuszczam, iż rzeczony osobnik mógłby kiedyś spróbować wlotu balonem za pomocą nowego gazu i wspomnianego powyżej materiału, więc nie chciałbym pozbawić go zaszczytu nadzwyczaj pomysłowego wynalazku.

Na miejscach, gdzie miały znajdować się beczki podczas napełniania balonu, wykopałem potajemnie niewielkie jamy; jamy te utworzyły koło o dwudziestu pięciu stopach średnicy. W środku tego koła, gdzie miała być pomieszczona większa beczka, wykopałem również jamę, tylko nieco głębszą. W każdej z mniejszych jam umieściłem puszkę z pięćdziesięciu funtami prochu strzelniczego, zaś w największej jamie barylkę, zawierającą sto pięćdziesiąt funtów tego

materiału wybuchowego. Tę baryłką i te puszki połączyłem we właściwy sposób krytymi przewodnikami, po czym włożywszy do jednej z puszek koniec lontu, długiego na cztery stopy, zasypałem jamę i ustawiłem na niej beczułkę, ale zrobiłem to tak, że drugi koniec lontu wystawał na jaki cal z ziemi i był zaledwie widoczny obok beczułki. Następnie zarównałem resztę jam i umieściłem na nich beczułki w odpowiednich miejscach.

Prócz przedmiotów już wymienionych, przewiozłem do składu i ukryłem tamże ulepszony aparat Grimma do zgęszczania powietrza atmosferycznego. Doszedłem jednakowoż do przekonania, iż ta machina wymaga znacznych zmian, jeżeli ma posłużyć do celu, do którego jej użyć zamierzałem. Atoli dzięki usilnej pracy i nieugiętej wytrwałości zdołałem w końcu skuteczniej wszystkie me przygotowania z najzupełniejszym powodzeniem. Mój balon wkrótce był gotów. Mógł zawrzeć przeszło czterdzieści tysięcy stóp sześciennych gazu; jak obliczałem, mógł mnie unieść z łatwością wraz ze wszystkimi moimi przyrządami, włączając w to także sto siedemdziesiąt pięć funtów balastu niezbędnego do miarkowania wznoszenia. Powlekały go trzy warstwy pokostu, przy czym przekonałem się, iż muślin w zupełności zdoła zastąpić jedwab, gdyż jest równie mocny, aczkolwiek znacznie tańszy.

Gdy wszystko już było gotowe, wymogłem na mej żonie przysięgę, iż zachowa w tajemnicy całą mą działalność od dnia, w którym zaszedłem po raz pierwszy do księgiarenki; w zamian przyrzekłem jej, iż powrócę, skoro tylko okoliczności pozwolą, oddałem jej odrobinę pieniędzy, które mi jeszcze pozostały, i czule się z nią pożegnałem. Jakoż nie miałem żadnych co do niej obaw. Była kobietą, jak to ludzie powiadają, zapobiegliwą i mogła dać sobie radę ze wszystkim bez mojej pomocy. Zdaje mi się, iż nie rozminę się z prawdą, gdy powiem, iż zawsze uważała mnie za lenia - za jakąś przywieszkę - za istotę, zdolną tylko do budowania zamków na lodzie - i była raczej zadowolona, że mnie się pozbędzie. Noc była ciemna, gdy żegnałem się z nią raz jeszcze. Zabrawszy, jako swych aides-de-camp, trzech wierzycieli, którzy mi tyle sprawili kłopotu, przewiozłem przy ich pomocy balon wraz z urządzeniem okólną drogą do miejsca, gdzie znajdował się skład innych przedmiotów. Zastaliśmy je nietknięte, więc niezwłocznie przystąpiłem do dzieła.

Był 1 kwietnia. Noc, jak nadmieniałem, była ciemna; gwiazd nie było widać, zaś deszcz, co mżył chwilami, dawał się nam bardzo nieprzyjemnie we znaki. Wszelako główną mą troską był balon, który mimo ochronnej powłoki pokostu jął nasiąkać wilgocią; proch mógł także zamoknąć. Zaprząłem przeto trzech moich lichwiarzy do usilnej pracy, każąc im rozbijać lód dokoła beczki środkowej i mieszać kwas w innych beczkach. Naprzykrzali się mi atoli pytaniami, co zamierzam uczynić z tymi wszystkimi przyrządami, i uskarżali się na uciążliwość zajęcia, którym ich obarczyłem. Nie mogli pojąć, jak powiadali, co dobrego może wynikać z tego ich przemoknięcia do suchej nitki, krom współdziałania w tym straszliwym czarodziejstwie. Poczęło mi być nieswojo i pracowałem ze wszech sił, gdyż uwierzyłem naprawdę, iż ci głupcy podejrzewali mnie, jakoby wdał się w układy z diabłem i jakoby we wszystkim, co teraz czynię, było coś takiego, co być nie powinno. Ogarnęła mnie trwoga, by mnie nie pozostawili samego. Usiłowałem ich przeto uspokoić, obiecując, że zapłacę im wszystko do ostatniego grosza, skoro tylko ukończę rozpoczętą pracę. Oczywiście że tłumaczyli sobie te słowa na swój sposób, przypuszczając zapewne, iż bądź co bądź uda mi się osiąść ogromną ilość gotówki; bylebym zaś uiszczył się im z długu i dał coś ponadto za udzieloną pomoc, byliby z lekkim sercem nie dbali o to, co stanie się z moją duszą i mym zewłokiem.

W jakieś cztery i pół godziny balon wedle mego rozumienia był już dostatecznie wypełniony. Przytwierdziłem przeto kosz i umieściłem w nim wszystkie moje urządzenia - teleskop, barometr znacznie zmieniony, termometr, elektrometr, kompas, igłę magnetyczną, zegarek sekundowy, przyrząd do mówienia na odległość i tym podobne rzeczy; ponadto szklany balon, opróżniony z powietrza i zatkany starannie korkiem. Nie zapomniałem także o aparacie zgęszczającym, o odrobinie niegaszonego wapna, o wosku do pieczętowania, o obfitym zapasie wody i sporej ilości pożywienia, jak na przykład pemmikanu, który przy względnie małej objętości przedstawia wielką wartość odżywczą. Zabrałem również do kosza parę gołębi i kota.

Miało się już ku świtaniu, więc pomyślałem, że czas najwyższy przystąpić do odlotu. Opuściwszy niby to przypadkiem żarzące się cygareto, pochylałem się, żeby je podnieść, i przy tej sposobności zapaliłem lont, który, jak już wspomniałem, wystawał nieco z ziemi obok dolnej obręczy jednej z beczulek. Trzej lichwiarze nie zauważyli zgoła mego podstępu. Skoczyłem tedy do kosza, przeciąłem niezwłocznie jedyną linę, która mnie łączyła z ziemią, i ku niewymownej radości uczułem, że balon z niesłychaną chyżością wzbija się w górę, porywając z taką łatwością sto siedemdziesiąt pięć funtów ołowiu, co służył jako balast, iż nie ulegało wątpliwości, że mógł unieść znacznie więcej. Gdym opuszczał ziemię, barometr wskazywał trzydzieści cali, zaś stustopniowy termometr 19.

Zaledwie wszakże zdołałem się wznieść na wysokość pięćdziesięciu jardów, śród straszliwego, ogłuszającego szczerku i poryku buchnął spode mnie taki zwichrzony odmęt ognia i żwiru, i płonącego drzewa, i rozżarzonego metalu, i poszarpanych członków ludzkich, iż serce zalekło się we mnie i powaliłem się na dno kosza drżąc z przerażenia. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że przebrałem miarę i że głównych następstw wybuchu należy jeszcze się spodziewać. Jakoż w okamgnieniu krew z całego ciała napłynęła mi do skroni i wnet potem wstrząs, którego jako żyw nie zapomnę, targnął ciemnościami i zdawał się rozrywać na dwoje sklepienie widnokręgu. Gdym później miał już czas na rozmyślenia, zdałem sobie sprawę, dlaczego tak okropnie dał mi się wybuch we znaki - otóż znajdowałem się prostopadle ponad nim, na linii najsilniejszego oddziaływania. Kiedy jednak nastąpił, myślałem tylko o ocaleniu życia. Balon zrazu się skurczył, po czym wydał się gwałtownie i jął wirować wokoło z chyżością odurzającą, w końcu zaś, zataczając się i przewracając niby pijanica, przerzucił mnie poza obręb kosza. Zawisłem przeto na zawrotnej wysokości, głową w dół, twarzą na zewnątrz, zaplątany na szczęście lewą nogą w długim na trzy stopy kawałku cienkiego sznura, co zwiślał przez szczylinę w dnie kosza. Jest niepodobieństwem - zupełnym niepodobieństwem wyobrazić sobie bodaj w przybliżeniu grozę mego położenia. Rozwartymi ustami chwytałem rozpaczliwie powietrze - dreszcz, jak gdyby wywołany ciężką chorobą, przenikał me mięśnie i nerwy - czułem, że oczy wychodzą mi na wierzch - zawładnęła mną mdłość straszliwa - w końcu postradałem przytomność i zapadłem w omdlenie.

Nie umiem powiedzieć, jak długo znajdowałem się w tym stanie. Bądź co bądź musiało to trwać dość długo, kiedy bowiem odzyskałem jaką taką świadomość istnienia, było już widno, balon znajdował się na niesłychanej wysokości ponad otchłanią oceanu, zaś na całym widnokrężnym bezbrzeżu nie było ani śladu ziemi. Odczuwania moje po tym oprzytomnieniu nie były tak potworne, jakby to można było przypuszczać. Było coś z obłądzenia w niewzruszonym spokoju, z jakim jąłem rozmyślać o mym położeniu. Podniosłem kolejno do oczu obie me ręce i zastanawiałem się, czemu przypisać należy obrzęk żył i przeraźliwie poczerniałe paznokcie. Następnie starannie zbadałem mą głowę potrząsając nią kilkakrotnie i wodząc po niej dokładnie palcami, aż doszedłem wreszcie do zadowalającego przeświadczenia, iż nie była wcale - jak to mi się uroiło - większa od balonu. Po czym, jak człowiek, który zna się na rzeczy, włożyłem ręce do kieszeni

od spodni i nie znalazłszy tam notatnika i pudełka z wykałaczkami, jałem zastanawiać się, co z nimi się stało, czując zaś, że nie podołał temu zadaniu, poddałem się niewymownemu przygnębieniu. W końcu wydało mi się, iż doznaję mocnego bólu w stawie lewej nogi, i niejasna świadomość mego położenia jęła świtać mi w mózgu. Wszelako - rzecz dziwna! - nie byłem ani zdumiony, ani przerażony. Jeżeli w ogóle odczuwałem cokolwiek, to chyba rozchichotane zadowolenie na myśl o przebiegłości, jakiej przyjdzie mi użyć, by wywikłać się z tego dylematu; i ani przez chwilę nie zapatrywałem się na sprawę mojego ostatecznego ocalenia jako na rzecz niepewną. Na kilka minut pograżyłem się w najgłębszym zamyśleniu. Pamiętam dokładnie, iż kilkakrotnie zaciskałem usta, przykładałem palec wskazujący do nosa oraz posługiwałem się innymi gestami i grymasami, na podobieństwo ludzi, co, usiadłszy w wygodnym fotelu, zastanawiają się nad rzeczami ważnymi czy zawiłymi. Zebrawszy w końcu, jak mi się zdawało, dostatecznie swe myśli, z nadzwyczajną ostrożnością i rozważą założyłem ręce w tył i odpiąłem wielką sprzączkę żelazną, co przytrzymała pasek u mych spodni. Sprzączka ta miała trzy zęby, które były nieco zardzewiałe i z wielką trudnością obracały się dokoła osi. Udało mi się wszakże po niej jakim wysiłku ustawić je pod kątem prostym do trzonu sprzączki i uradowałem się wielce, gdy stwierdziłem, że trzymają się mocno. Dzierżąc w zębach przyrząd, w ten sposób przygotowany, jałem z kolei rozwiązywać węzeł mojego krawata. Musiałem odpoczywać kilka razy, zanim zdołałem tego dokonać, w końcu jednak dopiąłem celu. Do jednego końca krawata przytwierdziłem sprzączkę, drugi zaś koniec, dla większej pewności, obwiązałem mocno dokoła mej pięści. Podźwignąwszy się niesłychanym wysiłkiem mięśni w górę, zdołałem od razu przerzucić sprzączkę przez brzeg kosza i to w ten sposób, iż wpiła się - jak przewidywałem - w obwódkę, co wieńczyła go u góry.

Ciało me tworzyło obecnie ze ścianą kosza kąt około czterdziestu pięciu stopni; nie należy wszelako rozumieć, iż znajdowałem się tylko o czterdzieści pięć stopni poniżej prostopadłej. Daleko mi było do tego; wciąż jeszcze leżałem niemal na poziomie płaszczyzny widnokregu, gdyż zmiana położenia, którą udało mi się skutecznie, spowodowała odpowiednie odepchnięcie dna kosza, co zagrażało mi wielkim niebezpieczeństwem. Godzi się zauważyć, iż gdybym, wypadłszy z kosza, był zwrócony twarzą do balonu, a nie w stronę przeciwną, jak to miało miejsce obecnie - ponadto, gdyby powrót, na którym zawisłem, zwieszał się z górnego krańca, nie zaś ze szczeliny u dna kosza, z łatwością stać by się mogło, iż me byłbym mógł dokonać tego, czego dokonałem, i że moje odkrycia byłyby na zawsze stracone dla potomności. Miałem przeto wszelkie powody, by błogosławić los; zbyt jednakże byłem otumaniony, by zdobyć się na cokolwiek, i wisiałem z jaki kwadrans w tej osobliwszej pozycji, zgoła nie czyniąc dalszych wysiłków, pełen dziwnego uspokojenia i idiotycznego rozradowania. Wszelako to uczucie wnet pierzchło, ustępując miejsca grozie, przerażeniu, przeświadczeniu o zupełnej bezsilności i niechybnej zgubie. Pochodziło to stąd, iż krew moja, od dawna nagromadzona w naczyniach głów) i szyi i wywołująca stan omroczenia duchowego, jęła obecnie wracać do właściwych przewodów, zaś wyrazistość, co pomnażała we mnie dzięki tej okoliczności świadomość niebezpieczeństwa, służyła tylko po to, by pozbawić mnie panowania nad sobą i odwagi. Wszelako to osłabienie, na szczęście, nie trwało długo. W samą porę przysłała mi w pomoc odwaga rozpachy, więc wśród opętanych wrzasków i podrzutów jałem miotać się w górę; jakoż zdołałem w końcu wpić się żelaznym chwytem w upragniony brzeg i przerzucić przezeń me ciało w ten sposób, iż przewaliłem się głową na dół, cały drżący, na dno kosza.

Dopiero po pewnym czasie przyszedłem o tyle do siebie, iż mogłem zająć się balonem. Obejrzałem go starannie i przekonałem się z niemalym zadowoleniem, że jest nieuszkodzony. Wszystkie me przyrządy znalazłem w dobrym stanie i, na szczęście, nie postradałem ani balastu, ani żywności. Trzeba przyznać, iż tak dokładnie przytwierdziłem je na odpowiednich miejscach, że nie mogło być mowy o jakimkolwiek wypadku. Spojrzałem na zegarek; wskazywał szóstą. Wciąż jeszcze pośpiesznie wznosiłem się w górę i wedle barometru znajdowałem się na wysokości trzech i trzech czwartych mili. Prostopadle podę mną widniał na oceanie jakiś drobny, czarny przedmiot, nieco wydłużony, wielkości mniej więcej kostki do gry w domino i w ogóle bardzo do niej podobny. Zwróciłem nań mój teleskop i przekonałem się, że był to wojenny okręt angielski o dziewięćdziesięciu czterech działach, co włócił się, zapadając ciężko w morze, w kierunku zachodnio-południowo-zachodnim. Prócz tego okrętu widziałem tylko ocean, niebo i słońce, które już dawno wzeszło.

Sądę, iż czas już najwyższy wyjawić Waszym Ekscelencjom cel mej podróży. Wasze Ekscelencje przypominają sobie zapewne, iż niepowodzenia moje w Rotterdamie popchnęły mnie w końcu, do myśli samobójczych. Nie stało się to dlatego, jakoby samo życie mi obmierzło, lecz że byłem udręczony ponad wszelką miarę nędzą kłopotów, wynikających z mojego położenia. W tym więc stanic umysłu, kiedyś pragnął żyć jeszcze i zarazem ugiąłem się pod brzemieniem życia, rozprawa naukowa z księgarski w połączeniu z odkryciem, dokonaniem przez mojego kuzyna z Nantes, otwarła ujście mojej wyobraźni. Powziąłem ostateczne postanowienie. Zamierzałem odejść, ale pozostać przy życiu - opuścić świat ale zachować swe istnienie, słowem, by skończyć już raz z niedomówieniami postanowiłem, nie oglądając się na nic, utworować sobie drogę na Księżyc, jeśli to będzie rzeczą możliwą. By mnie wszelako nie uważano za większego narwańca, niżeli nim jestem istotnie, pragnąłbym obecnie wyluszczyć szczegółowo, w miarę mej możliwości, powody, które mi pozwalały przypuszczać, iż przedsięwzięcie tego rodzaju, aczkolwiek bez wątpienia trudne i najeżone niebezpieczeństwami, nie leżało bynajmniej dla nieustraszonego ducha poza obrębem możliwości.

Wziąłem przede wszystkim pod uwagę rzeczywistą odległość, jaka dzieli Ziemię od Księżyca. Otóż przybliżona, czyli średnia odległość między ośrodkami obu planet wynosi 59,9643 promieni równikowych ziemskich, czyli zaledwie około 237 000 mil angielskich. - Powiadam, odległość średnia, czyli przybliżona - trzeba jednakże uprzytomnić sobie, iż kształt orbity księżycowej jest elipsą o odchyleniu wynoszącym nie mniej niż 0,05484 pólosi większej tejże elipsy, i że środek Ziemi znajduje się w jej ognisku; gdyby przeto powiodło się mi spotkać Księżyc w jego perigeum, rzeczona odległość znacznie uległaby zmniejszeniu. O ile by jednak pominęło się nawet na razie tę możliwość, to mimo wszystko było rzeczą pewną, iż od nowych 237 000 mil należałoby odjąć promień Ziemi, czyli 4 000, i promień Księżyca, czyli 1 080, ogółem 5 080; pozostawałoby mi zatem do przebycia 231 920 mil angielskich odległości. Otóż ta przestrzeń, w moim pojęciu, nie była znowu niczym nadzwyczajnym. Niejednokrotnie odbywano już podróże lądowe z chyżością sześćdziesięciu mil na godzinę i wszystko przemawia za przypuszczeniem, iż dałoby się osiągnąć chyżość znacznie większą. Wszelako nawet przy tej szybkości potrzebowałbym zaledwie 161 dni, by wylądować na powierzchni Księżyca. Nie zbywało mi jednakże na wskazaniach, iż przybliżona chyżość tej podróży mogłaby o wiele przekroczyć sześćdziesiąt mil na godzinę; ponieważ te rozważania wywarły wielki wpływ na mój umysł, przeto zamierzam pomówić jeszcze o nich obszerniej.

Dalsza sprawa, którą należało z kolei wziąć pod uwagę, była nierównie ważniejsza. Wiadomo ze wskazówek, jakie nam daje barometr, iż wzniosłszy się ponad powierzchnię Ziemi na wysokość tysiąca stóp, mamy pod sobą mniej więcej jedną trzydziestą część całkowitej warstwy powietrza atmosferycznego; że na wysokości 10 600 stóp znajdujący się

pod nami pokład wynosi już około jednej trzeciej, zaś na wysokości 18 000 stóp, czyli niewiele wyżej od Cotopaxi, pozostaje pod nami połowa owej warstwy, czyli, ściślej się wyrażając, połowa ważkiego ciała lotnego, które jako powietrze przylega do naszego globu. Obliczono również, iż na wysokości nie przekraczającej setnej części średnicy ziemskiej, to znaczy nie wyżej jakichś osiemdziesięciu mil - rozrzedzenie jest tak znaczne, iż istoty żyjące żadną miarą znieść go nie mogą, i co więcej, że najsubtelniejsze sposoby, jakimi rozporządzamy, by sprawdzić istnienie atmosfery, dla tej wysokości okazują się najzupełniej niewystarczające. Zdołałem jednakowoż zauważyć, iż te ostatnie obliczenia polegają jedynie na naszej wiedzy eksperymentalnej o właściwościach powietrza, jak też na prawach mechanicznych, regulujących jego rozrzedzenie i zgęszczanie w tym zakresie, który by można nazwać, wyrażając się przez porównanie, bezpośrednim sąsiedztwem Ziemi. Równocześnie przyjmuje się, jakoby istoty żyjące nie były i nie mogły być zdolne do przystosowywania się do warunków na niedostępnych wysokościach ponad powierzchnią Ziemi. Otóż wszelkie rozumowania tego rodzaju, nie posiadające żadnych innych podstaw, muszą z konieczności poprzestawać na analogiach. Najznaczniejsza wysokość, na jaką dotychczas wznosił się człowiek, wynosi 25 000 stóp; osiągnęła ją ekspedycja napowietrzna Bay-Lussaca i Biota. Jest to wysokość nieznaczna w porównaniu z owymi osiemdziesięciu milami, o których wspominałem; i nie mogę oprzeć się przypuszczeniu, iż sprawa ta nasuwa mnóstwo wątpliwości i pozostawia obszerne pole do dalszych badań.

Jest wszelako rzeczą niezawodną, iż skoro osiągnie się pewną, jakkolwiek wysokość, to ważka ilość powietrza, które ma się jeszcze nad sobą, przy stopniowym wznoszeniu się nic pozostaje bynajmniej w stosunku prostym do dodatkowej wysokości, osiągniętej w dalszym ciągu (jak to jasno wynika z tego, co było powiedziane poprzednio), lecz w stosunku nieustannie się zmniejszającym. Z tego widać, iż bez względu na wysokość, na jaką wzniesić się można, niepodobna jest, wyrażając się ściśle, znaleźć rubieży, poza którą już nie ma atmosfery. Wynioskowałem, że musi istnieć, aczkolwiek może istnieć w stanie bezgranicznego rozrzedzenia.

Z drugiej strony było mi wiadomo, iż nie brak argumentów dowodzących istnienia rzeczywistej i ostatecznej rubieży atmosferycznej, poza którą zupełnie nie ma już powietrza. Wszelako ci uczeni, którzy przemawiali za istnieniem owej rubieży, przeoczyli w mym zdaniem jedną okoliczność, która jeśli nie obalała w zupełności ich poglądu, to przynajmniej zasługiwała na baczną uwagę. Porównując okresy, zachodzące między kolejnymi pojawieniami się komety Enckego u jej perihelium, i uwzględniając przy tym z całą ścisłością wszystkie zaburzenia, powodowane przyciąganiem planetarnym, uzyskuje się przeświadczenie, że okresy te stopniowo się zmniejszają; znaczy to, że oś większa elipsy tejże komety staje się coraz krótsza w powolnym, lecz nadzwyczaj prawidłowym tempie. Otóż właśnie tę okoliczność należy wziąć w rachubę, przypuszczając, iż kometa spotyka się z oporem nadzwyczaj rzadkiego przewodnika eterycznego, co wypełnia okolice jej orbity. Jest bowiem rzeczą oczywistą, iż taki przewodnik, zwalniając chyżość komety, musi wzmagać jej siłę dośrodkową, a natomiast osłabiać jej siłę odśrodkową. Innymi słowy, przyciąganie Słońca uzyskiwałoby statecznie coraz większą władzę i powodowałoby coraz znaczniejsze zbliżanie się komety za każdym obrotem. Jakoż w inny sposób niepodobna zdać sobie sprawy z tego zбочenia. Ponadto zauważono jeszcze, iż średnica rzeczywista tejże komety kurczy się gwałtownie w miarę zbliżania się Słońca i rozpręża się z nie mniejszą chyżością, kiedy powraca znów do swego aphelium. Czyż więc nie miałem słusności przypuszczając wraz z M. Valzem, że to ocywiste stężenie objętości wynika ze zgęszczenia tegoż samego przewodnika eterycznego, o którym już nadmieniałem, a który jest tym gęstszy, im znajduje się bliżej Słońca. Zjawisko kształtu soczewki, zwane także światłem zodiakalnym¹, zasługiwałoby również na uwagę. Ta poświata, co przejawia się tak widocznie w okolicach podzwrotnikowych i nie może żadną miarą uchodzić za jakiekolwiek światło meteoryczne, podnosi się od widnokregu ukośnie w górę i podąża zasadniczo w tym samym kierunku, co równik słoneczny. Moim zdaniem pochodzi ona z rozrzedzonej atmosfery, co rozciąga się od Słońca poza orbitę Wenus i, jak sądzę, sięga bezgranicznie dalej. Jakoż niepodobna przypuszczać, by ten przewodnik ograniczał się do elipsy, po której krąży kometa, lub do bezpośredniego pobliza Słońca. Wręcz przeciwnie, łatwiej jest wyobrazić sobie, iż przenika on wszechobszary naszego systemu planetarnego, zgęszczając się u planet w to, co zowiemy atmosferą, i, być może, dokoła niektórych ulegając pewnym zmianom natury wyłącznie geologicznej, to znaczy - zmieniając się lub przeobrażając w swych stosunkach lub w samej swej istocie pod wpływem ciał lotnych wydzielanych przez owe globy.

Przyjąwszy ten pogląd, przestałem się wahać. Przypuszczając, iż w mej podróży będę miał do czynienia z atmosferą w istocie rzeczy taką samą jak na powierzchni Ziemi, pomyślałem sobie, iż przy pomocy doskonałego aparatu Orimera będę mógł z łatwością zgęszczać ją w ilości potrzebnej do oddychania, udało się mi przeto usunąć główną przeszkodę, co siada mi na drodze do Księżyca. Zużyłem sporo pieniędzy i mnóstwo pracy, by przystosować ten aparat do zamierzonego celu, i miałem najzupełniejszą ufność, że nie zawiedzie w zastosowaniu, o ile zdołam odbyć tę podróż w odpowiednio krótkim, czasie. I oto znów wracam do zagadnienia, w jakim czasie byłoby można ją uskuteczyć.

Wiadomo, iż balony w pierwszym okresie swego wzlotu podnoszą się z chyżością dość umiarkowaną. Otóż siła wzlotu zależy wyłącznie od znaczniejszej ciężkości powietrza atmosferycznego w porównaniu z gazem wypełniającym balon. Z pozoru nie wydaje się rzeczą prawdopodobną, żeby balon w miarę jak podnosi się coraz wyżej i, co za tym idzie, wzbija się stopniowo w warstwy powietrzne, których gęstość gwałtownie się zmniejsza - powtarzam, nie wydaje się rzeczą możliwą, żeby pierwotna chyżość tego balonu, wzbijającego się w górę, miała podlegać przyśpieszeniu. Z drugiej strony nic przypominam sobie, by w jakimkolwiek opisie wzlotu nadmieniano o zmniejszaniu się absolutnej chyżości wznoszenia się, aczkolwiek powinno tak być, chociażby z powodu uchodzenia gazu z balonów nieszczelnych i nie posiadających innej powłoki prócz zwyczajnego pokostu. Zdaje się przeto, iż następstwa tego ulatniania się gazu wystarczyły zaledwie, by zrównoważyć przyśpieszenie, jakiego nabywa balon w miarę oddalania się od środka ciężkości. Otóż doszedłem do wniosku, że o ile bym w mym wlocie przeniknął w pokład przewodnika, który by odpowiadał moim wyobrażeniom, dalej o ile okazałoby się, że nie różniłby się on w swej istocie od tego, co nazywamy powietrzem atmosferycznym - to byłoby rzeczą względnie obojętną, jak wielkie mogłoby być jego rozrzedzenie - oczywiście w stosunku do mej siły wzlotnej - gdyż nie dość, że gaz w balonie uległby podobnemu rozrzedzeniu (mógłbym bowiem, zależnie od okoliczności, wypuścić odpowiednią jego ilość, by uniknąć wybuchu), lecz ponadto, będąc tym, czym jest, byłby zawsze gatunkowo lżejszy od jakiegokolwiek związku czystego tlenu i azotu, istniała zatem możliwość, istniało nawet wielkie prawdopodobieństwo, iż w żadnym okresie mego wzlotu nie będzie punktu, w którym połączony ciężar mego ogromnego balonu wraz z zawartym w nim aż do ostatecznych granic rozrzedzonym gazem, wraz z kosztem i tym wszystkim, co w nim się znajdowało, mógłby zrównać się z ciężarem otaczającej warstwy atmosferycznej; a jak nietrudno pojąć, to właśnie byłoby jedyną okolicznością, która by mogła mnie zatrzymać w dalszym wlocie. Wszelako gdybym nawet dotarł do takiego punktu, miałem jeszcze do rozporządzenia balast oraz inne przedmioty wagi około 300 funtów. Równocześnie przyciąganie ziemskie winno by się

stale zmniejszać w prostym stosunku do kwadratów odległości i oto z chyżością zawrotnie przyspieszoną mógłbym dostać się w owe dalekie przestwory, gdzie siła przyciągania ziemskiego ustępuje miejsca sile przyciągania księżycowego.

Istniała jeszcze inna trudność, która była dla mnie przedmiotem niejakiego zaniepokojenia. Mianowicie zauważono, iż kiedy balon wzniesie się do znacznej wysokości, prócz przeszkód w oddychaniu przejawia się uczucie dotkliwego niedomagania w głowie i całym ciele, połączone często z krwotokami z nosa tudzież innymi objawami, nie mniej niepokojącymi, a wzmagającymi się w odpowiednim stosunku do osiągniętej wysokości. Był to szczegół nieco zatrważający. Czyż nie należało przypuszczać, iż te objawy mogły się wzmacniać i powodować w końcu śmierć? Po rozważeniu doszedłem do przeświadczenia, że nie. Wedle mego mniemania były one następstwem stopniowego zmniejszania się zwykłego dla ciała nacisku atmosferycznego na powierzchnię i wynikającego stąd rozszerzania się powierzchniowych naczyń krwionośnych - natomiast nie zagrażały istotnym rozprężeniem ustroju cielesnego, jak to mogło mieć miejsce z utrudnieniem w oddychaniu, przy którym gęstość atmosfery mogłaby się okazać chemicznie niewystarczającą do prawidłowego odnawiania krwi w komorze sercowej. Pomijając te zaburzenia w składzie chemicznym krwi, nie mogłem dopatrzeć się przyczyny, dla której życie nie miałoby istnieć nawet w próżni, gdyż rozszerzenie się i zwięźnięcie klatki piersiowej, pospolicie zwane oddychaniem, jest objawem wyłącznie mięśniowym i powodem, nie zaś wynikiem, czynności oddechowej. Słowem, doszedłem do przekonania, iż w miarę jak organizm będzie przyzwyczajają się do stopniowego zmniejszania się nacisku atmosferycznego, owe niedomagania będą stopniowo ustępowały - ponadto ufałem, iż żelazna krzepkość mego ustroju fizycznego zdoła je przetrzymać.

Wyłuszczyłem tedy, za pozwoleniem Waszych Ekscelencji, niektóre, acz nie wszystkie względy, które mnie skłoniły do podjęcia podróży na Księżyc. Winienem teraz z kolei zdać sprawę z przebiegu tego przedsięwzięcia, tak niesłychanie zuchwałego w pomysłach i bądź co bądź bezprzykładnego w dziejach ludzkości.

Osiągnąwszy wspomnianą poprzednio wysokość - to znaczy trzy i trzy czwarte mili - wyrzuciłem z kosza trochę pierza i przekonałem się, że wciąż wznoszę się z chyżością dostateczną; nie było zatem potrzeby wyrzucania balastu. Byłem z tego zadowolony, gdyż pragnąłem zachować możliwie najwięcej ciężaru dla tej prostej przyczyny, że nie wiedziałem nic pewnego ani o przyciąganiu, ani też o gęstości atmosferycznej Księżycy. Jak dotychczas nie doznawałem żadnej dolegliwości, oddychałem zupełnie swobodnie i wcale nie miałem bólu głowy. Kot leżał sobie najspokojniej na mym płaszczu; z którego się rozebrałem, i przyglądał się niedbale gołębiom. Były one przywiązane za nóżki, aby nie uciekły, i zajmowały się skrzętnie dziobaniem ryżu, którego rzuciłem im trochę na dno kosza.

O godzinie szóstej minut dwadzieścia wzniesienie wedle barometru wynosiło 26 400 stóp, czyli bez mała 5 mil. Widok był niezmierny. Przy pomocy geometrii sferycznej nietrudno jest obliczyć, jak wielki obszar powierzchni ziemskiej miałem przed oczyma. Wypukła powierzchnia jakiegokolwiek odcinka kuli ma się tak do całej powierzchni tejże kuli, jak sinus owego odcinka do średnicy kuli. W moim wypadku sinus - to znaczy długość odcinka, który znajdował się przede mną - równał się niemal memu wzniesieniu, czyli wzniesieniu punktu widzenia powyżej powierzchni. „Jak pięć mil do ośmiu ich tysięcy” - oto jak wyrażały się stosunek obszaru, widzianego przeze mnie, do obszaru Ziemi. Innymi słowy widziałem tysięczną sześćsetną część całkowitej powierzchni ziemskiej. Morze zdawało się mieć gładkość zwierciadła, aczkolwiek przy pomocy teleskopu udało się mi dostrzec, iż było mocno wzburzone. Okręt już nie był widoczny; zapewne popłynął ku wschodowi. Jałem doznawać od czasu do czasu przykrego bólu głowy, zwłaszcza koło uszu - ale wciąż jeszcze oddychałem dość swobodnie. Kot i gołębie nie zdawały się doznawać jakichkolwiek dolegliwości. Dwadzieścia minut przed siódmą balon wtargnął w pokłady gęstych chmur, które sprawiły mi wiele kłopotu, gdyż uszkodziły mój aparat zgęszczający i przemoczyły mnie do nitki. Bezspornie było to spotkanie osobliwszego rodzaju, gdyż nie przypuszczałem, by chmury mogły unosić się tak wysoko. Wydało się mi przeto rzeczą stosowną wyrzucić dwa pięcioletnie kawałki balastu, pozostawiając jeszcze w zapasie sto sześćdziesiąt pięć funtów. Dzięki temu minąłem szybko przeszkodę i zauważyłem niezwłocznie ogromny przyrost chyżości. Zaledwie zdążyłem opuścić chmury, olśniewająca błyskawica targnęła nimi od końca do końca i zapaliła je na całej ogromnej przestrzeni, iż wyglądały niby warstwa rozżarzonego węgla. A trzeba pamiętać, iż stało się to za białego dnia. Nie ma wyobraźni, która zdołałaby wyśnić wspaniałość podobnego zjawiska wśród mroków nocnych. Zaiste, byłoby ono wiernym obrazem piekła. Włosy stawały mi na głowie, gdy spoglądałem z wysokości w ziejące otchłanie, pozwalając wyobraźni ślaniać się i błądzić skroś dziwnie sklepionych komnat, skroś tęczujących purpurą zatok, skroś upiornie czerwonych czeluści potwornego i niezgłębionego ognia. Udało mi się ująć szczęśliwie. Gdyby balon był pozostał w chmurach nieco dłużej - to znaczy, gdyby dojmująca wilgoć nie była mnie skłoniła do wyrzucenia balastu - byłbym prawdopodobnie nie uniknął zguby. Niebezpieczeństwa tego rodzaju, aczkolwiek niezbyt brane pod uwagę, są snadź dla balonów najgroźniejsze. Zdołałem jednak wzbić się tymczasem na taką wysokość, iż nie potrzebowałem już obawiać się niczego.

Wznosiłem się zatem szybko i o godzinie siódmej barometr wskazywał nie mniej niż dziewięć i pół mili wysokości. Jałem doznawać wielkich utrudnień w oddychaniu. Głowa bolała mnie nieznośnie. Od pewnego już czasu czułem coś wilgotnego na policzkach i przekonałem się w końcu, że była to krew, co sączyła się nieustannie z bębneków moich uszu. Dolegały mi również oczy. Przesuwając po nich dłoń, miałem wrażenie, iż wysunęły się znacznie z oczodołów; toteż wszystkie przedmioty w koszu wraz z balonem przybrały dla mnie wygląd cudaczny. Te objawy przeszły moje oczekiwania i nieco mnie zaniepokoiły. Przynaglony nimi, nader nierozważnie i bez namysłu wyrzuciłem z kosza trzy pięcioletnie kawałki balastu. Skutkiem wywołanego w ten sposób przyspieszenia dostałem się nagle i bez właściwego stopniowania w nadzwyczaj rozrzedzoną warstwę atmosfery, co omal nie pociągnęło za sobą zgubnych następstw dla mnie samego i dla mej wyprawy. Złapał mnie nagle skurcz, trwający przeszło pięć minut, wszelako nawet później, kiedy już nieco zwolnił, chwytałem oddech tylko z długimi przerwami i jakby zachłyśnięty, przy czym krew sączyła się mi obficie z nosa i z uszu, a nawet nieco z oczu. Gołębie miały się nieprzytomne, jak gdyby rwały się do ucieczki; kotka miauczała żałośnie i z wywieszonym ozorem zataczała się w koszu niby pod wpływem jakiejś trucizny. Za późno zdałem sobie sprawę z nieogłędnej pośpiechu w wyrzuceniu balastu i niepokój mój wzmógł się ponad wszelką miarę. Oczekiwałem śmierci, i to bardzo rychłej. Moje niedomagania fizyczne przyczyniły się również do tego, by mnie uczynić prawie niezdolnym do jakiegokolwiek próby ocalenia życia. Przytomność umysłu niemal mnie odbiegła, a ból głowy zdawał się wzmacniać nieustannie. Czuję, że za chwilę zemdleję, i ująłem już linę do otwierania balonu, by opuścić się na dół, gdy myśl o zbrodni, którą popełniłem, wprowadzając w zasadzkę trzech lichwiarzy, i o jej możliwych w razie mego powrotu następstwach sprawiła, iż zawahałem się na chwilę. Położyłem się na dnie kosza i starałem się zebrać myśli. Powiodło mi się o tyle, iż postanowiłem puścić sobie krew. Ponieważ nie miałem lancetu, musiałem dokonać tej operacji w inny sposób, i ostatecznie postawiłem na swoim, otwierając sobie żyłę lewego ramienia ostrzem scyzoryka. Skoro tylko krew zaczęła się

sączyć, doznałem wielkiej ulgi, kiedy zaś utoczyłem jej z jakie pół miski, niemal wszystkie przykre objawy ustąpiły zupełnie. Mimo to nie wydawało mi się rzeczą właściwą od razu spróbować, czy zdołam utrzymać się na nogach; obandażowałem zatem jako tako me ramię i jeszcze z jakiś kwadrans leżałem spokojnie. W końcu powstałem i uświadomiłem sobie, że od pięciu kwadransów, to znaczy, od chwili mojego wzlotu, nigdy nie czułem się równie czerstwy i swobodny. Co prawda, trudność oddychania zmniejszyła się tylko bardzo nieznacznie i trzeba było niezwłocznie przystąpić do zastosowania mojego aparatu zgęszczającego. Przypadkiem spojrzałem na kotkę, która znów wylegiwała się rozkosznie na moim płaszczu, i z ogromnym zdumieniem spostrzegłem, iż podczas mojego niedomagania zdążyła okocić się i wydać na świat troje kociąt. Było to pomnożenie ilości podróźnych, zgoła przeze mnie nie oczekiwane; mimo to sprawiło mi uciechę. Dało mi bowiem możliwość sprawdzenia pewnej okoliczności, która więcej niż wszystko inne skłoniła mnie do podjęcia mojego wzlotu. Mianowicie wyobrażałem sobie, że przyzwyczajenie do ciśnienia atmosferycznego na powierzchni ziemi, jeżeli nie w zupełności, to przynajmniej w znacznej mierze jest przyczyną dolegliwości, jakim ulegają istoty żyjące, gdy znajdują się na pewnej wysokości ponad powierzchnią. Gdyby kocięta miały ulegać przypadłościom w tym samym stopniu, co ich matka, byłbym zmuszony przyznać, iż byłem w błędzie, miałem, atoli przeciwny dowód przed oczyma i mogłem go uważać za niezawodne potwierdzenie mej teorii.

O godzinie ósmej znajdowałem się na wysokości siedemnastu mil ponad powierzchnią Ziemi. Zaświtało mi wówczas w myślach nie tylko to, że chyżość mojego wzlotu doznała przyśpieszenia, lecz także i to, że owo przyśpieszenie, w mniejszym co prawda stopniu, byłoby nastąpiło nawet w takim razie, gdybym nie był wyrzucił balastu. Ból głowy i uszu wzmagął się chwilami bardzo silnie i wciąż jeszcze puszczała mi się krew z nosa; wszelako na ogół cierpiałem znacznie mniej, aniżeli się spodziewałem. Oddychałem jednakowoż z coraz większą trudnością i każdy oddech był połączony z niemiłym skurczem klatki piersiowej. Wydobyłem tedy aparat zgęszczający i poczyniłem przygotowania do niezwłocznego użytku.

Widok Ziemi w tym okresie mojego wzlotu był istotnie wspaniały. Ku zachodowi, ku północy i ku południu rozciągała się niezmiernie płaska powierzchnia pozornie spokojnego oceanu, co z każdą chwilą coraz mocniej nasycił się błękitem. W ogromnej odległości, hen, ku wschodowi, widniały wyraziście wyspy Wielkiej Brytanii, całe wybrzeże atlantyckie Francji i Hiszpanii wraz z wąską smugą północnej połaci lądu afrykańskiego. Śladu jakichkolwiek zabudowań dostrzec nie było podobna i najdumniejsze miasta ludzkości znikły zupełnie z oblicza Ziemi.

Śród rzeczy, co pozostały pode mną, zadziwiła mnie przede wszystkim widoczna wklęsłość powierzchni kuli ziemskiej. Nie zastanowiwszy się rozważnie, mniemałem, iż ujrzę, jak jej rzeczywista wypukłość będzie się uwydatniała w miarę mojego wzlotu; wszelako dość było chwili namysłu, bym zdał sobie sprawę z tej sprzeczności. Linia, przeprowadzona od punktu, w którym się znajdowałem, prostopadle do Ziemi, byłaby utworzyła prostopadłą trójkątą prostokątną, którego podstawa przebiegałaby od kąta prostego do widnokregu, zaś przeciwprostokątnia od widnokregu do mej pozycji. Wszelako moje wzniesienie było niemal nic nie znaczące w porównaniu z rozległością mego widoku. Innymi słowy, podstawa i przeciwprostokątnia domniemanego trójkąta były w tym wypadku i w porównaniu z prostopadłą tak długie, iż mogłyby niemal uchodzić za równoległe. Oto przyczyna, dla której widnokrąg napowietrznego żeglarza zda się zawsze znajdować na poziomie kosza balonu. Ponieważ punkt, znajdujący się bezpośrednio pod stopami tego żeglarza, wydaje się mu i jest istotnie w ogromnej pod nim głębokości, przeto ulega on wrażeń, iż ów punkt znajduje się również w ogromnej głębokości poniżej widnokregu. Stąd wrażenie wklęsłości, wrażenie to musi trwać dopóty, dopóki między wzniesieniem a rozległością widoku nie wytworzy się różnica tak wielka, iż pozorna równoległość podstawy i przeciwprostokątnej zaniknie.

Wydawało mi się, iż gołębie bardzo się męczą, więc postanowiłem wypuścić je na wolność. Odwiązałem najpierw jednego, pięknego, podpalanego gołębia i posadziłem go na brzegu kosza. Zdawał się bardzo niepokoić, spoglądał trwożnie dokoła, trzepotał skrzydłami i gruchał żałośnie, ale nic mógł odważyć się na opuszczenie swego miejsca. W końcu wziąłem go w rękę i wyrzuciłem na jakie sześć jardów z balonu. Mimo to nie próbował, jak przypuszczałem, zlecieć w dół, lecz rwał się zapamiętale do powrotu, wydając nadzwyczaj ostre i przenikliwe krzyki. W końcu udało mu się usiąść na dawnym miejscu, lecz wnet potem zwiesił głowę na piersi i potoczył się martwy w głąb kosza. Los jego następcy był znacznie pomyślniejszy. Nie chcąc, by poszedł za przykładem swego towarzysza i znów powrócił, rzuciłem go z całej siły w dół i ucieszyłem się, że zlatywał chyżo coraz niżej, poruszając lekko i najzupełniej naturalnie skrzydłami. Bardzo rychło znikł mi z oczu i jestem pewien, że szczęśliwie dotarł do swego gołębnika. Kotka, u której objawy niedomagania przeszły już niemal zupełnie, urządziła sobie wyborną ucztę z martwego ptaka i najzupełniej zadowolona ułożyła się do snu. Kocięta były bardzo ożywione i nie doznawały żadnych dolegliwości.

O kwadrans na dziewiątą, nie mogąc już, dłużej oddychać bez nieznośnego bólu, jąłem dokoła kosza rozpinać przyrząd stanowiący część aparatu zgęszczającego. Przyrząd ten będzie wymagał pewnych wyjaśnień i Wasze Ekscelencje raczą uświadomić sobie, iż moje zadanie polegało przede wszystkim na tym, by siebie wraz z koszem oddzielić całkowicie oponą od wielce rozrzedzonej atmosfery, w której przebywałem, jako też wprowadzić do wnętrza owej opony za pomocą aparatu zgęszczającego odpowiednią ilość tejże samej atmosfery, wszelako odpowiednio zgęszczonej i nadającej się do oddychania. Mając cel ten na oku, przygotowałem wór kauczukowy, bardzo mocny, nie przepuszczający powietrza i wielce rozciągliwy. Wór ten posiadał odpowiednie rozmiary i poniekąd mieścił w sobie cały kosz, to znaczy, otaczał dno kosza, obejmował jego ściany i sięgał wzdłuż lin wyżej, aż do pierścienia, który przytrzymywał się. Zaciągnąwszy worek i utworzywszy w ten sposób szczelne zamknięcie ze wszystkich stron, trzeba było z kolei zabezpieczyć jego wierzch, czyli wylot, wciągając materię kauczukową aż poza pierścień sieci, czyli innymi słowy, aż do miejsca pomiędzy siecią a pierścieniem. Co atoli miało podtrzymywać kosz w chwili, kiedy należało oddzielić sieć od pierścienia, by przeciągnąć tamtędy brzeg worka? Otóż sieć nie była przymocowana na stałe do pierścienia, lecz przyczepiona za pomocą szeregu luźnych pętli lub węzłów. Rozwiązywałem tedy równocześnie tylko po kilka węzłów, podczas gdy na innych w dalszym ciągu zwieszał się kosz. Przesunąwszy następnie część tkaniny, tworzącej górny skraj worka, przytwierdziłem z powrotem węzły - wszelako nie do pierścienia, gdyż skutkiem przesunięcia opony stało się to niemożliwe - ale do szeregu wielkich guzów, przymocowanych do samejże opony o jakie trzy stopy poniżej wylotu worka w ten sposób, że odstępy między guzami odpowiadały odstępom między węzłami. Zrobiwszy to, odwiązałem znów kilka węzłów z pierścienia, przesunąłem dalszą część opony i rozluźnione węzły zaciągnąłem znów mocno dokoła odpowiednich guzów. Tym sposobem udało się mi przeciągnąć całą górną część worka między siecią a pierścieniem. Oczywiście, iż po tym wszystkim pierścień musiał spaść do kosza, ponieważ cały tegoż ciężar wraz ze wszystką zawartością zależał odtąd wyłącznie od siły guzów. Z pozorów nie przedstawiało to dostatecznego zabezpieczenia; wszelako w rzeczywistości tak nie było, nie tylko dlatego, że

poszczególne guzy były bardzo mocne, ale i dla tego, iż znajdowały się tak blisko siebie, że na każdy z nich przypadła tylko nieznaczna cząstka całego ciężaru. Sądzę, iż gdyby kosz z całą zawartością był nawet trzy razy cięższy, nie byłoby do jakichkolwiek obaw żadnego powodu. Następnie wewnątrz opony kauczukowej podsunąłem znów pierścieni w górę i podparłem go mniej więcej na poprzedniej wysokości trzema lekkimi drążkami, przygotowanymi w tym celu. Zrobiłem to, by rozszerzyć wór u góry i utrzymać dolną część sieci we właściwej pozycji. Pozostawało tylko zamknąć wylot opony; nie przedstawiało to żadnej trudności, gdyż dość było zebrać wszystkie fałdy tkaniny razem i skrócić je bardzo mocno od wnętrza za pomocą odpowiedniego zwornika.

W ścianach opony, rozpiętej w ten sposób dokoła kosza, znajdowały się trzy okrągłe okienka z grubego, lecz przezroczystego szkła, przez które mogłem widzieć wszystko, co działo się dokoła mnie w płaszczyźnie poziomej. W części opony, która stanowiła dno, mieściło się czwarte, podobne okienko, odpowiadające niewielkiemu otworowi w dnie kosza. Mogłem przez nie spoglądać prostopadle w dół. Natomiast trudno było pomyśleć o podobnym urządzeniu w górze z powodu właściwego sposobu zamknięcia otworu i wynikającego stąd sfałdowania tkaniny; musiałem przeto wyrzec się widoku przedmiotów znajdujących się wprost nade mną. Nie miało to zresztą dla mnie większego znaczenia, gdyż takie okienko, umiejscowione u góry, byłoby w zupełności zasłonięte balonem.

Na stopę poniżej jednego z bocznych okienek znajdował się okrągły otwór, o średnicy trzech cali, obrzeżony mosiężną kresą, która od strony wewnętrznej miała urządzenie odpowiadające skrętom śruby. W kresę tę wkrecona była wielka rura aparatu zgęszczającego, którego część główna mieściła się oczywiście w komorze kauczukowej. Za pomocą próżni, wytwarzanej wewnątrz maszyny, napływało przez tę rurę powietrze, które ulegało zgęszczeniu i wypuszczone do wnętrza komory mieszało się z jej rozrzedzonym powietrzem. Po kilkakrotnym powtórzeniu tej operacji, uzyskiwało się w komorze atmosferę odpowiadającą w zupełności potrzebom oddychania. Wszelako w przestrzeni tak zacieśnionej powietrze musiało rychło, skutkiem częstego stykania się z płucami, ulegać zepsuciu i stawać się szkodliwe dla zdrowia. Usuwało się je przeto przez niewielki wentyl, znajdujący się w dnie kosza, ile że powietrze gęste z łatwością opadało w rozrzedzoną warstwę znajdującą się poniżej atmosfery. By uniknąć niedogodności, wynikających z wytwarzania co chwila zupełnej próżni w komorze, oczyszczania tego nie dokonywało się nigdy od razu, lecz stopniowo, mianowicie w ten sposób, iż otwierało się wentyl tylko na krótką chwilę, po czym zamykało się znowu, ażeby jedno lub dwa pociągnięcia pompy aparatu zgęszczającego zdołały wypełnić miejsce powietrza usuniętego. Z upodobania do doświadczeń włożyłem kotkę wraz z kociećkami do małego koszyka i zawiesiłem go po zewnętrznej stronie kosza na guzie, co znajdował się pod dnem, tuż obok wentylatora, przez który mogłem podawać zwierzętom pokarm w razie potrzeby. Zrobiłem to przed zamknięciem wylotu komory i z niejaką trudnością, chcąc bowiem dosięgnąć dna kosza, musiałem posłużyć się jednym z drążków, na których wspierał się pierścień. Z chwilą gdy zgęszczone powietrze napłynęło do komory, pierścieni i drążki nie były już potrzebne, gdyż parcie zamkniętej atmosfery rozdymało znakomicie oponę, kauczukową.

Kiedy zdążyłem ukończyć mą pracę i napełnić komorę zgęszczonym powietrzem, zbywało zaledwie dziesięć minut do godziny dziewiątej. Przez cały czas spędzony na tych zajęciach, doznawałem najokropniejszych cierpień, wywołanych trudnością oddychania. Gorzko żałowałem zaniedbania lub raczej niedorzecznego zuchwalstwa, którego się dopuściłem, odkładając tak ważną sprawę do ostatniej chwili. Wszelako załatwiwszy się z nią, rychło jąłem korzystać z dobrodziejstwa swej pomyślności. Znowu oddychałem z największą swobodą i łatwością - bo dlacegóż miałyby być inaczej? Doświadczyłem również miłej niespodzianki, kiedy uczułem znaczną ulgę w dotkliwych bólach, co udęrczały mnie dotychczas. Lekki ból głowy, połączony z wrazeniem obrzęku czy rozdęcia w okolicy stawu nadgarstkowego, stawu skokowego i gardła - oto niemal wszystko, co mi jeszcze dolegało. Okazało się zatem, iż znaczniejsza cześć niedomagań, spowodowanych usunięciem ciśnienia atmosferycznego, znikła - jak przewidywałem - zupełnie, jako też że mnóstwo cierpień, których doznawałem w przeciągu dwu ostatnich godzin, należało przypisać wyłącznie następstwom niedostatecznego oddychania.

Na dwadzieścia minut przed dziewiątą - to znaczy, na krótko przed zamknięciem komory - rteć dosięgła swych granic i spadła na dół w barometrze o którym już wspominałem, że był znacznych rozmiarów. Wskazywał mi on podówczas wysokość 132 000 stóp, czyli dwudziestu pięciu mil, co oznaczało, iż obejmowałem w tej chwili spojrzeniem nie mniej niż trzechsetną dwudziestą część całkowitej powierzchni ziemskiej. O godzinie dziewiątej straciłem ponownie z oczu ląd w kierunku wschodnim, zdążyłem jednak zauważyć przedtem, iż balon zwrócił się nagle ku północno-północnemu zachodowi. Ocean, rozokolony pode mną, wciąż jeszcze sprawiał wrażenie wklęsłości, jakkolwiek zasłaniały mi go często wążające się zwałami w przestworzach obłoki.

O godzinie wpół do dziesiątej wykonałem doświadczenie z pierzem, którego garść wyrzuciłem przez wentyl. Piórka nie pofrunęły, jak się spodziewałem, lecz jeły spadać na dół prostopadle, en masse, jak kula, i z ogromną chyżością znikły mi wnet z oczu. Nie wiedziałem zrazu, co myśleć o tym szczególniejszym zjawisku, gdyż nie mogłem uwierzyć, by moja chyżość wznoszenia się nabyła nagle takiego zawrotnego przyspieszenia. Lecz wnet przyszło mi na myśl, iż atmosfera znajdowała się już w stanie takiego rozrzedzenia, że nie mogła utrzymać nawet pierza; że spadało ono istotnie, jak zresztą mi się zdawało, z ogromną chyżością; i że wprawiła mnie w osłupienie skojarzona chyżość ich spadku i mego własnego wzlotu.

O godzinie dziesiątej zdałem sobie sprawę, iż na razie pozostaje mi bardzo niewiele do czynienia. Wszystko szło składnie i byłem pewien, że balon wzbija się z chyżością wciąż wzrastającą, aczkolwiek nie miałem już sposobu, by sprawdzić to przyspieszenie. Nic mnie nie bolało ani mi nie dolegało i nigdy nie czułem się lepiej, odkąd opuściłem Rotterdam. Zajmowałem się tedy bądź to badaniem mych różnych przyrządów, bądź też odświeżaniem powietrza w komorze. Postanowiłem dokonywać tego odświeżania w regularnych odstępach, co czterdzieści minut, nie tyle ze względu na niezbędną konieczność, co z uwagi na zachowanie mojego zdrowia. Nie mogłem się przy tym powstrzymać od snucia różnych przypuszczeń. Marzenie pławiło się w tajemniczych, snem osnutych przestworzach księżycowych. Wyobraźnia, stargawszy wreszcie wszelkie pęta, błądziła swobodnie wśród wiecznie zmiennych dziwów mrocznej i niedocieczonej krainy. Raz były to okryte szronem, praodwieczne bory, to znów urwiska skalne lub wodospady, staczające się wśród rozchuków w bezdenne otchłanie. Po czym przenosiłem się nagle w ustronia ciche i ubłogosławione południowym słońcem, dokąd nie docierały nigdy wichry widnokrzęne i gdzie w rozemdlone dale roztaczały się nieprzejrzane stepy, pałające makami i jakimś liliowosmukłym kwieciem, ponurzonym w wiekiustą nieruchomość i milczenie. Stamtąd odbywałem dalekie podróże w jakieś inne kraje, gdzie nie było nic prócz głuchych, posepnych jezior, obrzeżonych pierścieniami mgieł. Wszelako nie tylko takie obrazy przebłyskiwały mi w mózgu. Niejednokrotnie umysł mój stawał się pastwą najstraszliwszych i najbardziej przerażających okropności, co wstrząsały do najwnętrznich głębi mą duszę samym

tylko ich możliwości przypuszczeniem. Atoli nie mogłem pozwalać, by moje myśli pograżały się na dłużej w podobnych zadumach, mniemając słusznie, iż rzeczywiste i uchwytnie niebezpieczeństwa podróży winny niepodzielnie zaprzętać mą uwagę.

O godzinie piątej po południu, zajmując się odświeżeniem atmosfery w mej komorze, miałem sposobność zajrzeć przez wentyl do kotki z kociećtami i poczynić nad nimi spostrzeżenia. Kotka - jak mi się zdawało - doznawała znów dotkliwych cierpień, które przypisałem bez wahania tylko trudnościom w oddychaniu; natomiast eksperyment z kociećtami doprowadził do nader osobliwych wyników. Oczekiwałem, jak łatwo się dorozumieć, że będą podlegały niedomaganiom, acz w mniejszym stopniu niż ich matka; byłoby to dla mnie dostatecznym potwierdzeniem poglądu dotyczącego nawykowej odporności na ciśnienie atmosferyczne. Nie byłem natomiast przygotowany, iż zastanę je w doskonałym zdrowiu, że będą oddychały z największą łatwością i prawidłowością, nie objawiając przy tym najlżejszych oznak osłabienia. Nie pozostawało mi zatem nic innego, jak poszerzyć mą teorię i przyjąć, że mocno rozrzedzona atmosfera nie jest snadź - jak mniemałem na pewno chemicznie niewystarczająca do podtrzymania życia i że istota, zrodzona w takim środowisku, mogłaby zgoła nie doznawać żadnych przykrości przy oddychaniu - przeniesiona natomiast w gęstsze warstwy powietrzne, bliżej Ziemi, mogłaby doświadczyć takich samych udreczeń, jakich ja do niedawna na sobie doświadczałem. Niemałą później było dla mnie przykrością, iż nieszczęsny wypadek przyprawił mnie wnet potem o utratę kociej rodziny i pozbawił możności głębszego wniknięcia w owo zagadnienie, wymagające dalszych i nieprzerwanych doświadczeń. Kiedy mianowicie przesunąłem rękę przez wentyl, by podać kotce miseczkę z wodą, zaczepiłem rękawem od koszuli o węzeł, który podtrzymywał koszyk, i nagłym szarpnięciem odwiązałem go z guza. Gdyby miał on błyskawicznie rozwiąć się w powietrzu, nie byłby mi znikł z oczu naglej i niespodziewaniej. Śmiało mogę utrzymywać, iż między odwiązaniem się koszyka a zupełnym jego zniknięciem nie upłynęła nawet dziesiąta część sekundy. Posłałem w ślad za nim najlepsze me życzenia, ale oczywiście nie miałem nadziei, by kotka i jej maleństwa uszły cało i były w możności opowiedzieć na Ziemi historie swego nieszczęścia.

O godzinie szóstej zauważyłem, iż wielka połać widzianej powierzchni ziemskiej zanurzyła się od wschodu w mrocznych cieniach, które posuwały się naprzód z wielką chyżością, zaś na pięć minut przed siódmą cała przestrzeń, dostępna dla mojego wzroku, spowiła się ciemnością nocy. Atoli dopiero znacznie później promienie zachodzącego Słońca przestały oświecać balon; okoliczność ta, wprawdzie najzupełniej przewidziana, mimo to niewymowną sprawiła mi radość. Zdałem sobie sprawę, iż rankiem będę oglądał wzejście kręgu słonecznego o wiele godzin wcześniej niż obywatele rotterdamscy, jakkolwiek znajdowali się ku wschodowi znacznie dalej ode mnie; i tak z dnia na dzień, w odpowiednim stosunku do wysokości osiąganey, będę mógł radować się jaśnią słoneczną coraz dłużej. Postanowiłem odtąd prowadzić dziennik podróży, licząc na dobę dwadzieścia cztery bieżących godzin, bez względu na przerwy, spowodowane ciemnością.

O godzinie dziesiątej zebrało mi się na sen i postanowiłem już resztę nocy przeznaczyć na wypoczynek, gdy wtem wyłoniła się trudność, która mimo swej oczywistości uchodziła mej uwagi aż do ostatniej chwili. Gdybym ułożył się do snu, jak zamierzałem, w jaki sposób miało się odbywać tymczasem odświeżanie atmosfery w komorze? Oddychać nią dłużej niż godzinę było wprost niepodobieństwem; gdyby zaś przedłużyło się ten czas bodaj do pięciu kwadransów, następstwa mogłyby być opłakane. Zagadnienie to przyczyliło mi niemałej troski i wierzyć się po prostu nie chce, że po przebytych niebezpieczeństwach mogłem je brać sobie tak bardzo do serca, iż zwątpiłem o powodzeniu moich zamierzeń i gotów już byłem uznać konieczność powrotu na Ziemię. Wszelako to wahanie było tylko chwilowe. Jąłem rozumować, iż człowiek jest istnym niewolnikiem swych nawyków i że mnóstwo szczegółów powszedniego trybu jego istnienia wydaje się czymś istotnie ważnym, jest zaś nim tylko o tyle, o ile niezbędnym uczyniło je przyzwyczajenie. Nie mogłem jużci obejść się bez snu, lecz mogłem z łatwością wymóc na sobie, iż nie będę odczuwał przykrości, gdy przyjdzie mi co godzina przerwać sobie odpoczynek. Trzeba było zaledwie pięciu minut, by dokonać zupełnego odświeżenia atmosfery, i jedyną rzeczywistą trudnością było obmyślenie sposobu, który by mi pozwolił budzić się do tej czynności zawsze we właściwej chwili. Było to jednakże zagadnienie, którego rozwiązanie - by wyznać szczerze - sprawiło mi niemało kłopotu. Kiedyś słyszałem o studencie, który obawiając się zasnąć nad książkami, trzymał w ręce miedzianą kulę; kula ta, padając z łoskotem do miednicy z tegoż samego metalu, ustawionej obok jego krzesła na podłodze, budziła go, ilekroć zdarzyło się mu zdrzemnąć. Co prawda, moje warunki były zupełnie odmienne i nie nastroczały sposobności do zastosowania podobnego sposobu; nie chodziło mi bowiem o to, by nie zasnąć, lecz by się budzić w określonych odstępach czasu. W końcu wpadłem na pomysł, który mimo swej pierwotności wydał mi się w chwili odkrycia wynalazkiem nie mniej ważnym niż teleskop, maszyna parowa lub nawet sztuka drukarska.

Godzi się przede wszystkim zaznaczyć, iż balon, wzniósłszy się do określonej wysokości, podążał dalej w górę równym, miarowym pędem i że kosz unosił się za nim nadzwyczaj równomiernie i bez najlżejszych wahań. Okoliczność ta sprzyjała wielce projektowi, który zamierzałem skutecznie. Mój zapas wody znajdował się w baryłkach, z których każda miała pięć galonów pojemności i była przytwierdzona nader mocno we wnętrzu kosza. Odwiązałem jedną z nich, po czym wzięłem dwa powrozy i przywiązałem je do przeciwnych brzegów kosza w ten sposób, iż przebiegały poprzecznie i równolegle przez kosz, tworząc jakby półki; szerokości jednej stopy; na półce tej umieściłem i umocowałem poziomo ową baryłkę. Na osiem cali poniżej owych powrozów i na cztery stopy ode dna kosza urządziłem drugą podobną półkę - wszelako nie ze sznurów, lecz z cienkiej deseczki, która była jedynym tego rodzaju przedmiotem z drzewa, znajdującym się podówczas w mym posiadaniu. Na tej niższej półce i tuż poniżej brzeżka owej baryłki ustawiłem niewielki, gliniany dzbanek. Następnie wywierciłem otwór na kraju baryłki ponad owym dzbankiem; otwór ten zaopatrzyłem w czop z miękkiego drzewa, wystrugany stożkowato. Wkładałem i wyjmowałem go kolejno, aż wreszcie po wielu próbach osadziłem go dokładnie w ten sposób, iż woda, sącząc się z baryłki i ściekając do podstawnego dzbanka, napełniała go po wręby w przeciągu sześćdziesięciu minut. Dało się to ustalić bardzo rychło i łatwo, obserwując stosunek, w jakim do pewnej wysokości napełniał się dzban w określonym czasie. Uporawszy się z tym wszystkim, nie miałem już dalszych trudności. Moje posłanie było w ten sposób umieszczone na dnie kosza, iż gdy się położyłem, głowa moja znajdowała się bezpośrednio pod dziobem dzbanka. Nie ulegało wątpliwości, iż po upływie godziny dzban musi się przepełnić i woda przeleje się przez dziób, umieszczony nieco poniżej wrębu. Było również rzeczą pewną, iż woda, spadając z wysokości przeszło czterech stóp, musi dosięgnąć mej twarzy i spowodować natychmiastowe me przebudzenie, gdybym nawet usnął jak kamień.

Było już dobrze po jedenastej, kiedy ukończyłem te urządzenia i udałem się niezwłocznie na spoczynek z zupełną ufnością w skuteczność mojego wynalazku. Jakoż nie spotkałem się z zawodem. Dokładnie co sześćdziesiąt minut budził mnie mój niezawodny czasomierz; wypróżniwszy dzban do baryłki i puściwszy w ruch aparat zgęszczający, kładłem się

znovu. Te regularne przerwy w śnie sprawiały mi o wiele mniej przykrości, niżeli pierwotnie przypuszczałem; kiedym zaś w końcu wstał już na dobre, była godzina siódma i Słońce jaśniało wysoko nad linią mojego widnokregu.

3 kwietnia. Zauważyłem, że balon znajduje się na niesłychanej wysokości i że wypukłość Ziemi zaznaczyła się wreszcie z ogromną wyrazistością. Podałem mną, na oceanie, widnieją kępy czarnych plamek; są to niezawodnie wyspy. Nade mną niebo, czarne jak smoła, rozmięgotane od najdokładniej widocznych gwiazd; wygląd ich w niczym się nie zmienił od pierwszego dnia mojego wlotu. Hen, ku północy, dostrzegłem na skraju widnokregu jakąś linię czy smugę, cienką, białą i nadzwyczaj lśniąca, która od razu wydała mi się południowym krańcem lodozwałów na Północnym Oceanie Lodowatym. Zaciekawienie moje wzmożło się niepomniernie, gdyż miałem nadzieję podążyć znacznie dalej ku północy i, być może, znaleźć się w pewnej chwili tuż nad samym biegunem. Nie mogłem tedy powstrzymać się od ubolewania, iż zawrotna wysokość, na której się znajdowałem, nie pozwoli mi zapewne poczynić tak dokładnych spostrzeżeń, jakbym tego pragnął. Mimo to niejedno dałoby się jeszcze zauważyć.

Poza tym przez cały dzień nie zaszło nic nadzwyczajnego. Mój aparat spełniał swe zadanie prawidłowo, zaś balon ciągle podążał w górę bez dostrzegalnych wahań. Zimno było przejmujące i zmusiło mnie do przywdziania ciepłego płaszcza. Gdy ciemność zaległa ziemię, udałem się na spoczynek, jakkolwiek jeszcze przez wiele godzin nie opuszczało mnie jasne światło dzienne. Mój zegar hydrauliczny nie zawiódł ani razu pokładanych w nim nadziei, więc spałem aż do rana znakomicie, z wyjątkiem koniecznych, cogodzinnych przerw.

4 kwietnia. Wstałem, zdrów na duchu i na ciele, i byłem zdumiony szczególniejszą zmianą, jaka zaszła w wyglądzie morza. Postradało ono w znacznej mierze głęboki nalot błękitu, który je dotychczas powlekał, i przybrało odcień białawo-szary o połysku, co zrywał oczy. Wypukłość oceanu uwydatniała się z taką mocą, iż wszystek ogrom dalekich jego wód zdawał się przelewać błyskawicznie w otchłań widnokregu i byłem niemal gotów wspiąć się na palcach i nastawić ucha, by posłuchać ech, dolatujących od potężnego wodogrzmotu. Wysp już nie było widać i nie umiem powiedzieć, czy przesunęły się poza widnokąg ku południowemu wschodowi, czy też stało się to za sprawą wciąż zawrotniejszej wysokości, iż straciłem je z oczu. Mimo wszystko byłem skłonny przypuszczać raczej to ostatnie. Smuga lodowa od strony północnej wyrzynała się coraz wyraźniej. Ziab znacznie złagodniał. Nie zaszło nic ważniejszego. Spędziłem cały dzień na czytaniu, gdyż nie zaniedbałem zaopatrzyć się w książki.

5 kwietnia. Byłem świadkiem szczególniejszego zjawiska: oto Słońce już wzeszło, a niemal cała widzialna powierzchnia Ziemi wciąż jeszcze nurzała się w ciemności. Wnet wszakże jęły blaski roztaczać się wokół i znów ujrzałem lodową smugę od strony północnej. Zaznaczała się teraz bardzo wyraziście i mieniła się barwą znacznie ciemniejszą niż wody oceanu. Zbliżałem się widocznie ku niej z wielką chyżością. Zdawało mi się, iż dostrzegałem skrawek lądu od wschodu i takież sam od zachodu, wszelako nie byłem pewny. Temperatura umiarkowana. Ważniejszych zdarzeń dnia tego nie było. Poszedłem wcześniej spać.

6 kwietnia. Zdumiałem się ujrzawszy smugę lodową w bardzo nieznacznej odległości, a tuż za nią niezmierzone przestwory lodowe, rozkolone hen, aż po widnokąg od strony północnej. Nie ulegało już wątpliwości, iż, o ile balon zachowa dotychczasowy kierunek, będę unosił się wkrótce nad Oceanem Lodowatym i wreszcie ujrzę biegun. Przez cały dzień podążałem coraz bliżej ku lodom. Pod wieczór rubież mojego widnokregu rozprzestrzeniła się z nagłą i widocznie; pochodziło to prawdopodobnie stąd, iż Ziemia ma kształt spłaszczonego sferoidu, ja zaś zdążyłem dotrzeć w okolicę tego spłaszczenia, znajdującą się w pobliżu koła podbiegunowego. Kiedy wreszcie ciemność mnie ogarnęła, udałem się na spoczynek z wielką obawą, iż mogę minąć przedmiot tak bardzo zajmujący i postradam sposobność przyjrzenia się mu dokładniej.

7 kwietnia. Wstałem wcześniej i ku niewymownej swej radości dostrzegłem w końcu to, co bez wahania narzuciło się memu pojęciu jako rzeczywisty Biegun Północny. Niewątpliwie był to biegun i znajdował się wprost pod moimi stopami; ale, niestety, unosiłem się już tak wysoko, iż nie mogłem niczego widzieć dokładnie. Jakoż sądząc z postępu liczb, wskazujących różnicę moich wzniesień w stosunku do różnicy czasokresów między godziną szóstą po południu dnia drugiego kwietnia a godziną ósmą minut czterdzieści wieczorem tego samego dnia (kiedy barometr opadł na dół) - można było ze wszelkim prawdopodobieństwem przypuszczać, iż w chwili obecnej, to znaczy o godzinie czwartej rano dnia siódmego kwietnia, balon wzbilił się do wysokości na pewno nie mniejszej niż 7254 mil ponad powierzchnię morza. Wzniesienie to może się wydać czymś niesłychanym, wszelako obliczenie, na którym ono się opiera, dało niezawodnie wynik o wiele niższy od rzeczywistego. To pewna, iż miałem przed oczami całkowitą większą średnicę Ziemi; cała półkula północna leżała pode mną niby mapa w rzucie pionowym, zaś wielkie koło równikowe tworzyło rubież mojego widnokregu. Wasze Eksceleńce pojmyą chyba z łatwością, iż połacie, dotychczas nie zbadane, a zamknięte w okręgu koła biegunowego, jakkolwiek znajdowały się wprost pode mną i mogły być przeto widziane pozornie bez skrótów, były mimo to zbyt pomniejszone i od punktu widzenia zbyt odległe, iżbym mógł być dokonać jakichkolwiek dokładniejszych badań. Bądź co bądź to, co można było zobaczyć, przedstawiało się nadzwyczaj zajmująco i osobliwie. Na północ od owej potężnej zawory, o której już wspominałem, a która, z niejakimi zastrzeżeniami, stanowi granicę ludzkich odkryć w tych stronach, rozpościera się nieprzerwana lub niemal nieprzerwana skorupa lodowa. Od samego prawie skraju powierzchnia jej obniża się bardzo wyraźnie, dalej przechodzi w płaszczyznę, a wreszcie, tworząc wcale znaczne zagłębienie, kończy się u samego bieguna kolistym ośrodkiem, ostro zakreślonym, którego średnica widoczna przebiegała w stosunku do balonu pod kątem sześćdziesięciu pięciu sekund. Ośrodek ten był barwy ciemnej o zmiennym natężeniu, wszelako stale ciemniejszej od każdego innego punktu, zaznaczającego się na półkuli; niekiedy barwa ta pogłębiała się do zupełnej czerni. Poza tym niewiele dawało się rozróżnić. Około dwunastej kolisty ośrodek zmniejszył się widocznie, zaś około siódmej po południu straciłem go zupełnie z. oczu, gdyż balon przepłynął ponad zachodnim krańcem lodów i zdążył pośpiesznie ku równikowi.

8 kwietnia. Stwierdziłem znaczne zmniejszenie się widocznej średnicy Ziemi, której wygląd i barwa na ogół wielce się zmieniły. Cała powierzchnia dostrzegalna tęczywała odcieniami bladej żółcizny, zaś tu i ówdzie nabierała połysku, wprost przykrego dla oczu. Niemałą również dla badań mych przeszkodą była gęsta atmosfera, osłaniająca powierzchnię i przetkana zwalami obłoków, które tylko od czasu do czasu pozwalały mi ujrzyć skrawek Ziemi. Ta trudność niezamąconego patrzenia już od czterdziestu ośmiu godzin dawała mi się mniej lub więcej we znaki; wszelako niesłychana wysokość, na której obecnie się znajdowałem, przybliżała jeszcze lotne ogromy wyziewów, zaś owa niedogodność musiała stawać się oczywiście coraz dotkliwsza w miarę dalszego mojego wlotu. Bądź co bądź zdołałem zauważyć bez trudu, iż balon unosi się nad wielkimi jeziorami Ameryki Północnej i że zmierza wprost na południe, dzięki czemu mogłem znaleźć się wkrótce w okolicach podzwrotnikowych. Okoliczność ta sprawiła mi niemałe zadowolenie i powitałem ją jako

zapowiedź ostatecznego powodzenia. Kierunek, w którym poprzednio podążałem, napelniał mnie niepokojem, było bowiem rzeczą oczywistą, iż gdyby nie miał ulec zmianie, nie mógłbym myśleć o wylądowaniu na Księżycu, którego orbita nachyla się do ekliptyki zaledwie pod niewielkim kątem $5^{\circ}8'48''$. Aczkolwiek wyda się to czymś niepojętym, muszę wyznać, iż dopiero w ostatniej chwili jałem pojmywać, jak wielkiego dopuściłem się błędu, nie wybierając do odlotu takiego miejsca na Ziemi, które by leżało w płaszczyźnie elipsy księżycowej.

9 kwietnia. Średnica Ziemi ogromnie dziś się zmniejszyła, a żółta barwa jej powierzchni pogłębiała się z godziny na godzinę. Balon podążał nieustannie na południe i o godzinie dziewiątej wieczorem znajdował się nad północnym krańcem Zatoki Meksykańskiej.

10 kwietnia. Dziś około godziny piątej rano obudził mnie ze snu donośny i straszliwy trzask, z którego żadna miarą nie umiem zdać sobie sprawy. Trwał bardzo krótko i nie był podobny do żadnego zgiełku, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się słyszeć na Ziemi. Nie potrzebuję chyba dodawać, iż zaniepokoiłem się niepomiernie, mniemając w pierwszej chwili, że trzask ten jest zwiastunem pęknięcia balonu. Zbadałem tedy z największą dokładnością wszystkie me aparaty, lecz nie zdołałem odkryć żadnego uszkodzenia. Spędziłem znacznie większą część dnia na rozważaniu tego osobliwszego zdarzenia, lecz mimo to nie zdołałem pojąć, czemu je należy przypisać. Udałem się na spoczynek wielce strapiony, pełen obawy i zaniepokojenia.

11 kwietnia. Stwierdziłem niesłychane zmniejszenie się widocznej średnicy ziemskiej, a natomiast znaczne i po raz pierwszy dostrzegalne zwiększenie się średnicy Księżyca, którego pełnia miała nastąpić za kilka dni. Potrzeba było długiej i uciążliwej pracy, zanim powiodło mi się uzyskać w komorze dostateczne zgęszczenie powietrza atmosferycznego, niezbędnego do oddychania.

12 kwietnia. W kierunku balonu nastąpiła osobliwsza zmiana; przewidywałem ją wprawdzie od dawna, lecz mimo to sprawiła mi nieporównaną radość. Dotarłszy mniej więcej do dwudziestego równoleżnika szerokości południowej, zwrócił się on nagle pod kątem ostrym ku wschodowi i podążał tak przez cały dzień, pozostając stale w płaszczyźnie elipsy księżycowej. Godzi się zauważyć, iż ta zmiana kierunku wywołała wyraźne wahania kosza, które dawały się odczuwać w mniejszym lub większym stopniu przez kilka godzin.

13 kwietnia. Zaniepokoiło mnie znów wielce powtórzenie się owego donośnego trzasku, który przeraził mnie po raz pierwszy 10 bm. Zastanawiałem się długo nad nim, lecz nie zdołałem znaleźć zadowalającego rozwiązania. Widoczna średnica Ziemi zmniejsza się pośpiesznie; w stosunku do balonu przebiega ona pod kątem zaledwie nieco większym od dwudziestu pięciu stopni. Księżyca nie, widziałem wcale, gdyż znajduje się on niemal u mego zenitu. Podążałem wciąż w płaszczyźnie elipsy, lecz przesunąłem się nieco ku wschodowi.

14 kwietnia. Nadzwyczaj pośpieszne zmniejszanie się średnicy ziemskiej. Doznałem dziś silnego wrażenia na myśl, iż balon podąża obecnie po linii apsyd, zmierzając ku perigeum - czyli, innymi słowy, iż bieży w kierunku, który doprowadzi go wprost do Księżyca w części jego orbity położonej najbliżej Ziemi. Księżyc znajdował się bezpośrednio nad moją głową, był więc dla mnie niewidoczny. Znojna i długa praca nad odpowiednim zgęszczeniem atmosfery.

15 kwietnia. Nawet zarysów lądów i mórz na kuli ziemskiej już niepodobna było rozróżnić dokładnie. Około południa usłyszałem po raz trzeci ów przeraźliwy łoskot, który wprawiał mnie w osłupienie poprzednio. Wszelako tym razem trwał dłużej i wzrastał się w miarę trwania. W końcu, kiedy struchlały i znieruchomiał oczekiwałem, sam nie wiem jak potwornego zniszczenia, kosz zakolysał się z niesłychaną siłą i gigantyczna, płomienista bryła jakiegoś materiału, którego nie zdążyłem rozróżnić, z rozhukiem tysiąca gromów, rycząc i wirując, przeleciała obok balonu. Gdy zdołałem ochłonąć nieco ze zdumienia i grozy, doszedłem z łatwością do wniosku, iż był to zapewne potężny odłam wulkaniczny, wyrzucony ze świata, do którego z takim pośpiechem się zbliżałem. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa złom ów należało zaliczyć do owych szczególniejszych głazów, które niekiedy bywają znajdowane na ziemi i w braku dokładniejszego określenia noszą nazwę aerolitów.

16 kwietnia. Kolejno spoglądając dziś w górę przez oba boczne okna, dostrzegłem z niemałą uciechą malutki skrawek kręgu księżycowego, wystający po obu stronach spoza ogromnej bani balonu. Ogarnęło mnie niewysłowione wzruszenie, nie ulegało już bowiem najmniejszej wątpliwości, iż moja niebezpieczna podróż wkrótce się zakończy. Praca przy aparacie zgęszczającym wzmogła się do ostatecznych granic i nie pozwalała mi wcale na wypoczynek. O śnie niemal nie było mowy. Zaniemogłem i jałem drzeć na całym ciele z wyczerpania. Było niepodobieństwem, żeby natura ludzka mogła podolać dłużej takiemu ogromowi cierpienia. Podczas krótkich już teraz ciemności nocnych znów jakiś aerolit przeleciał obok mnie. Częstość tych zjawisk poczyna mnie mocno niepokoić.

17 kwietnia. Dzisiejszy ranek miał dla mej podróży znaczenie epokowe. Trzeba pamiętać, iż 13 bm. Ziemia w stosunku do balonu rozpościerała się pod kątem dwudziestu pięciu stopni. Czternastego nastąpiło znaczne zmniejszenie, które piętnastego jeszcze się wzmogło, zaś nocą szesnastego kwietnia kąt ów wynosił zaledwie około $7^{\circ}15'$. Jakież zatem było me osłupienie, gdy ocknąwszy się siedemnastego rano z krótkiej i niespokojnej drzemki, spostrzegłem, iż powierzchnia globu, rozpostarta pode mną, tak nagle i tak cudacznie powiększyła swą objętość, że widoczna jej średnica nachylała się pod kątem co najmniej trzydziestu dziewięciu stopni. Byłem spiorunowany! Nie ma po prostu słów na wyrażenie ostatecznej, bezgranicznej grozy i zdumienia, które mną owładły, przemogły mnie i pognębiły. Kolana ugięły się pode mną - zęby szczękały - włosy się zjeżyły. „A zatem balon pękł?!” Oto pierwsze moje myśli, które zakłębiły mi się bezładnie w mózgu: „Balon istotnie pękł! Spadałem, spadałem z zawrotną, niesłychaną chyżością! Sądząc po niezmiernie wysokiej, do której zdążyłem wlecieć tak snadnie, za dziesięć minut na Ziemię i pograżę się w unicestwieniu!” Atoli rozważa przyszła mi w końcu z pomocą. Zatrzymałem się; zamyśliłem; jałem wątpić. To było niemożliwe. Nie mogłem żadną miarą tak rychło się obniżyć. Ponadto jakkolwiek zbliżałem się spiesznie do powierzchni widniejącej pode mną, rzeczywistość ma chyżość była najzupełniej niewspółmierna z szybkością, która zrazu mi się uroiła. Te rozważania uśmierzyły znaczne wzburzenie mojego umysłu i ostatecznie zdołałem spojrzeć na to zjawisko z właściwego punktu widzenia. Widocznie przerażenie przyprawiło mnie o utratę przytomności, iż nic mogłem dojrzeć ogromnej różnicy, jaka zachodziła w wyglądzie między rozpostartą pode mną powierzchnią a rodzinną mą Ziemią. Znajdowała się ona wysoko, nad moją głową, zasłonięta przez balon - natomiast pode mną, u moich stóp, widniał Księżyc, Księżyc w chwale swojego przepychu!

Odurzenie i zdumienie, wywołane niesłychaną zmianą stanu rzeczy, było snadź w rzędzie mych przygód tym epizodem, który nadaje się do wyjaśnień. Bowiem to bouleversement było nie tylko czymś naturalnym i nieuniknionym, lecz także od dawna oczekiwanym jako okoliczność, która była przewidywana w punkcie zwrotnym mojej podróży,

mianowicie w tej chwili, kiedy przyciąganie planety ulegnie przyciąganiu satelity - czyli, wyrażając się ściślej, kiedy ciężenie balonu ku Ziemi stanie się słabsze od tegoż ciężenia ku Księżycowi. To pewna, iż ocknąłem się z głębokiego snu i mając zmysły jeszcze w zupełnym nieładzie, jałem zastanawiać się nad osłupiającym zjawiskiem, wprawdzie oczekiwanym, lecz nie oczekiwanym w tej chwili. Przewrót sam dokonał się zapewne z lekka i stopniowo i bynajmniej nie wmawiam w siebie, jakobym obudziwszy się we właściwej porze, mógł być zauważyć jakiś wewnętrzny objaw odwrócenia - to znaczy, jakieś zaburzenie czy niedogodność bądź to w samym sobie, bądź też w mych przyrządach.

Nie potrzebuję chyba nadmienić, iż storo tylko zdążyłem zdać sobie sprawę z mojego położenia i ochłonąć z lęku, co obezwładnił wszystkie władze mej duszy, cała moja uwaga skupiła się przede wszystkim na ogólnym wyglądzie Księżyca. Roztaczał się pode mną na kształt mapy - i aczkolwiek w mym mniemaniu znajdował się jeszcze we wcale znacznej oddali, nierówności jego powierzchni uwydatniały się w mych oczach z osobliwszą i wprost niepojętą wyrazistością. Najznamienniejszą właściwością jego budowy geologicznej - właściwością, która zwróciła od razu moją uwagę - była zupełna nieobecność oceanów, mórz, jezior, rzek lub jakichkolwiek innych wodozbiórów. Mimo to, ku niemałemu swemu zdziwieniu, widziałem rozległe połacie płaszczyn o charakterze wybitnie napływowym, aczkolwiek przeważająca część półkuli widzialnej jeżyła się od niezliczonego mnóstwa gór wulkanicznych stożkowatego kształtu, wyglądających raczej na wyniosłości sztuczne niż naturalne. Najwyższa spomiędzy nich nie przekraczała trzech i trzech czwartych mili wzniesienia pionowego; wszelako mapa wulkanicznej połaci Campi Phlegraci może dać Waszym Ekscelencjom lepsze pojęcie o ogólnym ich ukształtowaniu, niżeli jakkolwiek nieudolny opis, na który mógłbym się zdobyć. Przeważająca część tych wulkanów znajdowała się w stanie czynnym i dawała mi straszliwie uczuć swe opętanie i potęgę, ziejąc nieustannie głazami, które noszą niewłaściwą nazwę meteorytów; głazy te, miotane obecnie z dołu ku górze, przelatwały coraz częściej obok balonu napelniając mnie trwogą.

18 kwietnia. Dzień dzisiejszy był dniem olbrzymiego powiększenia księżycowej bryły - a wzmagające się przyspieszenie mojego obniżania się jęło wielce mnie niepokoić. Uważam za właściwe przypomnieć, iż w najwcześniejszym okresie moich rozmyślań o możliwości podróży na Księżyc liczyłem się wielce z istnieniem okalającej go atmosfery, której gęstość miałaby pozostawać w prostym stosunku do rozmiarów planety; liczyłem się z nią wbrew wielu teoriom sprzecznym i, trzeba dodać, wbrew powszechnej niewierze w istnienie jakiegokolwiek księżycowej atmosfery. Atoli w łączności z tym, co już nadmieniłem o komecie Enkego i o świetle zodiakalnym, utwierdziły mnie jeszcze w mych poglądach niektóre spostrzeżenia Schroetera von Lilienthal. Czynił on swe spostrzeżenia nad Księżycem, nie liczącym więcej niż półtrzecia dnia, wieczorem, zaraz po zachodzie Słońca, zanim ciemna jego część nie stała się widoczna, i nie spuszczał go z oka aż do chwili, kiedy stawała się widoczna. Oba poroża zdawały się wybiegać w nader ostre, nikłe przedłużenia, których krańce mgliły się już mdlą poświatą słonecznych promieni, zanim którakolwiek część ciemnej półkuli zdążyła się ukazać. Wnet potem cały ciemny rąbek jawił się w świetle. Te przedłużenia poroży poza sierpem wedle mojego mniemania musiały pochodzić od załamywania się promieni słonecznych w atmosferze księżycowej. Obliczyłem również, iż grubość atmosfery (która mogła załamywać dość światła w swej ciemnej półkuli, by wytwarzać pomrok, świetlisty niżli światło załamane przez Ziemię, kiedy Księżyc znajduje się około 32° od nowiu) wynosi 1 356 stóp paryskich; mając to na względzie, przypuszczałem, iż największa grubość zdolna załamywać promienie słoneczne musi 5 376 stóp. Moje poglądy na tę sprawę znajdowały również potwierdzenie w pewnym ustępie osiemdziesiątego drugiego tomu Rozpraw filozoficznych, gdzie jest powiedziane, iż kiedy następuje zakrycie satelitów Jowisza, trzeci z nich znika po jednej lub dwu sekundach przymglenia, czwarty zaś staje się niewidoczny w pobliżu krawędzi.

Od oporu albo, inaczej się wyrażając, od współdziałania atmosfery, istniejącej w urojonym przeze mnie stanie gęstości, zależało zatem całkowicie bezpieczeństwo mojego wylądowania. Gdyby jednak mimo wszystko miało się okazać, iż byłem w błędzie, musiałbym oczekiwać na zakończenie mych przygód, że roztrzaskam się na miazgę o chropawą powierzchnię satelity. Jakoż miałem obecnie wszelkie do obaw tych powody. Oddalenie moje od Księżyca było nieznaczne, a tymczasem praca przy aparacie zgęszczającym bynajmniej się nie zmniejszała i nie mogłem dostrzec żadnych oznak, zwiastujących zmniejszone rozrzedzenie powietrza.

19 kwietnia. Dziś około godziny dziewiątej rano, kiedy Księżyc znajdował się już straszliwie blisko, a me troski wzmogły się niepomiernie, pompa aparatu zgęszczającego ku niewysłowionej mej radości zaznaczyła wreszcie zmianę w atmosferze. Około dziesiątej miałem wszelkie powody do przypuszczeń, że jej gęstość znacznie się zwiększyła. O jedenastej aparat już wymagał bardzo niewiele pracy, zaś o dwunastej odważyłem się z niejakim wahaniem odśrubować zwornik i przekonawszy się, że nie miało to ujemnych następstw, rozwarłem w końcu komorę kauczukową i zdjąłem ją z kosza. Jak można się było spodziewać, natychmiastowe kurcze, połączone ze strasliwym bólem głowy, wykazały mi niedorzeczność i szkodliwość tego pośpiechu. Atoli te i tym podobne niedomagania, wynikające przede wszystkim z zaburzeń w oddychaniu, nie były tak wielkie, by miały zagrażać memu życiu. Postanowiłem tedy znosić je w miarę możliwości spodziewając się, iż ustaną, skoro tylko zbliżą się do gęstszych warstw, przylegających do Księżyca. Zbliżanie to odbywało się wciąż jeszcze z niesłychanym rozpędem i wnet nabrałem niepokojącej pewności, iż gęstość atmosfery będzie prawdopodobnie odpowiadała objętości satelity, lecz że byłem w błędzie przypuszczając, jakoby gęstość ta, chociażby tuż przy samej powierzchni, mogła sprostać wielkiemu ciężarowi, zawartemu w koszu mojego balonu. Tak wprawdzie być by powinno, i to w tym samym stopniu co na powierzchni Ziemi, o ile się przyjmie, iż na jednej i drugiej planecie ciężar ciał pozostaje w prostym stosunku do zgęszczenia atmosferycznego. Tak jednakże nie było, czego dostatecznym dowodem był mój zawrotny spadek. Dlaczego zaś nie było? Na to pytanie tylko pośrednią można by dać odpowiedź, powołując się na możliwość owych zaburzeń geologicznych, o których już nadmieniłem. To pewna, iż znajdowałem się nad planetą i zlatywałem z przerażającym rozmachem. Nie tracąc ani chwili, wyrzuciłem najpierw wszystek mój balast, potem baryłki z wodą, aparat zgęszczający, komorę kauczukową, a wreszcie wszystkie inne przedmioty zawarte jeszcze w koszu. Wszelako nie przydało się to na nic. Wciąż spadałem z niesłychaną chyżością; od powierzchni dzieliło mnie zaledwie jakie pół mili. Pozbywszy się kolejno płaszcza, butów i kapelusza, uciekłem się wreszcie do ostateczności: oto odciąłem nawet kosz, który miał niepoślednią wagę, i uczepiwszy się obiema rękami sieci, zaledwie zdążyłem zauważyć, iż cały kraj pode mną, jak okiem zasięgnąć, gęsto był pokryty małutkimi zabudowaniami. W ten sposób runąłem w sam środek jakiegoś fantastycznego miasta, w nieprzejrzaną ciżbę małych, brzydkich potworków, z których żaden nie wyrzekł ni słowa i nie zadał sobie trudu, by przyjść mi z pomocą, lecz z założonymi rękami stał jak skończony idiota, szczerząc głupkowato zęby i spoglądając spode łba na mnie i na mój balon. Odwróciłem się od nich z pogardą i pierzchając spojrzeniem hen, ku Ziemi, którą opuściłem, i być może, opuściłem na zawsze, zauważyłem, iż ma ona wygląd ogromnego, posępnego, miedzianego

kręgu, o średnicy dwu stopni, zawieszono nieruchomo w otchłani niebios i obrzeżonego na jednym skraju sierpem świetlistego złota. Łądów i mórz nie było ani śladu: na tarczy majaczyły jakby jakieś plamy, a opasywały ją smugi równika i zwrotników.

Tak więc, za pozwoleniem Waszych Eksceleńcji, po całym mnóstwie niewysłowionych obaw, niesłychanych niebezpieczeństw i cudownych ocalań, powiodło mi się wreszcie dziewiętnastego dnia po mym odlocie z Rotterdamu zakończyć szczęśliwie mą podróż, niewątpliwie najosobliwszą i najpamiętniejszą, jaką kiedykolwiek obmyślił, przedsięwziął i wykonał zwyczajny mieszkaniec kuli ziemskiej. Wszelako pozostaje mi jeszcze zdać sprawę z moich przygód. Wasze Eksceleńcje pojmą chyba z łatwością, iż po pięcioletnim pobycie na planecie, niezwykle zajmującej ze względu na swe szczególniejsze właściwości, lecz dwakroć jeszcze ciekawszej z uwagi na ścisłą łączność, jaka istnieje między nią a światem zamieszkałym przez ludzi - mógłbym powierzyć poufnie Państwowemu Kolegium Astronomów tajemnice nierównie ważniejsze niżeli szczegóły - co prawda, wprost zdumiewające - samej tylko podróży, odbytej z takim powodzeniem. Tak też jest istotnie. Mam wiele, bardzo wiele do powiedzenia i uczyniłbym to z największą radością. Poczyniłem wiele spostrzeżeń nad klimatem planety; nad szczególniejszą zmiennością zimna i ciepła; nad nieuskromionym i płomienistym skwarem słonecznym, który trwa przez dwa tygodnie, po czym z kolei ustępuje miejsca dwutygodniowym mrozom, silniejszym niżeli zimna podbiegunowe; nad nieustannym przenoszeniem wilgoci za pomocą destylacji, podobnie jak w próżni, z punktu położonego tuż pod Słońcem do punktu najbardziej odeń odległego; nad zmienną strefą bieżącej wody; nad mieszkańcami; nad ich zwyczajami, obyczajami i ustrojem politycznym, nad osobliwą budową ich ciała; nad ich brzydotą; nad brakiem u nich uszu, które są zbyt cennym narządkiem w atmosferze tak bardzo odmiennej; nad wynikającą stąd nieznaną mową, jej właściwościami i jej użytku; nad ich szczególniejszym sposobem porozumiewania się między sobą, zastępującym mowę; nad niedocieczoną łącznością między każdą jednostką ludzką z Księżyca a takąż samą jednostką z Ziemi - łącznością, która wykazuje takie podobieństwo i zależność wzajemną, jakie istnieją między kręgiem planety i kręgiem satelity, i zarazem jest przyczyną, że żywoty i przeznaczenia mieszkańców Ziemi splatają się z żywotami i przeznaczeniami mieszkańców Księżyca; przede wszystkim zaś, jeśli Wasze Eksceleńcje pozwolą - przede wszystkim nad owymi posępnymi i ohydnyimi tajemnicami, które odbywają się na zewnętrznej półkuli Księżyca - półkuli, która dzięki czarodziejskiej niemal zbieżności obrotu satelity dokoła swej osi z jego obrotem syderecznym dokoła Ziemi nie odwróciła się jeszcze ku nam dotychczas i - da Bóg - nie odwróci się nigdy, by mogły ją zbadać teleskopy ludzkie. To wszystko i jeszcze więcej - znacznie więcej - pragnąłbym jak najrychlej podać do wiadomości. Wszelako, by sprawy dłużej nie przewlekać, domagam się nagrody. Pragnąłbym jak najrychlej powrócić do mej rodziny i mego domu. Otóż w zamian za dalsze wiadomości, którymi rozporządzam, a które mogą rozwidnić nadzwyczaj ważne dziedziny wiedzy fizycznej i metafizycznej, musiałbym uzyskać za staraniem Waszego Czcigodnego Kolegium przebaczenie zbrodni. Dopuszczałem się jej, przyprawiając

o śmierć moich wierzycieli, kiedy wyruszałem z Rotterdamu. Taki jest zatem cel niniejszego listu. Doręczy go pozyskany przeze mnie mieszkaniec Księżyca, któremu udzieliłem odpowiednich wskazówek, w jaki sposób ma wywiązać się ze swego posłannictwa na Ziemię. Będzie on oczekiwał łaskawości Waszych Eksceleńcji i zabierze ze sobą owo przebaczenie, jeżeli uda się je otrzymać. Mam zaszczyt pozostać najniższym sługą Waszych Eksceleńcji

HANS PFAALL

Ukończywszy czytanie tego nadzwyczaj osobliwego pisma, profesor Rubadub opuścił - jak powiadają - z nadmiaru zdumienia fajkę na ziemię, zaś Mynheer Superbus van Underduk zdjął okulary, przetaił je, włożył do kieszeni i tak dalece zapomniał o swej osobie i swej godności, iż okrzyknął się trzy razy na pięcie, dając w ten sposób wyraz swemu osłupieniu i podziwowi. Nie było najmniejszej wątpliwości, iż przebaczenie da się uzyskać. Tak przynajmniej zaklinał się na całe gardło profesor Rubadub i tak też myślał dostojny van Underduk, który wzięwszy pod ramię swego uczonego przyjaciela, szedł w milczeniu ku domowi, by rozważyć i poczynić odpowiednie zarządzenia. Kiedy jednak stanęli u drzwi mieszkania burmistrza, profesor zdobył się na uwagę, iż przebaczenie nie przyda się na nic, skoro posłaniec uznał za właściwe drapnąć - widocznie przerażony śmiertelnie srogim wyglądem obywateli rotterdamskich - nikt zaś inny prócz przybysza z Księżyca nie zechce się podjąć tak dalekiej podróży. Burmistrz przychylił się do słuszności tego spostrzeżenia i sprawa na tym się zakończyła. Inaczej atoli było z domysłami i pogłoskami. Kiedy list ogłoszono, rozpetęło się mnóstwo plotek. Byli tacy mądrze, którzy się ośmieszali utrzymując, że cała ta przygoda była tylko bujną. Wszelako, jak sądzę, bujną dla ludzi tego rodzaju jest wszystko, co nie mieści się w granicach ich pojmowania. Wprost nie rozumiem, na jakich danych opierali to oskarżenie. Zastanówmy się więc nad tym, co mówią:

Po pierwsze, iż pewni sowizdrzali rotterdamscy mają pewne określone niechęci do pewnych burmistrzów i astronomów.

Po wtóre, że pewien cudaczny - karzeł, z zawodu kuglarz, igrający butelkami, któremu za jakieś przestępstwo odcięto tuż przy samej głowie oboje uszu, znikł przed kilku dniami z sąsiedniego miasta, Brugii.

Po trzecie, że dzienniki, którymi oklejono całkowicie mały balon, pochodzący z Holandii, nie mogły być zatem sporządzone na Księżycu. Były to brudne gazeciska - bardzo brudne - a drukarz Gluck gotów był przysiąc na swą Biblię, iż były drukowane w Rotterdamie.

Po czwarte, że tego złajdaczanego pijaczynę, Hansa Pfaalla, w towarzystwie trzech nicponiów, zwanych jego wierzycielami, widziano nie dawniej jak dwa lub trzy dni temu w pewnej podmiejskiej gospodzie, gdzie pili, wróciwszy właśnie z jakiejś zamorskiej wyprawy, sownie zaopatrzeni w pieniądze.

Po ostatnie, że wedle opinii powszechnie przyjętej lub przynajmniej takiej, która powinna być powszechnie przyjęta, Kolegium Astronomiczne w mieście Rotterdamie, podobnie zresztą jak wszystkie inne podobne kolegia w innych stronach świata - nie wspominając już o kolegiach i astronomach w ogóle - nie jest, by nie rzecz więcej, ani odrobinę lepsze, możliwejsze i mądrzejsze, niż być powinno.

Król Mór Opowieść z alegorią
Bogowie nieraz wybaczą królom
Rzeczy obmierzłe im u podłej tłuszczy.
(Buckhurst: Tragedy of Ferrex and Porrex)

Było to za rycerskiego panowania Edwarda Trzeciego. Pewnej nocy październikowej, kiedy już miała uderzyć dwunasta, dwaj marynarze, należący do załogi handlowego statku „Free and Easy”, krążącego między l'Écluse i Tamizą, a stojącego podówczas na kotwicy u ujścia tej rzeki - zdziwili się niepomału, gdyż zdali sobie sprawę, iż siedzą w izbie gospodniej pewnej piwiarni, położonej w dzielnicy parafialnej św. Andrzeja w Londynie. Piwiarnia ta miała za godło wizerunek „Dziarskiego Żeglarza”.

Izba, aczkolwiek niedbale sklecona, poczerniała od dymu, chyląca się do upadku i pod każdym innym względem nie różniła się swym wyglądem od podobnych izb karczemnych tej epoki - mimo to wcale nieźle odpowiadała swemu zadaniu, jak przynajmniej mniemali goście, co cudacznymi gromadkami rozsiedli się w niej dokoła.

Śród nich owi dwaj marynarze tworzyli - jak sędzę - grupę najbardziej zajmującą, chociaż mniej może okazałą.

Jeden z nich, jak się zdaje starszy, którego jego towarzysz nazywał dosadnie „Drażalem”, był zarazem znacznie wyższy. Miał zapewne z jakie półsiódma stopy wysokości, zaś nawykowe przygarbienie grzbietu było u niego nieuniknionym następstwem ogromnego wzrostu. Wszelako tę nadmierną wybujałość okupywał sówicie usterkami innego rodzaju. Był nadzwyczaj szczupły; toteż powiadali o nim jego towarzysze, iż kiedy był pijany, to wyglądał jak maszt z banderą u wierzchołka, kiedy zaś trzeźwy, to mógł służyć za drzewce trójkątnego żagla na przedzie okrętu.

Wszelako te i tym podobne krotochwile nie zdołały nigdy wprawić w drgawki mięśni jego twarzy. Miał wystające kości policzkowe, wielki orli nos, cofniętą brodę, zapadniętą szczękę dolną i ogromne, wylupiate, blade oczy, zaś wyraz jego oblicza, nie pozbawiony pewnej chmurnej obojętności na rzeczy i zjawiska tego świata, był bezprzykładnie, aż niewymownie poważny i uroczy.

Młodszy marynarz stanowił z powierzchowności zupełne przeciwieństwo swego towarzysza. Wzrostem nie przekraczał czterech stóp. Para przysadzistych, pałkowatych nóg dźwigała jego krępą, ocieżałą postać, zaś niezwykle krótkie i grube ramiona, zakończone ogromnymi pięściami, odstawały rozkołysane od jego boków na podobieństwo lotek ptaka, zwanego nurkiem morskim. Małe oczka nieokreślonej barwy migotały z głębi jego czaszki. Nos zanikał w mięsistej powierzchni jego pełnej, krągłej i czerwonej twarzy. Gruba warga górna wspierała się na jeszcze grubszej dolnej z wyrazem błogiego zadowolenia, wzmocnionego ponadto nawykami częstego oblizywania się. Wzrost towarzysza był widocznie dla niego przedmiotem na poły podziwu a na poły kpin, gdyż zerkał od czasu do czasu na jego twarz, jak spogląda z dołu, o zachodzie, czerwone słońce na szczyty Ben Nevis.

Urozmaicona, zaiste, i pełna przygód była peregrynacja tej zacnej pary przyjaciół po różnych okolicznych gospodach o wcześniejszej porze owej pamiętnej nocy. Nawet najpokaźniejsze zasoby pieniężne nie zawsze są wiecznotrwałe; i oto zdarzyło się, że z pustymi kieszeniami zapuścili się obaj marynarze do piwnego przybytku.

W chwili kiedy opowieść niniejsza właściwie się zaczyna, Drażał i jego towarzysz, Hugh Tarpaulin¹, siedzieli pośrodku izby, mając łokcie wsparte na dużym, dębowym stole, a policzki ukryte w dłoniach. Spoza potężnej flaszki nie zapłaconego z góry „siarczystego piwka” spoglądali spode łba na złowrobnę słowa: „Nic na krede!”; ku ich zdumieniu i oburzeniu widniały one na drzwiach, nagryzmołone tym właśnie minerałem. Nie żeby dar odczytywania pisanych głosek - dar, który u pospółstwa owych czasów uchodził za nie mniej kabalistyczny od sztuki ich kreślenia - mógł, sumiennie rzecz biorąc, ciężać na odpowiedzialności któregośkolwiek z wychowanków morza; lecz, by rzec prawdę, w ukształtowaniu liter przedstawiała się jakowaś zawilość - w całości jakieś niewysłowione wymigiwanie się bokiem spod wiatru, które zdaniem obu marynarzy zapowiadało długotrwałą, kiepską pogodę i sprawiło, że wedle obrazowych słów Drażała postanowili od razu „wypompować okręt, zwinąć wszystkie żagle i zwiać przed wiatrem”.

Załatwiwszy się zatem z pozostałą jeszcze zawartością flaszki i pozapinawszy szczelnie swe krótkie kaftany, dunęli w końcu na ulicę. Wprawdzie Tarpaulin zatoczył się przy tym dwukrotnie w otwór komina, uważając go nieopatrznie za drzwi, ale ucieczka ostatecznie jakoś im się udała - i o godzinie wpół do pierwszej obaj bohaterowie, dojrzały do zguby, pędzili na złamanie karku ciemną uliczką, wiodącą ku schodom parafii św. Andrzeja, ścigani zawzięcie przez właścicielkę piwiarni spod „Dziarskiego Żeglarza”.

W epoce tej pełnej przygód opowieści a także przez długie przedtem i przez długie lata potem cała Anglia, w szczególności zaś jej stolica, rozbrzmiewała co pewien czas trwożnym okrzykiem: „Zaraza!” Miasto było bardzo wyludnione - zaś w straszliwych dzielnicach nad Tamizą, gdzie wśród ciemnych, wąskich, błotnistych zaułków i uliczek wylał się podobno Demon Zatrąty, pełzały tylko Lęk, Groza i Przerażenie.

Z rozkazania królewskiego pozostawiały te okręgi pod klątwą i pod karą śmierci nie wolno było nikomu zakradać się w te złowrogie odludzia. Wszelako ani uniwersały królewskie, ani wysokie zapory, wzniesione u wylotów ulic, ani obawa ohydnej śmierci, co z niezawodną niemal pewnością czyhała na nieszczęśników, którzy nie dali odstraszyć się od przygód żadnym niebezpieczeństwem - nie zapobiegały temu, iż opuszczone i nie zajęte mieszkania stawały się łupem nocnych rabusiów, którzy ograbiali je z żelaza, mosiądzu, ołowiu tudzież tego wszystkiego, co mogło przynieść jakakolwiek korzyść.

Kiedy corocznie zimą otwierano zapory, okazywało się zazwyczaj, iż zwłaszcza wszelkie kazamaty, kryjówki i piwnice nie stanowiły bynajmniej odpowiedniego pomieszczenia dla wielkich zapasów win oraz innych napojów, które liczni kupcy, posiadający sklepy w sąsiedztwie, chcąc uniknąć kosztów i kłopotów przewozu, pozostawiali tamże na czas swego wygnania, nie pomyślawszy o lepszym ich zabezpieczeniu.

Wszelako śród opętanego trwożą ludu mało kto przypisywał te sprawy działalności rąk ludzkich. Duchy czarnej śmierci, czarty zarazy i licha gorączki były w mniemaniu pospółstwa tymi złoczyncami, przy czym krążyły nieustannie takie ścinające krew w żyłach opowieści, iż w końcu całe to zbiorowisko przeklętych domostw spowiła groza w swe całuny. Jakoż niejednokrotnie zdarzało się, iż nawet rabusie pierzchali przed okropnościami, które ich własne spustoszenia wywoływały, pozostawiając ogromny obszar tych zatraconych dzielnic na pastwę mroków, głuszy, powietrza morowego i śmierci.

Drażał i przezacny Hugh Tarpaulin, zmykając w dół ulicą, napotkali nagle na swej drodze przeszkodę, którą była jedna z tych okropnych zapór, wskazujących, iż od nich zaczyna się wyklęty okrąg zarazy. O powrocie nie mogło być mowy, a nie było czasu do stracenia, gdyż prześladowcy następowali im na pięty. Wspiąć się na byle jak skleconą przeszkodę z desek było dla chwackich marynarzy igraszką. Zapamiętawszy się w podnieceniu, wywołanym zarówno szybkim biegiem, jak i gorącym napojem, przeskoczyli bez namysłu w głąb zagrodzenia i podążając dalej przed siebie, dokąd ich pijane nogi niosły, śród krzyków i nawoływań zaprzepaścili się wkrótce w gmatwaninie odrażających zaułków.

Gdyby nie byli odurzeni do nieprzytomności, chwiejne ich stopy byłyby im wrosły w ziemię z przerażenia. Powietrze było chłodne i mgliste. Kamienie brukowe, wyparte ze swych łożysk, leżały w chaotycznym nieładzie śród

wysokiej, bujnej trawy, co okręcała się dokoła stóp i kostek. Zrujnowane domy zawałyły ulice. Ziały zewsząd cuchnące i trujące wonie - zaś przy owej upiornej poświeltli, co nawet o północy nie przestaje się przedzierać śród przesyconego wyziewami i zabójczego powietrza, dostrzegało się leżące w przejściach i zaułkach lub rozkładające się w pozbawionych okien mieszkaniach zwłoki wielu nocnych rabusiów, których dłoń Zarazy przychwyciła na gorącym uczynku grabieży.

Wszelako nie było w mocy takich obrazów, wrażeń i przeszkód wstrzymać tych ludzi, którzy, z usposobienia dzielni, a podówczas szczególnie pełni męstwa i „siarczystego piwka”, byliby nieustraszeni rzucili się, gdyby im na to pozwoliły okoliczności, wprost w paszczę śmierci. Naprzód, wciąż naprzód kroczył chmurny Drągał budząc swymi wrzaskami, podobnymi do przeraźliwych okrzyków wojowniczych Indian, zwielokrotnione echa śród uroczystej głuszy; naprzód, wciąż naprzód toczył się przepłoszony Tarpaulin czepiając się kaftana swego ruchliwego towarzysza i najudatniejsze jego popisy z zakresu muzyki wokalnej przygłuszając byczymi porykami in basso, dobywającymi się z głębin jego przepotężnych płuc.

Dotarli w końcu do samego legowiska czarnej Śmierci. Stąpając lub taplając się, szli drogą coraz potworniejszą i okropniejszą - mijali ścieżki, coraz węższe i coraz bardziej zagmatwane. Ogromne kamienie i kłody, spadające dokoła nich co chwila z wałających się dachów, swym głuchym i ciężkim dudnieniem świadczyły o niemałej wysokości otaczających domów; a ponieważ trzeba było nieraz torować sobie przejście śród mnogich zwałów gruzu, więc nic należało do rzadkości, że dłoń dotykała szkieletu lub napotykała trupa nie pozbawionego jeszcze powłoki mięsnej.

Kiedy marynarze, zataczając się, dobrnęli do bramy wysokiego i upiornie mającego budynku, na przeraźliwszy niż zazwyczaj wrzask, dobywający się z gardzieli podochoconego Drągała, odpowiedziały nagle z wnętrza szybko po sobie następujące dzikie, rozchichotane i złowrogie piski. Nie zatrwożeni bynajmniej głosami, które swym brzmieniem w tym miejscu i o takiej porze byłyby mogły zmrozić krew w sercach mniej ognistych, pijani towarzysze ruszyli pędem ku drzwiom, wywalili je i wdarli się do wnętrza, klnąc na czym świat stoi.

Izba, do której weszli, była widocznie sklepem przedsiębiorcy pogrzebowego; wszelako przez drzwi, otwarte na ścieżaj w podłodze, opodał wejścia, widniał długi szereg piwnic winnych, zaś donośny łoskot otwieranych właśnie butelek dowodził, iż były sownie zaopatrzone we właściwe im zapasy. Na środku izby stał stół, zaś pośrodku niego sterczała ogromna dzieża, napełniona czymś, co było zapewne ponczem. Gąsiory wszelakich win i kordiałów wraz z konwiami i pękatymi dzbanami jako też flaszami różnej jakości i kształtu, gęsto ustawione, mieściły się obok niej na brzegach. Dokoła stołu, na kozłach używanych do ustawiania trumien, rozsiadło się towarzystwo złożone z sześciu osób. Postaram się naszkicować je kolejno.

Naprzeciw wejścia i nieco wyżej od swych towarzyszy siedziała postać, która, jak się zdaje, przewodniczyła przy stole. Postawę miała wysoką i szczupłą i Drągał był niepomału zdumiony widząc istotę chudsza od siebie. Twarz jej była szafranowo-żółta - wszelako tylko jeden rys zaznaczał się w niej wyraziście i zasługiwał na szczegółowy opis, a mianowicie czoło, tak niezwykle i potwornie wysokie, iż wyglądało jak czapka lub diadem z mięsa, nasadzony na głowę naturalną. Z ust jej, wykrzywionych i pomarszczonych, nie schodził wyraz upiornej dobrotliwości, a oczy jej, podobnie zresztą jak oczy wszystkich obecnych, mgliły się pijackim szklivem. Dzentelmena tego upowijał od głowy do stóp bogato haftowany, czarny, ałtasowy całun, spływający niedbale dokoła jego kształtów na podobieństwo hiszpańskiego płaszcza. Głowę jego opasywał wieniec z czarnych pióropuszy pogrzebowych, którymi umiał powiewać niekiedy ze świadomym i krotochwilnym wdziękiem; zaś w prawicy dzierzył potężną kość, co stanowiła ongi podporę uda ludzkiego, i jak się zdawało, przynaglał nią przed chwilą do śpiewu któregoś z członków towarzystwa.

Naprzeciw niego, odwrócona ode drzwi, siedziała jakaś dama. zastanawiająca nie mniejszą swjej urody osobliwością. Nie ustępując bynajmniej wzrostem osobie co tylko opisanej, nie miała jednak powodu uskarżać się na jej nieludzkie wycieńczenie. Znajdowała się widocznie w ostatnim okresie wodnej puchliny i jej postać miała niejaki podobieństwo do ogromnej baryły październikowego piwa, co z odbitym dnem stała tuż obok niej w kącie izby. Twarz jej była niesłychanie okrągła, czerwona i puciołowata. Wyróżniała to oblicze też sama osobliwość czy raczej tenże sam brak osobliwości, o którym już wspominałem mówiąc o przewodniczącym - to znaczy, że tylko jeden rys jej twarzy uwydatniał się z taką wyrazistością, iż domagał się osobnej wzmianki. Przenikliwy Tarpaulin wnet zauważył, iż to samo spostrzeżenie dawało się zastosować do każdej poszczególnej osoby, wchodzącej w skład tego zebrania; każda z nich zdawała się posiadać monopol na jakąś niezwykłość w swjej fizjonomii. U owej damy niezwykle były usta. Ziały one straszliwą czeluścią od jednego ucha do drugiego - a niezbyt długie kolczyki, bujające się po obu stronach jej głowy, nieustannie wciskały się do ich wnętrza. Dokładała jednakże starań, by mieć usta zamknięte, i wyglądała dostojnie w czechle, świeżo nakrochmalonym i wyprasowanym, które sięgało jej aż pod samą brodę suto fałdowaną krezą z wytwornego muślinu.

Po prawej jej stronie siedziała jakaś drobniutka, malutka osóbką, pozostająca widocznie pod opieką starszej matrony. W drzeniu nikłych paluszków, w sinym zabarwieniu ust, w lekkich, suchotniczych rumieńcach, co przeziebrały przez ołowianą bladeść jej cery, przejawiały się u tej delikatnej, wątłej istotki wszystkie oznaki daleko posuniętej gruźlicy. Mimo to z całej jej powierzchowności odnosiło się wrażenie krańcowego haut ton; z powabną swobodą otulała się w sutą i piękną śmiertelną koszulę z najwykwintniejszego indyjskiego batystu; włosy spadały jej w pierścieniach na ramiona; słodki uśmiech igrał na jej ustach; natomiast jej nos, nadzwyczaj długi, cienki, zakrzywiony, ruchliwy i ospowaty, zwiślał znacznie poniżej wargi dolnej i mimo subtelnej gracji, z jaką od czasu do czasu przesuwała go koniuszkiem języka w jedną to w drugą stronę, nadawał jej twarzyczce wyraz nieco złowieszczy.

Naprzeciw niej, a po lewej stronie damy dotkniętej wodną puchliną siedział mały, nadęty, sapiący i podagryczny staruszek, którego policzki opierały się na ramionach niby dwa duże bukłaki, napełnione winem z Oporto. Założywszy ręce na brzuchu i umieściwszy obandażowaną nogę na stole, zdawał się wprost domagać czołobitnych hołdów. Widocznie chełpił się każdym całem swjej powierzchowności, ze szczególniejszą jednak lubością starał się zwracać powszechną uwagę na swój surdut, mieniający się błyskotliwym przepychem. Jakoż istotnie musiał kosztować go niemało i leżał na nim jak ulany. Do wykonania jego posłużyła jedna z owych misternie haftowanych, jedwabnych kap, którymi w Anglii, a także gdzie indziej miano zwyczaj przystrajać okryte chwałą tarcze herbowe, zawieszane w widocznych miejscach na przybytkach wygasłych rodów arystokratycznych.

Przy nim, a po prawicy przewodniczącego, zajmował miejsce jakiś dzentelmen w bawełnianych porciętach i długich, białych pończochach. Ciałem jego wstrząsały dziwaczne drgawki, co Tarpaulin nazywał „okropnością”. Świeżo ogolone szczęki miał podwiązane mocno opaską z muślinu. W podobny sposób zaopatrzono mu również ręce w przegubach, co nie pozwalało mu zbyt swobodnie sięgać do stołu po napoje. Przezorność ta, zdaniem Drągała, była najzupełniej na miejscu, ile że z wymokłej gęby patrzyło mu sprośne opilstwo i wszeteczny pociąg do wina. Wysterczała

koło niej w przestwór izby para przeogromnych uszu, które nie wiadomo gdzie się kończyły i którymi strzygł nerwowo przy każdym szmerze wyciąganego korka.

Twarzą zwrócona do niego, usadowiła się szóstą i ostatnią postać, wyglądająca dziwnie nieruchawo, ile że obezwładniona była paralizem i, mówiąc poważnie, musiała czuć się bardzo nieswojo w swym niewygodnym przyodziewku. Był on poniekąd jedyny w swoim rodzaju, gdyż stanowiła go nowa i niebrzydka trumna mahoniowa. Od góry przylegała ona do czaszki pomieszczonego w niej osobnika i okalała ją na kształt czepka, nadając całemu obliczu wyraz niewymownie zajmujący. W bocznych ścianach trumny powycinano otwory, by przepuścić ramiona, zarówno z uwagi na wytworność, jak na wygodę. Jednakże strój ten nie pozwalał swemu właścicielowi usiąść tak prosto, jak siedzieli jego towarzysze. Leżał tedy, nachylony do koźła pod kątem czterdziestu pięciu stopni, a para ogromnych, zezowatych ślepi zwracała swe przeraźliwe białka ku pułapowi w bezgranicznym osłupieniu nad swą własną potwornością.

Każda z osób obecnych miała przed sobą odłamek czaszki, który służył za czarę do picia. Nad głowami wisiał szkielet ludzki, który za jedną nogę uwiązano na powrozie, przytwierdzonym do pierścienia umieszczonego pod pułapem. Inne członki, nie trzymane w ten sposób na uwięzi, odchyliły się od tułowia pod kątem prostym, skutkiem czego cały ten rozklekotany i trzeszczący gruchot bujał i wirował za każdym podmuchem wiatru, który chwilami przenikał do izby. W czaszce tego ohydneho dziwadła żarzyła się garść węgla, które swą migotliwą i jaskrawą łuną oświetlały to widowisko. Trumny i inne towary, znajdujące się na składzie w sklepie przedsiębiorcy pogrzebowego, stały napiętrzone dokoła izby i zasłaniały szczelnie okna, nie przepuszczając światła na ulicę.

Na widok tego osobliwego zebrania i jeszcze osobliwszego jego uposażenia, obaj marynarze nie zachowali się z taką poprawnością, jakiej by po nich należało oczekiwać. Drażal, oparłszy się o ścianę, przy której przypadkiem stanął, jeszcze niżej niż zazwyczaj opuścił swą dolną szczękę i wytrzeszczył jak sowa swe ogromne oczy; natomiast Hugh Tarpaulin, przykucnąwszy w ten sposób, iż nos jego znalazł się na jednym poziomie ze stołem, wsparł dłonie na kolanach i wybuchnął długim, głośnym i hałaśliwym porykiem niewczesnego i niepomiernego śmiechu.

Nie okazując mimo to urazy z powodu tej prostackiej nieobyczajności, smukły przewodniczący uśmiechnął się nader wdzięcznie do natrętów - dostojnie skinął ku nim głową przystrojoną w żalobne pióropusze - po czym, podniósłszy się z koźła, ujął obu za ramiona i poprowadził ich na miejsce, które inni członkowie towarzystwa tymczasem im przygotowali. Drażal nie stawiał najmniejszego oporu i usiadł tam, dokąd go poprowadzono; natomiast ugrzeczniony Hugh, zabrawszy swój koziół z wyznaczonego mu miejsca przy stole, przysiadł się do drobnej, suchotniczej osobki, zapalał wszystek pogodnym zadowoleniem i wychylając czaszkę czerwonego wina trącił się z nią po przyjacielsku. Wszelako to zuchwalstwo ubodło, jak się zdaje, nader nieprzyjemnie sztywnego dżentelmena, przyodzianego w trumnę; i kto wie, jak poważne wynikiłyby stąd następstwa, gdyby przewodniczący nie stuknął swą buławą w stół i nie pochłonął uwagi obecnych następującym przemówieniem:

- Czyniąc zadość obowiązkowi, jakim obaracza nas niniejsza, radosna okoliczność...

- Bawej! - przerwał Drażal spoglądając groźnie. - Postój no trochę, mówię ci! Powiedzcie nam, coście za diabły i co tu robicie, żeście się wystrychnęli na piekielne czupiradła i wyłopujecie do cna zapasy, które porobił sobie na zimę mój przeczny kmiotk, Will Wimble, przedsiębiorca pogrzebowy?

Na ten nieprzystojny przejaw złego wychowania całe towarzystwo dawniejsze zerwało się na poły ze swych miejsc i odezwało się tymiż samymi dzikimi, szybko po sobie następującymi, złowrogimi piskami, które już przedtem obły się o uszy marynarzy. Przewodniczący pierwszy odzyskał panowanie nad sobą i zwróciwszy się do Drażala, jął mówić z wielką godnością:

- Jak najchętniej zaspokoimy wszelką godziwą ciekawość naszych znakomitych, acz nieproszonych gości. Wiedźże waść zatem, że w tych dzierzawach ja jestem panem i władam niepodzielnie jako Król Mór Pierwszy. Ta komnata, której waść nie wahałeś się znieważać przypuszczeniem, jakoby była sklepem Willa Wimble'a, przedsiębiorcy pogrzebowego - jakiegoś tam człowieka, którego nie znamy i którego gminne nazwisko dzisiejszej nocy po raz pierwszy drasnęło nasze uszy - ta komnata, powtarzam, jest salą tronową naszego pałacu, gdzie zwykli zbierać się na narady dostojnicy naszego królestwa i gdzie odbywają się również świątobliwe i wzniosłe obrzędy.

Szlachetna pani, siedząca naprzeciw, to Jej Królewska Mość Morowa, nasza Miłościwa Małżonka. Inne dostojne osoby, które waść tu widzisz, należą również do naszej rodziny. Jakoż noszą godności i tytuły należne krwi królewskiej, mianowicie: Jego Miłość Arcyksiążę Pomór, Jego Miłość Książę Głodomór, Jego Miłość Książę Muchomor i Jej Miłościwa Wysokość Arcyksiężniczka Zmora2.

Na pytanie waści - mówił dalej - po cośmy się tu zebrali, pozwalam sobie odpowiedzieć, iż zebranie to ma na celu tylko nasze osobiste i królewskie sprawy i żadną miarą nie dotyczy nikogo innego. Biorąc jednakowoż pod uwagę prawa, jakie wam jako gościom i cudzoziemcom w rozumieniu waszym przysługiwać by mogły, nadmieniamy ponadto, iż przybyliśmy tu dzisiejszej nocy, poczyniwszy poprzednio głębokie studia i poszukiwania, by przeniknąć, zbadać i ostatecznie określić nieokreśloną istotę - niepojęte właściwości i przymioty owych nieocenionych skarbów smakowitości, jakimi są wina, piwa i likwory tej kwitnącej stolicy: czyniąc zaś to, dogadzamy nie tylko swym własnym zachceniom, ale także służymy dobrej sprawie tego niezziemskiego mocarza, który włada nad nami wszystkimi, którego dzierzawy nie znają granic, a którego miano jest Śmierć.

- Którego miano jest Davy Jones3! - ryknął Tarpaulin dolewając swej towarzysze do czaszki likworu i napełniając dla siebie drugą.

- Bezceny hultaju! - odezwał się przewodniczący zwracając się z kolei do sławetnego Hugh'a - bezceny i przemierzły łotrze! Powiedzieliśmy już, iż z uwagi na owe prawa, których nie mamy chęci naruszać nawet w twej nikiemnej osobie, znizyliśmy się do dania odpowiedzi na twe prostackie i niewłaściwe pytania. Nie mogąc jednakowoż puścić wam płazem zdrożnego wtargnięcia na nasze zebranie, poczuwamy się do powinności skazać osobno ciebie, a osobno twego towarzysza na garniec Czarnej Juchy4, który, klęcząc, będziecie musieli jednym tchem wypić na pomyślność naszego majestatu, po czym będzie wam wolno wedle upodobania pójść swoją drogą albo też pozostać i wziąć udział w dobrodziejstwach naszego stołu.

- Byłoby to istną niemożliwością! - odparł Drażal, u którego wyniosłość i powaga Króla Mora Pierwszego wywołała widocznie niejaki uczynek poszanowania i który, mówiąc to, podniósł się i stanął przy stole. - Proszę Waszej Królewskiej Mości, byłoby istną niemożliwością pomieścić w moim kadłubie chociażby czwartą część tego likworu, o którym Wasza Miłość nadmieniła. Nie mówiąc już o kordiałach, które zabrało się na pokład przed południem dla balastu, i nie wspominając o różnych likworach i piwach, załadowanych dzisiejszego wieczora w rozmaitych przystaniach, mam w

tej chwili ogromny ładunek „siarczystego piwka”, zabrany i sumiennie zapłacony z góry w gospodzie pod „Dziarskim Żeglarzem”. Raczy tedy Wasza Królewska Mość przyjąć chęć za uczynek, gdyż żadną miarą nie chcę i nie mogę przełknąć chociażby kropli - przede wszystkim zaś ani kropli tych obrzydliwych pomyj okrętowych, które zwą się Czarną Juchą.

- Stul gębę! - przerwał Tarpaulin zdumiony nie mniej długością przemówienia swego towarzysza, jak powodem jego odmowy. - Skończ już, ty wałkoniu! Powiadam ci, Drągalu, że nic z twego gadania! W moim kadłubie dość jeszcze miejsca, ale przyznaję, że ty wyglądasz, jakby ci było ciężko we łbie. Jeżeli jednak chodzi o tę odrobinę ładunku, to czemu, zamiast skamlać, nie pomyślisz raczej, jak opróżnić dla niego miejsce, ale...

- To postępowanie - wtrącił przewodniczący - nie pozostaje bynajmniej w zgodzie z warunkami kaźni albo raczej wyroku, który jest w istocie swej umiarkowany i nie może być zmieniony ani odwołany. Postawione przez nas warunki muszą być spełnione co do joty i bez najmniejszego wahania - w przeciw inni bowiem razie każemy związać was razem, jak dwie kłody, i jako buntowników utopić w onej kadzi paździenikowego piwa.

- Wyrok! Wyrok! Słuszny i sprawiedliwy wyrok! Chwalebny osąd! Najrzetelniejsze, najmędrsze i najświetlejsze potępienie! - wrzasnęła chóralnie cała królewska rodzina. Król zbruzdził swe czoło niezliczonymi zmarszczkami; podagryczny staruszek sapał jak para miechów; osóбка w śmiertelnej koszuli kręciła noskiem w prawo i w lewo; dżentelmen w bawelnianych porciętach strzygł uszami; dama w czechle dyszała jak snąca ryba; a królewicz w trumnie leżał nieruchomo i przewracał ślepiami.

- Hu! hu! hu! - zaśmiał się Tarpaulin nie bacząc na powszechne wzburzenie - hu! hu! hu! - hu! hu! hu! hu! hu! Chciałem powiedzieć - odezwał się - chciałem właśnie powiedzieć, kiedy pan Król Mór wtrącił swoje trzy grosze, że dla takiej tegiej i nie przeciążonej, jak ja, szalupy dwa czy trzy garnce Czarnej Juchy mniej lub więcej to drobnostka - ale żebym miał pić na zdrowie diabła (któremu niechaj Bóg odpuści!) i włożyć się na kolanach przed jego wszeteczną wielmożnością, skoro, mógłbym zakląć się na swą grzeszną duszę, jak świat światem, nie jest to nikt inny, tylko Tim Hurlygurly, trefny aktor, no, to co innego i z kretesem we łbie mi się nie mieści.

Nie pozwolono mu dokończyć spokojnie. Gdy wymówił nazwisko „Tim Hurlygurly”, całe towarzystwo zerwało się ze swych miejsc.

- Zdrada! - krzyknął Jego Mość Król Mór Pierwszy.

- Zdrada! - odezwał się podagryczny człowieczek.

- Zdrada! - zapiszczała Arcyksieżniczka Zmora.

- Zdrada! - zabelkotał dżentelmen z podwiązanymi szczękami.

- Zdrada! - huknął królewicz z trumną.

- Zdrada! Zdrada! - wrzasnęła pyskata Jej Mość Królowa i uchwyciwszy od tyłu za szarawary nieszczęsnego Tarpaulina, który właśnie nalewał sobie do czaszki likworu, podniosła go wysoko w powietrze i wrzuciła bez ceremonii do ogromnej, otwartej kadzi ulubionego przezeń piwa. Pochybotawszy się przez jedno okamgnienie na powierzchni, niby jabłko w czarze napełnionej toddy⁵, znikł w końcu w odmęcie piany, którą jego szamotania w musującym już płynie snadnie wytworzyły. Jednakowoż smukły marynarz nie przyglądał się beczynnie pogromowi swego towarzysza. Strąciwszy Króla do piwnicy waleczny Drągal zatrasnął za nim drzwi z przekleństwem i zwrócił się ku środkowi izby. Zerwał z powroza szkielek bujający nad stołem i jał nim łomotać z takim nakładem energii i dobrej woli, iż kiedy zgasły ostatnie błyski światła w izbie, udało mu się przetrząść kark małemu dżentelmenowi, cierpiącemu na podagrę. Rzuciwszy się następnie z rozmachem ku fatalnej kadzi, pełnej paździenikowego piwa i Hugh'a Tarpaulina, w jednej chwili wyrzucił ją na ziemię. Buchnął z niej potop płynu, taki potężny, taki rwący, taki niewstrzymany, iż zalał izbę od jednej ściany do drugiej. Zastawiony stół się przewrócił, kozły fiknęły kozła, dzieża, z ponczem wpadła w czeluść komina, a damy w histerię. Stosy sprzętu pogrzebowego rozsypały się do cna. Dzbany, bańki i gąsiory popadły w zamęt, flasze, oplecione wikliną, starły się rozpaczliwie z butelkami oplecionymi konopnym sznurkiem. Człowiek z drgawką utonął na miejscu - mały, sztywny dżentelmen bujał w swej trumnie na fali - a zwycięski Drągal, opasawszy ramieniem kibić opasłej damy w czechle, wypadł wraz z nią na ulicę i podążał jak po sznurku w kierunku „Free and Easy”; trop w trop za nim żeglował z pomyślnym wiatrem straszliwy Hugh Tarpaulin, który, kichnąwszy trzy czy cztery razy, sapał teraz i parskał, wiodąc pod ramię Arcyksieżniczkę Zmore.

Ligeja

I jest w tym wola, co nie umiera. Któż zbadał tajemnice woli oraz jej moce? Albowiem Bóg jest tylko mozną wolą, dzięki swemu natężeniu przenikającą wszechrzeczy. Człowiek nie ustępowałby aniołom i nie podlegałby wcale śmierci, gdyby nie słabość wątłej jego woli.

(Joseph Glanvill)

Klnę się na mą duszę, iż nie mogę sobie przypomnieć, jak, kiedy, a nawet gdzie poznałem po raz pierwszy Lady Ligeję. To już tyle lat temu i nadmiar cierpień zwałił moją pamięć! A może i dlatego nie umiem uprzytomnić sobie teraz tych szczegółów, że charakter mej umiłowanej, niezwykłe jej wykształcenie, dziwny, choć spokojny typ jej urody jako, też przenikliwa i ujarzmiająca wymowa jej niskiego, melodyjnego głosu tak z wolna, tajemnie i stopniowo torowały sobie drogę do mojego serca, iż szczegóły te przeszły nieznane i niepostrzeżone. Wszelako sędzę, iż poznałem i spotykałem ją najczęściej w jakimś wielkim, starożytnym, opustoszałym mieście, gdzieś nad Renem. To pewna, iż opowiadała mi o swej rodzinie, która wywodziła się niewątpliwie z czasów niezmiernie odległych. Ligeja! Ligeja! Pograżyłem się w badaniach, które są tego rodzaju, iż bardziej od wszystkiego znieczulają na wrażenia świata zewnętrznego, a jednak dość mi jest tego jedyne, słodkiego słowa: Ligeja! - by przed oczyma mej wyobraźni przesunął się obraz tej, co już odeszła... Kiedy to piszę, przychodzi mi na myśl, iż nie znałem nigdy rodowego miana istoty, co była mą przyjaciółką i mą narzeczoną, co brała udział w mych dociekaniach i została w końcu mą ślubną oblubienicą. Byłoby to następstwem żartobliwego nakazu mej Ligei czy też świadectwem siły mych uczuć, iż nigdy nie zasięgnąłem o tym wiadomości? Lub czy nie wyniknęło to z własnej mej zachcianki i nie stanowiło rozkiełznania romantycznej ofiary na ołtarzu bezgranicznego umiłowania? Szczegół ten niewyraźnie majaczy w mych wspomnieniach; cóż więc dziwnego, iż zapomniałem zupełnie okoliczności, co go wywołały i z nim się skojarzyły? I zaiste, jeżeli kiedykolwiek Wid Baśni, jeżeli kiedykolwiek błada, uskrzydłona mrokami

Asztofet bałwochwalczego Egiptu dziewosłębła - jak powiadają - złowróżnym zaślubinom, to na pewno dziewosłębła moim.

Pozostało wszakże pewne drogie wspomnienie, co do którego pamięć mnie nie zawodzi. Odnosi się ono do osoby Ligei. Z postawy była smukła, nieco szczupła, zaś pod koniec życia nawet wychudła. Daremnie siliłbym się na opis dostojności i spokojnej swobody jej zachowania się jako też niezrównanej lekkości i sprężystości jej chodu. Jawiła się i znikwała na kształt cienia. Nie wiedziałem nigdy, kiedy wchodziła do mojej pracowni, i o jej obecności dawała mi znać dopiero miła muzyka jej słodkiego, głębokiego głosu oraz, marmurowa jej dłoń, którą kładła na moim ramieniu. Pięknością twarzy nie dorównywała jej żadna kobieta. Był to niby rozblask snów, wykołysanych przez opium, niby napowietrzna, wyszczytniająca ducha zjawia, cudniej boska niż zwidzenia, co snuły się nad uspiętymi duszami dzieł delijskich. Wszelako jej rysy nie okazywały bynajmniej owej prawidłowości, którą mylnie nauczono nas wielbić w klasycznych dziełach świata pogańskiego. „Nie masz doskonałego piękna - powiada Bacon, lord z Verulamu, zastanawiając się szczegółowo nad wszelakimi kształtami i rodzajami piękna - bez pewnej niezwykłości w umiarach”. Jakkolwiek więc widziałem, iż rysy Ligei nie posiadają klasycznej prawidłowości, jakkolwiek zdawałem sobie sprawę, iż uroda jej była istotnie „doskonała”, i czułem, że jest w niej coś „niezwykłego”, mimo to na próżno starałem się odkryć tę nieprawidłowość i określić ściśle własne me poczucie jej „niezwykłości”. Przyglądałem się liniom wyniosłego, bladego czoła: było nieskazitelne; lecz jak zimne jest to słowo w zastosowaniu do tak nadludzkiego dostojności! Skronie władcze, szerokie, spokojne, o łagodnych wyniosłościach i lśniące, szczodre, sfalowane warkocze, godne najzupełniej homeryckiego określenia: hiacyntowe! Patrzyłem na misterną rzeźbę nosa - i krom przedziwnych medalionów hebrajskich nie znajdowałem nigdzie podobnej doskonałości. Okazywał on te samą bujną płynność linii, miał tę samą, zaledwie dostrzegalną, orlą krzywiznę i te same harmonijne wysklepione nozdrza, świadczące o niezależności ducha. Brałem pod rozwagę słodkie usta. Tchnęły one tryumfem rzeczy niezemskich: wyniosły zakrój krótkiej wargi górnej; senna, rozkoszna miękkość dolnej; rozigrane dołeczki; wyraziste barwy; zęby o połysku niemal olśniewającym, rozwidniane wniebowziętym jaśnieniem jej spokojnych, łagodnych, lecz radośnie promiennych uśmiechów. Zastanawiałem się nad kształtami brody i znajdowałem wdzięk umiaru, słodycz i majestat, pełnię i przeduchowanie helleńskie; były to kształty, które bóg Apollo ukazał, lecz tylko we śnie, Kleomenesowi, synowi niewiasty ateńskiej. A potem zatapiałem spojrzenie w wielkich źrenicach Ligei.

Dla oczu nie znajdujemy wzorów w odległej starożytności. Być może, iż to właśnie w oczach mej miłej kryła się tajemnica, o której wspomina lord Verulamu. Moim zdaniem były one znacznie większe, niż zazwyczaj bywają oczy ludzkie, i ognistsze, niżli oczy gazeli z doliny Nurzahad. Wszelako ta właściwość zaznaczała się u Ligei tylko niekiedy, w chwilach wzmożonego podniecenia. Wówczas jej piękność bywała, a może tylko wydawała się mej rozplamionej wyobraźni, piękną istotą zabłąkanych z zaświata, piękną hurys, sławionych przez mity tureckie. Skrzącą czerń źrenic ocieśniały rzęsy krucze i nadzwyczaj długie. Nie mniej czarne były brwi, nieco chwiejnie zarysowane. „Niezwykłość”, którą zauważyłem w tych oczach, nie wynikała wszakże ani z ich kształtu, ani z ich barwy, ani z ich blasku i polegała najprawdopodobniej na ich wyrazie. Ach, jakież beztreściwe słowo! Za szumną rozlewnością tego pustego dźwięku skrywa się nasza nieznanomość wielu zjawisk duchowych. Wyraz oczu Ligei! Ileż to razy rozmyślałem o nim! Na próżno trawiłem całe noce letnie, by go przeniknąć. Co to było w oczach mej miłej - to coś, głębsze niż studnia Demokryta? Co to było? Uwziąłem się, chcąc odgadnąć. Te oczy! Te wielkie, świetliste, nieziemskie źrenice! Stały się dla mnie bliźniaczymi gwiazdami Ledy - ja zaś byłem najzbożniejszym ich astrologiem.

Śród wielu niepojętych dziwów psychicznych najbardziej zaciekawiającym i niepokojącym, acz pomijanym - jak mi się zdaje - dotychczas przez naukę, jest zjawisko, iż chcąc sobie coś dawno zapomnianego przypomnieć, stajemy niejednokrotnie tuż u rubieży przypomnienia, a jednak przypomnieć sobie nie możemy. Ileż to razy zatapiając się w rozmyśleniach nad oczyma Ligei czułem, iż jestem bliski pełnego poznania ich wyrazu, czułem bliskość tego poznania, lecz zarazem stwierdzałem, że nie jest ono jeszcze moje, i w końcu doszczętnie gubiłem jego wątek! (o tajnio nieogarniona!) w najpospolitszych przedmiotach wszechistnienia dopatrywałem się całych kręgów podobieństw do tego wyrazu. Chcę przez to powiedzieć, iż z chwilą, kiedy piękność Ligei wtargnęła do mej duszy i zajęła w niej miejsce gdyby w relikwiarzu, z wielu jestestw świata widomego wyczuwałem to samo uczucie, jakiego doznawałem w sobie i dokoła siebie pod wpływem jej wielkich, promienistych źrenic. Mimo to nie mogłem określić tego uczucia ani go zbadać, a chwilami nawet traciłem je z oczu. Powtarzam, iż rozpoznawałem je niekiedy, patrząc na szybki wzrost winogrodu lub zastanawiając się nad ćmą, nad motylem, nad przeobrażeniem się poczwarki, nad biegiem wartkiej wody. Wyczuwałem je w oceanie i w spadaniu meteorów. Wyczuwałem je w spojrzeniach, zgrzybiałych starców. Znam na sklepieniu niebieskim jedną czy dwie gwiazdy (zwłaszcza jedną, gwiazdę szóstej wielkości, zmienną i dwoistą, znajdującą się w pobliżu wielkiej gwiazdy Liry), które, oglądane przez teleskop, przywoływały mi na myśl to uczucie. Odnajdowałem je w pewnych brzmieniach ostrunionych instrumentów muzycznych, a czasem w ustępach niektórych książek. Śród nieprzebranego mnóstwa innych przykładów przypominani sobie ustęp z jakiegoś dzieła Josepha Glanvilla, który (kto wie? - może dla swej cudaczności) zawsze rozbudzał we mnie to uczucie:

I jest w tym wola, co nie umiera. Któż zbadał tajemnicę woli oraz jej moce? Albowiem Bóg jest tylko możliwą wolą, dzięki swemu natężeniu przenikającą wszechświaty. Człowiek nie ustępowałby aniołom i nie podlegałby wcale śmierci, gdyby nie słabość wątpliwej jego woli.

W przebiegu lat i na podstawie poniższych spostrzeżeń udało mi się istotnie wykryć pewną daleką łączność między tym ustępem angielskiego moralisty a jedną pością charakteru Ligei. Nasilenie myśli, czynu i słowa było w niej prawdopodobnie wynikiem lub przynajmniej oznaką tego przepożętego chcenia, co podczas długiego naszego obcowania w inny i więcej bezpośredni sposób zdołało dowieść swej obecności. Śród wszystkich znanych mi kobiet jedynie ona, ta zewnętrznie spokojna i zawsze panująca nad sobą Ligeja, bywała najbezwzględniej ofiarą sępiech zawichrzeń okrutnej namiętności. Ale z namiętności tej zdawałem sobie sprawę tylko na podstawie cudownej rozprężności tych rozpajających i przerażających zarazem źrenic, na podstawie czarodziejskiej niemal wdzięczności, gibkości, wyrazistości i słodyczy jej niezmiernie głębokiego głosu jako też na podstawie nieokiełznanej mocy (zdławianej jeszcze przez przeciwieństwo z właściwościami jej wysłowienia) szczególniejszych poglądów, które zdarzało się jej wygłaszać.

Wspomniałem o wykształceniu Ligei: było niezmiernie - nie spotykałem podobnego u innych kobiet. Posiadała głęboką znajomość języków klasycznych i - o ile mogłem sprawdzić - władała biele nowocześniejszymi językami europejskimi. I czy zdarzyło się kiedy; by Ligeja pomyliła się w jakiegokolwiek dziedzinie nauki, tak bardzo podziwianej i uwielbianej, a jednak tak mętnej? Przede wszystkim ten rys w naturze mej żony tak dziwnie, tak przejmująco narzucał się

mej bacności w ostatnim zwłaszcza okresie. Powiedziałem, iż żadna kobieta nie dorównywała jej wykształceniem, lecz czyż istnieje mężczyzna, któremu powiodło się zbadać nieprzejrzane przestwory wiedzy filozoficznej, przyrodniczej i matematycznej? Nie rozumiałem wówczas tego, co teraz jasno pojmuję, iż wiadomości Ligei były bezgraniczne, osłupiające; ale zdawałem sobie sprawę z jej ogromnej przewagi i z dziecięcą ufnością powodowałem się wskazówkami wśród chaosu dociekań metafizycznych, które w pierwszych latach naszego małżeństwa pochłaniały mnie całkowicie. Kiedy zagłębiałem się w tych zagadnieniach, tak mało zbadanych a jeszcze mniej znanych, i kiedy ona pochylała się nade mną, z jakimż światowładnym tryumfem, z jakimż radosnym zachwytem, z jakąż wniebowstępną nadzieją doznawałem wrażenia, iż oto z wolna rozstępują się przede mną te przedziwne widnokreśli i ukazują się w głębi przejrzana, długa i nie udeptana stopą ludzką ścieżka, mająca mnie zaprowadzić hen, wzwyż, ku celom Wiedzy, co zbyt jest cenna i zanadto boska, by nie miała być zabroniona!

Lecz z jakimż krwawym bólem spostrzegłem po kilku latach, iż moje najniezawodniejsze oczekiwania rozwijają skrzydła i gotują się do odlotu! Bowiem bez Ligei byłem tylko dzieckiem zbłąkanym wśród ciemności. Już sama jej obecność i sposób czytania rozwidniały niejedną tajemnicę transcendentalizmu, co nas pochłaniał. Bez promiennego blasku jej oczu umiejętność ta, złota i skrzydlata, mierzła gdyby saturnowe ołowiu. Otóż te oczy coraz rzadziej i rzadziej były spoglądać na karty, co były przedmiotem mych zadum. Ligeja zaniemogła. Zbyt - ach, zbyt świetnymi ogniami pałały dziwne jej źrenice; białe palce nabrały woskowej przejrzystości grobu, a błękitne żyłki na wyniosłym czole wznosiły się i opadały szybko za najlżejszym wzruszeniem. Widziałem, że musi umrzeć, i rozpaczliwie pasowałem się w duchu z okrutnym Azraelem. Lecz walka, którą podjęła ta namiętna istota, ku mojemu zdumieniu była jeszcze zapamiętalsza. Na podstawie pewnych właściwości jej głębokiej natury przypuszczałem, iż śmierć oszczędzi jej swych przerażeń, ale tak się nie stało. Nie ma słów na określenie nieugiętości oporu, jaki stawiała Widowi Cieniów. Skowrytałem z żalości, patrząc na to bolesne widowisko. Chciałem pocieszać, chciałem koić rozumowaniem; lecz jej nieokiełznana żądza życia, życia i tylko życia była tak przepotężna, iż pociechy i rozumowania wydawały się istnym szaleństwem. Mimo to do ostatniej chwili, wśród mąk, co targały hardą jej duszą, nie postradała swej zewnętrznej pogody. Słodszym stał się jej głos, co jeszcze się pogłębił - wolałem jednak nie rozmyślać nad tajnym znaczeniem słów, spokojnie wypowiedianych. Mózg mój nurzał się w obłądnie, gdy słuchał tej niezmiernie melodii, tych zachceń i uroszczeń, o jakich przedtem nie śniła ludzkość.

Ze mnie kochała, to nie ulegało wątpliwości; i łatwo przyszło mi zdać sobie sprawę, że miłość, co włada w duszy tej miary, nie może być zwyczajną namiętnością. Lecz dopiero w obliczu śmierci pojąłem w całej pełni siłę jej uczuć. Trzymając mnie za rękę, całymi godzinami darzyła mnie szczerze nadmiarem swego serca, którego przenamiętna czułość graniczyła z ubóstwieniem. Czymże zasłużyłem na szczęście takich wyznań? Czymże zasłużyłem na przekleństwo utraty mej miłej w chwili, kiedy do nich przyszło? Lecz mówić o tym dłużej jest nad moje siły. Pragnąłbym tylko nadmienić, iż to niekobiece już zapamiętanie się Ligei w miłości, co, niestety, była darem niezasłużonym i niegodnej ofiarowanym duszy, naprowadziło mnie w końcu na źródło jej tęsknoty oraz nieskiełznanie dzikiej żądzy życia, które tak szybko gasło. Dać wyobrażenie o tej nieukojonej tęsknicy, o tym rozpętanym do szaleństwa pragnieniu życia, i tylko życia - nie jest w mej mocy i słów mi już nie staje.

O północnej godzinie, kiedy duch jej gotował się już do odlotu, przyzwała mnie skinieniem jeszcze raz ku sobie i prosiła, bym odczytał jej wiersze, które ułożyła na kilka dni przedtem. Uczyniłem zadość jej życzeniu. Brzmiały one następująco:

Oto godowa noc
 Śród lat, co w smętnych zgasły snach!
 Skrzydlatych, jasnych duchów moc,
 W zasłonach i we łzach,
 Patrzy na dramat, który gra
 Nadzieja, to znów strach,
 A gęźbą sfer rozbrzmiewa donośną
 Wszystek teatru gmach.
 Aktorzy - z kształtów ni to Bóg,
 Jak pszczelny szemrzą ul,
 Błędnie szukając dróg.
 Te kukły swych się jeły ról
 Z woli bezkształtnych jakichś lich,
 Co sięją w tłumy, jak w skiby pól,
 Z sępic, rozwitych skrzydeł swych
 Niewidzialny ból.
 Pstry dramat! Lecz po wieków wiek
 Nie zginie o nim wieść:
 Wiecznie trwać będzie Widziadła bieg
 I tłumy za sobą wieść
 Po kole... krążże więc, koło, krąż,
 By znów się w siebie wpleść!
 Te same szwały i winy wciąż
 I groza... dramatu w niej treść!
 Lecz patrz! w poblizie płochych rzesz
 Potwór się chyłkiem wkradł -
 Z wolna na scenę pełźnie od dźwierz
 Ohydny, krwawy gad.
 Już wpelzł! Już straszny zaczął łów
 Śród trwoźnych ludzkich stad.
 Łkają serafy widząc, jak z kłów
 Sączy posokę i jad.
 Już koniec - światła już mrą...

Na ból, co każdy pręży nerw,
Z szelestem jak śmiertelne gżło
Spada zasłona - ale wpierw
Anioły w męce podnoszą głos,
Bładości swych nie kryjąc lic,
Że dramat ten - to człowieczy los,
W którym moglińcy zwycięża czerw.

- O, Boże! - zawołała Ligeja, kiedy skończyłem czytanie, i zrywając się z łóżka kurczowym ruchem wyciągnęła ku niebu ramiona. - O, Boże! Ojczy Niebieski! Czyż tak być musi nieodmiennie? Czyż tego pogromcy nigdy nie uda się pogromić? Czyliż nie jesteśmy częścią i działką Twoją? Kto, kto zbałał tajemnice woli oraz jej moce? „Człowiek nie ustępowałby aniołom i nie podlegałby wcale śmierci, gdyby nie słabość wątłej jego woli”. Po czym, jak gdyby wyczerpana nadmiarem wzruszeń, opuściła swe białe ramiona i powróciła w skupieniu na łożo śmierci. Wydając ostatnie tchnienie, cichym szeptem drgnęły jej usta. Nachyliłem się ku niej i znów doleciały mnie końcowe słowa z przytoczonego ustępu Glanvilla: „Człowiek nie ustępowałby aniołom i nie podlegałby wcale śmierci, gdyby nie słabość wątłej jego woli”.

Umarła, ja zaś, strącony w proch bólem, nie mogłem znieść dłużej beznadziejnej samotności pobytu w mglistym, opustoszałym mieście nad Renem. Nie zbywało mi na tym, co świat zowie bogactwem. Ligeja wniosła mi w posagu znacznie więcej, o wiele więcej, niż zazwyczaj dostaje się w udziale ludziom śmiertelnym. Jakoż po kilku miesiącach utrudzającej i bezcelowej tułaczki nabyłem i podźwignąłem z upadku pewne (nazwę jego przemilczę) opactwo w najdzikszej i najodludniejszej okolicy pięknej Anglii. Posępny i smętny majestat budowli, dziki niemal wygląd włóści tudzież żalosne i czcigodne a związane z nimi podania godziły się przedziwnie z uczuciem zupełnego osamotnienia, co mnie zagnało w te odległe i nie zamieszkałe strony. Nie tykając niemal opactwa od zewnątrz i pozostawiając mu pozory zagrzeźlej w zieleni ruiny, z dziecięcą jakąś przewrotnością, a może też ze słabą nadzieją ukojenia swych smutków, jałem urządzić je wewnątrz z nieledwie królewskim przepychem. Od dzieciństwa nabrałem upodobania do podobnych szaleństw, a teraz powróciły one niby mrzonka zgrzyoty. Niestety, sam czułem, ile związków obłędu taילו się we wspaniałych, fantastycznych oponach, w hieratycznych rzeźbach egipskich, w dziwacznych gzymsach i sprzętach tudzież w chimerycznej wzorzystości kobierców, przetykanych złotymi kwiatami! Opętało mnie opium i uczyniło swym niewolnikiem, a moje prace i zamiary nabrały zabarwienia mych snów. Lecz wolę nie rozpatrywać szczegółowo tych niedorzeczności. Chciałbym tylko wspomnieć o pewnej komnacie, którą przekląłem na wieki, a do której poprowadziłem od ołtarza jako mą oblubienicę, jako następczynię niezapomnianej Ligei - jasnowłosą i błękitnooką Lady Rowene Trevanion z Tremaine.

Wszystkie szczegóły architektoniczne i zdobnicze tej ślubnej komnaty stanęły mi w tej chwili przed oczyma. Co się działo w duszach dostojnej rodziny panny młodej, gdy oślepią blaskiem złota pozwoliła swej ukochanej córce przekroczyć progi mieszkania, w ten sposób urządzanego? Powiedziałem, że pamiętam ten pokój do najdrobniejszych szczegółów, a jednak ze zgrzyoty zapominałem rzeczy bardzo ważnych, w tym zaś fantastycznym kramie nie było ładu ni składu, które by narzucały się pamięci. Komnata owa znajdowała się w wysokiej wieżycy warownego opactwa, była znacznych rozmiarów i miała kształt pięcioboku. Południową ścianę tego pięcioboku tworzyło okno -olbrzymia szyba z weneckiego szkła, jednolita płyta o zabarwieniu ołowianym, które sprawiało, iż wpadające do wnętrza promienie słońca lub księżycy nadawały przedmiotom połysk widmowy. Górną część tego ogromnego okna ocieniała krata, upowita latoroślami prastarego winogrodu, rozpiętego na potężnych murach wieżycy. Strop z poczerniałego dębu był nadzwyczaj wysoki, sklepiony i suto ozdobiony najosobliwszymi i najpotworniejszymi rzeźbami w stylu na połę gotyckim a na połę druidycznym. Z kasety, znajdującej się w samym środku tego posępnego sklepienia, na pojedynczym, złotym, o wydłużonych ogniwach łańcuchu zwisała olbrzymia panew, wykonana na wzór saraceński z tego samego kruszcu i opatrzona licznymi otworami, rozmieszczonymi w ten sposób, iż z węzową jak gdyby rącością przewijały się przez nie różnobarwne płomienie.

W różnych miejscach stało kilka otoman oraz kilka złotych wschodnich świeczników; ponadto znajdowało się tam łożo - ślubne łożo, niskie, wyrzeźbione z hebanu na modłę hinduską i osłonięte baldachimem, podobnym do całunu. We wszystkich kątach komnaty wznosiły się ogromne sarkofagi, wydobyte z grobów królewskich opodal Luksoru i nakryte starożytnymi wiekami, na których widniały niepamiętne rzeźby. Najwyższe wszakże rozkiełznanie wyobraźni przejawiało się, niestety, w obiciach komnaty. Przeogromne, aż rażąco wysokie ściany były okryte od góry do dołu sutymi fałdami grubych, ciężkich opon, sporządzonych z tej samej tkaniny, co kobierzec na posadzce, co powłoki na otomanach i hebanowym łożu, co baldachim nad łożem i co okazałe zwoje portier, przysłaniających w części okno. Tkaniną tą był drogocenny złotogłów. W nierównych odstępach widniały na nim arabeskowe figury, mające mniej więcej stopę średnicy, a występujące z tła niezmiernie głęboką wzorów swoich czernią. Wszelako figury te zachowywały właściwy charakter arabesek tylko z jednego punktu widzenia. Za pomocą wynalazku, znanego w naszych czasach powszechnie, a sięgającego odległej starożytności, zmieniały się one w wyglądzie. Kiedy wchodziło się do komnaty, sprawiały wrażenie zwykłych potworności; lecz w miarę jak postępowano się dalej i przechodziło z miejsca na miejsce, wrażenie to stopniowo pierzchało, a poczynał natomiast ze wszech stron kołować nieskończony korowód upiornych kształtów, należących do kręgu zabobonów normandzkich lub poczętych w zbrodniczych snach mnichów. Za oponami krążył nieustannie sztucznie tam wprowadzany silny prąd powietrza i wzmagał jeszcze widmowość wrażeń, darząc wszystko rozedrzanym, ohydnyim życiem.

W takiej to świetlicy, w takiej to ślubnej komnacie spędzałem z Lady z Tremaine bezecne chwile pierwszych poślubnych miesięcy, a spędzałem je, próżen niemal troski. Nie mogłem nie spostrzec, że żona moja lękała się dzikości posępnego mego usposobienia, że unikała mnie i zbyt nie kochała, lecz sprawiało mi to poniekąd przyjemność. Nienawidziłem jej nienawiścią raczej demona niż człowieka. Pamięć moja pierzchała (och, z jakimż nieukojonym żalem!) w przeszłość, ku Ligei, ku tej pięknej, ku tej dostojnej, ku tej jedynej, ku tej umarłej. Lubowałem się rozpamiętywaniem jej czystości, jej wiedzy, jej szczytnej, przeduchowionej natury, jej przenamiętnej, rozmodłonej miłości. I stało się, że wszystek mój duch samorzutnie zajął się płomieniem, co z większą grzał mocą niż wszystkie jej ognie. W rozkołysaniu snów opiumowych (gdyż dałem się opętać zupełnie obierzom tej trucizny) zdarzało się, iż wśród ciszy nocnej powtarzałem głośno jej imię lub całymi dniami błąkałem się z nim na ustach po zacisznych ustroniach parowów, jak gdyby dzika

zgryzota, wniebowzięta czułość i zabójczy żar mej tęsknicy za umarłą mogły przywołać ją z powrotem na szlaki ziemskie, które opuściła - ach, czyż podobna, by na zawsze?

Z początkiem drugiego miesiąca naszego pożycia małżeńskiego Lady Rowena zachorowała nagle i nieprędko powróciła do zdrowia. Trapiła ją nocami niewygasająca gorączka; w niespokojnym półśnie majaczyła o jakichś ruchach i szmerach, co rozlegały się w pokoju na wieży, a były - jak sądziłem - wytworem jej chorobliwej wyobraźni i poczynały się prawdopodobnie z magicznych uroków komnaty. Po pewnym czasie jąla odzyskiwać siły i w końcu wyzdrowiała. Lecz wnet potem druga, jeszcze groźniejsza niemoc powaliła ją znowu na łożo cierpienia; spod tego ciosu jej organizm nigdy nie podźwignął się zupełnie. Choroba jej przybrała odtąd zwrot niepokojący, zaś jeszcze bardziej niepokojąca była jej przewlekłość, urągająca wiedzy i staraniom lekarzy. W miarę jak wzmagala się ta długotrwała niemoc, co zapewne zbyt już głęboko zakorzeniła się w jej organizmie, by mogły przyjść jej z pomocą zabiegi ludzkie, zauważyłem, iż wzrasta również nerwowe rozdrażnienie jej temperamentu jako też pobudliwość, posunięta do tego stopnia, iż najpowszedniejsze nawet przyczyny przejmowały ją lekkiem. Z jeszcze większą stanowczością i częściej niż poprzednio jąla znów mówić o szmerach - o lekkich szmerach - i tajnych jakichś śród opon poruszeniach, o których wspominałem już za pierwszym razem.

Pewnej nocy, pod koniec września, z większym niż zazwyczaj naciskiem starała się zwrócić moją uwagę na te niemiłe przewidzenia. Obudziła się właśnie z niespokojnego snu, ja zaś z uczuciem na poły lęku, na poły nieokreślonej grozy śledziłem wyraz jej wynędzniałej twarzy. Siedziałem na otomaniu indyjskiej obok jej hebanowego łoża. Dźwignąwszy się nieco, mówiła przyciszonym, strwożonym głosem o szmerach, które co tylko usłyszała, a których ja słyszeć nie mogłem - o ruchach, które co tylko zobaczyła, a których ja dostrzec nie mogłem. Szybko wiatr krążył za oponami, chciałem ją przeto przekonać (w co zresztą - wyznając otwarcie - sam niezupełnie wierzyłem), iż te nieujęte omal szemrania jako też te niedostrzegalne prawie zmiany w poruszeniach figur na ścianach były po prostu następstwem zwykłego prądu powietrza. Wszelako śmiertelna bladeść, co oblokła jej lica, dała mi do poznania, że moje zabiegi, by ją uspokoić, spełzną na niczym. Zdawało się, że zemdleje, a służby w pobliżu nie było. Przypomniałem sobie, gdzie stała karafka lekkiego wina, przepisano jej przez lekarzy, i pobiegłem po nie w głąb komnaty. Kiedym wszakże mijał światło panwi, dwie przerażające okoliczności zwróciły moją uwagę. Najpierw uczułem, iż musnął mnie z lekka w przejściu jakiś przedmiot dotykalny, lecz niewidzialny; po czym na złotym kobiercu, śród promienistego kręgu, utworzonego przez panew, ujrzałem cień, nikły, nieokreślony cień o anielskim wyglądzie - coś, jak gdyby poczęty w urojeniu wid cienia. Lecz nadmierna dawka opium podnieciła mnie do tego stopnia, iż nie zastanowiłem się nad tymi zjawiskami dokładniej i nie wspominałem o nich Rowenie. Znalazłszy wino przebiegłem z powrotem komnatę, napełniłem nim kubek i przybliżyłem go do ust bliskiej omdlenia kobiety. Kiedy przyszła nieco do siebie, wzięła z rąk mych kubek, ja zaś rzuciłem się na pobliską otomanę, nie odwracając od niej oczu. I wtedy to usłyszałem wyraźnie, że ktoś stąpa z cicha po kobiercu w pobliżu łoża, w chwilę zaś później, kiedy Rowena podnosiła wino do ust, dostrzegłem, lub może mi się śniło, że dostrzegłem, iż do kubka, jak gdyby z jakiegoś niewidzialnego źródła, znajdującego się w atmosferze pokoju, padły trzy czy cztery wielkie krople przejrzystego, rubinowego płynu. Widziałem to - lecz nie widział tego Rowena. Bez wahania wypila wino, ja zaś nie uważałem za stosowne opowiadać jej o tym zdarzeniu, które po dokładniejszej rozwadze wydało mi się wytworem niepowsściągliwej wyobraźni, rozkołysanej chorobliwie przerażeniem mej żony, nadmiarem opium i spóźnioną porą.

Nie mogę atoli wyzbyć się przeświadczenia, iż po wpuszczeniu rubinowych kropli do kielicha w niedomaganiu mej żony zaszła niezwłocznie nagła zmiana na gorsze. Jakoż trzeciej z kolei nocy ręce służebnic stroiły ją do trumny, czwartej zaś siedziałem samotnie nad jej przyobleczonymi w całuny zwłokami w owej fantastycznej komnacie, do której weszła niegdyś jako moja oblubienica. Potworne, wywołane przez opium wizje gdyby cienie płaśły przede mną. Spoglądałem niespokojnie na stojące w kątach sarkofagi, na zmienne figury opon i na różnobarwne ognie, co wiły się dokoła panwi nad moją głową. Potem przyszły mi na myśl zdarzenia nocy minionych i wzrok mój padł na miejsce, rozwidnione luną panwi, gdzie dostrzegłem wówczas zwiewne zarysy cienia. Już go tam nie było; oddychając przeto swobodniej, podniosłem oczy na bladą, stężałą postać, spoczywającą na łożu. I zaroily się me myśli tysiącem wspomnień o Ligei, a o me serce z gromkim rozpadem powracającej fali uderzył powtórnie ów niewysłowny ból, jakiego doznałem, kiedym ją ujrzał podobnie spowitą w całuny. Noc była późna; z duszą pełną gorzkiej zadumy o niej jedynej i o niej najmilszej nie ruszając się z miejsca, zapatrzywszy się w zwłoki Roweny.

Około północy, a może nieco wcześniej lub nieco później, gdyż nie uważałem, która była godzina, jakieś ściszone, głuche, lecz najzupełniej wyraźne łkanie obudziło mnie nagle z zamyślenia. Czułem, iż pochodziło z hebanowego łoża - z łoża śmierci. Nadśluchiwałem, truchlejąc z przesądnej trwogi - lecz szmer się nie powtórzył. Przyglądałem się bacznie, czy trup się nie rusza, ale nie dostrzegłem najlżejszego drgnienia. Mimo to nie pomyliłem się na pewno. Doleciał mnie szmer, jakkolwiek słaby, i duch mój uzbroidł się w czujność. Zawzięcie i wytrwale skupiałem całą uwagę, przykutą do zimnego ciała. Nierychło zaszły objawy, mogące rozwidnić tę tajemnicę. Okazało się mianowicie, iż niezmiernie nikły i zaledwie dostrzegalny nalot rumieńca owiał policzki i wzdłuż drobnych, zakłęsłych żyłek spłynął na powieki. Uczułem, iż za sprawą nieogarnionego przerażenia i grozy, na którą w języku ludzkim nie ma dość silnych wyrazów, serce me stygnie i członki me tężeją. Wszelako poczucie obowiązku pozwoliło mi w końcu zapanować nad sobą. Nie ulegało wątpliwości, iż przedwczesne były nasze przygotowania - że Rowena jeszcze żyła. Trzeba było pośpieszyć niezwłocznie z pomocą; atoli wieża zbyt była oddalona od skrzydła opactwa zamieszkałego przez służbę - dowołać się jej nie było można - i nie było jak jej zawezwać bez wychodzenia na czas jakiś z komnaty, a na to odważyć się nie mogłem. Sam przeto usiłowałem zapobiec odlotowi kołatającej się jeszcze duszy. Jednakże w chwilę później nabrałem pewności, iż życie doszczętnie wygasło: rumieńce na powiekach i na policzkach zanikły, ustępując miejsca nieledwie marmurowej bieli; w dwójnasób przywyęły wargi i rozchyliły się, przybierając upiorny wygląd śmierci: odrażający chłód i śliskość rozpostarły się szybko na powierzchni ciała, które stężało i zastygło w bezwładzie. Z drżeniem rzuciłem się na wezglowie, z którego niedawno powstałem, i znów pograżyłem się na jawie w namiętnych snach o Ligei.

Minęła w ten sposób godzina, gdy (czyż podobna?) jakiś nieokreślony szmer doleciał mnie powtórnie od strony łoża, Jąłem nadśluchiwać, nie posiadając się z przerażenia. Szmer wionął znowu - było to westchnienie. Podbiegłem do trupa i widziałem - na własne oczy widziałem - jak usta jego drgnęły. W chwilę później obwisły, odstaniając rząd lśniących jak perły zębów. Ośłupienie jąlo w mej duszy pasować się z niezgłębioną grozą, co dotychczas władała w niej niepodzielnie. Uczułem, że w oczach mi ciemnieje, a w mózgu się mąci; długo walczyłem ze sobą, zanim powiodło mi się zebrać siły, potrzebne do spełnienia narzucającego się ponownie obowiązku. Bowiem nikła luna rumieńca pojawiła się znowu na czole, licach i gardzieli; wyczuwałem ciepło, co przeniknęło zwłoki; nawet serce z lekka w nich drgnęło. Lady

żyła; ze zdwojoną gorliwością starałem się ją ocucić. Zwiłałem i nacierałem ręce i skronie, nie pominąłem żadnego zabiegu, znanego mi z doświadczenia i z niemałego odczytania w dziełach lekarskich. Ale nadaremnie. Nagle rumieńce pierzchły, tętno przycichło, wypelzł na usta wyraz śmierci, a w chwilę później zwłoki zlodowaciały, posiniały i zakrzepły, przybierając ohydny wygląd trupa, co od wielu dni przebywał w grobie.

I znowu zaprzepaściłem się w marzeniach o Ligei - i znowu (cóż dziwnego, że z drżeniem kreślę te słowa?), znowu doleciało mnie głuche łkanie od strony hebanowego łoża. Lecz po cóż rozwodzić się szczegółowo nad niewysłowioną grozą tej nocy? Czyż mam opowiadać, jak raz po razie, niemal do samego brzasku, powtarzał się ten potworny dramat odżywiania; jak każdy straszliwy podryw rozprzegął się w tym okropniejszej i pozornie tym niezawodniejszej śmierci; jak każde konanie było niby walką z jakimś niewidzialnym wrogiem; i że każda taka walka kończyła się wprost niepojętą zmianą w wyglądzie trupa? Pragnę co rychlej dobiec do końca.

Minęła znaczniejsza część tej strasznej nocy, gdy zmarła drgnęła ponownie i mocniej niż przedtem, jakkolwiek budziła się z rozkładu nierównie beznadziejniejszych od wszystkich dawniejszych. Już od dawna zaprzestałem wszelkich wysiłków i zniechęcałem na otomanie, pograżając się w omdnięcie unicestwiających wrażeń, wśród których ostateczne przerażenie było może najmniej okropne i najmniej dławiące. Trup - powtarzam - drgnął, i to z większą siłą niż poprzednio. Łuna życia z niezwykłą mocą ubarwiła policzki, ustąpiło stężenie członków - i gdyby nie zaciśnięte szczelnie powieki, gdyby nie chusty i czechła pośmiertne, co użyczały jej kształtom wyglądu grobowego, mógłbym być mniemać, iż Rowena wyzwoliła się zupełnie z okowów śmierci. Nie dowierzałem na razie temu przypuszczeniu, lecz przestałem wątpić, gdy ujrzałem na własne oczy, jak upowita w całuny postać podniosła się z łoża i niby człowiek, co błąka się we śnie, z zamkniętymi oczyma postąpiła chwiejnym, niepewnym krokiem na środek komnaty.

Nie zadrzałem, nie porwałem się z miejsca, gdyż tłum niewysłowionych przewidzeń, wywołanych ruchami, postawą i zachowaniem się postaci, zakotłował nagle w mym mózgu, obezwładnił mnie i okamienił. Nie drgnąłem, zapatrzony w widziadło. Beładnie, w błędnej rozterce wichrzyły się moje myśli. Czyż to możliwe, by żywa Rowena istotnie stała przede mną? Czy to w ogóle mogła być Rowena, jasnowłosa, modrooka Lady Rowena Trevanion z Tremaine? Skąd, dlaczego nasunęły się mi te wątpliwości? Przepaska ciężko przysłaniała usta - wszelako czyż nie były to usta Lady z Tremaine? A lica - różane jak w pełni rozkwitu - to zapewne cudne lica żywej Lady z Tremaine? A broda z dołeczkami jak wówczas, kiedy była zdrowa, to przecież jej broda? Lecz cóż to, czy urosła podczas choroby? Na myśl tę opętało mnie niepojęte szaleństwo. Zerwałem się i przypadłem do jej stóp. Targnęła się, by uniknąć mojego dotknięcia, przy czym obsunęło się upiorne czechło, co osłaniało wolno jej głowę, i skroś rozmigotanego powietrza komnaty wionęła ogromna smuga długich, rozpuszczonych włosów: były one czarniejsze niżli krucze skrzydła północy! I rozwarły się z wolna oczy stojącej przede mną postaci.

- Teraz - zawołałem na cały głos - teraz na pewno już się nie mylę! To wyraziste, czarne, nieodgadnione oczy miłości, co mnie odeszła - to oczy Lady - LADY LIGEI.

Diabeł w dzwonnicy
Która godzina?

Wszystkim powszechnie wiadomo, iż najpiękniejszą miejscowością na świecie jest - lub raczej, niestety, była - holenderska osada Vondervotteimittiss. Ponieważ jednak leży ona w niejkiej odległości od głównych gościńców i znajduje się nieco na uboczu, przeto zapewne bardzo niewielu moich czytelników miało sposobność ją odwiedzić. Z uwagi na tych, którzy tam nie byli, nie od rzeczy będzie, jak sądzę, przytoczyć o niej niektóre szczegóły. Jakoś jest to tym potrzebniejsze, iż spodziewając się pozyskać powszechne współczucie dla jej mieszkańców, pragnąłbym zarazem opowiedzieć historię nieszczęsnych wydarzeń, które tak niedawno zaszły w jej obrębie. Nikt z moich znajomych nie będzie snadź powątpiewał, iż podjąwszy się tego obowiązku, wykonam go w miarę swych zdolności, ze ścisłą bezstronnością, badając przezornie szczegóły i doszukując się pilnie źródła, jak przystało człowiekowi, który ubiega się o tytuł dziejopisa.

Posługując się medalami, manuskryptami i napisami, zdołałem stanowczo stwierdzić, iż osada Vondervotteimittiss znajdowała się od swego założenia dokładnie w tych samych warunkach, w jakich obecnie się znajduje. Przykro mi atoli, iż o dacie jej założenia mogę mówić tylko z nieokreśloną określonnością, którą matematycy starają się niekiedy ująć w pewną formułę algebraiczną. Rzekłbym tedy, że jeżeli chodzi o datę tej starożytności, to bądź co bądź sięga ona niewątpliwie w przeszłość tak daleko, jak tylko może.

Przystępując do pochodzenia nazwy Vondervotteimittiss, z nie mniejszym ubolewaniem wyznaję, iż przedstawia się ono niejasno. Śród mnóstwa poglądów na to misterne zagadnienie - poglądów niekiedy przenikliwych, niekiedy uczonych, niekiedy zaś wręcz sprzecznych - nie zdołałbym wymienić ani jednego, który by rozwiązywał je zadowalająco. Z dużymi zastrzeżeniami można by przyjąć hipotezę Grogswigga, pokrywającą się niemal z przypuszczeniami Kroutaplenteya. Tok jej jest następujący: Vondervotteimittiss - Vonder, czytaj Donder - Votteimittiss niejako und Bleitziz - Bleitziz, przestarzałe, zamiast Blitzen. Za pochodzeniem tym przemawiają, co prawda, także lekkie ślady prądu elektrycznego, widne na wieżycy ratuszowej. Nie czuję się jednakowoż powołany do rozstrzygnięcia o sprawie tak ogromnej wagi i czytelników, którzy pragną źródłowych wiadomości, muszę odesłać do Oratiunculae de Rebus Praeter - Veteris Dundergutza. Patrz również Blunderbuzzarda De Derivationibus od str. 27 do str. 5010, folio, edycja gotycka, druk czerwony i czarny, kustosze, strony nienumerowane - nie pomijając przy tym własnoręcznych dopisków Stuffundpuffa oraz dodatkowych komentarzy Gruntundguzzela.

Mimo mroków, spowijających datę założenia Vondervottei-mittiss oraz pochodzenie jej nazwy, nie może ulegać wątpliwości, jak już nadmieniałem poprzednio, iż istniała ona zawsze w tym samym stanie, w jakim istnieje obecnie. Najstarsi ludzie w tej osadzie nie mogą przypomnieć sobie najlżejszej bodaj różnicy w którejkolwiek jej części i samo przypuszczenie podobnej możliwości uchodziłoby już tam za obelgę: Leży ona w najzupełniej kolistej dolinie, mającej jakie ćwierć mili obwodu i otoczonej ze wszech stron łagodnymi wzgórzami, poza które mieszkańcy nie odważyli się nigdy wyrzeć. Tłumaczą to oni nader przekonywająco, utrzymując, iż nie wierzą, żeby w ogóle istniało cokolwiek po drugiej stronie.

Dokoła wrębu doliny (która jest równa jak stół i wybrukowana całkowicie płaskimi ceglami) rozciąga się nieprzerwany szereg sześćdziesięciu niewielkich domków. Tyłami odwrócone do wzgórz spozierają one ku środkowi płaszczyzny, odległemu dokładnie o sześćdziesiąt jardów od drzwi frontowych każdego mieszkania. Przed każdym domkiem znajduje się mały ogródek z kolistą ścieżką, zawierający zegar słoneczny i dwadzieścia cztery główki kapusty.

Domki są tak dalece do siebie podobne, że żadną miarą nie można ich odróżnić. Ich styl architektoniczny, sięgający zamierzchłej starożytności, jest nieco dziwaczny, lecz mimo to niezmiernie malowniczy. Zbudowano je z małych, mocno wypalonych cegieł, czerwonych, lecz zakończonych czarnymi skrajami, toteż ściany wyglądają niby ogromne szachownice. Ścianami szczytowymi obrócone do frontu, nad drzwiami wejściowymi i nad rynnami mają te domy okapy niemal tych rozmiarów, co pozostała część budynku. Okna są wąskie i głębokie; malutkie ich szybki są osadzone w bardzo szerokich ramach. Dachy okrywa bezlik dachówek z długimi, zakrzywionymi krańcami. Części drzewne mają barwę ciemną. Są one suto rzeźbione, wszelako rzeźby te nie odznaczają się bynajmniej różnorodnością motywów. Od niepamiętnych czasów rzeźbiarze z Vondervotteimittiss ograniczali się do odtwarzania tylko dwu przedmiotów: czasomierza i kapusty. Czynili to jednak po mistrzowsku i z nadzwyczajną pomysłowością rzeźbili je wszędzie, gdzie tylko mogło dosięgnąć ich dłuto.

Domostwa te są równie do siebie podobne wewnątrz, jak na zewnątrz, a urządzenie ich przedstawia się wszędzie wedle jednej modły. Posadzki są ułożone z kwadratowych cegiełek, stoły wykonane z przyciemnionego drzewa. Wspierają się one na cienkich, pałkowatych nogach, zakończonych misternie u dołu. Przymurki nad czeluszciami kominków są bardzo przestronne i wysokie. Pokrywają je od przodu rzeźby przedstawiające czasomierze i główki kapusty, zaś pośrodku gzymsu, na naczelnym miejscu stoi rzeczywisty zegar, odzywający się donośnym tykotaniem. Po obu jego stronach, na rogach gzymsu, widnieją doniczki z główkami kapusty. Pomiędzy tymi doniczkami a zegarem mieszczą się figurki, wyobrażające brzuchatych Chińczyków; każdy z nich ma na brzuchu duży, okrągły otwór, przez który wзира tarcza zegarowa.

Czeluscie kominków są obszerne i głębokie, kozły, co strzegą ich wylotów, pałkowate i dziwaczne. Buzuje tam nieustannie ogień, a śród niego widnieje ogromny garnek, pełen kiszzonej kapusty i wieprzowiny. Czuwa nad nim pilnie zacna gospodyni. Jest to mała, przysadzista staruszka o niebieskich oczach i rumianych policzkach. Ma na głowie okazały czepek, podobny z kształtu do głowy cukru, przystrojony purpurowymi i żółtymi wstążkami. Odziana jest w spódnicę z pomarańczowego samodziału, nader sutą od tyłu, lecz bardzo krótką w stanie i w ogóle ze wszech miar krótką, gdyż nie sięga ona nawet do połowy łydek. Te są nieco grubawe, podobnie jak nogi w kostkach, ale za to przyobleczone w wytworne, zielone pończochy. Jej trzewiki z cielistoróżowej skóry przytrzymują na stopach żółte wstęgi, zadziergnięte w pęki kształtu główki kapusty. W lewej ręce trzyma niewielki, ciężki zegarek holenderski, w prawicy dzierży warzechę do mieszania kapusty i wieprzowiny. Nie odstępuje jej opasły, łaciaty kot, któremu „chłopcy” dla krotchwili przywiązali do ogona pozłocisty zegarek dziecienny.

Chłopcy - a jest ich trzech - pilnują w ogrodzie prosięcia. Każdy z nich ma dwie stopy wzrostu. Mają trójgraniaste, z wywiniętymi kresami kapelusze, purpurowe kamizelki, zachodzące aż na uda, buchaste, sięgające do kolan spodniki, pończochy z czerwonej wełny, ciężkie ciżmy z dużymi, srebrnymi sprzączkami i długie surduty, zapinane na guziki z perłowej macicy. Każdy dzierży fajkę w ustach i mały, pękaty zegarek w prawicy. Zaciągnie się dymem i spojrzy na zegarek, po czym spojrzy na zegarek i zaciągnie się dymem. Prosię - które jest tłuste i leniwe - albo skubnie uroniony liść kapuściany, albo też wierzgnie nogą w pozłocisty zegarek repetierowy, który urwisy przywiązały mu do ogonka, aby wyglądało nie mniej ładnie od kota.

Na wprost drzwi wejściowych w głębokim, obitym skórą fotelu, co ma nogi pałkowate i misternie zakończone od dołu, siedzi pan domu w podeszłym wieku. Jest to ogromnie pulchny, nieduży staruszek, z kragłymi, wytrzeszczonymi oczyma i potężnym, podwójnym podbródkiem. Strój jego podobny jest do stroju chłopców i nie widzę potrzeby szerszej nad nim się rozwódzić. Jedyna różnica polega na tym, iż jego fajka jest nieco większa i że może puszczać większe kłęby dymu. Podobnie jak chłopcy, posiada on zegarek, ale nosi go w kieszeni. Jakoż ma coś ważniejszego do czynienia niż spoglądanie na zegarek, a na czym to polega - opowiem. Siedzi, założywszy prawą nogę na lewe kolano, wyraz oblicza ma poważny i ani na chwilę nie spuszcza przynajmniej jednego oka z jakiegoś zasługującego na uwagę przedmiotu pośrodku równiny.

Przedmiot ten znajduje się na wieżycy ratuszowej. Wszyscy radni miejsca są to niziutkie, kragłe, inteligentne tłuściochy o oczach tak dużych, jak spodki od filiżanek, i opasłych, podwójnych podbródkach. Surduty ich są znacznie dłuższe, a sprzączki u ciżem znacznie większe niż u zwykłych obywateli Vondervotteimittiss. Podczas mojego pobytu w tej osadzie odbyli oni kilka posiedzeń nadzwyczajnych i powzięli trzy następujące, nader ważne rezolucje:

- iż byłoby błędem zmieniać dawny, dobry tok rzeczy;
- iż nie ma niczego, co by było coś warte, poza obrębem Vondervotteimittiss;
- i że nie porzucimy naszych zegarów i naszej kapusty.

Nad salą posiedzeń rady miejskiej znajduje się wieża przeznaczona na dzwonnice. Mieści się w niej i od niepamiętnych czasów zawsze się mieścił dziw i chluba tego zaścianka - wielki zegar osady Vondervotteimittiss. I on to jest przedmiotem, ku któremu zwracają się oczy starych jegomościów, siedzących w obitych skórą fotelach.

Wielki zegar ma siedem oblicz, odpowiadających siedmiu ścianom wieżycy; jest więc widoczny ze wszystkich domostw. Oblicza jego są wielkie i białe, a wskazówki krzepkie i czarne. Ustanowiono dzwonnika, którego jedynym obowiązkiem jest czuwać nad nim; wszelako ten obowiązek jest najpospolitszą synekurą - gdyż nigdy jeszcze się nie zdarzyło, żeby zegar z Vondervotteimittiss miał cokolwiek do czynienia ze swym strażnikiem. Do niedawna samo przypuszczenie czegoś podobnego uchodziło za herezję. Od prawiecznych czasów, jak poświadczają źródła archiwalne, wielki dzwon regularnie wybijał godziny. Z nie mniejszą ścisłością wypełniały swe obowiązki wszystkie inne zegary i zegarki w tej osadzie. Nie było jeszcze na świecie miejscowości, która by posiadała czas równie dokładny. Gdy główny klekot uznał za właściwe odezwać się: „dwunasta”, wszyscy jego posłuszni towarzysze równocześnie rozdziawiali gardziele i wtórowali mu niby istne echo. Toteż sławetni burgerowie przepadali za kiszoną kapustą, ale szczycili się swymi zegarami.

Wszyscy synekurzyści cieszą się większym lub mniejszym poważaniem, a ponieważ dzwonnik z Vondervotteimittiss jest w posiadaniu najdoskonalszej synekury, przeto jest również najbardziej poważanym człowiekiem na świecie. Jest on naczelnym dostojnikiem zaścianka i nawet prosięta spoglądają na niego z uczuciem uszanowania. Poły jego surduta są nierównie dłuższe, jego fajka, sprzączki u ciżem, oczy i brzuch - nierównie większe niż u któregokolwiek sędziwego jegomościęcia w osadzie; i ma podbródek nie podwójny, lecz potrójny.

Zobrazowałem tedy błogi stan rzeczy, jaki panował w Vondervotteimittiss; niestety, czemuż na tym wdzięcznym obrazie musiały pojawić się skazy!

Od dawna już najmądrzejsi obywatele zaścianka powtarzali sobie, iż „nic dobrego nie może przyjść zza wzgórz”, i zaprawdę, w tych słowach taił się jakowyś duch proroczy. Onegdaj, na pięć minut przed dwunastą, ukazał się na szczycie

zachodniego pasma jakiś przedmiot, wyglądający nader dziwnie. Zdarzenie to zwróciło oczywiście powszechną uwagę i wszyscy mali staruszkowie, siedzący w swych obitych skórą fotelach, błysnęli trwożnie ku temu zjawisku jednym okiem nie spuszczać jednak drugiego z zegara na wieży.

Na trzy minuty przed dwunastą spostrzeżono, że ów cudaczny przedmiot jest niepomiernie kusym młodzieńcem o cudzoziemskim wyglądzie. Schodził ze wzgórz pośpiesznie i wkrótce wszyscy mogli przyjrzeć mu się dokładnie. Była to istotnie najniepokalniejsza figurka, jaką kiedykolwiek widziano w Vondervotteimittiss. Miał cerę śniadotabaczkową, długi, haczykowaty nos, groszkowate oczy, szerokie usta i przedziwnie rozwinięte zęby, z którymi widocznie nie lubił się ukrywać, szczerząc je od ucha do ucha. Jeśli wymienić jeszcze wąsy i bokobrody, to reszta twarzy nie była już godna uwagi. Głowę miał odkrytą, a włosy starannie ufrizowane. Strój jego składał się z obcisłego, na podobieństwo jaskółczych skrzydeł skrojonego czarnego żakietu (z którego kieszeni zwisała na całą niemal długość biała chustka), czarnych, kaszmirowych spodni, sięgających do kolan, czarnych pończoch i pieńkowato wyglądających lakierków, ozdobionych sutymi pakami czarnych, satynowych wstążek. Pod jednym ramieniem miał przeogromny chapeau-de-bras, pod drugim skrzypki, niemal pięć razy większe od niego samego. W lewej ręce trzymał złotą tabakierkę i zbiegając w fantastycznych podskokach ze wzgórza, nieustannie zażywał z niej tabaki z wyrazem niewymownie błogiego zadowolenia. Mocny Boże! - co to było za widowisko dla sławetnych burgerów z Vondervotteimittiss!

Mówiąc bez ogródek, osobnik ten, jakkolwiek szczerzył zęby, miał coś zuchwałego i złośliwego w twarzy; i kiedy skręcał wprost do osady, dziwny, pieńkowaty wygląd jego lakierków wywołał niemało podejrzeń; i wielu burgerów, którzy go widzieli tego dnia, byłoby oddało niejedno, żeby móc zajrzeć pod ową białą batystową chustkę, co tak wyzywająco zwisała z kieszeni jego żakietu o połach skrojonych na kształt jaskółczych skrzydeł. Głównym wszakże powodem słusznego zgorszenia było to, że ten hultajski powsinoga, płasając w podskokach i wierząc się jak fryga, nie okazywał w swych podrygach przybliżonego bodaj pojęcia o tak ważnej rzeczy, jaką jest przestrzeganie miary czasu.

Jednakże poczciwi ludziska z zaścianka nie zdążyli jeszcze wybaluszyć należycie oczu, gdy na pół minuty przed dwunastą ów niegodziwy pędziwiatr wtargnął między nich; tu zaczął od chasses, tam skończył na balancez; po czym zakręciwszy się jak fryga i wykonawszy pas-de-zephyr, wzbil się niby na skrzydłach gołębia wprost na dzwonnicy ratuszowej, gdzie siedział skamieniały z podziwu dzwonnik, pykając swą fajkę z wyrazem godności i zaniepokojenia. Wszelako kusy niepoń uchwycił go od razu za nos, pociągnął i dał szcztuka; wsadził mu na głowę swój ogromny chapeau-de-bras i wmiesił go na oczy i na usta. Następnie ujawniwszy swe potężne skrzypce, jął okładać go nimi lak długo i tak mocno, iż można było przysiąc, że to cały zastęp kontrabasów dudni jakąś diabelską pobudką na dzwonnicy w Vondervotteimittiss, ile że dzwonnik był wielce otyły, a skrzypki wielce puste.

Nie wiadomo, do jakiego rozpaczliwego odwetu za tę niesłychaną napaść byliby porwali się ludziska, gdyby nie ta nadzwyczaj ważna okoliczność, iż oto za pół sekundy miała uderzyć dwunasta. Miał właśnie odezwać się dzwon i było rzeczą bezwarunkowo i nieodzownie konieczną, żeby wszyscy baczili pilnie na swe zegarki. Nie ulegało wątpliwości, iż ów hultaj na wieży czynił coś z zegarem, czego czynić nie należało. Kiedy jednak zegar zaczął bić godzinę, nikt nie miał czasu zajmować się jego psikusami, gdyż wszyscy musieli liczyć miarowe uderzenia dzwonu.

- Raz! - odezwał się zegar.

- Rass! - zawtórowali wszyscy mali staruszkowie we wszystkich obitych skórą fotelach całego zaścianka. „Rass!” rzekły również ich zegarki. „Rass!” powtórzyły zegarki ich połowic. „Rass!” zawołały zegarki chłopców tudzież małe, pozłociste repetyery, uwiązane do ogonów kota i prosięcia.

- Dwa! - huczał dalej potężnie dzwon - i...

- Tfa! - powtórzyli chórem powtarzający.

- Trzy! Cztery! Pięć! Sześć! Siedem! Osiem! Dziewięć! Dziesięć! - wywoływał dzwon.

- Tsz! Szter! Pient! Szest! Sjedemm! Osjemm! Tjewient! Tjesjent! - zawtórowali mu inni.

- Jedenaście! - odezwał się mocarz.

- Jetenastje! - przytaknęło mrowie.

- Dwanaście! - obwieścił dzwon.

- Tfanastje! - odparli, najzupełniej zadowoleni, przyciszając głosy.

- I jest tfunasta! - odezwali się wszyscy mali staruszkowie wyciągając zegarki. Ale wielki dzwon nie dał im jeszcze spokoju.

- Trzynaście! - zahuczał.

- Der Teufel! - stęknęli mali staruszkowie błędąc, wypuszczając z ust fajki i zdejmując wszystkie swe prawe nogi z lewych kolan.

- Der Teufel! - wzdychali. - Tszinastje! Tszinastje! Mein Gott, jest tszinastje godin!!!

Któż zdoła opisać okropność tego, co nastąpiło? Całe Vondervotteimittiss pogrążyło się od razu w żalosnej rozterce.

- Co bendje s muj pszuch? - ryczeli wszyscy chłopcy. - Mam głud o ten godin!

- Co bendje s muj kraut? - skwierczały wszystkie baby. - Fstawilam go na ten godin!

- Co bendje s muj fajka? - klęli wszyscy mali staruszkowie. - Donder und Blitzen! Nie ma f nij tabak o ten godin! - i napełnili je znowu z wielkim gniewem, a rzuciwszy się w swe fotele, jęli kopcić tak mocno i tak zawzięcie, że cała dolina pogrążyła się w nieprzeniknym dymie.

Równocześnie poróżniewały mocno liczka wszystkich główek kapusty i zdawało się, że sam diabeł zagarnął w posiadanie wszystko, co miało kształt czasomierza. Zegary wyrzeźbione na sprzętach jęły tańczyć jak opętane, a zegary ustawione na kominkach tak zawzięcie huštały i płasły swymi wahadłami, iż po prostu strach było patrzeć. Lecz, co najgorsze, ani koty, ani prosięta nie mogły znieść dłużej zachowania się malutkich repetyerów, przywiązanych do ich ogonów, i objawiały to, miaucząc i wrzeszcząc, i skacząc ludziom do oczu, i wlatując babom pod spódnice, i wywołując taki szkaradny zgiełk i zamieszanie, że żaden rozsądny człowiek nie mógł pojąć, co się dzieje. Zaś łajdacki, kusy łotrzyk na wieży wysiłał się widocznie do ostatka, by nieszczęście jeszcze pogłębić. Każdy mógł teraz od czasu do czasu dostrzec tego niepońa poprzez obłoki dymu. Siedział w dzwonnicy na dzwonniku, który leżał jak nieżywy, brzuchem do góry. W zębach trzymał ten niegodziwiec sznur od dzwonu i pociągał nim, kiwając głową, co powodowało taki hałas, iż w uszach mi dzwoni, kiedy myślę o tym. Na kolanach dzierżył swe wielkie skrzypce i rzępolił na nich obiema rękami bez ładu i składu i puszył się wielce ten kiep, wygrywając Judy O'Flannagan i Paddy O'Rafferty.

Kiedy rzeczy wzięły taki żalostny obrót, opuściłem tę miejscowość ze wstrętem i zwracam się oto z prośbą o pomoc do wszystkich miłośników dokładnego czasu i przedniej kapusty. Wybierzmy się całą gromadą do zaścianka i przywróćmy dawny stan rzeczy, wyrzucając kusego-wywłokę z wieżycy.

Zagłada Domu Usherów

Son coeur est un luth suspendu;
Sitôt qu'on le touche il résonne!
(de Béranger)

Przez cały mroczny, głuchy i smętny dzień jesienny, pod ciężką posową obłoków, co wlokły się nisko po niebie, nie opuszczałem siodła przebiegając samotnie na koniu dziwnie zamarłą połąć kraju i dopiero z nastaniem wieczornych zmierzchów ujrzałem przed sobą posepny Dom Usherów. Gdy po raz pierwszy zamajaczył mi przed oczyma, targnęła mą duszą - sam nie wiem dlaczego - nieuskromiona żalost. Powiadam: nieuskromiona, bowiem uczucia tego nie koły owe na wpół rozkoszne, gdyż spowite poezją wrażenia, jakich zazwyczaj doznaje umysł na widok najgroźniejszych naturalnych przejawów okropności i spustoszenia. Patrzyłem na roztaczającą się przede mną widownię - na dom i pospolite zarysy krajobrazu całej włości, na żalobne mury, na okna, zgasłym podobne źrenicom, na kępy drętowego sitowia, na białawe pnie obumarłych drzew - z bezgranicznym przygnębieniem, do którego z odczuwań ziemskich żadne snadniej przyrównać się nie da od wrażeń nałogowego palacza opium, gdy budząc się, zaprzepaszcza się znów z goryczą w szarzyźnie życia, kiedy obmierza zapadnie zasłona. Złodowaciała, zniżyła się, omdlała dusza - potępieńczym zrozpaczeniem przepoiła się myśl, której żadna tortura wyobraźni ku niczemu wzniosłemu pobudzić nie mogła. Dlaczego - przystanąłem w zamyśleniu - dlaczego czuję się tak nieswój, spoglądając na Dom Usherów? Była w tym nieodgadniona tajemnica; na próżno pasowałem się z upiornymi zwiidywaniami, co naprzykrzały się mej zadumie. Musiałem poprzestać w końcu na bynajmniej niezadowolającym wniosku, iż w przyrodzie istnieją snadź zestawienia najpospolitszych przedmiotów, którym dana jest moc oddziaływania na nas w ten właśnie sposób, jednakowoż zbadanie tej mocy należy do dziedziny niedostępnych już dla nas tajni. Jest rzeczą możliwą - myślałem sobie - iż dość jest zmienić rozmieszczenie części składowych jakiejś widowni lub szczegółów na jakimś obrazie, by się przekształciła lub snadź nawet zupełnie zanikła ich zdolność wywoływania smutnych wrażeń; rozsnuwając ten pomysł, skierowałem mego konia na urwiste zbrzeże czarnej, zasepionej topieli, co roztaczała wokół domu zastygłe w bezruchu zwierciadło, i z dotkliwszym jeszcze niż poprzednio drżeniem spoglądałem na odbite w niej, przeinaczone obrazy szarego sitowia, upiornych pni drzewnych tudzież zgasłych niby źrenice okien.

A jednak w tym przybytku żalostci zamierzałem spędzić kilka tygodni. Właściciel jego, Roderyk Usher, należał ongi do najmilszych towarzyszy mojego dzieciństwa, nie widzieliśmy się wszakże już od lat wielu. Dopiero przed niedawnym czasem, gdy przebywałem właśnie w odległych stronach, doręczono mi jego list, w którym z niezwykłą natarczywością domagał się tylko ustnej odpowiedzi. W piśmie widniały oznaki podniecenia nerwowego. Skarżył się na obłożną chorobę ciała, na dolegliwy rozstrój duchowy - i oczekiwał mnie z najgorętszym upragnieniem jako swego najlepszego i jedynego druha, spodziewając się, iż pogodnie me usposobienie może wpłynąć kojąco na jego niedomaganie. Sposób, w jaki pisał o tych i innych jeszcze rzeczach, tudzież nie tajony, błagalny odzew serca nie pozwalały na zwłokę; usłuchałem też natychmiast tego osobliwego wezwania.

Jakkolwiek w dzieciństwie łączyła nas ścisła zażyłość, niewiele wiedziałem o mym przyjacielu. Powodował się zawsze przeczuloną, wrodzoną skrytością. Słyszałem atoli, iż starożytny jego ród już od niepamiętnych czasów słynął z wyjątkowej wrażliwości usposobienia, co przez długie wieki znajdowała ujście w mnogich dziełach szczytnego aryzmu, w ostatnich zaś latach przejawiała się równie często w uczynkach wielkodusznego i nie dbającego o poklask miłosierdzia, jak w namiętnym zamiłowaniu do niedocieczonych snadź raczej niż powszechnie uznanych i łatwo dostępnych piękności wiedzy muzycznej. Mówiono mi również o nader znamiennej okoliczności, iż czczony po wszystkie czasy szczerp rodu Usherów nie wydał nigdy trwalszego odgałęzienia, czyli że cała rodzina wyprowadzała się tylko w linii prostej i że z wyjątkiem nader nieznacznych i krótkotrwałych odstępstw bywało tak zawsze. Rozważając w myśli doskonałą zgodność, zachodzącą między charakterystycznymi cechami włości a znanymi powszechnie właściwościami rodu, oraz zastanawiając się nad możliwością wpływów, jakie w przebiegu wieków ziemię te mogły wyrwać na swych właścicieli, zrozumiiałem, dlaczego ów brak bocznych linii i - co za tym idzie - nieodmienne przenoszenie się imienia i dziedzictwa z ojca na syna wytworzyły między jednym a drugim tak ścisłą łączność, iż pierwotne miano posiadłości zanikło w pomysłowej i dwuznacznej nazwie: „Dom Usherów” - która w rozumieniu posługującego się nią ludu zdawała się obejmować zarówno ród, jak i jego siedzibę.

Wspomniałem już, iż jedynym następstwem mojej nieco dziecinnej zachcianki, by rzucić okiem w głąb topieli - było pogłębienie pierwotnego, dziwnego wrażenia. Przeświadczenie o szybkim wzroście mej zabobonnej trwogi - bo i czemuż nie mam określić jej tym słowem? - przyczyniło się niewątpliwie do przyśpieszenia tegoż wzrostu. Jest to od dawna mi znane, paradoksalne prawo wszystkich odczuwań wynikających z trwogi i snadź jego było to dziełem, iż wzniosłszy oczy ku domowi od jego odbicia w toni, uległem szczególniejszemu przewidzeniu - przewidzeniu istotnie tak śmiesznemu, iż wspominam o nim jedynie na dowód przemożnego nasilenia gnębiących mnie wrażeń. W rozkiełznaniu wyobraźni zwiidziało się mi, iż włość i zabudowania spowija właściwa im oraz najbliższemu ich otoczeniu atmosfera - nie mająca nic wspólnego z powietrzem przestworów, lecz wduszająca się ze spróchniałych drzew, szarych ścian i głuchej topieli zatrutym, mistycznym wyziewem, ponurym i stężonym, o ledwo widocznym zabarwieniu ołowiu,

Otrząsając się z tych sennych rojeń, bo przecież nie mogło to być nic innego, jąłem zastanawiać się dokładniej nad rzeczywistym wyglądem budynku. Świadczył on przede wszystkim o niesłychanej starożytności. Wyblakły doszczętnie ściany w przebiegu wieków. Od zewnątrz omszały drobnym porostem, zwieszającym się z rynien misternie splecioną tkanką. Pomimo to nie było widać wyraźniejszych oznak zniszczenia. Nie waliły się nigdzie mury, jakkolwiek niepożyta ich krzepkość pozostawała w osobliwszej sprzeczności ze zwietrzałością poszczególnych cegieł. I przyszłymi na myśl owe stare wiązania drzewne, co butwiejąc od dawna w zatechłym, nie przewietrzanym podziemiu zachowują do czasu pozory trwałości. Wszelako te ślady spróchnienia nie nadawały bynajmniej budynkowi wyglądu ruiny. Być może, iż oku bacznego widza nie uszłaby jeszcze zaledwie widoczna rysa, co poczynając się od dachu, zbiegała w dół, na przedniej ścianie domu zyzgawkowatą znaczącą się linią, i w wodach mętnej ginęła topieli.

Pogrążony w tych spostrzeżeniach minąłem krótką groblę i zatrzymałem się przed domem. Oczekującemu tam pacholce oddałem mojego konia i wszedłem pod gotyckie sklepienie przedsionka. Cichym krokiem podbiegłem ku mnie służący i mrocznymi, krętymi korytarzami poprowadził mnie w milczeniu do komnaty swego pana. Wszystko, co spotykałem po drodze, przyczyniło się, nie wiadomo czemu, do spotęgowania wspomnianych już przeze mnie, nieujętych wrażeń. Aczkolwiek otaczające mnie przedmioty - te rzeźbione stropy, te przyćmione na ścianach obicia, te posadzki, lśniące czernią hebanu, i widziadlane, rycerskie trofea, co szczękały za każdym moim stąpieniem - różniły się niewiele lub nie różniły się wcale od tych, do których nawykłem od dzieciństwa; aczkolwiek rozpoznawałem niezwłocznie te rzeczy, tak dobrze mi znane, mimo to nie wychodziłem z podziwu, iż zwyczajne zjawiska mogą rozniecać takie niezwykłe urojenia. Na schodach spotkałem domowego lekarza. Twarz jego mignęła mi przed oczyma wyrazem uniżonej przebiegłości z domieszką zakłopotania. Pozdrowił mnie lekliwie, nie zwalniając kroku. Wtem służący rozwarł na oścież drzwi i wprowadził mnie do pokoju swojego pana.

Była to komnata bardzo obszerna i wysoka. Ostrołukowe jej okna, wąskie i długie, umieszczone były tak wysoko nad posadzką z czarnego dębu, iż niepodobna było dosięgnąć ich od wewnątrz. Nikłe smugi nasyconego purpurą światła napływały przez zakratowane szyby i uwydatniały znajdujące się w pobliżu przedmioty; natomiast do odleglejszych kątów pokoju jako też do załomów jego sklepionego, szczodrze rzeźbionego stropu niepodobna już było przeniknąć spojrzeniem. Na ścianach wisiały ciemne draperie. Urządzenie składało się z mnóstwa odwiecznych, podniszczonych i niewygodnych sprzętów. Dokoła leżały porozrzucane narzędzia muzyczne i książki, nie przyczyniając się wszakże do ożywienia całości. Owiąło mnie powietrze przesiąknięte smutkiem. Wszystko to przepojone i przytłoczone tchnieniem surowej, głębokiej i beznadziejnej melancholii.

Gdy wszedłem, podniósł się Usher z sofy, na której dotychczas spoczywał, i przywitał mnie z najżywszą serdecznością, co zrazu wydała mi się wymuszonym, nawykowym odruchem przeżytego światowca. Spojrzawszy mu wszelako w oczy, przekonałem się o najzupełniejszej jego szczerości. Kiedyśmy usiedli, milczał przez chwilę, ja zaś patrzyłem nań, przeniknięty na poły współczuciem, na poły grozą. Zaiste, nie było snadź jeszcze człowieka, który by w równie krótkim czasie uległ okropniejszym zmianom od tych, jakie zaszły w Roderyku Usherze! W tej wybladłej istocie niełatwo przyszło mi rozpoznać towarzysza moich lat chłopięcych. A jednak oblicze jego zastanawiało zawsze swą wyrazistością. Śmiertelna śniadość lic; oczy duże, łzawe i niezrównanie promieniste; usta nieco cienkie i nadzwyczaj blade, lecz składające się w przedziwnie piękną krzywiznę; nos subtelny, jak u Żydów, kształtu, o rozdętych wszelako nozdrzach, nie zdarzających się zazwyczaj u tego typu; broda szlachetnie zarysowana, lecz niewystająca, co świadczyło o braku woli; wreszcie włosy, miękkie i delikatne jak przedziwo - wszystkie te rysy w połączeniu z nadmiernie rozwiniętą skronią składały się na oblicze, które niełatwo dawało się zapomnieć. Najistotniejsze wszakże tych rysów znamiona, jako też właściwy im wyraz uwydatniły się z czasem, co wywołało tak ogromną zmianę, iż jałem powątpiewać, do kogo mówię. Upiorna bladeść twarzy oraz czarodziejska świetlistość źrenic przede wszystkim zdjęły mnie niepokojem i trwogą. Urosły mu również zaniedbane, jedwabiste włosy i opływały raczej, niż okalały jego lico dziwnym, jak gdyby pajęczym oplotem, którego arabeskowości żadną miarą nie można było pogodzić z myślą o zwykłym człowieczeństwie.

W zachowaniu się mego przyjaciela zastanowił mnie od razu pewien bezład i rozprzężenie; rychło zdałem sobie sprawę, iż były one następstwem słabych i płonnych wysiłków, zmierzających do opanowania ciągłego niepokoju, daleko posuniętego rozstroju nerwowego. Na podobne objawy byłem zawczasu przygotowany; uprzedziły mnie o nich nie tylko jego listy i wspomnienia niektórych rysów z lat chłopięcych, lecz także wnioski, na jakie naprowadziły mnie właściwości jego temperamentu, jako też ustroju fizycznego. Ruchy jego były na przemian żywe, to znów opieszale. Głos jego (zwłaszcza w chwilach zupełnego odpływu sił) drżący niepewnością nabierał nagle energicznej stanowczości; po czym ważkie, urywane, powolne i stłumione dźwięki przeobrażały się w ocieźiałe, zrównoważone i dobitne wysłowienie, podobnie jak u nałogowych pijaków lub u ludzi opanowanych przez opium, kiedy znajdują się w okresie najsilniejszego podniecenia. W taki sposób mówił o celu moich odwiedzin oraz o tym, iż gorąco pragnął mnie zobaczyć spodziewając się, że dodam mu otuchy. Wyjaśniał mi obszernie, na czym polega jego choroba. Miało to być niedomaganie wrodzone i dziedziczne, na które - zdaniem jego - nie było lekarstwa. „Oczywiście, tylko najzwyczajniejszy rozstrój nerwowy - dodał niezwłocznie - który rychło przemienie”. Przejawiało się ono mnóstwem nieprawidłowych odczuwań. Gdy jał o nich opowiadać, niektóre zaciekawiły i przeraziły mnie zarazem, do czego w znacznej mierze przyczyniły się zapewne użyte przezeń wyrażenia oraz cały tok opowiadania. Dolegało mu wielce chorobliwe zaostrenie zmysłów; mógł spożywać tylko mdłe potrawy; znośna dlań była odzież jeno z niektórych tkanin; sprawiała mu przykrość woń kwiatów; nawet przyćmione światło raziło jego oczy, zaś wszystkie dźwięki okrom pewnych brzmień strunowych instrumentów muzycznych były dlań nie do zniesienia.

Podlegał niewolniczo jakiemuś osobliwemu uczuciu grozy.

- Zgubi mnie - mówił - to żalosne szaleństwo, musi mnie zgubić. Wiem, iż przez nie zginę. Lękam się przyszłych zdarzeń, nie dla nich samych, lecz dla tego, co przyniosą. Wzdrygam się na myśl o każdym, najbardziej nawet błahym wypadku, gdyż może on podnieść nieukojoną rozterkę mej duszy. Nie przeraża mnie niebezpieczeństwo, lękam się tylko jego nieuniknionego następstwa: grozy. W moim skołataniu, w moim zrozpaczeniu czuję, iż wcześniej lub później nadejdzie chwila, gdy postradam życie i rozum w walce z potworną chimerą TRWOGI.

Z czasem urywane i niejasne napomknienia odsoniły mi jeszcze inne zagadkowe rysy jego ustroju duchowego. Zostawał pod zaklęciem jakichś przesądnych wyobrażeń dotyczących domu, w którym mieszkał i z którego przez długie lata nie śmiał się oddalić - dotyczących również jakiegoś wpływu, którego rzekomą moc zawarł w określeniach nazbyt ciemnych, by dały się tu powtórzyć: pewne osobliwsze właściwości, utajone tylko w kształtach tudzież materialnej istocie jego rodowego gniazda, drogą długotrwałego cierpienia miały osiągnąć ten wpływ na jego ducha; zmysłowe zatem oddziaływanie szarych wieżyc i murów jako też mrocznej, odzwierciedlającej je toni przeniosło się ostatecznie w sferę jego duchowego istnienia.

Przyznawał jednakże, acz nie bez wahania, iż gnębiącą go żalostí dałoby się odnieść do prostszej i snadniej uchwytnej przyczyny: była nią ciężka i zadawniona choroba, a raczej bliski już zgon ukochanej serdecznie siostry, przez długie lata jedynej towarzyszkii i ostatniej jego krewnej. „Po jej śmierci - rzekł do mnie z goryczą, której nigdy nie zapomnę - złamany beznadziejnością i niemocą, będę ostatnim ze starożytnego rodu Usherów”. Gdy mówił, lady Madeline (gdyż takie było jej imię) przesunęła się z wolna w głębi komnaty i zniknęła, nie zauważywszy mej obecności. Patrzyłem na nią ze zdumieniem, nie pozbawionym lęku, acz było dla mnie niepodobieństwem zdać sobie z tych uczuć sprawę. W drętym osłupieniu podążyłem spojrzeniem za odchodzącą. Kiedy podwoje zamknęły się za nią, oczy me bezwiednie i

ciekawie przeniosły się na twarz brata; lecz ukrył ją w dłoniach i dostrzegłem tylko, że wychudłe jego palce powlokły się silniejszą niż zazwyczaj błądzą, skroś nich zaś palące przesączały się lzy.

Zadawnionej niemocy lady Madeline na próżno starali się podołać lekarze. Przewlekła apatia, wzmagające się stopniowo wyczerpanie organizmu oraz częste, jakkolwiek przemijające objawy kataleptycznej poniekąd natury składały się na niezwykłą jej diagnozę. Dotychczas opierała się mężnie dolegliwościom choroby i nie kładła się do łóżka; ze schyłkiem wszakże pierwszego po moim przyjeździe wieczora uległa (jak mi jej brat oświadczył nocą z niewysłowionym wzruszeniem) trawiącemu ją schorzeniu; dowiedziałem się zarazem, że owo przelotne widzenie będzie zapewne ostatnie - ze żywej prawdopodobnie już jej nie zobaczę.

Przez kilka następnych dni nie wspominaliśmy obaj jej imienia; upłynęły mi one na najusilniejszych staraniach, by ukoić melancholię mojego przyjaciela. Spędzaliśmy czas na wspólnym czytaniu i malowaniu; niekiedy, snem jakby ujęty, zasłuchiwałem się w porywające improwizacje, które umiał wyczarowywać z gitary. Zacieśniająca się z każdym dniem między nami zażyłość torowała mi coraz swobodniejszy przystęp do tajników jego ducha; z tym większą atoli goryczą nabierałem przeświadczenia o płonności wszystkich zabiegów, zmierzających do rozpogodzenia umysłu, którego oćma, niby jakaś nieodłączna i rzeczywista władza, osnuwała nieustającą żałością wszystkie zjawiska duchowego i zmysłowego świata.

Nie wygaśnie nigdy w mej duszy pamięć uroczystych chwil, spędzonych w towarzystwie ostatniego z Usherów. Trudno jednak byłoby mi określić dokładniej rodzaj studiów i zajęć, w które mnie wtajemniczył lub do których wytknął mi drogę. Jego czujny i nieokiełznany idealizm wszystko swym fosforycznym oblewał blaskiem. Jego długie, improwizowane pienia żalobne nieustannie dźwięczą mi w uszach. Przeboleśnie utkwiała mi w duszy jakaś parafraza i dopełnienie dzikiej melodii z Ostatniego Walca von Webera. Spomiędzy obrazów, co poczynały się z zadum jego twórczej” wyobraźni i za każdym dotknięciem pędzla roztaczały się w nieokreśloność, tym przenikliwszym wstrząsają mnie dreszczem, iż drżałem, sam nie wiedząc dlaczego - spomiędzy tych obrazów (jakkolwiek tak żywo stoją mi przed oczyma) nie zdołałbym opisać żadnego okrom niewielu, pokrewnych już dziedzinie pisanego słowa. Nadzwyczajną prostotą oraz najzupełniejszym odsłonięciem swych zamierzeń przykuwał i struchlałą oczarowywał uwagę. Jeżeli człowiekowi śmiertelnemu powiodło się kiedykolwiek namalować ideę, to Roderyk Usher był tym człowiekiem. Dla mnie przynajmniej - wśród okoliczności, w jakich się znajdowałem - z czystych abstrakcji, które ten melancholik starał się wyrazić na płótnie, wiała taka przepotężna i niewysłowiona groza, jaką płomienne, lecz nazbyt jeszcze rzeczywiste marzenia Fuseliego nie przejmowały mnie nigdy.

Pewien fantastyczny, mniej wszakże w abstrakcjach zaprzepaszczony utwór mojego przyjaciela postaram się, acz nieudolnie, nakreślić tu w słowach. Nieduży ten obrazek przedstawiał wnętrze jakiegoś niezmiernie długiego, prostokątnego podziemia czy tunelu o niskich ścianach, gładkich i białych, pozbawionych wszelkich przerw i ozdób. Niektóre szczegóły uboczne miały naprowadzać na domysł, że tunel ten znajduje się niesłychanie głęboko pod powierzchnią ziemi. Na całej jego ogromnej przestrzeni nie widniało nigdzie wyjście ani pochodnia lub jakiegokolwiek inne, sztuczne źródło światła, a jednak powódź jaskrawych blasków roztaczała się wszędzie i zatapiała czeluść upiorną, nieodgadnioną poświata.

Schorzenie nerwu słuchowego, o którym już wspominałem, sprawiło, iż okrom niektórych brzmień instrumentów strunowych nie znosił Usher muzyki. Być może, iż właśnie ów ciasny zakres, w jakim się zasklepił, grywając tylko na gitarze, grę jego fantastycznym otoczył urokiem. Wszelako ognistego polotu, jaki wiał z tych jego impromptu, nie można było złożyć na karb zacieśnienia. Snadż zarówno melodie, jak i słowa rozpętanych jego fantazji (gdyż nierzadko wtórował sobie rymowanymi improwizacjami) musiały być i były istotnie wynikiem wytężonego, duchowego sprzężenia i skupienia, o którym napomknąłem poprzednio, powiadając, iż daje się ono zauważyć tylko w wyjątkowych chwilach najpotężniejszego, nienaturalnego podniecenia. Słowa jednej takiej rapsodii z łatwością utkwily mi w pamięci. Być może, iż wstrząsnęła mną ona silniej, niżeli zamierzał, gdyż zdawało mi się, że w tajemnym czy misternym toku jej znaczenia wyczułem po raz pierwszy zupełne przeświadczenie Ushera, iż szczytny jego umysł chwieje się na swym tronie. Wiersze te, noszące tytuł: Nawiedzony gród, jeżeli nie dosłownie, to niemal dosłownie brzmiały tak:

I

Śród zieleni, śród lewady,
Przez aniołów dzierzon ród,
Niegdyś dźwignął się z posady
Promienisty, wzniosły gród.
Kędy Myśli królowania,
Tam ten twór!
Większej chwały nie osłania
Żaden Seraf tęczą piór.

II

Wstęgą złotą, świetną, sławną
Wiały znaki z hełmów wież.
(Ach, jak dawno już - tak dawno!
Gdzież są, gdzież!)
Niosły powiew jak posłanki
W słodki ów dzień
Na ocienione grodu blanki
Pierzchliwą falę wonnych tchnień.

III

Przez świetlistych okien dwoje
Widział pielgrzym z obcych stron
Płasające duchów roje,
Jak na dźwięcznej lutni ton
W krąg stolicy ztotolitej

Zataczały tan
 U stóp Porfirogenety,
 Co władał jako grodu pan.

IV
 Z rubinu każdy grodu wrzeczadz,
 Blask pereł na drzwiach mży -
 Przez które lecać, lecać, lecać,
 Świecące niby skry,
 Wpadały Echa z każdym mgnieniem,
 Zaś ten Ech tłum
 Swym czarodziejskim wielbił pieniem
 Królewską dostojność i um.

V
 Ale złe dziwy w smętku szacie.
 Naszły królewski, wzniosły dom.
 (Ach, król nie ujdzie już zatracie
 I już nie będzie końca łzom!)
 A sława, co kwitnęła jaśniej
 Niż rajski kwiat,
 Jest tylko mglistym tworem baśni
 Z dawno zamierzchłych lat.

VI
 Widzi dziś pielgrzym wśród lewady
 Przez okna, skrzące blaskiem łun.
 Jak się kołyszą zjaw gromady
 Przy opętańczym zgrzycie strun.
 Przez zmierzchłe dzwierze dziką zgrają,
 Miast wdzięcznych Ech,
 Tłoczą się widma, które ziają
 Nie uśmiech już, lecz śmiech.

Przypominam sobie, iż wywołana nastrojem ballady wymiana myśli nastęczyła Usherowi sposobność do wygłoszenia poglądu, o którym wspomnę nie dla jego nowości, gdyż myśli tej hołdowali już inni, lecz dla stanowczości, z jaką się przy nim upierał. Pogląd ten w swej zasadzie opiewa, iż wszystkie ustroje roślinne wyposażone są zdolnością odczuwania. Atoli w jego rozwichrzonej wyobraźni myśl ta śmielszego nabrała rozpędu i z pewnymi zastrzeżeniami ogarniała także dziedzinę świata nieorganicznego. Nie mam słów na wyrażenie całego zakresu oraz surowej beznadziejności tych jego zapatrywań. Pozostawały one w związku (jak już poprzednio napomknąłem) z szarymi kamieniami siedziby jego praocjów. Zdolność odczuwania rozwinęła się w niej - jak sobie wyobrażał - zarówno pod wpływem układu i sposobu zestawienia kamieni, jak pod wpływem porastających je plech oraz okólnych, spróchniałych pni drzewnych - przede wszystkim zaś skutkiem długiego, niezamąconego trwania tych właściwości jako też ich odbicia w cichych wodach topieli. Świadczy o niej - o owej zdolności odczuwania - (rzekł do mnie, ja zaś wzdygnąłem się na te jego słowa) stopniowe, lecz niezawodne zgęszczanie się dokoła wód i murów pewnej właściwej im atmosfery. Nastęstwa - dodał jeszcze - przejawiają się w utajonym wprowadzie, niemniej wszakże przemożnym i strasliwym oddziaływaniu, co od wieków zaznaczało się w losach jego rodu, z niego zaś samego uczyniło to, czym był i czym jest obecnie. Poglądy takie nie potrzebują komentarzy, jakoż ich dawać nie zamierzam.

Książki nasze - te książki, co przez długie lata przyczyniały się niemało do jego duchowego bytowania, pozostawały - jak łatwo się domyślić - w najściślejszej łączności z tym światem przywidzeń. Zagłębiał się razem w takich dziełach jak Ververt i Chartreuse Gresseta, Belphegor Machiavellego, Niebo i piekło Swedenborga, Podróż do krajów podziemnych Mikołaja Klimiusa Holberga, Chiromancja Roberta Fludda, Jean d'Indagine'a i de la Chambre'a, Podróż w błękity Tiecka tudzież Miasto Słońca Campanelli. Jedną z ulubionych jego książek było Directorium Inquisitorium, wydane w małej ósemce przez dominikanina Eymerica de Gironne; zaś nad niektórymi ustępami Pomponiusza Meli, gdzie jest mowa o starodawnych, afrykańskich satyrach i oegipanach, mógł Usher w zadumie długie spędzać godziny. Z największym wszakże upodobaniem rozczytywał się w nadzwyczaj rzadkiej i tajemniczej gotyckiej księdze, pochodzącej z jakiegoś zapomnianego kościoła, a noszącej tytuł: Vigiliae Mortuorum secundum Chorum Ecclesiae Maguntinae.

Zastanawiałem się właśnie nad dziwnym rytuałem tego dzieła oraz nad przypuszczalnym jego wpływem na melancholię mojego przyjaciela, gdy pewnego wieczora zawiadomił mnie on niespodziewanie o zgonie lady Madeline, oświadczając zarazem, iż zamierza złożyć jej zwłoki (zanim odbędzie się pogrzeb) na jakieś dwa tygodnie w jednym z podziemi, znajdujących się wśród węgielnych posad zameczyska. Jawne powody, jakimi uzasadniał to osobliwe postanowienie, były tego rodzaju, iż sprzeciwić się mu nie mogłem. Powziął je rzekomo pod wpływem niezwykłych przejawów chorobowych zmarłej tudzież natarczywych i badawczych nagabywań jej lekarzy, a przyczyniła się jeszcze i ta okoliczność, iż groby rodzinne w znacznej znajdowały się odległości i nie były należycie zabezpieczone. Przyszła, iż uprzytomniwszy sobie złowróżbną twarz osobnika, którego w dzień przyjazdu spotkałem na schodach, nie miałem już chęci doradzać Usherowi, by odstąpił od zarządzenia, które wydawało mi się ze wszech miar słusznym i najzupełniej godziwym.

Na prośbę Ushera pomagałem mu przy tym żałobnym obrzędzie. Złożywszy zwłoki do trumny, zanieśliśmy je we dwójkę na miejsce spoczynku. Podziemie, w którym je umieściliśmy (nie otwierano go już od tak dawna, iż nasze

pochodnie w stęchłym powietrzu zaledwo się jarzyły, nie pozwalając nam rozejrzeć się dokładnie), było małe, duszne i zupełnie pozbawione dopływu światła; położone zaś było ogromnie głęboko, bezpośrednio pod tą częścią skrzydła zamkowego, gdzie znajdował się mój pokój sypialny. Za dawno minionych feudalnych czasów służyło snadź ono do najgorszych celów jako loch więzienny, później zamieniono je zapewne na skład prochu czy też innych wybuchowych materiałów, gdyż zarówno część jego posadzki, jak i całe wnętrze długiego, sklepionego korytarza, który do niego prowadził opancerzono starannie miedzią. Potężne dzwierze żelazne były również zaopatrzone w ten sam sposób. Poruszając się na zawiasach, wydawały niesłychanie przeraźliwy zgrzyt, olbrzymim spowodowany ciężarem.

Złożywszy nasze żałobne brzemie na marach wśród tego przybytku grozy, uchyliliśmy nie przytwardzone jeszcze wieko trumny, by przyrzeć się obliczu zmarłej. Zastanowiło mnie przede wszystkim uderzające podobieństwo między bratem a siostrą, toteż Usher, jakby odgadując me myśli, wyszeptał kilka słów, z których się dowiedziałem, iż byli bliźniętami i że zawsze wprost niepojęta łączyła ich sympatia. Atoli spojrzenia nasze niezbyt długo spoczywały na zmarłej, gdyż nie mogliśmy patrzeć na nią bez drżenia. Choroba, która przecięła wątek młodego jej życia, pozostawiła, jak to zazwyczaj się zdarza przy wszystkich wyjątkowo katastroficznych niedomaganiach, na licu i na piersiach złudzenie lekkiego rumieńca, a na ustach ów zagadkowo tęskny uśmiech, co tak strasznie wygląda u zmarłych. Zamknęliśmy i przytwardziliśmy wieko, po czym zasunawszy żelazne dzwierze powróciliśmy nie bez trudu do niewiele pogodniejszych komnat, stanowiących wyższe piętro zamczyska.

Mijał dzień za dniem nieprzeplakanego żalu, gdy w objawach rozstroju duchowego mojego przyjaciela zaszła widoczna zmiana. Zachowywał się inaczej niż zazwyczaj. Poniechał całkiem swych zajęć lub o nich zapomniał. Błądził po komnatach bez celu szybkim i nierównym krokiem. Jeszcze upiorniejsza stała się śmiertelna bladłość jego oblicza, a promieniste oczy przygasły. Przydarzająca się dawniej u niego chrypliwość głosu zanikła, zaś w brzmieniu słów znać było nieustające drżenie, jak gdyby ostatecznym wywołane przerażeniem. Zdawało mi się chwilami, iż stale podniecony jego umysł pasuje się z uciskiem jakiejś tajemnicy i sili się na potrzebną odwagę, chcąc ją wypowiedzieć. Lecz kiedy indziej składałem znów wszystko na karb niepojętych majaczeń obłądki, gdyż widywałem go, jak z wyrazem najgłębszego skupienia wpatrywał się w próżnię, niby łowiąc uchem jakieś urojone dźwięki. Nie było w tym nic dziwnego, iż stan jego przerażał mnie i zarażał. Czulem, że stopniowo poddaję się nieodpartemu wpływowi jego fantastycznych, lecz porywających przewidzeń.

Zwłaszcza siódmej czy ósmej nocy po przeniesieniu lady Madeline do podziemia, udawszy się na spoczynek, doświadczyłem na sobie przemożnej ich potęgi. Godziny upływały, lecz sen nie miał się mego posłania. Rozumowaniem starałem się stłumić w sobie niepokój, który mną owładnął. Wmawiałem w siebie, iż głównym, jeżeli nie wyłącznym mych odczuwań powodem był przygnębiający wpływ posępnego umeblowania komnaty - przede wszystkim ciemnych i poszarpanych draperii, co, smagane tchnieniem wszczynającej się burzy, trzepotały na ścianach i szeleściły u wezłowania mego łóża. Atoli wszystkie me usiłowania były nadaremne. Nieuskromione drżenie jęło stopniowo wstrząsać całym moim ciałem, zaś w końcu nawet w moim sercu rozgościła się zmora najzupełniej płonnej trwogi. Otrząsnąłem się z niej wysiłkiem woli, po czym, dysząc ciężko, dźwignąłem się na poduszkach i utkwivszy badawcze spojrzenie w nieprzeniknionych mrokach komnaty, zasłuchałem się - powodowany nie wiedzieć czym, snadź jeno nieświadomym odruchem instynktu - w jakieś głuche i nieokreślone dźwięki, co z wielkimi przerwami dolatywały nie wiadomo skąd, gdy uciszała się burza. Zdjęty dławiającym uczuciem niepojętej, lecz niezwalczonej grozy, odziałem się pośpiesznie (gdyż czulem, iż nie uda mi się zasnąć tej nocy) i szybkim krokiem jąłem przechadzać się po komnacie, by wyrwać się z tego przykrego nastroju.

Zaledwo wszakże zdążyłem przejść się kilka razy, gdy lekkie stąpanie na przyległych schodach zwróciło moją uwagę. Natychmiast poznałem po chodzie Ushera. Jakoż w chwilę później zastukał z cicha do moich drzwi i wszedł z lampą w rękę. Lico jego było jak zazwyczaj śmiertelnie blade - lecz w oczach widniała jakaś obłądna radość, a w całym zachowaniu znać było powściągane zapamiętanie się szalem. Wygląd jego zatrwodził mnie - wolałem atoli jaką bądź zmianę od dotychczasowej gnębiącej samotności i powitałem go z uczuciem ulgi.

- A ty... czy nie widziałeś tego? - odezwał się nagle po chwili niemego osłupienia. - Nie widziałeś? Ale poczekaj, zobaczysz! - To mówiąc, osłonił lampę dłonią i podbiegłszy do okna rozwarł je na oścież, nie bacząc na burzę.

Wściekły pęd wdzierającego się wichru omal nie obalił nas z nóg. Noc była burzliwa, lecz groźnie piękna - dziwna tym skojarzeniem piękności i grozy. Zamęt powietrzny czerpał widocznie swe siły gdzieś w naszym sąsiedztwie, gdyż kierunek wiatru ulegał częstym i nagłym zmianom i pomimo nadzwyczajnego zagęszczenia się chmur (co wisiły tak nisko, iż zdawały się ciężać na wieżycach zamku) widać było chyżość, z jaką przelatowały na podobieństwo żywych istot, nadlegając ze wszech stron, lecz nie rozpraszając się w przestworzu.

Powtarzam, iż widzieliśmy to zjawisko pomimo niesłychanego zagęszczenia się chmur - jakkolwiek nie przesiąkały przez nie promienie gwiazd ni miesiąca i nie migotały błyskawice. Atoli zarówno dolna powierzchnia olbrzymiego zwału rozkołysanych obłoków, jak i wszystkie znajdujące się na ziemi, pobliskie nam przedmioty jarzyły się nienaturalną poświatą mgławych, wyraźnie dostrzegalnych wyziewów, co słańały się dokoła i spowijały zamek w swe całuny.

- Nie powinienes... nie trzeba, żebyś na to patrzył! - rzekłem wstrząśnięty do Ushera i przemocą odciągnąłem go od okna, skłaniając, aby usiadł. - Te majaki, które cię tak niepokoją, są to po prostu dość pospolite zjawiska elektryczne i, najprawdopodobniej, zawdzięczają swe upiorne istnienie błotnym oparom topieli. Pozwól, że zamknę okno; powietrze jest ostre i mogłoby ci zaszkodzić. Oto jedna z twych ulubionych powieści. Ja będę - czytał, a ty posłuchaj - i jakoś minie nam ta przekłeta noc!

Starożytna księga, którą wziąłem do ręki, był to Mad Trist Sir Launcelota Canninga, atoli nazwanie jej ulubioną powieścią Ushera było raczej posępnym żartem niż rzeczywistością, bowiem cudaczna, oschła rozwlekłość tego utworu nie licowała wcale ze szczytnym i uduchowionym idealizmem mojego przyjaciela. Lecz była to jedyna książka, którą w tej chwili miałem na podorędziu, a przy tym przyświecała mi nikła nadzieja, iż bezmiar zawartych w niej bredni może wpłynąć kojąco na rozterkę, co targała duszą melancholika (gdyż dzieje zbroczeń umysłowych roją się od podobnych sprzeczności). Jakoż sądząc z wyrazu niezmiernie wyteżonego skupienia, z jakim słuchał lub zdawał się słuchać powieści, mogłem się cieszyć z powodzenia mego pomysłu.

Dotarłem w czytaniu do owego powszechnie znanego ustępu, gdzie Ethelred, bohater Mad Trista, widząc, iż wszelkie jego namowy, by pustelnik dobrowolnie wpuścił go do swej chaty, są bezowocne, postanawia wedrzeć się przemocą. Przypominam, iż opowiadanie brzmi następująco:

Ethelred, co z przyrodzenia chrobre miał serce, a był teraz dużo silniejszy, mocnym poprzednio pokrzepiwszy się winem, zaniechał dalszej rozmowy z eremita, który był istotnie człowiekiem upartym i złośliwym, lecz czując deszcz na karku i nadlegającej obawiając się burzy dźwignął w górę swą pałkę i szybkimi uderzeniami rum uczynił w bierwionach dźwierzę dla swej pancernej dłoni; po czym wraziwszy ją śmiało, jął tak rwać, siepać i druzgotać do cna, że pogłosy i larum szły hen po całym lesie od trzasku suchego i próżnią odzywającego się drewna.

Pod koniec tego okresu drgnąłem i zatrzymałem się na chwilę, gdyż wydało mi się (acz uświadomiłem sobie od razu, iż rozigrana uwodzi mnie wyobraźnia), jak gdybym skądś, z jakiegoś bardzo odległego zakątka, dosłyszał szmer głuchy i przytłumiony, lecz najzupełniej podobny do owego trzasku i łomotu, który Sir Launcelot opisuje tak szczegółowo. Bez wątpienia właśnie to podobieństwo zwróciło moją uwagę, gdyż wśród brzęku szyb w oknach oraz zmaconego poszumu wzmagającej się burzy szmer ten sam przez się na pewno nie byłby mnie zastanowił i zaniepokoił. Czytałem więc dalej:

Alic takież gniew i przerażenie zdjęło męznego najeźnika (Ethelreda), gdy przekroczywszy próg nie zastał ani śladu złośliwego eremity; miast niego smok obmierzył cały w łuskach i z płomienistym językiem dzierżył straż przed pałacem ze złota, co miał pawiment ze srebra. Także na ścianie wisiała paiza ze szklącej miedzi, na której taka widniała legenda:

Kto wejdzie tutaj, ten zwycięzcą będzie,
Smoka zabije i pawęż posiędzie.

Za czym Ethelred dźwignął swą maczugę i ugodził w łeb smoka, który padł przed nim i wyzionął swe jadowite tchnienie z jękiem tak srogim i okropnym, a zarazem tak przeraźliwym, iż Ethelred dłonią zatulał uszy przed tym strasliwym wrzaskiem, jakiego przedtem nie zdarzyło mu się słyszeć.

W tym miejscu urwałem znowu, tym razem z uczuciem lodowatego osłupienia - gdyż nie ulegało już wątpliwości, iż w tej chwili doleciał mnie (jakkolwiek nie umiałbym powiedzieć skąd) jakiś słaby i widocznie daleki, lecz szorstki, przeciągły i niewymownego pełen pojęku zgrzyt - niejako wtór dokładny nadprzyrodzonego ryku smoka, wyczarowanego przez poetę w mej wyobraźni.

Odurzony tym ponownym i niepojętym zbiegiem okoliczności, miotany najsprzeczniejszymi wrażeniami, wśród których przeważało zdumienie i ostateczna groza, zachowałem jednakże tyle przytomności umysłu, iż żadnym niebacznym słowem nie zadrasnąłem przeczulonej wrażliwości mojego towarzysza. Nie miałem bynajmniej pewności, czy zgrzyt ów zwrócił na siebie jego uwagę, aczkolwiek w zachowaniu się jego już od pewnego czasu zaszła szczególniejsza zmiana. Usiadł był zrazu zwrócony obliczem ku mnie, po czym stopniowo tak wykręcił krzesło, iż miał przed sobą podwoje komnaty; nie widziałem przeto całej jego twarzy, dostrzegłem wszakże, iż wargi jego drżały jak gdyby bezgłośnie szepem. Głowa zwisała mu na piersi, wiedziałem atoli, iż nie śpi, gdyż z boku mignął mi połysk jego szeroko otwartych, zakrzepłych nieruchomo oczu. Przeczyło temu także przechylenie się jego ciała - kołysał się bowiem w obie strony lekkim, lecz miarowym i nie ustającym ruchem. Ogarnąwszy to wszystko jednym rzutem oka, podjąłem na nowo wątek opowieści Sir Launcelota, która w dalszym toku brzmi tak:

Jakoż uszedłszy srogiej furii smoka, najeźnik on wspomniawszy miedzianą paizę i zawieszoną na niej zaklęcie i usunąwszy ścierwo precz z drogi kroczył mężnie po srebrnym pawimencie zamczyska, kędy na ścianie wisiała paiza: bawej, nie czekała jego przyjścia, ale sama upadła mu pod nogi na srebrną posadzkę z ogromnym i przeraźliwym szczękiem.

Jeszcze te zgłoski nie zdążyły zamrzeć na moich wargach, gdy wtem - jak gdyby istotnie tarcza z miedzi ciężko na srebrną runęła posadzkę - doleciał mnie wyraźnie odgłos jakiś suchy, dźwięczny i metaliczny, acz widocznie przytłumiony. Truchlając z przerażenia, zerwałem się na równe nogi, ale Usher nie zaprzestał swego miarowego, kołyszącego się ruchu. Podbiegłem do krzesła, na którym siedział. Miał oczy nieruchomo utkwione przed siebie, a na licach wyraz kamiennego odrętwienia. Kiedyś wszakże położył rękę na jego ramieniu, silny wstrząs targnął całym jego ciałem; mdły uśmiech prześliznął się po jego wargach i zauważyłem, że mówi głuchym, urywanym, rozbitym szepem, jak gdyby nieświadom mej obecności. Pochyliwszy się nad nim, słów jego strasliwej dorozumiałem się treści:

- Jakże tego nie słyszeć? Słyszę ci ja, słyszałem już od dawna. Słyszałem dawno - dawno - dawno - przez tyle minut, tyle godzin, tyle dni! Słyszałem, lecz nie śmiałem - biadaż mnie, nieszczęsnemu! - nie śmiałem, nie miałem odwagi mówić. Myśmy ją żywcem pochowali w grobie! Czyż nie mówiłem, że mam przeczulone zmysły? A teraz powiadam ci, że słyszałem pierwsze jej lekkie poruszenia we wnętrzu trumny. Słyszałem je od wielu, wielu dni - lecz nie śmiałem - nie miałem odwagi mówić. I oto tej nocy - ten Ethelred - ha! ha! - to wywalanie drzwi u pustelnika i ten przedzgonny ryk smoka, i ten szczęk tarczy! - powiedz raczej: otwieranie trumny i zgrzyt żelaznych wrzeczadźców więziennych i jej rozpaczne błąkanie się w opancerzonym korytarzu podziemia. Oh, dokąd uciekać? Nie przyjdzie tu zaraz? Nie biegnież, by mnie przeklinać za mój pośpiech? Czyż nie słyszę na schodach jej kroków? Czyż nie rozróżniam ciężkiego, bolesnego dygotania jej serca? Szaleńcze!

Nieprzytomny zerwał się z miejsca i z takim krzykiem jął wyrzucać słowa, jak gdyby wraz z nimi miał wyzionąć ducha:

- Szaleńcze! Ja ci powiadam, że ona stoi już przed drzwiami!

I jak gdyby w nadludzkiej głosu jego mocy kryła się jakaś czarodziejska potęga - ogromne, starożytne podwoje, na które wskazywał, rozchyliły naraz z wolna swe ciężkie, hebanowe skrzydła. Otworzył je pęd wiatru - lecz za nimi istotnie stała smukła, otulona w całun postać lady Madeline Usher. Krew zbroczyła białe jej szaty, a na wynędzniałym ciele widniały wszędzie ślady przebolesnych wysiłków. Drżąc i słaniając się, stała przez chwilę w progu - po czym z jękiem przechyliła się ku wnętrzu komnaty, całym ciężarem waląc się na brata. Śród strasznych i tym razem już ostatecznych skurczów przedśmiertnych pociągnęła go za sobą na ziemię - nieżywego: zabiła go, jak przepowiedział, trwoga.

Zmartwiwszy z przerażenia wybiegłem z tej komnaty i z tego domu. Gdy mijał odwieczną grobę, wciąż jeszcze srożyła się burza. Wtem przede mną na drodze dziwna jakaś zamigotała poświata. Oglądałem się, by zobaczyć, skąd ta niespodziewana jasność pochodzi, gdyż poza mną nie znajdowało się nic okrom potwornego zamczyska i jego mroków.

Było to światło wschodzącego i jak gdyby okrwawionego księżycą w pełni, co przeświecał jaskrawo przez ową, ongi zaledwie dostrzegalną szczelinę, o której wspomniałem, iż wiała się zygzakowato od dachu aż do posad budynku. Gdym patrzył, szczelina nagle się powiększyła; wicher znów silniej się zakłębił; zaskrzył mi nagle w oczach cały krąg miesiąca; pociemniało mi w mózgu, gdym ujrzał, jak potężne mury rozpadają się na dwoje; wionął przeciągły, rozgłośny, ogłuszający huk, niby poszum nieprzebranych wód - i u mych stóp glucho, złowrogo, nad rozwalinami Domu Usherów zawarła się czarna, posepna topiel.

William Wilson

Co powie o tym zgrzyzota Sumienia,

To widmo na mej drodze?

(W. Chamberlayne: Pharronnida)

Niechaj mi będzie wolno przybrać do czasu miano Williama Wilsona. Czystej kartki papieru, co w tej chwili leży przede mną, nie chcę kalać właściwym mym nazwiskiem. Zbyt bowiem często bywało ono przedmiotem zgrozy, wzgardy i ohydy dla mego rodu. Czyż wicher oburzenia nie rozniósł jego niezrównanej hańby aż po najdalsze krańce ziemi? O, wyrzutku, najbardziej spodlony ze wszystkich wyrzutków! Czyż nie umarłeś na zawsze dla świata? Dla jego zaszczytów, jego kwiatów, jego dążeń złośliwych? - i czyż chmura, nieprzenikniona, bezbrzeżna, złowieszcza, między twymi nadziejami a niebem nie rozokolowała się na wieki?

Nie chciałbym, gdyby to nawet było dla mnie możliwe, kreślić tu dziejów z lat ostatnich niewysłowionej mej nędzy i niegodziwego łotrostwa. Na okres ten, na te lata ostatnie przypada nagły rozrost mego znikczemienia, którego samo tylko powstanie przedstawić tu na razie zamierzam. Zazwyczaj ludzie podleją stopniowo. Ja zaś postradałem swą szlachetność jak płaszcz, co w jednej chwili obsuwa się z ramion na ziemię. Od zdrożności, dość pospolitych, ku potwornościom, nie znanym nawet Heliogabalowi, zdążyłem krokami olbrzyma. Może nie nadużyję niczyjej łaskawości, gdy opowiem, jak przypadek - jak jedno, jedyne zdarzenie rozpełtało we mnie te zbrodnicze popędy. Śmierć moja bliska, a wyprzedzające ją cienie słaniają się kojąco nad moją duszą. Zanurzając się już w mroki padolne, tęskniąc do życzliwości, powiedziałbym niemal, do zmiłowania ludzkiego. Pragnę przekonać mych bliźnich, iż w pewnej mierze byłem niewolnikiem okoliczności, niedostępnych pojmowaniu ludzkiemu. Chciałbym, żeby idąc za szczegółami, które za chwilę przytoczę, wśród dzikiego pustkowi błędów nie pominęli małej oazy fatalności. Sądzę, iż zechcą przyznać, gdyż zaprzeczyć temu niepodobna, że jakkolwiek pokusy zawsze bywały wielkie, to jednak nie było jeszcze człowieka, który by był kuszony w ten sposób i w ten właśnie sposób pokusom tym uległ. Zdaje mi się również, iż nikt jeszcze tak jak ja nie cierpiał. Dotychczasowe me życie - nie było ono istotnie snem? A teraz, kiedy godziny moje są już policzone, czyż nie jestem pastwą grozy i tajemnicy, poczętej z najupiorniejszej pod słońcem wizji?

Pochodzę z rodziny, która zawsze służyła z żywej wyobraźni i nader pobudliwego temperamentu. Już w najwcześniejszym dzieciństwie znać było po mnie, iż w całej pełni odziedziczyłem właściwości rodzinne. Z biegiem lat rozwinęły się one do tego stopnia, iż jęły niepokoić wielce mych przyjaciół i szkodzić dotkliwie mnie samemu. Stałem się samowolny, powodowałem się najdzikszyimi zachciankami i poddawałem się najnieokiełznanym namiętnościom. Rodzice moi, chwiejni z natury i sami obarczeni pokrewnymi narowami, niezdolni byli powściągnąć wrodzonych mych skłonności. Nieliczne, słabe i nieumiejętnie podejmowane wysiłki kończyły się zawsze całkowitą ich porażką i najzupełniejszym mym tryumfem. Odtąd głos mój znajdował posłuch w domu i w wieku, kiedy inne dzieci zwykły chodzić jeszcze na pasku, ja już rządziłem się własną wolą i w rzeczywistości zależałem we wszystkim tylko od siebie.

Najdawniejsze me wspomnienia z lat szkolnych wiążą się z wielkim, osobliwym domostwem z epoki elżbietańskiej, wznoszącym się wśród mglistej osady angielskiej, gdzie rosło mnóstwo olbrzymich, sękatych drzew i gdzie wszystkie domy były niesłychanie starożytne. Niby marzeniem i ostoją dla ducha było to czcigodne, odwieczne miasto. Dziś jeszcze rozkoszuję się w wyobraźni rosłą świeżością cienistych jego alei, oddycham wonią nieprzeliczonych zagajników i jakaś nieokreślona błogość przenika mnie na myśl o głębokich, głuchych dźwiękach kościelnego dzwonu, który co godzina swym nagłym, posepnym brzmieniem roztrącał mroczne powietrze, otulające do snu szczerbatą, gotycką dzwonnice.

Rozpamiętywałem drobiazgowo wspomnienia szkolne i towarzyszące im okoliczności, zaś z tym większym czynię to upodobaniem, iż właśnie teraz odżyły w mej duszy. Pograżonemu w niedoli - niestety, aż nazbyt rzeczywistej - niechaj będzie wolno szukać pociechy, nikłej co prawda i przemijającej, w szczegółach błahych i rozpierchłych. Nie ma w nich nic nadzwyczajnego i mogłyby nawet rozśmieszać, gdyby wyobraźnia moja nie przypisywała im szczególniejszego znaczenia ze względu na to, iż pozostają w związku z czasem i miejscowością, gdzie po raz pierwszy doznałem niedocieczonej kaźni Przeznaczenia, które później tak straszliwie roztoczyć miało nade mną swe cienie. Oto powód, dla którego niechaj mi nikt nie wzbrania tych wspomnień.

Dom, jak nadmienilem, był starodawny i nieregularny. Stał pośrodku bardzo przestronnego dziedzińca, opasanego mocnym i wysokim murem z cegieł, który u szczytu miał powłokę tynku, najeżonego potłuczonym szkłem. Ta więzienna z wyglądu zapora stanowiła granicę naszych dzierżaw; wydostawaliśmy się poza nią tylko trzy razy w tygodniu: raz w sobotę po południu, gdy pod nadzorem dwu nauczycieli wolno nam było odbyć gromadnie krótką przechadzkę po okolicznych polach; i dwa razy w niedzielę, gdy rano i po południu podążaliśmy w tym samym, ściśle określonym porządku do miejscowego kościoła na nabożeństwo. Przełożony naszej szkoły był w tym kościele pastorem. Z jakimż głębokim uczuciem podziwu i onieśmielenia zwykłem był patrzeć nań z naszej ławy, umieszczonej daleko na galerii, gdy krokiem wolnym i uroczystym wstępował na kazalnicę! Ten czcigodny kapłan z obliczem skupionym i wniebowziętym, wiejący duchowną, odświętną szatą, w nadzwyczaj starannie upudrowanej peruce, taki surowy i taki możny - czyż mógł być tym samym człowiekiem, co przed chwilą z odrażającą twarzą i w zaplamionym tabaką ubraniu przestrzegał z trzciną w ręce drakońskich przepisów szkolnych? Cóż za dziwaczny paradoks, zbyt zaprawdę potworny, by mógł znaleźć rozwiązanie!

W załomie potężnego muru szczerzyła się jeszcze potężniejsza brama. Cała mocno kuta i zamknięta na żelazne wrzeciadze, miała u góry rząd żelaznych, zazębionych kolców. Jakimże głębokim przejmowała nas lękiem! Stała dla nas otworem trzy razy w tygodniu, jak już poprzednio napomknąłem; poza tym zawsze była zamknięta. Toteż w każdym zgrzycie jej ogromnych zawiasów kryło się dla nas mnóstwo tajemnic - i powstawał cały świat zbożnych spostrzeżeń i jeszcze zbożniejszych rozpamiętywań.

Rozległy dziedziniec był nieregularnego kształtu i miał wiele obszernych ustroni. Trzy lub cztery największe spośród nich tworzyły miejsce zabaw. Było ono wyrównane i pokryte drobnym, twardym żwirem. Pamiętam dokładnie, iż było najzupełniej огоłocone z drzew, ławek i tym podobnych przedmiotów. Znajdowało się za domem, zaś przed nim rozciągał się niewielki trawnik, zasadzony bukszpanem oraz innymi krzewami. Atoli w tej uświęconej okolicy bywaliśmy nader rzadko, mianowicie kiedyśmy po raz pierwszy przyjeżdżali do szkoły lub gdyśmy rozstawali się z nią na zawsze, albo wreszcie kiedy zawiązał jaki krewny czy przyjaciel i ku wielkiej naszej radości zabierał nas ze sobą na święta Bożego Narodzenia lub na uroczystość świętojańską.

Lecz dom! - jakież przedziwny był i starożytny! Dla mnie był to istny przybytek czarodziejski. Jego zakręty i nieodgadnione skrytki naprawdę nie miały końca. Żaden z jego mieszkańców nie umiał bez wahania odpowiedzieć, czy w danej chwili przebywa na pierwszym, czy też na drugim piętrze. Przechodząc z jednego pokoju do drugiego zawsze napotykało się po drodze jakieś schodki, które po kilku stopniach prowadziły w górę lub w dół. Zaś boczne odgałęzienia były tak liczne i tak niedocieczone, przy tym tak zawiłe, iż najściślejszy pogląd, jaki wyrobiliśmy sobie na całość domu, niezbyt różnił się od naszych pojęć o nieskończoności. Przez cały czas pięcioletniego w domu tym pobytu nie mogłem z niezawodną stanowczością oznaczyć, gdzie właściwie i w jakiej dalekiej stronie znajduje się niewielka sala, przeznaczona na sypialnię dla mnie i dla osiemnastu czy dwudziestu moich kolegów.

Sala szkolna była największa w całym domu, a jak mi podówczas się zdawało, także w całym świecie. Była bardzo długa, wąska i niemożliwie niska, miała ostrołukowe, gotyckie okna, ponad którymi wysklepiał się strop dębowy. W najdalszym, trwogą ziejącym kącie znajdowała się czworoboczna przegródka, mająca osiem do dziesięciu stóp powierzchni. Podczas lekcji tworzyła ona sanctum naszego przełożonego, wielbego doktora Bransby'ego. Odznaczała się mocną budową i posiadała zamczone drzwi, których w nieobecności Domini żaden z nas nie byłby otworzył nawet pod grozą la peine forte et dure! W innych kątach mieściły się jeszcze dwie podobne przedziałki, nie tak czczone, lecz omal nie mniejszym przejmujące postrachem. Jedną z nich zajmował „klasyk”, drugą nauczyciel angielskiego i matematyki. Rozrzucone po całej sali, zbiegające się i rozbiegające nadzwyczaj nieregularnie, stały nieprzeliczone ławki i pulpity, odwieczne, poczerniałe, nadgryzione przez czas, zavalone beznadziejnie potarganymi na strzępy książkami i tak usiane inicjałami, całkowitymi nazwiskami, dziwaczными figurami oraz innymi wymyślnych szczyryków popisami, iż zatraciły najzupełniej resztki kształtów pierwotnych, które za dni dawno zamierzchłych dostały się im zapewne w udziale. W jednym końcu sali stało olbrzymie wiadro z wodą, w drugim zaś zegar, niepojętych wprost rozmiarów.

Zamknięty w głuchych murach tej czcigodnej szkoły, spędzałem tam, bez przykrości zresztą i odrazy, lata moje chłopiące. Bujny mózg dziecięcy nie potrzebuje zewnętrznego świata zdarzeń, by znaleźć sobie zabawę czy zajęcie, i gnębiąca na pozór monotonia, szkolna kryła w sobie podniety o wiele silniejsze od tych, które późniejsza młodość moja czerpała z rozpusty, a wiek dojrzały ze zbrodni. Mimo to sądzę, iż mój wczesny rozwój umysłowy miał w sobie coś niezwykłego i nazbyt był outré. Na ogół wrażenia z pierwszego dzieciństwa rzadko zachowują swą wyrazistość w duszach ludzi dojrzałych. Wszystko zamiercha w szarzyźnie - staje się nikłym, bezpostaciowym wspomnieniem, mętnym, zbiorowiskiem mdłych radości i urojonych cierpień. Ze mną jest inaczej. Widocznie odczuwania dziecięce objawiły się we mnie z energią wieku męskiego, gdyż zarysy ich przetrwały w mej pamięci takie żywe, takie głębokie i niezatarte, jak egzergi na medalach kartagińskich.

W rzeczywistości - przynajmniej tak pojętej, jak ją zazwyczaj się pojmuje - jakżeż niewiele było tam wątku do wspomnień! Poranne wstawania i wieczorne nawoływanie do snu; odrabianie lekcji i ich wydawanie; od czasu do czasu połowiczne wakacje i przechadzki; wspólne zabawy z ich zgiełkiem, rozradowaniem i knowaniami: wszystko to, mocą magii psychicznej dziś zaprzepaszczone w niepamięci, kryło w sobie przebogactwo wrażeń, całe światy przygód, bezmiary najprzeróżniejszych wzruszeń i najoblędniejszych, najbardziej roznamietniających podniety. Oh, le bon temps, que ce si?cle de fer!2

Ognistość, zapał i chęć przewodzenia, właściwe mej naturze, wyróżniły mnie wkrótce wśród kolegów i z czasem, stopniowo, utrwaliły mą przewagę nad wszystkimi moimi rówieśnikami - z wyjątkiem jednego. Był to uczeń, który nie będąc wcale mym krewnym, nosił jednakże takie samo imię i nazwisko. W okoliczności tej nie ma nic nadzwyczajnego, gdyż, jakkolwiek pochodzę ze szlachty, nazwisko moje należy do rzędu tych, które od niepamiętnych czasów prawem przedawnienia stały się pospólną własnością tłumy. Oto powód, dla którego przybrałem fikcyjne miano William Wilsona, jako niezbyt różniące się od rzeczywistego. Śród moich kolegów, którzy w gwarze szkolnej nazywali się „naszą paczką”, tylko mój imiennik śmiał współzawodniczyć ze mną w nauce, psotach i popisach; tylko on jeden nie dowierzał na ślepo mym zapewnieniom, nie poddawał się mej woli - słowem, sprzeciwiał się we wszystkim mym samowładczym zachciankom. Jeżeli istnieje jeszcze gdzieś na świecie bezwzględny i nieograniczony despotyzm, to jest nim przewaga, jaką bogato wyposażona dusza dziecięca miewa nad mniej lotnymi umysłami swych towarzyszy.

Oporne zachowanie się Wilsona było dla mnie źródłem wielu utrapień. Wprawdzie w obecności innych udawałem, że nic sobie nie robię z niego samego i jego uroszczeń, ale w skrytości czułem, że go się boję, i nie mogłem oprzeć się myśli, iż łatwość, z jaką dotrzymywał mi współzawodnictwa, świadczyła o istotnej jego wyższości, bowiem moje tryumfy były okupowane nieustannymi wysiłkami. Atoli tej wyższości - czy tej równości - nikt nie dostrzegał prócz mnie samego; niepojęte zaślepienie naszych towarzyszy nawet jej nie przeczuwało. Trzeba przyznać, iż jego współzawodnictwo, jego oporność, zaś przede wszystkim jego natrętne i uprzykrzone mieszanie się do moich spraw nie wychodziło niemal poza obręb stosunków wyłącznie osobistych. Zdawało się, iż jest pozbawiony zarówno właściwej mi ambicji, dążącej do ciągłego przewodzenia we wszystkim, jak i namiętnej rzutkości umysłu, dzięki której mogłem tym dążeniom podołać. Toteż można było przypuszczać, iż stając ze mną do współzawodnictwa, powodował się jedynie dziwną pobudką, by mnie drażnić, zdumiewać i martwić; chociaż chwilami, przyglądając mu się bardziej, dostrzegałem z uczuciem podziwu, gniewu i upokorzenia, iż wszystkie jego wyrzuty, obelgi i sprzeciwiania się wynikały z jakiejś wysoce niewłaściwej i najzupełniej niepożądanego względem mnie czułości. Nie mogłem pojąć tego osobliwszego postępowania i posądzałem go o wygórowaną zarozumiałość, kryjącą się pod niezbyt wytwornymi osłonkami pieczołowitości i przychylności.

Zapewne ten ostatni rys w zachowaniu się Wilsona z dodatkiem tożsamości naszych nazwisk jako też najzupełniej przypadkowej okoliczności, iż jednego i tego samego dnia wstąpiliśmy obaj do szkoły, przyczynił się do rozpowszechnienia w wyższych klasach pogłoski, jakobyśmy byli braćmi. Lecz to wiadomo, że nie jest u nich w zwyczaju zajmować się szczegółowiej sprawami swych młodszych kolegów. Jak już wspomniałem lub winien byłbym wspomnieć, Wilson wcale nie był spowinowacony z mą rodziną. To pewna, iż gdyby był nas łączył węzeł braterstwa, bylibyśmy

musieli być bliźniakami, bowiem już po opuszczeniu zakładu doktora Bransby'ego dowiedziałem się przypadkowo, iż mój imiennik przyszedł na świat 19 stycznia 1813 roku - co było okolicznością bądź co bądź zastanawiającą, gdyż dzień ten stanowi również dokładną datę moich urodzin.

Wyda się może rzeczą dziwną, iż mimo nieustannej obawy przed współzawodnictwem Wilsona i mimo wrodzonej mu, nieznośnej przekory jakoś nie mogłem zupełnie go zniechęcić. Rzecz prosta, iż niemal codziennie przychodziło między nami do sprzeczek, w których on, przyznając mi publicznie palmę zwycięstwa, dawał jednakże w ten lub ów sposób do zrozumienia, iż właściwie jemu ona się należała; wszelako zarówno moja wyniosłość, jak i jego rzeczywista godność utrzymywały nas zawsze w korbach przyzwoitości, a przy tym w usposobieniach i uzdolnieniach naszych tyle szczególniejszego było podobieństwa, że nie mogłem go nie lubić i zapewne tylko nasz wzajemny stosunek nie pozwolił tej sympatii rozwinąć się w przyjaźń. Przyznaję, iż z trudnością przyszłoby mi określić lub co więcej opisać moje rzeczywiste względem niego uczucia. Stanowiły one mieszaninę nader pstrą i różnolitą: nieco wyzywającej niechęci, która jednakowoż nie wynikała jeszcze z nienawiści, nieco czci, nieco uznania, wiele trwogi i mnóstwo dolegliwej ciekawości. Dla moralistów zbyt będzie nadmienianą, iż stał się on moim nieodłącznym towarzyszem.

Niejasność naszych wzajemnych stosunków przejawiała się bez wątpienia w tym, iż wszystkie moje przeciw niemu zwrócone zaczepki (a było ich dużo, zarówno jawnych, jak ukrytych) znajdowały ujście raczej w pospolitych żartach i kpinach (bardzo zresztą dotkliwych, gdyż ukrywających się pod pozorami niewinnych psot) niż w głębszej i zawziętszej nieprzyjaźni. Atoli me celowe wysiłki nie zawsze zapewniały mi nad nim przewagę nawet wówczas, gdy bywały najmisterniej uknute; bowiem mój imiennik miał w swym usposobieniu dużo spokojnej i niewymuszonej męskości, która, dając uczuć ostrze swojego dowcipu, nie objawia natomiast słabostek i nie może podlegać pośmiewisku. Jakoż nie mogłem dostrzec w nim żadnej wady, jeśli pominię pewną osobistą właściwość, wynikłą prawdopodobnie z niedomagania organicznego, którą byłby uszanował każdy inny przeciwnik, mniej ode mnie doprowadzony do ostateczności: oto mój współzawodnik miał tak słabe narządy gardlane czy krtaniowe, iż nie mógł podnieść głosu ponad miarę bardzo głuchego szeptu. Gdy tylko mogłem, nie wahałem się wyzyskiwać niegodnie tej jego ułomności.

Odwety Wilsona bywały bardzo różne i objawiały się w ten sposób, iż wytręcały mnie zupełnie z równowagi. W jaki sposób przenikliwość jego wpadała na trop szczegółów nieraz błahych, lecz dla mnie bardzo nieprzyjemnych, tego nigdy nie zdołałem odgadnąć; to pewna, iż odkrywszy rzecz taką, prześladował mnie nią bez końca. Zawsze czułem odrazę do mego mało dostojnego nazwiska tudzież do nader pospolitego, jeżeli już nie gminnego imienia. Słowa te były trucizną dla moich uszu. Toteż kiedy w dzień mojego przybycia drugi William Wilson pojawił się w szkole, obruszyłem się na niego, iż nazywa się tak samo, i w dwójnasób obmierzłem sobie moje nazwisko, iż należało jeszcze do kogoś obcego i w ten sposób dwa razy częściej miało o moje obijać się uszy - że ten obcy będzie przebywał ciągle w moim towarzystwie i że ta wstrętna, przypadkowa okoliczność w zwykłym trybie szkolnego życia jego sprawy pomiesza z moimi.

Rozbudzona w ten sposób niechęć wzmagała się w miarę, jak wychodziły na jaw szczegóły, wykazujące fizyczne i duchowe podobieństwo między mną a moim współzawodnikiem. Nie wiedziałem wówczas jeszcze, iż byliśmy w tym samym wieku, lecz spostrzegłem, iż nie różnimy się wzrostem, i zauważyłem, iż w ogólnym wyglądzie i w rysach twarzy istnieje między nami osobliwsze podobieństwo. Gniewały mnie również szerzące się - jak już powyżej wspomniałem - pogłoski o rzekomym naszym pokrewieństwie. Słowem, nic nie mogło większej sprawić mi przykrości (acz nie dawałem tego poznać po sobie) niż aluzje dotyczące naszego podobieństwa w pochodzeniu, uzdolnieniu lub wyglądzie. Co prawda, poza owym domniemanym pokrewieństwem tudzież poza tym, co Wilson sam wiedział, nie było żadnego powodu do przypuszczeń, jakoby to podobieństwo miało zwrócić na siebie uwagę naszych kolegów lub, co więcej, stać się przedmiotem ich rozmów. To pewna, iż on znał je i śledził we wszystkich przejawach z nie mniejszą ode mnie bacnością; lecz że zdołał w nim odkryć nieprzebraną dziedzinę prześladowań, przypisuję to tylko - jak już wspomniałem - nadzwyczajnej jego bystrości.

Uwziął się, by stać się doskonałą mą kopią zarówno w słowach, jak zachowaniu się, i z roli tej wywiązywał się nieźrównanie. Z ubraniem poszło mu bardzo łatwo; z nie mniejszą łatwością przyswoił sobie moje ruchy i całość zachowania się: nawet mój głos nie uszedł jego bacności - pomimo wrodzonej mu wady. Nie naśladował wprawdzie moich tonów wyższych, lecz barwa brzmień nie różniła się niczym do tego stopnia, iż szczególniejszy jego szept wydawał się wiernym echem mojego głosu.

Jak bardzo dręczył mnie ten dokładny portret (gdyż właściwie nie mogłem nazwać go karykaturą), tego nie zdołałem dziś opisać. Jedyną mą pociechą było to, iż nikt widocznie nie zauważył tego naśladowstwa i że mnie tylko nękał świadomy i pełen dziwnie gorzkiego szyderstwa uśmiech mojego imiennika. Zadawalony z przykrości, którą rozmyślnie ubódł mnie do żywego, zdawał się naigrywać w głębi duszy z zadanego mi ciosu, lecz okazywał szczególniejsze lekceważenie dla okłasków, które na pewno byłyby mu zjednał dowcipny jego pomysł, uwieńczony najzupełniejszym powodzeniem. Całymi miesiącami na próżno łamałem sobie głowę, dlaczego koledzy nie domyślili się jego zamiaru, nie zauważyli, gdy go wykonał, i nie wzięli udziału w złośliwym jego tryumfie. Być może, iż podobieństwo, przyswajane stopniowo, mnie na razie rzucało się w oczy lub, co jest o wiele prawdopodobniejsze, iż zawdzięczałem me bezpieczeństwo mistrzowskiemu poczuciu kopisty, który gardząc niewolniczą wiernością (to jest tym, co dla bezmyślności ludzkiej stanowi jedyną w obrazach zaletę), odtwarzał natomiast w całej pełni ducha oryginału ku mej osobistej rozwadze i utrapieniu.

Wspomniałem już o niesmacznej pieczołowitości, z którą mi się narzucał, oraz o jego częstym, jawnym wtrącaniu się w zakres mej woli. Wtrącanie się to przybierało niejednokrotnie niemiłe cechy przestrogi - przestrogi nie tyle otwartej, ile raczej domyślnej i podsuniętej. Odplącałem się oburzeniem, które wzmagało się z każdym rokiem. Dziś wszakże, po tylu latach, muszę mu oddać sprawiedliwość i przyznaję, że napomnienia mojego współzawodnika nie wynikały nigdy z płochości i błędów, właściwych niedojrzałej i niedoświadczonej młodości, że górował nade mną może nie tyle zdolnościami i znajomością życia, ile subtelnym poczuciem moralnym, i że byłbym dziś o wiele lepszy i, co za tym idzie, o wiele szczęśliwszy, gdybym nie był tak często odtrącał rad, zawartych w owych znaczących podszeptach, których z całej duszy nienawidziłem, wywzajemniając się za nie cierpką pogardą.

Z czasem doszło do tego, iż zapamiętałem się bezgranicznie przeciw tej jego uprzykrzonej opiece i coraz jawniej okazywałem mą niechęć do tego, co wydawało mi się w nim nieznośną arogancją. Powiedziałem poprzednio, iż w pierwszych latach znajomości koleżeństwo nasze mogło z łatwością przedzierzgnąć się w przyjaźń; natomiast pod koniec mojego pobytu, niemal w miarę jak łagodniała właściwa mu natarczywość, uczucia moje względem niego jeły stanowczo

przeobrażać się w nienawiść. Mam powody do przypuszczenia, iż przy pewnej sposobności to zauważył i odtąd mnie unikał lub przynajmniej udawał, że unika.

Mniej więcej w tym samym czasie przyszło raz między nami do zapamiętałej sprzeczki, podczas której uniósł się więcej niż zazwyczaj, okazując w słowach i czynach otwartość, obcą niemal jego naturze. Zauważyłem wtedy - lub przynajmniej zdawało mi się, że zauważyłem - w tonie jego głosu, w zachowaniu się i całym wyglądzie coś, co najpierw mnie przeraziło, a później głęboko zastanowiło, przywodząc na myśl zamierzchłe wizje z najwcześniejszego mego dzieciństwa - dziwne jakieś, bezładne, gnębiące wspomnienia z czasów, kiedy pamięć moja jeszcze nie istniała. By jaśniej określić wrażenie, jakie mną wówczas wstrząsnęło, dodam jeszcze, iż nielatwo mi przyszło oprzeć się przeświadczeniu, jakobym kiedyś, przed wiekami, w niezmiernie odległej przeszłości znał już stojącą przede mną istotę. Złudzenie to pierzchno wprawdzie równie szybko, jak powstało, a wspominam o nim jedynie dlatego, by bliżej oznaczyć dzień, w którym po raz ostatni rozmawiałem z tym osobliwym imiennikiem.

Ogromny, starożytny dom w niezliczonych swych tajnikach miał kilka połączonych razem, obszernych pokoiów, w których sypiała większość uczniów. Obok nich - jak to zwykle bywa w nie obmyślanych zawczasu budynkach - było mnóstwo wnęk i zakątków, powstałych przez zakończenia i niedokończenia architektoniczne. Aczkolwiek przedstawiały się one jako zwykłe komórki, mogące pomieścić zaledwie jedną osobę, mimo to zmysł oszczędności, właściwy doktorowi Bransby'emu, zdołał je również przekształcić w sypialnie, jedną z tych izb zajmował Wilson.

Pewnej nocy, pod sam koniec mego pięcioletniego w szkole pobytu i bezpośrednio po wspomnianej przed chwilą sprzeczce, gdy wszyscy już spali, wstałem z łóżka i z lampą w ręku przekradłem się gmatwaniną wąskich korytarzy do sypialni mego współzawodnika. Od dawna przygotowywałem się do splecania mu pewnego niezmiernie dotkliwego figła, gdyż dotychczasowe najzupełniej mi się nie udawały. Zamierzałem wtedy przystąpić do wykonania mego planu i postanowiłem sobie, iż wywrę na nim wszystką złość, która mnie przepajała. Odnalazłem jego izdebkę i wszedłem do niej po cichu, pozostawiając przed drzwiami lampę, osłoniętą abażurem. Postąpiłem krok naprzód i usłyszałem szmer spokojnego jego oddechu. Upewniwszy się, że śpi, wróciłem po światło i niosąc je przed sobą, znowu zbliżyłem się do łóżka. By wykonać mój plan, spokojnie i z wolna rozsunąłem kotarę, która je osłaniała. Jasne promienie oświetlały dokładnie postać śpiącego, a równocześnie me spojrzenie spoczęło na jego twarzy. Popatrzyłem - i zlodowaciałem w nagłym osłupieniu. Pierś wezbrała, kolana się ugięły, duszę ogarnęła nieujęta i nieuskromiona groza. Dysząc ciężko, pochyliłem bliżej lampę ku jego twarzy. Czyż to podobna, by tak wyglądał William Wilson? Widziałem dobrze, że to jego rysy, lecz drżałem cały w gorączkowym majaczeniu, iż może tak nie jest. Na czymże polegało to nasze zastanawiające podobieństwo? Nie odwracałem od niego oczu, a w mózgu wirowało mi mnóstwo bezładnych myśli. Nie tak - to pewna, iż nie tak wyglądał, kiedy nie był pogrążony we śnie. To samo nazwisko, ten sam wygląd, ten sam dzień przybycia do szkoły; a potem to uprzykrzone i bezmyślne naśladownictwo mego chodu, głosu, ubrania i zachowania się. Czyż podobna przypuścić, by to, co w tej chwili widziałem, było jedynie wynikiem nawykowego, szydlerczego naśladownictwa? Struchlały, drżący zgasilem lampę, wyszedłem potajemnie z pokoju i wkrótce potem opuściłem starodawną szkołę, by już do niej nigdy nie wrócić.

Po kilku miesiącach próżniaczej beczynności w domu rodziców wstąpiłem do kolegium w Eton. Krótki ten okres wystarczył najzupełniej, by osłabić wspomnienia, wyniesione ze szkoły doktora Bransby'ego, lub przynajmniej, by w sposobie ich odczuwania wywołać istotną zmianę. Tragiczna prawda dramatu przestała dla mnie istnieć. Jąłem powątpiewać o świadectwie mych zmysłów i coraz rzadziej wracałem do owych zdarzeń myślą, za każdym razem dziwiąc się ludzkiej łatwowierności i uśmiechając się z przewrażliwienia mej dziedzicznie nieokiełznanej wyobraźni. Tryb życia mego w Eton nie był tego rodzaju, by mógł wpłynąć na zmniejszenie podobnych wątpliwości. Bowiem od razu i bez namysłu rzuciłem się tam w wir bezmyślnych szaleństw, które splukały z mej przeszłości wszystko, co nie było czczą pianą, zatarły rychło szczere znamię wrażeń głębszych, pozostawiając z lat ubiegłych tylko pamięć rzeczy marnych i błahych.

Nie mam zamiaru kreślić tu przebiegu mych nikczemnych wyuzdań - wyuzdań, co urały wszelkiemu prawu, a uchodziły baczności władz szkolnych. Trzy lata szaleństw, spędzone bezpożytecznie, zakorzeniły we mnie nałóg występku, lecz przyczyniły się w niezwykłym stopniu do mego rozwoju fizycznego. Pewnego razu, po całym tygodniu bezmyślnych rozrywek, urządziłem u siebie potajemnie orgię, na którą zaprosiłem nieliczne grono znanych ze swego zepsucia towarzyszy. Zebraliśmy się późną nocą, gdyż nasza hulanka miała się przeciągnąć do samego rana.

Wino lało się szczerze, nie zbywało także na innych, może nawet zgubniejszych pokusach i szare brzaski jeły już z wolna rozwidniać niebo, kiedy rozpasanie nasze stanęło u szczytu. Podniecony do szału pijaństwem i kartami, domagałem się właśnie, by wolno mi było wzniesić potwornie niegodziwy toast, gdy z nagła uchyliły się drzwi, a spoza nich rozległ się przenikliwy głos mego służącego. Oznajmił mi, iż jakiś nieznajomy, widocznie w sprawie niecierpiącej zwłoki, oczekuje w przedsionku i chciałby ze mną mówić.

Byłem odurzony winem do tego stopnia, iż to nieoczekiwane najście ubawiło mnie raczej, niż zaniepokoiło. Zataczając się, wybiegłem do przedsionka. Był on mały i niski, nie miał wcale lampy, a jedyne oświetlenie stanowiła w tej chwili niezmiernie nikła smuga brzasku, wpadająca przez półkoliste okno. Kiedym stanął na progu, ujrzałem jakiegoś młodzieńca mniej więcej mego wzrostu, w kaszmirowym, białym ubraniu, które było skrojone wedle najświeższej mody i niczym nie różniło się od mego. To tylko dojrzałem w pomroce; rysów twarzy nie mogłem już rozróżnić. Gdym wszedł, rzucił się ku mnie z gestem zuchwałej niecierpliwości, uchwycił mnie za ramię i wyszeptał mi do ucha słowa: „Williamie Wilsonie!”

W okamgnieniu otrzeźwiałem zupełnie.

W zachowaniu się nieznajomego oraz w drzeniu jego wzniesionego palca, który mignął pod światło przed moimi oczyma, było coś, co napełniło mnie nieokreślonym zdumieniem; lecz nie to wstrząsnęło mną do głębi. Moc jakaś biła z tego uroczystego napomnienia, wyrzeczonego dziwnym, głuchym, syczącym głosem, zaś przede wszystkim zastanowił mnie charakterystyczny ton, a także barwa tych niewielu zwyczajnych, prostych, a jednak wyszeptanych zgłosek, co wywołały z niepamięci tysiące niepokojących wspomnień i targnęły mą duszą na podobieństwo elektrycznego prądu. Zanim zdołałem odzyskać przytomność, nieznajomego już nie było.

Wrażenie tego wypadku oddziaływało silnie na moją rozwichrzoną wyobraźnię, lecz rozwiało się nader szybko. Przez kilka tygodni istotnie rozmyślałem głęboko lub pogrążałem się w oćmie chorobliwych zadum. Nie wmawiałem bynajmniej w siebie, jakobym się mylił co do osoby tego szczególniejszego człowieka, który tak uporczywie wtrącał się w me sprawy lub naprzykrzał mi się swymi przypochlebnymi radami. Lecz kim i czym był ten Wilson? - skąd się wziął? - i

co zamierzał? Na żadne z tych pytań nie znalazłem odpowiedzi - i dowiedziałem się o nim tylko tyle, że przynaglony jakimś wypadkiem w swej rodzinie, opuścił szkołę doktora Bransby'ego po południu tego samego dnia, kiedy ja stamtąd umknąłem. Niedługo wszakże zajmowałem się tą sprawą, gdyż wszystkie me myśli jęły krążyć około zamierzonego wyjazdu do Oxfordu. Udałem się tam tym chętniej, iż nierozważna próżność mych rodziców wyposażała mnie w środki i zasoby, pozwalające mi nie tylko na zaspokajanie mych zachcianek i rozkoszowanie się zbytkiem, do którego zdążyłem już nawyknąć, lecz nawet na współzawodniczenie w wystawności i rozrzutności z najdostojniejszymi spadkobiercami najbogatszych lordów angielskich.

Rozzuchwialiły mnie te ułatwienia na drodze do występku, więc ze zdwojoną namiętnością puściłem wodze memu wrodzonemu usposobieniu i w szalonym zapamiętaniu mych rozwiązłych orgii zdeptałem najprostsze nawet względy wszelkiej godziwości. Byłoby niedorzecznym rozwodzić się tu szczegółowo nad moimi zdrożnościami. Dość nadmienić, iż w marnotrawstwie nie miałem sobie równego i że ode mnie wzięło miano mnóstwo nowych wybrków, przez co przyczyniłem się niemało do pomnożenia długiej listy występków, rozpowszechnionych na uniwersytecie, osławionym w całej Europie ze swojego zepsucia.

Wyda się może niepodobieństwem, gdy powiem, iż wyzułem się wówczas z poczucia honoru do tego stopnia, że pozawiazywałem znajomości śród najlichszych zawodowych graczy i zapoznawszy się z tajnikami ich haniebnej sztuki, posługiwałem się nimi ustawicznie, by zwiększać moje i tak już olbrzymie dochody kosztem mych mniej rozgarniętych kolegów. A jednak tak było istotnie; zaś bezkarność moja polegała głównie, jeśli nie wyłącznie, właśnie na tym pohańbieniu wszelkich uczuć rzetelności i godności. Bo i któryż z mych najbardziej spodzonych towarzyszy nie byłby raczej zaprzeczył najjawniejszemu świadectwu własnych swych zmysłów, niżby śmiał posądzić o rzecz taką wytwornego, swawolnego, wielkodusznego Williama Wilsona - najszlachetniejszego i najszczodroliwszego commonera w całym Oxfordzie - którego szaleństwa (jak powiadali jego pasożyci) były tylko szaleństwami młodości i nieokiełznanej wyobraźni, którego błędy czarowały niezrównaną oryginalnością, którego najbrudniejsze sprawy były tylko przedziwnymi wybrkami dobrego humoru?

Już od dwu lat oddawałem się z powodzeniem tej szulerce, kiedy na uniwersytecie pojawił się młody, niedawno wzbogacony szlachcic, niejaki Glendinning, o którym wieści niosły, iż był bogaty jak Herodes Atticus i że te bogactwa same wpadły mu w ręce. Zauważyłem wkrótce, iż był małej inteligencji, i upatrzyłem sobie w nim przyszłą, nader podatną ofiarę. Wciągałem go często do gry i posługując się podstępem, stosowanym przez wszystkich szulerów, przegrywałem do niego znaczne sumy, by tym silniej uwikłać go w me sidła.

W końcu, gdy plan mój był już gotów, zeszedłem się z nim (postanowiwszy wprzód sobie, że spotkanie to będzie ostatnim i rozstrzygającym) w mieszkaniu naszego kolegi, Mr Prestona, którego zarówno ze mną, jak z nim łączyły węzły ścisłej zażyłości, lecz który - co trzeba przyznać - nie tylko nie był wtajemniczony w me zamiary, lecz nawet ich nie podejrzewał. Chcąc zachować wszystkie pozory, postarałem się zawczasu, aby zebrało się towarzystwo złożone z ośmiu czy dziesięciu osób, i użyłem całej mej przebiegłości, żeby gra w karty wszczęła się niby to przypadkiem i żeby zaproszenie do niej wyszło od upatrzonego przeze mnie uczestnika. Nie chcę przedstawiać wszystkich szczegółów w całej ich ohydzie, dodam tylko, iż nie zaniedbałem żadnego nikczemnego podstępu, używanego tak powszechnie w podobnych okolicznościach, iż dziwie się, jak mogą istnieć jeszcze głupcy, wpadający w podobne sidła.

Zebranie nasze przeciągnęło się do późnej nocy i w końcu udało mi się doprowadzić do tego, iż Glendinning został jedynym mym partnerem, zaś grę stanowiło ulubione przeze mnie écarté. Reszta towarzystwa, zaciekawiona rozmiarami naszej gry, zaprzestała swojej i zebrała się dokoła nas w roli widzów. Dorobkiewicz, którego udało się mi zawczasu spoić, mieszał, rozdawał i grał z takim podnieceniem, iż nie mogłem złożyć jego niepokoju jedynie na karb odurzenia i jałem przypuszczać jeszcze inne przyczyny. W bardzo krótkim czasie zadłużył się u mnie na znaczną sumę, po czym wychyliwszy wielką szklankę portweinu, uczynił właśnie to, co na zimno przewidywałem - mianowicie zażądał, byśmy podwoili nasze, i tak już ogromne stawki. Ustąpiłem jego naleganiom z dobrze udaną niechęcią i dopiero wówczas, gdy moje kilkakrotne odmowy spotkały się z jego strony z cierpką przymówką, przez co ustępstwo moje nabrało zabarwienia urazy. Dalszy przebieg gry pogrążył go zupełnie w zastawione przeze mnie sidła; w niespełną godzinę dług jego wzrósł w czwórmasób. Już przedtem pobladła twarz jego, zaróżowiona od wina, lecz z tą chwilą ku mojemu zdumieniu zbielała straszliwie. Powiadam - ku mojemu zdumieniu, gdyż z moich wywiadów wyniosłem przedświadczenie, iż Glendinning jest niesłychanie bogaty. Wprawdzie straty, jakie poniósł, były ogromne, lecz, moim zdaniem, nie powinny były go martwić, a tym mniej wyprowadzać z równowagi. Pierwszą więc myślą, jaka mi się nasunęła, było przypuszczenie, iż zmorzył go nadmiar wypitego wina; jakoż raczej ze względu na to, co pomyślą sobie moi towarzysze, niż z jakichkolwiek innych, bardziej ludzkich pobudek zamierzałem właśnie usunąć się stanowczo od dalszej gry, kiedy kilka słów, wyrzeczonych obok mnie, tudzież wykrzyk Glendinninga, dowodzący bezbrzeżnej rozpacz, dały mi do poznania, iż dokonałem doszczętniej jego ruiny w okolicznościach, które, czyniąc zeń przedmiot powszechnego współczucia, chroniły go tym samym od krzywd nawet ze strony wroga.

Jak podówczas należało mi się zachować, tego nie umiem powiedzieć. Żałosny stan mej ofiary rzucił na wszystko cień smutku i zakłopotania i wywołał przewlekłą chwilę głębokiego milczenia, podczas której czułem mimowolnie, iż policzki moje cierpną od płonących spojrzeń, pełnych wzdry i wyrzutu, którymi piętnowała mnie uczciwsza część towarzystwa. I wyznam, że zdawało mi się niemal, jakby nieznośne brzemie trwogi spadło mi na chwilę z serca, kiedy ktoś nieoczekiwanie wtargnął pośpiesznie do pokoju. Wielkie, ciężkie podwoje nagle rozwarły się na oścież z taką siłą i łoskotem, iż wszystkie światła w pokoju jak na zaklęcie pogasły. Zanim jednak zgasły, zdążyliśmy zauważyć, iż wchodzący nieznanym był mniej więcej mojego wzrostu i miał na sobie płaszcz, który osłaniał go do niepoznania. Nastąpiła ciemność tak nieprzenikniona, iż odczuwaliśmy tylko jego obecność. Natręt przemówił, nim zdążyliśmy ochłonąć z bezgranicznego osłupienia, wywołanego tym zuchwalstwem.

- Panowie - odezwał się cichym, wyraźnym, niezapomnianym szeptem, co przeniknął mnie do szpiku kości. - Nie zamierzam usprawiedliwiać mojego zachowania, gdyż postępując w ten sposób, spełniam tylko mój obowiązek. Panowie bez wątplenia nie wiecie, kim jest w rzeczywistości człowiek, który wygrał w écarté tej nocy wielką sumę od lorda Glendinninga. Pragnąłbym otworzyć wam oczy i radzę użyć w tym celu doraźnego - i rozstrzygającego sposobu. Zechciejcie zbadać wedle swego uznania podszewkę w zakładce jego lewego rękawa jako też kilka niewielkich paczek, które znajdziecie w nieco za obszernych kieszeniach jego ozdobnego okrycia.

Słowa jego rozlegały się w ciszy tak głębokiej, iż można było dosłyszeć szmer, jaki wydaje szpilka, spadająca na posadzkę! Skończywszy, oddalił się równie szybko, jak przyszedł. Czy można - czy podobna opisać me wrażenia? Mamże

wyznać, iż doznałem wszystkich mąk potępieńca? To pewna, iż niewiele pozostawiono mi czasu do rozmyślań. Mnóstwo ramion obezwładniło mnie, nie pozwalając ruszyć się z miejsca, i w jednej chwili zabłyśły znów światła. Przystąpiono do poszukiwania. Za podszewką mego rękawa znaleziono wszystkie ważniejsze karty, potrzebne do écarté, zaś w kieszeniach mego okrycia kilka talii kart, które pozornie nie różniły się niczym od używanych na naszych zebraniach, lecz w rzeczywistości były - wedle gwary technicznej - arrondées, to znaczy, iż karty wyższe miały lekkie wypukłości po rogach, natomiast karty niższe podobne wypukłości po bokach. Przy tym urządzeniu gracz nieświadomy, zbierając karty, jak to zazwyczaj się robi, od strony dłuższej, zbierze zawsze niechybnie na korzyść swego przeciwnika; natomiast oszust, zbierając od strony krótszej, na pewno nie zbierze na żadną kartę, która by dawała przewagę jego partnerowi.

Wybuch oburzenia mniej byłby mnie zabolął niż wzgardliwe milczenie i szyderczy spokój, z jakim przyjęto to odkrycie.

- Panie Wilsonie - rzekł nasz gospodarz pochylając się, by podnieść nadzwyczaj wytworny płaszcz, podbity drogocennym futrem. - Panie Wilsonie, oto pańska własność. - (Noc była chłodna; wychodząc z mieszkania, zarzuciłem na siebie płaszcz, lecz zdjąłem go u wejścia do pokoju, w którym gra się odbywała). - Sądzę - mówił dalej, patrząc z cierpkim uśmiechem na fałdy trzymanego w rękę okrycia - iż nie potrzebujemy tu szukać dalszych dowodów pańskiej zapobiegliwości. Mamy ich aż nadto. Spodziewam się, iż uzna pan za stosowne opuścić Oxford - w każdym zaś razie opuścić niezwłocznie me mieszkanie.

Acz zbeczeszczony i zmieszany z błotem, byłbym jednak prawdopodobnie odpowiedział na tę obrazę niezwłoczną i czynną obelgą, gdyby całej mej uwagi nie pochłaniała w tej chwili rzecz wprost niepojęta. Płaszcz, w którym przyszedłem, była to wspaniała, futrzana delia; o rzadkości i kosztowności futra wolę nie wspominać. Fantazyjny krój tego płaszcza był mego własnego pomysłu, gdyż w zdrożnych upodobaniach wymagania moje nie znały granic i wytworność w ubraniu posuwałem do niedorzeczności. Otóż, kiedy Mr Preston podawał mi szubę, znaną koło drzwi na posadzce, popadłem w osłupienie, graniczące niemal z przerażeniem, gdyż spostrzegłem, iż mam już swój płaszcz na ramieniu (zapewne wziąłem go sam nie myśląc o tym) i że ten, który mi podawano, stanowi do najdrobniejszych szczegółów dokładną podobiznę mego. Uprzytomniłem sobie, iż tajemniczy nieznajomy, co tak złowieszco zaważył na mych losach, był otulony w - płaszcz i że prócz mnie i niego nikt z obecnych nie przyszedł w płaszczu. Mimo to zachowałem nieco przytomności umysłu; wziąłem okrycie, podane mi przez Prestona, umieściłem je niepostrzeżenie na moim, wybiegłem z pokoju, obrzuciwszy zebranych spojrzeniem zuchwałym i wyzywającym, po czym jeszcze przed wschodem słońca wyjechałem z Oxfordu, podążając na stały łód europejski z duszą mrącą od hańby i grozy.

Uciekałem na próżno. Jak gdyby w tryumfie ścigała mnie moja przeklęta dola, dając mi uczuć, iż tajemnicza jej władza dopiero się zaczęła. Zaledwo postawiłem stopę w Paryżu, a już miałem nowy dowód, iż przemierzły Wilson nie przestał zajmować się moimi sprawami. Lata mijały, lecz nie przynosiły mi ulgi. Co za nikczemnik! Z jaką niewczesną a zarazem upiorną gotowością stanął między mną a mą ambicją w Rzymie! A potem w Wiedniu! - w Berlinie! - w Moskwie! Czyż było miejsce, gdzie by ma gorycz nie miała powodu przeklinać go z głębi duszy? W końcu, zdjęty popłochem, uciekałem przed jego niedocieczoną tyranią jak przed zaraza - i po najdalsze krańce świata uciekałem na próżno. I raz po raz, w tajnych rozmowach z własną mą duszą, zadawałem sobie pytania: „Kto on? - skąd przybywa? - i co zamierza?” Lecz nie mogłem znaleźć odpowiedzi. To znów badałem z drobiazgową dokładnością formy, sposoby i zasadnicze rysy jego beczelnej pieczołowitości. Atoli i w tym kierunku nie dostrzegłem niczego, na czym byłoby można oprzeć przypuszczenia. Było to istotnie zastanawiające, iż wchodził mi w drogę tylko w takich razach, gdy trzeba było udaremnić zamiar) lub zapobiec przedsięwzięciom, które w razie pomyślnego przebiegu musiałyby przynieść w końcu gorzkie rozczarowania. Zaiste, nędzne usprawiedliwienie dla przewagi, przywłaszczonej z taką bezwzględnością! Marne odszkodowanie za przyrodzone prawo do samodzielności, którego mi tak uparcie i tak zelżywie odmawiano!

Nie mniej zastanawiała mnie ta okoliczność, iż mój dręczyciel, który wytrwale i z przedziwną zręcznością nic ustawał w swej manii wiernego naśladowania mnie w ubraniu, już od bardzo długiego czasu, ilekroć zdarzało się mu stawiać opór mej woli, czynił to zawsze w ten sposób, iż nigdy nie mogłem dojrzeć rysów jego twarzy. Bez względu na to, kim był ów Wilson, szczegół ten dowodził komedianstwa lub obłądu. Czyż mógł przypuszczać chociażby przez chwilę, bym w człowieku, który mi się naprzykrzał swymi morałami w Eton, który unicestwił mój honor w Oxfordzie, który pokrzyżował me ambicje w Rzymie, udaremnił mą zemstę w Paryżu, moją namiętną miłość w Neapolu oraz to, co mu podobało się nazwać niesłusznie mą chciwością, w Egipcie - żeby w tym arcywrogu i złym duchu miał nie poznać Williama Wilsona z mych lat dziecińczych, imiennika, towarzysza, współzawodnika - groźnego i zniechęconego współzawodnika ze szkoły doktora Bransby'ego? To niemożliwe! - Lecz wolę przejść do ostatniej, brzemiennej w wypadki sceny mego dramatu.

Dotychczas poddawałem się ulegle bezwzględnemu jego władaniu. Uczucie głębokiej czci, z jaką zwykłem myśleć o wzniosłym charakterze, majestatycznej mądrości, jawnej wszechmocy i wszechobecności Wilsona, w połączeniu z jakowąś obawą, wywołaną niektórymi rysami jego natury oraz moimi przypuszczeniami, rozbudziły we mnie przeświadczenie o mej zupełnej bezradności i niemocy i zniewalały do kornej, acz cierpkiej i niechętej uległości względem jego przemożnej woli. Atoli przed niedawnym czasem, kiedy największą mą rozkoszą stało się wino, pod wpływem jego roznamiętniającego oddziaływania na me wrodzone skłonności zacząłem coraz niecierpliwiej powstawać przeciwko temu nadzorowi. Jałem szemrać - ociągać się - brać na kiel. I było to tylko złudzeniem, kiedy mi się zdawało, iż w miarę jak krzepła moc moja, słabły siły mego dręczyciela? Być może. To pewna, iż gorzałem cały ożywczy nadzieją i w najtajemniejszych mych myślach powziąłem w końcu zawzięte i rozpacźliwe postanowienie, iż nie będę dłużej znosił tej niewoli. Było to w Rzymie 18. r. podczas karnawału. Znajdowałem się na balu maskowym w pałacu neapolitańczyka, księcia Di Broglio. Przy stole piłem więcej niż zazwyczaj i czułem się nieznośnie rozdrażniony dusznym powietrzem przepelnionych salonów. Przy tym niełatwo przyszło mi torować sobie drogę wśród tłumu, co także przyczyniało się do mego wzburzenia; gdyż z niepokojem szukałem (wolę przemilczeć, dla jakich niegodziwych powodów) młodej, pięknej, wesołej żony starego i niedoleźniałego Di Broglio. Z nieogledną ufnością zwierzyła się mi poprzednio, w jakim ukazuje się kostiumie. Toteż ujrawszy ją z daleka, starałem się co prędzej przedostać ku niej. W tej chwili uczułem, iż czyjaś ręka spoczęła lekko na mym ramieniu, i głuchy, przeklęty, niezapomniany szepet zaszemrał mi w ucho.

W porywie złości odwróciłem się znieacka ku natrętowi i uchwyciłem go mocno za kołnierz. Jak przewidywałem, miał na sobie kostium niczym nie różniący się od mego: płaszcz hiszpański z błękitnego aksamitu, spod którego wycierał purpurowy pas z uwieszonym przy boku rapierem. Całą twarz jego osłaniała czarna, jedwabna maska.

- Łotrze! - zawołałem głosem, zdławionym od gniewu, a każda wymówiona zgłoska podniecała jeszcze mą wściekłość. - Łotrze! Oszuście! Przeklęty nیکczemniku! Nie będziesz - nie będziesz nękał mnie do samej śmierci! Chodź ze mną lub przebiję cię na miejscu - To mówiąc, torowałem sobie drogę z sali balowej do przyległego, małego przedpokoju i wlokłem go przemocą za sobą.

Gdyśmy weszli, odepchnąłem go z wściekłością od siebie. Zatoczył się pod ścianę. Klnąc, zatrzasnąłem drzwi i wezwałem go, by dobył oręża. Wahał się przez chwilę, po czym z lekkim westchnieniem wyjął z pochwy rapier i przybrał postawę obronną.

Zaiste, niedługo trwała walka. Rozpętał się we mnie wszystkim szal dzikości i uczułem, że w me ramię wstępuje moc i dzielność całego tłumu. W okamgnieniu wziąłem nad nim przewagę i przyparłem go do ściany, kiedy zaś był już zdany na moją łaskę, ze zwierzęcą zaciekłością pchnąłem go kilkakrotnie rapierem w piersi.

W tej chwili ktoś poruszył kłamką. Podbiegłem do drzwi, by nie wpuścić natręta, po czym niezwłocznie odwróciłem się ku memu konającemu przeciwnikowi. Lecz jakież język ludzki zdoła wysłowić me osłupienie i grozę, gdy m ujrział, co się stało! Oto w krótkiej chwili, kiedy miałem zwrócone ku drzwiom oczy, zdążyła się dokonać widoczna zmiana w urządzeniu drugiego końca przedpokoju. Wielkie zwierciadło - jak mi w przerażeniu na razie się zdawało - pojawiło się w miejscu, gdzie go poprzednio nie było; kiedym zaś struchlały postąpił naprzód, własny mój obraz, lecz z twarzą pobladłą i ubroczoną we krwi, jał iść ku mnie chwiejnym, niepewnym krokiem.

Powtarzam: tak mi się zdawało, ale tak nie było. To mój przeciwnik - to Wilson stał przede mną w męce konania. Płaszcz jego i maska leżały na podłodze, tam gdzie je rzucił. Nie było ani jednej nitki w jego odzieniu - ani jednej linii w niezwykłych i charakterystycznych rysach jego twarzy, która by w czymkolwiek różniła się ode mnie.

To był Wilson; lecz, nie mówił już szeptem. Zdawało się mi niemal, że to ja sam mówię, gdy rzekł do mnie:

- Jestem pokonany - zwyciężyłeś! Lecz odtąd i ty nie żyjesz: umarłeś dla świata, dla nieba, dla nadziei. Istniałeś we mnie - i patrz oto na zgon mój, spójrz na mnie jako na jaźni swej odbicie, iżbyś pojął, jak na zawsze zabiłeś siebie.

Człowiek interesu

Metoda jest duszą interesu.

(Starodawne powiedzenie)

Jestem człowiekiem interesu. Jestem człowiekiem metodycznym. Metoda przede wszystkim. Nikim tak z całej duszy nie pogardzam, jak narwanymi głupcami, którzy metodę głoszą, ale jej nie rozumieją; trzymają się ściśle jej litery, sprzeniewierzają się jej duchowi. Kpy te czynią mnóstwo niedorzeczności w sposób - jak powiadają - prawdziwy. Otóż jest to najzupełniejszy paradoks. Prawdziwa metoda pozostaje w związku tylko z rzeczami pospolitymi i namacalnymi i nie może być stosowana do outré. Czyż podobna skojarzyć jakąś określoną ideę z takimi wyrażeniami, jak „metodyczny Jasiek z Waszecia” lub „systematyczny Wicek od Wiehcia”?

Poglądy moje na tę sprawę nie byłyby takie jasne, gdyby nie szczęśliwy wypadek, który przydarzył mi się, kiedy jeszcze byłem berbeciem. Pocziwa, stara niańka irlandzka (o której nie zapomnę w mym testamentie) pewnego dnia, gdy hałasowała więcej, niż było wolno, porwała mnie za pięty, okręciła mną dwa czy trzy razy w powietrzu, zakłęła, żeby mi „oczy wykapały”, i grzmotnęła mą głową o nogę od łóżka. Zdarzenie to rozstrzygnęło o moim losie i zapewniło mi powodzenie. Od razu guz wyskoczył mi na czole i rozwinął się w znakomity narząd porządku, o czym każdy może przekonać się latem. Stąd pochodzi to moje zamiłowanie do systemu i regularności, które uczyniło ze mnie niezrównanego człowieka interesu.

Do niczego na ziemi nie czuję takiej nienawiści, jak do geniuszu. Ci wasi geniusze to arcyosły - a im większy geniusz, tym większy z niego osioł - i od tej reguły nie ma żadnego wyjątku. W szczególności niepodobna jest zrobić z geniusza człowieka interesu, tak samo jak nic można wyluskać pieniędzy z Żyda lub gałek muszkatolowych z szyszki. Ci durnie chodzą zawsze samopas, zajęci jakimiś urojonymi dziełami i śmiesznymi mrzonkami, w najzupełniejszej niezgodzie z „porządkiem jak się patrzy” i nie mają żadnego interesu, który by w ogóle można nazwać interesem. Toteż nietrudno poznać ich charaktery z rodzaju ich zajęć. Jeżeli zdarzy się wam spotkać człowieka, który założy sklep bławatny; czy też zajmie się handlem bawełną, tytoniem lub innym narwanym przedsięwzięciem; czy będzie sprzedawał towary łokciowe, warzył mydło lub zarabiał na życie w jakiś inny, podobny sposób; czy wreszcie będzie niby to prawnikiem, kowalem lub lekarzem - słowem, gdy będzie zbaczał z utartej drogi - to wiedźcie od razu, że macie do czynienia z geniuszem i zarazem, wedle reguły trzech, z osłem.

Jakoż nie jestem wcale geniuszem, lecz rzetelnym człowiekiem interesu. Mój dziennik i moja księga główna mogą tego dowieść każdej chwili. Muszę sobie przyznać, że są dobrze prowadzone, zaś w ogólnym mym przyzwyczajeniu do dokładności i punktualności nawet zegar mi dorównać nie zdoła. Ponadto zajęcia moje pozostawały zawsze w zgodzie z powszednimi nawykami mych bliźnich. Nic wprawdzie nie zawdzięczam pod tym względem moim nader tumanowatym rodzicom, którzy bez wątplenia byłiby uczynili ze mnie jakiegoś niedowarzonego geniusza, gdyby mój anioł opiekuńczy nie był mi przyszedł w porę z pomocą. W biografii prawda jest wszystkim, zaś w jeszcze wyższym stopniu w autobiografii - a jednak obawiam się, iż mogę spotkać się z niedowierzaniem, gdy wyznam solennie, iż mój biedny ojciec umieścił mnie jako piętnastoletniego chłopaka w pewnym kantorze, o którym wyraził się, że jest „poważną firmą żelazną, mającą bardzo rozległe stosunki handlowe”. Co za głupstwo! Następstwem tego szaleństwa było to, iż po dwu czy trzech dniach musiano mnie odesłać na łono mej zakutej rodziny, rozgorączkowanego do nieprzytomności, z niesłychanie przykrym i groźnym bólem głowy, zwłaszcza w okolicy mojego narządu porządku. Zdawało się, że już po mnie - przez sześć tygodni ważyłem się między życiem a śmiercią - lekarze mnie odstąpili. Wycierpiałem wprawdzie wiele, ale się nie dałem. Nie zostałem dzięki temu „poważnym hurtownikiem żelaznym, posiadającym rozległe stosunki handlowe” i byłem ogromnie wdzięczny zarówno narośli, która stała się przyczyną mojego ocalenia, jak dobroczynej kobiecie, która mi ją wywołała.

Chłopcy uciekają z rodzicielskiego domu przeważnie w dziesiątym lub dwunastym roku życia; ja natomiast czekałem aż do szesnastego. I sam nie wiem, czy nawet wówczas byłbym poszedł w świat, gdybym przypadkiem nie był usłyszał, że moja stara matka chciałaby mi założyć sklepik kolonialny. Sklepik kolonialny! - no, proszę, proszę! Postanowiłem tedy drapnąć z domu i obejrzeć się za jakimś przyzwoitym zajęciem, które by mi pozwoliło na przyszłość nie ulegać zachciankom tej wartogłowej staruszki i nie być narażonym na niebezpieczeństwo zostania kiedyś geniuszem. W tych zamiarach poszczyściło mi się od razu i w osiemnastym roku życia robiłem już nie byle jakie i nader korzystne interesy, pełniąc obowiązki „wędrowniej reklamy pewnego przedsiębiorstwa konfekcyjnego”.

Tylko dzięki ścisłemu przestrzeganiu systemu, który stanowi zasadniczy rys mego umysłu, udało się mi sprostać uciążliwym obowiązkom tego zawodu. Skrupulatna metoda znamionowała zarówno me poczynania, jak obliczenia. O ile chodziło o mnie, to metoda - a nie pieniądze - tworzyła człowieka lub przynajmniej to wszystko, czego nie tworzył krawiec, któremu służyłem. O dziewiątej z rana zachodziłem do niego po odzież, którą dnia tego wdziać należało. O dziesiątej znajdowałem się już na jakiejś fashionable promenadzie lub innym miejscu publicznych rozrywek. Niezrównana dokładność, z jaką obracałem w różne strony swą urodziwą postać, by pokazać kolejno wszystkie szczegóły włożonego ubrania, wywoływała podziw wszystkich znawców tego zawodu. Nie zdarzyło się nigdy, żebym około południa nie przyprowadził klienta do sklepu swych chlebodawców, Messieurs Cuta i Comeagaina. Powiadam to z dumą, lecz ze łzami w oczach, gdyż firma ta dopuściła się względem mnie najczarniejszej niewdzięczności. Skromnego rachunczku, o który posprzeczałyśmy się i w końcu rozeszli, nikt, istotnie obeznany z interesami tego rodzaju, nie będzie uważał za wygórowany, Wszelako tę sprawę z uczuciem dumnego zadowolenia pozostawiam orzeczeniu mych czytelników. Rachunek mój opiewał następująco:

Do
Messieurs Cut i Comeagain, firmy konfekcyjnej,
od Petera Proffita,
przedsiębiorcy reklamy wędrowniej

Dol.
10 lipca.
Udałem się, jak zwykle, na promenadę, i sprowadziłem klienta
0,25
11 lipca.
dtto
0,25
12 lipca.
Za kłamstwo drugiego stopnia; wypłówały czarny surdut sprzedałem jako oliwkowy
0,25
13 lipca.
Za kłamstwo pierwszego stopnia, wyborowej jakości i pokroju; poleciłem lichą satynę jako przednie sukno
0,75
20 lipca.
Na zakupno nowego półkoszulka papierowego, aby szara baja lepiej na mnie wyglądała
0,02
15 sierp.
Za włożenie podwójnie watowanego płaszcza przy 76° ciepła w cieniu
0,25
16 sierp.
Za trzygodzinne wystawanie na jednej nodze, by lepiej widziano modne pantaloney w paski; po 12? centa od nogi i
od godziny.
0,37?
17 sierp.
Udałem się, jak zwykle, na promenadę i sprowadziłem dobrego klienta (tłuścioch).
0,50
18 sierp.
dtto (średniego wzrostu)
0,25
19 sierp.
dtto (niskiego wzrostu i kiepsko płaci)
0,06

Dol. 2,95?

Szczegółem, który przede wszystkim stał się przedmiotem zatargu, była nader umiarkowana cena dwu centów za półkoszulek. Zaręczam słowem honoru, że ten półkoszulek mógł być tyle wart. Równie czystego i powabnego nie zdarzyło się mi przedtem widzieć i mam wszelkie powody do mniemania, iż dzięki niemu udało się sprzedać aż trzy baje. Wszelako starszy spółnik firmy godził się tylko na jednego centa i podejmował się wykroić cztery takie półkoszulki z jednego arkusza bibułki. Nie potrzebuję chyba nadmieniać, iż nie odstąpiłem ani na krok od zasady.

Interes jest interesem i powinien być załatwiony, jak na interes przystoi. Nie było ani krzty systemu w tym oszukiwaniu mnie o jednego centa - zwyczajna grabież pięćdziesięciu procent - i na domiar bez żadnej metody. Wymówiłem natychmiast służbę u Messieurs Cut i Comeagain i założyłem „przedsiębiorstwo zapaskudzania widoków” - jedno z najzyskowniejszych, najszanowniejszych i najniezależniejszych przedsiębiorstw.

Moja bezwzględna rzetelność, oszczędność oraz surowe przestrzeganie zasad interesu wystąpiły znów w całej pełni. Przedsiębiorstwo moje zakwitło i wnet nauczono się mnie cenić na „gieldzie”. To pewne, iż nie babrałem się w byle jakich drobnostkach, lecz przestrzegałem dobrej, starej, trzeźwej rutyny interesu - z którym bez wątpienia nie byłbym się rozstał do dzisiejszego dnia, gdyby nie mały wypadek, który zdarzył mi się przy pewnej, dość zwykłej czynności zawodowej. Gdy jakiś stary sknera, syn marnotrawny lub na niepewnych nogach stojąca spółka zapragnie zbudować sobie pałac, to najprostszą rzeczą w świecie jest tę budowę im utrudnić, jak to wiadomo każdemu inteligentnemu człowiekowi. Na tych to utrudnieniach polega właśnie „przedsiębiorstwo zapaskudzania widoków”. Skoro projekt budowy jest już w toku, my, przedsiębiorcy, staramy się zapewnić sobie jakąś cząstkę parceli, na której dom ten ma stać, albo jakiś piękny,

niewielki plac, przyległy czy tuż przed samym frontem położony. Kiedy to nastąpi, czekamy, aż mury pałacu w połowie już staną, po czym godzimy jakiegoś modernistycznego architekta, aby postawił naprzeciw jakąś karykaturalną lepiankę; czy to holenderską pagodę, czy chlew, czy wreszcie inną, fantazyjną budę w stylu eskimoskim, kickapoo'oskim lub hotentockim. Oczywiście nie możemy się zgodzić na zburzenie tych budynków, o ile nie otrzymamy jakichś pięciuset procent tytułem odszkodowania za plac budowlany i za ową kletkę. Bo czyż możemy? Stawiam pytanie. Zwracam się z nim do ludzi interesu. Po prostu byłoby niedorzecznością przypuszczać, że możemy. A jednak natknąłem się na taką łajdacką szajkę, która zażądała, abym to zrobił - abym to właśnie zrobił. Rozumie się, że zbyłem to niedorzeczne żądanie milczeniem, ale uważałem za swój obowiązek tejże samej nocy usmarować sadzą cały ich pałac. Za co ci bezmyślni niegodziwcy wsadzili mnie do kozy. Kiedy zaś mnie wypuszczono, dżentelmeni od zapaskudzania widoków uważali za właściwe zerwać ze mną wszystkie stosunki.

„Zaczepki i zniewagi” były interesem, którego musiałem jąć się z kolei dla chleba, lecz który niezbyt odpowiadał delikatnemu memu organizmowi. Bądź co bądź, zabrałem się do dzieła, pełen otuchy, i wychodziłem na swoje, podobnie jak poprzednio, dzięki surowym nawykom metodycznej ścisłości, którą wbiła mi w głowę ta przezacna, stara niania - i zaiste, byłbym najpodlejszym z ludzi, gdybym nie pamiętał o niej w swym testamencie. Przestrzegając - jak już wspomniałem - najdokładniejszego systemu w swych poczynaniach i pilnując prawidłowego prowadzenia ksiąg, zdołałem przezwyciężyć wiele poważnych trudności i ostatecznie ustalić się przyzwoicie w tym zawodzie. Trzeba przyznać, iż niewielu ludzi zdołałoby się tak wywiązać z tego bajecznego interesiku jak ja. Przytoczę tutaj stroniczkę albo i więcej z mojego dziennika, abym nie potrzebował być trąbą własnej chwały - co jest pogardy godne i czego żaden szlachetniej myślący człowiek się nie dopuszcza. Rozumie się, że dziennik jest wyższy nad wszelkie kłamstwa.

1 stycznia. Uroczystość Nowego Roku. Spotkałem na ulicy Snapa podchmielonego. Nb. - ten dobry. Wnet potem spotkałem Gruffa urzędnego jak bela. Nb. - także odpowiedni. Zaciągnąłem obu tych dżentelmenów do mej księgi głównej i otwarłem dla nich bieżący rachunek.

2 stycznia. Zastałem Snapa na giełdzie, podszedłem do niego i nadepnałem mu na palce. Zacisnął pięść i lunał mnie tak, że upadłem na ziemię. Doskonale! - podniosłem się znowu. Niejakie trudności z mym adwokatem, Bagiem. Chciałbym dostać tysiąc dolarów odszkodowania, lecz on powiada, że za takie zwykłe pobicie nie możemy żądać więcej niż pięćset. Nb. trzeba pozbyć się Baga - ten człowiek nie ma ani odrobiny systemu.

3 stycznia. Wpadłem do teatru, by poszukać Gruffa. Siedział w bocznej łoży drugiego rzędu między dwiema damami, jedną tłustą a drugą chudą. Gapiłem się na nich tak uporczywie przez lornetkę, iż w końcu gruba dama zarumieniła się i szepnęła coś do Gruffa. Wdepnąłem potem do łoży i podsunąłem nos pod jego rękę. Nie chciał za niego pociągnąć - nie szło. Sapałem i próbowałem znowu - nie szło. Usiadłem tedy i jałem mrugać na chudą damę. Ku wielkiemu mojemu zadowoleniu porwał mnie za kark i przerzucił przez balustradę na parter. Zwichnięcie kręgow szyjnych i prawa noga przetrącona. Powróciłem do domu rozradowany, wypilem butelkę szampana i zapisałem na rachunek tego młodzieńca pięć tysięcy dolarów. Bag powiada, że to pójdzie.

15 lutego. Ugoda polubowna z Mr Snapem. Dochód wniesiony do dziennika - pięćdziesiąt centów - jak uwidocznił.

16 lutego. Wystrychnął mnie na dudka ten łajdak, Gruff, który zbył mnie pięciu dolarami. Koszty sądowe: cztery dolary dwadzieścia pięć centów. Czysty zysk - patrz dziennik - siedemdziesiąt pięć centów.

Z tego widać, iż czysty dochód w bardzo krótkim czasie wyniósł aż jednego dolara i dwadzieścia pięć centów, i to tylko za Snapa i Gruffa; a zapewniam jak najuroczyściej, iż te wypisy zaczerpnąłem na chybił-trafił z mojego dziennika.

Stare to, ale dobre powiedzenie, iż pieniądze nie są warte zdrowia. Przekonałem się, iż wzruszenia, nieodłączne od tego zawodu, zbyt dają się we znaki memu wrażliwemu ustrojowi cielesnemu. Spostrzegłem, że zupełnie wychodzę z fasonu, i po prostu nie wiedziałem, co począć. Kiedy jednak przyjaciele, spotykani na ulicy, poczęli nie wierzyć własnym oczom, czy jestem istotnie Peterem Proffitem, przyszło mi na myśl, iż nie pozostaje nic innego, jak zmienić sposób zarobkowania. Jałem się tedy „obryzgiwania błotem” i uprawiałem ten zawód przez kilka lat.

Najbardziej ujemną jego stroną jest to, że posiada zbyt wielu lubowników i natłok do niego jest ogromny. Każdy nieuk, który przekona się, iż nie ma dość mózgu, by poradzić sobie z „wędrowną reklamą” albo „zapaskudzaniem widoków”, lub „zaczepianiem i obrażaniem przechodniów”, myśli, iż zdoła „obrzucić błotem”. Jednakże jest to najzupełniej błędny pogląd, jakoby babranie się w błocie nie wymagało wysiłku umysłowego. W szczególności nie da się niczego osiągnąć w tym zawodzie bez metody. Zajmowałem się tylko interesem detalicznym, a przecież dzięki memu dawnemu nawykowi systematyczności wszystko szło gładko jak po maśle. Przede wszystkim wybierałem skrzyżowania ulic z wielką rozważą i nigdy nic ruszyłem miotłą w innej części miasta. Dokładałem przy tym starań, żeby zawsze była w pobliżu niewielka, ładna kałuża, z której mógłbym korzystać w każdej chwili. Dzięki temu dałem się poznać jako człowiek, na którym można polegać, a proszę mi wierzyć, że to niemal rozstrzyga o powodzeniu w każdym interesie. Każdy wtykał mi miedziaka, by minąć szczęśliwie skrzyżowanie, gdzie stałem, i nie mieć obryzganym błotem pantalonów. A ponieważ przewodnie zasady mego interesu były dostatecznie znane, przeto nie zdarzyło mi się nigdy mieć do czynienia z oszustwem. Nie byłbym go ścierpiał. Nie oszukując nigdy nikogo, nie pozwalałem również nikomu robić z siebie igraszki. Sprzeniewierzeniom bankowym jużcić zapobiec nie mogłem. Niewypłacalność zagrażała mi ruiną. Cóż, kiedy banki nie są jednostkami, lecz zrzeszeniami, a zrzeszenia, jak to powszechnie wiadomo, nie mają ciała, które można kopnąć, ani dusz, które można przekląć.

Robiłem pieniądze na tym interesie, gdy w nieszczęsną godzinę zachciało mi się zająć „obryzgiwaniem obuwiem przez psa”, co jest zajęciem poniekąd podobnym, ale nierównie mniej poważnym. Rozumie się, iż miejsce mego postoju było znakomicie wybrane, gdyż znajdowało się w samym środku miasta, a przy tym miałem doskonałe szczotki i czernidło do obuwiem. Mój piesek był wypasiony i potrafił wywąchać wszystko. Pracował w tym zawodzie od dawna i muszę przyznać, że znał się na nim. Sposób naszego postępowania był następujący: Pompi, wytarząwszy się należycie w błocie, siedział pod drzwiami sklepu i czyhał, aż nadejdzie jaki dandy w świecącym obuwiem. Wówczas wybiegał naprzeciw niego i muskał swą sierścią jego lakierki. Dandy poczynął kłąć, na czym świat stoi, i rozglądał się za kimś, kto by mu oczyścił obuwiem. Oczywiście byłem do usług z czernidłem i szczotkami. W niespełna minutę zarabiał się sześć pensów. Jakiś czas szło jako tako. Nie ja grzeszyłem chciwością, ale mój pies. Odstępowałem mu trzecią część dochodu, ale on domagał się połowy. Nie mogłem na to się zgodzić - toteż posprzeczaliśmy się i rozeszli.

Następnie jałem „chodzić z katarynką” i muszę przyznać, że powodziło mi się doskonale. Jest to interes łatwy, prowadzący prosto do celu i nie wymagający szczególniejszych uzdolnień.. Dość jest postarać się o katarynkę, co wygrywa

jedną tylko melodię, i odpowiednio ją przygotować, mianowicie otworzyć mechanizm i gruchnąć w niego trzy lub cztery razy młotkiem. Po prostu nie wyobrażacie sobie, jakiego przez to nabiera tonu, przydatnego do interesu. Gdy to się robi. trzeba zarzucić katarynkę na plecy i wałęsać się po ulicach dopóty, aż ujrzy się dom, przed którym bruk ma pościółkę z garbarskiej kory i którego kołatkę owinięto kozią skórą. Wówczas staje się i zaczyna się rzępolić, ale trzeba wyglądać tak, jakby miało się stać i rzępolić do sądnego dnia. Natychmiast otwiera się okno, ktoś rzuca sześć pensów i zaczyna wołać: „Cicho być! Wynoś się!” itd. Już cię wiem, iż bywają kataryniarze, którzy są gotowi „wynieść się” za tę sumę, ale ja, wiedząc, jak wielkie poczyniłem wkłady, nie pozwalałem się odprawić poniżej szylinga.

Zajęcie to było wcale zyskowne. Praca była trudna, gdyż nie miałem małpy - a przy tym ulice amerykańskie są takie brudne, demokratyczny motłoch taki natrętny, a ulicznicy tacy dokuczliwi!

Przez kilka miesięcy byłem bez zajęcia, lecz w końcu dzięki swej wielkiej rzutkości zdołałem sobie wywalczyć stanowisko na „fałszywej poczcie”. Obowiązki w tym interesie są proste, lecz wcale korzystne. Na przykład: już wczesnym rankiem musiałem przygotować sobie paczkę fałszywych listów, Wewnątrz każdego z nich trzeba było nagryzmolić kilka wierszy do kogoś, kto wydawał się mi dostatecznie zagadkowy, i podpisać u dołu jakiego Toma Dobsona lub Bobby Tompkinsa. Zalepiwszy i zapieczętowawszy listy oraz nakleiszy na nich fałszywe znaczki z Nowego Orleanu, Bengalu, Botany Bay i innych, bardzo odległych miejscowości, odbywałem moją codzienną wędrowną podróż niby to z wielkim pośpiechem. Doręczałem zawsze te listy tylko w najzamożniejszych domach i otrzymywałem opłatę pocztową. Nikt nie wahał się zapłacić za list, zwłaszcza tak zagadkowy, gdyż ludzie są bardzo głupi - a ja zawsze zdążyłem zniknąć za najbliższym narożnikiem, zanim go otworzono. Najgorsze w tym zawodzie było to, iż musiałem chodzić dużo, szybko i często zmieniać kierunek. Ponadto doznawałem niemiłych wyrzutów sumienia. To tak przykro słuchać, gdy ktoś bezczęści niewinnego człowieka - a wściekłość, z jaką przeklinano w całym mieście Toma Dobsona i Bobby Tompkinsa, była po prostu przerażająca. Z niesmakiem umyłem ręce od całej tej sprawy.

Mym ósmym i ostatnim interesem było „przedsiębiorstwo hodowli kotów”. Przekonałem się, że jest to najprzyjemniejsze i najzyskowniejsze zajęcie, nie połączone przy tym z żadnymi przykrościami. W kraju naszym - jak powszechnie wiadomo - nastąpiła istna plaga kotów i aby jej zapobiec, okazało się niedawno konieczne wniesienie do władz prawodawczych prośby, zaopatrzonej podpisami wielu najszanowniejszych osób. Prośbę tę rozpatrywano na ostatnim, wiekopomnym posiedzeniu. Zgromadzenie, znakomicie obeznane z tą sprawą, powziawszy mnóstwo innych, mądrych i zbawiennych uchwał, uwięziło je wszystkim edyktem kocim. Pierwotnie ustawa ta wyznaczała nagrodę za łby kocie (po cztery pensy od sztuki) - ale Senatowi udało się poprawić najważniejszy jej paragraf i słowo „łby” zamienić na „ogony”. Ta poprawka była tak słuszna, iż Izba przyjęła ją jednogłośnie.

Skoro tylko gubernator podpisał rozporządzenie, włożyłem cały swój majątek w zakupno kiż i miż. Zrazu mogłem je karmić tylko myszami (ile że są tanie), lecz kiedy jeły w myśl nakazu biblijnego mnożyć się wprost zadziwiająco, uważałem, że będzie najlepiej, gdy okażą się wspaniałomyślni, i jałem dogadzać im ostrygami i żółwiami. Ich ogony po cenie wyznaczonej przez ustawę przynoszą mi ładne dochody. Dokonałem bowiem odkrycia, iż przy zastosowaniu olejku z Makasaru można otrzymywać trzy ogonki na rok. Cieszy mnie również, iż te zwierzaki bardzo rychło przyzwyczajają się do operacji i wolą obywać się bez swej przywieszki, niż włóczyć ją za sobą. Stałem tedy na własnych nogach i dobijam właśnie targu o wilę nad Hudsonem.

Człowiek tłumy

C'est grand malheur, de ne pouvoir ?tre seul l.

(La Bruy?re)

Słusznie powiedziano o pewnej książce niemieckiej: es lässt sich nicht lesen - nie daje się czytać. Bywają tajemnice, które nie dają się wypowiedzieć. Ludzie konają nocami w swych łóżach, ściskając dłonie upiornych spowiedników i patrząc im żałośnie w oczy - konają z rozpaczą w sercu i zdławionym gardłem z powodu tajemnic, które nie znoszą, aby je wyjawiano. Zdarza się, niestety, że sumienie ludzkie dźwiga tak ciężkie brzemie okropności, iż może pozbyć się go tylko w grobie. Stąd to istota wszelkiej zbrodni pozostaje w ukryciu.

Niedawno temu, późnym wieczorem jesiennym, siedziałem u wielkiego, sklepionego okna kawiarni D. w Londynie. Chorowałem przedtem przez kilka miesięcy, lecz już powracałem do zdrowia i z przybytkiem sił poczułem się w owym błogim usposobieniu, co stanowi wręcz przeciwieństwo do ennui i jest najbystrzejszą przenikliwością - kiedy rozprasza się obłok, co tłumia jasność widzenia duchowego, i zelektryzowany intelekt ponad swój stan zwyczajny w nie mniejszej wydzwiga się mierze niż żywe, lecz przejrzyste rozumowanie Leibniza wznosi się ponad bałamutną i nikłą retorykę Gorgiasa. Już oddychanie sprawiało mi przyjemność i byłem zdolny czerpać rzeczywiste rozkosze nawet z istotnych źródeł bólu. Zwracałem spokojną, lecz badawczą uwagę na wszystko. Z cygarem w ustach i jakimś dziennikiem na kolanach spędziłem znaczną część popołudnia bądź to zagłębiając się w ogłoszeniach, bądź też przypatrując się mieszanemu towarzystwu, co zapełniało kawiarnię, lub wreszcie wyglądając przez zamglone szyby na ulicę.

Stanowi ona jeden z głównych szlaków miasta i roila się od ludzi przez cały dzień. Lecz z nastaniem ciemności natłok wnet się powiększył, zaś kiedy światła zapalono, dwa gęste i nieprzerwane nurty ludzkie krążyły przede drzwiami. O tej porze wieczora nie bywałem nigdy w podobnym usposobieniu, toteż zgiełkliwe morze głów ludzkich napęliło mnie nowymi i rozkosznymi wrażeniami. Już od dawna przestałem zwracać uwagę na to, co działo się w kawiarni, i skupiłem całą swą bacność na widownię uliczną.

Spostrzeżenia moje przybierały zrazu obrót abstrakcyjny i uogólniający. Spostrzegałem przechodniów tłumami i zdawałem sobie sprawę z ich wzajemnych, zbiorowych stosunków. Ale wnet przeszedłem do szczegółów i z drobiazgowym rozpatrywałem zajęciem nieprzebraną różnorodność postaci, strojów, zachowania się, wyglądu, rysów i wyrazów twarzy.

Przeważająca większość wyglądała na ludzi zadowolonych i oddanych swym zajęciom, co myśleli tylko o tym, by utorować sobie drogę śród tłoku. Brwi mieli zmarszczone i spojżenia żywe; gdy ich potrącił kto z sąsiednich przechodniów, nie okazywali zniecierpliwienia, lecz poprawiali ubranie i spieszyli dalej. Inni, dość jeszcze liczni, mieli niespokojne ruchy i podniecone twarze; gestykulowali i mówili do siebie, jakby w poczuciu samotności, zacerpniętym z przeświadczenia o gęstwie okólnego tłumu. Napotkawszy przeszkodę, przestawali nagle mamrotać, lecz podwajali swe gesty i z roztargnionym, wymuszonym uśmiechem czekali, by przechodzień ustąpił im z drogi. Potrąceni wywzajemniali się ukłonami i nie posiadali się z zakłopotania. Poza tym, o czym już wspominałem, te dwie liczne gromady ludzkie nie

zaznaczały się niczym osobliwszym. Odzież ich była tego rodzaju, który daje się określić dokładnie słowem: przyzwoity. Byli to niewątpliwie: szlachta, kupcy, adwokaci, przemysłowcy, spekulanci giełdowi - eupatrydzi i zwykła gawiedź - próżniacy i ludzie czynni, zajęci własnymi sprawami, prowadzący swe przedsiębiorstwa na własną odpowiedzialność. Ci niezbyt pobudzili moją uwagę.

Zawodowych subiektów poznawało się od razu; rozróżniłem wśród nich dwie charakterystyczne odmiany. Pierwszą stanowili pośledniejsi subiekci z podrzędnych przedsiębiorstw - młodzieńcy w obcisłej odzieży i lakierowanym obuwiu, o wypomadowanych włosach i pretensjonalnych minach. Pomijając pewną układność ruchów, którą dla braku innego określenia nazwałbym gracją sklepową, zachowanie się ich wydawało mi się dokładną podobizną tego, co przed dwunastu lub osiemnastu miesiącami uchodziło za ostatni wyraz bon ton. Stroili się w znoszoną już wytworność arystokracji; jest to, jak sądzę, najlepsze określenie tej klasy.

Co do drugiej odmiany starszych subiektów z poważnych firm handlowych, czyli co do tak zwanych statecznych starszych panów, niepodobna było się pomylić. Wyróżniali się wygodnym krojem surdutów i pantalonów czarnych lub brunatnych, białymi kamizelkami i krawatami, przestronnym, dobrze odrobionym obuwiem oraz grubymi pończochami lub kamaszami. Wszyscy byli lekko łysawi i u każdego prawie ucho, za którym zwykle tkwić pióro, nawykowo odstawało na końcu. Zauważyłem, że zawsze wkładali i zdejmowali kapelusze obiema rękami i posługiwali się zegarkami na krótkich, złotych łańcuszkach staroświeckiej, porządnej roboty. Dbali o pozory szanowności - jeśli w ogóle można przyswoić sobie tak zaszczytne pozory.

Zdarzało się także wielu osobników odrażającej powierzchowności; z łatwością dostrzegałem w nich beczelnych złodziei kieszonkowych, co są plagą każdego wielkiego miasta. Przyglądałem się tym wytwornisiom z wielką bacznością i niełatwo przyszło mi pojąć, jak ludzie z towarzystwa mogą się mylić do tego stopnia, by uważać ich za równych sobie. Przestronne rękawy oraz pozory niezwyklej towarzyskiej swobody pozwalały odgadnąć ich od razu.

Szulerzy - a widziałem ich niemało - byli jeszcze łatwiejsi do poznania. Przesuwali się, ubrani nader rozmaicie, od desperackich alfonsów w welwetowych kamizelkach, fantastycznych krawatach, z połączanymi dewizkami i misternymi spinkami, aż do duchownych, tak nieskazitelnie poprawnych w stroju, że wprost niepodobna było powziąć podejrzenia. Atoli wszyscy dawali się rozpoznać po wymokłych, śniadych twarzach, mętnych, przymglonych oczach jako też bładych i zaciśniętych wargach. Ponadto były jeszcze dwa inne rysy, po których domyślałem się ich niezawodnie: oględne tłumienie głosu w rozmowie tudzież większe niż zazwyczaj odchylenie wielkiego palca pod kątem prostym do innych palców. Nader często w towarzystwie tych oszustów dostrzegałem ludzi o nieco odmiennym wyglądzie, lecz były to ptaki z jednego gniazda. Można by ich określić jako dżentelmenów żyjących psim swędem. Czyhają oni na publiczność w dwu zastępach: salonowców i wojskowych. Głównym znamieniem pierwszych są bujne fryzury i uśmiechy, drugich - wcięte żakiety i marsowe spojrzenia.

Zstępując po drabinie tego, co zowie się gentility, napotykałem ciemniejsze i gęstsze tematy do rozmyślań. Widziałem żydowskich kramarzy, których oczy błyskały jak u jastrzębi, zaś rysy nie wyrażały nic innego prócz nikczemnej uniżoności; zuchwałych, zawodowych żebraków ulicznych, spoglądających spode łba na ubogich lepszego pokroju, których tylko rozpacz zmusiła po nocy zebrać miłosierdzia; słabych i wynędzniałych inwalidów, na których ręka śmierci spoczywała już niechybnie i którzy ślaniali się i potykali wśród tłuszczy, spoglądając wszystkim błagalnie w oczy jakby w poszukiwaniu przypadkowej pociechy czy postradanej nadziei; młode, skromne dziewczęta, wracające po długiej pracy do nędznego domostwa i wzdygające się ze łzami raczej niż z oburzeniem pod spojrzeniami rozpustników, których spotkania nie udało im się uniknąć; dziewczki uliczne wszelkiego wieku i rodzaju; doskonałe piękności w pełnym kobiecej urody rozkwicie, przypominające posągi z Lucjana, o powłokach z paryjskiego marmuru i o wnętrzach pełnych niechlujstwa - i ohydne, beznadziejnie upadłe trędowate w łachmanach - i pomarszczone, umalowane, obwieszane klejnotami więdźmy, co żadną miarą nie chciały rozstać się z młodością - wreszcie istne dzieci o nie rozwiniętych jeszcze kształtach, lecz obeznane już pod wpływem otoczenia ze wstrętnymi umizgami swego rzemiosła i pałające niepohamowaną chętką, by dorównać swym starszym mistrzyniom w występny zawodzie; niezliczonych i nie dających się opisać opojów: jednych obdartych lub okrytych łatami, zataczających się, bełkocących, z obrzękłymi twarzami i przygasłymi oczyma - drugich w całej jeszcze, lecz brudnej odzieży, z lekka zawadiackich, o grubych, zmysłowych wargach i dobrodusznym, rozczervenionych twarzach - innych w ubraniach wytwornej niegdyś roboty i wciąż jeszcze starannie utrzymanych - na koniec ludzi stających nienaturalnie silnym, sprężystym krokiem, których twarze były straszliwie blade a oczy potwornie błędne i zaognione i którzy, przewalając się wśród tłoku, sięgali drżącymi palcami po wszystkie pobliskie przedmioty; prócz nich cukierników, posługaczy, węglarzy i kominiarzy; katarzyniarzy, kuglarzy i pieśniarzy ulicznych; tych, co sprzedają ballady i co je śpiewają; obszarpanych rzemieślników i zadłużonych robotników wszelkiego rodzaju - zaś wszystko to wrzało zgwałconym i bezładnym ożywieniem, które zgrzytało niemile w uszach i raziło oczy.

W miarę jak mroki nocne gęstniały, zaciekawiałem się coraz bardziej tą widownią uliczną, gdyż nie tylko ogólny charakter tłumu zasadniczej uległ zmianie (mianowicie wraz ze stopniowym odpływem lepszych części ludności jęły zanikać szlachetniejsze jego rysy, a jaskrawiej występować lichsze, ile że spóźniona pora wywabiła wszelkie męty z kryjówek), lecz także światło lamp gazowych, nie mogące zrazu sprostać dogorywającej jasności dziennej, wzięło w końcu górę i roztaczało dokoła swe migotliwe, skrzące blaski. Wszystko było mroczne, lecz świetne - na podobieństwo owego hebanu, do którego przyrównano niegdyś styl Tertuliana.

Poddając się urokowi niezwykłego oświetlenia, poczęłem badać twarze ludzkie; i jakkolwiek chyżość, z jaką roztecz świetlna płaśła przed oknem, nie pozwalała mi zwykle dostrzeżonego oblicza więcej niż jednym obrzuceniem, mimo to miałem wrażenie, iż dzięki osobliwemu skupieniu mojego umysłu mogłem niejednokrotnie dzieje długich lat odczytywać w tym krótkim mgnieniu jednego spojrzenia.

Z czołem opartym o szybę oddawałem się zatem studiom nad gawiedzią, gdy wtem mignęła mi przed oczyma twarz (jakiegoś sześćdziesięcioletniego - lub siedemdziesięcioletniego, przeżytego starca), która bezwzględna osobliwością swego wyrazu natychmiast przykuła i opętała wszystką moją uwagę. Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się widzieć bodaj przybliżonego wyrazu. Pamiętam, iż na jego widok błysnęła mi myśl, że Retzch, gdyby go ujrzał, postawiłby go wyżej od swych własnych, malowanych uosobień szatana. Gdym w przelotnej chwili pierwszego okamgnienia chciał zanalizować istotę odniesionych wrażeń, bezładnie i paradoksalnie zakłówały mi w mózgu pojęcia wielkiej potęgi ducha, przezorności, nędzy, chciwości, chłodu, złości, krwiożerczości, tryumfu, radości, niewysłowionej grozy i bezmiernej, ostatecznej rozpacz. „Jak dziwne rzekłem sobie - muszą być dzieje zapisane w tej duszy”. I ogarnęła mnie gorąca chęć, by nie stracić tego człowieka z oczu - by czegoś więcej dowiedzieć się o nim. Pośpiesznie zarzuciłem na siebie płaszcz, porwałem

kapelusz i łaskę i wybiegłszy na ulicę, jąłem sobie torować drogę wśród tłumu w obranym przezeń kierunku, gdyż zdążył już gdzieś zniknąć. Z niejaką trudnością udało mi się w końcu go odszukać, więc zbliżywszy się do niego, podążałem za nim z bliska, lecz ostrożnie, by nie zwrócić na siebie jego uwagi.

Miałem teraz dobrą sposobność przyjrzenia się jego osobie. Był niewielkiego wzrostu, bardzo szczupły i widocznie bardzo wątpliwy. Odzież jego była na ogół zniszczona i podarta, ale od czasu do czasu, kiedy stawał w mocniejszym blasku lampy, miałem sposobność zauważyć, że bielizna jego była wprawdzie brudna, lecz wytwornego wyrobu, i jeżeli mnie oczy nie myliły, przez dziurę w szczelnie zapiętym i widocznie z drugiej ręki nabytym płaszczu, który go całego otulał, dostrzegłem jakby połysk brzeszczotu i diamentu. Te spostrzeżenia powiększyły jeszcze moją ciekawość i postanowiłem iść za nieznanym choćby na kraj świata.

Noc była już głęboka, miasto nurzało się w gęstej, wilgotnej mgłę, co rychło rześystym zakończyła się deszczem. Zmiana pogody oddziaływała na tłumy, które od razu innym drgnęły ruchem i okryły się mnóstwem parasoli. Zamieszanie, natłok i zgiełk wzmogły się ogromnie. Osobiście deszcz mi nie sprawił przykrości, gdyż czułem jeszcze w sobie utajoną gorączką, dla której wilgoć była niebezpieczną, co prawda, przyjemnością. Osłoniwszy chustką usta, brnąłem dalej. Przez jakie pół godziny starzec podążał z trudem główną ulicą, ja zaś szedłem tuż za nim, obawiając się, że mógłbym stracić go z oczu. Ani razu nie odwrócił się, by spojrzeć poza siebie, po prostu nie zważał na mnie. Następnie skręcił w jakąś przecznicę, która wprawdzie roiała się od ludzi, ale mniej była natłoczona od owego szlaku głównego. Tu w zachowaniu się jego zaszła widoczna zmiana. Stapał wolniej i nie z taką jak przedtem stanowczością - jakby się ociągając. Przechodził z jednej strony ulicy na drugą i wracał znowu bez widocznej potrzeby, zaś ciżba była jeszcze tak gęsta, iż w takich chwilach musiałem iść trop w trop za nim. Ulica ta jest wąska i długa, zaś włóczęga jego trwała tam niemal godzinę; tymczasem natłok przechodniów zmniejszył się stopniowo mniej więcej do tej liczby, jaką około południa widuje się na Broadway w pobliżu parku - tak wielka jest różnica między zaludnieniem Londynu i Nowego Jorku, tego najładniejszego amerykańskiego miasta. Skręcił powtórnie - i wyszliśmy na plac rześiście oświetlony, kipiący wrzawą i życiem. Nieznajomy jał znowu zachowywać się jak poprzednio. Broda opadła mu na piersi, a oczy miały spod zmarszczonych brwi pośepne spojrzenia na gawiedź, co go zewsząd otaczała. Dażył przed siebie statecznie i wytrwale. Zdziwiłem się, gdy obszedłszy plac zawrócił i jał go okrążyć ponownie. Zaś zdziwienie moje wzrosło jeszcze bardziej, kiedy powtórzył tę przechadzkę kilkakrotnie - przy czym omal mnie nie zauważył, zawróciwszy raz z miejsca nagłym ruchem.

Na tym błakaniu się spędził drugą godzinę, ale pod jej koniec mniej już doznawaliśmy przeszkód ze strony przechodniów niż poprzednio. Deszcz padał rześysty; powietrze oziębiło się; ludność wracała do domów. Z gestem zniecierpliwienia zawrócił wędrowiec w jakąś boczną uliczkę względnie dość pustą. Całą jej długość, wynoszącą z jakie ćwierć mili, przebiegł z chyżością, o której nie marzyło się mi nawet u człowieka w tak podeszłym wieku i której niełatwo przyszło mi sprostać. W kilka minut znaleźliśmy się wśród wielkiego i gwarne bazaru, z którym nieznajomy był widocznie dobrze obeznany i gdzie dziwaczne jego zachowanie objawiło się znów w całej pełni, gdy bez celu torował sobie przejście wśród ścisłu kupujących i sprzedających.

Blisko półtorej godziny, spędzonej w tym miejscu, musiałem mieć się na baczności, by nie zgubić go w tłumie, nie zwracając przy tym na siebie jego uwagi. Włożyłem na szczęście kalosze i mogłem stapać prawie bez szmeru. Ani razu nie spostrzegł, że go śledzę. Chodził od sklepu do sklepu, nie pytał o nic, nie odzywał się wcale i spoglądał na wszystko zakrzepłymi, czczymi oczyma. Zdumienie moje tym jego postępowaniem nie miało już granic i nie wcześniej postanowiłem odejść, aż dowiem się o nim czegoś pewniejszego.

Zegar donośnie wybił jedenastą i bazar opustoszał w jednej chwili. Jakiś przekupień, zamykając okiennicę, potracił starca, który w moich oczach drgnął mocno na całym ciele. Wybiegł na ulicę, rozglądał się przez chwilę trwożnie dokoła siebie, po czym podążył z niesłychaną szybkością krętymi i bezludnymi uliczkami ku owemu głównemu szlakowi, z któregośmy wyszli - mianowicie ku ulicy, gdzie stał hotel D. Ale nie miała już ona tego samego wyglądu. Wprawdzie wciąż jeszcze jarzyła się od płomieni gazowych, lecz deszcz lał jak z cebra i ludzi było bardzo niewiele. Nieznajomy pobrał. Chmurnie kroczył przez chwilę ludną niegdyś ulicą, po czym z ciężkim westchnieniem zawrócił w stronę rzeki i zanurzywszy się w gmatwaninę bocznych uliczek, stanął w końcu przed jednym z głównych teatrów. Właśnie miano go zamknąć i u wyjścia tłoczyła się publiczność. Widziałem, że usta starca rozchyliły się ciężkim oddechem, zanim pograżył się w tłumie, lecz zdawało mi się zarazem, że bezmierny lęk umniejszył się nieco na jego twarzy. Znowu pochylił głowę na piersi i wyglądał jak wówczas, kiedy ujrzałem go po raz pierwszy. Zauważyłem, iż obrał drogę, na której gęściej roiała się przechodnie, lecz na ogół coraz trudniej przechodziło mi zdać sobie sprawę z dziwaczności jego postępowania.

W miarę jak ludzi ubywało, jęło ogarniać go znowu jego dawniejsze zakłopotanie i niepewność. Przez jakiś czas nie odstępował gromadki złożonej z dziesięciu lub dwunastu hałaśliwych włóczęgów; lecz wnet zaczęli się rozchodzić i zaledwie trzech pozostało w wąskiej, ciemnej, odludnej uliczce. Nieznajomy przystanął i pograżył się na chwilę w zamyśleniu; lecz wnet z widocznym niepokojem obrał drogę, która zaprowadziła nas aż na kraniec miasta, w okolice nader różne od tych, w których dotychczas przebywaliśmy. Była to najohydniejsza dzielnica Londynu, gdzie wszystko nosiło haniebne piętno żalosnej nędzy i rozzuchwalonego występku. Przy mdłym świetle nielicznych latarni widniały chylące się do upadku, wysokie, odwieczne, stoczone przez czerwie drewniane domostwa, rozrzucone tak przypadkowo i bezładnie, że zaledwie było można dojrzeć wśród nich przejścia. Kamienie brukowe leżały w rozsypce, wyparte ze swych łożysk przez bujną krzewiącą się trawę. Przerażliwym niechlujstwem cuchnęły zapługawione kanały. Atmosfera dyszała opuszczeniem. Wnet atoli jęło znowu budzić się szemranie ludzkiego życia i ujrzeliśmy wielkie tłumy najnikczemniejszych wyrzutków Londynu, wałęsających się dokoła. Serce starca drgnęło na ten widok, jak lampa, co dogasa. Raz jeszcze krok jego odzyskał dawną sprężystość. Skręciliśmy nagle na rogu ulicy, zamigotały nam w oczach jaskrawe światła i stanęliśmy przed ogromnym, przedmiejskim przybytkiem niewstrzemięźliwości - przed pałacem, gdzie królkuje demon Gin.

Miało się już ku świtaniu; mimo to mnóstwo wynędzniałych opojów cisnęło się u pompacyjnego wejścia. Tłumiąc okrzyk radości, torował sobie starzec drogę do wnętrza i przybrawszy od razu swój zwykły wygląd, jał przechadzać się tam i z powrotem wśród ciżby bez widocznego celu. Nie trwało to jednak długo, gdyż wkrótce wszczął się ruch ku wyjściom na znak, iż wkrótce miano zamknąć na noc gospodę. To, co wówczas odmalowało się na twarzy tego osobliwego człowieka, którego z takim śledziłem uporem, było silniejsze od rozpacz. Mimo to nie zwlekał w swym przedsięwzięciu i z opętającą zawziętością jał wracać niezwłocznie ku ośrodkom ogromnego Londynu. Szedł szybko i długo, ja zaś podążałem za nim z bezmiernym zdumieniem, poprzysięgając sobie nie wyrzec się dochodzeń, które rozbudziły we mnie najwyższe zajęcie. Słońce weszło, gdy byliśmy jeszcze w drodze; kiedy zaś dotarliśmy do najruchliwszej ludnego miasta dzielnicy i weszliśmy na ulicę, gdzie stoi hotel D., panował tam zgiełk i gwar, nie mniejszy

niż poprzedniego wieczora. I długo tutaj wśród nieustannie wzmagającego się zamieszania dotrzymywałem kroku w pościgu za nieznanym. Ale jak zwykle chodził on tam i z powrotem i przez cały dzień nie opuszczał cizby rojącej się na tej ulicy. O zmierzchu drugiego wieczora byłem znużony śmiertelnie i zastąpiwszy drogę włóczędę, spojrzałem mu natarczywie w oczy. Nie zwrócił na mnie uwagi i nie zatrzymał się w swym uroczystym pochodzie, ja zaś, zaprzestawszy dalszego pościgu, stanąłem pogrążony w zadumie. „Ten starzec - powiedziałem sobie w końcu - jest typem i geniuszem wielkiej zbrodni. Nie znosi samotności. Jest człowiekiem tłumu. Śledzić go dalej byłoby rzeczą nadaremną, gdyż nie dowiem się już niczego więcej ani o nim, ani o jego uczynkach. Serce, najgorsze na świecie, jest księgą niedostępniejszą niż Hortulus Animae i może jest to wielką łaską Bożą, że es lässt sich nich lesen”.

Zabójstwo przy rue Morgue

Jakie pieśni śpiewały Syreny lub jakie imię przybrał Achilles,
gdy ukrywał się między kobietami? Są to zagadnienia wprawdzie
kłopotliwe, ale nie leżące poza obrębem wszelkich przypuszczeń.
(Sir Thomas Browne: Urn-Burial)

Zdolności umysłowe zwane analitycznymi nic nadają się w swej istocie zbyt do analizy. Oceniamy je tylko wedle ich wyników. Wiemy o nich, między innymi, iż dla osób, które posiadają je w niepowszednim stopniu, bywają one zawsze źródłem najwyższej radości. Podobnie jak człowiek silny cieszy się swą cielesną krzepkością i lubuje w ćwiczeniach, które wymagają sprawności jego mięśni, tak samo analityk szuka chluby w czynności umysłowej, która polega na rozwikływaniu. Lubuje się nawet w zajęciach najpospolitszych, które nastęrczają mu sposobność do zastosowania swych uzdolnień. Przepada za łamigłówkami, zagadkami, hieroglifami. Okazuje we wszystkich swych rozwiązaniach tyle przenikliwości, iż w pojmowaniu zwyczajnym wydaje się ona nadprzyrodzona. Wyniki jego, osiągnęte przez najistotniejszą treść i ducha metody, mają rzeczywistość wszystkie znamiona intuicji.

Ta zdolność rozkładania zjawisk złożonych wzmagają się wiele pod wpływem wiedzy matematycznej, w szczególności zaś pod wpływem najznamienszej jej gałęzi, nazywanej niesłusznie i jedynie ze względu na jej działanie wsteczne analizą, jak gdyby to była analiza par excellence. Bowiem kalkulacja nie jest w swej istocie analizą. Na przykład szachista stosuje pierwszą nie uciekając się wcale do pomocy drugiej. Wynika stąd, iż wpływu gry w szachy na podłoże psychiczne zupełnie się nie rozumie. Nie piszę obecnie rozprawy, lecz zwykłą przedmowę do nieco osobliwej opowieści i rzucam pobieżne spostrzeżenia. Korzystam zatem ze sposobności, by zapewnić, że subtelniejsze władze intelektu refleksyjnego o wiele istotniejsze i o wiele pożyteczniejsze znajdują zastosowanie przy niepozornej grze w warcaby niż przy pracowitej czczości szachów. W grze ostatniej, w której figury mogą wykonywać ruchy rozmaite i dziwaczne oraz posiadają różną i zmienną wartość, złożoność uchodzi mylnie (błąd nader pospolity!) za głębokość. Uwaga ma w niej ogromne znaczenie. Dość, by osłabła na chwilę, by coś się przeoczyło, a wyniknie stąd porażka lub przegrana. Ponieważ posunięcia możliwe są nie tylko różnorodne, lecz także niejednakie co do swego znaczenia, przeto prawdopodobieństwo owych przeoczeń wielce się pomnaża; i w dziewięciu wypadkach na dziesięć wygrywa raczej gracz uważniejszy niż bystrzejszy. Natomiast w warcabach, gdzie ruchy są proste i przedstawiają niewiele odmian, prawdopodobieństwa nieuwagi się zmniejszają, zaś sama tylko baczność względnie niewielkie ma zastosowanie, skutkiem czego przewaga bywa po stronie przenikliwości bystrzejszej. Pomińmy te ogólniki i wyobraźmy sobie grę w warcaby, gdzie figury są ograniczone do czterech królów, więc na przeoczenie liczyć nie można. Ponieważ żaden z graczy nie ma przewagi, przeto o zwycięstwie ostatecznym może rozstrzygnąć tylko przezorna taktyka, będąca wynikiem potężnego wysiłku intelektualnego. Pozbawiony zwykłych środków pomocniczych analityk wnika w ducha swego przeciwnika, utożsamia się z nim i niejednokrotnie od pierwszego rzutu oka odkrywa sposób (niekiedy do niedorzeczności prosty), jak go wciągnąć w zasadzkę lub popchnąć w błędne obliczenia.

Wist od dawna już jest znany ze swego wpływu na zdolności kalkulacyjne i bywają ludzie, uposażeni najlotniejszą inteligencją, którzy znajdują w nim niezrozumiałe na pozór upodobanie, a natomiast lekceważą szachy jako grę błahą. Jakoż bez wątpienia nie ma podobnej rozrywki, która by w równej mierze zaprzętała zdolność analityczną. Najlepszy w całym chrześcijaństwie szachista nie może być niczym innym, jak tylko najlepszym szachistą, gdy tymczasem pomysłowość w wście zawiera zapowiedź powodzenia w tych wszystkich nierównie ważniejszych przedsięwzięciach, gdzie umysł pasuje się z umysłem. Mówiąc o pomysłowości, mam na myśli ową doskonałą umiejętność gry, która mieści w sobie znajomość wszystkich źródeł, mogących zapewnić rzetelne korzyści. Są one nie tylko różnorodne, lecz także różnorodne i kryją się często w głębiach myślowych najzupełniej niedostępnych dla pospolitego pojmowania. Czynić spostrzeżenia uważnie, jest to przypominać sobie dokładnie; z tego względu szachista bardzo uważny będzie również dobrze grał w wista, ile że reguły Hoyle'a (opierające się na najprostszym mechanizmie gry) są łatwe i powszechnie zrozumiałe. Dość zatem mieć dobrą pamięć i „trzymać się podręcznika”, żeby wedle przyjętego mniemania posiadać to wszystko, co jest potrzebne do dobrej gry. Atoli dopiero w szczegółach, które wybiegają poza obręb reguł, przejawia się pomysłowość analityka. W milczeniu gromadzi on spostrzeżenia i wnioski. Być może, iż w podobny sposób postępują także jego towarzysze, zaś różnicę w nabytej przez nich znajomości rzeczy stanowi nie tyle wartość wniosków, co jakość spostrzeżeń. Najważniejszą rzeczą jest wiedzieć, co należy obserwować. Nasz gracz nie ogranicza się tylko do siebie i jakkolwiek gra jest przedmiotem jego uwagi, nie pomija wniosków z rzeczy, które z grą nie mają nic wspólnego. Przygląda się twarzy partnera i porównywa jej wyraz starannie z wyrazem każdego z jego przeciwników. Zastanawia się nad sposobem rozdawania kart przez każdego partnera i często ze spojrzeń, rzucanych na karty, liczy kolejno wszystkie atuty i wszystkie honory. Zwraca uwagę na wszystkie zmiany, jakie zachodzą w wyrazach twarzy w miarę postępu gry, gromadząc zasób myśli z naprzemiennych przejawów pewności siebie, niespodzianki, tryumfu lub przygnębienia. Ze sposobu zagarniania lewy wnioskuje, czy zagrywającemu uda się wziąć następną. Poznaje kartę zagrana na podrywkę ze sposobu rzucenia jej na stół. Mimowolne lub nierozważne słowo; przypadkowo odwrócona lub upuszczona karta, którą podnosi się pośpiesznie lub niedbale; liczenie lew oraz porządek, w jakim je się układa; zakłopotanie, wahanie, zapalczywość lub lękliwość - wszystko to objaśnia go o istotnym stanie rzeczy i sprzyja jego przenikliwości, na pozór intuicyjnej. Po dwu lub trzech pierwszych kolejkach wie on już dokładnie, co jest w czyich rękach, i może odtąd wygrywać swe karty z taką ścisłością zmierzając do celu, jak gdyby wszyscy inni gracze pokazali mu swoje.

Zdolności analitycznej nie należy mieszać ze zwykłą bystrością, gdyż o ile analityk jest nieodzownie bystry, o tyle człowiek bystry bywa często najzupełniej niezdolny do analizy. Zręczność konstruktywna lub kombinacyjna - którą ta

bystrość zazwyczaj się objawia i której frenologowie wyznaczyli (zdaniem moim błędnie) osobny narząd, uważając ją za władzę pierwszorzędną - spotykana jest tak często u osobników, których intelekt graniczy poza tym z matolkowatością, iż zwróciło to już powszechną uwagę psychologów. Między bystrością a uzdolnieniem analitycznym istnieje, zaiste, znacznie większa różnica aniżeli między fantazją a wyobraźnią, aczkolwiek co do charakteru są one najzupełniej podobne. Jakoż można sprawdzić, iż ludzie bystrzy powodują się zawsze fantazją, gdy ludzie uposażeni istotną wyobraźnią stale bywają analitykami.

Opowieść następująca będzie dla czytelnika niejako komentarzem rozwidniającym zasady co tylko wyluszczone.

Spędzając w Paryżu wiosnę i część lata 18.. r. zawarłem znajomość z jakimś C. Augustem Dupinem. Wytworny ten młodzieniec pochodził z poważnej - ba, nawet znakomitej rodziny, atoli całe mnóstwo niepomyślnych wydarzeń pograżyło go w takim ubóstwie, iż ugięła się moc jego charakteru i przestał torować sobie drogę w życiu, nie troszcząc się już o odzyskanie swych majątkości. Uprzejmość wierzycieli pozostawiła mu niewielkie szczęty dziedzicznego mienia. Były one dla niego źródłem dochodów, które przy zachowaniu najściślejszej oszczędności, wystarczały mu na najkonieczniejsze potrzeby życia, a o rzeczy zbyteczne zgola się nie troszczył. Toteż książki były jedynym jego zbytkiem, o który w Paryżu nietrudno.

Spotkaliśmy się po raz pierwszy w podrzędnej księgarni przy rue Montmartre; poszukiwaliśmy obaj tego samego, nadzwyczaj rzadkiego i cennego dzieła, i to nas zbliżyło. Później widywaliśmy się coraz częściej. Wielce zajęła mnie pewna historia z życia jego rodziny, o której opowiadał mi szczegółowo i najzupełniej szczerze, jak to zazwyczaj czynią Francuzi, gdy mówią o swych osobistych sprawach. Zdziwiła mnie wszechstronność jego czytania, zaś przede wszystkim ujęła mnie za serce dziwna ognistość i bujna świeżość jego wyobraźni. Szukając w Paryżu pewnych rzeczy, które podówczas jedynie mnie obchodziły, zrozumiałem, iż towarzystwo takiego człowieka może stać się dla mnie bezcennym skarbem, i wyznałem mu otwarcie, co myślę o nim. Postanowiliśmy tedy, że będziemy żyli razem przez cały czas mego pobytu w stolicy; a ponieważ moje sprawy doczesne nieco mniej wtedy były zawile aniżeli jego, przeto podjąłem się wynająć i urządzić w stylu fantastycznej melancholii współczesnych naszych upodobań odwieczne i dziwaczne domostwo, opustoszałe od dawna skutkiem jakichś zabobonów - o które wcale nie dowiadywaliśmy się - chylące się do upadku i położone w ustronnej i odludnej połaci Faubourg St. Germain.

Gdyby wiedziano o trybie naszego życia w tym domu, byłibyśmy uważani za szaleńców - aczkolwiek, być może, za nieszkodliwych. Osamotnienie nasze było zupełne. Nikt u nas nie był. Zachowywaliśmy w najgłębszej tajemnicy miejsce naszego pobytu przed dawniejszymi moimi znajomymi. Dupin już wiele lat temu przestał znać kogokolwiek i być znany w Paryżu. Poprzestawaliśmy wyłącznie na sobie samych.

Dziwacznym wybrykiem (nie wiem zresztą, jak to nazwać) wyobraźni mojego przyjaciela było jego umiłowanie nocy dla niej samej; poddałem się spokojnie temu dziwactwu, podobnie zresztą jak wszystkim innym, zupełnie ulegając osobliwym jego zachciankom. Posępne bóstwo nie mogło przecież stale przebywać z nami, ale było w naszej mocy wywołać sztucznie jego obecność. Z pierwszym brzaskiem zamykaliśmy szczelnie okiennice naszej starożytnej rudery, po czym zapaliliśmy parę nasyconych wonnościami gromnic, jarzących się ogromnie nikłą i bladawą poświatą. Zagłębialiśmy się przy tym świetle w marzeniach, czytając, pisząc lub rozmawiając aż do chwili, kiedy zegar zwiastował nam nastanie rzeczywistej ciemności. Wziąwszy się wzajem pod ramię, zaprzepaszczaliśmy się wtedy w gmatwaninie ulic, snuliśmy dalej wątek naszych dziennych rozmów i wałęsaliśmy się do późnej nocy, szukając w igraszcze światła i cieni ludnego miasta tej nieskończoności pobudzeń umysłowych, których doznać można jedynie przez spokojną obserwację.

W podobnych chwilach zastanawiała mnie i napełniała podziwem osobliwsza zdolność analityczna Dupina, aczkolwiek znając już jego szczodry idealizm, mogłem jej po nim się spodziewać. Zdawało się, iż wykazywanie jej - jeżeli nawet nie popisywanie się nią - sprawiało mu jakąś żywą rozkosz, której zresztą nie tał i przyznawał się otwarcie, że jest pod jej urokiem. Chętnie się przede mną głosem, w którym odzywał się poszmer radosnego śmiechu, iż większość ludzi miewa dla niego w swych piersiach okienka, i miał zwyczaj stwierdzać prawdziwość swoich słów bezpośrednimi zdumiewającymi dowodami dokładnej znajomości mej własnej natury. Zachowanie się jego w takich chwilach bywało ozięble i roztargnione; oczy pozbywały się wyrazu; piękny, tenorowy jego głos przedzierzał się w dyszkant i byłby się stawał niemal wyzywający, gdyby nie posiadał akcentu rozważliwej ogromnej wyrazistości wysłowienia. Rozmyślając o tych jego właściwościach, pograżałem się nieraz w zadumie nad starodawną teorią Duszy Dwoistej i snułem marzenia o Dupinie podwójnym - twórcy i analityku.

Niechaj nikt sobie nie wyobraża po tym, co powiedziałem, że zamierzam zgłębiać jakąś tajemnicę lub pisać powieść. To, co było godne zastanowienia w mym przyjacielu Francuzie, wynikało z inteligencji podnieconej do najwyższego stopnia a może nawet chorobliwej. Atoli przykład da lepsze wyobrażenie o charakterystycznych właściwościach jego ówczesnych spostrzeżeń.

Pewnej nocy szliśmy długą i brudną ulicą przebiegającą w pobliżu Palais Royal. Pograżeni w myślach nie przemówiliśmy do siebie ani słowa co najmniej przez jakieś piętnaście minut. Naraz Dupin przerwał milczenie słowami:

- Masz słusność, to istny karzeł i nadawałby się raczej do Théâtre des Variétés.

- O tym chyba nikt nie wątpi - odparłem bezwiednie, nie zdając sobie zrazu sprawy (tak bardzo byłem pograżony w zadumie) ze szczególniejszej zgodności, jaka zachodziła między tymi słowami a moimi myślami. Lecz wnet opamiętałem się i moje osłupienie nie miało granic.

- Dupin - rzekłem poważnie - to przechodzi moje pojęcie. Wyznaję otwarcie, że jestem zdumiony i nie wiem, czy mam ufać mym zmysłom. Skąd ty możesz wiedzieć, że myślałem o...?

Nie dopowiedziałem umyślnie, by upewnić się, że wie istotnie, o kim myślałem.

- O Chantilly - rzekł. - Dlaczego nie kończysz? Pomyślałeś sobie, że jego niepozorna postać nie nadaje się do tragedii.

Właśnie dokoła tego tematu snuły się moje rozmyślenia. Chantilly był podrzędnym szewczykiem z rue St. Denis, dostał bzika teatralnego, porwał się na rolę Kserksesa w tragedii Crébillona i stał się przedmiotem powszechnego pośmiewiska.

- Wyjaśnij mi, na miłość boską, metodę - zawołałem - jeżeli w tym jest taka metoda, za pomocą której zdołałeś przeniknąć mą duszę!

Istotnie byłem znacznie więcej stropiony, aniżeli chciałem mu to okazać.

- To przekupień z owocami - odparł mój przyjaciel - naprowadził cię na wniosek, że ten łatacz obuwia nie ma odpowiedniego wzrostu na Kserksesa et id genus omne!

- Przekupień! Co ty mówisz! Nie znam żadnego przekupnia!

- Człowiek, który wpadł na ciebie, gdyśmy skręcali w tę ulicę przed jakimiś piętnastu minutami.

Przypomniałem sobie istotnie jakiegoś niezdarne przekupnia, który niósł na głowie wielki kosz jabłek i omal mnie nie przewrócił, gdyśmy skręcali z rue C... w bocznice, na której zatrzymaliśmy się. Lecz co to miało wspólnego z Chantilly, nie mogłem żadną miarą zrozumieć.

W Dupinie nie było ani cienia szarlatanerii.

- Wytłumaczę ci - powiedział. - Chcąc jednak, żebyś zrozumiał wszystko dokładnie, wyluszcze ci przede wszystkim kolejny przebieg twoich rozmyślań od chwili, kiedy mówiłem do ciebie, aż do zderzenia z owym przekupniem. Dalsze ogniwa łańcucha są następujące: Chantilly, Orion, dr Nichols, Epikur, stereotomia, kamienie brukowe, przekupień.

Niewiele jest osób, które by w pierwszym okresie swego życia nie zabawiały się odnajdywaniem śladów, co je doprowadziły do takich lub owakich wniosków. Zajęcie to miewa niekiedy duże znaczenie; podejmując je po raz pierwszy, nie można się dość nadziwić pozorowanej niespójności i bezgranicznej oddali, która dzieli punkt wyjścia od celu. Jakież zatem było moje osłupienie, gdy usłyszałem słowa wypowiedziane przez Francuza i musiałem przyznać, że mówił prawdę. Tymczasem ciągnął on dalej:

- Pamiętam dokładnie, iż wychodząc z rue C... mówiliśmy o koniach. Był to ostatni przedmiot naszej rozmowy. Gdyśmy skręcili w ulicę, którą idziemy obecnie, jakiś przekupień z wielkim koszem na głowie, przechodząc spiesznie obok nas, popchnął cię na kupę kamieni, przygotowanych w tym miejscu do naprawy bruku. Nastąpiłeś na jakiś chwiejący się kamień, pośliznąłeś się, z lekka wywichnąłeś sobie nogę, wyglądałeś na podrażnionego czy rozgniewanego, mruknąłeś kilka słów, odwróciłeś się, by spojrzeć na kamienie, a potem szedłeś dalej w milczeniu. Nie zwracałem zbytnio uwagi na to, co robiłeś, ale obserwacja jest dla mnie ostatnio po prostu koniecznością.

Oczy utkwieś w ziemię i spoglądałeś jak gdyby gniewnie na koleiny i wyboje w bruku (a miałeś przy tym taką minę, iż mogłem wywnioskować, że wciąż jeszcze myślisz o kamieniach), aż doszliśmy do niewielkiej ulicy, zwanej Lamartine, wybrukowanej na próbę kostkami drewnianymi, ściśle i spoiście ze sobą połączonymi. Tu twarz ci się rozjaśniła, zauważyłem, że poruszasz ustami, i nie wątpiłem ani przez chwilę, że szepczesz słowo „stereotomia”, używane nader pretensjonalnie na określenie tego rodzaju bruku. Wiedziałem, że nie mógłbyś wymówić słowa „stereotomia”, nie pomyślawszy przy tym o atomach, a następnie o teoriach Epikura, ponieważ rozmawialiśmy niedawno o tym przedmiocie, przy czym zdarzyło mi się zauważyć, że luźne przypuszczenia znakomitego Greka, nie zwróciwszy niemal niczyjej uwagi, znalazły jednak przedziwne potwierdzenie w nowoczesnej kosmogonii mgławicowej, przeto wyczułem, że nie zdołasz się powstrzymać od spojrzenia na wielką mgławicę Oriona, i oczekiwałem na pewno, że to uczynisz. Jakoż spojrzałeś w górę; miałem więc wszelką pewność, że podążam istotnie twoim śladem. Zaś w złośliwej kpinie z Chantilly'ego, która pojawiła się we wczorajszym „Musée”, satyryk, czyniąc uszczypliwe aluzje do zmiany nazwiska przez szewca, co włożył koturny, przytacza wiersz łaciński, o którym niejednokrotnie zdarzało się nam rozmawiać. Mam na myśli wiersz:

Perdidit antiquum littera prima sonum.2

Powiedziałem ci, iż odnosi się on do Oriona, pierwotnie pisanego Urion, i z utarczki wywołanej tym wyjaśnieniem wyniosłem przeświadczenie, że nie mogłeś o tym zapomnieć. Było zatem rzeczą oczywistą, iż niezawodnie skojarzysz pojęcia Oriona i Chantilly'ego. Żeś je istotnie skojarzył, poznałem z uśmiechu, którym drgnęły twe usta. Myślałeś o unicestwieniu biednego szewczyka. Do tej chwili stąpałeś przygarbiony, lecz potem wyprostowałeś się w całej okazałości swego wzrostu. Nabrałem przeto pewności, że zastanawiasz się nad pokracczną figurką Chantilly'ego. Wówczas to przerwałem twą zadumę uwagą, że ten Chantilly to istny karzeł i że nadawałby się raczej do Théâtre des Variétés.

W jakiś czas potem, przeglądając wieczorne wydanie „Gazette des Tribunaux”, znaleźliśmy wzmiankę następującą:

NIEZWYKŁE ZABÓJSTWO. Dziś około godziny trzeciej z rana mieszkańców dzielnicy Saint Roch obudziły przeraźliwe krzyki rozlegające się, jak się zdawało, z czwartego piętra domu przy rue Morgue, zamieszkałego w całości przez niejaką Madarne L'Españaye oraz jej córkę, Mademoiselle Camille L'Españaye. Po niejakej zwłóce, wywołanej daremnymi usiłowaniami, by wejść do domu w zwykły sposób, wyważono bramę drągiem żelaznym i ośmiu czy dziesięciu sąsiadów w towarzystwie dwu żandarmów wtargnęło do kamienicy. Tymczasem krzyki ucichły; kiedy jednak przybysze wdarli się na pierwsze piętro dosłyszeli zawziętą kłótnię dwu czy więcej chrapliwych głosów, które zdawały się dolatywać z górnej części domu. Gdy weszli na drugie piętro, zgiełk ten również ustał i zaległa zupełna cisza. Obecni rozproszyli się, przetrząsając pokój po pokoju. Gdy dotarli do obszernej komnaty położonej od tyłu na czwartym piętrze i wyważyli drzwi zamknięte na klucz od wewnątrz, ukazał się im widok przejmujący zarówno grozą, jak osłupieniem.

Pokój znajdował się w najdzikszym nieładzie: meble były pogruchothane i porzrzucone na wszystkie strony. Było tam tylko jedno łóżko, z którego pościel wyjęto i rzucono na posadzkę. Na krześle leżała brzytwa, zboczona krwią. W kominku spostrzeżono dwa czy trzy długie i grube pasma siwych, ludzkich włosów, które były także okrwawione i wyglądały, jak gdyby mocnym szarpnięciem wyrwano je wraz z korzonkami. Na posadzce znaleziono cztery napoleony, kolczyk z topazem, trzy duże łyżki srebrne, trzy mniejsze z tak zwanego métal d'Algér oraz dwie sakiewki, zawierające prawie cztery tysiące franków w złocie. Szufłady komody stojącej w kącie były otwarte i, jak się zdaje, ograbione, aczkolwiek pozostało w nich jeszcze wiele przedmiotów. Niewielką żelazną szkatułkę znaleziono pod pościelą (nie pod łóżkiem). Była otwarta; klucz tkwił jeszcze w zamku. Nie było w niej nic prócz kilku starych listów tudzież kilku innych, niezbyt ważnych papierów.

Śladów Madame L'Españaye niepodobna było zrazu odszukać, wszelako zauważono niezwykle dużą ilość sadzy na palenisku, zaczęto szukać w kominie i w końcu (strach powiedzieć!) wydobyto stamtąd trupa jej córki, włoczonego przez ciasny otwór głową na dół i wsuniętego dość znacznie w górę. Zwłoki były jeszcze zupełnie ciepłe. Przy badaniu okazało się, że skóra była w wielu miejscach pocierana, co było bez wątpienia następstwem silnego wtlaczania i nie mniej z kolei silnego wyciągania trupa z komina. Twarz była mocno podrapana, a na szyi widniały ciemne sińce i głębokie ślady paznokci, jak gdyby zmarła padła ofiarą uduszenia.

Po najstaranniejszym przetrząśnięciu całego domu, które jednakże nie dostarczyło żadnych dalszych poszlak, zebrani wybiegli na niewielkie brukowane podwórze, okalające budynek od tyłu. Leżały tam zwłoki staruszki, której szyja

była przecięta tak głęboko, iż kiedy chciano trupa podnieść, głowa odpadła od tułowia. Całe ciało wraz z głową było straszliwie pokaleczone i zaledwie zachowało podobieństwo kształtów ludzkich.

Do rozwikłania tej okropnej tajemnicy nie ma dotychczas, o ile nam wiadomo, żadnych poszlak.

Nazajutrz w tymże samym dzienniku znajdowały się następne szczegóły dodatkowe:

TRAGEDIA PRZY RUE MORGUE. Przesłuchano wiele osób celem wyświecenia tej osobliwej i przerażającej zbrodni, wszelako nie dowiedziano się niczego, co by mogło dostarczyć jakichkolwiek poszlak. Podajemy poniżej zeznania świadków.

Paulina Dubourg, praczka, zeznaje, iż od trzech lat znała obie nieboszczki, gdyż najmowały ją do prania. Wzajemne stosunki między staruszką a jej córką były, jak się zdaje, dobre - kochały się bardzo. Płaciły hojnie. Nie może nic powiedzieć o ich sposobie życia ani o środkach utrzymania. Przypuszcza, że Madame L'Espanaye dla zarobku trudniła się wróżbiarstwem. Mówiono o niej, że zebrała oszczędności. Praczka nie spotykała nigdy w tym domu nikogo, gdy zabierała lub odnosiła bieliznę. Wie na pewno, iż nie było tam służby. Zdaje się jej, że - prócz czwartego piętra - mebli nie było w całym domu.

Piotr Moreau, właściciel sklepiku z tytoniem, zeznaje, iż od niespełna czterech lat dostarczał Madame L'Espanaye niewielkich ilości tytoniu i tabaki. Urodził się w sąsiedniej dzielnicy i stale w niej mieszka. Nieboszczka oraz jej córka od przeszło sześciu lat mieszkały w domu, w którym znaleziono ich zwłoki. Poprzednio zajmował go pewien jubiler, który odnajmował górne piętra różnym osobom. Dom był własnością Madame L'Espanaye. Niezadowolona z lokatora, który rujnował jej kamienicę, sprowadziła się na jego miejsce sama i przestała odtąd wynajmować mieszkania. Staruszka była dziecinna. Świadek widział jej córkę może pięć czy sześć razy przez całe sześć lat. Obie żyły nadzwyczaj samotnie - i uchodziły za bogate. Sąsiedzi mówili, jakoby Madame L'Espanaye zajmowała się wróżbiarstwem - ale on temu nie wierzył. Nie zdarzyło mu się widzieć, by ktokolwiek wchodził do bramy tego domu prócz staruszki i jej córki, ponadto zachodził tam ze dwa razy jakiś posługacz i z osiem lub dziesięć razy lekarz.

Wiele innych osób z sąsiedztwa potwierdza powyższe zeznania. Nie widywano nigdy, by ktokolwiek był w tym domu. Nikt nie wiedział, czy Madame L'Espanaye i jej córka miały jakich krewnych. Okienne od strony frontowej rzadko stały otworem, od podwórka bywały zawsze zamknięte, prócz okiennic wielkiego pokoju położonego od tyłu na czwartym piętrze. Dom jest niezły i niezbyt stary.

Izydor Mus?t, żandarm, zeznaje, iż wezwano go do tego domu około trzeciej z rana i że przed bramą zastał ze dwadzieścia lub trzydzieści osób, które chciały wejść do wnętrza. Otworzył ją w końcu bagnetem, a nie drągiem żelaznym. Przyszło mu to nietrudno, gdyż brama ta składa się z podwoi i nie była zamknięta na zasuwę ani od góry, ani od dołu. Krzyki trwały do chwili otwarcia bramy, po czym nagle ucichły. Były to jakby wrzaski jednej czy kilku osób katowanych - głośne i przeciągłe, a nie krótkie i urywane. Świadek wbiegł na schody. Na pierwszym piętrze usłyszał dwa głosy ścierające się w donośnej i gniewnej sprzeczce - jeden chrapliwy, drugi znacznie ostrzejszy - dziwny jakiś głos. Udało mu się rozróżnić kilka słów głosu pierwszego, który brzmiał z francuska. Nie był to na pewno głos kobiecy. Usłyszał słowa sacré i diable. Głos przenikliwy brzmiał z cudzoziemska. Nie jest pewny, czy był to głos męski, czy kobiecy. Słów nie mógł się dorozumieć, lecz przypuszcza, że były hiszpańskie. To, co świadek zeznaje o pokoju i zwłokach, nie różni się niczym od naszego opisu wczorajszego.

Henryk Duval, sąsiad, z zawodu złotnik, zeznaje, iż należał do osób, które jako pierwsze wtargnęły do domu. Potwierdza na ogół zeznania Museta. Kiedy wraz z innymi wpadł do sieni, zamknął bramę, by nie wpuścić tłumu, który jął się gromadzić mimo wczesnej godziny. Głos przenikliwy, zdaniem tego świadka, brzmiał z włoska. Na pewno nie był to głos Francuza. Nie jest pewien, czy był to głos męski. Mógł być także kobiecy. Świadek nie zna włoskiego języka. Nie mógł rozróżnić słów, lecz z intonacji odniósł wrażenie, że były wyrzeczone przez Włocha. Znał Madame L'Espanaye i jej córkę. Często rozmawiał z nimi. Jest przekonany, że głos przenikliwy nie był głosem ani matki, ani córki.

Odenheimer, restaurator. Zgłosił się na świadka nie wzywany. Nie umie po francusku i był przesłuchiwany za pośrednictwem tłumacza. Pochodzi z Amsterdamu. Przechodził obok owego domu, kiedy rozległy się krzyki. Trwały kilka minut - może do dziesięciu. Były przeciągłe i głośne - żalosalne i rozzwierające. Należał do tych, którzy weszli do kamienicy. Potwierdził zeznania poprzednie, wszelako z jednym zastrzeżeniem. Jest pewien, że głos ostry był głosem mężczyzny - Francuza. Słów wyrzeczonych rozróżnić nie mógł. Były głośne i prędkie - brzmiały nierówno - jakby rzucane w twrodze i zarazem w gniewie. Głos był szorstki - nie tyle przenikliwy, co szorstki. Nie mógłby go nazwać głosem przenikliwym. Głos chrapliwy powtórzył kilkakrotnie sacré, diable, raz powiedział mon Dieu.

Juliusz Mignaud, bankier z firmy Mignaud et Fils, rue Deloraine. Jest starszym z braci Mignaudów. Madame L'Espanaye posiadała pewien kapitał. Miała w jego banku otwarty rachunek od wiosny roku... (od jakichś lat ośmiu).

Często składała w banku niewielkie sumy, nie wybierała natomiast nic. Dopiero na trzy dni przed swą śmiercią podjęła osobiście cztery tysiące franków. Pieniądze te wypłacono w złocie i polecono woźnemu, aby je odniósł do mieszkania Madame L'Espanaye.

Adolf Le Bon, woźny domu bankowego Mignaud et Fils, zeznaje, że w przeddzień zbrodni, około południa, odprowadzał Madame L'Espanaye do jej mieszkania, niosąc cztery tysiące franków w dwu woreczkach. Po otwarciu bramy ukazała się Mademoiselle L'Espanaye, która wzięła od niego jeden woreczek; drugi oddał staruszce, ukłonił się i odszedł. Nie widział o tej porze na ulicy nikogo. Jest to zaulek bardzo odludny.

William Bird, krawiec, zeznaje, iż należał do tych, którzy weszli do kamienicy. Jest Anglikiem. Przebywa w Paryżu od dwu lat. Jeden z pierwszych wbiegł na schody. Słyszał, jak się kłóciły owe głosy. Głos chrapliwy brzmiał z francuska. Zdołał dosłyszeć kilka słów, ale nie wszystkie już pamięta. Słyszał wyraźnie sacré i mon Dieu. Doleciał go wówczas zgiełk, jak gdyby kilka osób się mocowało - była to niby bójka i szarpanina. Głos przenikliwy był bardzo donośny - donośniejszy niż chrapliwy. Jest pewien, że nie był to głos Anglika; raczej Niemca. Mógł to być głos kobiecy. Nie umie po niemiecku.

Czterech z wymienionych świadków na ponowne wezwanie oświadczyło, iż drzwi pokoju, w którym znaleziono zwłoki Mademoiselle L'Espanaye, były zamknięte na klucz od wewnątrz, kiedy ludzie nadbiegli. Panowała tam zupełna cisza - ani szmerów, ani jęków. Po wywaleniu drzwi nie zastano nikogo. Oba okna, zarówno frontowe, jak tylne, były szczelnie zamknięte od wewnątrz. Drzwi prowadzące z pokoju do pokoju były zamknięte, ale nie na klucz. Drzwi, którymi wychodziło się z pokoju frontowego na korytarz, były zamknięte na klucz, który tkwił od wewnątrz. Pokoik frontowy na

czwartym piętrem, u wejścia na korytarz, stał otworem; drzwi były uchylone, pełno w nim było starych łóżek, kufrów i tym podobnych przedmiotów. Poodsuwano je i przetrząsnięto bacznie. Przeszukano jak najstaranniej cal po calu wszystkie części domu. Polecono przetrzeć miotłami kominy. Dom był czteropiętrowy i miał pokoje na poddaszu. Drzwiczki prowadzące na dach były przybite mocno gwoździami i prawdopodobnie nie otwierane od lat. Czas, jaki upłynął od chwili, kiedy usłyszano spierające się głosy, do wyłamania drzwi od pokoju, był różnie podawany przez świadków. Wedle jednych wynosił nie więcej niż trzy minuty, wedle innych przeszło pięć. Drzwi wyważono z niemałą trudnością.

Alfonzo Carcio, przedsiębiorca pogrzebowy, zeznaje, iż mieszka przy rue

Morgue. Pochodzi z Hiszpanii. Należał do tych, którzy weszli do kamienicy. Na schody nie wchodził. Jest nerwowo i obawiał się następstw podniecenia. Słyszał kłótnię głosów. Głos chrapliwy był głosem Francuza. Słów rozróżnić nie mógł. Głos przenikliwy brzmiał z angielska - jest tego pewien. Nie zna języka angielskiego, ale sądzi z intonacji.

Alberto Montani, cukiernik, zeznaje, iż jako jeden z pierwszych wbiegł na schody. Słyszał owe głosy. Głos chrapliwy był głosem Francuza. Rozróżnił kilka słów. Były to jakby napomnienia. Słów przenikliwego głosu nie dosłyszał. Był on przyspieszony i nierówny. Sądzi, że był to głos Rosjanina. Zeznania innych świadków na ogół potwierdza. Jest Włochem. Nie rozmawiał nigdy z rodowitym Rosjaninem.

Kilku świadków, zapytywanych ponownie, zeznaje, iż we wszystkich pokojach czwartego piętra kominy były za wąskie, by mogły przepuścić istotę ludzką. Miotły, o których mówili poprzednio, były to walcowate szczotki, używane przez kominiarzy. Szczotki te przeciągano przez wszystkie dymniki. Nie ma tylnego wyjścia, którym by mógł ktoś uciec, gdy ludzie wbiegli na schody. Zwłoki Mademoiselle L'Espanaye były tak mocno wtłoczone w komin, iż zdołało je wyciągnąć dopiero kilka osób.

Paweł Dumas, lekarz, zeznaje, iż wezwano go do obejrzenia ciał nad ranem. Oba trupy leżały na łóżku w pokoju, w którym znaleziono Mademoiselle L'Espariaye. Ciało dziewczyny znaczyły liczne otarcia i zmiżdżenia. Tłumaczą się one dostatecznie wtłoczeniem zwłok w komin. Skóra na szyi była zdarta. Tuż pod brodą widniało kilka głębokich zadraśnień oraz szereg zabiegłych krwią plam, które były niewątpliwie następstwem ucisku palców. Twarz była straszliwie bezbarwna; gałki oczne wysadzone na wierzch. Język był częściowo przecięty. W okolicy dołka podsercowego zaznaczał się ogromny siniak, wywołany prawdopodobnie uciskiem kolana. Wedle mniemania Monsieur Dumasa Mademoiselle L'Espanaye została uduszona przez jedną lub kilka nieznaną osób. Ciało matki uległo potwornemu zniekształceniu. Wszystkie kości prawej nogi i ramienia były mniej lub więcej pogruchotane. Lewa goleń zmiżdżona, tak samo wszystkie żebra lewej strony. Całe ciało okropnie pokaleczone i zmienione. Niepodobna powiedzieć, w jaki sposób dokonano tych uszkodzeń. Ciężka pałka drewniana, wielki drąg żelazny, stółek, jakaś duża, ciężka i tępa broń - mogłyby wywołać takie następstwa, gdyby dostały się w ręce nadzwyczaj silnego mężczyzny. Kobieta nie zdołałaby zadać takich ciosów żadną bronią. Głowa zmarłej, gdy ją świadek zobaczył, była zupełnie oddzielona od tułowia i również pogruchotana.

Gardziel była przecięta jakimś ostrym narzędziem - prawdopodobnie brzytwą.

Aleksander Etienne, chirurg, wezwany wraz z Morisieur Dumasem do obejrzenia zwłok. Przytacza się do zeznania Monsieur Dumasa.

Ponadto nie dowiedziano się niczego ważniejszego, aczkolwiek przesłuchiowano jeszcze kilka innych osób. Równie tajemnicze i równie zawile w szczegółach zabójstwo nie zdarzyło się jeszcze dotychczas w Paryżu - jeżeli w ogóle może być mowa o zabójstwie. Policja zupełnie straciła głowę - niezwykle wypadek w sprawach podobnego rodzaju. Co prawda, nie ma ani cienia jakichkolwiek poszlak.

Wieczorne wydanie dziennika donosiło, iż w dzielnicy Saint Roch panuje w dalszym ciągu ogromne wzburzenie, że miejsce zbrodni poddano ponownemu starannemu badaniu, że zarządzono powtórne przesłuchanie świadków, lecz na darmo. Dopisek nadmieniał, iż aresztowano i uwięziono Adolfa Le Bon, aczkolwiek poza przytoczonymi już szczegółami nic nie przemawiało przeciw niemu.

Dupin zdawał się z niezmiernym zajęciem śledzić przebieg tej sprawy - tak przynajmniej sądziłem z jego zachowania, gdyż nie wspominał o niej ani słowem. Dopiero po przeczytaniu wiadomości, że Le Bona uwięziono, zapytał mnie, co myślę o tej zbrodni.

Mogłem tylko podzielić zdanie całego Paryża, że jest to niedocieczona tajemnica. Nie pojmowałem zgoła, w jaki sposób można by wytropić zabójcę.

- Nie należy wnioskować o sposobach - rzekł Dupin - z tego powierzchownego śledztwa. Policja paryska, którą tak bardzo wychwala się za jej przenikliwość, jest przebiegła, nic więcej. Kieruje się w swym postępowaniu tylko metodą dyktowaną przez okoliczności. Lubi popisywać się rozległością swych zarządzeń, ale niejednokrotnie są one tak niewłaściwie zastosowane do sprawy, o którą chodzi, iż przypomina się wyrażenie Monsieur Jourdaina, który domagał się swej robe de chambre - pour mieux entendre la musique³. Wyniki przez nią osiągnięte bywają nieraz zdumiewające, lecz przeważnie są one owocem zwyczajnej zapobiegliwości i sprężystości. Gdzie te zalety nie wystarczają, system zawodzi. Vidocq, na przykład, miał zmysł śledczy i dużą wytrwałość. Ale nie wyćwiczony w myśleniu, popełniał nieustannie błędy, wynikające właśnie z usilności jego śledczych poszukiwań. Umniejszył swą zdolność widzenia, patrząc na przedmioty z nazbyt bliskiej odległości. Był snadź zdolny dostrzec jeden lub dwa szczegóły z niepospolitą bystrością, lecz skupiając uwagę na nich, tracił oczywiście z oczu rzecz w całości. Tak to bywa, gdy ktoś chce być za głęboki. Prawda nie zawsze znajduje się w studni. Toteż mniemam, iż poszlaki większej wagi leżą zawsze na wierzchu. Prawdy szuka się w dolinach, ale znajduje się ją na wysokościach gór. Przy badaniu ciała niebieskich objawiają się typowe źródła i właściwości błędów tego rodzaju. Spoglądając na gwiazdę przelotnie - patrząc na nią ukośnie, mianowicie w ten sposób, iż zwraca się ku niej boczną częścią siatkówki (znacznie wrażliwszą na słabe oddziaływanie światła niżeli jej ośrodek), dostrzega się ową gwiazdę dokładnie - ocenia się najwłaściwiej jej świetlistość, która słabnie w miarę, jak zwracamy ku niej spojrzenie na wprost. Wprawdzie w drugim wypadku pada na oko więcej promieni, ale za to w pierwszym istnieje subtelniejsza pobudliwość na wrażenia wzrokowe. Nadmierne pogłębienie osłabia i mąci jasność myśli. Jakoż byłoby rzeczą możliwą, że nawet Wenus znikłaby nam z roztoczy niebieskiej, gdybyśmy jęli śledzić ją z usilnością zbyt skupioną, zbyt wyteżoną, zbyt bezpośrednią.

Zastanówmy się nieco nad owymi zabójstwami, zanim ustalimy nasze poglądy. Śledztwo będzie dla nas rozrywką (w zestawieniu z tragizmem zdarzenia określenie to wydało mi się dziwaczne, ale nie rzekłem ani słowa), przy tym Le Bon wyświadczył mi raz pewną przysługę, za którą chciałbym się mu wywdzięczyc. Pójdźmy przyjrzeć się domostwu własnymi oczyma. Znam prefekta policji i sądzę, że otrzymamy bez trudu potrzebne pozwolenie.

Pozwolenia nam udzielono i udaliśmy się niezwłocznie na rue Morgue. Jest to jedna z owych nędznych przecznicy, łączących rue Richelieu z rue Saint-Roch. Było już pod wieczór, gdyśmy tam przybyli, jako że owa dzielnica znajduje się w znacznej odległości od naszej. Dom odszukaliśmy z łatwością, gdyż po przeciwnej stronie ulicy wciąż jeszcze gromadziło się mnóstwo przechodniów gapiących się na zamknięte okiennice z bezmyślną ciekawością. Była to zwyczajna kamienica paryska z bramą wjazdową, obok której znajdowała się oszklona nisza, a w niej ruchome okienko, świadczące, że mieściła się tu loge du concierge. Zanim weszliśmy do bramy, chodziliśmy czas jakiś po ulicy i bocznym zaułkiem okrążyliśmy dom dokoła. Dupin przyglądał się mu i całemu otoczeniu z wyteżoną uwagą, ja natomiast nic ciekawego dostrzec nie mogłem.

Następnie zawróciliśmy, podeszliśmy ku domostwu od strony frontowej, zadzwoniliśmy i pokazaliśmy nasze upoważnienia agentowi, który nas wpuścił do wnętrza. Po schodach weszliśmy do pokoju, gdzie znaleziono zwłoki Mademoiselle L'Españay i gdzie leżały jeszcze obie zmarłe. Nieład, panującego w pokoju, nie tknięto, jak to zazwyczaj czyni się w podobnych wypadkach. Nie zauważyłem niczego więcej ponadto, o czym już czytałem w „Gazette des Tribunaux”. Dupin badał wszystko - nie wyłączając zwłok ofiar. Obejrzeliliśmy z kolei inne pokoje, a potem zeszlismy na podwórze. Żandarm nie odstępował nas ani na krok. Śledztwo trwało do zmierzchu, po czym powróciliśmy do naszego mieszkania. Po drodze mój towarzysz wstąpił do biura jednego z pism codziennych.

Wspomniałem już, że mój przyjaciel miał mnóstwo dziwactw. Je les ménageais⁴ (wyrażam się po francusku, gdyż na to określenie nie mogę znaleźć odpowiednika). Strzeliło mu coś do głowy i nie chciał rozmawiać ze mną o owych zabójstwach aż do południa następnego dnia. Wówczas zagadnął mnie, czy nie zauważyłem niczego osobliwego na miejscu zbrodni.

Słowo „osobliwe” wymówił tak dziwnie, iż drgnąłem, sam nie wiedząc dlaczego.

- Nie, nic osobliwego - odparłem - przynajmniej nic innego, niż to, o czym obaj czytaliśmy w dzienniku.

- Lękam się - rzekł na to - iż „Gazette” nie wniknęła należycie w niewysłowiona groźbę tego zdarzenia. Lecz dajmy pokój gazetarskiej, czczej gadaninie. Sądzę, iż ta tajemnica uchodzi za niemożliwą do rozwikłania właśnie z tego powodu, dla którego należałoby ją uważać za łatwą do rozwiązania - a mianowicie z powodu niesłychaności swych objawów. Policję stropił oczywisty brak motywów nie samego zabójstwa, lecz okrucieństwa tegoż zabójstwa. Wprawiła ją również, w zakłopotanie pozorna niemożliwość pogodzenia kłótni owych głosów z tą okolicznością, iż na górze nie znaleziono nikogo prócz nieżywej Mademoiselle L'Españay oraz że niepodobna było umknąć stamtąd bez wiedzy osób wbiegających na schody. Dziki nieład w pokoju; zwłoki, wtłoczone głową w dół w komin; straszliwie pokaleczone ciało staruszki - te okoliczności, skojarzone z już przytoczonymi, jako też tymi, o których mówić nie potrzebuję, wystarczyły, by ubezwładnić władzę i zmylić najzupełniej sławioną przenikliwość agentów państwowych. Popelnili oni grubą, lecz pospolitą pomyłkę pomieszczenia niezwykłości z niedocieczonością. Wszelako, właśnie dzięki tym odstępstwom od powszedniego porządku rzeczy, rozum może wysledzić drogę - o ile ona w ogóle istnieje - która wiedzie do prawdy. Prowadząc śledztwo takie, jak obecne, nie tyle należy zwracać uwagę na to, „co się stało”, ile na to, „czego dotychczas nigdy jeszcze nie było”. Jakoż łatwość, z jaką przeniknę lub już przeniknąłem tę tajemnicę, pozostaje w prostym stosunku do oczywistej niemożności jej rozwikłania w mniemaniu policji.

Patrzyłem na mówiącego z niemym osłupieniem.

- Oczekuję obecnie - mówił dalej, spoglądając ku drzwiom naszego pokoju - oczekuję obecnie osoby, która prawdopodobnie nie była sprawcą tej rzezi, ale w pewnej mierze musiała w niej uczestniczyć. Najcięższe brzemię odpowiedzialności za popełnione zbrodnie spada na nią nie spada. Mam nadzieję, że moje przypuszczenia nie zawiodą, gdyż na nich to właśnie oparłem przewidywania, iż uda mi się rozwiązać całą zagadkę. Oczekuję tego człowieka tutaj - w tym pokoju - lada chwila. Może, co prawda, nie przyjdzie; istnieje jednakże prawdopodobieństwo, że przyjdzie. O ile by przyszedł, musi tu pozostać. Oto pistolety; a obaj wiemy, jak się z nimi obchodzić w razie potrzeby.

Wziąłem pistolety zaledwie wiedząc, co czynię, i niedowierzając niemal własnym uszom. Tymczasem Dupin mówił dalej, jak gdyby sam do siebie. Napomknąłem już o jego roztargnieniu w podobnych chwilach. Zwracał swe słowa do mnie, ale głos jego, acz bynajmniej nie donośny, miał tę intonację, jakiej używa się zazwyczaj mówiąc do kogoś na znaczną odległość. Oczy jego straciły wyraz i patrzyły tylko na ścianę.

- Iż spierające się głosy, które słyszeli ludzie na schodach, nie były głosami owych kobiet, to w zupełności wykazało dochodzenie. Nie może być zatem mowy o pytaniu, czy przypadkiem staruszka nie zabiła najpierw córki, a potem nie popełniła samobójstwa. Poruszam tę wątpliwość jedynie ze względu na metodę, gdyż siły Madame L'Españay nie mogłyby żadną miarą podolać tak silnemu wtłoczeniu trupa córki w otwór komina; ponadto rodzaj ran na jej własnym ciele nie dopuszcza zupełnie myśli o samobójstwie. Zabójstwo to popełniły zatem jakieś istoty trzecie i właśnie kłótnia tych trzecich była słyszana przez ludzi na schodach. Niechaj mi będzie wolno zwrócić teraz twoją uwagę nie na całość zeznań, dotyczących owych głosów, lecz na pewną osobliwość tych zeznań. Czy nie zauważyłeś w nich niczego osobliwego?

Odpowiedziałem, że o ile wszyscy świadkowie przypuszczali zgodnie, iż głos chrapliwy był głosem Francuza, o tyle różnili się wielce co do głosu przenikliwego, który jeden z nich nazwał szorstkim.

- To było oczywiste - rzekł Dupin - ale nie na tym polegała osobliwość tej oczywistości. Nie zauważyłeś rzeczy najznamienniejszej; a jednak można ją zauważyć. Świadkowie, jak powiedziałeś, nie różnili się co do głosu chrapliwego; zeznali zgodnie. Natomiast o ile chodzi o głos przenikliwy, istnieje pewna osobliwość; polega ona nie na rozbieżności zeznań, lecz na tym, iż Włoch, Anglik, Hiszpan, Holender i Francuz, kiedy chcieli go określić, wszyscy wyrażali się o nim jako o głosie cudzoziemca. Każdy z nich jest pewien, że nie był to głos ziomka. Każdy porównywał go nie z głosem przedstawiciela obcego narodu, którego język jest mu znany, lecz wręcz przeciwnie. Francuz przypuszcza, że był to głos Hiszpana, i „mógłby był rozróżnić niektóre słowa, gdyby umiał po hiszpańsku”. Holender utrzymuje, że był to głos Francuza, wszelako stwierdzono, że świadek ten nie umie po francusku i był przesłuchiwany za pośrednictwem tłumacza. Anglikowi się zdaje, że był to głos Niemca, ale nie zna języka niemieckiego. Hiszpan „jest pewien”, że „brzmiał z angielską”, lecz „sądzi z intonacją”, gdyż nie zna języka angielskiego. Włoch mniema, że był to głos Rosjanina, lecz nie rozmawiał nigdy z rodowitym Rosjaninem. Drugi Francuz różni się od pierwszego i wie na pewno, że był to głos Włocha, wszelako nie znając włoskiego języka, „odnosi wrażenie” - podobnie jak Hiszpan - „z intonacji”. Otóż jak dziwnie niezwykle musiał być ten głos, skoro takie o nim zebrano zeznania - skoro w jego tonach mieszkańcy pięciu wielkich połaci Europy nie mogli dosłyszeć niczego swojskiego! Mógłbyś odpowiedzieć, że może był to głos Azjaty lub Afrykanina. Azjatów i Afrykanów nie ma zbyt wielu w Paryżu; atoli, nie przecząc tej możliwości, chciałbym zwrócić twą uwagę na trzy punkty. Jeden ze świadków określa głos ten jako „raczej szorstki niż przenikliwy”. Dwu innych wyraża się o nim, że był

„przyspieszony i nierówny”. Żaden z nich nie mógł rozróżnić ani słów, ani dźwięków, które by były do słów podobne. Nie wiem - ciągnął dalej Dupin - co myślisz o dotychczasowych mych wywodach, lecz mimo to nie waham się twierdzić, że uzasadnione wnioski bodaj z tej części zeznań - mianowicie części dotyczącej głosu chrapliwego i przenikliwego - już wystarczają, by powziąć podejrzenie, które winno by stać się myślą przewodnią dalszych dochodzeń w tej tajemniczej sprawie. Powiedziałem: wnioski uzasadnione, ale zwrot ten nie odpowiada w zupełności mojemu mniemaniu. Chciałem zaznaczyć, iż tylko te wnioski są słuszne i że to podejrzenie jest ich nieodzownym następstwem jako jedyny ich wynik. Nie powiem ci jednak od razu, na czym podejrzenie owo polega. Chciałbym tylko przekonać ciebie, że to podejrzenie było najzupełniej wystarczające, by nadać poszukiwaniom moim na miejscu zbrodni pewną dążność - określoną celowość.

Przenieśmy się teraz myślą do owego pokoju. Czegóż będziemy tam szukali? W jaki sposób zdołali ująć zabójcy? Byłoby chyba rzeczą zbyteczną nadmieniać, że obaj nie wierzymy w zdarzenia nadprzyrodzone. Madame i Mademoiselle L'Españaye nie zginęły z ręki duchów. Sprawcy czynu byli materialni i umknęli w sposób najzupełniej materialny. Lecz jak? Na szczęście, w tej sprawie można rozumować tylko na jedną modłę, i to musi nas doprowadzić do ostatecznego rozstrzygnięcia. Zbadajmy kolejno wszystkie możliwe sposoby ucieczki. To pewne, iż zbójcy byli w pokoju, gdzie znaleziono Mademoiselle L'Españaye, lub może w pokoju sąsiednim, gdy tłum wbiegał na schody. Tylko w tych dwu pokojach należy zatem szukać wyjścia. Policja pozrywała posadzki, poobijała wszędzie w tynku sklepienia i ściany. Żadne wyjście tajne nie mogło ująć jej baczości. Nie dowierzając wszakże cudzym oczom, przyglądałem się wszystkiemu własnymi. Otóż nie ma tam ukrytego wyjścia. Dwoje drzwi, prowadzących z pokojów na korytarz, było mocno zamkniętych na klucz od wewnątrz. Przyjrzyjmy się kominom. Mają one zwykłą szerokość do wysokości jakichś ośmiu lub dziesięciu stóp ponad paleniskiem i nie zdołałby się przecisnąć przez nie nawet duży kot. Ujść jedną z dróg tylko co wymienionych jest rzeczą bezwarunkowo niemożliwą; pozostają więc tylko okna. Frontowymi nie mógł nikt umknąć, gdyż dostrzegłby go tłum zgromadzony na ulicy. Zabójcy uciekli zatem przez okna pokoju tylnego. Otóż doszedłszy w tak niezawodny sposób do tego wniosku, nie możemy pominąć go, jako zwolennicy ścisłego rozumowania, ze względu na pozorne niemożliwości. Pozostaje nam tylko dowiedzieć, że te pozorne „niemożliwości” bynajmniej nimi nie są.

W pokoju tym są dwa okna. Jedno z nich nie jest zastawione meblami i jest całkiem widoczne. Dolną część drugiego zasłania ściśle do niego przysunięte, wielkie wezwłowie łóżka. Jak się okazało, pierwsze było mocno zamknięte od wewnątrz. Oparło się wszystkim wysiłkom osób, które chciały je podnieść. W lewej jego ramie zauważono wielki otwór wywiercony świdrem, a w nim duży gwoździe, wbity niemal aż po łepkę. Przy oglądaniu drugiego okna dostrzeżono także gwoździe wbite w podobny sposób; mimo wyłożenia wszystkich sił nie udało się go również podnieść w górę. Policja była zatem najzupełniej przekonana, iż ucieczka nie nastąpiła w tym kierunku. I dlatego wydało się rzeczą zbyteczną wyjąć gwoździe i otworzyć okna.

Moje badania były nieco szczegółowsze, a to z powodów tylko co przytoczonych - mianowicie wiedziałem, iż chodzi o to, aby wykazać, że wszystkie pozorne niemożliwości bynajmniej niemożliwymi nie są.

Rozumowałem przeto dalej ? posteriori. Zabójcy uszli przez jedno z tych okien. Uczyniwszy to, nie mogli z powrotem przytwierdzić ram od wewnątrz, jak je zastali przytwierdzone. Było to tak oczywiste, że położyło kres dalszym badaniom policyjnym w tym zakresie. A jednak ramy były przytwierdzone. Musiały zatem zamykać się same. Wniosku tego uniknąć nie było podobna. Podszedłem do okna niezastawionego, wyciągnąłem gwoździe z niejaką trudnością i próbowałem podnieść je w górę. Oparło się wszystkim moim wysiłkom, jak zresztą przewidywałem. Pojąłem tedy, iż musi istnieć ukryta sprężyna; to potwierdzenie mojej myśli zasadniczej przekonało mnie co najmniej o słuszności mych założeń, aczkolwiek wciąż jeszcze niejasna była sprawa gwoździ. Staranne poszukiwania doprowadziły rychło do wykrycia tajnej sprężyny. Nacisnąwszy ją i zadowolony się odkryciem, nie uważałem już za potrzebne podnosić okna.

Włożyłem następnie gwoździe z powrotem na jego miejsce i przyglądałem się mu uważnie. Osoba, wychodząca przez okno, mogła je zamknąć i sprężyna byłaby chwyciła; ale gwoździe nie było można umieścić z powrotem. Wniosek był ścisły i znów zwęził zakres mych poszukiwań. A więc zabójcy musieli ująć przez drugie okno. Wychodząc z założenia, iż sprężyny u obu okien były takie same, trzeba było przyjąć, iż zachodziła różnica między gwoździami lub przynajmniej między sposobami ich wbicia. Stanąwszy na łóżku, uważnie przyglądałem się sponad wezwłowie ramie okiennej. Przesunąwszy następnie rękę poza skraj łóżka, z łatwością odszukałem i nacisnąłem sprężynę, która - jak przypuszczałem - nie różniła się niczym od sąsiedniej. Przyjrzałem się potem gwoździowi. Był tak samo duży jak poprzedni i wbity na pozór w ten sam sposób, niemal aż po łepkę.

Zapewne wyobrazasz sobie, iż byłem zakłopotany; jeżeli jednak sądzisz w ten sposób, to chyba nie zdajesz sobie sprawy z natury mych wnioskowań. Mówiąc gwarą myśliwską, nie „zmyliłem tropu ani razu”. Węch nie zawiódł mnie ani na chwilę. Nie było skazy na żadnym ogniwie łańcucha. Prześledziłem tajemnicę aż do jej krańcowego punktu, a tym punktem był ów gwoździe. Jak już wspominałem, nie różnił się on niczym w wyglądzie od gwoździe z drugiego okna. Wszelako nie miało to żadnego znaczenia (jakkolwiek wydawało się zakończeniem wszystkiego) w porównaniu z przeświadczeniem, że punkt ten był kresem ostatecznym. „Coś tu musi być nie w porządku - powiedziałem sobie - z tym gwoździem”. Dotknąłem go i główka wraz z calowym odłamkiem została mi w palcach. Reszta ułamanego gwoździe pozostała w wywierconym otworze. Złamanie musiało nastąpić już dawno (gdyż brzegi pokrywała rdza) i pochodziło zapewne od uderzenia młota, które zagłębiło częściowo łepkę w brzegu ramy. Włożyłem znowu odłamek gwoździe, zakończony główką, starannie w zagłębienie, z którego go wyjąłem, i podobieństwo do gwoździe całkowitego było zupełne - złamania nie było widać. Nacisnąwszy sprężynę, podniosłem z lekka ramę na kilka cali w górę; główka gwoździe uniosła się wraz z nią, lecz ani nie drgnęła w swym łożysku. Zamknąłem okno i podobieństwo do nie naruszonego gwoździe znów było zupełne.

Powiodło mi się zatem dokonać rozwiązania zagadki. Zabójca uciekł przez okno przytykające do łóżka. Nie wiadomo, czy po jego ucieczce zatrzasnęło się samo, czy też zatrzasnęła je czyjaś ręka; to pewne, iż sprężyna zaskoczyła na swe miejsce. I ona to przytrzymała okno, a nie gwoździe, jak mylnie sądziła policja, uważając z tego powodu dalsze dochodzenie za niepotrzebne.

Nasunęło się z kolei zagadnienie, w jaki sposób zabójca spuścił się na dół. Rozwiązałem je przechadzając się z tobą dokoła domu. Na jakie półszość stopy od owego okna przebiega lina druciana od gromochronu. Z liny tej niepodobieństwem jest osiągnąć okna ani też wejść na nie. Zauważyłem jednakże, iż okiennice czwartego piętra są tego szczególniejszego rodzaju, który stolarze paryscy nazywają ferrades; okiennice takich rzadko używa się obecnie, ale widuje się je często w prastarych domostwach Lyonu i Bordeaux. Mają one kształt zwyczajnych drzwi (całkowitych, a nie złożonych z podwoi), od których różnią się tylko tym, iż część dolna jest powyrzynana na wylot, podobnie jak dzierzgana

krata, i dzięki temu stanowi doskonałe oparcie dla rąk. W wypadku, o którym mowa, szerokość okiennic wynosi przeszło pół-czwartej stopy. Gdyśmy patrzyli na nie z dołu, były obie uchylone do połowy, to znaczy tworzyły z murem kąt prosty. Prawdopodobnie urzędnicy policyjni oglądali kamienicę także od tyłu, podobnie jak ja; jednakże patrząc na te ferrades od strony ich szerokości (bo nie mogli patrzeć inaczej), nie zwrócili uwagi na rozmiary tejsze szerokości lub - co na jedno wychodzi - nie wzięli ich należycie pod rozwagę. Przyszedszy bowiem do przekonania, iż ucieczka z tej strony była niemożliwa, zadowolili się oczywiście tylko pobieżnym obejrzeniem. Dla mnie natomiast było rzeczą jasną, iż gdyby okiennicę od okna u węzłowi łóżka odchylić aż do samego muru, to znalazłaby się ona o jakie dwie stopy od drucianej liny gromochronu. Zdawałem sobie również sprawę, iż istota, wyposażona niepoślednią przedsiębiorczością i odwagą, mogłaby w ten sposób przedostać się z owej liny na okno. Znalazłszy się bowiem w odległości półtrzeciej stopy (o ile przyjmiemy, że okiennica była otwarta w zupełności), złoczyńca mógł się uchwycić mocno dzierzganej kraty. Puściwszy się następnie liny, zaparłszy się nogami w ścianę i odepchnawszy się od niej, mógł silnym szarpnięciem spowodować zamknięcie się okiennicy i wskoczyć do pokoju, jeżeli okno było podówczas otwarte.

„Pragnąłbym, byś przede wszystkim zapisał sobie głęboko w pamięci to, co powiedziałem o arcyniepospolitym stopniu energii, jaka była potrzebna do pomyślnego wykonania tak trudnego i karkołomnego przedsięwzięcia. Zamierzam najpierw dowieść ci, iż było ono możliwe, następnie zaś - i o to głównie mi chodzi - zwrócić twoją uwagę na niesłychany i niemal nadnaturalny charakter zręczności, która zdołała się go podjąć.

Powiesz zapewne, posługując się wyrażeniem prawniczym, iż chcąc „rozdać sprawę”, powinien bym raczej umniejszać znaczenie energii okazanej w tym wypadku, niż dokładać starań, aby wyszła na jaw w całej pełni. Być może, iż tak bywa w sądach, ale inne są wymagania rozumu. Moim ostatecznym celem jest czysta prawda. Bezpośrednim zaś moim zamierzeniem jest skłonić cię do zestawienia tej nader niezwyklej energii, o której przed chwilą wspomniałem, z owym arcyprzenikliwym (czy szorstkim) i nierównym głosem, którego narodowości nie zdołały oznaczyć zgodnie bodaj dwie osoby i w którego brzmieniu nikt nie mógł dosłyszeć podziału na zgłoski.

Pod wpływem tych słów mglista i jeszcze nie ukształtowana świadomość poglądu Dupina zaświtała mi w mózgu. Zdawało mi się, że jestem na pograniczu zrozumienia, wszelako zrozumieć nie mogłem, podobnie jak to bywa czasem z ludźmi, którzy wahają się już na skraju przypomnienia, a jednak w zupełności przypomnieć sobie nie są zdolni. Tymczasem mój przyjaciel mówił dalej:

- Jak widzisz, zagadnienie, w jaki sposób odbyła się ucieczka, przekształciłem w zagadnienie, jak nastąpiło wtargnięcie. Zamierzeniem moim było wykazać, iż zarówno wejście, jak wyjście dokonało się w ten sam sposób i na tym samym miejscu. Wróćmy teraz do wnętrza pokoju. Rozejrzyjmy się w jego wyglądzie. Szuflady komody rzekomo uległy grabieży, chociaż pozostało w nich jeszcze wiele przedmiotów wchodzących w skład kobiecego stroju. Wnioskowanie to jest niedorzeczne. To tylko przypuszczenie - niemądre przypuszczenie - nic więcej. Skądże wiadomo, iż przedmioty, znalezione w szufladach, nie stanowiły całkowicie pierwotnej ich zawartości? Madame L'Españaye i jej córka żyły samotnie - nie bywały w towarzystwach - rzadko wychodziły z domu - nie miały potrzeby zmieniać często swych strojów. Te, które znalezione, nie ustępowały bynajmniej jakością innej odzieży, stanowiącej własność tych pań. Jeżeli złoczyńca zabrał cokolwiek, to czemuż nie wziął rzeczy najcenniejszych - czemu nie zabrał wszystkich? Słowem, dlaczego porzucił cztery tysiące franków w złocie, a obarczył się pękiem bielizny? Złoto pozostało. Niemal całą sumę, o której wspominał bankier, M. Mignaud, znaleziono w workach na posadzce. Pragnąłbym więc wyplenić z twych myśli bałamutną ideę zysku, wylęgłą w mózgach policji pod wpływem zeznań o pieniądzach, doręczonych u bramy kamienicy. Zbieżności, dziesięciokrotnie ważniejsze od przytoczonej (doręczenie pieniędzy i zbrodnia, popełniona po upływie trzech dni na osobie, która je odebrała), zdarzają się co godzina w naszym życiu, a jednak nawet przelotnie nie zwracają na siebie niczyjej uwagi. Zresztą zbieżności są w ogóle wielkimi kamieniami obrazy, zawalającymi drogę tej kategorii myślicieli, którzy nie mają pojęcia o teorii możliwości - a jej to właśnie najszczytniejsze dziedziny badań ludzkich zawdzięczają chwałę swych rozwidnień. Gdyby w wypadku, który nas obchodzi, złoto by znikło, to okoliczność doręczenia go na trzy dni przedtem byłaby czymś więcej niż zbieżnością. Stanowiłaby potwierdzenie owej idei zysku. Jeżeli wszakże, mając rzeczywisty stan rzeczy na uwadze, przypuścimy, iż złoto było powodem tej napaści, to musimy również przyjąć, że sprawca był do tego stopnia niezdara i matołkiem, iż wyrzekł się złota oraz motywu, który nim powodował.

Nie zapominając tedy ani przez chwilę o szczegółach, które ci wyłuszczyłem - a więc o owym osobliwym głosie, o nadzwyczajnej zręczności jako też o tym, iż ta wyjątkowo potworna zbrodnia wykazuje zastanawiający brak motywów - pozwól, iż przyjrzymy się z kolei samej rzezi. Oto czyjeś ręce zadławiły na śmierć kobietę i wtłoczyły ją w komin, głową na dół. Zbrodniarze zwyczajni nie posługują się podobnymi sposobami zabójstwa. Przede wszystkim zaś nie obchodzą się tak dziwnie ze zwłokami swych ofiar. Ze sposobu, w jaki wtłoczono trupa w przewód kominu, wywnioskujesz przecie, iż zaszło coś bezgranicznie dziwaczego - coś bezwarunkowo nie dającego się pogodzić z właściwym nam pojmowaniem czynności ludzkich, nawet w takim razie, jeżeli przypuścimy, iż sprawcy byli najostatniejszymi wyrzutkami ludzkości. Zastanów się ponadto, jak olbrzymia musiała być siła, która zdołała wtłoczyć zwłoki w przewód z taką mocą, iż zaledwo połączone wysiłki kilku osób zdołały je wydobyć z powrotem!

Zwróćmy następnie uwagę na inne oznaki tej nieuskromionej siły. Na palenisku znajdowały się grube pasma - bardzo grube pasma - siwych, ludzkich włosów. Wyrwano je wraz z korzonkami. Wiesz dobrze, jak znacznej siły potrzeba, by wyrwać naraz z głowy chociażby tylko dwadzieścia lub trzydzieści włosów. Widziałeś te klaki tak samo, jak ja. U nasady (co za ohydny widok!) były pozlepiane krwawymi strzępami skóry - niezawodna oznaka zdumiewającej mocy, jakiej użyto, by wyrwać wraz z korzonkami za jednym zamachem jakie pół miliona włosów. Gardziel staruszki była w ten sposób przecięta, iż głowa po prostu odpadła od tułowia - a narzędziem była zwykła brzytwa. Pragnąłbym, byś uprzytomnił sobie zwierzęcą dzikość tych czynów. Obrażenia na ciele Madame L'Españaye pominię. Monsieur Dumas i jego szanowny asystent, Monsieur Etienne, orzekli, iż zadano je jakimś tępym narzędziem, i mieli najzupełniejszą słuszność. Owym tępym narzędziem był kamienny bruk podwórka, na które spadła ofiara z okna przytykającego do łóżka. Pomysł ten, choć na pozór najzupełniej zwyczajny, nie powstał w mózgach policji dla tego samego powodu, dla którego szerokość okiennic uszła tej uwagi: tak szczerlnie zagwoździły jej zdolność pojmowania owe gwoździe, iż nie przypuszczała, by okna w ogóle mogły być otwierane.

Jeżeli na domiar wzięłeś należycie pod rozwagę cudaczny nieład w pokoju, to będziemy mieli wszystkie dane, by skojarzyć pojęcia przedziwnej zręczności, nadludzkiej siły, zwierzęcej dzikości, bezcelowej zbrodni, cudactwa, którego groteskowa groza nie ma nic wspólnego z człowieczeństwem, a także głosu, którego ton brzmiał obco w uszach ludzi wielu

narodowości i był najzupełniej pozbawiony wyraźnego i zrozumiałego podziału na zgłoski. Do jakiegoż zatem dochodzisz wniosku? Jakie wrażenie wywarłem na twej wyobraźni?

Dreszcz jakiś przebiegł moje ciało, gdy Dupin postawił mi to pytanie.

- Szalenciec - rzekłem - dopuścił się tego czynu; jakiś obłąkany maniak, co zbiegł z pobliskiego domu wariatów.

- Są okoliczności - odparł - które przemawiają za twoim zdaniem. Wszelako głosy szaleńców, nawet w chwilach najdzikszego ich rozpętania, nie dadzą się żadną miarą pogodzić z owym szczególniejszym głosem, zasłyszonym na schodach. Każdy wariat należy do jakiegoś narodu, a język jego, acz bezładny w słowach, wykazuje zawsze ład w zgłoskowaniu. Ponadto włosy szaleńców różnią się od tych, które w tej chwili trzymam w dłoni. Wskubałem oto ten mały kosmyk z odrętwiałych i zaciśniętych palców Madame L'Espanaye. Powiedz mi, co sądzisz o nich?

- Dupin! - rzekłem, wstrząśnięty do głębi - to jakieś dziwne włosy - to nie są ludzkie włosy!

- Bynajmniej tego nie utrzymywałem - odezwał się - zanim jednak coś o nich postanowimy, chciałbym, byś rzucił okiem na rysunek, skreślony przeze mnie na tym oto papierze. Jest to rysunkowa podobizna tego, co jedni świadkowie określili jako „ciemne sińce i głębokie ślady paznokci” na gardzieli Mademoiselle L'Espanaye, inni zaś (mianowicie Messieurs Dumas i Etienne) jako „szereg nabiegłych krwią plam, które były niewątpliwie następstwem ucisku palców”.

- Jak widzisz - mówił dalej mój przyjaciel, rozpościerając papier na stole - rysunek ten daje wyobrażenie krzepkiego i pewnego chwytu. Jakichkolwiek ześliźnięć nie widać. Każdy palec wytrzymał - prawdopodobnie aż do zgonu ofiary - w strasliwym ucisku, z jakim pierwotnie się zagłębił. Spróbujże teraz umieścić od razu swe palce w odpowiednich śladach, które tu masz zaznaczone.

Spróbowałem, ale nadaremnie.

- Być może, iż zabieramy się do rzeczy w niewłaściwy sposób - powiedział. - Papier ten leży na powierzchni płaskiej, a gardziel ludzka jest walcowata. Oto walec drewniany, który ma ten obwód, co szyja ludzka. Owiń dokoła niego rysunek i spróbuj raz jeszcze.

Postąpiłem wedle jego wskazówek, lecz trudność jeszcze się wzmogła.

- Nie, to nie są ślady ręki ludzkiej - rzekłem.

- Przeczytajże teraz - odparł Dupin - ten ustęp z Cuviera. Był to drobiazgowy opis anatomiczny wielkiego brunatnego orangutana z Archipelagu Wschodnioindyjskiego. Olbrzymia postawa, niesłychana zręczność i siła, niepomahowana dzikość i właściwości naśladowcze tego ssaka są wszystkim dostatecznie znane. Pojąłem od razu całą potworność zabójstwa.

- Opis palców - powiedziałem skończywszy czytać - wykazuje najzupełniejszą zgodność z tym rysunkiem. Przekonywam się, że żadne inne zwierzę prócz orangutana z wymienionego tu gatunku nie mogło pozostawić śladów uwidoczniionych na twoim rysunku. Także ten kosmyk brunatnej sierści odpowiada najzupełniej potworowi z opisu Cuviera. Wszelako żadną miarą nie mogę zdać sobie sprawy ze szczegółów tej przerażającej tajemnicy. Przy tym słyszano sprzeczkę dwu głosów, z których jeden był na pewno głosem Francuza.

- To prawda - i przypominasz sobie zapewne wykrzyknik, przypisywany przez świadków niemal jednomyślnie owemu głosowi; miał on brzmieć: mon Dieu! Słowa te, ze względu na towarzyszące okoliczności, słusznie określił jeden ze świadków (cukiernik Montani) jako wyraz wyrzutu czy upomnienia. Na nich to polegała przede wszystkim moja nadzieja zupełnego rozwiązania zagadki. Jakiś Francuz wiedział o tym zabójstwie. Jest rzeczą możliwą - a nawet więcej niż prawdopodobną, iż jest najzupełniej nie winien współdziałania w krwawym dziele. Być może, iż orangutan mu uciekł. Być również może, iż podążył jego śladem, lecz wśród wstrząsających okoliczności, jakie tam nastąpiły, nie zdołał pojmać go z powrotem. Zwierzę jest jeszcze na wolności. Nie będę snuł dalej tych przypuszczeń, gdyż nie mam prawa odwoływać się do nich - jako mgławice rozumowań, które służą im za podstawę, sięgają zaledwie tak głęboko, iż mogą być ocenione tylko przez mój własny rozum; nie mogę zatem dążyć do uprzyśtępnienia ich zrozumieniu cudzemu. Nazywajmy je tedy tylko przypuszczeniami i nie uważajmy ich za nic innego. Jeżeli ów Francuz, jak mniemam, istotnie jest nie winien tego okrucieństwa, to ogłoszenie, które wczoraj wieczorem, gdyśmy wracali do domu, oddałem do zamieszczenia w redakcji „Le Monde” (dziennik poświęcony sprawom żeglarskim i czytany powszechnie przez marynarzy), powinno go sprowadzić w nasze piętro.

NADZWYCZAJ DUŻEGO ORANGUTANA z gatunku żyjącego na Borneo schwytano wczesnym rankiem dnia... (tu następowała data morderstwa) w Bois de Boulogne. Właściciel jego (o którym wiadomo, iż jest marynarzem i należy do załogi statku maltańskiego) może go odebrać po dostatecznym stwierdzeniu tożsamości i uiszczeniu niewielkiego wynagrodzenia za schwytanie i żywienie zwierzęcia. Wiadomości zasięgnąć można pod nrem... przy rue..., Faubourg Saint-Germain, trzecie piętro.

- Skądże ty możesz wiedzieć - zagadnąłem - że ów człowiek jest marynarzem i należy do załogi maltańskiego statku?

- Toteż nie wiem tego - odparł Dupin. - Przynajmniej nie jestem pewien. Lecz spójrz, proszę cię, na ten strzęp wstążki, która - jak domyślam się z kształtu i zatłuszczonego wyglądu - służyła zapewne do wiązania włosów w owe długie harcapy, stanowiące chlubę marynarzy. Ponadto takiego węzła nikt nie zdoła zawiązać prócz marynarzy, w szczególności zaś Maltańczyków. Znalazłem tę wstążkę pod gromochronem. Nie należała na pewno do ofiar wypadku. Zresztą, jeżeli nawet się mylę, wnioskując z tej wstążki, iż ów Francuz należy do załogi maltańskiego statku, to ogłoszenie moje nie wyrządzi przecież krzywdy nikomu. Gdybym poblądził, pomyśli sobie po prostu, iż wprowadziła mnie w błąd jakaś okoliczność, i nie zechce trudzić się poszukiwaniem. Jeżeli natomiast mam słuszność, to wygrałem wielką stawkę. Wiedząc o zabójstwie, Francuz, acz niewinny, będzie się wahał, czy usłuchać wezwania - czy domagać się zwrotu orangutana. Będzie rozumował w ten sposób: jestem niewinny; jestem biedny; mój orangutan ma wielką wartość dla człowieka w moich warunkach to niemal majątek - czemuż mam go się pozbyć dla jakichś urojonych niebezpieczeństw? Jest do odebrania. Znalaziono go w Bois de Boulogne - bardzo daleko od widowni krwawego wypadku. Czyż ktoś może przypuszczać, by nierozumne zwierzę było sprawcą tego czynu? Policja jest w błędzie - nie zdołała znaleźć najlżejszej poszlaki. Gdyby nawet wytropiono zwierzę, to jeszcze byłoby rzeczą niemożliwą dowieść mi, że wiem o zbrodni, lub poczytać mi za winę, że o niej wiedziałem. To jednak pewne, iż ktoś wie o mnie. Ogłoszenie w dzienniku wyraża się o mnie jako o właścicielu zwierzęcia. Nie jestem pewien, jak daleko te wiadomości sięgają. Jeżeli zaniedbam się upomnieć o

tak cenną własność, o której wiadomo, że do mnie należy, to zwierzę może stać się przyczyną podejrzeń. Nie wyszłoby mi na dobre, gdyby zwrócono uwagę czy to na mnie, czy też na małpę. Pójdę za wezwaniem, odbiorę orangutana i będę go trzymał w zamknięciu, aż cała ta sprawa przycichnie.

W tej chwili usłyszeliśmy stąpanie na schodach. - Miej pistolety w pogotowiu - rzekł Dupin - ale ich nie pokazuj i nie strzelaj, dopóki nie dam znaku.

Brama domu stała otworem, przybysz wszedł przeto nie dzwoniąc i jał wstępować na schody. Wnet jednak jakby się zawahał. Po chwili począł schodzić na dół. Dupin szybko podbiegł ku drzwiom, wszelako tejsze samej chwili nieznajomy zmienił kierunek; podążył znowu w górę. Nie zawrócił ponownie, lecz stąpał dalej stanowczym krokiem i zapukał w końcu do drzwi naszego pokoju.

- Proszę! - odezwał się Dupin pogodnym i serdecznym głosem.

Nieznajomy wszedł do pokoju. Był to niewątpliwie marynarz - człowiek rośli, barczysty i muskularny, z miną zadzierzastą, jakby kpił sobie z wszystkich diabłów, nie pozbawiona jednak ujmującego wyrazu. Twarz jego, mocno opalona, zatracala się na poły w gęstwinie włosów i bokobrodów. Dzierzył potężny kij dębowy, lecz nie miał zapewne przy sobie innej broni. Skłonił się niezgrabnie i powitał nas słowami: „dobry wieczór”, z francuskim akcentem, skążonym nieco neufchatelskim nalotem, lecz świadczącym mimo to dostatecznie o pochodzeniu paryskim.

- Proszę siadać - rzekł Dupin. - Przychodzi pan zapewne po swego orangutana? Niemal go panu zazdroścę; daję słowo! Nadzwyczaj piękne i niewątpliwie bardzo cenne zwierzę. Jak pan przypuszcza, w jakim może być wieku?

Marynarz odetchnął głęboko, jak człowiek, któremu ciężki kamień spadł z serca, i odparł pewnym głosem:

- To trudno powiedzieć, lecz nie może mieć więcej niż cztery lub pięć lat. Czy ma go pan tutaj?

- O, nie, nie było tu dla niego pomieszczenia. Trzymam go w wynajętej stajni, tuż obok, przy rue Dubourg. Mogę go oddać panu jutro rano. Czy potrafi pan udowodnić, iż jest pańską własnością?

- To się rozumie.

- Niełatwo mi przyjdzie rozstać się z nim - odezwał się Dupin.

- Nie żądam przecie usług za darmo - rzekł nieznajomy. - Ani mi przez myśl nie przeszło coś podobnego! Zapłacę chętnie wynagrodzenie za schwytanie zwierzęcia - ma się rozumieć, umiarkowane.

- Zgoda! - odparł mój przyjaciel. - To bardzo pięknie z pańskiej strony. Czego by tu zażądać? Zaraz... już wiem. Moje wynagrodzenie będzie polegało na tym, iż dowiem się wszystkiego, co tylko pan wie, o zabójstwie przy rue Morgue.

Ostatnie słowa wyrzekł Dupin bardzo cicho i bardzo spokojnie. Z nie mniejszym spokojem podszedł do drzwi i zamknął je na klucz, który włożył do kieszeni. Po czym wyjął pistolet z zanadru i nie śpiesząc się położył go na stole.

Marynarzowi krew uderzyła do głowy, jak w przystępie duszności. Zerwał się z miejsca i zacisnął kij w pięści, lecz po chwili powalił się znów ciężko na krzesło, drżąc na całym ciele. Z rysów jego wyzierało śmiertelne przerażenie. Nie rzekł ani słowa. Żał mi go było serdecznie.

- Mój przyjacielu - rzekł Dupin dobrotliwie - niepotrzebnie pan się niepokoi, naprawdę niepotrzebnie! Nie chcemy sprawić panu przykrości. Daję słowo uczciwego człowieka i Francuza, że nie wyrządzimy panu krzywdy. Wiem najzupełniej dokładnie, że okrucieństwa przy rue Morgue nie były pańskim dziełem. Nie znaczy to jednak, jakobym przeczył, iż w pewnej mierze pan w nich uczestniczył. Z tego, co już powiedziałem, domyślił się pan zapewne, iż mam sposoby, za pomocą których udało mi się zasięgnąć o tej sprawie wiadomości - sposoby, o jakich panu nigdy się nie śniło. Otóż rzecz przedstawia się tak: nie uczynił pan nic takiego, czego można było uniknąć, i na pewno nie dopuścił się pan „niczego, co by czyniło pana winowajcą. Nie popełnił pan nawet kradzieży, jakkolwiek mógł pan kraść bezkarnie. Nie ma pan nic do ukrycia. Nie ma pan powodu do ukrywania. Jest więc najprostszym obowiązkiem honoru wyznać wszystko, co panu wiadomo. Uwięziono niedawno niewinnego człowieka, podejrzanego o zbrodnię, której sprawcę pan może wskazać.

Podczas przemówienia Dupina marynarz odzyskał w znacznej mierze przytomność umysłu, atoli dawniejsze jego zuchwałstwo znikło zupełnie.

- Bodajby mnie Bóg skarał - rzekł po krótkiej chwili - jeśli nie powiem panu wszystkiego, co wiem o tej sprawie; wszelako nie spodziewam się, żeby mi pan uwierzył, chociażby w połowie; byłbym wariatem, gdybym spodziewał się czegoś podobnego. Atoli jestem niewinny i wyznam wszystko, nawet gdybym miał to przypłacić życiem.

Opowieść jego brzmiała w streszczeniu następująco. Niedawno odbywał podróż po Archipelagu Indyjskim. Gromada marynarzy, do której należał, wylądowała na Borneo i wybrała się na wycieczkę w głąb wyspy. Przy pomocy jednego z towarzyszy udało mu się schwycić orangutana. Towarzysz ten umarł i zwierzę stało się wyłączną jego własnością. Po wielkich przykrościach, spowodowanych podczas podróży powrotnej nieuskromioną dzikością małpy, powiodło mu się w końcu umieścić ją w swym mieszkaniu w Paryżu. By uniknąć nieznośnej ciekawości sąsiadów, trzymał zwierzę w zamknięciu, co miało trwać aż do wygojenia mu się rany w nodze skaleczonej drzazgą na pokładzie okrętu. Ostatecznie zamierzał je sprzedać.

Powróciwszy z jakiejś koleżeńskiej hulanki do domu nocą, a raczej wczesnym rankiem tego dnia, kiedy nastąpiło zabójstwo, zastał małpę w swej sypialni, do której włamała się z przyległej komórki, gdzie - jak mu się dotychczas zdawało - przebywała w bezpiecznym zamknięciu. Z brzytwą w ręce i cała umazana mydłem siedziała przed lustrem i próbowała się golić, w czym zapewne podpatrzyła poprzednio swego pana przez dziurkę od klucza. Struchlały na widok tego niebezpiecznego narzędzia w rękach tak dzikiego zwierzęcia, które znakomicie umiało się nim posługiwać, marynarz nie wiedział zrazu, co począć. Przyzwyczajony jednakowoż do poskramiania nawet najwściekleszych wybuchów małpy za pomocą bata, zamierzał posłużyć się nim i tym także razem. Na widok bata orangutan wybiegł przez otwarte drzwi pokoju, stoczył się po schodach i wyskoczył na ulicę przez okno, które na nieszczęście stało otworem.

Zrozpaczony Francuz puścił się w pogoń; małpa, nie wypuszczając brzytwy z ręki, zatrzymywała się co chwila, by spojrzeć poza siebie, i stroiła miny do swego prześladowcy; kiedy zaś już ją dopędzął, uciekała dalej. Pościg ten trwał dość długo. Na ulicach panowała głęboka cisza, gdyż była zaledwie trzecia rano. W wąskiej uliczce, co przebiega tuż obok rue Morgue, zauważyła uciekająca małpa światło jarzące się z otwartego okna pokoju, który Madame L'Españaye zajmowała na czwartym piętrze swego domu. Podbiegłszy do muru dostrzegła linę gromochronu, wspięła się na nią z niepojętą zręcznością, uchwyciła się okiennicy uchylonej aż do samego muru i przy jej pomocy wskoczyła na wezglowie łóżka. Wszystko to nie trwało nawet minuty. Orangutan, wdzierając się do pokoju, kopnięciem nogi znów otworzył na oścież okiennice.

Tymczasem marynarz zarazem cieszył się i trwożył. Miał bowiem niepłonną nadzieję, iż oto uda się mu odzyskać zwierzę, które wpadło w pułapkę i mogło wydostać się z niej tylko po linie, gdzie było nietrudno przeszkodzić jego

ucieczce. Równocześnie ogarniał marynarza niepokój, gdy nasuwało mu się pytanie, co mała może spłacać w tym domu. Myśl ta kazała mu nie ustawać w pościgu. Wspiąć się na linę gromochronu nie jest zbyt trudno, zwłaszcza dla marynarza. Kiedy jednak znalazł się na wysokości okna, które znajdowało się na lewo od niego, musiał się zatrzymać; mógł uczynić zaledwie tyle, by wyprostować się i zajrzeć do wnętrza pokoju. Zajrzawszy jednak, omal nie postradał równowagi z przerażenia. Było to wówczas, kiedy wśród ciszy nocnej rozległy się straszliwe krzyki, budząc ze snu struchlałych mieszkańców rue Morgue. Madame L'Españaye i jej córka, obie ubrane do snu, były - jak się zdaje - zajęte porządkowaniem jakichś papierów we wspomnianej już żelaznej szkatułce, wyciągniętej na środek pokoju. Była otwarta, a jej zawartość leżała obok na posadzce. Ofiary siedziały zapewne odwrócone od okna, zaś z czasu, jaki upłynął między wtargnięciem zwierzęcia a krzykami, wynika, że nie dostrzegły go od razu. Stuknięcie okiennicy przypisywały zapewne wiatrowi.

Kiedy marynarz zajrzał do środka, potworne zwierzę ujęło Madame L'Españaye za włosy (które były rozpuszczone, gdyż właśnie się czesała) i jęło wymachiwać brzytwą dokoła jej twarzy, naśladowując ruchy golarza. Córka leżała nieruchomo na posadzce; postradała przytomność. Pod wpływem krzyków i szamotania się staruszki (której mała wyrwała przy tym włosy) pokojowe - jak się zdaje - zamiary orangutana zamieniły się we wściekłość. Stanowczym ruchem potężnego ramienia niemal odciął jej głowę od tułowia. Na widok krwi gniew jego rozplomieniał się do szału. Zgrzytając zębami i syjąc skrami z oczu rzucił się na ciało dziewczyny, wpił straszliwe szpony w jej gardło i dzikie spojrzenie zwróciło się w tej chwili ku wezgowiu łóżka, znad którego wyjrzała właśnie twarz jego pana, zakrzepła z przerażenia. Wściekłość potwora, który bez wątpienia nie zapomniał jeszcze okrutnego bata, przedzierzgnęła się natychmiast w trwogę. Widząc, iż zasłużył na karę, i jak gdyby pragnąc ukryć swe krwawe czyny, miotał się w przystępie nerwowego podniecenia po pokoju, przewracał i druzgotał co krok meble i wyrzucał materace z łóżka. W końcu porwał najpierw trupa dziewczyny i wtoczył w komin, gdzie go znalezione, następnie zaś zwłoki staruszki, które głową na dół niezwłocznie wyrzucił przez okno.

Gdy mała z okaleczonym ciałem podbiegła do okna, struchlały marynarz przyłgał znów do liny i ślizgając się raczej niż czepiając opuścił się na ziemię - po czym natychmiast pobiegł do domu i wzdygając się na myśl o następstwach tej rzezi wyrzekł się, strwożony, dalszych poszukiwań orangutana. Słowa zasłyszane na schodach były to okrzyki, którymi Francuz wyrażał swą grozę i przerażenie i na które odpowiadały mu szatańskie skowyty potwora.

Niewiele pozostaje mi do nadmienienia. Orangutan uciekł zapewne z pokoju po linie, kiedy przystępowano do wyłamania drzwi. Wyskakując z okna, zatrzasnął je snadź za sobą.

Ostatecznie zdołał go pojmać sam właściciel, który sprzedał go drogo do Jardin des Plantes. Le Bon został wypuszczony natychmiast z więzienia, gdyżśmy w biurze prefekta policji opowiedzieli, co zaszło, a Dupin oświetlił wypadki po swojemu. Prefekt, acz nader życzliwie usposobiony do mojego przyjaciela, nie mógł mimo to całkiem ukryć niezadowolenia z takiego obrotu sprawy i pozwolił sobie na jedną czy dwie złośliwostki o osobach, co wtórcą się do nie swoich rzeczy.

- Niechaj sobie gada - rzekł Dupin, który nie uważał za stosowne mu odpowiedzieć. - Niechaj się wyskarży! To ulży jego sumieniu. Jestem zadowolony, iż zwyciężyłem go w jego własnej dziedzinie. Nie pojmuję tylko, dlaczego tak bardzo wydziwiał, iż nie powiodło się mu rozwiązać tej zagadki, gdyż mówiąc prawdę - nasz przyjaciel prefekt zbyt jest szuczany, aby mógł być głęboki. Jego znajomość rzeczy nie ma kręgosłupa. Jest tylko głową, a nie ciałem, jak wizerunki bogini Laverny - lub, co najwyżej, głową i ramionami na podobieństwo dorsza. Lecz, mimo wszystko, to człowiek wcale przyzwoity. Lubię go za przedziwny w jego naturze rys cantu, któremu zawdzięcza wygórowane mniemanie o swych zdolnościach. Mam mianowicie na myśli jego właściwość de nier ce qui est, et d'expliquer ce qui n'est pas⁵.

W bezdni Maelströmu

Drogi Boże porównie w Przyrodzie jak w Opatrzności nie są na podobieństwo dróg naszych; a kształty, które my tworzymy, nie dają się żadną miarą zestawić z bezmiarem, głębią i niedocieczonością Jego dzieł, co są otchłannejsze niż studnia Demokryta.

(Joseph Glanvill)

Dotarliśmy wreszcie na szczyt najwyższego wiszaru. Zdawało się przez chwilę, iż starzec nie może odzyskać głosu z nadmiernego zmęczenia.

- Niedawno jeszcze temu - odezwał się w końcu - przyprowadzić tu kogoś było mi równie łatwo jak memu najmłodszemu synowi; lecz przed trzema niespełna laty zdarzyła się mi przygoda, jakiej jeszcze nie doznała żadna istota śmiertelna - lub co najmniej - z jakiej jeszcze nikt nie uszedł z życiem, by ją opowiedzieć. Przeżyłem wówczas sześć godzin śmiertelnego lęku, co złamał mnie na duszy i ciele. Panu zapewne się zdaje, że zgrzybiały starzec - lecz tak nie jest. Dość było niecałego dnia, by krucze me włosy okryć siwizną, osłabić me członki i do tego stopnia rozprząć mi nerwy, iż drzę za najlżejszym wysiłkiem i lękam się własnego cienia. Czy pan uwierzy, iż patrząc w dół z tego marnego urwiska bliski jestem zawrotu głowy?

„Marne urwisko”, na którego skraju spoczywał tak niedbale, iż cięższa część jego ciała zwieszała się już nad przepaścią, zaś jedynym oparciem dla jego łokci, co go chroniły od upadku, była oślizła krawędź skalna - owo „urwisko” przedstawiało się jako skrzęsana iglica czarnej, lśniącej turni, co wśród kamiennego świata jeżących się pod nami szczytów wystrelała do pięciuset lub sześciuset stóp wysokości. Za nic w świecie nie byłbym się zbliżył na sześć stóp do jej krawędzi. Niebezpieczna pozycja mojego towarzysza wprawiała mnie w „taki rozstrój, iż rzuciłem się jak długi na ziemię, uczepliłem pobliskich krzewów i nie śmiałem nawet podnieść oczu ku niebu - zaś równocześnie na próżno - starałem się otrząsnąć z przypuszczenia, iż wściekłość wichru zagraża górze w samych jej posadach. Trzeba było długiego czasu, zanim zdobyłem się na tyle odwagi, by usiąść i spojrzeć przed siebie w oddal.

- Niech pan się pozbędzie tych przywidzeń - rzekł mój przewodnik - przyprowadziłem tu pana, by pokazać widownię zdarzenia, o którym już wspominałem, i żeby pan wysłuchał mego opowiadania patrząc na to miejsce z bliska, własnymi oczyma.

- Znajdujemy się obecnie - mówił dalej z właściwą sobie drobiazgowością - tuż u wybrzeża Norwegii, pod sześćdziesiątym ósmym stopniem szerokości geograficznej w wielkiej prowincji nordlandzkiej i w pępym okręgu Lofotów. Góra, na której szczycie spoczywamy, zwie się Helsegen - Zachmurzona. A teraz niech pan uniesie się nieco

wyżej - proszę trzymać się trawy, jeśli panu nieswojo - tak - i niech pan wyjrzy poza tę obręcz obłoków, co legła pod nami, w dół, na morze.

Spojrzałem na poły nieprzytomnie i dostrzegłem rozokolony przestwór oceanu, którego wody mieniły się taką głęboką czernią, iż przyszło mi na myśl opowiadanie nubijskiego geografę o Mare Tenebrarum. Beznadziejniej zamarłego krajobrazu nie zdoła wyśnić żadna wyobraźnia ludzka. W prawo i w lewo, jak daleko sięgnąć okiem, widniały na kształt przedmurzy świata rzędy straszliwie czarnych i nawisłych skał, których posepność uwydatniała się jeszcze wyraźniej wśród rozedrganej toni, co z nieustannym wyciem i skowytom chłostała je widmową bielą swej grzywy. Naprzeciw przylądka, na którym znajdowaliśmy się, w odległości pięciu lub sześciu mil majaczyła niewielka, zaprzepaszczonego wśród morza wysepka; czyli raczej - by wyrazić się ściśle - miejsce, w którym się znajdowała, zaznaczało się dzikim wrzieniem spowijającego ją odmetu. Nieco bliżej, na dwie mile od brzegu, wznosiła się druga, mniejsza, przeraźliwie jałowa i kamienista, okolona gdzieniedgie poszczerbioną ciemnych skał smugą.

Wygląd oceanu między odleglejszą wysepką a wybrzeżem miał w sobie coś niezwykłego. Jakkolwiek w kierunku lądu dał właśnie wiatr tak silny, iż dwumasztowiec, widniejący w oddali na pełnym morzu, pruł falę na ukos, zastawiając się podwójnie nawleczonym zagłem i zapadając mimo to co chwila całym kadłubem w głębię, jednakże na tym miejscu nie było ani śladu prawidłowego przelewania się fali; w krótkich, ostrych, drgających podrzutach chęłbotały się wody, rozbiegając się we wszystkich kierunkach - zarówno pod wiatr, jak i przeciw niemu. Poza bezpośrednim pobliżem skał, pian było tam niewiele.

- Wyspę hen, w dali - podjął znów starzec - nazywają Norwegowie Vurrgh; tę zaś pośrodku - Moskoe. Owa o milę na północ - to Ambaaren. Inne zwą się: Islesen, Hotholm, Keildhelm, Suarven i Buckholm. Jeszcze dalej, między Moskoe a Vurrgh, leży Otterholm, Flimen, Sandflesen i Stockholm. Takie są ich właściwe nazwy. Lecz dlaczego w ogóle uważano za stosowne ponadawać im nazwy, tego niepodobna pojąć ani mnie, ani panu. - Czy pan coś słyszy? - Czy zauważył pan zmianę w wodzie?

Już od dziesięciu minut znajdowaliśmy się na szczycie Helseggenu, dokąd weszliśmy od wnętrza Lofotów, nie widząc wcale morza, które dostrzegliśmy dopiero z wierzchołka. Kiedy starzec mówił, rozległ się donośny i stopniowo wzmagający się zgiełk, podobny do poryku nieprzeliczonego stada bawołów na preriach amerykańskich; równocześnie zauważyłem, iż to, co żeglarze nazywają chęłbotaniem oceanu, przeobraziło się nagle w prąd, zwracający się ku wschodowi. Prąd ten w mych oczach przybierał niesłychaną szybkość. W okamgnieniu zwiększał się jego pęd - nawałnicowy jego rozmach. W pięć minut cały przestwór morski aż po wyspę Vurrgh zawrzał nieuskromioną wściekłością; najsilniejszy wszakże zamęt wszczął się między Moskoe a wybrzeżem. Olbrzymia roztoż wodna poryła się i poradliła tysiącem roztrącających się wzajem nurtów, zwichrzyła się w potępieńcze kłęby, zakotłowała się kipiąc, sycząc i skracając się w nieprzeliczone, ogromne leje - po czym wirowym ruchem runęła ku wschodowi z chyżością, jaką zazwyczaj miewa tylko woda staczająca się ze stromej wysokości.

W kilka chwil później na całej widowni zaszła inna najzupełniejsza zmiana. Powierzchnia morza wygładziła się nieco, wiry jeden po drugim poznikały, natomiast w miejscach, gdzie ich przedtem nie było, wystąpiły potworne smugi piany. Smugi te, rozpostarły się na wielkiej przestrzeni i połączywszy się ze sobą, wszczyły obrotowy ruch zanikłych już lejów i jęły tworzyć zawiązek nowego, jeszcze większego. W okamgnieniu przybrał on widome i określone formy wśród kręgu o przeszło milowej średnicy. Wręby wiru zaznaczyły się szeroką kresą skracającą się piany; nie dostawała się ona wszakże ani w odrobinie do straszliwej gardzieli leja, którego wnętrze, o ile można było dosięgnąć okiem, przedstawiało się jako gładka, lśniąca i ogromnie czarna ściana wody, nachylona do poziomu pod kątem czterdziestu pięciu stopni, kołująca zawrotnie krętym, mdlejącym obrotem i wyrzucająca w przestrzeń przeraźliwy, coś z wrzasku i ryku mający w sobie głos, jakim w śmiertelnych podrzutach nie ziejie nigdy ku niebu nawet potężny wodospad Niagary.

Góra drżała w posadach i chwiały się głazy. Przejęty nerwowym podnieceniem padłem twarzą na ziemię, czepiając się nikłego zielska.

- To musi być - rzekłem w końcu do starca - wielki wir Maelströmu, nieprawdaż?

- Tak go istotnie niekiedy nazywają - odpowiedział. - My, Norwegowie, zwiemy go Moskoe-ström, od wyspy Moskoe, znajdującej się pośrodku.

Zwykle opisy nie mogły żadną miarą stanowić dla mnie przygotowania do tego, co ujrzałem. Najobszerniejszy, jak się zdaje, z nich wszystkich, skreślony przez Jonasa Ramusa, nie jest w stanie dać najłżejszego wyobrażenia ani o wspaniałości, ani o straszliwości tego widowiska - tym mniej o bezkresnie osłupiającym wrażeniu niezwykłości, jakie przenika widza. Nie jestem pewien, z którego miejsca i o jakiej porze przyglądał mu się wspomniany pisarz; lecz nie mogło to być ani ze szczytu Helseggen, ani też podczas burzy. Mimo to znajduje się w jego opisie kilka ustępów, które warto przytoczyć dla zawartych w nich szczegółów, aczkolwiek ich dobitność jest nadzwyczaj słaba w zestawieniu z wrażeniem samego widowiska.

„Między Lofotami a Moskoe - powiada on - głębokość wody wynosi od trzydziestu sześciu do czterdziestu sążni; atoli po drugiej stronie, w pobliżu Ver (Vurrgh), zmniejsza się ona tak bardzo, iż nie stanowi dogodnego szlaku dla statków, które narażają się na rozbitcie o skały, nawet podczas najbardziej sprzyjającej pogody. Gdy morze przybiera, prąd na przestrzeni między Lofotami a Moskoe bieży z nawałnicową chyżością, zaś ryku, z jakim nieukrócony jego odpływ zdąża ku morzu, niepodobna porównać z łoskotem najgłośniejszych i najstraszliwszych wodospadów - słycać go na kilka mil wkoło; leje, czyli wyrwy, dochodzą do takiej głębokości i rozmiarów, iż okręt, który dostanie się w zasięg ich przyciągania, ulega niechybnie wessaniu, idzie na dno i rozbija się na miazgę o skały, kiedy zaś wody się uśmierzą, szczyty jego wypływają znów na powierzchnię. Wszelako te chwile ciszy zdarzają się tylko w przerwach między odpływem a przyływem, przy pomyślnej pogodzie, i nie trwają dłużej niż kwadrans, po czym bystrość prądu znów stopniowo się wzmacnia. Gdy prąd zakipi, a wściekłość jego spotęguje się przez burzę, niebezpiecznie jest zbliżyć się ku niemu na odległość mili norweskiej. Niejednokrotnie chłonał już łodzie, statki i okręty, które dostawały się w jego okrąg, zanim zdołano się opatrzyć. Zdarza się dość często, iż wieloryby, podpłynawszy za blisko do prądu, ulegają jego przemocy, a wówczas wprost niepodobna opisać ich wycia i ryku wśród nadaremnych wysiłków, by znów się oswobodzić. Raz niedźwiedź, który chciał przedostać się wplaw z Lofotów na Moskoe, został pochwycony przez prąd i poszedł na dno, rycząc tak okropnie, iż słyszano go na wybrzeżu. Ogromne pnie jodłowe i świerkowe, pochłonięte przez wir, wynurzają się następnie zmiażdżone i poszarpane do tego stopnia, iż wyglądają, jak gdyby porosły szczecią. Dowodzi to oczywiście, iż dno jest zjeżone ostrymi skałami, wśród których te bierwiona się taczają. Prąd ten jest regulowany przez przyływ i odpływ

morza, który podnosi i obniża zwierciadło wody co sześć godzin. W Niedzielę Mięsopestną 1645 r. wczesnym rankiem szalał on i huczał tak wściekle, iż z pobrzeżnych domostw kamienie jeły spadać na ziemię”.

Nie mogłem pojąć, w jaki sposób zdołano zmierzyć głębokość wody w bezpośredniej bliskości wiru. Owych „czterdzieści sążni” znaleziono zapewne jeno w tych częściach kanału, które przylegają do wybrzeża bądź to Moskoe, bądź też Lofotów. W samym środku Moskoe-strömu głąb musi być nieporównanie większa; by się przekonać o tym, dość jest wejść na najwyższy wiszar Helseggenu i spojrzeć stamtąd ukośnie w bezden wiru. Patrząc z tego szczytu na wyjący podę mną Flegeton, nie mogłem się wstrzymać od uśmiechu z prostoduszności, z jaką przezacny Jonas Ramus opowiada jako rzeczy trudne do uwierzenia swe anegdotki o wielorybach i niedźwiedziach; zdało mi się bowiem rzeczą samą przez się zrozumiałą, iż największy z okrętów liniowych, któremu zdarzyłoby się dostać w zasięg tego złowrogiego przyciągania, równie nie mógłby stawiać mu oporu, jak nie może ostać się pierze na wietrze, i uległby niechybnie doszczętej zgubie.

Hipotezy zmierzające do wyjaśnienia tego zjawiska - a były wśród nich takie, które kiedyś przemawiały do mego przekonania - ukazały się mi teraz w najzupełniej odmiennym i niewystarczającym świetle. Wedle powszechnie przyjętego poglądu „wylączną przyczyną zarówno tego wiru, jak trzech mniejszych, znajdujących się między wyspami Ferroe, jest to, iż równomiernie z przyplływem i odpływem morza wzdymające się i opadające fale uderzają o grzbiety obrzeżających wodę skał i ławic, po czym odbite staczają się na podobieństwo wodospadów; im więc wyżej wzbija się fala, tym głębiej musi ona spaść, zaś koniecznym następstwem bywa wir, czyli odmęt chłonny, znany już dostatecznie z pomniejszych przykładów”. Tak powiada Encyclopaedia Britannica. Kircher i inni przypuszczają, iż w samym środku Maelströmu znajduje się czeluść, przenikająca na wylot kulę ziemską i posiadająca ujście w jakichś odległych stronach; ktoś z nich wymienił nawet nazbyt pochopnie Zatokę Botnicką. Kiedym patrzył, ku pogładowi temu, mimo całej jego bezpodstawności, skłaniała się najchętniej moja wyobraźnia; wspomniałem o nim memu przewodnikowi i byłem zdziwiony, gdym usłyszał w odpowiedzi, iż jest to mniemanie utarte powszechnie wśród Norwegów, lecz że on go nie podziela. Poprzedniego zaś zapatrywania, jak sam wyznał, niezdolny był pojąć; pod tym względem zgadzałem się z nim zupełnie - gdyż to, co daje się wywnioskować na papierze, staje się wprost niepojęte lub nawet niedorzeczne pośród rozruchów otchłani.

- Miał pan sposobność przyjrzeć się dobrze wirowi - odezwał się starzec. - Niechże pan teraz wśliźnie się za tę skałę, która nas zasłoni od wichru i zagłuszy ryk morza, a ja opowiem mą przygodę na dowód, iż zdarzyło mi się poznać Moskoe-ström dokładnie.

Umieściłem się wedle jego wskazówek, on zaś mówił:

- Współ z moimi dwoma braćmi byłem ongi właścicielem wybornie zaopatrzonego dwumasztowca, około siedemdziesięciu ton pojemności, na którym krążyliśmy łowiąc swym zwyczajem ryby pośród wysp rozsianych poza Moskoe a w pobliżu Vurrgh. Przy wzburzonem morzu miewa się zawsze obfity połów, o ile ktoś potrafi wyzyskać sprzyjającą chwilę i posiada niezbędną do tego przedsięwzięcia odwagę; atoli z całej pobrzeżnej ludności Lofotów tylko nas trzech zapuszczało się stale na swych wyprawach aż ku wyspom, jak to już panu wspomniałem. Zwykle miejsca połowu znajdują się znacznie dalej na południe. Można tam łowić ryby o każdej porze i bez wielkiego niebezpieczeństwa, dlatego miejsca te są bardziej uczęszczane. natomiast wybrane przez nas topiele, położone opodal, między skałami, dostarczają ryb w doborowej rozmaitości i znacznie większą posiadają ich obfitość, toteż w jednym dniu łowiliśmy nieraz więcej aniżeli bojaźliwsi nasi towarzysze w całym tygodniu. Jęliśmy się po prostu niejako rozpaczliwego przedsięwzięcia, do którego zamiast pracy wnosiliśmy pogardę śmierci, a zamiast kapitału - odwagę.

Dwumasztowiec nasz stał o jakie pięć mil stąd - hen, powyżej, w niewielkiej przystani; podczas sprzyjającej pogody, korzystając z przerwy między odpływem a ponownym przyplływem, przeprowaliśmy się pośpiesznie przez główne koryto Moskoe-strömu, jak najdalej od leja, po czym zarzucaliśmy kotwicę w pobliżu Otterholmu lub Sandflesenu, gdzie morze nie burzy się tak mocno jak gdzie indziej. Pozostawaliśmy tam zazwyczaj aż do chwili, kiedy morze znów poczynało przycichać, podnosiliśmy kotwicę i odpływaliśmy z powrotem. Nie wyruszyliśmy nigdy w drogę, o ile nie mieliśmy pewności, że wiatr niezmiennie będzie nam sprzyjał zarówno w jedną, jak w drugą stronę i rzadko myliliśmy się w tym względzie. W ciągu sześciu lat tylko dwa razy musieliśmy spędzić całą noc na kotwicy z powodu ciszy morskiej, która w naszych stronach zdarza się nadzwyczaj rzadko; innym zaś razem, wygłodzeni śmiertelnie, nie ruszaliśmy się z naszych toplisk niespełna tydzień, zatrzymani przez wiatr, co zerwał się wnet po naszym przybyciu i do tego stopnia wzburzył łożysko prądu, iż niepodobna było myśleć o powrocie. Groziło nam wówczas, iż fala nas uniesie na pełne morze (gdyż wiry miały nami wokół tak wściekle, iż w końcu musieliśmy zwolnić kotwicę i wlec ją za sobą), powiodło się nam wszakże zdać się na wolę jednego z nieprzeliczonych, poprzecznych prądów - pojawiają się one i znikają nieustannie - który zaniósł nas w zaciszne miejsce pod Flimen, gdzie udało się nam wreszcie stanąć na kotwicy.

Nie zdołałbym panu opowiedzieć ani dwudziestej części niebezpieczeństw, jakie zdarzały się nam na topliskach - niedobre to miejsce nawet podczas sprzyjającej pogody - udawało się nam jednakże nawet skrety Moskoe-strömu przebywać szczęśliwie, jakkolwiek serce podchodziło mi zawsze do gardła, ilekroć wypływalimy na uśmierzone wody o minutę za wcześniej lub za późno. Czasami wiatr nie był tak silny, jak zdawało się nam na wyjeździe; wówczas wbrew swym życzeniom płynęliśmy wolniej, zwłaszcza że prąd nie pozwalał kierować statkiem. Najstarszy mój brat miał osiemnastoletniego syna, ja również dwu dzielnych chłopców. Byliby nam oni wielce pomocni zarówno w takich chwilach przy robieniu wiosłem, jak i później przy połowie ryb; nie szcędząc jednakże siebie samych, nie mieliśmy odwagi narażać na niebezpieczeństwo naszych dzieci, gdyż - mówiąc bez ogródek - niebezpieczeństwo było naprawdę straszne.

Za kilka dni będzie trzy lata, gdy zdarzyło się to, co zamierzam panu opowiedzieć. Było to 10 lipca 18... Dzień to niezapomniany dla mieszkańców tej części kuli ziemskiej, szalała bowiem dnia tego najstraszliwsza burza, jaką kiedykolwiek zesłały na świat niebiosy; a jednak przez cały ranek i znacznie większą część popołudnia powiewał stale łagodny wietrzyk południowo-zachodni, a słońce lśniło tak jasno, iż najstarszy żeglarz nie mógł przewidzieć, co miało nastąpić.

We trójkę - gdyż byli ze mną dwaj moi bracia - dotarliśmy do wysp koło godziny drugiej po południu i rychło napełniliśmy łódź naszą przednimi rybami, których dnia tego było takie mnóstwo, jakiego dotychczas nie zauważyliśmy jeszcze nigdy. Była właśnie siódma na moim zegarku, gdy podnieśliśmy kotwicę i wyruszyliśmy w drogę, by przebyć najgorszą część prądu podczas uśmierzenia wód, co - jakżeśmy wiedzieli - miało nastąpić o ósmej.

Wypłynęliśmy, mając lekki wietrzyk od strony prawej, i przez jakiś czas żeglłowaliśmy najspokojniej, ani myśląc o niebezpieczeństwie, gdyż istotnie nie było najłżejszego powodu do jakichkolwiek obaw. Najniespodziewaniej zawiął ku nam wiatr od Helseggenu. Było to zjawisko niezwykle - nie zdarzyło się nam ono dotychczas nigdy. Zanepokoilem się nieco, sam nie wiedząc dlaczego. Ustawiliśmy się pod wiatr, atoli wzburzone fale zaparły nam drogę, zamierzałem więc już

doradzać, byśmy powracali do miejsca, gdzie zazwyczaj stawaliśmy na kotwicy, gdy wtem, obejrawszy się poza siebie, dostrzeżliśmy, iż cały widnokrąg przysłania osobiwa, miedzianej barwy chmura, roztaczająca się z chyżością wprost nadzwyczajną.

Teżę samej chwili przycichł powiew, w którym płynęliśmy dotychczas, i znaleźliśmy się wśród martwej ciszy, zdani na wolę wszystkich prądów. Zjawisko to jednak trwało tak krótko, iż nie zdążyliśmy nad nim się zastanowić. W okamgnieniu burza zawisła nad nami - w chwilę później zaciągnęło się chmurami całe niebo - po czym zarówno od chmur, jak od pędzonej wichrem piany stało się tak ciemno, iż trudno nam było dojrzeć się wzajem na pokładzie.

I zadał huragan urągający wszelkim opisom. Równego jemu nie zaznali najstarsi żeglarze norwescy. Zdążyliśmy zwinąć wszystkie żagle, zanim wicher nas dopadł, atoli pod pierwszym jego naporem oba maszty jak podcięte piłą runęły w morze; maszt główny porwał ze sobą mego najmłodszego brata, który przezornie uwiązał się do niego.

Łódź nasza stała się nagle najlżejszym przedmiotem, jaki kiedykolwiek igrał na wodzie. Cały jej pokład był kryty i miał tylko jedne drzwiczki, które swym zwyczajem zamykaliśmy zawsze, ilekroć przepływaliśmy Moskoe-ström, mając się na baczności przed wzburzoną falą. Gdyby nie to, byłibyśmy poszli od razu na dno - gdyż chwilami znajdowaliśmy się zupełnie pod wodą. W jaki sposób starszy mój brat uniknął wówczas zagłady, nie umiem powiedzieć; niestety nie było mi dane zapytać go o to. Co do mnie - skorom tylko opuścił żagiel przedni, rzuciłem się jak długi na pokład, wparłem nogi w wąski zakąt burty, a rękami uchwyciłem się pierścienia, umocowanego u nasady przedniego masztu. Postąpiłem niewątpliwie najwłaściwiej, lecz uczyniłem to tylko odruchowo, pod wpływem instynktu, gdyż nazbyt byłem ogłuszony, by powodować się rozważą.

Jak już wspomniałem, chwilami pogrążyliśmy się zupełnie w wodzie; przez cały ten czas zapierałem oddech i zaciskałem dłońe dokoła pierścienia. Gdym już nie mógł wytrzymać dłużej, unosiłem się na kolanach i nie odejmując rąk od pierścienia, wychylałem głowę ponad powierzchnię fali. Wtem mała łódź nasza drgnęła niby pies, co wydobywa się z wody, i wychynęła nieco z toni morskiej. Jąłem właśnie powracać do przytomności i skupiać swe rozpierzchłe myśli na tym, co czynić należy, gdy ktoś uchwycił mnie za ramię. Był to mój brat - i serce zatrzepotało we mnie z radości, gdyż byłem już pewien, iż porwała go fala; lecz radość moja przeistoczyła się w grozę, gdy przybliżył usta do mego ucha i wykrzyknął słowo: Moskoe-ström!

Nikt nie zdoła pojąć wrażeń, jakich doznałem w tej chwili. Zadrzałem od głowy do stóp, jak gdyby na skutek najsilniejszej gorączki. Wiedziałem aż nadto dobrze, co się mieści w tym jednym słowie - wiedziałem, co chce mi przez nie powiedzieć. Z wichrem, co nas teraz ponosił, podążaliśmy w sam wir prądu i nie było dla nas ocalenia!

Zrozumiał pan zapewne, iż przepływając nurt prądu, omijaliśmy zawsze wir z daleka, nawet przy najpomyślniejszej pogodzie, po czym musieliśmy czuwać i bacznie wyczekiwać uśmierzenia fali - teraz natomiast pędziliśmy wprost do otchłani, i to jeszcze wśród takiego huraganu! „To pewna - pomyślałem sobie - iż zdążymy tam na chwilę uśmierzenia, jest więc jeszcze trochę nadziei” - lecz zaraz potem przeklinałem własną głupotę, co śmiała jeszcze marzyć o nadziei. Wiedziałem dobrze, iż byliśmy niezawodnie zgubieni nawet w takim razie, gdybyśmy się znajdowali na korabiu zbrojnym setkami dział.

Przesiliła się już podówczas wściekłość burzy lub przynajmniej nie odczuwaliśmy jej tak bardzo, jak kiedy nas gnała przed sobą; atoli wody, które poprzednio płaszczyły się zapienione pod naporem wicheru, jęły piętrzyć się teraz w istne góry. Na niebie zaszła również szczególniejsza zmiana. Wokół, na wsze strony, było ono jeszcze czarne jak smoła, natomiast niemal prostopadle nad naszymi głowami rozwarła się nagle kolista szczelina jasnego błękitu - tak jasny i modry nie wydawał mi się on przedtem nigdy! - zaś z tej szczeliny wyrzał księżyc w pełni z taką świetnością, jakiej poprzednio nie zdarzyło mi się widzieć. Oświetlił wszystko dokoła nas z niesłychaną wyrazistością - lecz, o Boże, co za obraz ukazał się nam w jego blasku!

Niejednokrotnie próbowałem przemówić do mego brata - lecz za każdym razem wznagał się ryk fal z niepojętych dla mnie powodów do tego stopnia, iż nie zdołał usłyszeć ani słowa, jakkolwiek wyteżalałem głos, krzycząc mu w samo ucho. Naraz potrząsnął głową i bladej jak śmierć, podniósł palec w górę, jak gdyby chciał rzec: słuchaj!

Na razie nie mogłem pojąć, o co mu chodzi, lecz nagle straszliwa myśl błysnęła mi w głowie. Dobyłem zegarka z kieszeni. Nie szedł. Spojrzałem na jego tarczę przy świetle miesiąca i zalawszy się łzami rzuciłem go hen, w morze. Przestał iść o godzinie siódmej. Czas uśmierzenia już przeminął i wir Maelströmu kipiał z nieukróconą wściekłością!

Gdy łódź jest dobrze zbudowana, należyście zaopatrzona i niezbyt przeciążona, przy silnym wietrze i na pełnym morzu fale zdają się rozstępować pod nią - ku wielkiemu podziwowi przybyszów z lądu; zjawisko to w gwarze żeglarskiej zwie się kłusowaniem. Otóż wszystko szło dobrze, dopóki kłusowaliśmy ręczo na wzdętej fali; lecz obecnie przepotężne morze jęło nas brać w swe szpony i dźwigać się wraz z nami w górę - w górę - hen, pod obłoki. Nie wyobrażałem sobie nigdy, by fala mogła wzbicić się tak wysoko. Po czym zniżaliśmy się znowu wśród takiego ślania się, ślizgania i zapadania, iż dostawałem zawrotu głowy i odchodziłem od zmysłów, jak gdybym spadał we śnie ze szczytu wysokiej góry. Zdążyłem wszakże, gdyśmy byli w górze, rozejrzeć się szybko dokoła - i dość mi było tego jednego spojrzenia. Zdałem sobie sprawę z naszego położenia w okamgnieniu. Wir Maelströmu znajdował się o niecałe ćwierć mili, na wprost przed nami - lecz jakiś zupełnie inny niż zazwyczaj, gdy wir, jak go teraz widzimy, przypomina odmęt wywołany przez uderzenia kół młyńskich. Gdybym nie był wiedział, gdzie znajdowaliśmy się i co nas czeka, nie zdołałbym rozpoznać tego miejsca. Na taki widok, jaki się przede mną roztaczał, oczy me mimowolnie zamknęły się ze zgrozą. Jak gdyby w skurczu zacisnęły się mocno powieki.

Nie upłynęło od tej chwili nawet dwu minut, gdy uczuliśmy nagle, że fala opada, i znaleźliśmy się w obłoku pian. Łódź skręciła szybkim półobrotem w lewo i pomknęła w nowym kierunku na kształt błyskawicy. Równocześnie gromowy poryk morza zgłuchł zupełnie w jakimś przeraźliwym rozwrzasku, o którym przybliżone wyobrażenie dać by panu mogło nieprzeliczone mnóstwo parowców wypuszczających równocześnie ze swych kotłów parę. Znajdowaliśmy się obecnie w otoku pian, co tworzy się zawsze dokoła wiru; myślałem tedy, iż za chwilę runiemy w otchłań, której dna nie dozwalał nam dojrzeć niesłychany pęd, z jakim lecieliśmy przed siebie. Łódź zdawała się wcale nie zanurzać w wodzie, lecz niby bańka powietrzna unosila się na powierzchni morskiego wrzątku. Po prawej stronie naszej łodzi znajdował się wir, po lewej roztaczał się opuszczony przez nas świat oceanu. Wznosił się on na kształt olbrzymiego powyginanego muru między nami a widnokregiem.

Rzecz dziwna, iż uczułem się o wiele spokojniejszy, gdyśmy znaleźli się już w samej paszczęce bezdni, niż kiedy zbliżaliśmy się do niej. Pozbyszy się ostatka nadziei, otrząsnąłem się zarazem w znacznej mierze z przerażenia, co z początku ubezwładniało me męstwo. Jak się zdaje, rozpacz skrzepiła mi nerwy.

Będzie to może wyglądało na przechwałkę, lecz mówię szczerą prawdę: oto jałem zastanawiać się, jak wspaniale jest umierać w podobny sposób i jak nierozumnie postępowałem przejmując się taką błahostką jak me indywidualne istnienie wobec cudownego objawienia wszechmocy bożej. Pomnę, iż zarumieniłem się ze wstydu, gdy ta myśl zaświtała mi w mózgu. Po chwili ogarnęła mnie nieprzeparta ciekawość poznania wnętrza wiru. Czułem istotną chęć zbadania jego głębi nawet za cenę ofiary, jaką miałem ponieść; zaś najważniejszą mą troską było to, iż nigdy nie będę mógł opowiedzieć starym towarzyszom z pobrzeża o tajemnicach, które będzie dane mi ujrzeć. Juźcić było to dziwactwem snuć takie pomysły w ostatniej chwili i później nieraz nasuwało mi się przypuszczenie, iż krążenie łodzi dokoła otchłani musiało wywołać u mnie chwilowe pomieszenie zmysłów.

Zaszła jeszcze inna okoliczność, która dopomogła mi do odzyskania władzy nad sobą. Mianowicie ustał wiatr, nie mógł już nas dosięgnąć w miejscu, w którym znajdowaliśmy się obecnie, gdyż, jak to pan sam zauważył, pierścień piany leży poniżej zwierciadła oceanu, co spiętrzał się nad nami wysokim, czarnym, urwistym zboczem. Jeżeli nie zdarzyło się panu nigdy przebywać na morzu podczas silnej wichury, to nie zdoła pan pojąć oszołomienia, o jakie przyprowadzi wiatr pospołu z rozpryskiem fali. Osłepia, ogłusza, dławi, odbiera wszelką zdolność działania i myślenia. Otóż podówczas byliśmy zwolnieni od tych niedogodności - podobnie jak skazanym na śmierć złoczyńcom użycza się w więzieniu pewnych drobnych usług, niedostępnych dla nich, jak długo nie zapadnie wyrok potępienia.

Niepodobna mi powiedzieć, ile razy przebiegliśmy po okręgu pierścienia. Krążyliśmy wokół z jakąś godzinę, lecąc raczej niż płynąc, obsuwając się najpierw stopniowo ku óśrodkowi wrącego koliska, po czym zaś coraz bliżej ku jego straszliwemu, wnętrznemu wrębowi. Przez cały ten czas nie wypuszczałem z rąk owego żelaznego kółka. Mój brat znajdował się z tyłu, trzymając się pustej beczułki na wodę, przytwierdzonej mocno do kadzi, umieszczonej w zakolu burty; był to jedyny przedmiot na pokładzie, którego nie zmiotł w morze pierwszy podmuch nawałnicy. Gdyśmy się wszakże zbliżyli ku skrajowi czeluści, brat zerwał się ze swojego miejsca i rzucił ku żelaznemu pierścieniowi, od którego w śmiertelnym lęku jał odrywać me dłonie, gdyż pierścień był za mały, by zapewnić nam obu bezpieczne ujęcie. Nie czułem nigdy głębszego bólu, niż kiedy pojąłem, o co mu chodzi - aczkolwiek rozumiałem, iż czynił to w obłądzie, w przystępie szału wywołanego nadmierną grozą. Nie zamierzałem bynajmniej spierać się z nim. Wiedziałem, iż nie stanowi to żadnej zgoda różnicy, kto z nas pozostanie na miejscu, więc odstąpiłem mu pierścień, a sam poszedłem ku beczulce. Nie było to zbyt trudne do wykonania, gdyż dwumasztowiec nasz krążył dość miarowo i nie wychodził z równowagi, ślaniając się tylko w tę i ową stronę w takt olbrzymich kołysań i rozkipień wiru. Zaledwie zdążyłem się ustalić na nowym miejscu, gdy statek nasz wykonał szybki zwrot w prawo i potoczył się nagle w przepaść. Wyszeptałem spiesznie westchnienie do Boga i byłem przekonany, że wszystko skończone.

Kiedym doznał mdlącego zawrotu, spowodowanego gwałtownym spadkiem, instynktownie przygarnąłem beczułkę silniej do siebie i zamknąłem oczy. Przez kilka sekund nie śmiałem otworzyć ich w oczekiwaniu natychmiastowej zguby i dziwiłem się, że nie wszczęły się jeszcze me śmiertelne zapasy z wodą. Lecz mijała chwila za chwilą. Żyłem jeszcze. Przestało mi dolegać uczucie spadania, statek poruszał się podobnie jak poprzednio, gdyśmy przebywali jeszcze w odmęcie piany, z tą tylko różnicą, iż nieco więcej się pochyłał. Nabrałem odwagi i jednym spojrzeniem ogarnąłem widownię.

Nie zapomnę nigdy wrażeń grozy, trwogi i podziwu, jakich doznawałem, rozglądając się dokoła siebie. Zdało się, iż dzięki jakiemuś czarodziejstwu łódź nasza, spadając, zawisała w połowie drogi, na wewnętrznej pochyłości leja olbrzymiego obwodu i niesłychanej głębi; nierównanie gładkie jego ściany miałyby wygląd hebanu, gdyby nie osłupiający pęd, z jakim wirowały dokoła, i gdyby nie odbłyskiwały upiornie jarzącym się lśnieniem na promienie miesiąca, co wyzierał w pełni z opisanej już przeze mnie kolistej szczeliny wśród obłoków, spływając po czarnych zboczach świetlną powodzią złotego blasku i wnikając hen, głębiej, aż w najwnętrzniesze tajniki otchłani.

Oslupienie moje było zrazu zbyt wielkie, bym mógł czemukolwiek przyjrzeć się dokładnie. Spiorunowany byłem ogólnym wrażeniem straszliwej wzniosłości. Gdym nieco ochłonał, spojrzenie moje zwróciło się instynktownie w dół. Z łatwością udało mi się dostrzec, w jaki sposób nasz statek zawisł na pochyłej płaszczyźnie czeluści. Nie wyszedł on wcale z równowagi - to znaczy, że pokład jego ustawiony był równoległe do zwierciadła wody, które jednakże nachylało się pod kątem przeszło czterdziestu pięciu stopni, skutkiem czego zdawało się, że łódź nasza pokłada się bokiem. Nasunęło mi się spostrzeżenie, iż mimo to zaczepienie rąk i oparcie nóg nie przedstawiało dla mnie większej trudności, niż kiedy znajdowaliśmy się na poziomej płaszczyźnie, co, jak sądzę, trzeba złożyć na karb chyżości, z jaką wirowaliśmy dokoła.

Promienie miesiąca zdawały się docierać aż do samego dna głębokiej czeluści; pomimo to nie zdołałem niczemu przyjrzeć się dokładnie, gdyż wszystko dokoła spowijała gęsta mgła, nad którą zawisała wspaniała tęcza na kształt owego wąskiego i chwiejnego mostu, co - zdaniem muzułmanów - stanowi jedyny pomost między Czasem a Wiecznością. Ta mgła czy piana była niewątpliwie następstwem ścierania się wielkich ścian leja przy zetknięciu się u dna otchłani, zaś wycia, co ziało z niej ku niebu, niepodobna mi opisać.

Spadając w otchłań z górnego koliska piany zrazu stoczyliśmy się bardzo po pochyłości, atoli później nie obsuwaliśmy się już z tą samą chyżością. Wirowaliśmy wokoło - wszelako obrót nasz nie odbywał się jednostajnym ruchem, lecz zawrotnymi wahnieniami i podrywami, co raz ponosiły nas naprzód tylko o kilkaset jardów, to znów o cały niemal obwód leja. Przy każdym poruszeniu obniżaliśmy się z wolna, lecz dostrzegaliśmy.

Rozglądając się dokoła po olbrzymich przestworzach płynnego hebanu, co nas ponosił, przekonałem się, iż łódź nasza nie była jedynym przedmiotem, ogarniętym przez skrety wiru. Powyżej i poniżej widniały szczęty okrętów, wielkie złomy budulca, pnie drzewne tudzież mnóstwo drobniejszych przedmiotów, jak sprzętów gospodarskich, pogruchotanych skrzyń, beczek i klepek. Wspomniałem już o dziwnej ciekawości, co owładnęła mną po pierwszym odruchu trwogi. Jęła ona zwiększać się w miarę, jak dopełniała się chwila okrutnego mego przeznaczenia. Z niesłychanym zajęciem zacząłem przyglądać się licznym przedmiotom, co unosiły się w naszym pobliżu. Byłem snadź nieprzytomny, gdyż doznawałem istnej przyjemności zastanawiając się nad różnicą przyśpieszenia, z jaką obsuwały się one w dół, ku pianom. W pewnej chwili zauważyłem, iż mówię do siebie: „Na pewno ta jodła zanurzy się najpierwsza i przepadnie nieszczęsna w bezdni” - po czym doznawałem rozczarowania widząc, jak szczet jakiegoś holenderskiego okrętu kupieckiego wyprzedził ją i pierwiej ginął na dnie. W końcu, kiedym uczynił kilka przypuszczeń tego rodzaju i za każdym razem spotkałem się z najzupełniejszym zawodem, te nieustanne pomyłki nasunęły mi szereg myśli, co znów wprawiły me członki w drzenie i jeszcze raz przyśpieszyły tętno mego serca.

Nie nowy lęk wszakże tak mnie przenikał, lecz brzask silniejszej odeń nadziei. Nadzieja ta wynikła po części ze wspomnień, po części zaś z obecnych spostrzeżeń. Przyszła mi na myśl ogromna rozmaitość rozsianego na pobrzeżach

Lofotów napływowego gruchotu, który Moskoe-ström wchłonił, po czym znów ze siebie wyrzucił. Przedmioty te w przeważającej większości były podruzgotane do niepoznania - takie poszarpane i postrzepione, iż wyglądały jak pokryte drzazgami; pamiętam jednakże dokładnie, iż niektóre z nich nie nosiły bynajmniej oznak uszkodzeń. Różnicy tej nie umiem sobie inaczej wytłumaczyć aniżeli na podstawie przypuszczenia, iż tylko poszarpane szczęty ulegały zupełnemu wessaniu, zaś inne albo dostawały się w wir w późniejszym już okresie przyboru, albo też, dostawszy się tam, obsuwały się w głąb z jakiegoś powodu tak wolno, iż nie zdążyły dotrzeć do dna przed nawrotem przypływu czy odpływu. W obu wypadkach zdało się mi rzeczą możliwą, że ruchem wirowym mogły one znów wydostawać się na poziom, uniknąwszy losu tych, którym zdarzyło się albo popaść w wir wcześniej, albo też ulec śpieszniejszemu wessaniu. Dokonałem również trzech ważnych spostrzeżeń. Pierwsze i najogólniejsze polegało na tym, iż im większy był przedmiot, tym szybciej obsuwał się w dół; drugie, że z dwu przedmiotów jednakich rozmiarów, z których jeden był kulisty, drugi zaś jakiegoś innego kształtu, kulisty zapadał z większym przyspieszeniem; trzecie, iż z dwu przedmiotów jednakich rozmiarów, z których jeden był walcowaty, drugi zaś miał kształt odmienny, przedmiot walcowaty ulegał powolniejszemu wessaniu. Po ocaleniu niejednokrotnie gawędziłem o tym ze starym bakałarzem naszego okręgu i od niego to nauczyłem się używania słów „walec” i „kula”. Dowodził mi on - jakkolwiek nie pamiętam już tych jego dowodzeń - iż to, co spostrzegłem, było naturalnym wynikiem kształtu pływających szczętów, i pokazywał mi, w jaki sposób walec, pływający w wirze, większy stawia opór wessaniu i trudniej idzie na dno, niżli ciało tej samej wielkości, ale odmiennego kształtu.

Pewna niepokojąca okoliczność przyczyniła się w znacznej mierze do utwierdzenia mnie w tych spostrzeżeniach i zniewoliła do lęklivego ich sprawdzania. Było nią to, iż za każdym obrotem mijaliśmy bądź to beczkę, bądź też reję lub maszt okrętowy. Kiedym po raz pierwszy ujrzał czarodziejstwa wirującej otchłani, przedmioty te znajdowały się na jednym z nami poziomie; obecnie zaś krążyły wysoko ponad nami i zdawało mi się, że niezbyt oddaliły się od swego pierwotnego położenia.

Nie wahałem się dłużej, jak postąpić. Postanowiłem przywiązać się mocno do beczki, stanowiącej dotychczas moje oparcie, przeciąć powróż, który ją przytrzymywał, i rzucić się wraz z nią w wodę. Dawałem znaki bratu, starając się zwrócić jego uwagę na przepływające tuż obok nas beczki, i uczyniłem wszystko, co było w mej mocy, by dać mu do zrozumienia, co zamierzam zrobić! Zdawało mi się wreszcie, że zrozumiał mój zamiar, lecz mimo to potrząsał rozpaczliwie głową i nie dał się namówić do porzucenia swego miejsca przy pierścieniu. Dostać się do niego było niepodobieństwem, groza przynaglała; z ciężkim więc sercem zdałem go na łaskę losu, przywiązałem się do beczki powrozem, na którym była umocowana, i nie zwlekając ani chwili dłużej rzuciłem się w morze.

Wynik nie zawiódł mych oczekiwań. Słyszając o tym zdarzeniu z własnych mych ust - widząc, iż uszedłem zguby, i znając już sposób, w jaki to się stało, domyślił się pan niezawodnie dalszego ciągu mojego opowiadania; postaram się przeto wkrótce je zakończyć. W jakąś godzinę później opuszczony przeze mnie statek, obniżywszy się znacznie ku dołowi, wykonał kolejno trzy czy cztery błyskawiczne obroty i przepadł bezpowrotnie w chaosie pian, porywając ze sobą mego drogiego brata. Beczka, do której się uwiązałem, zdążyła przebiec zaledwie połowę odległości dzielącej dno czeluści od miejsca, gdzie skoczyłem w morze, gdy w wyglądzie wiru wielka zaszła zmiana. Pochyłe ściany olbrzymiego leja jęły zatracać swą stromość. Wolniały stopniowo kołujące straszliwie skręty wiru. Zanikła z wolna tęcza i piana, a dno otchłani jęło jak gdyby dźwięczać się nieznacznie ku górze.

Niebo jaśniało pogodą, wichry ucichły, zaś księżyc w promienistej pełni swych blasków chylił się już ku zachodowi, kiedym znalazł się już na powierzchni oceanu, wprost wybrzeża Lofotów i opodal od miejsca, gdzie ziała przedtem czeluść Moskoe-strömu. Była to godzina uśmierzenia wód - lecz wciąż jeszcze w olbrzymie zwały spiętrzało się rozkołysane przez burzę morze. Miotany falą, dostałem się w łożysko prądu, który zaniósł mnie w okamgnieniu na topliska rybacze wybrzeża. Łódź jakaś wyłowiła mnie całkowicie wyczerpanego z morza i (kiedy niebezpieczeństwo już minęło) oniemiałego pod wpływem wspomnień przebytej grozy. Znalazłem się na pokładzie łodzi dzięki pomocy starych druhów i nieodstępnych mych towarzyszy - lecz nie poznali mnie oni, podobnie jak nie poznaliby pielgrzyma powracającego z krainy duchów. Włosy me zbieleły - jak pan widzi - zupełnie. Dowiedziałem się od towarzyszy, iż zmienił się również cały wyraz mej twarzy. Opowiedziałem im moją przygodę - nie wierzyli. Teraz opowiadam ją panu, nie spodziewając się bynajmniej, by spotkała się z większym dowierzaniem, niżli wśród jowialnych rybaków lofockich.

Nie zakładaj się nigdy z diabłem o swą głowę Powiastka z morałem

Con tal que las costumbres de un autor - powiada Don Thomas de las Torres w przedmowie do swych Poezji miłosnych - sean puras y castas, importo muy poco que no sean igualmente severas sus obras - to znaczy, iż jeżeli obyczaje jakiegoś autora są skromne i czyste, to można mu wybaczyć moralność jego dzieł. Przypuszczam, iż Don Thomas za to twierdzenie pokutuje teraz w czyśćcu. I godziłoby się ze względu na sprawiedliwość poetycką, by przebywał tam tak długo, aż jego Poezje miłosne przestaną pojawiać się w druku lub dla braku czytelników ostatecznie popadną w zapomnienie. Wszelki twór wyobraźni winien zawierać jakiś morał i, co jeszcze snadniej zmierza do celu, krytycy wykazali, iż istotnie go zawiera. Filip Melanchton napisał przed laty komentarz do Batrachomyomachii i dowiódł, iż zamierzeniem poety było wywołać odrazę do rokoszów. Pierre la Seine poszedł o krok dalej, wykazując, iż chciał on zalecić młodzieży wstrzemięźliwość w jedzeniu i piciu. Podobnie Jacobus Hugo ku swemu zadowoleniu odkrył, iż Homer, mówiąc o Evenusie, miał na myśli Kalwina; że przez Antinousa rozumiał Marcina Lutra, że w Lotofagach należy dopatrywać się protestantów w ogóle, a w Harpiach Holendrów. Nie mniej przenikliwi są nasi nowoczesni scholastycy. Wykryli oni głębsze znaczenie w Przedpotopowcach, znaleźli parabolę w Powhatan, dostrzegli nowe widnokęgi w Cock Robinie i transcendentalizm w Skocz no przez mój palec. Słowem, wykazano, iż nikt nie może zasiąść do pisania bez nadzwyczaj głębokich zamierzeń. Na ogół oszczędzono pisarzom w ten sposób wielu kłopotów. Nowelista, na przykład, nie potrzebuje się wcale troszczyć o podkład moralny. On jest, gdzieś, a morał i krytycy niech łamią sobie głowę. Z czasem wszystko, co ten džentelmen zamierzał i czego nie zamierzał, wyjdzie na jaśnię w jakimś „Dial” lub „Down-Easter”¹ wraz z tym, co powinien by był zamierzać, i z dodatkiem tego, co zamierzał zamierzać - tak że w końcu wszystko będzie leżało jak na dłoni.

Nie ma zatem dostatecznego powodu do zarzutu, jaki mi czynią niektórzy ignoranci, że nie napisałem nigdy opowieści moralnej lub raczej - wyrażając się ściśle - opowieści z morałem. Nie są oni krytykami, którym dano mnie pouczać i wpływać na rozwój mej moralności - w tym cała tajemnica. Nawiasem mówiąc „North American Quarterly Humdrum” okryje wkrótce hańbą ich głupotę. Zanim to nastąpi, by zapobiec potępieniu i złagodzić podnoszone przeciw

mnie oskarżenia, ofiaruję im przytoczoną poniżej smętną powiastkę, której oczywisty morał nie może podlegać żadnej wątpliwości, ile że najprzelotniejszy rzut oka wyczyta go w wielkich literach składających tytuł tej opowieści. Należy mi się uznanie za ten pomysł, nierównie mądrzejszy od pomysłów La Fontaine'a i innych, którzy ociągają się z sensem do ostatniej chwili i przemycają go dopiero pod koniec swych bajek.

Defuncti iniuria ne afficiantur², brzmiało prawo dwunastu tablic, zaś De mortuis nil nisi bene³ jest przewyborną zasadą - nawet w takim razie, gdy nieboszczyk był zwykłym sobie, ciepłym piwkim. Nie mam tedy zamiaru uwłaczać mojemu zmarłemu przyjacielowi, Toby Dammitowi. Nieciekawa zeń była psia krew i psią też zginął śmiercią; ale nie można go winić za jego łajdactwa, które były następstwem pewnej ułomności jego matki. Czyniła, co tylko mogła, łojąc mu skórę, gdy był dzieckiem - bowiem dla jej systematycznego umysłu obowiązki zawsze bywały rozkoszą, a dzieci, podobnie jak twarde kotlety lub nowoczesne, greckie oliwki, są bez porównania lepsze, gdy są bite - cóż, kiedy biedna babina miała nieszczęście być mańkutką, zaś dzieci, którym łoi się skórę lewą ręką byłoby lepiej w ogóle nie łoić. Świat obraca się od strony lewej ku prawej. O ile każde uderzenie we właściwym kierunku wypędza jakiś zły narów, o tyle cięgi, zadawane odwrotnie, zaszczipiają zarodki zdrowych popędów. Bywałem nieraz przy karceniu Toby'ego i nawet ze sposobu, w jaki fikał nogami, mogłem zauważyć, iż z dnia na dzień staje się coraz gorszy. W końcu przekonałem się ze łzami w oczach, że z tego nicponia nic nie będzie, i pewnego dnia, kiedy dostał takie lanie, że poczerniał na twarzy jak mały Afrykanin - a nie było w nim żadnej innej zmiany prócz tej, iż dostał konwulsji - nie mogłem znieść tego dłużej i rzuciwszy się na kolana, podniesionym głosem przepowiedziałem mu zgubę.

Zatrwało mnie przede wszystkim to, iż tak wcześnie dojrzewał do występku, W piątym miesiącu życia podlegał nieraz takim przystępom gniewu, iż nie mógł wybełkotać ani słowa. Kiedy miał sześć miesięcy, zastałem go raz ogryzającego talię kart. W siódmym miesiącu zwykł był obejmować i całować małe dziewczątka. W ósmym miesiącu kategorycznie nie chciał położyć swego podpisu na akcie przystąpienia do ligi wstrzemięźliwości. Tak z miesiąca na miesiąc wzmagała się jego zbrodniczość i doszło do tego, iż już pod koniec pierwszego roku życia nie tylko zapragnął zapuścić sobie wąsy, lecz, co gorsza, jął nałogowo wymyślać, kłać i zakładać się o byle co.

Skutkiem tej ostatniej, nader nieprzyzwoitej nawyczki dosięgła w końcu Toby Dammita zguba, którą mu przepowiedziałem. Przywara ta „rosła jego wzrostem i wzmacniała się jego mocą”, toteż kiedy doszedł do lat męskich, po prostu nie mógł wypowiedzieć zdania, by do niego nie wtrącić propozycji jakiegoś zakładu. Nie żeby naprawdę był gotów zakładać się - wcale nie. Muszę oddać sprawiedliwość mojemu przyjacielowi i wyznać, iż przyszłoby mu to z równą trudnością, jak nieść jaja. Była to dla niego tylko czcza formułka - nic więcej. Do powiedzeń tego rodzaju nie przywiązywał on najmniejszej wagi. Były to ot, takie sobie, acz niezupełnie niewinne wstawki - fantazyjne zwroty, którymi zaokrąglął swe zdania. Kiedy oświadczał: „założę się z panem o to lub owo”, nikomu nie przychodziło na myśl brać go za słowo. Mimo to uważałem za swój obowiązek nie szczędzić mu upomnień. Nawyczka ta była niemoralna - i tak też ją określałem. Była gminna - i na to mu dawałem moje słowo. Była źle widziana w towarzystwie - mówiłem zatem tylko prawdę. Była zabroniona rozporządzeniem Kongresu - bynajmniej nie zamierzałem kłamać. Napominałem - uśmiechał się. Błagałem - śmiał się. Przybierałem ton kaznodziejski - szydził. Groziłem - kłał. Poszturchiwałem go - wzywał policję. Ciągnąłem go za nos - parskał i oświadczał, iż gotów jest założyć się z diabłem o swą głowę, że po raz drugi nie ujdzie mi to płazem.

Ubóstwo było drugim występkiem, którym osobliwsza ułomność matki obarczyła Dammita. Był ohydnie biedny i stąd to zapewne pochodziło, iż jego napomknięcia o zakładach nieczęsto miały następstwa pieniężne. Poczuję się do obowiązku wyznać, iż nigdy nie słyszałem, żeby się wyraził: „założę się z panem o dolara”. Zazwyczaj brzmiało to: „założę się, o co pan chce” lub „założę się o wszystko na świecie”, albo „założę się o drobnostkę” lub jeszcze znamiennej: „założę się z diabłem o własną głowę”.

Ta ostatnia forma podobała się mu widocznie najwięcej, zapewne dlatego, iż była najmniej ryzykowna, albowiem Dammit stał się nadzwyczaj oszczędny. Miał głowę małą: więc gdyby ktoś wziął był go za słowo, to jego szkoda byłaby również mała. Są to jednakże tylko me własne refleksje i bynajmniej nie jestem pewien, czy z całą słusnością mogę mu je przypisać. Bądź co bądź to powiedzenie z dnia na dzień stawało się mu coraz miłsze, jakkolwiek było rzeczą wysoce nieprzyzwoitą zakładać się o swą głowę jak o paczkę banknotów, ale tego zdrożne skłonności mojego przyjaciela nie pozwalały mu zrozumieć. W końcu zaprzestał zupełnie używać innych formułek zakładu i jął „zakładać się z diabłem o własną głowę” z taką uporczywością i zapalczywością, iż począłem nie mniej dziwić się jak oburzać. A trzeba wiedzieć, iż zawsze się oburzam, gdy czegoś nie rozumiem.

Tajemnice zmuszają do myślenia i dlatego szkodzą zdrowiu. To pewna, iż sposób, w jaki Mr Dammit zwykł był dawać wyraz swym gorszącym zaklęciom, że akcent, z jakim je wygłaszał - zawierały coś, co zrazu mnie zaciekało, a później wielce zaniepokoiło - coś; co dla braku ściślejszego określenia niechaj będzie mi wolno nazwać narwanym, lecz co Mr Coleridge nazwałby zapewne - mistycznym, Mr Kant- panteitycznym, Mr Carlyle - twistycznym, a Mr Emerson - hyperquizzitystycznym⁴. Jęło mi to bardzo się nie podobać. Dusza Mr Dammita znajdowała się w poważnym niebezpieczeństwie. Postanowiłem wyteńczyć wszystkie mój dar słowa, by ją ocalić. Ślubowałem służyć mu, podobnie jak święty Patryk wedle kroniki irlandzkiej miał służyć ropusze, to znaczy „obudzić w nim świadomość jego stanu”. Zabrałem się niezwłocznie do dzieła. Jeszcze raz uciekłem się do upomnień. Zebrałem wszystkie siły, by rozmówić się z nim ostatecznie w cztery oczy.

Gdym skończył moje kazanie, Mr Dammit raczył zachować się nader dwuznacznie. Przez jakiś czas milczał, spoglądając mi badawczo w oczy. Lecz wnet przechylił głowę na bok i podniósł brwi w górę. Po czym rozczapierzył palce u obu dłoni i ruszył ramionami. Następnie mrugnął prawym okiem. Uczynił to samo z kolei lewym. Po czym zamknął oboje oczu bardzo mocno, lecz wnet otworzył je tak szeroko, iż przeląknęłam się, myśląc o następstwach. Po czym przyłożył wielki palec do nosa i uznał za właściwe wykonać jakiś dziwny ruch innymi palcami. W końcu wziął się pod boki i zniżył się do odpowiedzi.

Przypominam sobie jednakże tylko piątą przez dziesiątą jego mowę. Byłby mi wielce obowiązany, gdybym zechciał stulić gębę. Nie życzy sobie moich morałów. Gardzi moją gadaniną. Dość jest już dojrzały, iżby wiedział, co ma robić. Czy mi wciąż jeszcze się zdaje, że jest niemowlęciem? Czy mogę zarzucić cokolwiek jego charakterowi? Czy chcę mu ubliżyć? Czym upadł na głowę? A przy tym, czy moja matka wie, że mnie nie ma w domu? Stawia mi to pytanie jako człowiekowi prawdomórnemu i będzie polegał na mej odpowiedzi. Otóż raz jeszcze wyraźnie mnie zapytuje, czy moja matka wie, że wałęsam się poza domem. Atoli moje zakłopotanie wydało mnie, a on gotów jest założyć się z diabłem o własną głowę, iż wyszedłem bez wiedzy mej matki.

Mr Dammit nie pozwolił mi dojść do słowa. Wykręciwszy się na pięcie, opuścił mą osobę z niegodziwym pośpiechem. I dobrze się stało dla niego, że tak postąpił. Uraził me uczucia. Co więcej, wywołał mój gniew. Byłbym go wreszcie raz wyciągnął na jego obelżywy zakład. Byłbym wygrał dla Belzebuba małą główkę Mr Dammita - gdyż moja mama istotnie wiedziała, że na krótko wyszedłem z domu.

Ale Khoda shefa mid?hed - niebiosa przynoszą ulgę - jak powiadają muzułmanie, jeśli ktoś im nastąpi na palec. Zelżono mnie, gdy spełniałem swój obowiązek, i po męsku zniosłem tę obelgę. Jednakowoż nabrałem przeświadczenia, iż uczyniłem wszystko, co tylko było można, dla tego marnego indywiduum, i postanowiłem nie naprzykrzać się mu więcej moimi radami, lecz pozostawić go jego własnemu sumieniu. Aczkolwiek powściągnąłem moje upomnienia, to jednak nie zdołałem wyrzec się zupełnie jego towarzystwa. Co więcej, jałem nawet pobłażać niektórym jego mniej nagannym przywarom i bywało, że pochwalałem niekiedy jego zdrożne wybrki, jak smakosze chwalą musztardę, że łzami w oczach, tak bardzo bolało mnie serce, gdy słuchałem jego niegodziwej gadaniny.

Pewnego pięknego dnia, wzięwszy się wzajem pod ramiona, wałęsaliśmy się razem, a droga nasza wiodła ku rzece. Był na niej most i postanowiliśmy przejść po nim na drugą stronę. By uchronić go przed niepogodą, most ten przykryto dachem, wszelako arkady jego miały bardzo niewiele okien i było tam nieprzyjemnie i ciemno. Gdyśmy weszli w głąb, przeciwieństwo między jaśnią, co została za nami, a mrokiem, który zalegał wewnątrz, dało się mocno we znaki mojemu usposobieniu. Nie doznałem tego przygnębiającego uczucia, nieszczęsny Dammit, który oświadczył, iż gotów jest założyć się z diabłem o własną głowę, że pokręciłem nogi. Okazywał niezwykle dobry humor. Był nadzwyczaj ożywiony - do tego stopnia, iż sam nie wiem dlaczego, doznałem jakiegoś złowieszczonego przeczucia. Nie jest rzeczą niemożliwą, iż zaraził się transcendentalizmem. Nie znam się jednak dostatecznie na objawach tej choroby, by mówić o niej z całą pewnością, a na nieszczęście żaden z moich przyjaciół wchodzących w skład redakcji „Dial” nie był przy tym obecny. Wspominam jednakże o tym, gdyż jakieś posępne sowizdrzalstwo opętało mojego biednego przyjaciela i było powodem, iż zachowywał się po prostu jak głupi Maciuś. Największą jego przyjemnością było skakanie i śmiganie koziołków ponad lub pod przedmiotami spotykanymi na drodze, przy czym z najpoważniejszą pod słońcem miną pokrzykiwał, to znów poszeptował wszelakie głupstwa i głupstwa. Doprawdy, sam nie wiedziałem, czy mam go za to karcieć, czy też żałować. W końcu minąwszy już niemal cały most zbliżyliśmy się do końca chodnika, gdzie zagradzał drogę dość wysoki kołowrót. Przeszedłem przez niego spokojnie, obracając go jak zwykle. Ale od tego kręcenia zakreśliło się w główce Mr Dammita. Uparł się, że przeskoczy przez kołowrót i jeszcze fiknie w powietrzu koziołka. Otóż biorąc rzecz poważnie, nie chciałem wierzyć, żeby mu to się udało. Najznakomitszym mistrzem od wszelkich koziołków był mój przyjaciel Mr Carlyle, a przecież nie mógłby być tego dokazać; jakże miałem wierzyć, że dokaże tego Toby Dammit? Nagadałem mu zatem, iż jest samochwałem i że to mu się nie uda. Później przyszło mi słów moich żałować - gdyż bez namysłu odparł, iż założy się z diabłem o własną głowę, że tego dokaże.

Zapomniawszy o swych postanowieniach, zamierzałem właśnie skarcić go za bezbożność, gdy wtem tuż obok siebie usłyszałem lekkie chrząknięcie, które brzmiało jak gdyby: ehem! Drgnąłem i obejrzałem się ze zdziwieniem. Wzrok mój padł w końcu na wnękę w wiązaniach mostu i na postać małego, kuternokiego staruszka o czcigodnym wyglądzie. Niepodobna po prostu wyobrazić sobie szanowniejszej powierzchowności; nie dość, że był ubrany całkiem czarno, lecz „miał także zupełnie czystą koszulę z kołnierzem wywiniętym przywieszony na biały krawat. Włosy miał przedzielone na czole jak dziewczyna. Założywszy w zadumie ręce na brzuchu, stał zaparty na górę.

Przyjrawszy mu się dokładniej, zauważyłem, iż na odzieży miał czarny, jedwabny fartuch. Wydało mi się to wielce dziwaczne. Zanim jednak zdążyłem wypowiedzieć się o tym osobliwym szczególe, chrząknął powtórnie: ehem!

Zagadnięty w ten sposób, nie zdążyłem od razu znaleźć odpowiedzi. Wiadomo, iż na takie lakoniczne uwagi bardzo trudno jest odpowiedzieć. Znałem pewien kwartalnik, który „tracił głowę”, gdy ktoś rzekł: bujda! Nie wstydzę się przeto wyznać, iż wezwałem na pomoc Mr Dammita.

- Dammit - rzekłem - co z tobą się dzieje? Czy nie słyszysz, że ten pan powiedział: ehem? - mówiąc to spojrzałem surowo na mojego przyjaciela, bo nie da się zaprzeczyć, iż byłem wielce zakłopotany, kiedy zaś jest się wielce zakłopotanym, to należy zmarszczyć brwi i zasępić twarz, gdyż inaczej będzie się na pewno wyglądało jak idiota.

- Dammit5! - dodałem, a słowo to brzmiało jak przekleństwo, aczkolwiek bynajmniej me zamierzałem kłąć. - Dammit, ten pan powiedział: ehem!

Nie zamierzam bynajmniej utrzymywać, że powiedzenie to było głębokie, gdyż sam go za głębokie nie poczytywałem. Wszelako zdarzyło się mi zauważyć, iż oddziaływanie naszych słów nie zawsze pozostaje w prostym stosunku do ważności, jaką sami im przypisujemy. Toteż gdybym był rzucił na Mr Dammita bombą lub trzasnął go po łbie dziełem pt. The Poets and Poetry of America, zapewne nie byłby więcej stropiony, niż kiedy wyrzekłem te proste słowa:

- Dammit, co z tobą się dzieje? Czy nie słyszysz, że ten pan powiedział: ehem?

- Czy ty to mówisz naprawdę? - zachnął się w końcu, a twarz mu się mieniła jak barwy na statku korsarskim ściganym przez okręt wojenny. - Czy jesteś pewien, że tak powiedział? No, to jestem na wszystko gotów i będę umiał z nim sobie poradzić. Niechże mu będzie „ehem”!

Słowa te zdawały się wielce radować małego staruszka - Bóg sam wie, dlaczego. Wyszedł z wnęki, posztykował wdzięcznie naprzód, wziął za rękę Dammita i uściśnął ją serdecznie, patrząc mu przy tym w oczy z wyrazem takiej niekłamanaj pocziwości, jaką zaledwie wyobrazić sobie można.

- Jestem przekonany, że pan wygra - rzekł z niewymownie ujmującym uśmiechem - ale trzeba zachować formy i zrobić próbę.

- Ehem! - odparł mój przyjaciel. Z głębokim westchnieniem zdjął kurtkę i przepasał biodra chustką. Wyraz jego twarzy zmienił się zagadkowo. Utkwił oczy gdzieś w górze i opuścił kąci ust. - Ehem! - Po chwili znów powtórzył: ehem! i odtąd nie słyszałem już od niego innego słowa.

Aha! - pomyślałem sobie, nie wypowiadając się głośno. - Zastanawiające jest to milczenie Toby Dammita. Zapewne jest ono następstwem jego poprzedniej gadatliwości. Jedna ostateczność wywołuje drugą. Chciałbym też wiedzieć, czy zapomniał już mnóstwa pytań, na które niepodobna było dać odpowiedzi, a którymi mnie zasypywał owego dnia, kiedy po raz ostatni nawoływałem go do poprawy? Bądź co bądź wyleczył się już z transcendentalnych mrzonek.

- Ehem! - odezwał się Toby, jak gdyby czytał w mych myślach, i spojrzał na mnie wzrokiem sędziwej, rozmarzonej owcy.

Podeszły jegomość wziął go w tej chwili za ramię i poprowadził w głąb cieni zalegających most - o kilka kroków od kołowrotu. - Mój zacny panie - rzekł - mam skrupuły sumienia, że zgadzam się na ten karkołomny skok. Proszę tu

poczekać, aż stanę przy kołowrocie, żebym mógł widzieć, czy przeskoczy pan zgrabnie i transcendentalnie, nie zaniedbawszy przy tym fiknąć kozła. Zwykła -jak pan wie - forma. Zawołam: raz, dwa, trzy i naprzód. Skoczy pan na słowo: naprzód!

Po tych słowach udał się na swe stanowisko, poczekał chwilę jakby w głębokim zamyśleniu, spojrzął w górę i - jak mi się zdawało - uśmiechnął się z lekka, po czym zacisnął taśmę u swego fartucha, popatrzył przeciągle na Dammita i w końcu wyrzekł umówione słowa:

- Raz - dwa - trzy - naprzód!

Na słowo „naprzód!” mój biedny przyjaciel ruszył pędem. Kołowrót nie był ani tak wysoki, jak styl Mr Lorda6, ani tak przyziemny, jak pisanina jego recenzentów, ale na ogół byłem pewien, że przeskoczy. Co by jednak stało się, gdyby nie przeskoczył - hm, oto jest pytanie - co by wówczas się stało? Jak może - mówiłem do siebie - ten stary dżentelmen namawiać innych do podobnych skoków? Kim jest on, ten zgrybiały piernik? Gdyby zechciał, abym ja skakał, tobym go nie posłuchał i byłoby mi wszystko jedno, co to za diabeł!

Most, jak już wspomniałem, miał cudacznie sklezione, przykryte dachem arkady, wśród których rozlegały się nader niemiłe echa; nigdy wszakże nie dały się mi one we znaki tak bardzo jak wówczas, kiedy wymawiałem przytoczone powyżej cztery ostatnie słowa.

Wszystko jednak, co rzekłem czy też co pomyślałem albo może usłyszałem, trwało zaledwie jedno okamgnienie. W niespełna pięć sekund mój biedny Toby poderwał się do skoku. Widziałem, jak biegł rąco, jak odbił się mocno od podłogi mostu i jak fiknął nogami przerażającego kozła. Widziałem go wysoko w powietrzu, koziołkującego tuż nad kołowrotem, i wydało się mi rzeczą nadzwyczaj dziwną, że nie przelatuje na drugą stronę. Ale cały skok był dziełem jednej chwili i nie zdążyłem jeszcze uczynić żadnego głębokiego spostrzeżenia, gdy Mr Dammit runął na grzbiet po tej samej stronie kołowrotu, z której skok swój rozpoczął. Równocześnie dostrzegłem, iż stary jegomość posztykował kędyś pośpiesznie, uchwyciwszy i zawinąwszy w swój fartuch coś, co spadło do niego z ciemności arkady tuż nad kołowrotem. Wszystko to zdziwiło mnie niepomiernie; ale nie miałem czasu do namysłu, gdyż Mr Dammit leżał dziwnie spokojnie, więc przyszło mi do głowy, iż czuje się dotknięty w swych uczuciach i że potrzebuje mej pomocy. Podbiegłem do niego i przekonałem się, że doznał - jeśli tak rzecz można - ciężkiego uszkodzenia. Mianowicie postradał głowę, której mimo dokładnych poszukiwań nie udało się mi znaleźć. Postanowiłem tedy zabrać go do domu i posłać po homeopatów, gdy wtem zaświtała mi pewna myśl. Otworzyłem pobliskie okno mostu i zrozumiałem od razu smutną prawdę. O jakie pięć stóp nad kołowrotem przebiegała poprzecznie przez arkadę chodnika płaska, żelazna, sztaba, umieszczona węższym krańcem poziomo i służąca, podobnie jak wiele innych, do wzmocnienia przęsła mostu. Otóż z ostrym krańcem tej sztaby wszedł widocznie w zbyt bliskie zetknięcie kark mojego nieszczęsnego przyjaciela. Nie było mu dane przeżyć długo tej okropnej straty. Homeopaci nie zmniejszyli dostatecznie dawek przepisanych mu leków ale nawet tej dawki, którą mu przepisali, nie chciał jakoś zażyć. Toteż pogorszyło się mu bardzo i w końcu umarł na dobre, dając nauczkę wszystkim niespokojnym duchom. Skopiłem grób jego rzewnymi łzami, położyłem posępnie krzyżyk na jego tarczy herbowej i obliczywszy sumiennie koszty jego pogrzebu, posłałem bardzo umiarkowany rachunek transcendentalistom. Ale te draby nie chciały go zapłacić. Odgrzebałem przeto Mr Dammita i sprzedałem go na żer dla psów.

Maska Czerwonego Moru

Czerwony Mór już od dawna srożył się w kraju. Nigdy wszakże zaraza nie była tak okropna i zgubna. Zaczynała się i kończyła krwią - krwi grozą i czerwienią. Występowały ostre bóle i nagłe zawroty, po czym krew tryskała wszystkimi porami i przychodziła śmierć. Szkarłatne plamy na ciele, przede wszystkim zaś na licu ofiary, były oznakami moru pozbawiającymi ją pomocy i przychylności ludzkiej; cały zaś początek, przebieg i koniec choroby odbywał się w przeciągu pół godziny.

Ale książe Prospero był szczęśliwy, przezorny i nieustraszony. Gdy dzierżawy jego wyludniły się na poły, spośród dam i rycerzy swojego dworu wezwał do siebie tysiąc najkrzepszych i najpogodniejszych i wraz z nimi schronił się w niedostępnym odludziu przedzierzgniętego w warownię klasztoru. Był to przybytek przestronny i okazały, twór odrębnego, lecz dostojnego smaku księcia. Mocny, wysoki mur opasywał go dookoła. W murze widniały żelazne bramy. Dworzanie, wszedłszy do zamku, przynieśli panwie i ogromne młoty i pozabijali na głucho wrzeczadze. Postanowili nie wypuszczać ani nie wpuszczać nikogo, chcąc w ten sposób zapobiec porównie nagłym podrywom rozpaczki od wewnątrz, jak i zapędowi wściekłości od zewnątrz. Klasztor był sownie zaopatrzony we wszystko. Poczyniwszy te środki ostrożności, mogli dworzanie urągać zarazie. Świat zewnętrzny niech sam ma staranie o siebie. Byłoby głupstwem trapić się i zastanawiać przed czasem. Toć książe pomyślał także o wszelakich rozrywkach. Byli więc tam trefnisie, improwizatorowie, tancerze i grajkowie - i piękne były tam kobiety i wino. Było w zamku wszystko, a na domiar zupełne bezpieczeństwo. Zewnątrz zaś był Czerwony Mór.

W piątym czy szóstym miesiącu tego odosobnienia, gdy poza obrębem zamkowych murów najwścieklej srożyła się zaraza, zaprosił książe Prospero swych tysiąc przyjaciół na niezwykle świetny bal maskowy.

Rozkosznym widowiskiem była ta maskarada. Lecz wprzód opowiem o komnatach, w których się odbywała. Było ich siedem - istic królewska amfilada! W innych pałacach, gdy podwoje na oścież są otwarte, tworzą takie amfilady długi i prosty szereg, toteż jest łatwo przejrzeć je na przetrzała. Tutaj urządzenie było najzupełniej odmienne, co zresztą - znając upodobania księcia do niezwykłości - łatwo dawało się przewidzieć. Rozmieszczenie komnat było tak bezładne, iż nie więcej niż jedną można było od razu ogarnąć spojrzeniem. Co dwadzieścia lub trzydzieści łokci następował nagły zakręt, a za każdym zakrętem nowa czekała niespodzianka. W prawo i w lewo, pośrodku każdej ściany, wąskie i wysokie okno gotyckie wychodziło na zamknięty krużganek, który podążał równoległe do zakrętów. Okna te były z kolorowego szkła, którego barwa dostrajała się do odcienia, górującego w urządzeniu komnaty. Jakoż wysunięta najdalej ku wschodowi miała obicia błękitne, okna zaś świetliste modre. W sprzętach i makatach następnej przeważała purpura, toteż szyby były purpurowe. Trzecia była cała zielona, i miała zielone okna. W czwartej urządzenie i oświetlenie mieniło się amarantem, w piątej białą, w szóstej fioletem. Siódma komnata była wybita czarnym aksamitem, co przysłaniał cały jej strop i zwieszał się ze ścian, spadając w ciężkich fałdach na kobierzec z takiejż tkaniny i tej samej barwy. Atoli kolor jej okien nie zgadzał się z obiciem. Miała bowiem szyby szkarłatne - o głębokim, krwawym nalocie. Wszelako w żadnej z tych siedmiu komnat, wśród mnóstwa złotych ozdób, rozsianych dokoła lub zwieszających się ze sklepień, nie było lampy ni świecznika. Światło lamp i świec nie znajdowało do nich przystępu; natomiast w krużgankach, co wiły się wzdłuż amfilady, ustawiono potężne

trójnogi z gorejącymi panwiami, których promienie wnikały przez barwiste szyby i skrawymi blaski zatapiały komnaty. Udało się w ten sposób osiągnąć mnóstwo kraśnych i czarownych harmonii. Ale w zachodniej, czyli czarnej komnacie łuna ognia, padająca przez krwawo zabarwione szyby na ponure obicia, wywoływała wrażenie wprost upiorne i taką grozą oblekała twarze, iż z całego towarzystwa odważali się tam wchodzić tylko nieliczni śmiałkowie.

W komnacie tej, pod zachodnią jej ścianą, stał olbrzymi hebanowy zegar. Głucho, posepnie, jednostajnie tykotało wahadło jego w jedną i drugą stronę; kiedy wszakże wskazówka kończyła swój obieg na tarczy i miała wybić godzina, wówczas z brązowych płuc zegara rozlegał się dźwięk głęboki, czysty, donośny i nadzwyczaj melodyjny, lecz tak dziwnie gędzębny i uroczysty, iż ze schyłkiem każdej godziny grajkowie orkiestry mimowolnie przestawali na chwilę rzępolić i zasluchiwali się w dźwięki, bezwiednie zatrzymywali się w swych pługach tancerze i przelotny niepokój rozradowane ogarniał towarzystwo. Jak długo rozbrzmiewało granie zegara, najlekkomyślniejsi bledli, starsi zaś i stateczniejsi podnosili rękę do czoła, jak gdyby w błędnej jakiejś zadumie czy rozmarzeniu; lecz skoro tylko ostatnie zamierały pogłosy, płochy śmiech naraz przelatywał w tłumie: grajkowie spoglądali na siebie, uśmiechając się ze swego niedorzecznego zmieszania, i szeptem przyrzekali sobie, iż następny odzew nie wywoła już w nich takiego wrażenia; atoli po upływie sześćdziesięciu minut (które mieszczą w sobie trzy tysiące sześćdziesiąt sekund pierzchliwego czasu) granie zegara odzywało się ponownie i ponownie następowało takie samo zadrganie i zaniepokojenie i taka sama nastawała zaduma.

Pomimo to bawiono się wytwornie i ochoczo. Bo też książę niezwykle posiadał upodobania. Miał subtelne poczucie barw i zestrojów. Lekcewał decora bezdusznej poprawności. Zamiary jego były zuchwałe i ogniste, a pomysły barbarzyńskim skrzyły się przepychem. Utrzymywano podobno, iż podlegał obłędowi. Towarzysze jego wiedzieli, iż tak nie było. Chcąc atoli o tym się upewnić, trzeba było wejść z nim w styczność, słuchać go i nań patrzeć.

Od niego to przede wszystkim, dla uświetnienia zabawy, wyszła myśl, by owe siedem komnat w ruchome przystroić opony, on też rozstrzygał przodowniczym swym smakiem o wyglądzie masek. Jakoż istotnie odznaczały się nieskielezną pomysłowością. Zachwycały strojnoscia i powabem, lekkim dowcipem i widziadlanym marzeniem. Były tam arabskie postacie, u których wszystko popadło w nieład. Były senne zjawy, jak gdyby poczęte z wyobraźni szaleńca. Było tam wiele piękna, wiele rozpasania, wiele cudactwa, nieco okropności, nie brakło nawet tego, co mogło wzbudzać niesmak. Toteż skroś owych siedmiu komnat fälował bezlik snów. Sny te przewijały się z sali do sali, przyjmując od nich zabarwienie, zaś huczna muzyka orkiestry zdała się niby wtórem ich kroków. I oto rozlegały się uderzenia hebanowego zegara, ustawionego w aksamitnej sali; i wszystko milkło w okamgnieniu okrom zegara. Sny zastygały nieruchomo w miejscu. Lecz już zamierają dźwięcznej gędzby echa - toć trwały tylko chwilę - i polatuje za nimi płochy, na wpeł stłumiony śmiech. I znów grzmi muzyka, sny ożywają i jeszcze rozkoszniejszym kołyszą się pługem, pługając się w kolorach mnóstwa barwistych okien, przez które wpadają promienie trójnogów. Jeno do najdalej na zachód położonej komnaty wejść już nie waży się nikt; gdyż noc jest późna i płomienistej sęczy się światło przez krwawo zabarwione szyby; i czerń posepnych opon przeraża; kto zaś swą stopę na czarnym postawi kobiercu, tego głuchy szmer zegara uroczyście z pobliza przejmie powagą, niż tych, którzy w odleglejszych zabawiają się salach.

Za to tym gęstsza w innych salach tłoczyła się ciżba i gorączkowo biło tętno życia. Zapamiętała szalała orgia, aż na zegarze jęła bić północ. I, jak już rzekłem, ucichła muzyka i ustały taneczne pługy; i znów zastygło w niepewności wszystko. Dwunastu wszelako uderzeniami zabrznieć miał tym razem dzwon zegara; i zdarzyło się oto, iż, więcej snadź mając czasu, rozważniejsi z biesiadników w głębszych pograżyli się zadumach. I snadź z tej samej przyczyny zdarzyło się również, że nim zapadło w cichosć ostatnie echo ostatniego dźwięku, wielu z obecnych miało sposobność dostrzec jakąś zamaskowaną postać, której poprzednio nikt nie zauważył. Kiedy zaś wieść o niej wszędy już obiegała szeptem, wówczas wśród całego towarzystwa podniósł się pomruk i wszczęło się sarkanie, w którym przejawiało się zrazu zdumienie i niezadowolenie - później lęk, groza i odraza.

Rzecz prosta, iż niepowszednie musiało być to zjawisko, skoro wśród opisanego przeze mnie tłumy widziadeł takie wstrząsające wywarło wrażenie. Wprawdzie swoboda, z jaką tego wieczora obmyślano sobie maski, była prawie nieograniczona, atoli owa postać pozwoliła sobie za wiele i wyłamała się nawet z niezmiernie zresztą luźnych karbów godziwości, uznawanych jeszcze przez księcia. Nawet najlekkomyślniejsi mają w sercu struny, co drgają za dotknięciem. Nawet straceńcy, co szydzą zarówno z życia, jak ze śmierci, mają rzeczy, z których szydzić nie wolno. Jakoż w całym towarzystwie głębokie nurtowało poczucie, iż niezajomy w stroju i w zachowaniu przebrał miarę przyzwoitości i dowcipu. Czechło grobowe upowijało od głowy do stóp postać jego wysoką i chudą. Miał na twarzy maskę, która z taką dokładnością odtwarzała zastygłe rysy trupa, iż najściślejsze badanie niezdolne było rozproszyć złudzenia. A jednak i to wszystko, bez oklasków wprawdzie, ale i bez oburzenia byłaby przyjęła hulaszca zgraja. Lecz niezajomy posunął się w swym zuchwalstwie tak daleko, iż przybrał na się wygląd Czerwonego Moru. Szatę miał ubrozoną w krwi - zaś szerokie czoło i cała twarz jego usiana była szkarłatnymi znamionami.

Gdy wzrok księcia Prospera padł na tę piekielną zjawę (co jakby w poczuciu swej roli snuła się wśród tancerzy wolno i uroczyście), spostrzeżono, iż drgnął zrazu cały z obrzydzenia czy grozy, lecz wnet potem skroń jego splomieniła się gniewem.

- Kto śmie? - pytał chrypliwie stojących obok dworzan - kto śmie naigrawać się z nas tym bluźnierczym błazeństwem? Wziąć go i zedrzyć mu maskę, byśmy wiedzieli, co za człek z rozkazania naszego zawiśnie o świcie na blankach!

We wschodniej, czyli błękitnej sali stał książę Prospero wymawiając te słowa. Dźwięcznie, donośnie rozległy się one skroś siedmiu komnat - gdyż silny i nieustraszony był książę, a muzyka na skinienie jego ucichła.

W błękitnej komnacie stał książę wśród gromadki pobladałych dworaków. Zrazu, na wezwanie, drgnęli oni z lekka w kierunku natręta, co znajdował się w tej chwili opodal i wolnym, posuwistym krokiem zbliżał się właśnie do mówcy. Atoli jakaś nienazwana groza, którą szalone zuchwalstwo niezajomego w całym wznieciło towarzystwie, sprawiła, iż nikt na niego nie podniósł ręki; toteż niewstrzymany przeszedł tuż obok księcia; a ponieważ ciżba, jakby na skinienie, ze środka komnat rozpierzchnęła się pod ściany, przeto tym samym, od początku sobie właściwym, uroczystym, miarowym krokiem szedł nieprzerwanie dalej, z komnaty błękitnej do purpurowej, z purpurowej do zielonej, z zielonej do amarantowej, z tej zaś do białej - zmierzał właśnie do fioletowej, kiedy wreszcie drgnęło postanowienie, by mu zastąpić drogę. Książę Prospero, szalony z wściekłości i sromu, iż własne na chwilę zawiodło go męstwo, rzucił się pędem i biegł przez komnaty, nie mając przy sobie nikogo, gdyż wszystkich innych śmiertelna ubezwładniła trwoga. Wysoko dzierząc dobyty z pochwy sztylet, zbliżał się szybko i był już o trzy lub cztery kroki od uchodzącej mary, gdy ta, kresu aksamitnej dosięgnąwszy komnaty, odwróciła się nagle i stanęła oko w oko ze swym prześladowcą. Rozległ się przenikliwy krzyk - załśnił sztylet, na

czarny padając kobierzec, a wraz potem, rażony śmiertelnie, powalił się księżę Prospero. Z dziką odwagą rozpaczy biesiadnicy tłumnie do czarnej wtargnęli komnaty i pochwyciwszy zamaskowanego zuchwalca, którego wysoka postać prosto i nieruchomo widniała w cieniu hebanowego zegara, struchleli z niewysłowionej grozy, bowiem trupia maska i gźła grobowe, które z taką srogą targali zaciekłością, kształtów dotykalnych nie zawierały wcale.

Poznali tedy obecność Czerwonego Moru. Przyszedł jak złodziej w nocy. Jeden po drugim walili się z nóg biesiadnicy w krwią ubroczonych biesiady swej salach i marli nie zdążywszy zmienić w chwili zgonu rozpacznej postawy przybranej podczas upadku. Życie hebanowego zegara uleciało wraz z tchnieniem ostatniego z wesółków. Płomienie trójnogów pogasły. Niepodzielnie zawładły wszystkim Mór Czerwony, zgnilizna i ciemność.

Tajemnica Marii Rog?tl

Es gibt eine Reihe idealistischer Begebenheiten, die der Wirklichkeit parallel läuft. Selten fallen sie zusammen. Menschen und Zufälle modifizieren gewöhnlich die idealistische Begebenheit, so dass sie unvollkommen erscheint, und ihre Folgen gleichfalls unvollkommen sind. So bei der Reformation; statt des Protestantismus kam das Lutherthum hervor².

Niewiele jest osób, nawet wśród najspokojniejszych myślicieli, które by w pewnych razach nie ulegały przypiływom nieuchwytniej, lecz niemniej wstrząsającej do rdzenia, połowicznej wiary w rzeczy nadprzyrodzone, gdy jakiś zbieg okoliczności przybierze tak osobliwy na pozór charakter, że intelekt nie może pogodzić się z wnioskiem, jakoby to był tylko zbieg okoliczności.

Odczuwania tego rodzaju - gdyż połowiczne wierzenia, o których mowa, nie miewają nigdy pełnej mocy myśli - odczuwania takie rzadko kiedy dają się całkowicie stłumić, i to tylko przy pomocy teorii przypadkowości, czyli - jak brzmi nazwa techniczna - rachunku prawdopodobieństwa. Rachunek ten jest w swej istocie wyłącznie matematyczny; i oto mamy do czynienia z taką osobliwością, iż surowa ścisłość wiedzy znajduje zastosowanie do świata cieniów i do duchowości zjawisk, najbardziej nieuchwytnych w dziedzinie spekulacji.

Nadzwyczajne zdarzenia, które na życzenie podają obecnie do wiadomości publicznej, tworzą - jak to się okaże z kolejności czasu - pierwsze odgałęzienie szeregu zaledwie przystępnych pojmowaniu ludzkiemu zbiegów okoliczności, którego następczą, czyli ostateczną część znajdują czytelnicy w opowieści o zabójstwie Marii Cecylii Rogers w Nowym Jorku.

Gdy przed jakimś rokiem w pracy zatytułowanej Zabójstwo przy rue Morgue przystępowałem do skreślenia kilku nader znamienitych rysów umysłowości mojego przyjaciela, Chevaliera C. Augusta Dupina, ani nie przechodziło mi przez myśl, że mogę jeszcze powrócić do tego przedmiotu. Odmalowanie tej umysłowości było jedynym moim celem, a cel ten został zupełnie osiągnięty w toku szczególniejszych okoliczności, rozwidniających właściwości psychiczne Dupina. Mógłbym być przytoczyć jeszcze inne przykłady, nie byłbym jednak wykazał niczego więcej. Atoli ostatnie wypadki oraz ich osłupiający przebieg rozbudziły nagle we mnie wspomnienia dalszych zdarzeń, które wniosą do mej opowieści jakby nastrój wymuszonego wyznania. Dowiedziawszy się jednak tego, co niedawno słyszałem, byłbym zaprawdę postąpił dziwnie, gdybym dłużej milczał o tym, co widziałem i słyszałem tak dawno już temu.

Po rozwikłaniu tragedii, co osnuwała śmierć Madame L'Esplanade i jej córki, Chevalier przestał nagle zajmować się tą sprawą i pograżył się znowu w swym dawnym nawyku posępnego marzycielstwa. Mając zawsze skłonność do abstrakcyjności, przystosowałem się z łatwością do jego usposobienia. Mieszkaliśmy dalej w naszych pokojach na Faubourg Saint Germain, zdaliśmy przyszłość na cztery wiatry i śniliśmy spokojnie w terażniejszości, omotując marzeniami czczość otaczającego nas świata.

Wszelako w marzeniach tych zdarzały się przerwy. Jak łatwo się domyślić, współdziałanie mego przyjaciela w dramacie przy rue Morgue nie pozostało bez wpływu na wyobraźnię policji paryskiej. Nazwisko Dupina nabrało rozgłosu wśród jej agentów. Prostota wnioskowań, za pomocą których zdołał przeniknąć tę tajemnicę, nie była znana prefektowi ani też nikomu innemu prócz mnie samego; nie było zatem nic dziwnego w tym, że sprawę tę rozdepto niemal do rozmiarów cudu, a zdolności analityczne Chevaliera wywołały podziw dla jego intuicji. Właściwa mu szczerzość byłaby go skłoniła niewątpliwie do prostowania tych mylnych mniemań o nim, ale niedbałość jego usposobienia nie pozwalała mu nadal zajmować się przedmiotem, który już od dawna przestał go obchodzić. Zdarzyło się zatem, iż sam nie wiedząc kiedy stał się jakby gwiazdą przewodnią policyjnych oczu i niejednokrotnie zwracano się do niego, by przyjął służbę w prefekturze. Jednym z najbardziej pamiętnych zdarzeń było zabójstwo młodej dziewczyny, nazwiskiem Maria Rog?t.

Wypadek ten nastąpił w jakieś dwa lata po okropnościach przy rue Morgue. Maria, której imię chrzestne i nazwisko rodowe przypomni niewątpliwie nieszczęsną „robotnicę z fabryki cygar”³, była jedyną córką wdowy, Estelli Rog?t. Ojciec odumarał ją w dzieciństwie. Odtąd matka i córka mieszkały razem przy rue Pavée Saint André⁴, skąd dziewczyna wyprowadziła się dopiero na osiemnaście miesięcy przed zabójstwem, które stanowi przedmiot niniejszego opowiadania. Matka przy pomocy Marii utrzymywała pensjonat. Trwało to aż do czasu, kiedy dziewczyna ukończyła dwudziesty pierwszy rok życia i kiedy wielka jej uroda zwróciła uwagę pewnego właściciela perfumerii. Miał on sklep w suterrenach Palais Royal, a klientela jego składała się przeważnie z zuchwałych rzezimieszków, niepokojących sąsiednie dzielnice miasta. Monsieur Le Blanc⁵ zdawał sobie sprawę z korzyści, jakie mogły wyniknąć dla niego z obecności pięknej Marii w sklepie. Nie skąpił obietnic, które bardzo podobały się dziewczynie, natomiast u matki spotkały się z pewnym niedowierzaniem.

Zabiegi sklepikarza odniosły w końcu skutek i jego firma nabrała wkrótce rozgłosu dzięki powabom uroczej gryzетки. Była u niego zajęta przez jakiś rok, po czym znikła nagle, co wywołało wielkie zaniepokojenie wśród jej wielbicieli. Monsieur Le Blanc nie umiał nic powiedzieć o powodach jej nieobecności; a Madame Rog?t szalała z niepokoju i przerażenia. Dzienniki zajęły się natychmiast tą sprawą, zaś policja zamierzała już przystąpić do ścisłego śledztwa, gdy pewnego pięknego poranku, po upływie tygodnia, Maria, najzupełniej zdrowa, acz nieco smutniejsza niż zazwyczaj, zajęła znowu swe miejsce przy kasie sklepowej. Wszystkie wywiady, prócz poufnych, natychmiast ustały. Monsieur Le Blanc tak samo nic nie wiedział, jak poprzednio. Maria i jej matka odpowiadały na wszystkie pytania, iż ubiegłego tygodnia przebywała na wsi, u swych krewnych. Sprawa ta przycichła i poszła w zapomnienie, gdyż dziewczyna,

chcąc widocznie ujść natrętej ciekawości, rozstała się wkrótce ze swym pracodawcą i powróciła do mieszkania przy rue Pavée Saint André.

W jakieś pięć miesięcy po tym powrocie pod dach rodzicielski znowu znikła nagle ku zaniepokojeniu swych przyjaciół. Trzy dni upłynęły, a nie było o niej wieści. Czwartego dnia znaleziono jej zwłoki płynące po Sekwanie w pobliżu brzegu położonego naprzeciw dzielnicy, do której należy rue Saint Andre, opodal odludnej połąci Barri?re du Roule7.

Okrucieństwo zabójstwa (gdyż od razu było widoczne, że popełniono zabójstwo), młodość i uroda ofiary, zaś przede wszystkim rozgłos, jaki zdążyła pozyskać, złożyły się na wywołanie silnego wzburzenia umysłów wśród wrażliwej ludności paryskiej. Nie przypominam sobie, by jaki inny podobny wypadek wywołał odruch równie powszechny i równie potężny. Przez kilka tygodni nawet najważniejsze, bieżące sprawy polityczne gubiły się w dyskusjach nad tym wszechpochłaniającym zagadnieniem. Prefekt zdobył się na niezwykłą energię, a władze całej policji paryskiej rozwinęły nadzwyczaj sprężystą działalność.

Po znalezieniu zwłok zrazu nie przypuszczano, by zabójca mógł długo ukrywać się przed dochodzeniami, które niezwłocznie wdrożono. Nie wcześniej niż dopiero po jakimś tygodniu uznano za właściwe ogłosić nagrodę za wykrycie zbrodniarza; wszelako nagroda ta wynosiła zaledwie tysiąc franków. Równocześnie dochodzenia odbywały się energicznie, acz nie zawsze roztropnie, i przesłuchano mnóstwo osób, ale bezskutecznie. Tymczasem ta niemożność znalezienia jakichkolwiek poszlak, zmierzających do rozwidnienia tajemnicy, podniecała wielce wzburzenie tłumu. Pod koniec dziesiątego dnia uznano za konieczne podwoić wyznaczoną pierwotnie sumę, kiedy zaś po upływie dwu tygodni niczego nie udało się wykryć i kiedy uprzedzenie, które istnieje zawsze w Paryżu względem policji, znalazło upust w kilku poważniejszych zajściach ulicznych, prefekt z własnego popędu postanowił ofiarować sumę dwudziestu tysięcy franków za „wskazanie zbrodniarza” lub, gdyby się okazało, że było ich więcej, za „wskazanie jednego ze zbrodniarzy”. W ogłoszeniu urzędowym, zawiadamiającym o wyznaczeniu tej nagrody, przyrzeczono ponadto zupełną bezkarność tym uczestnikom zbrodni, którzy by zechcieli wydać swych towarzyszy. Obok tych ogłoszeń porozlepiano wszędzie prywatne plakaty komitetu obywatelskiego, który do sumy wyznaczonej przez prefekturę dodawał od siebie dziesięć tysięcy franków. W całości wynosiła zatem nagroda aż trzydzieści tysięcy franków. Co było sumą wprost niesłychaną, jeżeli się zważy, iż chodziło o dziewczynę z ludu, i jeżeli się uwzględni, że zabójstwa tego rodzaju nader często zdarzają się w wielkich miastach.

Nikt już nie wątpił, iż tajemnica tej zbrodni niezwłocznie wyjdzie na jaw. Jakoż uwięziono jedną czy dwie osoby, których zeznania miały rzekomo rozwidnić tę ciemną sprawę, lecz okazało się, że podejrzenia o współudział były niesłuszne, i natychmiast zarządzono uwolnienie. Mogłoby się wydawać rzeczą dziwną, iż trzy tygodnie upłynęły już od znalezienia zwłok, nie rzucając żadnego światła na to zagadnienie, a jednak nawet najpobieżniejsza pogłoska o wypadku, który tak bardzo roznamiętniał umysły publiczności, nie dotarła do uszu Dupina i moich. Zajęci badaniami, które pochłaniały nas całkowicie, niemal od miesiąca nie wychodziliśmy z domu i nie przyjmowaliśmy gości, a w dziennikach przeglądaliśmy zaledwie naczelné artykuły polityczne. Pierwszą wiadomość o tej zbrodni przyniósł nam prefekt G. we własnej osobie. Zawitał do nas zaraz po południu 13 lipca 18... r. i pozostał do późnej nocy. Był do żywego dotknięty niepowodzeniem wszystkich swych wysiłków, zmierzających do wytropienia zabójców. Jego reputacja - jak utrzymywał w tonie iście paryskim - była narażona. Nawet jego honor był zagrożony. Cała publiczność miała zwrócone oczy na niego i zaiste nie było ofiary, na którą by się nie zdobył dla przeniknięcia tej tajemnicy. Swe nieco zabawne przemówienie zakończył komplementem na cześć tego, co podobało się mu nazwać taktem Dupina, i bez ogródek uczynił mu bezsprzecznie ponętą propozycję, o której szczegółowiej mówić mi nie wypada, tym bardziej że nie należy ona właściwie do zakresu mego opowiadania.

Za komplement wywzajemnił się mój przyjaciel nie mniejszą uprzejmością, wszelako propozycję przyjął bez wahania, aczkolwiek jej korzyści były tylko przejściowe. Doszedłszy do porozumienia, prefekt jął od razu roztaczać swe poglądy, przeplatając je rozwlekłymi komentarzami do materiału śledczego, którego jednakowoż jeszcze nam nie dostarczył. Mówił długo i bez wątpienia uczenie, pozwoliłem sobie atoli wtrącić uwagę o senności, jaka zwykła towarzyszyć spóźnionej porze. Dupin, nie ruszając się ze swego fotela, zdał się uosobieniem skupionej uwagi. Nie zdejmował okularów, odkąd zaczęła się rozmowa. Ukradkowe spojrzenia, które rzucałem od czasu do czasu za zielone szklą, przekonały mnie w zupełności, iż spał sobie głęboko i najspokojniej przez siedem czy osiem godzin, które wlokły się jak po smole, zanim prefekt uznał za właściwe nas pożegnać.

Nazajutrz rano wydostałem w prefekturze cały materiał śledczy, zaś w redakcjach dzienników wszystkie numery zawierające ważniejsze wiadomości o tej przykłej sprawie. Po odrzuceniu naleciałości, na pewno niewiarygodnych, ogrom tych informacji dał się streścić, jak następuje:

Maria Rog?t wyszła z mieszkania swej matki przy rue Pavée Saint André około dziewiątej rano w niedzielę, dwudziestego drugiego czerwca 18... Wychodząc powiedziała Monsieur Jacques Saint Eustache8, i tylko jemu jednemu, że wybiera się na cały dzień do ciotki, mieszkającej przy rue des Drômes. Rue des Drômes jest krótkim i wąskim, lecz ludnym zaułkiem, przebiegającym w pobliżu pobraża rzeki i oddalonym, w możliwie najkrótszej linii, o jakie dwie mile od pensjonatu Madame Rog?t. Saint Eustache był po słowie z Marią, mieszkał i jadał w pensjonacie. Umówili się, że przyjdzie po swą narzeczoną o zmierzchu i odprowadzi ją do domu. Wszelako po południu jęło lać jak z cebra; przypuszczając zatem, iż pozostanie na noc u swej ciotki (jak to nieraz czyniła przedtem w podobnych okolicznościach), nie uważał za potrzebne dotrzymać obietnicy. Gdy noc zapadła, Madame Rog?t (siedemdziesięcioletnia znieoależniała staruszka) wyraziła obawę, iż „już Marii więcej nie zobaczy”, ale na te słowa nikt podówczas nie zwrócił uwagi.

W poniedziałek przekonano się, iż dziewczyny przy rue des Drômes nie było, i dopiero kiedy cały dzień minął, a wieści o niej nie nadchodziły, zarządzono spóźnione poszukiwania w kilku punktach miasta i okolicy. Jednakże na czwarty dzień po jej zniknięciu udało się zasięgnąć pewniejszych wiadomości. Dnia tego (we środe, dwudziestego piątego czerwca) niejaki Monsieur Beauvais9, który wraz ze swym przyjacielem poszukiwał Marii w pobliżu Barri?re du Roule, po drugiej stronie Sekwany, naprzeciw rue Pavée Saint André, dowiedział się, iż jakiś rybak tylko co wyłowił trupa, którego ponosił prąd rzeki. Ujrzawszy zwłoki, Beauvais, po jakimś namyśle, rozpoznał w nich pannę z perfumerii. Jego przyjaciel doszedł do tego rozpoznania rychlej.

Twarz była umazana czarną krwią, co sączyła się po części z ust. Nie zauważono piany, którą widuje się u topielców. Tkanka komórkowa nie uległa odbarwieniu. Dokoła gardzieli widniały sińce i odciski palców. Ręce były sztywne i złożone na piersiach. Prawa dłoń była zaciśnięta, lewa częściowo otwarta. Powyżej przegubu lewej ręki

zaznaczały się dwa koliste otarcia pochodzące widocznie od powrozów lub jednego powrozu okręconego kilka razy. Część prawej pięści wykazywała również mocne uszkodzenie naskórka, podobnie jak całe plecy, przede wszystkim zaś łopatkę. Wyciągając trupa na brzeg rybak obwiązał go powrozem, ale owe uszkodzenia nie pochodziły od tego powroza. Kark był silnie obrzękły. Skaleczeń lub sińców spowodowanych uderzeniami nie dostrzeżono. Natomiast znaleziono kawałek sznurka, tak mocno okręconego dokoła szyi, iż na razie nie było go widać. Wrzynał się on głęboko w ciało i był zawiązany na węzeł poniżej lewego ucha. Wystarczyło to jedno, by spowodować śmierć. Orzeczenie lekarskie stwierdziło nienaganne prowadzenie się zmarłej dziewczyny. Miano dopuścić się na niej zwierzęcego gwałtu. Zwłoki, gdy je znaleziono, były w takim stanie, iż znajomi poznali ją z łatwością.

Odzież była poszarpana i w zupełnym nieładzie. Z odzienia zwierzchniego wydarto od samego dołu aż do pasa strzęp szerokości jednej stopy, ale go nie oderwano. Był on okręcony trzy razy dokoła kibici i zadzierzgnięty na krzyżu jakby w pętlę. Bezpośrednio pod suknią zmarła miała na sobie spódniczkę z cienkiego muślinu. Wydarto z niej również, lecz już całkowicie, strzęp na osiemnaście cali szeroki; wydarcia dokonano bardzo równo i nadzwyczaj starannie. Strzęp ten wisiał luźno dokoła jej szyi i był zawiązany na mocny węzeł. Ów strzęp muślinu i kawałek sznurka kryły się pod wstążką, na której zwisał kapelus. Końce wstążki były zawiązane na węzeł, jakim nie posługują się kobiety; znać po nim było rękę marynarza.

Po rozpoznaniu zwłok nie odesłano ich do kostnicy (gdyż ta formalność była zbyteczna), lecz pogrzebano pośpiesznie opodal wybrzeża, gdzie je znaleziono. Dzięki zabiegom Beauvais'go, dokładano w miarę możliwości starań, by sprawa nie nabrała rozgłosu, i dopiero po kilku dniach powstało zaniepokojenie wśród publiczności. W końcu zajął się nią pewien tygodnik¹⁰. Dokonano ekshumacji zwłok i zarządzono ponowne dochodzenia, nie osiągnięto jednak żadnych innych wyników prócz tych, które były już znane. Uznano jednak za potrzebne pokazać odzież matce i znajomym zmarłej i okazało się, że była ta sama, w której dziewczyna wyszła z domu.

Tymczasem rozdrażnienie wzrastało z godziny na godzinę. Kilka osób uwięziono i wypuszczono znów na wolność. Zwłaszcza Saint Eustache wydawał się mocno podejrzany; zrazu nie umiał zdać szczegółowo sprawy z tego, co porabiał tej niedzieli, kiedy Maria wyszła z domu. Wszelako później przedłożył prefektowi G. najszczegółowszy i poparty dowodami affidavit ze wszystkich godzin owego dnia. W miarę jak czas mijał, a śledztwo nic nie wykrywało, jęło krążyć tysiące najsprzecznieszych pogłosek, a dziennikarze wysilali się na sugestie. Śród nich jedna zwróciła powszechną uwagę; ktoś utrzymywał, iż Maria Rog?t żyje, a z Sekwany wyłowiono zwłoki jakiejś innej nieszczęśliwej. Nie od rzeczy może będzie przytoczyć kilka ustępów, nadmienających o tym przypuszczeniu. Przełożono je dosłownie z dziennika „L'Etoile”¹¹, redagowanego na ogół nader umiejętnie.

Mademoiselle Rog?t wyszła z mieszkania swej matki w niedzielę rano, dwudziestego drugiego czerwca 18... Jak się wyraziła, miała zamiar odwiedzić swą ciotkę lub innych swych krewnych, mieszkających przy rue des Drômes. Od tej chwili podobno nikt jej nie widział. Wszelki ślad po niej zaginął... Nikt się nie zgłosił, kto by poświadczył, iż zdarzyło się mu widzieć ją tego dnia, od kiedy przestąpiła próg mieszkania swej rodzicielki... Nie mamy wprawdzie dowodu, że w niedzielę, dnia dwudziestego drugiego czerwca, po godzinie dziewiątej rano Maria Rog?t znajdowała się wśród żywych, lecz wiemy na pewno, że do tej godziny jeszcze żyła. We środę około południa dostrzeżono ciało kobiece, unoszone przez fale koło wybrzeża Barri?re du Roule. Otóż gdybyśmy nawet przypuścili, że Marię Rog?t wrzucono do rzeki w trzy godziny po wyjściu jej z domu, to od tej chwili upłynęłoby zaledwie trzy dni - ani godziny więcej! Atoli byłoby niedorzecznością mniemać, aby zabójstwo - jeśli w ogóle padła ona ofiarą zabójstwa - mogło odbyć się tak pośpiesznie, iż zabójcy zdążyli wrzucić zwłoki do rzeki przed północą. Kto obarcza swe sumienie taką potworną zbrodnią, ten woli mroki nocne niż światło dzienne... Z tego widzimy, że jeżeli zwłoki znalezione w rzece były istotnie ciałem Marii Rog?t, to przebywały w wodzie półtrzecia dnia lub co najwyżej trzy dni. Doświadczenie poucza, iż trupy topielców lub zwłoki osób wrzuconych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegają do tego stopnia rozkładowi, iż mogą wypłynąć na powierzchnię. Nawet gdy do trupa wystrzeli się z działa i kiedy wynurzy się on z wody, zanim minie pięć lub sześć dni od jego utopienia, to znów pójdzie na dno, jeśli pozostawi się go sobie samemu. Zapytujemy tedy, co w tym wypadku mogło wywołać odstępstwo od naturalnego porządku rzeczy?... Gdyby te pokaleczone zwłoki przebywały na brzegu do wtorku wieczorem, to znaleziono by tam jakiś ślad zabójców. Jest także rzeczą nader wątpliwą, żeby trup mógł tak rychło wypłynąć na powierzchnię, nawet jeżeli się przypuści, iż wrzucono go do wody w dwa dni po śmierci. Ponadto wydaje się najzupełniej nieprawdopodobne, żeby zbrojny, którzy rzekomo dopuścili się tej zbrodni, mogli wrzucić ciało do wody nie obciążwszy go przedtem celem zatopienia, skoro ta przezorność była tak łatwa do wykonania.

Autor artykułu usiłuje dowieść dalej, iż zwłoki musiały przebywać w wodzie „nie trzy dni, ale co najmniej pięć razy po trzy dni”, ponieważ rozkład ich był posunięty tak daleko, iż Beauvais z niemałą trudnością zdołał je rozpoznać. Szczegół ostatni był jednakże najzupełniej niezgodny z prawdą. Przytaczam dalszy ciąg wywodów:

Na czym tedy opiera Monsieur Beauvais swe oświadczenie, iż owe zwłoki są niewątpliwie trupem Marii Rog?t? Odwinął rękaw u sukni i znalazł - jak utrzymuje - znamiona, które miały dowieść mu tożsamości. Publiczność przypuszczała powszechnie, iż owe znamiona stanowiły jakieś bliźny. Przesunął

ręką po ramieniu i znalazł na nim włosy - coś tak, naszym zdaniem, nieokreślonego, jak tylko można sobie wyobrazić - coś równie mało znaczącego, jak znalezienie rękawa u sukni. Monsieur Beauvais nie powrócił na noc do domu, lecz o godzinie siódmej we środę wieczorem posłał do Madame Rog?t zawiadomienie, iż śledztwo dotyczące jej córki jest jeszcze w toku. Jeżeli nawet przyjmujemy, że Madame Rog?t, przyciśniona wiekiem i bólem, nie mogła udać się na miejsce wypadku (a dalej w swych przypuszczeniach pójść nie możemy!), to na pewno byłby się znalazł ktoś, kto uważałby, iż warto pójść tam i być obecnym przy śledztwie, gdyby nasuwała się myśl, że owe zwłoki mogą być ciałem Marii. Ale nikt nie przyszedł. W mieszkaniu przy rue Pavée Saint André ani nie mówiono o tej sprawie, ani nawet nie słyszano o pogłoskach, które krążyły wśród mieszkańców tego samego domu. Monsieur Saint Eustache, wielbiciel i narzeczony Marii, który mieszkał w pensjonacie jej matki, zeznaje, iż o znalezieniu zwłok swej narzeczonej dowiedział się dopiero nazajutrz rano, kiedy Monsieur Beauvais wpadł do jego pokoju i opowiedział mu o tym zdarzeniu. Zastanawia nas niepomą, iż tak ważna wiadomość spotkała się z takim chłodnym przyjęciem.

Dziennik usiłuje wywołać w ten sposób wrażenie, jakoby rodzina i znajomi Marii zachowywali się apatycznie, co oczywiście nie godziłoby się z przypuszczeniem, jakoby wierzyli, iż zwłoki te są istotnie zwłokami Marii. Wygląda to, jakby chciano wmówić, iż Maria w porozumieniu ze swoimi najbliższymi znikła z miasta dla powodów uwłaczających jej czci dziewiczej i że ci najbliżsi, kiedy w Sekwanie znaleziono zwłoki nieco podobne do niej, korzystając z tej okoliczności, starali się rozpowszechnić wśród publiczności przeświadczenie o jej zgonie. Wszelako „L'Etoile” przebrała w pośpiechu miarę. Okazało się niezawodnie, iż rzekoma apatia nie istniała; mianowicie staruszka była zbyt osłabiona i popadła w taki rozstrój, iż nie była zdolna do niczego, zaś Saint Eustache nie tylko że nie przyjął owej wiadomości obojętnie, lecz wprost szalał z bólu i zachowywał się do tego stopnia niepoczytalnie, że Monsieur Beauvais poprosił jednego ze swych krewnych, z którym żył w przyjaźni, by czuwał nad nim i nie pozwolił mu być obecnym przy sekcji zwłok po ich ekshumacji. Aczkolwiek „L'Etoile” utrzymywała ponadto, jakoby powtórne pochowanie zwłok odbyło się na koszt publiczny, jakoby uczynionej propozycji pogrzebania zmarłej prywatnie rodzina bezwarunkowo przyjąć nie chciała i jakoby nikt z rodziny nie był obecny na obchodzie żałobnym; jakkolwiek - powtarzam - „L'Etoile” podawała te wiadomości jako zupełnie pewne, by w ten sposób wzmocnić jeszcze wrażenie, które zamierzała wywołać, to jednak okazały się one nieprawdziwe. W dalszych numerach tegoż samego dziennika jęto podawać w podejrzenie nawet Beauvais'go. Publicysta pisze:

W sprawie tej zaszła obecnie zmiana. Słyszeliśmy, iż pewnego razu, kiedy u Madame Rog?t znajdowała się Madame B., Monsieur Beauvais, który zabierał się do wyjścia, powiedział jej, że lada chwila nadejdzie żandarm i żeby ona, Madame B., nic żandarmowi nie mówiła, aż on powróci, i pozostawiła wszystko jemu... W obecnym stanie rzeczy Monsieur Beauvais zasklepił - jak się zdaje - całą tę sprawę we własnym mózgu. Niepodobna zrobić kroku bez Monsieur Beauvais'go; gdziekolwiek się obrócić, wszędzie się go spotyka... Nie wiadomo czemu postanowił, iż nikt nie ma brać udziału w śledztwie prócz niego, zaś krewnych - jak sami utrzymują - w nader osobliwy sposób odsunął na bok. Podobno czynił wszystkie wysiłki, by rodziny nie dopuszczono do obejrzenia zwłok.

Podejrzenia rzucane na Beauvais'go nabrały barw nieco żywszych skutkiem następującego wypadku: na kilka dni przed zniknięciem dziewczyny zaszedł ktoś do jego biura i nie zastawszy go tam zauważył w dziurce od klucza różę, zaś na podręcznej tabliczce wypisane słowo „Maria”. Powszechne przeświadczenie, o ile zdołaliśmy wyłowić je z dzienników, zdawało się streszczać w tym, iż Maria padła ofiarą szajki bandytów, którzy przewieźli ją przez rzekę, zbezczeszcili i zabili. Wszelako „Le Commercial”¹², dziennik nader wpływowy, zwalczył ten rozpowszechniony pogląd. Przytoczę jeden czy dwa ustępy z jego artykułów:

Jesteśmy przekonani, iż pościg podążał dotychczas mylnym tropem, gdyż zwracał się w stronę Barri?re du Roule. Jest rzeczą niemożliwą, by osoba, tak dobrze znana tysiącom ludzi, jak ta młoda kobieta, mogła minąć trzy domy i nie być widzianą przez nikogo; gdyby zaś ktokolwiek był ją zobaczył, to pamiętałby o tym na pewno, gdyż budziła zajęcie wśród wszystkich swych znajomych. Ulice roiły się od ludzi, kiedy wyszła z domu... Niepodobna, żeby idąc w stronę Barri?re du Roule lub na rue des Drômes nie była poznana przez jaki tuzin osób, a jednak nikt się nie zgłosił, kto by ją widział poza obrębem rodzicielskiego mieszkania, i prócz jedyne go świadectwa, które stwierdza, iż mówiła o swym zamiarze, nie ma nawet pewności, czy w ogóle wyszła z domu. Kawałek jej sukni oddarto, okręcono dokoła jej kibici i zawiązano w ten sposób, iż trupa było można nieść jak pakunek. Gdyby zabójstwa dokonano koło Barri?re du Roule, to takie przygotowania byłyby niepotrzebne. Ta okoliczność, iż zwłoki znaleziono koło Barri?re nie wyjaśnia bynajmniej, gdzie je wrzucono do wody... Kawałek spódniczki nieszczęśliwej dziewczyny, długi na dwie stopy i szeroki na jedną, oddarto, okręcono dokoła szyi i zawiązano na karku prawdopodobnie w tym celu, by stłumić jej krzyki. Uczynili to złoczyńcy, którzy nie mieli przy sobie nawet chustki do nosa.

Wszelako na dzień czy dwa przed pojawieniem się u nas prefekta policji udało się zasięgnąć nader ważnej wiadomości, która zdawała się obalać najważniejszą część argumentacji „Le Commercial”. Dwaj malcy, synowie niejakiej Madame Deluc, wałęsając się po zaroślach w pobliżu Barri?re du Roule, zabłąkali się przypadkiem w gęstwinę, gdzie leżały trzy czy cztery duże kamienie, tworzące jakby przesłonięcie z oparciem i podnóżkiem. Na kamieniu górnym leżała biała spódniczka; na innym szarfa jedwabna. Znaleziono tam również parasolkę, rękawiczki i chustkę do nosa. Chustka była naznaczona napisem „Maria Rog?t”. Na pobliskich krzakach cierniowych odkryto strzępy ubrania. Ziemia była zdeptana, krzewy połamane, słowem, znać było wyraźnie ślady walki. Między gęstwiną a rzeką parkan był powalony, a na ziemi widniał ślad jak gdyby od jakiegoś wielkiego ciężaru, który wleczone tamtędy.

Tygodnik „Le Soleil”¹³ dodał do opisu tego odkrycia następujący komentarz, który był jakby echem poglądów całej prasy paryskiej:

Rzeczy te leżały tam widocznie co najmniej trzy lub cztery tygodnie; wszystkie zbutwiały od deszczu i pozlepiały się pleśnią. Dokoła wybujała trawa i po części je zakryła. Jedwab na parasolce był mocny, ale szwy puściły. Część górna pokrycia w tym miejscu, gdzie tkanina miała podkładkę i była sfałdowana, zbutwiała i przegniła do tego stopnia, iż rozdarła się, kiedy parasolkę otworzono... Strzępy odzieży, zwieszające się z krzewów, miały około trzech cali szerokości i sześciu cali długości. Jeden z nich był kawałkiem rąbka od sukni i wykazywał ślady naprawek; drugi był zakładką, nie rąbkami. Wyglądały jak oddarte i wisiały na cierniach na jaką stopę od ziemi... Nie ulega wątpliwości, iż powiodło się odkryć widownię tej ohydnej zbrodni.

Bezpośrednio po tym odkryciu pojawił się nowy świadek. Madame Deluc zeznała, iż jest właścicielką przydrożnej gospody położonej niedaleko brzegu rzeki, naprzeciw Barri?re du Roule. Okolica jest odludna, bardzo odludna. W niedzielę zwykły tam bywać wyrzutki miejskie przepływające się przez rzekę łodziami. Około trzeciej po południu pamiętnej niedzieli przybyła do gospody młoda dziewczyna w towarzystwie młodzieńca o smagłej cerze. Para ta zatrzymała się tam jakiś czas. Odchodząc poszli drogą wiodącą w głąb pobliskich gąszczy. Madame Deluc zwróciła uwagę na suknię dziewczyny, gdyż była podobna do stroju jej zmarłej kuzynki. Zwłaszcza zapamiętała dokładnie szarfę. Wnet po odejściu tej pary pojawiła się szajka opryszków, którzy zachowywali się hałaśliwie, nie zapłacili za potrawy i napoje, poszli tą samą drogą, co młodzieniec i dziewczyna, powrócili do gospody, kiedy miało się ku zmierzchowi, i przepławili się z powrotem przez rzekę jak gdyby z wielkim pośpiechem.

Wnet po nastaniu ciemności tego samego wieczora Madame Deluc oraz jej najstarszy syn usłyszeli krzyki kobiece w pobliżu gospody. Krzyki te były przeraźliwe, lecz trwały krótko. Madame Deluc rozpoznała nie tylko szarfę znaną w gęstwinie, lecz także suknię, w której wyłowiono zwłoki.

Konduktor omnibusu, Valence¹⁴, zeznał również, iż widział owej niedzieli Marię Rog^t, jak w towarzystwie młodzieńca o smagłej cerze przepływała Sekwanę promem. Ów Valence znał Marię i nie mógł pomylić się co do jej osoby. Przedmioty znalezione w gęstwinie rozpoznała z łatwością rodzina Marii.

To mnóstwo zeznań i wiadomości, zebranych przez mnie z dzienników a życzenie Dupina, uzupełniało się jeszcze jednym szczegółem - wszelako był to szczegół ogromnie ważny. Oto wnet po odkryciu odzieży w sposób poprzednio opisany znaleziono w pobliżu domniemanego miejsca zbrodni nieżywe lub raczej bliskie zgonu ciało Saint Eustache'a, narzeczonego Marii. Obok niego leżała próżna flaszeczka z napisem laudanum. Z oddechu można było wnioskować, że zażył truciznę. Umarł w milczeniu. Miał przy sobie list, w którym wyznawał pokrótce swą miłość do Marii i zamiary samobójcze.

- Nie potrzebuję ci mówić - rzekł Dupin skończywszy przegląd mych notatek - iż jest to wypadek o wiele bardziej zawiły niż zabójstwo przy rue Morgue, od którego różni się pod jednym nader ważnym względem. Chodzi tu mianowicie o zabójstwo okrutne, lecz zwyczajne. Nie ma w nim nic, co by było outré. Jak widzisz, z tego względu tajemnica ta wydawała się rzeczą łatwą, tymczasem właśnie z tego względu powinna była uchodzić za niezmiernie trudną do rozwiązania. Dlatego to na razie nie uważano za potrzebne wyznaczyć nagrody. Podwładni prefekta G. zdołali zrozumieć od razu, w jaki sposób i dlaczego mógł się takiego okrucieństwa ktoś dopuścić. Zwidywał się im w wyobraźni sposób - wiele sposobów, i motyw - wiele motywów; a ponieważ nie było rzeczą niemożliwą, żeby jeden z tych mnogich sposobów i motywów mógł być właśnie tym jedynym, przeto uważali za rzecz dowiedzoną, że jeden z nich być nim musi. Tymczasem łatwość, z jaką te różne domysły snuto, oraz pozory słuszności, jakie miał każdy z nich, winny były ostrzegać, iż rozwiązanie zagadki będzie raczej trudne niż łatwe. Zauważyłem, iż rozum w poszukiwaniu prawdy winien torować sobie drogę tylko szczytami, co wznoszą się ponad poziom zwyczajności, i że w podobnych wypadkach nie tyle właściwe jest pytanie: co się stało?, ile pytanie: co się stało takiego, czego przedtem nigdy jeszcze nie było? Podczas śledztwa w domu Madame L'Espanaye agencji prefekta G. byli zakłopotani i zniechęceni niezwykłością wypadku, która dla prawidłowego intelektu była właśnie najniezawodniejszą zapowiedzią powodzenia; natomiast tenże sam intelekt mogłaby przyprawić o rozpacz zwyczajność tego wszystkiego, co objawia się w zdarzeniu z dziewczyną z perfumerii i z czego dotychczas nie wynikało nic prócz płonnych tryumfów urzędników prefektury.

Kiedy chodziło o Madame L'Espanaye i jej córkę, to już od samego początku śledztwa nie ulegało wątpliwości, iż popełniono zabójstwo. Od razu dało się wykluczyć przypuszczenie samobójstwa. W obecnym wypadku możemy być również pewni, iż zmarła nie targnęła się na swe życie. Znaleziono jej zwłoki przy Barrière du Roule w takich okolicznościach, iż nie potrzebujemy łamać sobie głowy nad tym ważnym szczegółem. Wszelako poddawano myśl, że trup ten nie jest zwłokami Marii Rog^t. Za wykrzyk jej zabójcy czy zabójców wyznaczono nagrodę i ona to stanowi jedyną podstawę umowy naszej z prefektem. Dobrze znamy obaj tego pana. Nie należy na nim zbytino polegać. Jeżeli zaczniemy nasze śledztwo od znalezionej trupa i tropiąc następnie zbrodniarza odkrywemy, że są to zwłoki innej osoby, a nie Marii, lub jeżeli przyjmujemy, że Maria żyje, i znajdziemy ją istotnie żywą - to w obu wypadkach praca nasza pójdzie na marne, gdyż trzeba pamiętać, z jakim to panem mamy do czynienia. W imię więc własnego dobra, jeśli już nie w imię sprawiedliwości, jest rzeczą niezbędną, byśmy zaczęli od stwierdzenia, iż owe zwłoki są zwłokami zaginionej Marii Rog^t.

Śród publiczności wywody zamieszczone w „L'Etoile” nie przeszły bez wrażenia. Że redakcja tego dziennika sama jest przeświadczona o ich ważności, widać to z tonu, w jakim rozpoczyna jeden ze swych artykułów omawiających tę sprawę: „Kilka dzienników porannych - brzmi ten początek - wspomina o rozstrzygającym sprawę artykule, który pojawił się w naszym numerze poniedziałkowym”. Dla mnie artykuł ten rozstrzyga zaledwie o pochopności do oskarżeń. Nie zapominajmy, iż na ogół dążeniem dzienników naszych jest raczej pościg za sensacją, lechtanie ciekawości niż sprzyjanie prawdzie. To ostatnie tylko wówczas ma się na uwadze, gdy daje się pogodzić z pierwszym. Pismo, które pozostaje w zgodzie z poglądem utartym (choćby najlepiej uzasadnionym), nie znajduje uznania śród tłumu. W pojmowaniu gawiedzi głębokość polega tylko na jaskrawym przeciwieństwie do powszechnego zdania. W dziedzinie rozumowania, podobnie jak w literaturze, najbezpieczniejsze i najpowszechniejsze powodzenie miewia epigram. Tymczasem zarówno w jednej, jak w drugiej zajmuje on miejsce najnowsze.

Chciałbym przez to powiedzieć, iż pomysł, jakoby Maria Rog^t jeszcze żyła, przemówił do przekonania redakcji „L'Etoile” i spotkał się z przychylnym przyjęciem publiczności raczej dlatego, iż jest mieszaniną epigramu i melodramatu, niż dla swej rzeczywistej słuszności. Przyjrzyjmy się wytycznym rozumowania tego dziennika i miejmy się na baczności przed bezładem, który w nich zasadniczo się przejawia.

Pierwszym zamierzeniem publicysty jest wykazać na podstawie krótkości czasu między zniknięciem Marii a znalezieniem pływającego trupa, iż nie mogą to być zwłoki Marii. Sprowadzenie tej odległości czasu do możliwie najniklejszych rozmiarów staje się przede wszystkim przedmiotem jego rozumowania. W ręcznym pościgu za tym przedmiotem zaprzepaszcza się na ślepo w czczych domysłach. „Byłoby niedorzecznością mniemać - powiada - aby zabójstwo, jeśli w ogóle padła ona ofiarą zabójstwa, mogło odbyć się tak pośpiesznie, iż zbójcy zdążyli wrzucić zwłoki do rzeki przed północą”. Zapytujemy od razu i najzupełniej po prostu: dlaczego? Dlaczego niedorzecznością byłoby przypuszczać, iż zabójstwa dokonano w pięć minut po wyjściu dziewczyny z domu? Dlaczego niedorzecznością byłoby przypuszczać, że zabójstwa dokonano o każdej dowolnej porze dnia? Zdarzały się zabójstwa w różnych porach. Skoro jednak zabójstwo nastąpiło w jakiejś chwili między dziewiątą w niedzielę rano a trzy kwadrans na dwunastą przed północą, to zawsze znalazło się dość czasu, by „wrzucić zwłoki do rzeki przed północą”. Ten domysł zmierza zatem prostą drogą do wniosku, że zabójstwa w niedzielę w ogóle nie dokonano; jeżeli zaś zgodzimy się na ten wniosek redakcji „L'Etoile”, to moglibyśmy zgodzić się również na wszystkie inne. Można by sobie wyobrazić, iż ustęp zaczynający się od słów: „Byłoby niedorzecznością mniemać, aby zabójstwo” itd., acz ogłoszony drukiem w tej formie, przedstawiał się rzeczywiście w mózgu autora jak następuje: „Byłoby niedorzecznością mniemać, aby zabójstwo - jeśli w ogóle padła ona ofiarą zabójstwa - mogło odbyć się tak pośpiesznie, iż zabójcy zdążyli wrzucić zwłoki do rzeki przed północą. Byłoby niedorzecznością - powtarzamy - mniemać coś podobnego, a równocześnie przypuszczać (jak postanowiliśmy), iż zwłok nie wrzucono wcześniej jak dopiero po północy” - zdanie, na ogół niezbyt logicznie zbudowane, lecz mimo to nie wysane tak bardzo z palca, jak to, które pojawiło się w druku. Gdyby mym zamierzeniem - mówił dalej

Dupin - było tylko wykazanie nicości tego ustępu w rozumowaniach publicysty z „L'Etoile”, to na pewno pozostawiłbym go w spokoju. Wszelako nie chodzi nam o „L'Etoile”, lecz o prawdę. Zdanie rzeczzone ma w swym brzmieniu tylko jedno znaczenie, które ustaliłem dokładnie; jest atoli rzeczą istotną, byśmy pod pokrywką słów poszukali myśli, którą te słowa usiłowały nam podsunąć, acz bez powodzenia. Publicysta pragnął powiedzieć, iż bez względu na to, o jakiej porze dnia lub nocy owej niedzieli zabójstwa tego dokonano, było jednakże niepodobieństwem, żeby zabójcy odważyli się zanieść trupa do rzeki przed północą. I na tym właśnie polega domysł, nad którym ubolewam. Przypuszcza się mianowicie, jakoby zabójstwo popełniono w takim miejscu i w takich okolicznościach, iż trzeba było zanieść zwłoki do rzeki. Otóż zabójstwo mogło nastąpić albo na brzegu rzeki, lub też wprost na rzece; wrzucenie zatem trupa do wody mogło odbyć się o każdej porze dnia czy nocy, jako przejaw najprostszej i najbezpośredniejszej czynności. Pojmujesz zapewne, iż nie staram się podać niczego, co by było w mym przekonaniu prawdopodobniejsze lub zgodniejsze z moimi poglądami. Dotychczasowe moje zamierzenia nie dotyczą wcale faktów tej sprawy. Pragnę tylko, byś miał się na baczności przed tonem, który sugestywnie rozbrzmiewa z „L'Etoile” i zwrócił uwagę na charakterystyczny parti pris, objawiający się od samego początku.

Określiwszy tedy granice, przystosowane do swych z góry powziętych poglądów; przypuściwszy następnie, iż jeżeli istotnie były to zwłoki Marii, to mogły pozostawać w wodzie tylko bardzo krótko - dziennik pisze dalej: „Doświadczenie poucza, iż trupy topielców lub zwłoki osób wrzuconych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegają do tego stopnia rozkładowi, iż mogą wypłynąć na powierzchnię. Nawet gdy do trupa wystrzeli się z działa i kiedy wynurzy się on z wody, zanim minie pięć lub sześć dni od jego utopienia, to znów pójdzie na dno, jeśli pozostawi się go sobie samemu”.

Zapewnienia te przyjęły w milczeniu wszystkie dzienniki paryskie prócz „Le Moniteur”¹⁵. Pismo to zwalcza tylko tę część ustępu, która odnosi się do „topielców”, przytaczając pięć czy sześć przykładów dowodzących, iż zwłoki osób, o których wiadano na pewno, że utonęły, wypływały na powierzchnię w krótszym czasie, aniżeli podaje „L'Etoile”. Atoli jest coś krańcowo niefilozoficznego w dążności „Le Moniteur”, który zasadnicze twierdzenia redakcji „L'Etoile” chce zwalczać przykładami poszczególnymi. Gdyby nawet udało się przytoczyć piętnaście przykładów, a nie pięć, zwłok, które wypływały na powierzchnię wody pod koniec drugiego czy trzeciego dnia, to te piętnaście przykładów należałoby właściwie uważać tylko za wyjątki z reguły wygłoszonej przez „L'Etoile”, aż do chwili kiedy samą regułą powiodłoby się obalić. O ile przyjmie się tę regułę (a „Le Moniteur” jej nie przeczy, upierając się tylko przy wyjątkach), to argument redakcji „L'Etoile” nie postrada nic ze swej mocy, gdyż argument ten ma na celu tylko jedno zagadnienie, mianowicie zagadnienie, czy zwłoki mogą wypłynąć na powierzchnię w czasie nie przekraczającym trzech dni; zaś możliwość ta wychodzi na korzyść poglądów redakcji „L'Etoile”, ile że przykłady, które przytoczono w tak dziecinny sposób, są dość liczne, by ustalić regułę wręcz przeciwną.

Pojmiesz zapewne od razu, iż wszelka argumentacja tego rodzaju winna się zwracać przeciwko tejże samej regule, zaś w tym celu należy dokonać analizy rozumowej tej reguły. Otóż ciało ludzkie nie jest na ogół ani lżejsze, ani cięższe niż woda w Sekwanie, to znaczy, iż ciężar gatunkowy ciała ludzkiego w normalnych warunkach równa się mniej więcej ciężarowi słodkiej wody, przez nie wypartej. Ciała osób otępłych i mięsistych o drobnych kościach, przede wszystkim zaś kobiet, są lżejsze niż ciała osób szczupłych i grubokościstych, osobliwie mężczyzn; zaś ciężar gatunkowy wody rzecznej podlega niejakim wahaniom, o ile daje się w niej odczuwać przyływ od morza. Pomijając jednakże sprawę przyływu, można powiedzieć, iż bardzo niewiele ciał ludzkich idzie na dno, nawet w wodach słodkich, z powodu swych właściwości przyrodzonych. Wszyscy ludzie, którym zdarzy się wpaść do rzeki, mogliby utrzymywać się na powierzchni, gdyby starali się wyrównać ciężar gatunkowy wody z ciężarem gatunkowym własnym - to znaczy, gdyby dokładali starań, żeby, o ile to możliwe, prawie całe ciało było pod wodą. Właściwą pozycją dla człowieka nie umiejącego pływać jest prostopadła postawa ludzi stąpających po suchym lądzie, przy czym głowa winna być odrzucona wstecz i tak zanurzona, by tylko usta i nozdrza znajdowały się ponad powierzchnią. Po przystosowaniu się do tych warunków możemy pływać bez trudności i bez wysiłku. Rozumie się samo przez się, iż ciężar ciała i ciężar wypartej wody znajdują się podówczas w stanie doskonałej równowagi i dość jest drobnostki, by przeważało ciało lub woda. Wystarczy, na przykład, wynurzyć ramię z wody i pozbawić go w ten sposób oparcia, żeby ten dodatkowy ciężar spowodował zanurzenie całej głowy; odwrotnie, pomoc przypadkowo spotkanego najmniejszego kawałka drewna pozwala wynurzyć głowę z wody i rozejrzeć się dokoła. Otóż ludzie nie obeznani z pływaniem, kiedy pasują się z wodą, wyrzucają zawsze ramiona w górę i równocześnie starają się utrzymać głowę w zwykłej pozycji pionowej. Skutkiem tego ulegają zanurzeniu usta i nozdrza, zaś odruchy, by odetchnąć pod powierzchnią, wprowadzają wodę do płuc. Wiele jej wnika również do żołądka i całe ciało staje się cięższe z powodu różnicy, jaka zachodzi między ciężarem powietrza, które pierwotnie napełniało te narządy, a ciężarem napełniającej je teraz wody. Różnica ta wystarcza w zasadzie, by ciało poszło na dno; wszelako nie jest ona dostateczna, gdy chodzi o osoby z drobnymi kośćmi lub też wyróżniające się nadmierną obfitością pulchnych i tłustych tkanek. Takie osoby pływają nawet po utopieniu.

Trup znajdujący się przypuszczalnie na dnie rzeki pozostaje tam aż do chwili, kiedy dla tych lub owych powodów jego ciężar stanie się mniejszy od ciężaru wypartej przez niego wody. Może to nastąpić skutkiem rozkładu lub innych przyczyn. Rozkład powoduje wywiązanie się gazów, które rozpuszczają tkanki, wypełniają jamy wnętrza i są przyczyną potwornego dla oczu naszych obrzęku. Gdy to rozdzęcie poczyni takie postępy, iż objętość zwłok znacznie się powiększy, wszelako bez równoczesnego przyrostu miąższości, czyli wagi, to ich ciężar gatunkowy staje się mniejszy od ciężaru wypartej wody i natychmiast pojawiają się na powierzchni. Atoli w rozkładzie wywołują zmiany nieprzeliczone okoliczności - przyspiesza się on lub opóźnia pod wpływem przemnogich czynników. Zależy to, na przykład, od ciepłoty pory roku; od tego, czy woda jest czysta lub też nasycona składnikami mineralnymi; czy jest głęboka lub płytka; czy jest bieżąca lub stojąca; od właściwości przyrodzonych ciała, wreszcie od tego, czy było przed zgonem zdrowe, czy też dotknięte jakimś zakażeniem. Z tego widać, iż niepodobna jest dokładnie określić czasu, kiedy zwłoki wypłyną na powierzchnię pod wpływem rozkładu. W pewnych razach może to nastąpić już po godzinie, w innych może nie nastąpić wcale. Istnieją rozczyny chemiczne, za pomocą których można na zawsze uchronić organizm przed rozkładem; należy do nich dwuchloran rtęci. Wszelako niezależnie od rozkładu może się wytwarzać i wytwarza się nader często gaz w żołądku skutkiem fermentacji kwaśnej składników roślinnych (w innych zaś jamach wskutek innych przyczyn); jest on wystarczający, by wywołać rozdzęcie, które wynosi zwłoki na powierzchnię wody. Następstwa spowodowane wystrzałem działowym są po prostu przejawem wstrząsu. Może on uwolnić zwłoki, które ugrzęzły w pokładzie sypkiego osadu czy

namułu, i ułatwić im wydobycie się na powierzchnię, o ile inne czynniki już je do tego przygotowały; albo też rozluźnić spoiwość jakiejś przegniętej tkanki i przyczynić się w ten sposób do rozděcia jam wewnętrznych pod ciśnieniem gazu.

Posiadłszy tedy całkowitą filozofię tego przedmiotu, możemy z łatwością sprawdzić twierdzenia publicystów z „L'Etoile”. „Doświadczenie poucza - powiada jeden z nich - iż trupy topielców lub zwłoki osób wrzuconych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegają do tego stopnia rozkładowi, iż mogą wypłynąć na powierzchnię. Nawet gdy do trupa wystrzeli się z działa i kiedy wynurzy się on z wody, zanim minie pięć lub sześć dni od jego utopienia, to znów pójdzie na dno, jeśli pozostawi się go sobie samemu”.

Cały ten ustęp przedstawia się nam obecnie jako gmatwanina bezładu i niekonsekwencji. Doświadczenie wcale nas nie poucza, jakoby „trupy topielców” dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegały do tego stopnia rozkładowi, iżby mogły wypłynąć na powierzchnię. Zarówno nauka, jak doświadczenie wykazują, iż czas, w jakim one pojawiają się na powierzchni, jest i z konieczności musi być nieokreślony. Ponadto jeśli zwłoki wypłyną na wierzch skutkiem wystrzału działowego, to nie „pójdą znów na dno, jeśli pozostawi się je sobie samym”, o ile rozkład nie postąpi tak daleko, iż ujęcie nagromadzonych gazów jest możliwe. Wszelako pragnąłbym zwrócić twą uwagę na rozróżnienie, jakie uczyniono między „trupami topielców” a „zwłokami osób wrzuconych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej”. Aczkolwiek autor uwzględnił tę różnicę, to jednak zalicza jedne i drugie do tej samej kategorii. Wykazałem, w jaki sposób ciało tonącego człowieka staje się gatunkowo cięższe od ciężaru wody; wykazałem również, że nie zagłębiałoby się ono wcale w wodę, gdyby nie szamotania, przy których ramiona wynurzają się z wody, i gdyby nie chwytność oddechu pod jej powierzchnią - skutkiem czego dostaje się ona do płuc i wypiera stamtąd powietrze. Atoli te szamotania i to chwytność powietrza nie odbywają się w „zwłokach osób wrzuconych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej”. Toteż w takich razach zwłoki w zasadzie nie powinny wcale iść na dno - jest to zjawisko, o którym publicyści z „L'Etoile” widocznie wcale nie wiedzą. Gdy rozkład poczyni bardzo znaczne postępy - gdy powłoka mięsna w znacznej mierze opadnie z kości - wówczas dopiero, ale nie wcześniej, trup niknie nam z oczu pod wodą.

Cóż teraz pocniemy z argumentem, iż zwłoki znalezione nie mogą być trupem Marii Rog?t, ponieważ wypłynęły na wierzch już po trzech dniach? Gdyby ją utopiono, mogłaby, jako kobieta, w ogóle nie pójść na dno lub gdyby poszła na dno, mogłaby wypłynąć znowu na powierzchnię w dwadzieści cztery godziny lub nawet w krótszym czasie. Wszelako nikt nie przypuszcza, że ją utopiono; skoro zaś wrzucono ją do rzeki już nieżywą, to można było znaleźć ją później na powierzchni w czasie dowolnym.

„Ale - pisze „L'Etoile” - gdyby te pokaleczone zwłoki przebywały na brzegu do wtorku wieczorem, to znalazłoby tam jakiś ślad zabójców”. Zrazu trudno jest przeniknąć intencję tego rozumowania. Otóż autor jego stara się zapobiec temu, co, jak mu się zdaje, mogłoby być zarzutem przeciw jego teorii - mianowicie, że zwłoki, pozostawione przez dwa dni na brzegu, mogły ulec szybkiemu rozkładowi - znacznie szybszemu, niż gdyby znajdowały się w wodzie. Przypuszcza, że gdyby to zaszło, to byłyby mogły ukazać się na powierzchni we środę, i sądzi, że tylko pod tym warunkiem mogły istotnie się ukazać. Pośpiesza zatem, by wykazać, że zwłoki te nie przebywały na brzegu, gdyby bowiem tak było, „to znalazłoby tam jakiś ślad zabójców”. Uśmiechniesz się zapewne z tego wniosku. Nie zdoła ci się pomieścić w głowie, dlaczego samo tylko pozostawienie zwłok na brzegu miało by przyczynić się do pomnożenia śladów po zabójcach. Mnie się nie mieści także.

„Ponadto wydaje się najzupełniej nieprawdopodobne - brzmią dalej słowa owego dziennika - żeby zbrojcy, którzy rzekomo dopuścili się tej zbrodni, mogli wrzucić ciało do wody nie obciążwszy go przedtem celem zatopienia, skoro ta przezorność była tak łatwa do wykonania”. Zwróć, proszę cię, uwagę na to zabawne poplątanie myśli. Nikt - nawet „L'Etoile” - nie zaprzecza, iż na zwłokach znalezionych dopuszczono się zbrodni. Oznaki gwałtu zbyt są wyraźne. Zadaniem rozumującego publicysty jest po prostu dowieść, iż zwłoki te nie są zwłokami Marii. Chodzi mu o to, by wykazać, że Maria nie padła ofiarą zabójstwa - nie zaś o to, że padł jego ofiarą ów trup. Tymczasem jego rozumowania dowodzą właśnie tego ostatniego. Oto zwłoki, do których nie przytwierdzono ciężaru. Zabójcy, wrzucając je do rzeki, byłiby niezawodnie przytwierdzili ciężar. Z tego wynika, iż nie wrzucili ich zabójcy. Oto wszystko, czego dowiedziono, jeśli w ogóle było czego dowodzić. Zagadnienia identyczności nawet nie poruszono i „L'Etoile” była w wielkim kłopotcie, gdy trzeba było zaprzeczyć temu, co utrzymywało się przed chwilą. „Jesteśmy najzupełniej przekonani - pisze - iż zwłoki znalezione są zwłokami zabitej kobiety”.

I nie jest to odosobniony przykład, nawet w jednej i tej samej części wywodów, że rozumujący publicysta zwraca się bezwiednie w swych rozumowaniach przeciwko sobie samemu. Oczywiście jego zadaniem jest - jak już wspomniałem - zmniejszyć możliwie najbardziej przedział czasu między zniknięciem Marii a znalezieniem trupa. Atoli przekonaliśmy się, iż obstaje przy tym, jakoby nikt nie widział dziewczyny od chwili, kiedy przekroczyła próg mieszkania. „Nie mamy dowodu - powiada - że w niedzielę, dnia dwudziestego drugiego czerwca, po godzinie dziewiątej rano, Maria Rog?t znajdowała się wśród żywych”. Ponieważ jego rozumowanie świadczy wyraźnie o parti pris, przeto byłby lepiej zrobił, gdyby ten szczegół pominął milczeniem; gdyby bowiem znalazł się ktoś, kto by zeznał, iż widział Marię w poniedziałek lub we wtorek, to wspomniany przedział mógłby doznać znacznego uszczuplenia i wedle jego własnego wniosku wiele zmniejszyłoby się prawdopodobieństwo, że owe zwłoki nie są zwłokami gryzeczki. Zabawną wszelako jest rzeczą, gdy się widzi, że „L'Etoile” upiera się przy tym szczególe w niewzruszonym przeświadczeniu, iż wychodzi on na korzyść rozumowania zasadniczego.

Przejrzyj teraz powtórnie tę część wywodów, która odnosi się do rozpoznania zwłok przez Beauvais'go. Co się tyczy owych włosów na ramieniu, to „L'Etoile” objawia najwyraźniej złą wolę. Monsieur Beauvais nie jest idiotą i stwierdzając tożsamość zwłok, nie mógł żadną miarą wnioskować o tym tylko na podstawie włosów na ramieniu. Nie ma ramienia bez włosów. Ogólnikowość wyrażen w „L'Etoile” jest po prostu przekręcaniem słów świadka. Niewątpliwie mówił on o jakiejś szczególniejszej właściwości tych włosów. Musiała to być właściwość barwy, ilości, długości lub rozmieszczenia.

„Stopy miała drobne - powiada dziennik - ale stóp takich jest tysiąc. Jej podwiązki nie dowodzą niczego, tak samo jej obuwie, gdyż podwiązek i obuwia sprzedaje się na tysiące. To samo dałoby się powiedzieć o kwiatach przy jej kapeluszu. Monsieur Beauvais upiera się zawzięcie przy tej okoliczności, iż, jak okazało się, podwiązki były zwężone skutkiem przesunięcia sprzączki. Nie upoważnia to do żadnych wniosków, gdyż większość kobiet woli zabrać kupione podwiązki do domu i poczynić w nich zmiany odpowiednio do objętości swych nóg, niż przymierzać je w sklepie”. Zaiste, trudno jest przypuścić, by mógł ktoś w ten sposób rozumować poważnie. Skoro Monsieur Beauvais, poszukując zwłok Marii, zdołał znaleźć trupa, przypominającego z ogólnych kształtów i wyglądu zaginioną dziewczynę, to miał wszelkie

powody mniemać (nawet nie biorąc pod uwagę odzieży), iż poszukiwania jego nie poszły na marne. Jeżeli prócz ogólnego zarysu kształtów znalazł na ramieniu osobliwsze, kosmate znamię, które zdarzyło się mu zauważyć u Marii, kiedy była jeszcze żywa - to mógł słusznie utwierdzić się w swym przeświadczeniu, zaś przyrost jego pewności pozostawał zapewne w prostym stosunku do osobliwości czy niezwykłości owego kosmatego znamienia. Jeżeli Maria miała drobne stopy, zaś stopy trupa były również drobne, to przyrost przeświadczenia, że owe zwłoki są zwłokami Marii, mógł wzmocnić się już nie w stosunku arytmetycznym, lecz nawet geometrycznym, czyli spotęgowanym. Dodaj do tego wszystkiego obuwie, najzupełniej nie różniące się od tego, które widziano na jej stopach w dniu, kiedy wyszła z domu, a przeświadczenie twoje, lubo takie obuwie sprzedaje się podobno „na tysiące”, stanie u granicy pewności. To, co samo przez się nie stanowiłoby jeszcze oznaki identyczności, nabiera dzięki swemu znaczeniu pomocniczemu mocy dowodu. Uwzględnij na ostatek kwiaty u kapelusza, zgodne z kwiatami, które nosiła zaginiona gryzетка, a dalsze poszukiwania okażą się zbyteczne. Gdyby chodziło tylko o jeden kwiat, to już nie pozostawałoby nic do życzenia - cóż zatem powiedzieć, jeśli ma się ich dwa, trzy lub więcej? Każdy następny jest dowodem zwielokrotnionym - nie dowodem dodanym do dowodu, lecz stokrotnie czy tysiąckrotnie pomnożonym. Na domiar widzimy u zmarłej podwiązki podobne do tych, jakich używała żywa - i zaiste, dalsze poszukiwania wydają się szaleństwem! Aliści okazuje się, że te podwiązki są zacieśnione przez przesunięcie sprzączek właśnie w ten sposób, jak to ze swoimi uczyniła Maria na krótko przed wyjściem z domu. Dalsze wątplenie byłoby matołkowatością lub obłudą. To, co „L'Etoile” powiada o zacieśnieniu tych podwiązek, które jakoby miało być czymś powszechnie przyjętym, dowodzi tylko uporczywości w błędzie. Elastyczność podwiązek tego rodzaju świadczy wymownie o wyjątkowości ich zacieśnienia. Przedmiot sporządzony w ten sposób, iż sam się przystosowuje, nader rzadko potrzebuje pomocy do swego przystosowania. Widocznie zaszło coś takiego, iż zacieśnienie tych podwiązek okazało się potrzebne. One jedne wystarczałyby w zupełności, by ustalić identyczność Marii. Wszelako nie stało się w ten sposób, żeby znaleziony trup miał oddzielnie czy to podwiązki zaginionej dziewczyny, czy jej obuwie, czy jej kapelusz, czy kwiaty u jej kapelusza, czy jej stopy, czy osobliwsze znamię na ramieniu, czy wreszcie jej ogólny kształt i wygląd - lecz okazało się, że ów trup nie tylko że ma te cechy, lecz że ma je wszystkie razem. Gdyby można było dowieść, iż publicysta z „L'Etoile” mimo tych okoliczności naprawdę wątpi, to nie trzeba by zwoływać dla niego komisji de lunatico inquirendo. Zdawało mu się, że dowiedzie przenikliwości, gdy stanie się echem gawęd prawników, którzy przeważnie zadowolają się tym, iż wtórują prostolinijnym orzeczeniom trybunałów sądowych. Pozwolę sobie nawiasowo zauważyć, iż bardzo wiele z tego, co dla sądów nie ma mocy dowodu, jest właśnie najlepszym dowodem dla intelektu. Pochodzi to stąd, iż sądy, kierując się ogólnymi zasadami dowodzenia - zasadami uznanymi i skodyfikowanymi - są przeciwne wszelkim odchyleniom ku dowodom faktów poszczególnych. To niezłomne przestrzeganie zasady ze ścisłym pomijaniem sprzecznych wyjątków jest na dłuższy przeciąg czasu niezawodnym sposobem osiągnięcia tego maximum prawdy, jakie dano nam osiągnąć¹⁶. Praktyka en masse jest zatem filozoficzna; nie da się jednakże zaprzeczyć, iż wynikają stąd wielkie pomyłki w razach wyjątkowych.

Jeżeli weźmie się pod uwagę podejrzenia, zwrócone przeciw Beauvais'mu, to dość jest dmuchnąć, aby rozwiały się wniwecz. Przeniknąłeś już zapewne właściwy charakter tego pocziwca. To wartogłów o zapędach nader romantycznych i o kiepskiej głowie. Ludziom o takim stroju psychicznym, kiedy są naprawdę wzburzeni, zdarza się zachowywać w ten sposób, iż narażają się na podejrzenia lisów zbyt szczerych lub osób niechętnych. Monsieur Beauvais (jak okazuje się z twych notatek) rozmawiał kilkakrotnie z redaktorem „L'Etoile” i dotknął go, pozwalając sobie wyrazić pogląd, iż ów trup wbrew teorii tego publicysty jest niezawodnie zwłokami Marii. „Upiera się - pisze dziennik - utrzymując, iż zwłoki te są zwłokami Marii, ale prócz szczegółów już przez nas oświetlonych nie umie przytoczyć niczego, co by mogło utwierdzić innych w tym przeświadczeniu”. Otóż pomijając już, iż niepodobna jest przytoczyć bardziej niezbitych dowodów, które by mogły „utwierdzić innych w tym przeświadczeniu”, bez trudności można wyobrazić sobie człowieka, który w podobnych razach sam jest najmocniej przekonany, a mimo to nie jest zdolny przytoczyć ani jednego argumentu dla przekonania innych. Nic nie jest bardziej nieuchwytnie od wrażenia czyjejs identyczności. Każdy z nas rozpoznaje swego sąsiada, a jednak tylko w rzadkich wypadkach jesteśmy w możności uzasadnić to nasze rozpoznanie. Publicysta z „L'Etoile” nie ma zatem prawa czuć się urażony nieuzasadnionym przeświadczeniem Monsieur Beauvais'go.

Podejrzane okoliczności, w których się zagmatwał, o wiele lepiej dadzą się pogodzić z moją hipotezą romantycznego wartogłostwa niż z zarzutem winy, o którą go posądza rezonujący publicysta. Wszedłszy z pobłażliwego założenia, bez trudności zdamy sobie sprawę z róży w dziurce od klucza; ze słowa „Maria” na tabliczce; z „usuwania krewnych na bok”; „z niedopuszczenia rodziny do obejrzenia zwłok”; z polecenia danego Madame B., by nie mówiła z żandarmem, dopóki on, Beauvais, nie powróci; wreszcie z postanowienia, iż „nikt nie ma brać udziału w śledztwie prócz niego samego”. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że Beauvais był wielbicielem Marii, że go kokietowała i że pochlebiał sobie, jakoby był jej najbliższy i posiadał zupełne jej zaufanie. Nie będę rozwodził się dłużej nad tym szczegółem; ponieważ zaś zeznania świadków obaliły w zupełności twierdzenie publicysty z „L'Etoile”, jakoby matka i inni krewni okazywali apatię (która zresztą nie godzi się z przypuszczeniem, iż nie wierzyli, jakoby owe zwłoki były zwłokami panny z perfumerii) - przeto będziemy odtąd prowadzili nasze badania w ten sposób, jak gdyby sprawa identyczności była załatwiona ku najzupełniejszemu naszemu zadowoleniu.

- A co myślisz - zagadnąłem - o zapatrywaniach „Commercial”?

- Że w zasadzie zasługują więcej na uwagę niż wszystkie inne. Wnioski, wysnute z założeń, są filozoficzne i świadczą o przenikliwości; atoli założenia, przynajmniej w dwu wypadkach, opierają się na niedokładnych spostrzeżeniach. „Le Commercial” podsuwa myśl, jakoby Marię pojmała jakaś szajka znikczemniałych hulaków opodal mieszkania jej matki. „Jest rzeczą niemożliwą - powiada - by osoba tak dobrze znana tysiącom ludzi, jak ta młoda kobieta, mogła minąć trzy domy i nie być widzianą przez nikogo”. Jest to rozumowanie człowieka od dawna mieszkającego w Paryżu - rozgłośnego działacza, którego wędrowki po mieście ograniczały się przeważnie do sąsiednich urzędów publicznych. Wie, iż rzadko zdarza mu się oddalić o dwadzieścia domów od swego biura, by go ktoś nie poznał i nie pozdrowił. I mając na myśli, jak wiele osób sam zna tudzież jak wielu jest znany, porównywa swą wziętość z wziętością panny z perfumerii, nie widzi między nimi wielkiej różnicy i od razu dochodzi do wniosku, iż chodząc po mieście równie łatwo podlegała rozpoznaniu, jak on sam. Byłoby to słuszne tylko w takim razie, gdyby jej wędrowki miały również ten sam niezmienny, metodyczny charakter i gdyby się odbywały - podobnie jak to z nim bywa - w tym samym ograniczonym zasięgu. Idzie i wraca w odstępach regularnych, nie przekracza ograniczonego terenu, gdzie pełno jest ludzi, którzy zwracają uwagę na jego osobę, gdyż jego zajęcia są pokrewne z ich zajęciami. Natomiast wędrowki Marii - jak trzeba przypuszczać - miały na ogół charakter raczej waleśniania się. W wypadku, który przede wszystkim nas zajmuje, należy

uważać za rzecz nader prawdopodobną, iż wybrała drogę odbiegającą wielce od tych, którymi zwykła była chodzić. Równorzędność, która, zdaniem moim, wytworzyła się w umyśle publicysty z „Le Commercial”, mogłaby mieć uzasadnienie tylko w takim razie, gdyby wzięło się pod uwagę dwie osoby chodzące po całym mieście. W tym wypadku, jeżeli przyjmujemy, że liczba ich znajomości jest równa, istnieje prawdopodobieństwo, iż liczba spotkanych znajomych będzie także równa. Osobiście uważałbym za rzecz nie tylko możliwą, lecz nawet więcej niż prawdopodobną, iż Marii zdarzyło się chodzić o różnych porach i różnymi drogami prowadzącymi z jej mieszkania do mieszkania jej ciotki i nie spotykać przy tym ani jednej osoby, którą by znała lub przez którą byłaby znana. Chcąc ujrzyć to zagadnienie w pewnym i właściwym świetle, nie można zapominać ani na chwilę o bezmiernej różnicy, jaka zachodzi między ilością znajomych najbardziej nawet znanego w Paryżu człowieka a liczbą wszystkich mieszkańców tej stolicy.

Jeżeli jednak domysł „Le Commercial” może przedstawiać jeszcze jaką wartość, to zmniejszy się ona wielce, gdy weźmiemy pod uwagę godzinę, o której dziewczyna wyszła na miasto. „Ulice roily się od ludzi - pisze „Le Commercial” - kiedy wyszła z domu”. Tymczasem stało się inaczej. Była dziewiąta rano. Otóż o dziewiątej każdego dnia w tygodniu, prócz niedziel, ulice miasta istotnie roją się od ludzi. O dziewiątej w niedzielę mieszkańcy są przeważnie w domu i przygotowują się, by pójść do kościoła. Człowiek nie pozbawiony zmysłu spostrzegawczego musi zauważyć szczególnie opustoszały wygląd miasta od ósmej do dziesiątej rano co niedziela. Od dziesiątej do jedenastej rano ulice są zatłoczone, nie dzieje się to atoli o tak wczesnej porze, jak w dzienniku podano.

Jest jeszcze inny szczegół, co do którego spostrzegawczość „Le Commercial” nie dopisała. „Kawałek spódniczki nieszczęśliwej dziewczyny - powiada on - długi na dwie stopy i szeroki na jedną oddarto, okręcono dokoła jej szyi i zawiązano na karku, prawdopodobnie w tym celu, by stłumić krzyk. Uczynili to złościny, którzy nie mieli przy sobie nawet chustki do nosa”. O ile ten pogląd jest lub nie jest uzasadniony, przekonamy się później; jednakże publicysta mniema, iż owymi „złoczyńcami, którzy nie mieli nawet chustki do nosa” były najędźniejsze rzeźmieszki. Tymczasem ci właśnie należą do ludzi, którzy nawet wówczas posiadają chustki do nosa, gdy nie mają na grzbiecie koszuli. Zauważyłeś zapewne, jak od pewnego czasu chustka do nosa stała się wprost niezbędna dla skończonych opryszków.

- A cóż należy myśleć - zapytałem - o artykule w „Le Soleil”?

- Jaka to szkoda, że redaktor tego czasopisma nie urodził się papugą, gdyż byłby niewątpliwie znakomitością śród tej ptasiej odmiany. Powtórzył on po prostu poglądy już ogłoszone, szperając za nimi z chwalebnią zapobiegliwością po różnych dziennikach. „Rzeczy te leżały tam widocznie - powiada on - co najmniej ze trzy lub cztery tygodnie” i „nie ulega wątpliwości, iż powiodło się odkryć widownię tej ohydnej zbrodni”. Szczegóły, przytoczone ponownie przez „Le Soleil”, nie nadają się, zaiste, do rozproszenia mych wątpliwości w tej sprawie i przyjdzie nam je szczegółowiej zbadać w związku z innym działem tego zagadnienia.

Obecnie musimy się zająć odmiennymi dochodzeniami. Niepodobna, żebyś nie zauważył, jak pobieżnie dokonano badania zwłok. Zapewne, iż zagadnienie identyczności nie przedstawiało lub przynajmniej nie powinno było przedstawiać większych trudności; atoli pozostawały jeszcze inne szczegóły do sprawdzenia. Czy dopuszczono się na tych zwłokach jakiej kradzieży? Czy zmarła miała na sobie jakie kosztowności, gdy wychodziła z domu? Jeżeli zaś miała, to czy je odnalaziono? Są to zagadnienia wielkiej wagi, zupełnie pominięte przy śledztwie; a znalazłyby się inne, nie mniej ważne, na które nie zwrócono uwagi. Poczynimy starania, by dowiedzieć się o tym wszystkim na własną rękę. Sprawę Saint Eustache'a należy poddać ponownie zbadaniu. Nie mam go w podejrzeniu, ale należy działać metodycznie. Musimy się upewnić nad wszelką wątpliwość co do wiarygodności affidavitów zaświadczających, gdzie przebywał kolejno owej pamiętnej niedzieli. Dokumenty tego rodzaju bywają niejednokrotnie środkiem mistyfikacji. Jeżeli okażą się bez zarzutu, to pominiemy Saint Eustache'a przy dalszych dochodzeniach. Jego samobójstwo, które przyczyniałoby się do wzmocnienia podejrzeń, gdyby w owych affidavitach odkryto jakieś kręctwa, nie jest - o ile się ich nie znajdzie - bynajmniej czymś nieprzeniknionym lub czymś, co by zniewalało nas do zboczenia od zwyczajnej analizy.

W tym, co obecnie mam na celu, zamierzam pominąć wewnętrzne szczegóły tej tragedii, a skupić całą uwagę na jej zarysach zewnętrznych. W dochodzeniach takich jak niniejsze popełnia się zazwyczaj ten błąd, iż ogranicza się śledztwo do szczegółów bezpośrednich, a nie dba się zupełnie o zdarzenia uboczne lub okolicznościowe. Jest to nader niewłaściwe ze strony sądów, iż zacieśniają zeznania i dyskusję do tego, co namacalnie mieści się w zakresie danej sprawy. Bowiem doświadczenie już wykazało, a prawdziwa filozofia będzie zawsze wykazywała, że znaczna, może nawet większa część prawdy wynika z okoliczności pozornie ze sprawą nie związanych. Z ducha tej zasady, jeżeli niekoniecznie z jej litery, pochodzi to zjawisko, że wiedza nowoczesna skłonna jest uwzględniać nieprzewidziane. Ale może ty mnie nie pojmujesz? Dzieje wiedzy ludzkiej dowodziły z taką nieprzerwaną ciągłością, iż zdarzeniom ubocznym, przypadkowym i nieistotnym zawdzięczamy najliczniejsze i najważniejsze odkrycia, że w końcu trzeba było, licząc się z przyszłością dalszego postępu, poczynić nie tylko wielkie, ale nawet bardzo wielkie ustępstwa dla wynalazków poczynających się z przypadku i znajdujących się poza obrębem oczekiwań zwyczajnych. Niefilozoficznie już jest szukać oparcia na minionej wizji tego, co być powinno. Trzeba pozwolić, by przypadek stał się częścią podwalin. Dla nas jest on przedmiotem ścisłego rozumowania. Podporządkujemy to, co jest niedościgłe dla wyobraźni, czemu nie może sprostać przewidywanie, matematycznym formułom naukowym.

Jest już więcej niż pewnikiem - powtarzam raz jeszcze - iż większa część wszelkiej prawdy bierze początek ze zjawisk ubocznych. Będzie to więc najzupełniej zgodne z duchem zasady zawartej w tym twierdzeniu, gdy w sprawie, która nas obchodzi, odstąpię od badań na ubitym i dotychczas jałowym gruncie samego zdarzenia i zwrócę się do współczesnych okoliczności, których jest ono ośrodkiem. Ty zabierzesz się do sprawdzania wiarygodności affidavitów, o których mówiliśmy, ja zaś zajmę się zbadaniem dzienników nieco szczegółowiej, niż ty to czyniłeś. Dotychczas rozglądaliśmy się tylko po polu badania; lecz byłoby, zaiste, rzeczą dziwną, gdyby rozumowy przegląd pism codziennych, którego się podejmę, nie dostarczył nam kilku drobnych wskazań, pomocnych do ustalenia kierunku dochodzeń.

Wywiązując się z zadania poruczonego mi przez Dupina, poddałem dokładnemu badaniu sprawę affidavitów. Wynikiem było niewzruszone przeświadczenie o ich wiarygodności i - co za tym idzie - o niewinności Saint Eustache'a. Tymczasem mój przyjaciel pogrążył się z drobiazgowością, która wydawała mi się najzupełniej zbyteczną, w przeglądaniu wycinków z różnych dzienników. Pod koniec tygodnia przedłożył mi wypisy następujące:

Mniej więcej półczwarta roku temu powstało zamieszanie, nader podobne do obecnego, wywołane zniknięciem tejże samej Marii Rog?t z perfumerii Monsieur Le Blanca w Palais Royal. Wszelako pod koniec tygodnia pojawiła się znowu przy kasie sklepowej, najzupełniej zdrowa, acz nieco bledsza niż zazwyczaj. Monsieur Le Blanc i jej matka

rozgłaszali, iż przebywała na wsi u jakiejś przyjaciółki, i cała ta sprawa rychło przycichła. Przypuszczamy, iż nieobecność terazniejsza jest podobnym wybrykiem i że po upływie tygodnia lub może miesiąca znowu do nas zawita. („Evening Paper”¹⁷ z poniedziałku, 23 czerwca).

Jeden z dzienników wieczornych w nrze wczorajszym napomyka o poprzednim, zagadkowym zniknięciu Mademoiselle Rog?t. Wiadomo powszechnie, iż zniknąwszy z perfumerii Le Blanca przebywała przez tydzień w towarzystwie młodego oficera marynarki, znanego rozpustnika. Podobno jakaś sprzeczka sprowadziła ją z powrotem do domu. Znamy nazwisko rzezonego Lotharia, który obecnie przebywa w Paryżu, lecz dla łatwo zrozumiałych powodów nie uważamy za właściwe podawać go do wiadomości publicznej. („Le Mercure”¹⁸, środa rano, 24 czerwca).

Ohydnej zdrożności dopuszczono się przedwczoraj rano w pobliżu miasta. Pewien pan, w towarzystwie swej żony i córki, ugodził się o zmierzchu z sześciu młodzieńcami, których łódź krążyła bez celu w pobliżu mielizn na Sekwanie, iż przewiozła go przez rzekę. Podpłynąwszy do przeciwległego brzegu troje pasażerów wysiadło i odeszło tak daleko, iż łodzi nie było już widać, kiedy dziewczyna zauważyła, iż zapomniała parasolki. Wróciła po nią, lecz wpadła w ręce owych złoczyńców, którzy zabrali ją ze sobą na rzekę, związali, nikczemnie sponiewierali i w końcu wysadzili na łąd opodal miejsca, gdzie poprzednio wsiadła do łodzi ze swymi rodzicami. Niegodziwcom udało się ująć na razie, ale policja jest na ich tropie i wkrótce kilku z nich uwięzi. („Morning Paper”¹⁹, 25 czerwca).

Otrzymaliśmy jeden czy dwa listy, które chcą zwalić na Mennais’go²⁰ ohydę niedawno popełnionej zbrodni; ponieważ jednak śledztwo sądowe wykazało zupełną jego niewinność, zaś argumenty niektórych korespondentów naszych wynikają - jak się zdaje - raczej z zapalczywości niż rozważli, przeto nie uważamy za właściwe podawać ich do wiadomości publicznej („Morning Paper”, 28 czerwca).

Otrzymaliśmy kilka energicznie brzmiących komunikatów, pochodzących zapewne z różnych źródeł. Utrzymują one z całą stanowczością, iż nieszczęśliwa Maria Rog?t padła ofiarą jednej z licznych szajek opryszków, walęających się co niedziela w pobliżu miasta. Wedle naszego mniemania przypuszczenia te są najzupełniej słuszne. Postaramy się wkrótce omówić szerzej niektóre z podanych argumentów („Evening Paper”²¹, wtorek, 31 czerwca).

W poniedziałek jeden z przewoźników, pozostających na służbie władz skarbowych, zauważył na Sekwanie pustą łódź, ponoszoną prądem rzeki. Na dnie tej łodzi leżały żagle. Przewoźnik zawlókł ją na linie do urzędu portowego. Następnego ranka zabrał ją ktoś stamtąd bez wiedzy urzędników. Ster pozostał w urzędzie portowym („La Dilligence”²² czwartek, 6 czerwca).

Czytając te wypisy, doznawałem wrażenia, iż nie mają nic wspólnego ze sprawą, i nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób można by je z nią powiązać. Oczekiwałem zatem wyjaśnień od Dupina.

- Nie jest obecnie moim zamierzeniem - odezwał się - kłaść nacisk na pierwsze dwa wypisy. Przepisałem je głównie w tym celu, by wykazać ci krańcowe niedbalstwo policji, która - o ile dowiedziałem się od prefekta - nie postarała się bynajmniej o wywiad w sprawie wzmiankowanego oficera marynarki. Ależ to istne szaleństwo utrzymywać, iż między jednym a drugim zniknięciem Marii nie ma przypuszczalnego związku! Wyjdźmy z założenia, iż pierwsza ucieczka skończyła się sprzeczką między kochankami i powrotem pod dach rodzicielski zawiedzionej dziewczyny. Pozwoli to nam uważać powtórna ucieczkę (o ile uznamy, iż była to ucieczka) raczej za wskazówkę wznowionych starań uwodziciela niż za wynik umizgów jakiegoś nowego wielbiciela - czyli jesteśmy przygotowani do poglądu, iż było to raczej „sklejenie” dawniejszej miłości niż nawiązanie nowej. Przemawia za tym dziesięć przeciw jednemu, że człowiek, który już raz uciekał z Marią, mógł ją łatwiej namówić do ponownej ucieczki, niż żeby Maria, którą namówił przedtem do ucieczki jeden człowiek, dała się do niej nakłonić drugiemu. Tutaj pozwolę sobie zwrócić twoją uwagę na tę okoliczność, iż przedział czasu między pierwszą sprawdzoną a drugą domniemaną ucieczką różni się zaledwie o parę miesięcy od okresu, w jakim zwykły przebywać na pełnym morzu nasze okręty wojenne. Czy owemu kochankowi w jego pierwszej niegodziwości przeskodziła konieczność wyjazdu na morze i czy po powrocie skorzystał z pierwszej sposobności, by wznowić swe nikczemne zabiegi, jeszcze niezupełnie zakończone? Nic o tym wszystkim nie wiemy.

Mógłbyś jednak powiedzieć, że w drugim wypadku mamy do czynienia tylko z domniemaną ucieczką. Zapewne - lecz czyż możemy utrzymywać, że nie było zamiarów udaremnionych? Poza Saint Eustache’em i może Beauvais’em nie wiemy nic o uznanych, jawnych, godnych wielbicielach Marii. Nie mówiono o nikim innym. Któż zatem jest owym tajemniczym kochankiem, o którym krewni (przynajmniej ich większość) nic nie wiedzą, lecz z którym Maria spotyka się w niedzielę rano i w którym takie pokłada zaufanie, iż nie waha się przebywać z nim aż do samego zmierzchu w ustronnych zagajnikach przy Barri?re du Roule? Któż jest - powtarzam - owym tajemniczym kochankiem, o którym przynajmniej większość krewnych nic nie wie? I co znaczyła osobliwa przepowiednia Madame Rog?t, która rano, po odejściu Marii, powiedziała: „Obawiam się, że Marii już nigdy nie zobaczę”?

Skoro jednak niepodobna podejrzewać, że Madame Rog?t wiedziała o zamiarze ucieczki, to czyż przynajmniej nie można przypuszczać, iż zamiar ten dziewczyna powzięła? Wychodząc z domu uprzedziła, iż wybiera się do swej ciotki przy rue des Drômes, zaś Saint Eustache miał przyjść po nią o zmierzchu. Otóż, na pierwszy rzut oka, okoliczność ta pozostaje w jaskrawej sprzeczności z moim przypuszczeniem; ale zastanówmy się dokładniej! Wiadomo jest, iż znalazła po drodze jakiegoś towarzysza, że przeprawiła się z nim przez rzekę i wysiadła na łąd koło Barri?re du Roule późno, gdyż dopiero około trzeciej po południu. Wszelako zgadzając się towarzyszyć owemu osobnikowi (dla jakiegoś celu - znanego lub nie znanego jej matce), myślała niewątpliwie o tym, co powiedziała wychodząc z domu, tudzież o zdumieniu i podejrzeniach, jakie musiałyby załać się w umyśle jej narzeczonego, Saint Eustache’a, gdyby, przyszedłszy o umówionej godzinie na rue des Drômes, nie zastał jej tam i gdyby na domiar, powróciwszy do pensjonatu z tą niepokojącą wiadomością, dowiedział się, że wciąż jeszcze jest nieobecna. Powtarzam, iż musiała myśleć o tym. Musiała przewidywać zmartwienie Saint Eustache’a i podejrzenia całej swej rodziny. Niepodobna, żeby nie myślała, iż po powrocie narazi się na te podejrzenia, które natomiast stawały się czymś nader błahym, jeżeli przyjmujemy, iż nie zamierzała powrócić.

Można by sobie wyobrazić, iż tok jej myśli był następujący: „Mam się spotkać z kimś celem ucieczki lub dla jakichś innych powodów, znanych tylko mnie samej. Trzeba urządzić się tak, żeby nic nie stanęło na przeszkodzie - trzeba

zyskać na czasie, byśmy mogli ująć pościgu - rzucę od niechcenia, że wybieram się na cały dzień do mej ciotki przy rue des Drômes - powiem narzeczonemu, żeby przyszedł po mnie dopiero o zmierzchu - w ten sposób nieobecność moja przeciągnie się możliwie długo, nie budząc zaniepokojenia i podejrzeń, ja zaś więcej zyskam na czasie, niż gdybym postąpiła inaczej. Jeżeli poproszę Saint Eustache'a, by przyszedł po mnie o zmierzchu, to na pewno nie przyjdzie wcześniej; jeżeli natomiast nie poproszę go o to wcale, to czas nadający się do ucieczki znacznie się zmniejszy, gdyż wszyscy będą oczekiwali, że powrócę wcześniej, a nieobecność moja rychlej wywoła zaniepokojenie. Gdybym w ogóle zamierzała powrócić, gdybym chciała tylko odbyć wycieczkę z osobą mi wiadomą - to nie byłoby dowcipnie z mej strony prosić Saint Eustache'a, by przyszedł po mnie, gdyż przyszedłszy, dowiedziałby się na pewno, że wyprowadziłam go w pole - o czym mógłby zupełnie nie wiedzieć, gdybym wyszła z domu nie mówiąc mu o swych zamiarach, powróciła przed zmierzchem, a następnie opowiedziała, iż byłam u ciotki przy rue des Drômes. Ponieważ jednak nie zamierzam wcale powrócić - lub też powrócę po kilku tygodniach, albo wówczas, kiedy zdążę się z czymś ukryć - zysk na czasie jest jedynym względem, o który muszę się troszczyć”.

Zaznaczyłeś w swych notatkach, iż powszechnie mniema się i mniemało od samego początku, jakoby ta dziewczyna padła ofiarą szajki opryszków. Otóż opinii publicznej nie należy w pewnych razach lekceważyć. Jeżeli poczyni się sama przez się, jeżeli objawia się wprost odruchowo, trzeba uważać ją za przejaw podobny do intuicji, która jest właściwością jednostek genialnych. W dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto polegałbym na jej orzeczeniach. Wszelako jest rzeczą ważną, by nie nosiła śladów jakiejś sugestii. Opinia winna być ściśle własnym odruchem publiczności i niejednokrotnie jest nader trudno wyczuć tę różnicę i ją określić. Zdaje mi się, iż w wypadku obecnym ta „opinia publiczna”, o ile chodzi o ową szajkę, dała się powodować zdarzeniu ubocznemu, przytoczonemu w trzecim moim wypisie. Cały Paryż jest podniecony odkryciem zwłok Marii, dziewczyny młodej, pięknej i znanej. Zwłoki te, sponiewierane znamionami okrucieństwa, znaleziono pływające po rzece. I oto rozchodzi się wiadomość, iż w tym samym lub niemal w tym samym czasie, kiedy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa na dziewczynie tej dopuszczono się zabójstwa, zdarzyła się inna niegodziwość, podobna do tej, której uległa zmarła, aczkolwiek nie tak potworna, i że sprawcami jej była szajka młodych złoczyńców, zaś ofiarą również młoda kobieta. Czyż jest w tym coś dziwnego, iż znane szkaradziństwo może oddziaływać na opinię publiczną także w stosunku do nieznanego? Opinia ta domagała się wskazówek, a owa zbrodnia znana następczo je tak pochopnie! Przy tym Marię znaleziono w rzece, zaś owej zbrodni znanej dokonano nad tą samą rzeką! Łączność, zachodząca między tymi dwoma zdarzeniami, była tak bardzo namacalna, iż byłoby dziwem nad dziwami, gdyby lud zaniedbał pochwycić ją i ocenić. Tymczasem rzecz przedstawia się tak, że jedna okropność, o której wiadomo, w jaki sposób została dokonana, jest niemal niezawodną wskazówką, że druga okropność, której dopuszczono się prawie równocześnie, nie będzie dokonana w ten sam sposób. Byłoby zaiste cudem, gdyby nastąpił taki zbieg okoliczności, iż kiedy jedna szajka złoczyńców popełnia w danej miejscowości niesłychaną niegodziwość, omal równocześnie pojawia się inna, podobna szajka, w podobnej miejscowości w tym samym mieście, w tych samych okolicznościach, rozporządzająca takimi samymi środkami i posługująca się nimi w ten sam sposób dla dokonania jota w jotę podobnej ohydy! W cóż jednak każe nam wierzyć przypadkowo zasugerowana opinia publiczna, jeśli nie w taki osłupiający zbieg okoliczności?

Zanim podążymy dalej, zastanówmy się nad domniemaną widownią zabójstwa w gęstwinie koło Barri?re du Roule. Zarośla te, aczkolwiek gęste, rozpościerają się tuż obok gościńca. W ich głębi leżą trzy czy cztery wielkie kamienie, tworzące jakby krzesło z oparciem i podnóżkiem. Na kamieniu górnym znaleziono białą spódniczkę, zaś na innym szarfę jedwabną. Leżała tam również parasolka, rękawiczki i chustka do nosa. Chustka była naznaczona napisem „Maria Rog?t”. Na pobliskich krzakach widniały strzępy odzieży. Ziemia była zdeptana, krzewy połamane, słowem, znać było wyraźne ślady zacieklej walki.

Mimo poklasku, z jakim odkrycie tej gęstwiny przyjęła prasa, i mimo jednomyślności, z jaką przypuszczano, iż stanowi ona właściwą widownię zbrodni, trzeba przyjąć, iż istnieje sporo nie byle jakich względów, które każą o tym wątpić. Iż była widownią, można wierzyć lub nie wierzyć, ale wątpieniu oprzeć się nie można. Jeżeli rzeczywista widownia znajdowała się - jak domyśla się „Le Commercial” - w pobliżu rue Pavée Saint André, to sprawców tej zbrodni, którzy wedle mojego przypuszczenia przebywają wciąż jeszcze w Paryżu, ogarnęło niezawodnie przerażenie, gdy przekonali się, iż uwaga publiczna zdołała z taką przenikliwością zwrócić się we właściwe łozysko; zaś w pewnego rodzaju umysłach mogło od razu rozbudzić się poczucie, iż trzeba coś uczynić, by odwrócić tę uwagę w inną stronę. A ponieważ gęstwiną koło Barri?re du Rouie wydawała się już podejrzana, przeto mógł zrodzić się pomysł umieszczenia tam przedmiotów, które później znaleziono. Wbrew temu, co „Le Soleil” przypuszcza, nie ma istotnych dowodów, że przedmioty znalezione leżały dłużej niż kilka dni w zaroślach; natomiast więcej przemawia za tym, iż nie mogły pozostawać tam, nie zwracając niczyjej uwagi, przez dwadzieścia dni, które upłynęły między fatalną niedzielą a owym popołudniem, kiedy znaleźli je chłopcy. „Wszystkie zbutwiały od deszczu - wyraża się «Le Soleil» przywłaszczając sobie mniemania swych poprzedników - i pozlepiały się pleśnią. Dokoła wybujała trawa i po części je zakryła. Jedwab na parasolce był mocny, ale szwy puściły. Część górna pokrycia w tym miejscu, gdzie tkanina miała podkładkę i była sfałdowana, zbutwiała i przegniła do tego stopnia, iż rozdarła się, kiedy parasolkę otworzono”. Jeżeli jest mowa o tym, że trawa „wybujała dokoła i po części je zakryła”, to oczywista, że szczegół ten mógł znaleźć potwierdzenie tylko w słowach, którymi przejawiały się wspomnienia dwu malców, gdyż ci malcy zabrali owe przedmioty i zanieśli je do domu, zanim zdążył zobaczyć je ktoś trzeci. Przy tym trawa, jeśli pogoda jest ciepła i wilgotna (a taka właśnie była w okresie owego zabójstwa), może urósć w przeciągu jednego dnia na dwa do trzech cali. Parasolka, położona na świeżo kielkującej murawie, może zniknąć zupełnie sprzed oczu w przeciągu tygodnia pod bujnie rozwijającą się zielenią. Co zaś do owej pleśni, przy której publicysta z „Le Soleil” obstaje z taką uporczywością, iż używa tego słowa aż trzy razy w krótkim ustępie, tylko co przytoczonym, to czyż podobna, żeby naprawdę nie zdawał sobie sprawy z rodzaju tej pleśni? Czy trzeba go pouczać, iż jest to jedna z licznych odmian grzybka, którego najpospolitsza właściwość polega na tym, iż pleni się i zanika w przeciągu dwudziestu czterech godzin?

Widzimy zatem od pierwszego wejrzenia, iż to, co tak tryumfująco przytaczano na poparcie poglądu, jakoby owe przedmioty leżały „co najmniej trzy lub cztery tygodnie” w gęstwinie, jest skończoną niedorzecznością, o ile chodzi o jakiegokolwiek uzasadnienie. Z drugiej strony jest nadzwyczaj trudno uwierzyć, żeby owe przedmioty mogły leżeć w rzeczonej gęstwinie dłużej niż tydzień - dłużej niż od jednej niedzieli do drugiej. Kto zna trochę okolice Paryża, ten wie, jaką ogromną trudność przedstawia znalezienie ustronia, o ile go się nie szuka w znacznej odległości od krańców miasta. Zakątek nie zbadany lub bodaj nieczęsto odwiedzany w tych lasach i zagajnikach nie da się wprost pomyśleć. Jeżeli jakiś szczerzy miłośnik przyrody, uwięziony swymi obowiązkami wśród kurzu i skwaru tej wielkiej metropolii, zechce, chociażby

w dzień powszedni, ugasić pragnienie samotności wśród zmiennych uroków przyrody, która bezpośrednio nas otacza - to nie zdąży postąpić nawet dwu kroków, żeby wszczynającego się zakłęcia nie rozproszyło nawoływanie lub osobiste pojawienie się jakiegoś hultaja czy szajki zapitych opryszków. Będzie szukał zacisza wśród najgęstszego listowia, ale na próżno. Właśnie w tych ustroniach roi się po prostu od ludzkiego niechlujstwa - są to najbardziej zbezczeszczone świątynie. Z niesmakiem w duszy wróci wędrowiec pośpiesznie do Paryża, by zapaść w stek ohydy, wszelako mniej odrażającej, gdyż nie tak bezecnej. Skoro więc okolice podmiejskie w dni powszednie są tak nawiedzane, to cóż dopiero mówić o niedzieli! Jest to dzień, kiedy, wyzwolone z pęt pracy lub pozbawione zwykłej sposobności do występku, wszelkie szumowiny miejskie wyruszają za miasto, nie z upodobania do uroków sielskich, którymi w głębi duszy gardzą, lecz żeby uniknąć przymusów i nawyków kulturalnych. Pożądamy one nie tyle świeżego powietrza i zieleni drzew, co nieskrępowanej swawoli, jakiej używa wieś. Tutaj, w przydrożnej karczmie lub w cieniu drzew, czując, że nie śledzi ich już spojrzenie niczyje prócz oczu godnych towarzyszy, pogrążają się te wyrzutki w rozpasaniu kłamanej wesołości - co jest pomiotem rumu i swobody. Nie nadmienię nic ponad to, co każdemu nie uprzedzonemu a spostrzegawczemu człowiekowi po prostu rzuca się w oczy, wszelako powtarzam, iż byłoby niemal cudem, gdyby zdarzyło się, że rzeczne przedmioty pozostawałyby nietknięte w jakiegokolwiek gęstwinie tuż pod Paryżem dłużej niż od jednej niedzieli do drugiej.

Atoli istnieją jeszcze inne powody do przypuszczeń, iż owe przedmioty umieszczono w gęstwinie celem odwrócenia uwagi od właściwej widowni zbrodni. Przede wszystkim pozwolę sobie zwrócić twą uwagę na datę znalezienia tych przedmiotów. Zestaw ją z datą piątego mojego wypisu z dzienników. Przekonasz się, że odkrycie to nastąpiło niemal bezpośrednio po rozesłaniu natarczywych komunikatów do dzienników wieczornych. Komunikaty te, aczkolwiek różne i na pozór z różnych pochodzące źródeł, zmierzają wszystkie ku temu samemu celowi - mianowicie, by zwrócić uwagę na szajkę sprawców zbrodni i na okolicę Barrière du Roule jako domniemaną jej widownię. Otóż podejrzenie polega nie na tym, iż skutkiem owych komunikatów czy też uwagi publicznej, przez nie pokierowanej, malcy znaleźli te przedmioty; lecz mogłoby i może polegać na tym, że dzieci nie znalazły wcześniej tych przedmiotów, ponieważ ich w zaroślach nie było. Umieścili je tam równocześnie z datą lub na krótko przed datą owych komunikatów ich winni autorzy.

Te zarośla były osobliwe - nader osobliwe. Odnaczały się nadzwyczajną gęstością. W okółu ich samorodnych ścian znajdowały się trzy szczególniejsze kamienie, tworzące jakby krzesło z oparciem i podnóżkiem. Zaś gęstwiną tą, pełną uroków przyrodzonego arcyzmu, znajdowała się w bezpośrednim pobliżu, o kilka prętów od mieszkania Madame Deluc, której malcy mieli zwyczaj starannie przetrząsać chaszczę, poszukując kory sassafras. Czyż nie można by iść o zakład - postawić tysiąc przeciw jednemu - iż nie było dnia, żeby przynajmniej jeden z tych chłopców nie ukrywał się w tym cienistym przybytku, nie zasiadał na tym naturalnym tronie? Kto by wahał się iść o taki zakład, ten albo nigdy nie był chłopcem, albo zapomniał chłopięcej natury. Powtarzam, iż jest niesłychanie trudno pojąć, w jaki sposób owe przedmioty mogły pozostawać niepostrzeżone w gęstwinie dłużej niż jeden lub dwa dni; istnieją zatem, wbrew dogmatycznej bezmyślności publicysty z „Le Soleil”, wszelkie powody do przypuszczeń, iż je tam względnie dość późno umieszczono.

Istnieją wszelako jeszcze inne argumenty, znacznie mocniejsze od już przytoczonych, które każą wierzyć, że je tam podłożono. Zwróć, proszę cię, uwagę na nader sztuczne rozmieszczenie tych przedmiotów. Na górnym kamieniu widniała biała spódniczka; na drugim szarfa jedwabna; porzrzuć dokoła leżały rękawiczki, parasolka i chustka z napisem „Maria Rog?t”. Jest to właśnie takie rozmieszczenie, jakiego naturalnie dokonałby ktoś niezbyt przenikliwy, a chcący porozkładać te przedmioty naturalnie. Atoli nie jest to bynajmniej rozmieszczenie naprawdę naturalne. Wolałbym raczej widzieć wszystkie te rzeczy leżące na ziemi i podeptane nogami. W ciasnocie tego ustronia byłoby rzeczą prawie niemożliwą, aby spódniczka i szarfa pozostały nie poruszone na kamieniach wśród kotłowaniny, wynikłej z szamotania się wielu osób. „Znać było - jak powiadają - ślady walki; ziemia była zdeptana, krzewy połamane”, ale spódniczka i szarfa leżały, gdy je znaleziono, jak na półkach. „Strzępy odzieży, zwieszające się z krzewów, miały około trzech cali szerokości i sześciu cali długości. Jeden z nich był kawałkiem rąbka od sukni i wykazywał ślady naprawek. Wyglądały jak oddarte”. W tym miejscu „Le Soleil” posługuje się bezwiednie zwrotem nader podejrzanym. Opisane kawałki wyglądają istotnie „jak oddarte”, ale ręcznie i umyślnie. Jest to wypadek nadzwyczaj rzadki, by pod działaniem jakiegoś kolca taki kawałek jak ten, o którym mowa, „oddierał się” od odzieży. Z właściwości naturalnych wszelkiej tkaniny wynika, że gwóźdź lub kolec, który o nią zaczepi, rozdziera ją prostokątnie - rozdziela ją dwiema szczelinami podłużnymi, pozostającymi w stosunku do siebie pod kątem prostym i wytkającymi się u wierzchołka, to jest w tym miejscu, gdzie kolec zaczepił; natomiast jest rzeczą prawie niemożliwą wyobrazić sobie kawałek „oddarty”. Czegoś podobnego jeszcze nie widziałem, i ty także. By odedrzeć kawałek tkaniny, trzeba niemal zawsze dwu sił określonych, działających w różnych kierunkach. Jeżeli tkanina ma dwa brzegi - jak na przykład chustka do nosa - i chce się udrzeć z niej kawałek, to w takim razie, lecz tylko w takim razie, wystarcza jedna siła. Wszelako w wypadku obecnym chodzi o suknię, która ma tylko jeden brzeg. Wydrzeć kawałek ze środka, gdzie nie ma brzegu, można by tylko jakimś cudownym sposobem przy współdziałaniu wielu koleców, nigdy zaś jednego. Atoli nawet tam, gdzie jest brzeg, potrzeba by dwu koleców, z których jeden działałby w dwu kierunkach określonych, a drugi w jednym. Przy tym należy przyjąć, że brzeg jest nie obrębiony. Jeżeli jest obrębiony, to prawie nie ma o czym mówić. Widzimy zatem, jak znaczne i liczne następcząją się przeszkody, gdy chodzi o oddarcie kawałka przez zwyczajne „ciernie”; tymczasem żąda się od nas, byśmy uwierzyli, że w ten sposób oddarł się nie jeden kawałek, lecz kilka. Przy tym jeden z nich był rąbkem od sukni! Zaś drugi częścią zakładki, nie rąbkem - to znaczy, że był wydarty zupełnie przez ciernie ze środka, a nie ze skrają spódnicy. Są to, zdaniem moim, rzeczy takie, że można wybaczyć, jeśli im się nie wierzy; wszelako, razem wzięte, stanowią snadź mniej zastanawiający motyw podejrzenia, niż ta osłupiająca okoliczność, że przedmioty owe mogły być pozostawione w chaszczach przez zabójców, którzy byli o tyle przeczorni, iż usunęli zwłoki. Nie zrozumiałeś mnie jednakowoż, jak należy, jeżeli przypuszczasz, jakoby przeoczył, iż gęstwiną tą była widownią zbrodni. Mogło tam stać się coś złego lub, co prawdopodobniejsze, zaszło coś u Madame Deluc. Lecz w zasadzie jest to szczegół podrzędniejszego znaczenia. Podjęliśmy się odszukać nie miejsce, ale sprawców zbrodni. Wszystko to, co przytoczyłem, aczkolwiek było nader drobiazgowo, nie miało przecież nic innego na celu, jak wykazać ci najpierw niedorzeczność stanowczych i pochopnych zapewnień publicysty z „Le Soleil”, następnie zaś, i przede wszystkim, poprowadzić cię jak najprostszą drogą ku dalszemu, wątpliwemu zagadnieniu, czy to zabójstwo było dziełem szajki, czy też nie było.

Ograniczę się w tej sprawie do napomknienia o wstrząsających szczegółach, zeznanych przez chirurga na śledztwie. Dość powiedzieć, iż jego wnioski, które dostały się do wiadomości publicznej a dotyczyły liczby rzeźmieszków, przez wszystkich wybitniejszych anatomów paryskich zostały słusznie ośmieszono, jako błędne i wszelkiej pozbawione

podstawy. Nie dlatego, żeby nie mogło się stać, jak wywnioskował, lecz że nie było przesłanek do tego wniosku - a czyż nie było ich więcej do innego?

Zastanówmy się teraz nad „ślądami walki” i zapytajmy, czego tymi ślądami chciano by nam dowieść. Szajki. Lecz czyż nie dowodzą one raczej nieobecności szajki? Jakaż to walka - walka tak zacięta i przewlekła, iż pozostawiła ślady na wszystkie strony - mogła się odbyć między słabą i bezbronną dziewczyną a szajką domniemyanych rzezimieszków? Ujęłoby ją w milczeniu kilka tegich ramion i wszystko byłoby skończone. Ofiara musiałaby poddać się z bezwzględna uległością ich woli. Uprzytomnijże sobie teraz, iż argumenty, przemawiające przeciwko temu, jakoby ta gęstwina była widownią zbrodni, tylko o tyle mają zastosowanie, o ile mówi się o niej jako o widowni zbrodni, popełnionej przez więcej niż jednego osobnika. Skoro jednak wyobrazimy sobie tylko jednego napastnika, to wówczas - lecz jeno wówczas - możemy zrozumieć walkę tak zacięta i tak upartą, iż mogła pozostawić widoczne „ślady”.

I jeszcze jedno. Napomknąłem już o podejrzeniach, jakie wynikają z tej okoliczności, iż rzeczony przedmioty mogły pozostać nietknięte w gęstwinie, gdzie je znaleziono. Wydaje się rzeczą prawie niemożliwą, by te dowody winy pozostawiono tam przypadkowo. Nie zbywało na przytomności umysłu (jak się przypuszcza), by zabrać zwłoki; natomiast dowody, bardziej istotne niż te zwłoki (których rysy mogły szybko zmienić się pod wpływem rozkładu), porzucono wyzywająco na widowni zbrodni: mam na myśli chustkę z nazwiskiem zmarłej. Jeżeli zdarzył się taki przypadek, to nie szajce. Możemy go sobie wyobrazić tylko jako przypadek, który spotkał jednostkę. Zastanówmy się! Jakiś osobnik dopuścił się zbrodni. Jest sam z widziadłem zmarłej. Przejmuje go grozą to, co leży przed nim nieruchomo. Szał namiętności minął i w jego opustoszałym sercu jawi się odruchowy lęk przed popełnionym czynem. Nie ma tej otuchy, jaką napawa zawsze obecność towarzyszy. Jest sam z zabitą. Drży i truchleje.

Trzeba jednakże zająć się trupem. Niesie go ku rzece, lecz pozostawia za sobą inne dowody winy, gdyż jest rzeczą trudną, a nawet niemożliwą zabrać wszystko od razu. Łatwiej będzie wrócić po to, co jeszcze zostało. Wszelako trwoga jego zwielokrotnia się w tym uciążliwym pochodzie. Dokoła niego szmerzą głosy życia. Raz po raz słyszy lub zdaje się mu, że słyszy stąpanie jakiegoś przechodnia. Przerażają go nawet światła, co jarzą się od strony miasta. Jednakże w końcu, po długich i częstych przystankach, pełnych niewysłowionej grozy, staje nad zbrzeżem rzeki i pozbywa się swego upiornego brzemienia, posługując się zapewne łodzią. Ale teraz - czyż są takie skarby świata, czy istnieją takie groźby zemsty, które by mogły skłonić tego samotnego zbrodniarza, żeby tą samą znojną i niebezpieczną ścieżką powrócił do owej gęstwiny i do wylęgłych w niej wspomnień, co mrozą krew w żyłach? Nie, niechaj będzie, co chce - on nie wróci! Nie mógłby powrócić, chociażby nawet chciał. Jedyna jego myśl - to myśl o natychmiastowej ucieczce. Odwraca się raz na zawsze od tych straszliwych zarośli i pierzcha, jak przed pościgiem zbliżającej się kaźni.

Jakże inaczej działałoby się z szajką! Sama liczba dodawałaby im odwagi, jeżeli w ogóle zbywało jej kiedykolwiek skończonym szubienicznikom, a tylko z takich skończonych szubieniczników mogła się składać owa domniemywana szajka. Sama ich liczba - powtarzam - zapobiegłaby owej osłupiałej i nieopamiętanej grozie, która, wedle mego mniemania, obezwładniłaby odosobnioną jednostkę. Jeżeli przypuścimy, że nie dopatrzyl czegoś jeden, nie dopatrzyl dwu lub trzech, to na pewno dopatrzyl czwarty. Nie pozostawiliby nic po sobie, gdyż było ich tylu, że mogli od razu zabrać wszystko. Nie byłiby potrzebowali wracać.

Zastanów się teraz nad tą okolicznością, że ze zwierzchniego odzienia trupa „wydarto od samego dołu aż do pasa strzęp szerokości jednej stopy, który okręcono trzy razy dokoła kibici i zadziergnięto na krzyżu jak gdyby w pętlę”. Uczyniono to w oczywistym zamiarze sporządzenia czegoś w rodzaju rączki, za którą było można nieść zwłoki. Czyżby kilku ludziom przyszło do głowy posługiwać się podobnym urządzeniem? Dla trzech czy czterech członki trupa przedstawiałyby ujęcie nie tylko dostateczne, lecz możliwie najdogodniejsze. Jest to pomysł jednostki, który naprowadza nas na ten szczegół, że „między gęstwiną a rzeką parkan był powalony, a na ziemi widniał ślad jak gdyby od jakiegoś wielkiego ciężaru, który wleczono tamtędy”. Ale czyżby kilku ludzi zadawało sobie zbyteczny trud walenia parkanu, by przeciągnąć na drugą stronę trupa, skoro mogli w oka mgnieniu podnieść go w górę i przerzucić przez każdą zaporę? I czyżby kilku ludziom chciało się wlec w ten sposób zwłoki, by pozostały po nich widoczne ślady?

Wypadnie nam tu wziąć pod uwagę pewien szczegół z „Le Commercial”. Nad szczegółem tym już nieco się zastanawiałem. „Kawałek spódniczki nieszczęśliwej dziewczyny - pisze ów dziennik - długi na dwie stopy i szeroki na jedną, oddarto, okręcono dokoła jej szyi i zawiązano na karku, prawdopodobnie w tym celu, by stłumić jej krzyki. Uczynili to złoczyńcy, którzy nie mieli przy sobie nawet chustki do nosa”.

Zaznaczyłem już przedtem, że skończony opryszek nie obywa się nigdy bez chustki do nosa. Wszelako nie o to obecnie mi chodzi. Że nie dla braku chustki posłużono się tą opaską - jak sobie wyobraża „Le Commercial” - świadczy dostatecznie chustka pozostawiona w gęstwinie. Że nie zamierzano „tłumić” w ten sposób „krzyków”, dowodzi ta okoliczność, iż użyto opaski, zamiast użyć czegoś, co by znacznie lepiej odpowiadało temu zamierzeniu. Natomiast zeznania śledcze wyrażają się o owym strzpie, iż „wisiał luźno dokoła jej szyi i był zawiązany na mocny węzeł”. Słowa te są dość ogólnikowe, lecz różnią się istotnie od określeń „Le Commercial”. Strzęp ten miał osiemnaście cali szerokości, więc złożony lub skręcony podłużnie mógł utworzyć mocną taśmę, aczkolwiek był z muślinu. Jakoż przekonano się istotnie, że był skręcony. Mój wniosek brzmi, jak następuje. Samotny zbrodniarz, poniósłszy zwłoki (z gęstwiny czy skądinąd, przy pomocy opaski okręconej dokoła kibici) na pewną odległość, przekonał się, że ten sposób dźwigania przewyższa jego siły. Postanowił zatem wlec swe brzemień - a są ślady, że wleczono jakiś ciężar. By ten zamiar wykonać, trzeba było przytwierdzić coś w rodzaju powroza do którejś kończyny. Najwłaściwiej było uwiązać go dokoła karku, gdyż nie mógł ześliznąć się przez głowę. Zabójca zamierzał niewątpliwie posłużyć się opaską, okręconą dokoła łędźwi, i byłby jej użył, gdyby nie to, że opasywała trupa, że przeszkadzała mu pętla, na którą ją zadzierzgnął, i że „niezupełnie była oddarta” od odzieży. Łatwiej było udrzeć nowy pas ze spódniczki. Udarł go, uwiązał dokoła szyi i powłókł w ten sposób swą ofiarę aż na brzeg rzeki. Że tej „opaski”, jedynej, jaka dała się sporządzić z trudem i stratą czasu, a jednak niezupełnie odpowiadała swemu celowi - że tej opaski w ogóle użyto, świadczy to, iż konieczność jej użycia wymknęła z okoliczności, które się wytworzyły, kiedy chustki do nosa nie było już, pod ręką, to znaczy, kiedy winowajca - jak to wyobrażaliśmy sobie - wynurzył się już z gęstwiny (o ile z niej wyszedł) i znajdował się w drodze między gęstwiną a rzeką.

Ale odpowiesz na to, iż Madame Deluc wyraźnie nadmienia w swych zeznaniach o obecności szajki w pobliżu tej gęstwiny i mniej więcej o tej samej porze, kiedy nastąpiło zabójstwo. Przyznaję. Nie wątpię nawet, iż cały tuzin szajek, podobnych do opisanej przez Madame Deluc, mógł waleśać się w pobliżu Barri?re du Roule podczas owej tragedii. Atoli szajka, która ściągnęła na siebie stanowczą niechęć, objawiona w nieco spóźnionych i mocno podejrzanych zeznaniach

Madame Deluc, wedle oświadczenia tej zacnej i w rzeczach sumienia nader, drażliwej matrony, jedynie najadła się u niej ciastek i pokrzepiła się u niej wódką, nie pomyślawszy o zapłacie. Et hinc illae irae!23

Jakież jest dokładne brzmienie zeznania Madame Deluc? „Pojawiła się szajka opryszków, którzy zachowywali się hałaśliwie, nie zapłacili za potrawy i napoje, poszli tą samą drogą co młodzieniec i dziewczyna, powrócili do gospody, kiedy miało się ku zmierzchowi, przeprawili się z powrotem przez rzekę jak gdyby z wielkim pośpiechem”.

Otóż ten „wielki pośpiech” wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wydał się jeszcze większy oczom Madame Deluc, kiedy rozmyślała, smętna i bolejąca, o pochłoniętych ciastkach i piwie, do ostatniej chwili żywiąc nikłą nadzieję na zapłatę. Bo w innym razie dłaczegóż by, kiedy miało się ku zmierzchowi, przejmowała się tak bardzo tym pośpiechem? Zaiste, nie można się dziwić, że nawet szajka opryszków śpieszy się z powrotem do domu, gdy trzeba przepłynąć rzekę w wątych łodziach przy zapadającej nocy i nadciągającej burzy.

Powiadam: zapadającej, gdyż noc jeszcze nie zapadła. Miało się dopiero ku zmierzchowi, kiedy nieprzyzwoity pośpiech tych „opryszków” skaził czyste spojrzenie Madame Deluc. Aliści wmawia się w nas, że właśnie tego samego wieczora Madame Deluc i jej najstarszy syn „usłyszeli krzyki kobiece w pobliżu gospody”. A jakimież to słowy określa Madame Deluc tę chwilę wieczorną, kiedy owe krzyki się rozległy? Było to wnet po nastaniu ciemności. Jednakże „wnet po nastaniu ciemności” oznacza co najmniej ciemności, natomiast przez słowa „miało się ku zmierzchowi” należy bezsprzecznie rozumieć światło dzienne. Jest zatem rzeczą najzupełniej jasną, iż szajka opuściła już Barri?re du Roule, kiedy Madame Deluc „przesłyszały się” owe krzyki. I aczkolwiek we wszystkich licznych sprawozdaniach ze śledztwa te dwa powiedzenia powtarzają się nieodmiennie i jota w jotę tak samo, jak je przytoczyłem w rozmowie z tobą, to jednak żaden dziennik ani żaden urzędnik policyjny nie zauważył dotychczas ogromnej sprzeczności, jaka między nimi zachodzi.

Dorzucę jeszcze tylko jeden argument przeciwko owej szajce; wszelako jest to argument, który, przynajmniej w moim przekonaniu, jest wprost nieodparty. Jeżeli się zważy szczerą nagrodę i zupełną bezkarność, przyrzeczoną publicznie za wydanie w ręce władz zbrodniarzy, to niepodobna ani przez chwilę pomyśleć, by nie znalazł się ktoś śród szajki spodlonych rzeźmieszaków czy też innej gromady ludzkiej, który by nie zdradził swych współwinowajców. Uczestnicy takich szajek nie tyle dbają o nagrody i drżą o swe ocalenie, co lękają się zdrady. Zdradzają sami chętnie i rychło, by nie być zdradzonymi. Że tajemnicy nie ujawniono, jest to najlepszym dowodem, iż istotnie jest ona tajemnicą.

Okropność tego piekielnego czynu znana jest jednej lub dwu istotom ludzkim i Bogu.

Streścimy teraz szczerupły, lecz niezawodny plon naszej długiej analizy. Doszliśmy do przeświadczenia, iż albo targnięto się na życie pod dachem Madame Deluc, albo dopuszczono się zbrodni w gęstwinie koło Barri?re du Roule i że sprawcą był kochanek lub przynajmniej zaufany i tajny towarzysz zmarłej. Ma on cerę śniadą. Ta cera, pętla opaski oraz „węzeł” zadziergnięty na wstążce od kapelusza każą domyślać się marynarza. Poufałość jego ze zmarłą, lekkomyślną, lecz bynajmniej nie znikczemniałą dziewczyną, dowodzi, iż jest czymś więcej niż zwykłym marynarzem. Za przypuszczeniem tym również przemawiają dobrze napisane i natarczywe komunikaty, rozesłane do dzienników. Przypomniany przez „Le Mercure” szczegół o pierwszej ucieczce każe skojarzyć tego marynarza z owym „oficerem marynarki”, o którym wiadomo, iż pierwszy sprowadził nieszczęśliwą na złe drogi.

I oto, we właściwą porę, nasuwa się pytanie, czym tłumaczyć sobie przewlekłą nieobecność tego człowieka o śniadej cerze. Trzeba tu zaznaczyć, iż cera jego jest smagła i śniada; nie była to zwykła śniadość, skoro zarówno dla Valence’a, jak dla Madame Deluc stanowiła jedyny szczegół zapamiętany. Ale dlaczego ten człowiek jest nieobecny? Czy zginął z rąk szajki? Jeżeli tak, to czemuż pozostały ślady tylko po zabitej dziewczynie? Widownia obu zabójstw musiałaby być oczywiście ta sama. I gdzie są jego zwłoki? Zabójcy byliby z obojgiem postąpili najprawdopodobniej w ten sam sposób. Atoli mógłby ktoś powiedzieć, że ten człowiek żyje, lecz nie chce, żeby wiadano o nim, z obawy, iż mógłby być posądzony o zabójstwo. Względ ten mógłby oddziaływać na niego teraz - w obecnym, późnym okresie - kiedy w śledztwie się okazało, iż widziano go w towarzystwie Marii, ale nie mógł mieć dlań znaczenia w okresie zbrodni. Pierwszy odruch niewinnego człowieka nakazywałby mu donieść o przestępstwie, przyczynić się do odszukania złoczyńców. Skłoniłaby go do tego bodaj roztropność. Widziano go z dziewczyną. Przepływał z nią rzekę na odkrytym promie. Wskazanie zabójców wydawałoby się w takich okolicznościach nawet idiotycznie najpewniejszym i jedynym sposobem uniknięcia podejrzeń. Nie możemy przypuścić, żeby nocą owej pamiętnej niedzieli nie tylko był niewinny, lecz także nic nie wiedział o popełnionej zbrodni. A jednak tylko w takim razie można by zrozumieć, dlaczego zaniedbał, jeżeli żyje, wskazać zabójców.

Jakimież środkami rozporządzamy, by dowiedzieć się prawdy? Środki te będą się pomnażały i nabierały wyrazistości w miarę dalszych naszych postępów. Przesiejmy teraz gęste sito historii pierwszej ucieczki. Poznajmy dokładnie owego „oficera”, okoliczności, w jakich obecnie się znajduje, i co porabiał, kiedy dokonywała się zbrodnia. Porównajmy starannie rozesłane do wieczornych dzienników różne komunikaty, których zadaniem było zważyć odpowiedzialność na szajkę. Zrobiwszy to, porównajmy styl, pismo i wygląd ich rękopisów z rękopisami listów rozesłanych poprzednio do dzienników prasowych, a oskarżających zapamiętałe Mennais’go. Kiedy zaś to wszystko już będzie zrobione, przystąpmy do porównania tych komunikatów ze znanymi rękopisami tegoż oficera. Przesłuchajmy ponownie Madame Deluc, jej małców i konduktora omnibusu, Valence’a, ażeby dowiedzieć się więcej o powierzchowności i zachowaniu się „człowieka o śniadej cerze”. Za pomocą pytań umiejętnie zadawanych wydobędzie się niewątpliwie od któregoś z tych świadków wiadomości dotyczące tego szczegółu (albo też innych) - wiadomości, z których posiadania ci świadkowie sami nie zdają sobie sprawy. Zajmijmy się potem sprawą łodzi złowionej przez przewoźnika w poniedziałek rano, dnia dwudziestego trzeciego czerwca, a zabranej następnie przez kogoś z urzędu portowego bez wiedzy służbowego urzędnika i bez steru, na krótko przed znalezieniem trupa. Przy odpowiedniej przeczności i wytrwałości zdołamy niezawodnie wysledzić tę łódź, gdyż pozna ją zapewne przewoźnik, który ją znalazł, a ponadto mamy ster w rękę. Steru żaglowej łodzi nie pozostawiłby na przepadle człowiek, który ma czyste sumienie. Nasuwa się tu jeszcze jedno zagadnienie. Nie było zawiadomienia publicznego o znalezieniu tej łodzi. Po cichu ją sprowadzono do urzędu portowego i po cichu ją stamtąd zabrano. Czymże to jednak wytłumaczyć sobie, iż jej właściciel czy dzierżawca zdołał już we wtorek rano, bez zawiadomienia publicznego, dowiedzieć się, gdzie znajduje się łódź złowiona w poniedziałek - jeżeli nie przyjmujemy, że pozostaje on w jakimś stosunku do marynarki - w jakimś stosunku, osobistym i stałym, ułatwiającym znajomość drobiazgowych spraw i miejscowych nowinek?

Mówiąc o samotnym złoczyńcy, wlokącym swe brzemień ku rzece, napomknąłem już, że prawdopodobnie posłużył się łodzią. Możemy więc dorozumiewać się, że Marię Rog?t wyrzucono z łodzi. Odbyło się to najzupełniej po prostu. Zwłok niepodobna było powierzyć płytkim wodom przybrzeżnym. Osobliwsze znamiona na plecach i barkach ofiary przypominają zębrowania na dnie łodzi. Umacnia w tym przeświadczeniu także ta okoliczność, iż do zwłok nie

przywiązano ciężaru. Byłyby obciążone, gdyby je wrzucono z brzegu. Nie przytwierdzono ciężarów prawdopodobnie dlatego, iż zabójca nie był dość przezorny, by zaopatrzyć się w nie, zanim odbił od brzegu. Wrzucając trupa do wody, zauważył niezawodnie swe przeoczenie, ale nie miał nic pod ręką, by temu zaradzić. Wolał narazić się na wszelkie niebezpieczeństwa, niż powrócić do straszliwego brzegu. Pozbywszy się swego upiornego brzemienia zabójca podążył pośpiesznie ku miastu. Wylądował zapewne w jakiejś niepozornej przystani. Czy jednak pomyślał o zabezpieczeniu łodzi? Zbyt się śpieszył, żeby zajmować się takimi rzeczami. Przy tym, przywiązując łódź w przystani, byłby doznawał wrażenia, iż przytwierdza oto dowód, który go obwini. Najprostszą jego myślą było odtrącić możliwie najdalej od siebie wszystko, co miało jakąkolwiek łączność z jego zbrodnią. Nie tylko sam pragnął ująć z przystani, ale też nie mógł pozwolić, żeby tam łódź pozostała. Najpewniej odepchnął ją od brzegu i puścił z prądem.

Podążajmy dalej za naszą wyobraźnią. Nazajutrz rano niktzemnika ogarnął niewysłowiony lęk, gdy zobaczył, że łódź przytrzymano i odstawiono do miejsca, dokąd codziennie uczęszczał - do miejsca, w którym snadź musiał bywać z obowiązku. Następnego nocy zabrał ją nie odważając się upomnieć o ster.

Gdzież jest zatem ta łódź, pozbawiona steru? Najpierwszym naszym zadaniem będzie ją odszukać. Zaświta jutrenka naszego powodzenia, skoro tylko czegoś się o niej dowiemy. Z chyżością, która nas samych zadziwi, poprowadzi nas łódź ta do człowieka, który posłużył się nią w nocy owej złowrogiej niedzieli. Dowody będą wynikały z dowodów i wpadniemy na trop zbrodniarza.

Dla powodów, których nie wymieniamy, lecz które są aż nadto jawne dla całej rzeszy naszych czytelników, pozwalamy sobie pominąć tę część dostarczonego nam rękopisu, która zawiera szczegółowy opis śledztwa, przeprowadzonego wedle nikłych na pozór poszlak, wykrytych przez Dupina. Uważamy tylko za właściwe nadmienić, że cel pożądaný osiągnięto i że prefekt wywiązał się sumiennie, acz niechętnie, ze swej umowy z Chevalierem. Mr Poe kończy swą pracę następującymi słowami: 24

Rozumie się samo przez się, iż mówię o zbiegu okoliczności i niczym więcej. To, co powiedziałem poprzednio o tym przedmiocie, winno wystarczyć. W głębi duszy nie wierzę w rzeczy nadprzyrodzone. Żaden człowiek myślący nie zaprzeczy, iż czym innym jest Bóg, a czym innym przyroda. Że Bóg, stworzywszy przyrodę, może nią wedle swej woli władać i ją przekształcać, to nie ulega również, wątpliwości. Powiadam „wedle swej woli”, gdyż jest to zagadnienie woli, nie zaś, jak niedorzeczna logika przypuszcza, potęgi. Nie chodzi o to, jakoby Bóstwo nie mogło zmienić swych praw, lecz o to, iż bluźnimy Mu, wyobrażając sobie, jakoby zmiany były potrzebne. Od samego początku prawa te były postanowione w ten sposób, iż ogarniały wszechmożliwości, jakie by mogła przynieść z sobą Przyszłość. Dla Boga wszystko jest Terazniejszością.

Powtarzam zatem, iż mówię o tych rzeczach jedynie jako o zbiegach okoliczności. I dodam jeszcze: opowieść moja wykazuje, iż między dolą nieszczęsnej Marii Cecylii Rogers, przynajmniej o ile dola ta jest nam znana, a dolą niejakiej Marii Rog?t aż po pewien okres jej historii zachodzi tak przedziwnie dokładna równoległość, iż rozum pogrąża się w zakłopotaniu. Powiadam, iż zaznacza się to nader wyraźnie. Wszelako niechaj nikt ani na chwilę nie przypuszcza, iż snując żalną opowieść o Marii od chwili co tylko wspomnianej i śledząc osłaniającą ją tajemnicę aż do jej rozwikłania, zamierzałem skrycie uwydatnić rozciągłość tej równoległości lub chociażby poddać myśl, jakoby zarządzenia, poczynione w Paryżu celem wykrycia zabójcy gryzетки, albo też zarządzenia, oparte na jakichkolwiek podobnych podstawach rozumowych, mogły dać podobne wyniki.

Albowiem, o ile chodzi o drugą część tego przypuszczenia, trzeba zważyć, iż najdrobniejsza odmienność okoliczności w obu zdarzeniach mogłaby stać się przyczyną najzupełniej błędnego wniosku, gdyż wywołałaby zupełną rozbieżność między dwoma prądami wypadków. Stałoby się podobnie jak w arytmetyce, gdzie błąd, który sam w sobie może być nieznaczny, w dalszym przebiegu skutkiem oddziaływania wielokrotności staje się w końcu przyczyną wyniku niezmiernie odbiegającego od prawdy. Jeżeli zaś powrócimy jeszcze do części pierwszej, to nie można zapominać, że tenże sam rachunek prawdopodobieństwa, na który się powoływałem, zabrania wszelkiej myśli o rozciąganiu tej równoległości - zabrania jej ze stanowczością niezłomną i surową, ile że zgodność ta posiada już swą ścisłość i rozciągłość. Jest to jedna z tych zasad nieprawidłowych, które pozornie odwołują się do myśli nie mającej nic wspólnego z matematyką, a jednak w całej pełni uznane być mogą tylko przez matematyków. Nie ma nic, na przykład, trudniejszego, niż przekonać nie wtajemniczonego w te zagadnienia czytelnika, że jeżeli komuś grającemu w kości zdarzy się wyrzucić raz po raz szóstkę, to można założyć się o największą stawkę, iż za trzecim razem szóstki nie da się wyrzucić. Pomysł takiego następstwa zazwyczaj odtrąca intelekt od razu. Nie wydaje się rzeczą możliwą, żeby dwa rzuty, już dokonane i pogrążone bezwzględnie w Przyszłości, mogły mieć wpływ na rzut, który istnieje dopiero w Przeszłości. Traf wyrzucenia szóstki wydaje się dokładnie takim samym, jak kiedy indziej - to znaczy, zależnym tylko od wpływu różnych innych rzutów, które można wykonać kością. Refleksja ta ma pozory takiej niezawodnej oczywistości, iż przecząc jej, spotyka częściej drwiący uśmiech niż odruch pełnej poszanowania uwagi. Tego błędu - grubego błędu, tracącego szkodliwością - nie mogę wykazać w granicach, które na teraz sobie wytyczyłem; zresztą umysłem filozoficznym nie potrzeba go wykazywać. Dość będzie, gdy powiem, że stanowi on część nieskończonych szeregów pomyłek, które powstają na drodze Rozumu skutkiem właściwej mu skłonności do szukania prawdy wszczegółach.

Studnia i wahadło
 Impia tortorum longas hic turba furores
 Sanguinis innocui, non satiata, aluit.
 Sospite nunc patria, fracio nunc funeris antro,
 Mors ubi dira fuit vita salusque patent. I
 (Czterowiersz. przeznaczony na bramę hali
 targowej, którą miano zbudować w Paryżu
 na miejscu, gdzie dawniej wznosił się dom
 Klubu Jakobinów).

Byłem złamany, złamany śmiertelnie tym przewlekłym konaniem i kiedy w końcu zdjęli ze mnie więzy i pozwolili mi usiąść, uczułem, iż o ochodzę od przytomności. Wyrok - straszliwy wyrok śmierci - był ostatnim wyraźnym

brzmieniem, które obito się o moje uszy. Potem wydało mi się, że głosy inkwizytorów roztopiają się w jakimś sennym, nieokreślonym szumie. Wywoływał on w mej duszy wrażenie obrotu, może dlatego, że wyobraźnia moja skojarzyła go z kołem młyńskim. Trwało to bardzo krótko, gdyż wnet przestałem zupełnie słyszeć. Mimo to widziałem jeszcze czas pewien; lecz jakież straszliwy wygląd przybierało wszystko w mych oczach! Widziałem wargi przyodzianych w czerń sędziów. Wydawały mi się one białymi - bielszymi od kartki, na której kreślę te słowa - i nieprawdopodobnie cienkimi: jak gdyby ścieniały pod wpływem wyteżonej stanowczości, zakrzepłej nieodwołalności i srogiej wzgardy dla męczarni ludzkiej. Widziałem, jak rozstrzygnięciem mego losu drgały jeszcze te usta. Widziałem, jak zacinają się orzekając każdą śmierci. Widziałem, jak kształtowały się na nich zgłoski mego nazwiska, i drżałem, by nie przyszła kolej na dźwięki. W nikłym mgnieniu obłędnej trwogi widziałem również lekkie i omal niedostrzegalne falowanie czarnych opon, osłaniających ściany komnaty. Następnie wzrok mój padł na siedem wielkich świec, ustawionych na stole. Zrazu miały one wygląd litosny i wydawały mi się białymi, smukłymi aniołami, co przysły, by mnie ocalić; lecz wnet potęmniała jakaś śmiertelna załamała mi duszę i nagły wstrząs przeniknął wszystkie włókna mego ciała, jak gdybym dotknął przewodnika baterii elektrycznej, a zjawy anielskie przedzierzgnęły się w bezduszne widziadła o głowach z płomienia i zrozumiałem, że pomocy od nich spodziewać się nie można. Po chwili przez mą wyobraźnię na kształt bujnej, dźwięcznej melodii przemknęła myśl, jak słodko musi być w grobie. Myśl ta przyszła z cicha i skrycie i miałem wrażenie, że długo trwało, nim objawiła się w nieocenionej swej pełni; kiedy zaś duch mój począł w końcu właściwie ją odczuwać i nią się lubować, postacie sędziów, jak na zaklęcie, zniknęły mi nagle z oczu; wielkie świece zapadły w nicość; płomienie ich pierzchły; otoczyła mnie czerń mroków; wszystkie wrażenia zdawały się przepadać w obłędnym, rwącym zamierzchu duszy, odchodzącej w zaświaty. W końcu wszechświat omgłił się nocą, cichością i milczeniem.

Straciłem przytomność; nie powiedziałbym jednakże, iż postradałem zupełnie świadomość. Co z niej pozostało? - tego nie zamierzam określać, a tym mniej opisywać; to pewna, iż nie wszystko zanikło. Dzieje się to w odurzeniu sennym? - nie! W obłędzie? - nie! W omdleniu? - nie! W śmierci? - nie! Nawet w grobie nie wszystko zanika. Gdyby było inaczej, nie byłby człowiek nieśmiertelny. Budząc się z najgłębszego snu zrywamy pajęczą tkankę jakiegoś marzenia. Ale w chwili później (tak nikła snadź była ta tkanka!) nie przypominamy już sobie, żeśmy śnili. Powracając z omdlenia do przytomności przechodzimy dwa okresy; pierwszym jest poczucie istnienia umysłowego czy duchowego; drugim poczucie istnienia fizycznego. Gdybyśmy przechodząc do okresu drugiego mogli wywołać wrażenia z okresu pierwszego, to wydaje mi się rzeczą możliwą, iż te wrażenia zawierałyby mnóstwo wymownych wspomnień z otchłani pozaświadomej. Czymże jest ta otchłań? I czym różnią się jej mroki od cieniów grobu? Jakkolwiek wszakże wrażenia z tego stanu, który nazwałem pierwszym okresem, nie dają wywoływać się dowolnie, to czyż po pewnym czasie nie przychodzą one same, ku wielkiemu naszemu zdumieniu, skąd się wzięły? Kto nigdy nie odchodził od przytomności, ten nie dojrzy czarodziejskich grodów i potwornie znajomych twarzy w jarzących się głowniach; ten nie dostrzeże w napowietrznych przestworzach pierzchliwych, smętnych wizji, niewidzialnych dla oczu tłumów; ten nie będzie rozpamiętywał woni jakiegoś nieznanego kwiatu i nie będzie zaciekał się myślą w jakiejś nie zasłyszanej dotychczas gęździe.

Wśród częstych i uporczywych wysiłków, by sobie przypomnieć, wśród wyteżonych starań, by natknąć się na ślady owego stanu pozornej nicości, w której pograżyła się ma dusza, bywały chwile, kiedy marzyłem o powodzeniu; bywały krótkie, przelotne okresy, gdy wyczarowywałem wspomnienia, które później, rozpatrywane w świetle rozumu, wykazywały ścisłą swą zależność od owej rzekomej nieprzytomności. W mgławicach tych wspomnień majaczą niewyraźne smukłe postacie, które wzięły mnie i uniosły w milczeniu, hen, w dół - coraz głębiej i głębiej, aż cześć zawrotna ogarnęła mnie wreszcie na samą myśl o nieskończoności tego spadania. Pozostała także pamięć jakiegoś nieuchwytnego lęku, wywołanego nienaturalnym uspokojeniem się serca. Potem nawiedziło mnie poczucie nagłego bezruchu wszechrzeczy, jak gdyby upiorny orszak zstępujący ze mną coraz niżej minął rubież bezkresów i zatrzymał się znużony nieskończonością swego dzieła. Następnie owiała mnie wilgoć i opanowała niemoc; po czym nade wszystkim rozpostarł się obłęd - obłęd pamięci, miotającej się wśród rzeczy piekielnych.

Wtem z nagłą wszczął się w mej duszy ruch i szmer - rozgłośny ruch serca, którego tętno rozlegało mi się w uszach. Lecz wnet nastąpiła głucha przerwa. Po niej znów szmer, ruch i drżenie, przenikliwym dreszczem rozchodzące się po ciele. Następnie pierwsza świadomość istnienia, pozbawiona myśli; stan ten trwał długo. Z kolei nagły przebłysk myśli i wstrząs grozy, i zawzięty wysiłek, by zdać sobie sprawę z własnego stanu. Potem dziwna żądza, by pogrzyźć się znów w bezczuciu. Potem błyskawiczne przebudzenie się duszy i pomyślna próba ruchu. I oto pełna świadomość dochodzeń, sędziów, czarnych opon, wyroku, osłabienia i zemdlenia. Następne zdarzenia wypadły mi zupełnie z pamięci; dopiero znacznie później i po najgłębszym namyśle zdołałem je sobie w przybliżeniu przypomnieć.

Dotychczas nie otwierałem oczu. Czulem, że nie mam na sobie więzów i że leżę na wznak. Wyciągnąłem rękę, która spadła ciężko na coś twardego i mokrego. Nie ruszałem jej czas jakiś usiłując odgadnąć, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Pragnąłem rozejrzeć się, ale nie śmiałem. Przerażała mnie myśl o pierwszym spojrzeniu na otaczające przedmioty. Nie bałem się, że ujrzę rzeczy potworne, lecz truchlałem w przypuszczeniu, iż mogę nic nie zobaczyć. W końcu z dziką rozpaczą w duszy rozwarłem spiesznie oczy. Trapiąca mnie myśl okazała się prawdziwa. Spowijała mnie czerń wiekuistej nocy. Oddychałem z trudnością. Miałem wrażenie, że gęstość mroków gniecie mnie i dławi. Powietrze było nieznośnie duszne. Wciąż jeszcze leżałem spokojnie i starałem się skupić władze rozumu. Uprzytomniłem sobie postępowanie Inkwizycji i na tej podstawie usiłowałem zdać sobie sprawę z rzeczywistego mego położenia. Wyrok zapadł, a od tej chwili - jak mi się zdawało - upłynął znaczny odstęp czasu. Mimo to nawet nie zakiełkowało we mnie przypuszczenie, jakobym istotnie rozstał się z życiem. Myśl taka, wbrew temu, co wypisuje się w książkach, wręcz nie da się pogodzić z bytem rzeczywistym. Ale gdzie byłem i w jakim stanie? Wiedziałem, iż skazani na śmierć ginęli zazwyczaj na stosie. Podobne auto da fé odbyło się w wigilię mojej rozprawy sądowej. Czyżby odesłano mnie z powrotem do więzienia i przeznaczono na całopalenie dopiero za kilka miesięcy? To przypuszczenie wydało mi się od razu niepodobieństwem. Potrzebowano ofiar niezwłocznie. Przy tym moje dawniejsze więzienie, jak wszystkie zresztą cele skazańców w Toledo, miało kamienną posadzkę i nie całkiem było pozbawione światła.

Wtem zaświtała mi myśl tak straszna, iż krew wrzącą strugą uderzyła mi do serca, i jeszcze raz na chwilę pograżyłem się w bezczuciu. Gdym przyszedł do siebie, zerwałem się w okamgnieniu na nogi, przeniknięty dreszczem do rdzenia. Jąłem bez namysłu wywijać ramionami na wszystkie strony, ponad sobą i dokoła siebie. Nie czulem nic; wszelako bałem się postąpić naprzód, by nie natknąć się na ścianę grobu. Pot sączył się ze mnie wszystkimi porami i w zimnych, ciężkich kroplach osadzał się na mym czole. Katusza niepewności wzmogła się w końcu ponad me siły i jąłem ostrożnie stapać z wyciągniętymi przed siebie ramionami i występującymi z orbit oczyma spodziewając się, iż dojrzę wreszcie

choćby najniklejszy promyk światła. Uszedłem kilka kroków, lecz zewsząd ziała czerń i próżnia. Odetchnąłem swobodniej. Widocznie los mój nie był jeszcze najgorszy.

Kiedy posuwałem się ostrożnie naprzód, zaroilo się w mej pamięci od tysiąca błędnych pogłosek o okropnościach Toledo. O więzieniach opowiadano sobie niemożliwości - baśnie, jak mniemałem - lecz tak dziwaczne i tak upiorne, iż nie dadzą się powtórzyć, chyba szeptem. Czy w tym podziemnym świecie mroków miałem zginąć z głodu, czy też zgotowano mi śmierć jeszcze straszniejszą? Poznałem dokładnie charakter mych sędziów i wiedziałem, że nie minie mnie śmierć, i to okrutniejsza, niż bywało zazwyczaj. Kiedy i w jaki sposób miało się to dokonać? - oto jedyna myśl, która mnie zastanawiała i niepokoiła.

Moje wyciągnięte ręce napotkały w końcu jakąś silną zaporę. Była to ściana, pozornie kamienna, bardzo gładka, oślizła i zimna. Jąłem stąpać wzdłuż niej ostrożnie i z niedowierzaniem, rozbudzonym przez niektóre starodawne wieści. Atoli to przedsięwzięcie żadną miarą nie mogło mnie upewnić co do rozmiarów mego więzienia, gdyż mogłem je okrążyć, powrócić na miejsce, skąd wyszedłem, i bynajmniej tego nie zauważyć, tak dalece mur jego wydawał się jednostajny. Począłem więc szukać szczyryka, który miałem w kieszeni, gdy mnie przyprowadzono do sali sądowej, ale już go nie było; zamiast ubrania miałem na sobie szorstką włosiennicę. Zamierzałem wetknąć ostrze szczyryka w szczelinę ściany, by w ten sposób oznaczyć punkt wyjścia. Była to wprawdzie przeszkoda dość błaha, ale myśli moje błąkały się tak bezładnie, iż w pierwszej chwili wydawała mi się nie do pokonania. W końcu oddarłem kawałek rąbka od mego płaszcza i rozciągnąłem go na ziemi, pod kątem prostym do ściany. Kołując omackiem musiałem wreszcie dojść do tego strzępu po okrążeniu całego obwodu. Przynajmniej tak sądziłem, przeliczyłem się jednak - sam nie wiem - czy na rozległości więzienia, czy też na własnym osłabieniu. Ziemia była mokra i śliska. Szedłem ślaniając się co chwila, po czym potknąłem się i upadłem. Przemogło mnie niezmiernie znużenie i zasnąłem nie ruszając się z miejsca.

Kiedym się ocknął i wyciągnął przed siebie ramię, znalazłem obok bochenek chleba i dzban wody. Zbyt byłem wyczerpany, by zastanawiać się nad tym zdarzeniem, lecz pożądliwie zaspokoilem głód i pragnienie. Wnet potem ruszyłem w dalszą drogę dookoła mego więzienia i z niemałym trudem dotarłem w końcu do strzępu włosiennicy. Do chwili upadku naliczyłem pięćdziesiąt dwa kroki, kiedym zaś podjął na nowo mój pochód, uszedłem jeszcze czterdzieści osiem kroków, zanim stanąłem przy owym strzępie. Zrobiłem więc ogółem sto kroków; licząc dwa kroki na jeden jard, wywnioskowałem, iż więzienie moje ma pięćdziesiąt jardów obwodu. Napotkałem atoli wiele załomów w murze i dlatego nie zdołałem zdać sobie sprawy z kształtu tego podziemia, nie mogłem bowiem oprzeć się przypuszczeniu, iż przebywam w podziemiu.

W poszukiwaniach moich nie było celu - a tym mniej nadziei; nie zaprzestawałem ich tylko przez jakąś nieokreśloną ciekawość. Oddalwszy się od ściany postanowiłem przejść me więzienie w poprzek. Zrazu szedłem nadzwyczaj ostrożnie, gdyż posadzka, aczkolwiek utworzona z twardego na pozór materiału, była zawodna i śliska. Wszelako później nabrałem otuchy i nie wahałem się stąpać pewniej starając się o ile możności nie zboczyć z domniemanej poprzecznej linii. Zrobiłem w ten sposób około dziesięciu lub dwunastu kroków, gdy udaty rąbek włosiennicy podwinął mi się pod nogi. Nastąpiłem na niego i upadłem jak długi twarzą do ziemi.

Byłem tak oszołomiony upadkiem, iż nie zauważyłem zrazu pewnej niepokojącej okoliczności, która jednakże w chwilę później, kiedym jeszcze leżał na ziemi, zwróciła moją uwagę. Oto moja broda spoczywała na posadźce więzienia, natomiast wargi gdzieś górna część głowy, jakkolwiek nachylona jeszcze niżej, już nie dotykały niczego. Równocześnie musnęły mi czoło jakieś lepkie wyziewy i osobliwszy zapach stęchłych grzybów wtargnął do moich nozdrzy. Wyciągnąłem ramię przed siebie i przekonałem się z przerażeniem, że upadłem na sam skraj kolistej studni, której rozmiarów nie mogłem - rzecz prosta - zbadać od razu. Dotykając omackiem cembrowiny tuż pod wrębem, zdołałem odłupać jakiś okruch i rzuciłem go w głąbie. Przez kilka sekund słyszałem, jak spadał odbijając się w przelocie o ściany czeluści; w końcu rozległ się posępny plusk wody, któremu zawtórowały rozległe echa. W tej samej chwili doleciał mnie z góry szmer jak gdyby pośpiesznie otwartych i zaraz potem zamkniętych drzwi, a równocześnie nikła smuga świetlna mignęła w mrokach i znów zagasła.

Zdałem sobie sprawę z losu, który mi zgotowano, i błogosławiłem przypadek, co przyszedł w porę, by mnie ocalić. Gdybym nie był upadł, a postąpił jeszcze o krok dalej, byłbym przepadł dla świata na zawsze; śmierć, której unikałem, była właśnie tego rodzaju, który wydawał mi się głupstwem i zmyśleniem w opowieściach krążących o Inkwizycji. Ofiary jej okrucieństwa miały do wyboru zgon wśród najstraszliwszych mąk cielesnych lub ztratę wśród najprzeróżniejszych udręczeń duchowych. Mnie to drugie przeznaczono w udziale. Długie cierpienia rozprężyły me nerwy do tego stopnia, iż wzdygałem się na dźwięk własnego głosu i ze wszech miar nadawałem się do tortury, która mnie oczekiwała.

Drżąc na całym ciele wróciłem omackiem pod ścianę i postanowiłem szczeznąć tam raczej, niż narazić się znów na grozę studzien, których - jak sobie wyobrażałem - w różnych miejscach mego więzienia musiało być więcej. W innym usposobieniu umysłu nie zbywałoby mi na odwadze i byłbym przyspieszył kres mej niedoli rzucając się w jedną z tych czeluści; ale podówczas byłem nikczemnym tchórzem. Nie mogłem również zapomnieć o tym, co zdarzyło mi się ongi czytać o tych studniach, mianowicie, iż nagłej śmierci nie miały one bynajmniej na celu.

Targany rozterką czuwałem długo; w końcu jednak zasnąłem powtórnie. Po przebudzeniu znów znalazłem obok bochenek chleba i dzban wody. Trawiło mnie nieznośne pragnienie, więc jednym tchem wychyliłem naczynie do dna. Widocznie domieszano czegoś do wody, gdyż zaraz po jej wypiciu zmorzyła mnie nieprzezwyrodną senność. Ogarnął mnie sen głęboki, podobny do śmierci. Nie wiem, jak długo spałem; kiedym jednak otworzył oczy, dostrzegłem otaczające mnie przedmioty. Jakieś dziwne, siarczane blaski, których pochodzenia nie umiałem zrazu sobie wytłumaczyć, pozwoliły mi zdać sobie sprawę z rozmiarów i wyglądu więzienia.

Co do jego wielkości pomyliłem się bardzo. Cały obwód ścian nie przynosił dwudziestu pięciu jardów. Spostrzeżenie to sprawiło mi na chwilę niewymowną, lecz błahą przykrość; błaha ona była zaiste, gdyż w straszliwych okolicznościach, w jakich się znajdowałem, cóż mogło mnie mniej obchodzić od rozmiarów mego więzienia? Lecz moja dusza przejmowała się zapamiętałe drobnostkami, więc zaciekałem się w myślach, by obliczyć błąd popełniony przy pomiarach. W końcu zaświtała mi prawda. Gdym po raz pierwszy przystąpił do badania, naliczyłem pięćdziesiąt dwa kroki do chwili upadku; znajdowałem się przeto o krok lub dwa od strzępu włosiennicy i okrążyłem obwód podziemia niemal w całości. Potem zasnąłem, a po przebudzeniu musiałem pójść z powrotem i na tej podstawie wywnioskowałem, iż obwód wynosi blisko dwa razy więcej niż w rzeczywistości. Wśród bezładnej rozterki nie zauważyłem, iż zacząłem mój pochód mając ścianę od strony lewej, a skończyłem go mając ją od strony prawej.

Poblądziłem również co do kształtu mej celi. Szukając po omacku drogi napotkałem wiele kątów i w ten sposób wytworzyłem sobie przeświadczenie o wielkiej nieregularności; tak przemożny jest wpływ nieprzeniknionych mroków na człowieka, rozbudzonego z letargu lub ze snu! Kąty te były po prostu płytkimi wgłębieniami, czyli wnękami, rozmieszczonymi w nierównych odstępach. Ogólny kształt więzienia był czworoboczny.

Domniemany mur wydał mi się teraz ścianą z żelaza czy też innego metalu, utworzoną z olbrzymich płyt, których szwy i spojenia były przyczyną owych wgłębień. Całą powierzchnię tej metalowej budowy pokrywały nieudolnie nabazgrane, potworne i obmierzłe symbole, poczęte z zabobonu krwiożerczych mnichów. Wszystkie ściany były skalane wyzierającymi z nich groźnie postaciami szatanów w otoczeniu kościotrupów jako też innych zjaw, w rzeczywistości o wiele okropniejszych. Zauważyłem, że zarysy tych potworów występowały dość wyraźnie, natomiast barwy wybladły i ściemniały, jak gdyby pod wpływem powietrza przesyconego parą. Z kolei przyjrzałem się posadzce: była kamienna. Pośrodku ziała kolistą studnią, której czeluści udało mi się uniknąć. Wbrew moim przypuszczeniom w całym więzieniu była ona jedyną.

Wszystko to widziałem niewyraźnie i z niemałym wysiłkiem, gdyż warunki, w jakich się znajdowałem, podczas snu wielkiej uległy zmianie. Leżałem obecnie na wznak, rozpięty na niskim, drewnianym tapczanie. Przytwierdzono mnie mocno do niego długim rzemieniem, podobnym do popręgu. Opasywał on kilkakrotnie członki i ciało, pozostawiając swobodę ruchów jeno mej głowie i memu lewemu ramieniu, lecz tylko o tyle, iż z największym wyęzieniem mogłem sięgnąć po strawę do glinianej miski stojącej obok na posadzce. Zauważyłem ku mojemu przerażeniu, iż dzban zabrano. Powtarzam: ku mojemu przerażeniu, gdyż trawiło mnie niewysłowione pragnienie. Widocznie prześladowcy moi chcieli je spotęgować, gdyż w misce znajdowało się mięso, ogromnie przesolone.

Jałem badać oczyma strop mego więzienia. Znajdował się on na wysokości trzydziestu lub czterdziestu stóp i był zbudowany podobnie jak ściany boczne. W jednej z jego kaset osobliwsza jakaś postać przykuła wszystką mą uwagę. Była to malowana postać Czasu, pojęta w ten sposób, jak ją się zazwyczaj wyobraża, z tą różnicą, iż zamiast kosy trzymał on coś, co na pierwsze wejrzenie wydało mi się namalowanym, olbrzymim wahadłem, podobnym do tych, jakie się widuje przy starodawnych zegarach. Było atoli coś w wyglądzie tej maszyny, co zniewoliło mnie przyjrzeć się jej dokładnie. Patrząc na nią wprost w górę (gdyż znajdowała się bezpośrednio nade mną) miałem wrażenie, że się porusza. W chwilę później wrażenie to stało się pewnością. Wahania jej były krótkie i powolne. Przyglądałem się jej czas jakiś z niejakim lękiem, lecz z jeszcze większym zdziwieniem. W końcu znużony jej opieszalym ruchem, zwróciłem, oczy ku innym przedmiotom, znajdującym się w mej celi.

Lekki szmer obudził mą czujność. Spojrzałem na posadzkę i dostrzegłem kilka olbrzymich szczurów. Wypęzły ze studni, która znajdowała się na prawo. Na poczekaniu zbiegły się tłumnie, przywabione zapachem mięsa, świecą żarłocznymi oczyma. Zużyłem niemało baczności i siły, by się od nich opędzić.

Uplłynęło pół godziny, a może nawet więcej (gdyż niepodobna mi było określić dokładniej czasu), zanim znów w górę podniosłem oczy. Ujrzałem tam zjawisko, które mnie przejęło zdumieniem i przerażeniem. Odchylenie wahadła powiększyło się w wymiarach niemal o jard. Rzecz prosta, iż szybkość jego zwiększyła się również ogromnie. Lecz najwięcej zaniepokoiło mnie przeświadczenie, że wahadło widocznie się obniża. Zauważyłem także, iż dolny jego koniec miał kształt półkulszycy, wykutego ze lśniącej stali, którego długość od jednego krańca do drugiego wynosiła mniej więcej stopę; zakończenia jako też brzeszczot dolny były widocznie wyostrzone na podobieństwo brzytwy. Był on osadzony na potężnym, brązowym trzpieniu i kołysał się, z sykiem przecinając powietrze.

Nie mogłem już dłużej wątpić, iż była to kaźń, zgotowana mi przez pomysłowych w swym okrucieństwie mnichów. Siepacze Inkwizycji dowiedzieli się, iż nie uszło mej baczności istnienie studni - tej studni, przeznaczonej dla takich zuchwałych jak ja odszczepieńców, stanowiącej wyobrażenie piekła i uważanej powszechnie za ultima Thule wszelkiej katuszy. Nie wpadłem do studni jedynie dzięki łaskawości przypadku, atoli wiedziałem, iż niespodzianki i podstępny w stosowaniu tortur stanowiły niepoślednią część potworności, wchodzących w skład śmiertelnych mąk więziennych. Czeluść zawiodła oczekiwania tych demonów, więc nie było celu strącać mnie do niej przemocą i nie pozostawało nic innego, jak wybrać mi zgubę odmienną i łagodniejszą. Łagodniejszą! Byłem bliski zgonu, a jednak uśmiechałem się niemal na myśl o takim słowa tego zastosowaniu.

Po cóż wspominać o długich, nieludzkich długich godzinach trwogi, spędzonych na liczeniu drgnień rozważanej stali? Ruchem, dającym się oznaczyć jedynie z odstępów, które były dla mnie wiekami, obsuwała się ona cal po calu - linia po linii - niżej i coraz niżej! Dnie całe minęły - może nawet wiele dni - zanim ostrze tak nisko zawisło nade mną, iż jęło mnie muskać swym przenikliwym tchnieniem. Zapach stali przeniknął do mych nozdrzy. Modliłem się, naprzykrzałem się niebu moimi modlitwami, by spadek jej przyspieszyć. Zapamiętawszy się w szale przeżyłem się wzwyż na spotkanie rozkołysanego, straszliwego sierpa. To znów przycichałem nagle i leżałem uśmiechając się do tej skrzającej zratry, podobnie jak dziecko uśmiecha się na widok jakiegoś niezwykłego cacka.

Następnie przyszła kolej na ponowny okres zupełnego bezczucia; był on niedługi, gdyż odzyskawszy przytomność nie zauważyłem znaczniejszego obniżenia się wahadła. Zresztą, kto wie, czy nie trwał dłużej - wiedziałem bowiem, iż czuwały demony, które spostrzegłszy me omdlenie, mogły dowolnie zatrzymać ruch. Przeszedłszy do siebie uczułem się niewymownie wyczerpany i osłabiony jak gdyby po przewlekłym niedomaganiu. Atoli nawet wśród mąk organizm mój łaknął pożywienia. Z niemałym trudem wyciągnąłem lewe ramię tak daleko, jak na to więzy pozwalały, i zabrałem niewielką resztkę, pozostawioną mi przez szczury. Gdy mę podnosił do ust, drgnęła mi w mózgu niepełna myśl radości - nadziei. Lecz czyż istniała łączność między mną a nadzieją? Jak powiedziałem, była to myśl niepełna; ludzie miewają wiele myśli, które nie osiągają pełni. Uczułem w jej drgnieniu nadzieję i radość, lecz czułem także, iż zanikła w zawiązku. Na próżno siliłem się, by ją odtworzyć - dopełnić. Długie katusze unicestwiły niemal przyrodzone władze mego ducha. Stępiełem - stałem się idiotą.

Ruch wahadła odbywał się pod kątem prostym do mej długości. Widziałem, iż ów półkulszyc miał mnie ugodzić w okolice

serca. Werźnie się w tkanę mojego odzienia, po czym powróci i werźnie się znowu - raz po raz! Pomimo ogromnych rozmiarów opisywanego luku (wynosił on jakichś trzydzieści stóp lub więcej) i pomimo syczącego rozmachu, z jakim odbywał się jego spadek, mocen roztrzaskać nawet te lite, żelazne ściany, na razie nie dokaże niczego więcej prócz rozszarpania mego odzienia. Na tej myśli utknąłem. Nie śmiałem zapuszczać się dalej poza tę refleksję. Trwałem przy niej z zawziętym uporem, jak gdybym tą zaciętością mógł powstrzymać kołyszące się wysoko ostrze brzeszczotu. Siliłem się, by odgadnąć szmer sierpa, przecinającego mą włosienicę - by zdać sobie sprawę z owego dziwnie przenikliwego uczucia,

jakim naruszenie sukien odzywa się w nerwach. Zaciekałem się w tych drobnostkach do tego stopnia, iż jąłem w końcu szczerkać zębami.

Obsuwał się niżej - coraz niżej. Z obłądną rozkoszą porównywałem chyżość jego spadku z chyżością odchylen. W prawo - w lewo - szach, szach, z potępieńczym zgrzytem! I znów czyha na me serce spokojnie jak tygrys! Śmiałem się i wyłem na przemian, w miarę jak jedna lub druga myśl brała nade mną przewagę.

Niżej - niezmiennie, niezawodnie coraz niżej! Śmigał o trzy cale od mojej piersi! Wyteżałem się zapamiętałe, wściekle, by oswobodzić lewe ramię. Było wolne tylko od łokcia po dłoń. Z ogromnym trudem mogłem nim sięgać do misy, stojącej obok, do ust, ale nie dalej. Gdybym był mógł zerwać więzy powyżej łokcia, byłbym uchwycił wahadło i starałbym się je zatrzymać; oczywiście, z nie większym skutkiem, niż gdybym chciał unieruchomić lawinę!

Wciąż coraz niżej - nieodparcie, nieustannie coraz niżej! Dyszałem i podrywałem się za każdym drgnieniem. Wiłem się kurczowo po każdym wahnieniu. Oczy moje bieły za każdym odchyleniem z zapamiętałością obłądnej rozpacz i zamykały się spazmatycznie, gdy wahadło wracało, aczkolwiek śmierć mogła mi dać ukojenie - oh, jakież niewysłowione ukojenie! Mimo to wszystkie me nerwy przeżyły się na myśl, iż jeden lekki ruch mechanizmu może zanurzyć ten ostry, rozmigotany brzeszczot w mej piersi. To nadzieja napinała me nerwy i wstrząsała mym ciałem, ta sama nadzieja, co tryumfuje przy łożu tortury i nie opuszcza skazańców, nawet w więzieniach Inkwizycji.

Wymiarkowałem, iż ostrze stali po jakichś dziesięciu lub dwunastu nawrotach zetknie się bezpośrednio z moją odzieżą, i wraz z tym spostrzeżeniem zawzięty, skupiony spokój rozpacz owładnął nagle mą duszą. Od wielu godzin, a może nawet od wielu dni po raz pierwszy myślałem. I oto przyszło mi do głowy, że pas czy taśma, którą mnie skrepowano, była z jednej sztuki. Nie miałem na sobie oddzielnych więzów. Pierwsze muśnięcie ostrego na kształt brzytwy półksiężycy przetnie poprzecznie rzemień w jakimś miejscu i z pomocą mej lewej ręki będę mógł odwinąć go z ciała. Lecz jak okropna będzie wówczas bliskość tej stali! Jak straszne w następstwach najłżejsze nawet drgnienie! A zresztą czyż to podobna, by moi lubi prześladowcy nie przewidzieli i nie zapobiegli tej możliwości? Czyż można przypuszczać, by oploty rzemienia krzyżowały pierś moją na linii wahadła? Drżąc, by ta nikła i - jak się zdawało - ostatnia nadzieja nie spełzła na niczym, podźwignąłem głowę o tyle, iż mogłem dokładnie obejrzeć piersi. Pas spowijał szczerlnie me członki i ciało we wszystkich kierunkach, ale w zasięgu złowrogiego ostrza go nie było.

Zaledwie zdążyłem opuścić głowę na dawne miejsce, a już w mym duchu zaświtało coś, co najwłaściwie dałoby się określić jako niedokształcona połówka owej myśli o wyzwoleniu, o której już poprzednio napomknąłem, a która połowicznie tylko i niejasno przewinęła mi się w mózgu, kiedym podnosił pokarm do mych spieczonych warg. Zawitała tedy myśl cała - nikła, mdła jeszcze, zaledwie określona, ale zupełna. Z porywczą rzutkością rozpacz przystąpiłem od razu do jej wykonania.

Od wielu już godzin bezpośrednio poblize niskiego tapczana, na którym leżałem, roilo się po prostu od szczurów. Były one dzikie, żarłoczne i zuchwałe; zwracały na mnie swe szklące, czerwone oczy, jak gdyby oczekiwały, kiedy znieruchomieję i stanę się ich łupem. „Do jakiejże strawy - myślałem sobie - nawykły one w tej studni?”

Daremne były moje wysiłki, by je odpędzić: pożarły całą zawartość miski z wyjątkiem niewielkiej odrobiny. Nawykowo nie ustawałem w młynkowaniu, czyli wymachiwaniu ręką dokoła półmiska, atoli ta bezwiedna jednostajność ruchu postradała w końcu swe znaczenie. Flugasto było tak żarłoczne, iż niejednokrotnie wpijało się swymi ostrymi kłami w me palce. Pozostałymi ochłapami tłustego i pieprzonego mięsiva natarłem tedy mocno me więzy wszędzie, gdzie mogłem dosięgnąć; po czym uniósłszy rękę z posadzki przestałem się ruszać i zaparłem oddech.

Zmiana ta, to moje znieruchomienie, zrazu zatrwożyła i przerażyła żarłoczne zwierzęta. Zaniepokojone pierzchły: niektóre skryły się do studni, trwało to wszakże niedługo. Nie przeliczyłem się na ich żarłoczności. Widząc, iż leżą nieruchomo, dwa czy trzy najśmielsze wskoczyły na tapczan i jęły obwąchiwać rzemień. Było to znakiem do gromadnego najścia. Ze studni wypadały coraz to nowe stada. Obieły tłumnie tapczan, wdary się na niego i setkami okryły me ciało. Nie ploszył ich bynajmniej miarowy ruch wahadła. Unikając jego ciosów zabrały się do ociekających tłuszczem rzemieni. Przybywało ich coraz więcej, roily się na mnie i tłoczyły. Pełzały mi po szyi; chłodne ich pyszczki łechtaly me usta; dusiłem się niemal pod ich przygniatającym natłokiem; odraza, dla której nie ma nazwania, wezbrała w mej piersi i ciężkim swym osadem zmroziła me serce. Ale czułem, iż jeszcze chwila, a będzie po wszystkim. Z całą pewnością doznawałem wrażeń, iż więzy poczynają się rozluźniać. Niezawodnie puściły już w jednym miejscu. Z naldludzką stanowczością leżałem nieruchomo.

Nie pomyliłem się w mych przewidywaniach i nie cierpiałem na próżno. W końcu uczułem, iż jestem wolny. Rzemień opadł ze mnie strzępami. Atoli ostrze wahadła już ocierało się o moje piersi. Werznąło się we włosienicę. Przecięło pod spodem bieliznę. Jeszcze dwa wahania - i przenikliwy wstrząs bólu targnął wszystkimi moimi nerwami. Lecz chwila ocalenia nadeszła. Na skinienie mej ręki zbawcy moi pierzchli w nieładzie. Wolno, przezornie, chyłkiem i bokiem wypętlłem z oplotów rzemienia poza zasięg sierpa. Na razie byłem wreszcie wolny. Wolny - a w szponach Inkwizycji! Zaledwie zdążyłem zejść z mojego drewnianego łoża tortur na kamienną posadzkę więzienia, gdy ruchy piekielnej maszyny ustały i jakaś niewidzialna siła pociągnęła ją w górę, poprzez otwór w sklepieniu. Była to nauczka, od której serce zawrzało mi rozpaczą. Nie ulegało wątpliwości, iż każdy mój ruch nadzorowano. Wolny! - uszedłem jednego rodzaju męczeńskiej śmierci tylko po to, by paść ofiarą czegoś jeszcze gorszego, jakiejś innej zguby. Myśląc o tym wodziłem nerwowo oczyma po żelaznych zaporach, co mnie otaczały. Rzecz dziwna! W celi zaszła widocznie jakaś zmiana, z której na razie nie umiałem zdać sobie należycie sprawy. Owładnęło mną drżące, senne roztargnienie i przez czas jakiś zaciekałem się w jałowych, bezradnych przypuszczeniach. Dostrzegłem wówczas po raz pierwszy źródło owego siarczanego światła, rozwidniającego celę. Wynikało ono ze szczeliny, szerokiej na pół cala, obiegającej wokół całe więzienie tuż przy samej ziemi, tak iż jego ściany zdawały się nie dotykać i w rzeczywistości nie dotykały wcale swej podstawy. Na próżno usiłowalem wyjrzeć przez ten otwór.

Kiedym zniechęcony powstawał z ziemi, w umyśle moim rozjaśniła się nagle tajemnica zmian, które zaszły w celi. Zauważyłem dawniej, iż wprawdzie zarysy figur, widniejących na ścianach, dość były wyraźne, lecz barwy ich jak gdyby ściemniały i przygasły. Otóż te barwy jęły teraz nasycać się i skrzyć się tak prerażliwie, iż widmowe i szatańskie bohomy przybrały wygląd mogący wstrząsnąć nawet silniejszymi od moich nerwami. Zewsząd, ze wszystkich miejsc, gdzie ich przedtem nie było, wyzierały ku mnie dzikie, upiorne, rozgorzałe ślepie demonów jarząc się posępnym blaskiem ognia, co do którego na próżno siliłem się przekonać nią wyobraźnię, iż jest nierzeczywisty.

Nierzeczywisty! Kiedym wszakże odetchnął, uczułem w nozdrzach zapach rozgrzanego żelaza! Duszącymi wyziewy zapełniło się więzienie! Coraz głębszym żarem nasiąkały oczy spoglądające na moje męczarnie! Coraz

szczodrzejsza purpura rozlewała się po ubroczonej we krwi, potwornych malowidłach. Jąłem dyszeć. Zabrakło mi tchu. Nie ulegało już wątpliwości, co mieli na celu moi prześladowcy - oh, jakże szatańscy i nieubłagani! Potoczyłem się od rozżarzonego metalu ku środkowi celi. Wśród grozy ogniowej śmierci myśl o chłodzie wiejącym ze studni była dla duszy mej balsamem. Podbiegłem ku jej śmiertelnym stokom. Zapusiłem w głąb badawcze oczy. Łuna bijąca od żarzącego się stropu rozwidniała najwnętrzniesze jej tajnie. Ale w pierwszym, obłąkanym mgnieniu duch mój wzdragał się pojąć, co tam ujrziałem. W końcu jednakże przemogło - utorowało sobie drogę do mej duszy - zagrzezło ognistym piętnem w moim struchlałym mózgu. O, dajcie mówić! - o, zgrozo! - och, raczej wszystko, byle nie to! Z krzykiem targnąłem się wstecz od wrębu i ukrywszy twarz w dłoniach zaniósłem się gorzkim łkaniem.

Skwar wznagał się szybko, a kiedy znów podniosłem oczy, zadygotałem, jak gdybym był w gorączce. Dokonała się nowa zmiana w celi - przejawiała się tym razem w kształcie. Podobnie jak przedtem, na próżno starałem się w pierwszej chwili pojąć i zrozumieć, co zaszło. Niedługo wszakże trwała moja niepewność. Dwukrotne me ocalenie przyspieszyło zemstę Inkwizycji i niepodobna już było igrać z Widmem Grozy. Więzienie moje miało kształt czworoboku. Otóż zauważyłem, iż dwa jego żelazne kąty stały się nagle ostrymi, dwa zaś inne rozwartymi. Straszliwe to przeobrażenie odbywało się szybko z głuchym chrzęstem i przeraźliwym zgrzytem. W okamgnieniu cela przybrała kształt rombu. Lecz nie był to jeszcze koniec zmian - ani go nie oczekiwałem, anim go nie pragnął. Chciałem otulić pierś moją w rozpalone do czerwoności ściany niby w szatę wiekuistego spokoju. „Śmierci - wołałem - jakiegokolwiek śmierci, byle nie w studni!” Co za szaleństwo! Czyż podobna było wątpić, iż rozpalone żelaziwo miało przemocą strącić mnie do niej? Czy mogłem oprzeć się żarowi, a gdyby nawet to się powiodło, to czyż nie uległbym naporowi? Romb spłaszczył się coraz chyżej nie pozostawiając mi czasu na rozmyślanie. Jego środek znajdujący się na przekątnej największego wymiaru przypadł na sam otwór ziejącej czeluści. Targnąłem się wstecz, lecz zwierające się ściany parły mnie niepowstrzymanie naprzód. W końcu dla mego poparzonego i wijącego się ciała nie pozostało ani piędzi posadzki pod stopami. Zaprzestałem oporu, lecz tortura wydarła z mej duszy przeciągły, donośny, ostateczny krzyk rozpacz. Uczułem, że chwieję się na cembrowinie - odwróciłem oczy...

Wtem nagle niesforny zgiełk głosów ludzkich! I gromki odzew nieprzeliczonych surm! I wściekły poryk jak gdyby tysiąca grzmotów! Płomieniste ściany rozstały się w krąg! Czyjaś wyciągnięta ręka uchwyciła mnie za ramię, gdy bezwładny staczał się w otchłań. Była to ręka generała Lasalle'a. Wojska francuskie wkroczyły do Toledo. Inkwizycja wpadła w ręce swych nieprzyjaciół.

Złoty żuk

Dawnymi laty nawiązałem zażyłą znajomość z Mr Williamem Legrandem. Pochodził on ze starodawnej, hugonockiej rodziny i był niegdyś zamożny, lecz cały szereg niepowodzeń zubożył go doszczętnie. Chcąc uniknąć przykrości, jakie stąd dlań wynikły, porzucił Nowy Orlean, gdzie znajdowało się gniazdo rodzinne jego przodków, i osiedlił się na wyspie Sullivan koło Charlestonu, w Karolinie Południowej.

Wyspa ta jest nader osobliwa. Składa się wyłącznie z piasków morskich i ma około trzech mil długości. Szerokość jej nie wynosi nigdzie więcej niż ćwierć mili. Od ładu dzieli ją zaledwie dostrzegalna cieśnina, pełzająca leniwie śród bezmiarów trzciny i namułu i stanowiąca ulubione miejsce pobytu kurek wodnych. Roślinność jest skąpa i nikła. Drzew dorodniejszych nie widać wcale. U krańca zachodniego, gdzie wznosi się Fort Moultrie i stoi kilka nędznych klitek drewnianych, zamieszkiwanych w lecie przez przybyszów z Charlestonu, co uchodzą stamtąd przed malarią i kurzem, spotyka się, co prawda, szczeciniastą palmę karłowatą; natomiast całą wyspę, z wyjątkiem owego zachodniego skrawka, jako też przykraj, białawej smugi wybrzeża morskiego, pokrywają gęste chaszczki wonnego mirtu, wielce cenione przez ogrodników angielskich. Krzew ten miewa tam często piętnaście do dwudziestu stóp wysokości i tworzy nieprzeniknione niemal gąszczce, które przesycają powietrze swym zapachem.

W najtajemniejszym ustroniu tych zarośli, opodal od wschodniego, czyli dalszego krańca wyspy, wybudował sobie Legrand własnoręcznie niewielką chatę, którą zamieszkiwał, kiedy po raz pierwszy przypadkowo zdarzyło mi się go poznać. Znajomość ta rychło przedzierzgnęła się w przyjaźń, gdyż pustelnik ów miał niejedną zaletę, zasługującą na cześć i uznanie. Przekonałem się, że był człowiekiem dobrze wychowanym i uposażonym niezwykle potężnym umysłem, lecz zatrutym mizantropią oraz podległym chorobliwym mrzonkom naprzemiennego entuzjazmu i melancholii. Miał u siebie wiele książek, ale zaglądał do nich rzadko. Głównym jego zajęciem było myślistwo i rybołówstwo, jako też włóczęgi po wybrzeżu i śród mirtów w poszukiwaniu muszli oraz okazów entomologicznych; zbiorów mógł mu pozazdrościć nawet Swammerdam. Na tych wycieczkach towarzyszył mu zazwyczaj stary Murzyn, zwany Jupiterem, który odzyskał wolność jeszcze przed niepowodzeniami rodzinnymi Legrandów, lecz żadną groźbą ni obietnicą nie można go było skłonić do wyrzeczenia się tego, co uważał za swe prawo do czuwania nad postępami młodego - jak go nazywał - Massy Willa. Być może, iż krewni Legranda uważając go za człowieka o chwiejnym umyśle postarali się utwierdzić w tym uporze Jupitera mając nadzieję, że będzie on towarzyszem i opiekunem tułacza.

Pod szerokością geograficzną wyspy Sullivan zimy ostrzejsze należą do rzadkości i nieczęsto się zdarza, by pod koniec roku trzeba było zapalać ogień dla ciepła. Mimo to około połowy października 18.. r. nastąpił dzień nadzwyczaj chłodny. Na krótko przed zachodem słońca torowałem sobie drogę śród wiecznie zielonych chaszczki do chaty mojego przyjaciela, którego nie widziałem już od kilku tygodni, mieszkałem bowiem podówczas w Charlestonie o jakie dziewięć mil od wyspy, a ułatwienia w podróży tam i z powrotem bynajmniej nie dorównywały jeszcze dzisiejszym. Stanąwszy przed chatą zastukałem swym zwyczajem, a nie otrzymawszy odpowiedzi poszukałem klucza w wiadomej mi skrytce, otworzyłem drzwi i wszedłem do wnętrza. Na kominie rozkosznie płonął ogień. Była to niespodzianka - i trzeba przyznać, że nader miła. Zdjąłem płaszcz, przysunąłem sobie krzesło do trzaskających głowni i czekałem, cierpliwie powrotu mych gospodarzy.

Pojawili się o zmierzchu i powitali mnie bardzo serdecznie. Jupiter szczerząc zęby od ucha do ucha zakrzętnął się około przygotowania kurek wodnych na wieczerzę. Legrand był znów w przystępie - gdyż nie wiem, jak to inaczej nazwać - entuzjazmu. Znalazł nieznanego skorupiaka przedstawiającego nową odmianę, i co więcej, schwytał przy pomocy Jupitera jakiegoś żuka, który wedle niego był zupełną nowością, lecz co do którego pragnął jeszcze zasięgnąć nazajutrz mojego zdania.

- Czemuż nie dzisiaj? - spytałem zacierając ręce nad ogniem i cały gatunek żuków posyłając w duchu do diabła.

- Ach, gdybym był wiedział, że przyjdiesz! - odparł Legrand - lecz nie widziałem cię już tak dawno; jakże mogłem przypuszczać, że mnie odwiedzisz właśnie dzisiejszego wieczora? Idąc z powrotem spotkałem po drodze porucznika G. z fortu i zrobiłem to głupstwo, że pożyczyłem mu chrząszcza do obejrzenia; nie możesz go zatem wcześniej zobaczyć aż jutro rano. Przenocuj dziś u mnie, a o świcie Jup pójdzie po niego. To istne czarodziejstwo!

- Co? Świt?

- Nie pleć! Żuk. Lśni cały jak złoto, jest wielkości dużego orzecha, ma dwie ogromne czarne plamki po jednej stronie odwłoku i trzecią, nieco większą, po drugiej. Macki są...

- On nie ma nijakich macek, Massa Will, idę do zakładu - przerwał Jupiter - ten chrząszcz to złoty chrząszcz: on cały ze szczerzego złota i w środku, i wszędzie oprócz skrzydeł. Jeszcze w życiu nie widział takiego ciężkiego chrząszcza.

- Zgoda, przypuśćmy, że tak jest istotnie, Jup - odrzekł Legrand, jak mi się zdawało, nieco poważniej, niż tego wymagały okoliczności - ale czy dlatego masz przypalić nasze kurki? Barwa - mówił dalej zwracając się do mnie - przemawia rzeczwiście do pewnego stopnia za przypuszczeniem Jupitera. Nie zdarzy ci się chyba widzieć bardziej metalicznego połysku niżli na łuskach tego owada, lecz będziesz mógł o tym sądzić dopiero jutro.

Tymczasem chciałem ci dać wyobrażenie o jego kształcie. - Z tymi słowami usiadł przy małym stoliku, na którym znajdował się atrament i pióro, lecz nie było papieru. Sięgnął po niego do szuflady, ale i tam nic nie znalazł.

- Co tam! - rzekł w końcu - to wystarczy. - Wyjął z kieszonki od kamizelki jakiś świstek, który wydał mi się nadzwyczaj brudnym kawałkiem papieru welinowego, i piórem naszkicował rysunek. Kiedy to się działo, nie ruszałem się z miejsca, bo wciąż jeszcze było mi chłodno. Ukończywszy rysunek podał mi go nie powstając z krzesła. Miałem już szkic w ręku, gdy rozległo się głośnie skomlenie i coś zachrobotało za drzwiami. Otworzył je Jupiter i do izby wpadł wielki nowofundlandczyk będący własnością Legranda; wsparł się łapami na mych ramionach i nie szczędził mi pieśczętów wywzajemniając się za pieczołowitość, jakiej już niejednokrotnie doznawał ode mnie poprzednio. Gdy przestał się łaścić, spojrział na papier i prawdę mówiąc byłem nieco zakłopotany dziwołogiem mojego przyjaciela.

- Hm! - rzekłem po kilku minutach - trzeba przyznać, że ten żuk istotnie jest niezwykle i stanowi dla mnie nowość; nie widziałem jeszcze niczego podobnego, chyba że byłaby to czaszka lub trupia głowa, którą bodaj przypomina najwięcej wśród widywanych przeze mnie przedmiotów.

- Co, trupia głowa? - zapytał Legrand. - Ach, tak, tak, bez wątpienia, jest niejaki podobieństwo na papierze. Dwie górne, czarne plamki wyglądają jak oczy, nieprawdaż? A ta podłużna na odwłoku niby pyszczek? Przy tym kształt całości jest owalny.

- Być może - odparłem - ale coś mi się zdaje, że nieszczególnym jesteś artystą, poczekam, aż zobaczę tego owada na własne oczy i sam powiem wyobrażenie o jego wyglądzie.

- Zgoda, choć nie wiem... - rzekł z lekką w głosie urazą. - Rysuję znośnie lub przynajmniej powinien bym, miałem niezłych nauczycieli i pochlebiam sobie, że nie jestem w ciemni bity.

- Ależ, mój drogi, ty chyba żartujesz - odezwałem się - to wcale poprawna czaszka, powiedziałbym nawet: doskonale naszkicowana czaszka, jeśli zgodzimy się na poglądy, obowiązujące powszechnie w osteologii; a twój żuk musi być najosobliwszym żukiem na świecie, skoro jest do niej podobny. Można by na karb jego złożyć jaką zabobonną okropność. Myślę, że nazwiesz tego chrząszcza scarabeus caput hominis! lub dasz mu inne, zbliżone nazwanie, zwłaszcza że podobne miana spotyka się często w naukach przyrodniczych. Ale gdzie są macki, o których mówiłeś?

- Macki! - zachnął się Legrand, który, jak mi się zdawało, zapalił się niepomiernie do przedmiotu naszej rozmowy - musisz je widzieć, tego jestem pewny! Narysowałem je najdokładniej wedle oryginału i myślę, że to wystarczy.

- Nie przeczę, nie przeczę - powiedziałem - być może, iż narysowałeś, ale ja ich nie widzę - i wręczyłem mu papier nie dodając już ani słowa, by nie podniecać jego rozdrażnienia; wszelako byłem niepomału zdziwiony tym obrotem rzeczy. Jego zły humor wprowadził mnie w zakłopotanie - co zaś do rysunku chrząszcza, macek na pewno nie było widać, a całość okazywała nadzwyczajne podobieństwo do zwykłych kształtów trupiej głowy.

Sięgnął po papier bardzo niechętnie i już miał zmiąć go chcąc zapewne rzucić w ogień, gdy przypadkowy rzut oka na rysunek przykuł nagle, jak mi się zdawało, całą jego uwagę. Poczzerwieniał zrazu na twarzy, po czym przybladł mocno. Przez kilka minut nie ruszając się z miejsca badał szczegółowo rysunek. W końcu wstał, wziął świecę ze stołu i odszedłszy opodal, usiadł na skrzyni, w najdalszym kącie izby. Tu znowu jął oglądać drobiazgowo papier obracając go na wszystkie strony. Wszelako nie wyrzekł ani słowa ku wielkiemu mojemu zdziwieniu; zdawało mi się przeto, iż będzie najrozsądniej nie robić żadnych uwag i nie powiększać wzmagającego się rozstroju jego usposobienia. Ostatecznie wyjął z kieszeni portfel, włożył do niego starannie papier i schował do biurka, które zamknął na klucz. Znać było po nim niejaki spokój, ale poprzedni jego zapal znikł doszczętnie. Mimo to wydawał mi się nie tyle zaspokojony, co roztargniony. Z biegiem wieczoru coraz bardziej pograżał się w zadumie i nie dawał się z niej wyprowadzić żartami. Poprzednio miałem zamiar przenocować w chacie, jak to czyniłem już niejednokrotnie, ale widząc roztargnienie mojego gospodarza, uważałem za stosowne pożegnać się z nim. Nic nalegał wcale, bym pozostał, lecz na pożegnanie uściśnął mnie serdeczniej niż zwykle.

W jakiś miesiąc później (a przez cały ten czas nie miałem zgoła wieści od Legranda) odwiedził mnie w Charlestonie jego służący, Jupiter. Nie widziałem przedtem nigdy poczciwego, starego Murzyna w podobnym przygnębieniu i jałem się obawiać, czy jakie wielkie nieszczęście nie spotkało mojego przyjaciela.

- No cóż, Jup! - zagadnąłem. - Co tam słychać nowego? Co porabia twój pan?

- Żeby prawdę powiedzieć, Massa, nie wie dzie mu się tak dobrze, jakby powinno.

- Niedobrze! Co ty mówisz? To mnie martwi. Cóż mu dolega?

- Otóż to! Nie skarży się na nic, ale jest bardzo chory.

- Bardzo chory, Jup? A czemużeś tego nie powiedział od razu?

Czy leży w łóżku?

- Ej, nie! Z nim nigdzie nie jest dobrze - i tu właśnie jest sęk - bardzo mi ciężko na duszy, bo mnie smuci Massa

Will.

- Słuchaj no, Jup, chciałem coś zrozumieć z tego, co pleciesz. Więc powiadasz, że twój pan niezdrów? Czy ci nie mówił, co go boli?

- Ej, Massa, nie warto łamać sobie nad tym głowy! Massa Will mówi, że mu nic nie jest, ale dlaczego łązi z kąta w kąt zamyślony, zgarbiony, ze spuszczoną głową i blady jak gęś? A potem dlaczego robi cięgiem te kulasy?

- Co robi, Jupiter?

- No, takie kulasy i figury na tabliczce - jeszcze takich figur nie widział. Aż skóra cierpieć na mnie, mówię panu. Nie mogę ani na chwilę spuścić go z oka. Onegdaj wymknął mi się przed wschodem słońca i poszedł gdzieś i nie było go przez cały święty dzionek. Jużem był sobie wyciął tęgi kij, żeby wygnać z niego te diabły, kiedy przyjdzie, alem był taki osioł, że mi nie stało kurazu... tak źle, biedactwo, wygląda!

- Co ty mówisz, naprawdę? Mnie się jednak zdaje, że lepiej zrobisz, jeśli nie będziesz nazbyt srogi dla tego biedaka. Nie trzeba go tykać, Jup! Być może, iż nie zniósłby tego. Ale czy nie przychodzi ci na myśl, co mogło spowodować tę chorobę, a raczej tę zmianę w usposobieniu twego pana? Czy nie miał jakiej przykrości od czasu, jak się z wami widziałem?

- Nie, Massa, potem nic przykrego się nie zdarzyło. Ale boję się, czy przedtem... tego samego dnia, kiedyście, panie, byli u nas.

- Co takiego? Co ci się zdaje?

- No, tak, Massa, myślę, że to ten chrząszcz.

- Co znowu?

- Ten chrząszcz. Jestem przekonany, że mego Massę Willa ugryzł gdzieś w głowę ten złoty chrząszcz.

- Skądże ci przyszło do głowy takie przypuszczenie, Jup?

- Bo ma dość kleszczy, Massa, a i pysk niezgorszy. Jeszcze w życiu nie widział takiego diabelskiego robaka - łapie i gryzie wszystko, co mu się nawinie. Massa Will pierwszy go chwycił, lecz wnet puścił, słowo daję... i to wtedy pewnikiem go ugryzł. Mnie się jakoś od razu nie podobał ten chrząszcz i jego pysk, toteż nie sięgnąłem po niego palcami, alem znalazł kawałek papieru i takem go złapał. Owinąłem go w papier i wepchnąłem mu kawałek tego papieru do pyska - takem to zrobił!

- Więc myślisz, że twego pana naprawdę ugryzł ten owad i że od tego ukąszenia on się rozchorował?

- Ja nic nie myślę - gdzieżby tam! Ino dlaczego śni mu się ciągiem o złocie, jeśli go nie ugryzł ten złoty chrząszcz? Ja jużem niejedno słyszał o tych złotych chrząszczach...

- Skądże ty wiesz, że mu się śni o złocie?

- Skąd ja wiem? Bo ciągiem przez sen o nim gada - stąd wiem.

- Hm, Jup, być może, iż masz słusność, ale jakiejże to szczęśliwej okoliczności zawdzięczam, żeś raczył dziś mnie odwiedzić?

- Hę, co Massa gada?

- Czy masz jakie wieści od Mr Legranda?

- Nic, Massa, przyniosłem ino ten kwitek - tu Jupiter podał mi list, który brzmiał, jak następuje:

Mój Drogi!

Dlaczego nie zaglądasz do mnie już od dawna? Myślę, że nie byłbyś zdolny obrazić się na mnie za jakąś tam przymówkę - nie, to niepodobna.

Nie zachodziłeś do mnie, a ja tu przeżywam tymczasem ciężką rozterkę. Miałbym coś do opowiedzenia, lecz doprawdy nie wiem, jak to powiedzieć i czy w ogóle powiedzieć.

Byłem w ostatnich dniach trochę niezdrów; starowina Jup nudził mnie nieznośnie swą pocziwą troskliwością. Czybyś uwierzył? Kilka dni temu przygotował sobie spory kij, żeby mnie skarcić za to, iż dałem przed nim nura i przewałęsałem się samotnie cały dzień wśród wzgórz, na łądzie. Coś mi się zdaje, że tylko dzięki memu złemu wyglądowi zdołałem ująć sięgów.

Od naszego ostatniego spotkania nie przybyło nic do mych zbiorów.

Przybądź do mnie wraz z Jupiterem, jeśli tylko możesz i jeśli nie będzie to dla Ciebie zbyt niedogodne. Przyjdźże! Chciałbym widzieć się z Tobą dzisiejszego wieczora w pewnej ważnej sprawie. Zapewniam Cię, że to sprawa nadzwyczaj ważna.

Szczerze Ci oddany

William Legrand

Było coś w tonie tego listu, co mnie dotknęło nader nieprzyjemnie. Cały jego styl różnił się tak bardzo od stylu Legranda. Co mu się roilo? Jaki nowy bzik załagał się w tym niespokojnym mózgu? Do jakiej to „nadzwyczaj ważnej sprawy” miał zamiar przystąpić? Opowiadanie Jupitera nie zapowiadało niczego dobrego. Jąłem się obawiać, czy nieustanny ucisk niedoli nie wykoleił w końcu umysłu mojego przyjaciela. Nie zwlekając przeto ani chwili wybrałem się w drogę z nieodstępnym Murzynem.

Kiedy przybyliśmy do przystani, spostrzegłem na dnie oczekującej nas łodzi kosę i trzy łopaty, zupełnie nowe.

- Co to wszystko znaczy, Jup? - zagadnąłem.

- To kosa, Massa, i łopaty.

- Wiem, ale skąd one się tu wzięły?

- Massa Will kazał kupić dla siebie w mieście tę kosę i te łopaty, i diablo dużo to kosztowało.

- Lecz, na wszystkie tajemnice, co ten twój Massa Will zamierza począć z kosą i z łopatami?

- Niby to ja wiem wszystko? I niech mnie diabli wezmą, jeśli on wie więcej ode mnie. Ale to wszystko przez tego chrząszcza!

Widząc, że niczego więcej nie dowiem się od Jupitera, którego umysł kołował widocznie tylko dokoła „chrząszcza”, wszedłem do łodzi i rozpiąłem żagiel. Sprzyjał nam rzeźwy i dość silny wietrzyk; rychło zawiniliśmy do niewielkiej zatoki na północ od Fortu Moultrie, skąd pieszo podążyliśmy do chaty oddalonej o niespełna dwie miłe. Była trzecia po południu, gdy stanęliśmy na miejscu. Legrand oczekiwał nas z ogromną niecierpliwością. Podał mi dłoń nerwowym ruchem, który mnie zaniepokoił i utwierdził w powziętych już podejrzeniach. Twarz miał bladą jak upiór, a jego głęboko osadzone oczy jarzyły się niezwykłym blaskiem. Najpierw zapytałem go o zdrowie, po czym nie wiedząc, jak nawiązać rozmowę, zagadnąłem, czy odebrał już żuka od porucznika G.

- O, tak - odparł mieniąc się na twarzy - otrzymałem go nazajutrz rano. Za nic w świecie nie rozstałbym się z tym żukiem! Czy wiesz, że Jupiter miał co do niego zupełną słusność?

- Jak to? - zapytałem pełen smutnych przeczuć.

- Bo przypuszczał, że ten chrząszcz jest szczeroloty! - Powiedział to z głębokim przekonaniem, które sprawiło mi niewymowną przykrość.

- Ten chrząszcz przyniesie mi szczęście - mówił dalej z tryumfującym uśmiechem - i odda mi z powrotem dobra rodzinne. Cóż więc dziwnego, że go cenię? Skoro fortuna uważała za stosowne dać mi go w ręce, trzeba będzie tylko odpowiednio nim się posłużyć, a znajdę złoto, którego jest zwiastunem. Jup, przynieś mi tego żuka!

- Co, żuka, Massa? Wolę ja nie mieć z nim nijakiej sprawy! Niech go Massa sam weźmie. - Na te słowa Legrand podniósł się z miejsca poważnym i wyniosłym ruchem i wyjął chrząszcza ze szklanego naczynia, gdzie go trzymał w zamknięciu. Był to piękny skarabeusz, podówczas nie znany jeszcze przyrodnikom i posiadający dlatego istotną, naukową wartość. Miał dwie czarne cętki po jednej stronie odwłoku, a trzecią podłużną po drugiej. Łuski jego były nadzwyczaj twarde i lśniące i miały

wygląd polerowanego złota. Ciężar owada był nader znaczny, biorąc przeto wszystko pod uwagę trudno było mieć za złe Jupiterowi jego poglądy; natomiast za cenę życia żadną miarą nie zdołałbym być podówczas pojąć, jak Legrand mógł godzić się na nie.

- Posłałem po ciebie - odezwał się pompatycznym tonem, gdy ukończyłem badanie chrząszcza - posłałem po ciebie, bo mi będzie potrzebna twa rada i pomoc, kiedy pocznie się iść zrządzenie Przeznaczenia i żuka...

- Mój drogi - przerwałem - tyś zapewne niezdrów i powinien byś mieć się nieco na baczności. Połóż się do łóżka, a ja zostanę przy tobie, aż to przejdzie. Masz gorączkę i...

- Zbadajże mi tętno - odpowiedział.

Wziąłem go za rękę i prawdę mówiąc nie wyczułem najmniejszych oznak gorączki.

- Ale ty możesz być chory i nie mieć gorączki. Pozwól mi tym razem zająć się tobą. Po pierwsze, połóż się do łóżka. Następnie...

- Mylisz się - wtrącił. - Czuję się o wiele lepiej, niżli można by wnioskować z mojego podniecenia. Jeśli naprawdę pragniesz mojego dobra, ulżyj mi w nim!

- A jakże tego dokonać?

- Bardzo łatwo. Wybieram się wraz z Jupiterem na wyprawę śród wzgórz, na stałym łądzie, i potrzebuję do pomocy kogoś, na kim można by polegać. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu mogę zaufać. Podniecenie, które we mnie dostrzegasz, ustąpi bez względu na to, czy spotka mnie zawód, czy tryumf.

- Dopomogę ci chętnie we wszystkim - odrzekłem - ale czy twoim zdaniem ten piekielny owad pozostaje w jakimś związku z twą wyprawą do wzgórz?

- Oczywiście.

- W takim razie nie mogę wziąć udziału w tym niedorzecznym przedsięwzięciu.

- Przykro mi, bardzo mi przykro! Zatem będziemy musieli próbować sami.

- Co... sami? Czyś ty istotnie oszalał? Zaczekaj no! Na jak długo się wybierasz?

- Prawdopodobnie na całą noc wyruszymy natychmiast, a o świcie będziemy z powrotem.

- A kiedy ta twoja chimera minie i kiedy ta zabawka z chrząszczem (mój ty Boże!) skończy się dla ciebie pomyślnie, czy mi zaręczysz słowem honoru, że powrócisz do domu i będziesz słuchał ślepo mych rad, jak gdybym był twoim lekarzem?

- Zgoda, przyrzekam; a teraz dalej w drogę, bo nie mamy czasu do stracenia!

Z ciężkim sercem podążyłem za mym przyjacielem. Wyruszyliśmy po czwartej - Legrand, Jupiter, ja i pies. Jupiter zabrał kosę i łopaty i uparł się, że to wszystko sam poniesie, więcej, jak mi się zdawało, z obawy, by które z tych narzędzi nie dostało się w ręce jego pana, niżli z nadmiernej gorliwości i pilności. Był po prostu w psim usposobieniu i poza słowami „ten diabelski chrząszcz” nie powiedział nic przez całą drogę. Mnie dostały się przy podziale dwie ślepe latarki, natomiast Legrand zadowolili się samym tylko żukiem, którego przytwierdził na końcu sznurka i potrzasał nim idąc z miną spiskowca. Patrząc na ten oczywisty dowód zbroczenia umysłowego mojego przyjaciela zaledwie zdołałem powściągnąć łzy, które cisnęły mi się do oczu. Zdawało mi się jednak, iż postąpię właściwiej, gdy będę pobłażał jego urojeniom, przynajmniej na razie lub do czasu, gdy będzie można zastosować energiczniejsze środki zaradcze, nie narażając się na niepowodzenie. Tymczasem czyniłem nadaremne usiłowania, by dowiedzieć się odeń czegoś dokładniejszego o celu tej naszej wyprawy. Udało mu się wymóc na mnie, że będę mu towarzyszył, ale widocznie nie chciał wdawać się w rozmowę o jakichkolwiek szczegółach podrzędniejszego znaczenia i na wszystkie moje zapytania nie raczył dawać innej odpowiedzi prócz „zobaczymy”. Przeprawiliśmy się czólnem u przylądka wyspy na wybrzeże stałego łądu i pnąc się wciąż w górę, w kierunku północno-zachodnim, szliśmy przez okolicę nadzwyczaj dziką i pustynną, gdzie zgoła nie było śladów ludzkiej stopy. Legrand prowadził nas nadzwyczaj pewnie, zatrzymując się tylko od czasu do czasu, by rzucić okiem na jakieś widocznie znane mu znaki, które zapewne przy innej sposobności zakarbował sobie w pamięci.

Szliśmy tak ze dwie godziny i słońce miało się już ku zachodowi, kiedy otoczyło nas pustkowie, nieskończenie pośpiejsze od okolic, które pozostały za nami. Był to jakby płaskowyż położony u szczytu niedostępnego niemal wiszaru, zalesiony gęsto od dołu do samej góry i usiany ogromnymi złomami, które zdawały się leżeć luźno na ziemi i niejednokrotnie nie staczały się w dół jedynie dlatego, że stały oparte o drzewa. Głębokie jary przebiegające w różnych kierunkach przymnażały jeszcze krajobrazowi wyrazu uroczystej głuszy.

Wyżynę, na którą wspieliśmy się w końcu, porastała tak gęsto chaszczce jeżyny, iż wnet przekonaliśmy się, że nie utworzymy sobie drogi bez kosy. Jupiter na rozkaz swego pana jął trzebić ścieżkę do stóp ogromnego tulipanowca, który wznosił się na płaszczyźnie w otoczeniu ośmiu czy dziewięciu dębów i przewyższał je, podobnie jak wszystkie inne drzewa, które kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć, krasą ulistnienia i kształtu, rozłożystością konarów oraz okazałością wyglądu. Gdy stanęliśmy pod drzewem, Legrand zwrócił się do Jupitera i zapytał go, czy potrafi wejść na nie. Stary Murzyn zawahał się nieco na to pytanie i na razie nic nie odpowiedział. Po chwili zbliżył się do potężnego pnia, obszedł go z wolna wokoło i obejrzał bardzo dokładnie. Ukończysz te badania rzekł krótko:

- Jużcić, Massa, nie ma takiego drzewa, na które Jup nie wlezie.

- Zatem włącz co rychlej, bo wnet się ściemni i nie będziesz widział, co robimy.

- Jak wysoko trzeba wleźć, Massa? - zagadnął Jupiter.

- Wespnij się najpierw na pień, a potem ci powiem, którądy masz wspinać się dalej. Zaczekaj no jeszcze! Weź ze sobą tego chrząszcza!

- Chrząszcza, Massa Will? Złotego chrząszcza? - zawołał Murzyn cofając się lekliwie. - Po cóż mam zabierać tego chrząszcza na drzewo? Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli go wezmę!

- Co, Jup, ty, taki wielki, silny Murzyn, boisz się wziąć ze sobą nieszkodliwego, martwego chrząszczyka. którego można ponadto nieść jeszcze na tym sznurku? No, jeśli ty go tak lub owak nie weźmiesz, to doprowadzisz mnie do ostateczności i rozwalę ci łeb tą łopata!

- Co też Massa gada! - odezwał się Jup, widocznie zawstydzony i skłonny do uległości. - Massa musi zawsze gderać na starego Murzyna! To był tylko żart! Ja bym bał się chrząszcza? Ja kpię z niego! - Z tymi słowy ujął ostrożnie sam koniec sznurka i trzymając owada możliwie daleko od siebie począł wspinać się na drzewo.

Tulipanowiec, czyli Liriodendron tulipifera, jest najwspanialszym drzewem borów amerykańskich. Za młodu pień jego bywa nadzwyczaj gładki, a boczne konary poczynają się nieraz dopiero na znacznej wysokości. Ale z latami kora staje się sękata i chropawa, i mnóstwo krótkich gałązek pojawia się na pniu. Trudność zatem wejścia na to drzewo była raczej pozorną niż rzeczywistą. Obejmując możliwie mocno ramionami i kolanami potężny trzon drzewny, czepiając się rękami sęków i wpijając boscie stopy w zagłębienia, piął się Jupiter w górę i narażając się kilkakrotnie na niebezpieczeństwo upadku wśliznął się w końcu w pierwsze wielkie rozwidlenie, gdzie, jak się zdawało, uznał swe dzieło za skończone. Jakoż wielkie trudności istotnie były już pokonane, jakkolwiek Murzyn zawisł na wysokości sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu stóp nad powierzchnią ziemi.

- Którędy leżę teraz, Massa Will? - zapytał.

- Wspinaj się po najgrubszym konarze z tej strony pnia! - rzekł Legrand. Murzyn usłuchał go chętnie i bez żadnego już wysiłku pełzał coraz wyżej, aż w końcu krzepka jego postać znikła zupełnie wśród gęstego listowia. Głos jego dolatywał z wysoka niby nawoływanie:

- Czy leżę jeszcze wyżej?

- A gdzież ty jesteś? - zapytał Legrand.

- Tak wysoko - odrzekł Murzyn - że widzę już niebo przez wierzchołek drzewa.

- Tu nie chodzi o niebo, ale o to, co ci powiem. Spójrz w dół na pień i policz konary pod sobą po tej stronie. Ile masz konarów pod sobą?

- Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć - mam już pod sobą pięć grubych konarów, Massa, po tej stronie.

- Zatem wleż jeszcze o jeden konar wyżej.

Po chwili Jupiter zawiadomił, że dotarł już do siódmego konara.

- No, a teraz, Jup - krzyknął Legrand z niehamowanym już uniesieniem - posuwaj się po tej gałęzi tak daleko, jak tylko możesz. A gdy zobaczysz coś niezwykłego, daj mi znać!

Jeśli miałem dotychczas jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości co do stanu umysłowego mego biednego przyjaciela, to w tej chwili pierzchy one zupełnie. Z konieczności trzeba było go uznać za obłąkanego i już naprawdę niepokoiłem się myślą, w jaki sposób odprowadzę go do domu. Kiedy rozmyślałem, jak należy postąpić, głos Jupitera rozległ się znowu:

- Boję się leżeć za daleko po tej gałęzi, prawie cała uschnięta!

- Powiadasz, że ta gałąź jest uschnięta, Jup? - zawołał Legrand drżącym głosem.

- Tak jest, Massa, sucha jest jak pieprz, całkiem na pewno, nie ma w niej ani krzty życia.

- Na miłość boską, co teraz począć? - zapytał Legrand upadając widocznie na duchu.

- Pytasz, co począć? - podchwyciłem korzystając ze sposobności, bym mógł wreszcie zabrać głos w tej sprawie. - Pójść do domu i położyć się do łóżka! Chodźże! Bądź grzeczny, mój drogi! Pora już późna, a przy tym chciej pamiętać o swej obietnicy.

- Jup! - krzyknął nie zwracając zgoła na mnie uwagi - słyszysz mnie?

- Tak jest, Massa, słyszę doskonale.

- Zatinij tę gałąź nożem i zobacz, czy drzewo już bardzo spróchniało?

- Spróchniało - odparł Murzyn po chwili - ale trzyma się lepiej, niż myślałem. Mógłbym jeszcze poleżeć trochę dalej po tej gałęzi, ale sam.

- Sam! Co to znaczy?

- Bo mam chrząszcza. To bardzo ciężki chrząszcz! Gdybym go cisnął w dół, to pewno ta gałąź nie ułamałaby się pod takim jak ja Murzynem.

- Ty diabli synu! - krzyknął Legrand z widoczną ulgą. - Co ty mi pleciesz? Spróbuj tylko rzucić chrząszcza, a dostaniesz ode mnie po łbie. Hej, Jup! Czy mnie słyszysz?

- Juźcić Massa znów gdera na biednego Murzyna.

- Nie pleć i słuchaj! Posuń się po tej gałęzi, jak daleko będzie można, i nie upuść przy tym chrząszcza, a dam ci srebrnego dolara, gdy zejdziesz na dół.

- Dobrze, Massa Will! Ja nie od tego - odrzekł Murzyn ochotczo - zaraz będę na końcu.

- Na końcu! - odezwał się żałośnie Legrand. - Czy jesteś już na końcu gałęzi?

- Zaraz będę, Massa - o-o-och! Chryste Panie, zmiłuj się nade mną! Co to takiego na tym drzewie?

- Aha! - odkrzyknął Legrand rozradowany. - Cóż tam takiego?

- Ej! Co by tam jak nie czaszka! Ktoś zostawił głowę na tym drzewie, a kruki obskubały ją z mięsa.

- Czaszka, mówisz? Doskonale! Jak jest przytwierdzona do gałęzi? Co ją przytrzymuje?

- Juźcić trzyma się dobrze. Zaraz zobaczę. A to ci dziwo, daję słowo! W czaszce tkwi wielki gwóźdź, którym jest przybita do drzewa.

- Bardzo dobrze, Jup! Zrób dokładnie, co ci każę! Słyszysz mnie?

- Tak jest, Massa.

- No, to uważaj! Poszukaj lewego oka u tej czaszki.

- Hm, to dobre! Ale ona nie ma lewego oka.

- Bodaj cię licho wzięło z twoją głupotą! Czy możesz odróżnić swą prawą rękę od lewej?

- Juźcić, że wiem - ja wszystko wiem. Moja lewa ręka to ta, którą łupię drzewo.

- Dobrze mówisz, bo jesteś mańkut: otóż twe lewe oko jest po tej samej stronie, co twa lewa ręka. A teraz myślę, że potrafisz znaleźć lewe oko u tej czaszki albo też miejsce, gdzie ono kiedyś być musiało. Czy znalazłeś?

Nastąpiło długie milczenie. W końcu Murzyn zapytał:

- Czy lewe oko tej czaszki jest po tej samej stronie, co lewa ręka tej czaszki? Cóż, kiedy ta czaszka nie ma wcale rąk - ani jej się śni! Ale to nie szkodzi! Mam już lewe oko, dalibóg, mam! A teraz, co z nim zrobić?

- Przesuń przez nie chrząszcza i spuszcza go na sznurku w dół aż do samego końca. Tylko pamiętaj, żebyś nie wypuścił sznurka z ręki!

- Jużem gotów, Massa Will! To nie sztuka puścić chrząszcza przez dziurę, zaraz go Massa zobaczy.

Jupitera podczas tej rozmowy wcale nie było widać, natomiast spuszczały przezeń w dół owad ukazał się po chwili na końcu sznurka i niby bryłki polerowanego złota zamigotał w pierzchającej jaśni zachodzącego słońca, co nikłymi promieniami rozwidniało jeszcze okoliczną wyżynę. Żuk zawisł wolno wśród gałęzi i gdyby miał spaść, byłby upadł tuż u naszych stóp. Legrand pochwyił kosę i wytrzebił nią kolistą przestrzeń o średnicy do czterech jardów, tuż, poniżej owada. Po czym dokonawszy tej pracy kazał Jupiterowi puścić z ręki sznurek i zejść z drzewa.

Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie chrząszcz upadł, wbił mój przyjaciel w ziemię drewniany kołek i wyjął z kieszeni taśmę mierniczą. Przytwierdziwszy jeden jej koniec do pnia tulipanowca w miejscu, skąd było najbliżej do kołka, jął ją rozwijać; aż dosięgła tegoż kołka, i rozwijał dalej w kierunku wytyczonym przez pień drzewa i kołek, na odległość piętnastu stóp. Jupiter zaś tymczasem wycinał krzewy kosą. Osiągnąwszy ten najdalszy punkt Legrand wbił tam drugi kołek i posługując się nim jako środkiem opisał dokoła niego pobieżnie koło, którego średnica miała mniej więcej cztery stopy długości. Następnie ujął Legrand jedną łopatę, podał drugą Jupiterowi, a trzecią mnie i prosił nas, byśmy zabrali się skrzętnie do kopania.

Wyznaję szczerze, iż nie czułem nigdy nadzwyczajnego zamięłowania do podobnych rozrywek i właśnie wtedy byłbym najchętniej od tej pracy się wymówił, gdyż noc zapadała i dolegało mi już znużenie po przebytych trudach; ale nie wiedziałem, do jakich uciec się pozorów, a przy tym obawiałem się, by odmowa nie wytrąciła znów z równowagi mego biednego przyjaciela. Gdybym był wiedział, że mogę liczyć na pomoc Jupitera, nie wahałbym się ani chwili i przemocą byłbym zabrał szaleńca do domu; zbyt jednak dobrze znałem charakter Murzyna i musiałem wyrzec się nadziei, by kiedykolwiek stanął po mej stronie w zatargu ze swym panem. Nie wątpiłem, że Legrand dał się opętać zabobonny wierzeniom, które krążą na Południu o zakopanych skarbach, i że utwierdził się w tych mrzonkach znalazłszy żuka lub też może uległ wpływowi Jupitera, który uporeczywie utrzymywał, że „ten chrząszcz jest ze szczerzego złota”. Umysł skłonny do obłędu poddaje się łatwo podobnym podszeptom, zwłaszcza jeżeli schlebiają one wprzód powziętym, ulubionym ideom. Ponadto przyszło mi na myśl, co ten nieszczęśnik powiedział o żuku, iż „wskaże mu drogę do fortuny”. Słowem, byłem ogromnie zakłopotany i udręczony, lecz ostatecznie postanowiłem z konieczności poświęcić się i zabrałem się ochoczo do kopania, by tym rychlej przekonać naocznie szaleńca o płonności jego urojeń.

Zapaliliśmy latarnie i jęliśmy się pracy z gorliwością godną rozsądniejszego celu; kiedy zaś zamigotało światło na naszych osobach i narzędziach, nie mogłem oprzeć się myśli, że tworzymy nadzwyczaj malowniczą grupę i że przygodnemu wędrowcowi, który by nas przypadkiem dostrzegł, zajęcie nasze wydałoby się zapewne nader podejrzanym i dziwne.

Kopaliśmy wytrwale ze dwie godziny. Mówiliśmy niewiele, a najczęściej naprzykrzało się nam ujadanie psa, który z niesłychanym zajęciem śledził przebieg naszej pracy. Stał się w końcu do tego stopnia hałaśliwy, iż zlekliśmy się, by nie obudził czujności okolicznych włóczęgów. Takie przynajmniej były obawy Legranda, bowiem dla mnie wszelkie zamieszanie byłoby wówczas bardzo pożądane, gdyż pozwoliłoby mi doprowadzić mego niepozycylnego przyjaciela do domu. Ujadanie to poskromił w końcu nader skutecznie Jupiter, który z diabelnie stanowczą miną wyskoczył z jamy, zawiązał psu pysk swą szelką i z pełnym godności uśmiechem zabrał się znowu do roboty.

Po upływie oznaczonego czasu wkopaliśmy się w ziemię do głębokości pięciu stóp, lecz skarbów nie było ani śladu. Nastąpiła dłuższa przerwa i już począłem radować się nadzieją, że cała ta krotchwila ma się wreszcie ku końcowi. Atoli Legrand, jakkolwiek widocznie przygnębiony, otarł w zamyśleniu czoło i jął się pracy na nowo. Cały okrąg o średnicy czterech stóp był już rozkopany; poszerzyliśmy go zatem z wolna i pogłębiliśmy jeszcze na dwie stopy. Nic jednak nie znaleźliśmy. W końcu szukający skarbów marzyciel, którego było mi serdecznie żal, z wyrazem gorzkiego rozczarowania na twarzy wygramolił się z jamy i począł opieszale wdziewać na siebie zdjętą poprzednio kurtkę. Nie rzekłem na to ani słowa. Jupiter na znak swego pana pozbiierał narzędzia. Gdy to się stało, zdjęliśmy psu więzy z pyska i w głębokim milczeniu szliśmy ku domowi.

Nie odeszliśmy wszakże dalej niż na jakieś dwieście kroków, gdy Legrand z głośnym przekleństwem rzucił się na Jupitera i porwał go za kołnierz. Oslupiały Murzyn wytrzeszczył oczy, otworzył szeroko usta, upuścił łopaty i padł na kolana.

- Ty, hultaju! - krzyczał Legrand przez zaciśnięte zęby. - Ty diabelski powsinogo! Mów, odpowiedz mi natychmiast bez wykrętów, które... które jest twoje lewe oko?

- Och, mój złoty Massa Will! Toć to jest na pewno moje lewe oko! - zaskrzeczał przerażony Jupiter kładąc rękę na swym prawym narzędziu wzroku i przyciskając ją z rozpaczliwą zawziętością, jak gdyby się obawiał, że jego pan wydrze mu oko.

- Tak też sobie myślałem! To od razu przyszło mi do głowy! Hura! - darł się Legrand puszczając Murzyna i wykonując jakieś łamańce i skoki ku zdumieniu swego służącego, który podźwignąwszy się z ziemi wodził kolejno oczyma od swego pana do mnie, to znów ode mnie do swego pana.

- Chodź! Wracajmy! - odezwał się tenże. - Jeszcze nie po wszystkim! - i poprowadził nas znowu w stronę tulipanowca.

- Jup! - zawołał, gdyśmy stanęli pod drzewem. - Chodź no tutaj! Czy ta czaszka zwrócona była twarzą ku górze, czy też twarzą ku gałęzi?

- Twarz była zwrócona ku górze, Massa, dlatego kruki mogły z łatwością wydziobać jej oczy.

- No, dobrze; a przez które oko przesunąłeś chrząszcza, przez to czy przez to? - pytał Legrand dotykając na przemian oczu Murzyna.

- Przez to, Massa, przez lewe oko, jak Massa rozkazał - tłumaczył się służący wskazując wciąż swe prawe oko.

- Zobaczymy! Spróbujmy jeszcze raz!

Z tymi słowy mój przyjaciel, w którego szaleństwie jałem teraz, jak mi się przynajmniej zawało, dostrzegać niejaki oznaki celowości, wyjął z ziemi kołek tkwiący w miejscu, gdzie chrząszcz upadł, i przesunął go trzy cale dalej ku zachodowi. Następnie przeciągnął taśmę mierniczą od najbliższego punktu pnia do tego kołka, podobnie jak poprzednio, i

poprowadził ją dalej w linii prostej na odległość pięćdziesięciu stóp; w ten sposób znalazł punkt, oddalony o kilka jardów od miejsca, gdzie kopaliśmy poprzednio.

Dokoła tego nowego środka opisał koło, nieco większe od dawniejszego, i znowu zabraliśmy się do łopat. Znużony byłem niewymownie, lecz w umyśle moim, nie wiadomo dlaczego, dokonana się zmiana i nie odczuwałem już nazbyt wielkiej odrazy do tej narzuconej mi pracy. Zaciekawilem się nią niesłychanie, co więcej, zapaliłem się do niej. Być może, iż w chimerycznym zachowaniu się Legranda taił się jakiś zamysł czy zamierzenie, któremu poddałem się poniewolnie. Kopałem skrętnie i od czasu do czasu zdawałem sobie sprawę, iż z uczuciem bardzo podobnym do oczekiwania poszukuję oto urojonego skarbu, którego wizja opętała mego nieszczęsnego towarzysza. Minęło blisko półtorej godziny i moje myśli jęły właśnie wałęsać się wśród mglistych rozmarzeń, kiedy ponownie przerwało nam pracę donośne naszczekiwanie psa. Jego niepokój, który za pierwszym razem był po prostu objawem rozchucania się z rozbawienia, stał się teraz przykrzejszy i poważniejszy. Kiedy Jupiter chciał mu znowu nałożyć kaganiec, opierał się ze wszystkich sił i wskoczywszy do jamy darł zapamiętałe ziemie łapami. W oka mgnieniu wygrzebał mnóstwo ludzkich kości, tworzących dwa całkowite szkielety, wśród których znaleźliśmy kilka metalowych guzików oraz coś, co wydawało się nam jakby resztkami zetłonej welry. Za jednym zamachem łopaty wydobyliśmy brzeszczot wielkiego, hiszpańskiego noża, a potem dokopaliśmy się jeszcze trzech czy czterech złotych i srebrnych monet, luźno leżących w ziemi.

Na ich widok radość Jupitera nie miała granic, ale z oblicza pana nie schodził wyraz gorzkiego rozczarowania. Mimo to przynaglał nas do pracy, lecz zaledwie dokończył swych słów, kiedy potknąłem się i upadłem przed siebie, zaczepiwszy końcem buta o wielki, żelazny pierścień, który tkwił jeszcze na poły w miążkim piasku.

Pracowaliśmy tedy dalej ze zdwojoną gorliwością i nie zdarzyło mi się odtąd przeżyć drugich dziesięciu minut równie potężnego uniesienia. Wnet zdążyliśmy odwalić ziemię z podłużnej, drewnianej skrzyni, której ściany były tak znakomicie zachowane i tak przedziwnie twarde, iż zapewne musiała być kiedyś impregnowana jakimś rozczyntem mineralnym - prawdopodobnie dwuchlorkiem rtęci. Skrzynia ta miała półczwartej stopy głębokości. Umocniono ją silnymi wstęgami z kowanego żelaza, które tworzyły jakby kratę pospajaną na skrzyżowaniach nitami. Po obu jej stronach, bliżej wieka, znajdowały się po trzy pierścienie żelazne - było ich zatem sześć - przy pomocy których mogło skrzynię podźwignąć sześć osób. Dokończywszy wszystkich sił zdołaliśmy zaledwie poruszyć ją nieco w łóżysku. Przekonaliśmy się rychło, iż żadną miarą nie sprostamy takiemu ogromnemu ciężarowi. Na szczęście, wieko przytrzymały tylko dwa wrzeciędzie. Oderwaliśmy je drząc i dysząc z uniesienia. Mignął przed nami skarb nieocenionej wartości. Gdy światło latarni rozwidniło nieco jamę, olśniła nasze oczy promienista rozłęcz nagromadzonego bezładnie złota i klejnotów.

Nie zdołałem wysłowić wrażeń, jakich doznałem na ten widok. Oczywiście górowało nad wszystkimi osłupienie. Legrand był widocznie wyczerpany nadmiarem wzruszeń i nie odzywał się prawie. Twarz Jupitera powlokła się na chwilę taką śmiertelną bledością, jakiej nie widywałem jeszcze u Murzyna. Skamieniał i wyglądał jak spiorunowany. Potem rzucił się w jamie na kolana i zanurzył obnażone ramiona aż po łokcie w złocie, jakby lubując się rozkoszą kąpieli. W końcu z głębokim westchnieniem zawołał niby przemawiając do siebie:

- A wszystko to zrobił ten złoty chrząszcz, mój śliczny złoty chrząszcz! Mój biedny, złoty chrząszczyk, którego przeklinałem i obmawiałem! Czy nie wstyd ci, Murzynie? Powiedz sam!

Ostatecznie nie było innego sposobu, jak wezwać do opamiętania pana i służącego, i zwrócić im uwagę, iż należałoby zabrać się do rychłej do uprzątnięcia skarbu. Pora była już późna i wypadło się śpieszyć, jeżeli mieliśmy wszystko poznać przed świtem do domu. Nielatwo przyszło nam zdać sobie sprawę z tego, co należało uczynić, i zmarnowaliśmy mnóstwo czasu na naradach - do tego stopnia nie mogliśmy zebrać myśli. Wreszcie postanowiliśmy wyjąć ze skrzyni dwie trzecie zawartości, ażeby była lżejsza, i dopiero wówczas udało się nam, acz nie bez trudu, wydzwignąć ją z jamy. Przedmioty, wyjęte poprzednio, ukryliśmy w krzakach i pozostawiliśmy przy nich na straży psa, któremu Jupiter nakazał surowo, by pod żadnym pozorem nie oddalał się z miejsca i nie ważył się otwierać pyska aż do naszego powrotu. Po czym podążyliśmy pośpiesznie ze skrzynią do domu; przybyliśmy do chaty bez przygód, lecz znużeni niesłychanie, o pierwszej w nocy. Zmęczenie nasze przewyższało ludzkie siły, więc niepodobna było myśleć o natychmiastowym powrocie. Pozostaliśmy przeto do drugiej i spożyliśmy wieszczkę. Wnet potem szliśmy znowu ku wzgórzom, zaopatrzeni w trzy spore worki, które, na szczęście, znaleźliśmy w chacie. Na kilka minut przed czwartą stanęliśmy na miejscu, podzieliliśmy między siebie możliwie równo resztę łupu i nie zasypawszy jam wyruszyliśmy z powrotem do siedziby Legranda, gdzie złożyliśmy po raz wtóry swe drogocenne brzemiona, kiedy już pierwsze, nikłe smugi brzasku jęły się jarzyć nad drzewami od wschodu.

Byliśmy wyczerpani doszczętnie, lecz przemożne podniecenie nie pozwoliło nam na dłuższy spoczynek. Po niespokojnej, kilkugodzinnej drzemce pozrywaliśmy się jak umówieni i przystąpiliśmy do obejrzenia naszych skarbów.

Skrzynia była napełniona po brzegi; potrzeba było całego dnia i znacznej części następnej nocy, by rozejrzeć się w jej zawartości. Nie było w niej ładu ni składu. Snadź wrzucono do niej wszystko nie dbając o porządek. Podzieliliśmy zatem różne przedmioty wedle ich jakości i przekonaliśmy się, że weszliśmy w posiadanie znacznie większego skarbu, niżeli na razie nam się zdawało. Same monety przedstawiały wartość przeszło czterystu pięćdziesięciu tysięcy dolarów - a oceniliśmy je możliwie dokładnie wedle bieżących kursów giełdowych. Nie było wśród nich ani odrobiny srebra. Wyłącznie złoto, bardzo stare i nader rozmaite: pieniądze francuskie, hiszpańskie i niemieckie, trochę gwinei angielskich jako też kilka liczmanów, jakich dotychczas nikt z nas nie widział. Znaleźliśmy także kilka monet bardzo wielkich i ciężkich, lecz tak już uszkodzonych, że nie mogliśmy odczytać napisów. Pieniądzy amerykańskich nie było wcale. Trudniej przyszło nam oznaczyć wartość drogich kamieni. Naliczyliśmy sto dziesięć diamentów, wśród nich kilka nadzwyczaj wielkich i pięknych, zaś ani jednego małego; osiemdziesiąt wspaniałych rubinów; trzysta dziesięć cudownych szmaragdów; dwadzieścia jeden szafirów i wreszcie jeden opał. Wszystkie te kamienie wyłamano z opraw i wrzucono bezładnie do skrzyni. Oprawy znaleźliśmy oddzielnie wśród innych złotych przedmiotów, lecz pogruchothane młotem, jakby z rozmysłem, by nikt ich nie rozpoznał. Ponadto było tam niesłychane mnóstwo szczerozłotych klejnotów; blisko dwieście kosztownych pierścieni i kolczyków, trzydzieści - jak mi się zdaje - wspaniałych łańcuchów; osiemdziesiąt trzy nadzwyczaj wielkie i ciężkie krucyfiksy: pięć złotych kadzielnic nadzwyczajnej wartości; ogromna, złota waza ponczowa, szczerze ozdobiona misternie cyzelowanymi liśćmi winnymi i korowodem bachantek; dwie przedziwnie rzeźbione rękojeści mieczów tudzież bardzo wiele innych drobniejszych przedmiotów, których już nie pamiętam. Waga tych kosztowności wynosiła przeszło trzysta pięćdziesiąt funtów nie wliczając do nich trzystu dziewięćdziesięciu siedmiu drogocennych, złotych zegarków, z których trzy były warte co najmniej po pięćset dolarów. Niektóre z nich były nader stare i jako czasomierze nie nadawały się już do użytku, gdyż mechanizmy ich ucierpiały wielce od rdzy - ale wszystkie były

szczodrze ozdobione drogimi kamieniami i mieściły się w ogromnie cennych kopertach. Całą zawartość skrzyni oceniliśmy tej nocy na półtora miliona dolarów; wszelako później, gdyśmy jeszcze raz przejrzeni wszystkie kosztowności i klejnoty, przekonaaliśmy się, o ile nie doceniliśmy wartości naszego skarbu, aczkolwiek niektóre przedmioty przeznaczyliśmy oddzielnie do własnego użytku.

Przyszedł wreszcie czas, że ukończyliśmy obliczenia i że niezmiernie nasze podniecenie nieco się ukoilo. Legrand wiedział, że umieram z niecierpliwości szukając rozwiązania tej zdumiewającej zagadki, i wyjaśnił mi ją szczegółowo wraz ze wszystkimi okolicznościami.

- Pamiętajsz - mówił - ów wieczór, kiedy podałem ci pobieżnie nakreślony szkic, co miał przedstawiać żuka. I przypominasz sobie zapewne, iż po prostu uraził mnie upór, z jakim utrzymywałeś, że mój rysunek ma podobieństwo do trupiej głowy. Gdyś to powiedział po raz pierwszy, sądziłem, że żartujesz; lecz potem przyszły mi na myśl osobliwsze cętki na odwłoku chrząszcza i wydało mi się, że twe spostrzeżenie jest poniekąd uzasadniane. Mimo to twe kpiny z mych zdolności graficznych rozdrażniły mnie - gdyż uchodzę za dobrego rysownika - i dlatego, gdyś mi podał ów pergaminowy świstek, chciałem ze złości zmiąć go i rzucić w ogień.

- Ale to chodziło o papierowy świstek - odezwałem się.

- Nie; miał on wygląd papieru i zrazu uważałem go za papier, ale kiedy zacząłem na nim rysować, przekonałem się, że mam do czynienia z kawałkiem bardzo cienkiego pergaminu. Jak wiesz, był on bardzo brudny. Otóż kiedy miałem go już zmiąć, spojrzałem na szkic, który oglądałeś przede mną i wyobraź sobie moje zdumienie, gdy zobaczyłem istotnie rysunek trupiej głowy na tym samym miejscu, gdzie - jak mi się zdawało - naszkicowałem owada. Przez chwilę nie mogłem się opamiętać i skupić myśli.

Wiedziałem już, iż mój rysunek różnił się wielce w szczegółach od tego, na który patrzyłem, aczkolwiek było niejake podobieństwo w najogólniejszych zarysach. Wziąłem tedy świecę i usiadłszy w najdalszym kącie izby zabrałem się do ściślejszego zbadania pergaminu. Odwróciwszy go ujrzałem swój szkic na przeciwnej stronie, na pewno ten sam. Pierwsze me wrażenie streszczało się wyłącznie w zdumieniu nad istotnie zastanawiającym podobieństwem konturów jako też nad szczególniejszym zbiegiem okoliczności, że po drugiej stronie pergaminu mogła widnieć nie znana mi czaszka, tuż pod moją podobizną żuka, i że ta czaszka nie tylko konturem, ale także rozmiarem mogła tak bardzo upodobnić się do mojego rysunku. Jak już powiedziałem, ten osobliwszy zbieg okoliczności sprawił mnie na razie w osłupienie. Jest to zwykłe w takich razach zjawisko. Umysł sili się, by wykazać związek, mianowicie łączność przyczyny i skutku, i nie mogąc temu podołać ulega jakby chwilowemu obezwładnieniu. Otrząsnąwszy się jednak z tego bezwładu jałem stopniowo nabierać przeświadczenia, które przeniknęło mnie nierównie silniej niż ów zbieg okoliczności. Uprzytomniłem sobie bowiem dokładnie i szczegółowo, że na pergaminie nie było ani śladu jakiegokolwiek rysunku, gdy przystępowałem do szkicowania żuka. Nabierałem pewności, że tak było istotnie, gdyż pozostało mi to w pamięci, że spojrzałem najpierw na jedną stronę, a potem na drugą szukając możliwie najczystszej części. Gdyby podówczas widniała tam czaszka, byłbym na pewno ją zauważył. Była w tym już jakaś zagadka, ale czułem, że nie podołam jej rozwiązaniu; wszelako już wówczas, w tej wczesnej chwili, w najodleglejszych i najtajniejszych skrytkach mojego umysłu zamigotało nagle, na podobieństwo robaczka świętojańskiego, poczucie tej prawdy, która w przygodach ubiegłej nocy znalazła takie świetne potwierdzenie. Zerwałem się nagle z miejsca i chowając starannie pergamin, odłożyłem dalsze rozmyślenia do czasu zupełnej samotności.

Po twym odejściu, kiedy Jupiter usnął jak zabity, zabrałem się do metodycznego rozpatrzenia tej sprawy. Przede wszystkim zdałem sobie sprawę, w jaki sposób przyszedłem do posiadania owego pergaminu. Miejsce, gdzie dostrzeżliśmy żuka, znajdowało się na wybrzeżu stałego lądu, o jaką milę na wschód od wyspy i bardzo blisko od granicy najwyższego przypływu morza. Kiedy sięgnąłem po niego, ugryzł mnie mocno i musiałem wypuścić go z ręki. Jupiter ze swą zwykłą ostrożnością, zanim przystąpił do schwywania uciekającego przed nami owada, obejrzał się za liściem lub czymś podobnym, przez co byłoby można go ująć. Otóż w tej chwili ujrzeliśmy obaj równocześnie ów skrawek pergaminu, który zresztą wydał mi się papierem. Był on na pół zagrzebany w piasku i wystawał zeń tylko jednym rożkiem. Opodał od miejsca, gdzie go znaleźliśmy, zauważyłem szczątki kadłuba, który kiedyś był zapewne częścią wielkiej, okrętowej łodzi. Ten gruchot, jak mi się zdawało, musiał tam leżeć już od dawna, gdyż niełatwo dawało się w nim dostrzec podobieństwo do wiązania łodzi.

Jupiter podniósł tedy pergamin, owinał weń chrząszcza i podał mi go. Wnet potem szliśmy z powrotem do domu i spotkaliśmy po drodze porucznika G. Pokazałem mu owada, on zaś poprosił mnie, żebym mu pozwolił wziąć go ze sobą do fortu. Kiedym się zgodził, włożył go natychmiast do kieszonki swej kamizelki bez pergaminu, w który zawinałem żuka i którego przez cały czas naszej rozmowy nie wypuszczałem z ręki. Być może, iż obawiał się, bym nie zmienił zdania, i sądził, że najlepiej będzie wejść od razu w posiadanie zdobyczy - wiesz przecie, jak on się zapala do wszystkiego, co pozostaje w związku z wiedzą przyrodniczą. Równocześnie snadź musiałem bezwiednie włożyć pergamin do kieszeni.

Może pamiętasz jeszcze, że kiedy usiadłem przy stole, by narysować żuka, nie znalazłem papieru na zwykłym miejscu. Zajrzałem do szuflady, ale i tam go nie było. Przeszukiwałem kieszenie, by znaleźć jakiś beзуżyteczny list, i wtedy nawinął mi się pod rękę pergamin. Rozwodzę się tak szczegółowo nad sposobem, w jaki przyszedłem do jego posiadania, gdyż te okoliczności wywarły na mnie nadzwyczaj silne wrażenie.

Pomyślisz sobie zapewne, że narwaniec, lecz zdążyłem już dopatrzeć się pewnego związku. Społem dwa ogniwa wielkiego łańcucha. Na brzegu morskim leżała łódź, a opodał od niej ten pergamin - nie papier! - z rysunkiem przedstawiającym czaszkę, i oczywiście spytasz: gdzież jest ten związek? Odpowiem na to, że czaszka, czyli trupia głowa, jest powszechnie znanym godłem korsarzy. Podczas swych wypraw wywieszali oni zawsze flagę z trupią głową.

Wspomniałem już, że ów świstek był z pergaminu, nie z papieru. Pergamin jest bardzo trwałe - niemal niezniszczalne. Rzeczy mniejszej wagi rzadko powierzano pergaminowi, ile że do zwykłego pisanie czy rysowania nadaje się on o wiele mniej od papieru. Ta refleksja poddała mi myśl, że trupia głowa nie może być bez znaczenia. Zwróciłem również uwagę na kształt pergaminu. Wprawdzie jeden z jego rogów uległ, skutkiem jakiegoś wypadku, zniszczeniu, mimo to widziało się od razu, że pierwotny jego format musiał być podłużny. Był to zatem kształt karty, jakiej używano ongi do dokumentów - do upamiętnienia czegoś, co jest bardzo ważne i winno być troskliwie przechowywane.

- Ależ - przerwałem - powiedziałeś, że czaszki nie było na pergaminie, kiedy zaczynałeś rysować żuka. Jakże mogłeś dopatrywać się związku między czaszką i łodzią, skoro, jak sam twierdzisz, pojawiła się ona (Bóg tylko wie, w jaki sposób i za czyją sprawą!) dopiero w jakiś czas potem, gdy szkic twój był już ukończony?

- Ach, to właśnie jest osiǳ całej tajemnicy, aczkolwiek ten zagadkowy szczegół nie nastęrczał mi przy rozwiązaniu większych trudnoŃci. Mój pochód był pewny i zmierzał wprost do celu. Rozumowałem mniej więcej w ten sposób: kiedy rysowałem żuka, czaszki na pergaminie nie było. Ukończywszy rysunek podałem ci go i nie spuszczałem cię z oka aż do chwili, gdy mi go zwróciłeś. Zatem ty nie narysowałeś czaszki i nie było tam nikogo innego, kto by mógł ją narysować. Nie powstała więc za ludzkim przyczynieniem. A jednak, mimo wszystko, istniała.

Dotarwszy w mych rozumowaniach do tego punktu, starałem się przypomnieć i z całą dokładnością przypominałem sobie istotnie wszystko, co zaszło w tym czasie. Było chłodno (co za niezwykły i szczęśliwy wypadek) i na kominku gorzał ogień.

Byłem zgrzany po wycieczce i usiǳłem przy stole. Ty natomiast przysunąłeś sobie krzesło aż do samego ogniska. Kiedy podałem ci pergamin i kiedy jąłeś go oglądać, wpadł do pokoju mój nowofundlandczyk, Wilk, i wsparł ci się łapami na ramionach. Lewą ręką głaskałeś i odpychałeś go równocześnie, natomiast prawą rękę, w której trzymałeś pergamin, opuściłeś niedbale na kolana, bezpośrednio w pobliżu ognia. Była chwila, kiedy mi się zdawało, że pergamin zajmie się od płomienia, i chciałem cię przestrzec, lecz zanim zdążyłem odezwać się, już rękę cofnąłeś i zabrałeś się do oglądania rysunku. Rozważysz wszystkie okoliczności, przyszedłem natychmiast do przekonania, że gorąco było tym czynnikiem, który wywołał na pergaminie ową czaszkę. Wiesz dobrze, iż istnieją obecnie i że zawsze istniały odczynniki chemiczne, za pomocą których można pisać na papierze lub welinie w ten sposób, iż nakreślone litery występują na jaw dopiero pod działaniem silniejszego ciepła. Używano w tym celu niekiedy szafranu, rozczynionego w aqua regia i rozpuszczonego następnie w cztery razy większej ilości wody; otrzymywano tym sposobem atrament zielony. Sól kobaltowa, rozpuszczona w spirytusie saletrowym, daje atrament czerwony. Barwy te zanikają po pewnym czasie, gdy tkanka, na której nimi pisano, ulegnie oziębieniu, i ukazują się znowu po ponownym zastosowaniu ciepła.

Poddałem z kolei trupią głowę drobiazgowemu badaniu. Zewnętrzne jej zarysy - to znaczy zarysy bliższe krańców welinu - były znacznie wyraźniejsze niż inne kreski. Z tego wywnioskowałem, że działanie ciepła było albo niepełne, albo też niejednostajne. Zapaliłem niezwłocznie ogień i ogrzałem mocno całą powierzchnię pergaminu. Jedynym na razie następstwem było wzmocnienie się nikłych linii czaszki; powtarzając atoli tę próbę dostrzegłem wreszcie w kącie owego świstka, wprost naprzeciw miejsca, gdzie widniała trupia głowa, coś, co w pierwszej chwili wydało mi się rysunkiem kozy. Po dokładniejszym jednakże obejrzeniu przekonałem się, że miało to przedstawiać koźle.

Cha, cha! - odezwałem się. - Nie mam już cię prawa natrząsać się z ciebie - półtora miliona dolarów, to nie kpiny! Ale coś mi się zdaje, że nie uda ci się włączyć trzeciego ogniwa do twego łańcucha; bo czyż zdołasz wykazać, że istnieje jakiś szczególniejszy związek między twymi korsarzami a kozą? Korsarze, jak wiesz, nie mają nic wspólnego z kozami, które należą do dziedziny gospodarstwa wiejskiego.

- Ależ powiedziałem ci, że ów rysunek nie przedstawiał kozy!

- Zatem koźle - to na jedno wychodzi.

- Już cię, że wychodzi, ale nie zawsze - odparł Legrand. - Może obilo ci się o uszy nazwisko niejakiego kapitana Kidda? Otóż rysunek tego zwierzęcia wydał mi się od razu rodzajem logograficznego lub hieroglificznego podpisu. Powiadam podpisu; bowiem w takim miejscu znajdował się na welinie, że nasunęła mi się ta myśl. Trupia czaszka umieszczona w rogu przeciwnym z tego samego względu wywoływała wrażenie pieczęci czy godła. Ale było mi markotno, że nie mogłem znaleźć reszty - mianowicie treści marzonego przeze mnie dokumentu - tekstu, zgodnego z moją myślą.

- Przypuszczam, iż spodziewałeś się jakiegoś pisma między godłem a podpisem.

- Czegoś podobnego. To pewna, iż nieodparcie przenikało mnie przecucie jakiegoś zbliżającego się, niezmiernego szczęścia. Nie umiem ci powiedzieć, dlaczego. Być może zresztą, iż było to raczej pragnienie niż istotna wiara; lecz czybyś uwierzył, że niedorzeczna gadanina Jupitera, jakoby ów żuk był szczerozłoty, oddziałała silnie na moją wyobraźnię? A potem to mnóstwo przypadków i zgodnych okoliczności, czyż nie było naprawdę nadzwyczajne? Czyż nie zdajesz sobie sprawy, jak dalece było to przypadkiem, że wszystko to przydarzyło się właśnie w tym jednym dniu całego roku, kiedy było lub mogło być dość chłodno, by trzeba było zapalić na kominku, i że bez ognia tudzież bez udziału psa właśnie w tej chwili, kiedy wpadł do izby, nigdy nie byłbym dostrzegł trupiej czaszki i co za tym idzie, nigdy nie byłbym posiadał owych skarbów?

- Mówże dalej! Czekam niecierpliwie.

- No, dobrze; oczywiście musiało obić ci się o uszy mnóstwo rozpowszechnionych pogłosek - tysiące niejasnych wieści, krążących o skarbach, zakopanych gdzieś na wybrzeżu atlantyckim przez Kidda i jego towarzyszy. Te pogłoski musiały już cię opierać się na rzeczywistości. Istniały one od tak dawna i powtarzały się tak uporczywie, iż nie mogłem tłumaczyć sobie tego inaczej, jak tylko tą okolicznością, że zakopane skarby wciąż jeszcze spoczywały w ziemi. Gdyby Kidd był ukrył swe łupy tylko na jakiś czas i później je wydobył, pogłoski te nie docierałyby do nas w bieżącej, niezmięionej formie. Może zdarzyło ci się zauważyć, że tego rodzaju opowieści mówią zawsze o ludziach, którzy szukają skarbów, nigdy zaś o tych, którzy je znajdują. Gdyby korsarz był odzyskał swe mienie, sprawa ta byłaby przycichła. Mnie się zdaje, że jakiś wypadek-powiedzmy, utrata dokumentu, który wskazywał miejsce, gdzie je ukryto - uniemożliwił mu wydobycie skarbu. Sądzę również, że o tym wypadku doszły słuchy do jego towarzyszy, którzy w przeciwnym razie nic w ogóle nie wiedzieliby o zakopanych kosztownościach, i że to oni po nadaremnych, bo pozbawionych wskazówek poszukiwaniach, najpierw skrycie, a potem zupełnie jawnie jęli rozpowszechniać wieści, znajdujące się obecnie w obiegu. Czy słyszałeś już kiedy o jakim wielkim skarbie, wykopanym na wybrzeżu?

- Nie, nigdy.

- Otóż wiadomo powszechnie, że bogactwa Kidda były ogromne. Dlatego wydawało mi się rzeczą pewną, iż spoczywają jeszcze w ziemi; i nie zdziwisz się zapewne, gdy ci powiem, że żywiłem nadzieję, spotęgowaną niemal do zupełnego przeświadczenia, iż ów w tak osobliwy sposób znaleziony pergamin zawiera zaginione wskazówki o miejscu, gdzie te bogactwa ukryto.

- Cóż więc zrobiłeś dalej?

- Ogrzewałem welin coraz silniej nad ogniem, ale nic nie ukazało się. Pomyślałem sobie zatem, iż kto wie, czy powłoka brudu nie jest przyczyną tego niepowodzenia: oplukałem więc pergamin starannie polewając go ciepłą wodą, a potem włożyłem do cynowego rondla, czaszką na dół i postawiłem rondel na piecu, w którym napaliłem węglem drzewnym. Po kilku minutach, kiedy rondel dobrze się rozgrzał, wyjąłem ów świstek i przekonałem się ku nieopisanej swej

radości, że w kilku miejscach wystąpiły na nim plamki, które wydawały mi się znakami, połączonymi w rządki. Włożyłem go znów do rondla na parę minut. Po wyjęciu zobaczyłem już wszystko i zaraz ci to pokażę.

Po tych słowach Legrand ogrzał na nowo pergamin i podał mi go do obejrzenia. Między trupią czaszką a koźlęciem ujrzałem następujące znaki, nakreślone nieudolnie czerwonym atramentem:

53?†305))6x;4826)4?.)4?);806x;48†8I60))85;1?(:?x8†83
(88)5x†;46(;88x96x?;8)x?(;485);5x†2:x?(;4956x2(5x-4)8I8x; 4069285);6†8)4??:1(9;48081;8:8?1;48†85;4)
485†528806x
8I(? 9;48;(88;4(??34;48)4?;161;:188;??;

- Mój drogi - rzekłem oddając mu świstek - wciąż jeszcze jestem jak tabaka w rogu. Gdybym w zamian za rozwiązanie tej zagadki miał posiadać wszystkie skarby Golkondy, nie zdołałbym na pewno dokazać tego.

- A jednak - odpowiedział Legrand - rozwiązanie to bynajmniej nie jest tak trudne, jakby za pierwszym, pobieżnym obejrzeniem tych znaków wydawać się mogło. Te znaki, jak łatwo się domyślić, są szyfrem, to jest, mają pewne znaczenie; wszelako z tego, co wiem o Kiddzie, nie sądzę, żeby był zdolny do obmyślenia zawilszych kryptogramów. Od razu przyszło mi na myśl, że muszą być nader proste - oczywiście, w tej mierze, iż nieokrzesany umysł marynarza bez pomocy klucza przenigdy rozwiązać ich nie zdoła.

- A czy ty je istotnie odczytałeś?

- Z łatwością; odczytywałem już inne, tysiąc razy zawilsze. Okoliczności a także pewna skłonność umysłu sprawiły, iż zajmowałem się podobnymi łamigłówkami, i wątpię bardzo, czy bystrość ludzka może obmyślić taką zagadkę, której przenikliwość innego człowieka przy pomocy odpowiednich sposobów rozwiązać by nie mogła. Skoro więc powiodło mi się wykryć czytelne i połączone ze sobą znaki, nie myślałem już wcale o trudnościach, jakie nastęrczały się przy ich odczytaniu.

W danym wypadku - podobnie zresztą jak wszędzie, gdzie chodzi o pismo tajemne - pierwszym zagadnieniem jest język szyfru, ponieważ zasady rozwiązania, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z mniej zawiłymi szyframi, pozostają w związku i mogą ulegać zmianom zależnie od ducha tego języka. Na ogół nie ma innego sposobu, jak kierując się możliwościami próbować po kolei wszystkich znanych języków, aż znajdzie się ten, o który chodzi. W szyfrach, które mamy przed sobą, usuwa wszelkie trudności podpis. Łamigłówka ze słowa Kidd jest możliwa tylko w języku angielskim. Gdyby nie ta okoliczność, byłbym rozpoczął poszukiwania od hiszpańskiego i francuskiego, gdyż korsarz, rozbijający się na wodach hiszpańskich, napisałby oczywiście swą tajemnicę w jednym z tych dwu języków. Wyszedłem atoli z założenia, że kryptogram ten jest angielski.

Jak widzisz, nie ma w nim odstępów między słowami. Gdyby one były, zadanie byłoby bez porównania łatwiejsze. Byłbym zaczął w takim razie od zestawienia i rozbioru krótszych słów, a napotkawszy słowo o jednej tylko literze, na przykład „a” lub „i”, byłbym uważał rozwiązanie za rzecz pewną. Ponieważ odstępów nie ma, zacząłem od oznaczenia głosek, zarówno tych, które najczęściej, jako też tych, które najrzadziej się powtarzają. Zliczywszy wszystkie zestawilem następującą tablicę:

Znak	8 powtarza się	33 razy	
;	„	„	26 „
4	„	„	19 „
?)	„	„	16 „
x	„	„	13 „
5	„	„	12 „
6	„	„	11 „
(„	„	10 „
†1	„	„	8 „
0	„	„	6 „
92	„	„	5 „
:3	„	„	4 „
?	„	„	3 „
I	„	„	2 „
-.	„	„	1 „

Otóż w języku angielskim spotyka się najczęściej głoskę „e”. Po niej następują z kolei: „a o i d h n r s t u y c f g l m w b k p q x z”. „E” ma taką przewagę, iż trudno jest znaleźć jakiś dłuższy zwrot, gdzie by go nie było.

Od samego więc początku mamy zasadę, która nadaje się do czegoś więcej niż do płonnych tylko przypuszczeń. Powszechny użytek, jaki można mieć z tej tablicy, jest widoczny, wszelako w szczególności przy tym szyfrze będzie nam ona niezbyt pomocną. Ponieważ przeważa znak 8, przeto zacniemy od przypuszczenia, że jest to „e” naturalnego abecadła. By sprawdzić to przypuszczenie, zobaczymy, jak często znak 8 spotyka się parami - gdyż „e” nader często podwaja się w języku angielskim w takich słowach, jak na przykład: meet, feet, speed, see, agree itd. W danym wypadku podwaja się ono aż pięć razy, aczkolwiek cały kryptogram jest krótki.

Przyjmijmy zatem, że 8 oznacza „e”. Ze wszystkich słów w języku angielskim najczęściej używa się the; zobaczymy przeto, czy nie uda nam się znaleźć kilkakrotnie powtórzonego zestawienia trzech znaków, z których 8 będzie na końcu. Jeśli spotkamy kilkakrotnie takie zestawienie znaków, to nader prawdopodobnie będzie to oznaczało słowo the. Przeglądając kryptogram znajdujemy aż siedem takich zestawień, złożonych ze znaków ;48. Możemy więc przypuścić, że ; oznacza „t”, 4 oznacza „h”, a 8 oznacza „e” - przy czym ostatnie znaczenie potwierdza się już stanowczo. Zrobiliśmy przeto krok naprzód.

Oznaczywszy w ten sposób jedno słowo będziemy mogli z kolei oznaczyć rzecz nader ważną, mianowicie kilka początków i zakończeń innych słów. Weźmy bodaj jeden taki przykład, w którym spotyka się zestawienie ;48 niedaleko od końca szyfru. Wiemy, że znak ; który następuje bezpośrednio potem, jest początkiem słowa i że z sześciu znaków, które

następują po owym the, pięć jest już nam znanych. Zastąpmy teraz te znaki literami, których mamy znaczenie, pozostawiając dla nieznanymi wolne miejsce:

t eeth.

Od razu możemy odrzucić „th”, jako nie wchodzące w skład słowa, zaczynającego się od pierwszego „t”, gdyż przeglądając cały alfabet w poszukiwaniu litery, którą można by wstawić w wolne miejsce, przekonywamy się, iż niepodobna jest utworzyć takiego słowa, w którym „to” th mogłoby stanowić część składową. Ograniczmy się zatem tylko do:

t ee

i przeszukując znów, w razie potrzeby, cały alfabet, dojdziemy do słowa tree (drzewo) jako jedyne możliwego rozwiązania. Uzyskujemy przy tym inną literę, a mianowicie „r” oznaczone znakiem (jako też skojarzenie słów the tree.

Nieco dalej spotykamy znów zestawienie ;48 i posługujemy się nim jako zakończeniem tego, co je bezpośrednio poprzedza. Otrzymamy w ten sposób kombinację następującą:

the tree ;4(??34 the,

i podstawivszy w miejsce wiadomych znaków odpowiednie litery odczytujemy:

the tree thr??3h the.

Jeżeli teraz zamiast znaków nieznanymi pozostawimy wolne miejsca lub wstawimy miast nich kropki, to otrzymamy:

the tree thr ... h the,

przy czym słowo through (przez) natychmiast przychodzi na myśl.

Odkrycie to zapoznaje nas ponadto z nowymi trzema literami „o, u, g”, oznaczonymi ?? oraz 3.

Szukając dalej w szyfrze zestawień wiadomych znaków, spotykamy niedaleko od początku kombinację taką:

83(88 czyli egree,

co oczywiście jest zakończeniem słowa degree (stopień) i poddaje nam znowu jedną literę, mianowicie „d” oznaczone †.

O cztery litery dalej za słowem degree znajdujemy zestawienie:

;46(;88.

Przekładając znane znaki i zastępując, jak poprzednio, kropkami znaki nieznanymi, otrzymamy:

th . rtee.

Jest to kombinacja, która natychmiast podsuwa domyślności naszej słowo thirteen (trzynaście) i dorzuca nam dwie nowe głoski „i, n” oznaczone 6 i x.

Wracając następnie do początku kryptogramu widzimy zestawienie:

53??†.

Przełożywszy je, jak to czyniliśmy poprzednio, dostajemy:

good,

co zarazem upewnia nas, że pierwszą literą jest A i że dwa pierwsze słowa brzmią: A good (dobry).

By uniknąć zamieszania, należałoby teraz zestawić w jedną tablicę nasz klucz, o ile jest już nam znany. Będzie przedstawiała się ona tak:

5	oznacza	a
†	„	d
8	„	e
3	„	g
4	„	h
6	„	i
x	„	n
?	„	o
(„	r
;	„	t
?	„	u

Mamy już zatem aż dziesięć najważniejszych liter i nie potrzebujemy dalej gromadzić szczegółów, by dotrzeć do rozwiązania. Wykazałem ci dostatecznie, że szyfry tego rodzaju są łatwe do odczytania, i zapoznałem cię po trosze z rozumową metodą ich odgadywania. Wiedz atoli, iż okaz, który mamy przed sobą należy do najłatwiejszego rodzaju kryptogramów. Pozostaje mi tylko dać ci zupełny przekład znaków, widniejących na pergaminie, jakby były już rozwiązane. Brzmi on, jak następuje:

A good glass in the bishop's hostel in the devil's seat - forty - one degrees and thirteen minutes - northeast and by north - main branch seventh limb east side - shoot from the left eye of the death's - head - a bee - line from the tree through the shot fifty feet out.

(Dobre szkła w hotelu biskupa na siedzeniu diabła - czterdzieści jeden stopni i trzynaście minut - północny-wschód i na północ główny pień siódmy konar od wschodu spuścić z lewego oka trupiej czaszki linię prostą od drzewa przez kulę piętnaście stóp dalej).

- Ależ - rzekłem - ta łamigłówka jest mi jeszcze tak samo niejasna jak poprzednio. Bo czyż można dorozumieć się czegoś z tego galimatiasu, z tych „diablich siedzeń”, „trupich czaszek” i „biskupich hotelów”?

- Przyznaję - odrzekł Legrand - że na pierwszy rzut oka wygląda to wszystko jeszcze dość zawile. Toteż pierwszym moim staraniem było dokonać naturalnego rozdziału zdań, zgodnie z zamierzeniami tego, co je układał.

- To znaczy położyć znaki pisarskie, nieprawdaż?

- Coś w tym rodzaju.

- W jakim sposobie można to zrobić?

- Pomyślałem sobie, że piszący umyślnie zaniedbał podziału na zdania, by utrudnić rozwiązanie. Wszelako człowiek nie wyposażony nadzwyczajną bystrością, który podejmie się takiego zadania, na pewno popadnie w przesadę. Kiedy bowiem układając swój kryptogram dojdzie do przerwy wśród zdań, która z natury rzeczy wymagałaby kropki lub pauzy, wówczas nie zdoła oprzeć się pokusie, by właśnie w tym miejscu nie skupić swych znaków gęściej niż zazwyczaj. Obejrzyj rękopis, o którym mówimy, a z łatwością znajdziesz aż pięć takich objawów niezwykłego nagromadzenia. Powodując się tą wskazówką, dokonałem podziału w następujący sposób:

A goodglass in the bishop's hostelin thedevil's seat-forty-one degrees and thirtecn minutes - northeast and by north
- main branch scvnth limb cast sidc - shoot from the left cyc of the death's-head - a bee-linc from thc trce through the shot
fifty leet out.

(Dobre szkła w hotelu biskupa na siedzeniu diabła - czterdzieści jeden stopni i trzynaście minut - północo-wschód i na północ - główny pień siódmy konar od wschodu - spuścić z lewego oka trupiej czaszki - linię prostą od drzewa przez kulę piętnaście stóp dalej).

- Nawet przy tym podziale - odezwałem się - wciąż jeszcze nic nie wiem.

- Ja także nic nie wiedziałem - odrzekł Legrand - ale tylko przez kilka dni. Spędziłem je na skrzętnych poszukiwaniach w okolicy wyspy Sullivan wywiadując się o budynek, który by nosił nazwę Bishop's Hotel (hotel biskupi), gdyż oczywiście nie dałem się stropić przestarzałemu słowu hostel. Nie dowiedziawszy się niczego zamierzałem już rozszerzyć zakres moich poszukiwań i prowadzić je nadal bardzo systematycznie, gdy pewnego poranku strzeliło mi nagle do głowy, że ten Bishop's Hostel może pozostawać w związku ze starożytną rodziną Bessopów, która w zamierzonych czasach posiadała odwieczne zamczysko o cztery mile na północ od wyspy. Udałem się więc na plantację i jałem wypyttywać najstarszych z okolicznych Murzynów. W końcu pewna sędziwa staruszka powiedziała mi, że słyszała o miejscu zwanym Bessop's Castel (zamek Bessopa) i że mogłaby mnie tam zaprowadzić, lecz że nie jest to zamek ani gospoda, ale wysoka skała.

Obiecałem, że ją hojnie wynagrodzę, więc po chwili namysłu podjęła się być moją przewodniczką. Dotarliśmy na miejsce bez trudu. Odprawiłem babinę i począłem się rozglądać. „Zamek” składał się z bezładnego nagromadzenia wiszarów i skał, z których jedna wyróżniała się wielce zarówno wysokością, jak odosobnieniem i jak gdyby sztucznym wyglądem. Wspiąłem się na jej szczyt i byłem bardzo zakłopotany, co dalej czynić należy.

Kiedy pogrążyłem się w myślach, oczy moje padły na wąski brzeżek u wschodniego zbocza skały, położony o jaki jard niżej wierzchołka, na którym stałem. Brzeżek ten sterczał zaledwie na osiemnaście cali i miał niespełna stopę szerokości, zaś wnęka w wiszarze, która widniała tuż ponad nim, czyniła go poniekąd podobnym do owych krzeseł z wygłębionym oparciem, którymi posługiwali się nasi przodkowie. Nie wątpiłem ani przez chwilę, że jest to owo „siedzenie diabła”, o którym znajdowała się wzmianka w rękopisie, i utwierdziłem się w przeświadczeniu, że uda mi się w zupełności rozwiązać tę zawiłą łamigłówkę.

Wiedziałem, iż przez „dobre szkła” należy rozumieć tylko teleskop, gdyż marynarze słowa „szkła” rzadko kiedy w innym używają znaczeniu. Zdałem sobie natychmiast sprawę, iż trzeba będzie uciec się do pomocy teleskopu i posłużyć się nim z pewnego, ściśle określonego punktu, nie dopuszczającego żadnego zboczenia. Nie powątpiewałem również, iż zwroty: „czterdzieści jeden stopni i trzynaście minut” jako też „północny-wschód i na północ” są wskazówkami, jak należy skierować teleskop. Podniecony niezmiernie tymi odkryciami, pośpieszyłem do domu, postarałem się o teleskop i powróciłem z nim na skałę.

Zsunąłem się po niej na ów brzeżek i przekonałem się, że można tam usiąść tylko w pewnej określonej pozycji. Ta okoliczność potwierdziła moje poprzednie przypuszczenia. Zabrałem się z kolei do teleskopu. Słowa „czterdzieści jeden stopni i trzynaście minut” mogły, oczywiście, odnosić się tylko do elewacji powyżej widzianego widnokręgu, natomiast kierunek poziomy wyraźnie podawała wzmianka „północo-wschód i na północ”. Oznaczyłem ten kierunek za pomocą kompasu kieszonkowego, następnie ustawiłem możliwie najdokładniej mój teleskop pod czterdziestym pierwszym kątem elewacji i dopóty poruszałem nim ostrożnie w górę i na dół, aż dostrzegłem kolisty otwór, czyli jakby okienko wśród listowia wielkiego drzewa, które górowało w oddali nad wszystkimi innymi. W środku tego okienka zauważyłem białą plamę, lecz nie mogłem zrazu rozpoznać, co to było. Dopiero nastawiwszy ostrzej soczewkę, przekonałem się, że była to trupia czaszka.

Po tym odkryciu zagadka wydała mi się już rozwiązana, gdyż zwroty „główny pień, siódmy konar, od wschodu” mogły jużcić odnosić się tylko do umieszczenia czaszki na drzewie, zaś „spuścić z lewego oka trupiej czaszki” tylko poszukiwanie zakopanego skarbu mogło mieć na względzie. Dorozumiałem się, iż rzecz polega na tym, ażeby z lewego oka czaszki spuścić jakąś gałkę i przeprowadzić linię prostą od najbliższego punktu pnia przez „kulę” (to znaczy, przez miejsce, gdzie owa gałka upadnie), a następnie prowadzić ją dalej na odległość pięćdziesięciu stóp i w ten sposób otrzymać określony punkt, gdzie, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, ukryto skarb ów w ziemi.

- Wszystko to - przemówiłem - jest nadzwyczaj jasne i olśniewa swą pomysłowością zachowując przy tym prostotę i dokładność. Cóż stało się dalej, gdy powróciłeś z Bishop's Hotel?

- Zanim poszedłem do domu, zapamiętałem sobie dokładnie owo drzewo. Było to potrzebne, gdyż zeszedłszy z „siedzenia diabła” straciłem zaraz owo kolistе okienko z oczu i z żadnego innego miejsca dojrzeć go już nie mogłem. Jak mi się zdaje, całe mistrzostwo tej zagadki da się sprowadzić do tej okoliczności, iż okienko to widne jest tylko z wąskiego brzeżka u skalnej ściany.

Na wyprawę do „hotelu biskupa” zabrałem ze sobą Jupitera, który zapewne już na kilka tygodni przedtem zauważył moje roztargnienie i dokładał wszelkich starań, żebym nie był sam. Lecz zaraz następnego dnia wstałem bardzo wcześnie, wymknąłem się przed nim po kryjomu i poszedłem na wzgórze, by odszukać owo drzewo. Zmitrężyłem niemało czasu, zanim zdołałem je znaleźć. Gdy nocą powróciłem do domu, mój służący miał chętkę mnie obić. Co dalej się stało, wiesz równie dobrze jak ja sam.

- Sądzę - odezwałem się - iż twoja pomyłka przy pierwszym kopaniu wyniknęła z głupoty Jupitera, który spuścił zuka przez prawe, a nie przez lewe oko czaszki.

- Tak też było istotnie. Błąd ten spowodował różnicę półtrzecia cala u „kuli” - to znaczy, w miejscu, gdzie tkwił palik, wbity najbliżej drzewa; gdyby skarb znajdował się tuż pod „kulą”, pomyłka ta nie miałaby znaczenia; atoli ta „kula”

wraz z najbliższym punktem pnia były jedynie dwiema wytycznymi kierunku: przeto błąd, aczkolwiek zrazu nieznaczny, powiększał się w miarę przedłużania linii i kiedy przeprowadziliśmy ją na odległość piętnastu stóp, stał się przyczyną nader znacznego zboczenia. Gdyby nie moje głębokie przeświadczenie, że gdzieś w pobliżu skarb ten przecież znajdować się musi, wszystko nasza praca byłaby poszła na marne.

- A ta twoja pompatyczność, te twoje igraszki z żukiem - cóż to było za dziwactwo? Byłem przekonany, że oszalałeś. I dlaczego upierałeś się tak bardzo, żeby z oka czaszki spuścić tego chrząszcza, zamiast użyć do tego jakiej gałki?

- Mój drogi, wyznam ci szczerze, iż drażniły mnie nieco twe powątpiewania o moim zdrowiu, więc postanowiłem skarcić cię moim zwyczajem spokojnie i obmyśliłem na chłodno tę maleńką mistyfikację. Dlatego wymachiwałem żukiem i kazałem spuścić go z drzewa. Pomysł ten poddało mi twe spostrzeżenie, że jest bardzo ciężki.

- Rozumiem cię. A teraz jeszcze jedna rzecz, która mnie zaciekawia! Co myślisz o szkieletach, które znaleźliśmy w jamie?

- Na to pytanie nikt z nas nie zdołał odpowiedzieć. Wszelako zdaje mi się, iż dałoby się to wytłumaczyć tylko w jeden sposób - jakkolwiek moje przypuszczenie jest tak okropne, iż trudno w nie uwierzyć. To pewna, że Kidd - oczywiście, jeśli to Kidd zakopywał te skarby, o czym zresztą nie wątpię - otóż to pewna, że musiał mieć pomocników przy pracy. Kiedy jednak była już na ukończeniu, uznał zapewne za rzecz potrzebną pozbyć się swych towarzyszy, którzy znali jego tajemnicę. Być może, iż wystarczyły dwa krzepkie uderzenia motyką, gdy jego pomocnicy byli jeszcze zajęci w dole. A może tych uderzeń trzeba było znacznie więcej - kto to wie?

Czarny kot

N

ie oczekuję i nie domagam się wcale, by nadzwyczaj dziwna, lecz zarazem bardzo prosta opowieść, do której przystępuję, znalazła wiarę u ludzi. I zaiste, byłoby z mej strony szaleństwem spodziewać się jej w sprawie, w której nawet moje zmysły nie dopuszczają własnego świadectwa. Wszelako szalony nie jestem i nie śnię na pewno. Jutro przyjdzie mi umrzeć, dziś przeto chciałbym ulżyć brzemieniu mej duszy. Bezpośrednim moim zamierzeniem jest przedstawić jasno, zwięźle i bez ogródek szereg zdarzeń z zakresu mego domowego pożycia. Następstwa tych zdarzeń rozwinęły się dla mnie w lęk, mękę i unicestwienie. Nie śmiem atoli ich tłumaczyć. Mnie nie dały nic okrom grozy - dla tłumów będą raczej baroques niż straszliwe. Być może, iż kiedyś znajdzie się umysł, co zdoła me urojenia sprowadzić w dziedzinę zjawisk już dawno znanych, co, mając więcej spokoju i logiki a znacznie mniej pobudliwości ode mnie, nie dostrzeże w okolicznościach, które wspominam z przerażeniem, nic okrom zwykłego następstwa najnaturalniejszych przyczyn i skutków.

Od dzieciństwa byłem znany z pojętności oraz dobrotliwości mego usposobienia. Wrodzona mi czułość była tak jawna, iż uczyniła mnie igraszką mych towarzyszy. Przede wszystkim lubiłem zwierzęta, a rodzice dogadzali mi w wyborze tych moich ulubieńców. Niemal wszystek mój czas spędzałem z nimi i byłem najszczęśliwszy, gdy mógł je pieścić i karmić. Ta właściwość charakteru wzmagala się z laty, w wieku zaś męskim stała się głównym źródłem mych radości. Ludziom, którzy wiedzą, czym jest przywiązanie do wiernego i zmyślnego psa, nie potrzebuję zgola tłumaczyć ani rodzaju, ani też głębi wynikającego stąd zadowolenia. W niesamolubnym i ofiarnym przywiązaniu zwierzęcia jest coś, co wnika wprost do serca, które często miało sposobność doświadczyć, czym jest nędzna przyjaźń i nikła jak pajęczyna trwałość uczuć tylko ludzkich.

Ożeniłem się wcześniej i byłem szczęśliwy, widząc w mej żonie skłonności zbliżone do moich. Poznawszy me zamiłowanie do zwierząt domowych, dokładała wszelkich starań, by wybrać dla mnie najmiłsze. Mieliśmy ptaki, złote rybki, ładnego psa, króliki, małpeczkę i... kota.

Było to nadzwyczaj duże i piękne zwierzę, całkiem czarne i niesłychanie zmyślnie. Mówiąc o jego inteligencji, żona moja, w głębi duszy nieco przesądna, czyniła nieraz aluzje do starodawnego, ludowego zabobonu, wedle którego wszystkie koty czarne są przedzierzgnionymi w zwierzęta czarownicami. Nie utrzymywała wszakże tego poważnie, wspominam zaś o tym szczególe dlatego jedynie, iż właśnie w tej chwili przyszedł mi na myśl.

Pluto - tak kot się wabił - był moim ulubieńcem i towarzyszem zabaw. Sam go karmiłem, on zaś nie opuszczał mnie ani na krok, kiedy byłem w domu. I trudno mi było powstrzymać go, by nie wybiegał za mną na ulicę.

Przyjaźń nasza trwała przez kilka lat, atoli w tym czasie pod wpływem Demona Niewstrzeźliwości dokonała się (wstydy się wyznać) w całym moim usposobieniu i charakterze zupełna zmiana na gorsze. Z dnia na dzień stawałem się coraz posępniejszy, coraz gniewliwszy, coraz bezwzględniejszy w stosunku do innych. Ośmielałem się lżyć moją żonę. W końcu znieważałem ją czynnie. Moi ulubieńcy odczuli również zmianę mego usposobienia. Zaniedbywałem ich i obchodziłem się z nimi okrutnie. Dla Plutona zachowałem wprawdzie wciąż jeszcze tyle względów, iż nie dręczyłem go, jak to nieraz się działo z królikami, małpą, a nawet z psem, gdy przypadkiem lub by okazać swe przywiązanie zabiegli mi drogę. Lecz w miarę tego, jak choroba moja się wzmagala - bo czyż jest choroba gorsza od alkoholu! - nawet Pluto, który wówczas już się starzał i skutkiem tego nieco zdziczał - nawet on jął doświadczać na sobie następstw mego rozwścieczenia.

Pewnej nocy powróciłem z jakiejś gospody do domu pijany do nieprzytomności i uroiłem sobie, że kot mnie unika. Gdy go pochwyciłem, przerażony mą natarczywością ugryzł mnie lekko w rękę. Wówczas opętała mnie demoniczna wściekłość. Zatraciłem poczucie własnej istoty. Właściwa ma dusza jak gdyby nagle uleciała ze mnie, a całą moją istotę przeniknęła jakaś szatańska złośliwość, podsycona gorącym napojem. Wyjąłem z kieszonki od kamizelki scyzoryk, otworzyłem go, ująłem biedne zwierzę pod gardło i nie śpiesząc się wcale, wylupiłem mu jedno oko! Wzdrygam się, pałam, rumienię, opisując ten wybuch ohydnej dzikości.

Następnego dnia - kiedy pierzchły odurzające wyziewy nocnej hulanki i trzeźwy wrócił rozsądek - wezbrało we mnie uczucie grozy i skruchy za popełnioną zbrodnię, lecz był to jeno nikły i nieokreślony odruch, przy którym dusza pozostała nietknięta. Pograżyłem się znów w wyuzdaniu i wnet utopiłem w winie wspomnienia owego czynu.

Tymczasem kot z wolna powracał do zdrowia. Wprawdzie pusty oczodół wyglądał straszliwie, lecz ból widocznie już mu nie dolegał. Wałęsał się jak zwykle po domu i - co z góry można było przewidzieć - za każdym moim zbliżeniem w największym uciekał popłochu. Kołatało się we mnie jeszcze tyle dawnej duszy, iż z początku martwiła mnie ta jawna odraza przywiązanego ongi zwierzęcia. Wszelako uczucie to rychło ustąpiło miejsca rozdrażnieniu. Po czym przyłączył się, jak gdyby w celu ostatecznego i nieodwołalnego mego pogębienia, duch przewrotności. Na ducha tego filozofia nie zwraca uwagi. Co do mnie - jest rzeczą równie pewną, iż dusza moja istnieje, jak że przewrotność jest jedną z pierwotnych

popędów ludzkiego serca - stanowi jedną z nieodłącznych, pierwotnych właściwości czy uczuć, które nadają kierunek charakterowi ludzkiego osobnika. Czyliż istnieje człowiek, który by po stokroć nie uświadamiał sobie, iż dopuszcza się jakiegoś niegodnego lub niedorzecznego czynu jedynie dlatego, że czynu tego popełnić nie powinien? Czyż w obliczu swego najwnętrznego sumienia nie doznajemy nieustannej pokusy, by naruszyć prawo jedynie z tej przyczyny, iż je za słuszne uważamy? Ten duch przewrotności przyczynił się - jak już wspomniałem - do mojej ostatecznej zguby. Z niego to poczęła się owa niezgłębiona tęsknota do samoudręki, do poniewierania własną naturą, do zło czynienia dla niego samego, która sprawiła, iż nie ustawałem w swej zawziętości i dopełniłem w końcu miary krzywd wyrządzanych bezbronemu stworzeniu. Pewnego dnia zadzierzgałem mu pętlę dokoła szyi i powiesiłem je na gałęzi; powiesiłem je, mając rześiste lzy w oczach i duszę pełną gorzkich wyrzutów; powiesiłem, ponieważ wiedziałem, iż to zwierzę było do mnie przywiązane, i ponieważ czułem, iż nie sprawiło mi żadnej przykrości; powiesiłem, ponieważ byłem przeświadczony, iż tym uczynkiem dopuszczam się grzechu - śmiertelnego grzechu, który do tego stopnia ma nieśmiertelną znieprawę duszę, iż wytraci ją - gdyby to było rzeczą możliwą - poza obręb nieprzebranego miłosierdzia Wszechlitosnego i Wszechgroźnego Boga.

W nocy, co nastąpiła po dniu tego okrutnego czynu, obudził mnie ze snu okrzyk, że się pali. Stały już w płomieniach zasłony mego łóżka. Cały dom gorzał. Mojej żonie, służącej i mnie samemu niełatwo przyszło uniknąć ogniowej śmierci. Ruina była zupełna. Postradałem całe me doczesne mienie i pograżyłem się odtąd w rozpacz.

Nie jestem tak słaby, by pomiędzy tym nieszczęściem a moim okrucieństwem zadzierzgać - węzeł przyczyny i skutku. Przedstawiam tylko cały łańcuch zdarzeń i nie chciałbym w nim żadnego pominąć ogniwa. Następnego dnia przyszedłem obejrzeć zgliszczą. Wszystkie ściany zwały się prócz jednej. Znajdowała się ona pośrodku domostwa i stanowiła niezbyt grube przepierzenie, o które opierało się wezgiłowie mego łóżka. Tynk nie odpadł w tym miejscu pod wpływem ognia, co przypisywałem tej okoliczności, iż niedawno go narzucono. Przed tą ścianą zebrał się wielki tłum ludzi, zaś niektórzy z nich - jak mi się zdawało - poddawali pewną jej część nadzwyczaj drobiazgowemu i dokładnemu badaniu. Okrzyki, jak: „To rzecz dziwna!”, „To szczególnie!”, obudziły moją ciekawość. Zbliżyłem się i ujrzałem na białej powierzchni jakby wyrytą w płaskorzeźbie postać olbrzymiego kota. Kontury były odtworzone z osłupiającą wyrazistością. Z szyi zwierzęcia zwieszał się powróż.

Gdy po raz pierwszy ujrzał to widmo - gdyż za nic innego nie mogłem go uważać - zdumienie moje i przerażenie nie miało granic. Na koniec przyszła mi z pomocą rozważa. Przypomniałem sobie, iż kot wisiał w ogrodzie, przylegającym do domu. Gdy rozległ się krzyk o pożarze, ogród ten zapelniał się gromadą ludzi; otóż ktoś odciał zapewne zwierzę z powroza i przez otwarte okno wrzucił je do mego pokoju. Uczynił to snadź w tym celu, by mnie obudzić ze snu. Któraś z walących się ścian wmiesiła swym ciężarem w świeżo narzucony tynk ofiarę mego okrucieństwa, po czym wapno w połączeniu z solami amonowymi zwłok zwierzęcia wytworzyło pod wpływem ognia ów widziany przeze mnie obraz.

Jakkolwiek w ten sposób udało mi się naprędce uspokoić mój rozum, jeśli nie sumienie, to ów niepokojący, a co tylko opowiedziany wypadek wywarł głębokie wrażenie na moją wyobraźnię. Całymi miesiącami nie odstępowało mnie widziadło kota, a dusza moja drgnęła jakimś półczuciem, które wyglądało na skrucę, atoli nią nie było. Doszło nawet do tego, iż poczęłem żałować utraty mego ulubieńca, i w nędznych gospodach, w których odtąd bywałem stałym gościem, jałem się rozglądać za zwierzęciem tego samego rodzaju i przybliżonego wyglądu, które zajęłoby jego miejsce.

Pewnej nocy, kiedym na wpół nieprzytomny siedział w najohydniejszej tawernie, dostrzegłem nagle jakiś czarny przedmiot, umieszczony na wierzchu jednego z olbrzymich antałów, napełnionych ginem czy rumem, a stanowiących najważniejsze w tej gospodzie sprzęty. Przez jakiś czas nie odwracałem oczu od wierzchu owej beczki i dziwiłem się niepomiernie, iż nie zauważyłem wcześniej znajdującego się na nim przedmiotu. Wreszcie zbliżyłem się ku niemu i dotknąłem go ręką. Był to czarny kot - bardzo duży - tak duży jak Pluto i najzupełniej doń podobny, z jednym wszelako wyjątkiem. Pluto nie miał na sobie ani jednego białego włoska, natomiast u owego kota widniała wielka, acz niezbyt wyraźna plama bieli, rozpostarta nieomal na całej jego piersi.

Gdy go dotknąłem, podniósł się natychmiast, jał głośno mruścić, ocierać się o mą rękę i było widać, że jest z mej obecności zadowolony. Znalazłem zatem takie właśnie zwierzę, jakiego szukałem. Zwróciłem się natychmiast do gospodarza z pytaniem, ile za nie żąda, lecz ten nie przyznawał się do niego - nie znał go wcale - nie widział go nigdy przedtem.

Nie szczędziłem kotu pieczy, a kiedym zabierał się do wyjścia, widać było, iż chce mi towarzyszyć. Zabrałem go więc ze sobą i wyszedłszy na ulicę zatrzymywałem się co chwila, by go pogłaskać. Gdyśmy przyszli do domu, obłaskawił się rychło i stał się wielkim ulubieńcem mojej żony.

Natomiast ze mną było inaczej, gdyż wkrótce jałem odczuwać do niego odrazę. Stało się wręcz odmiennie, niż przewidywałem - sam nie wiem, jak i dlaczego. Przywiązanie bowiem, które mi jawnie okazywał, raczej mnie mierzliło i odstręczało. Ta odraza i niechęć zamieniła się z wolna w gorzki nienawiści. Unikałem zwierzęcia; coś, jakby odruch zawstydzenia i pamięć popełnionego dawniej okrucieństwa, nie pozwalało mi znęcać się nad nim. Całymi tygodniami nie podnosiłem nań ręki i w ogóle nie dreczyłem go wcale, ale powoli doszło do tego, iż patrzyłem nań z niewysłowionym wstrętem i w milczeniu unikałem jego przemierzłej obecności niby tchnienia zarazy.

Do tej nienawiści przyczyniło się niewątpliwie odkrycie, jakiego dokonałem powróciwszy z kotem do domu; oto przekonałem się, iż podobnie jak Pluto nie miał on jednego oka. Wszelako dzięki tej okoliczności polubiła go jeszcze więcej moja żona, która - jak już wspomniałem - posiadała w znacznym stopniu ową kliwość uczucia, co była ongi najznamienniejszym moym rysem i stanowiła dla mnie źródło najzwyczajszych i najczystszych uciech.

Pomimo odrazy, jaką czułem do kota, przychylność jego ku mnie zdawała się zwiększać. Nie odstępował mnie ani na krok z trudnym do zrozumienia uporem. Gdym siadał, związał się w kłębek pod moim krzesłem lub wskakiwał mi na kolana, darząc mnie swymi ohydnyimi pieczykami. Kiedym wstawał, by pospacerować, płał mi się pod nogami, iż nieraz bliski byłem upadku, lub zatapiał swe długie i ostre pazury w moje ubranie, by wspiąć mi się na piersi. Byłbym go wówczas najchętniej uśmiercił jednym uderzeniem, lecz wstrzymywała mnie od tego po części pamięć dawniejszego występkę, głównie zaś - niech mi będzie wolno wyznać od razu - istna trwoga przed tym zwierzęciem.

Trwoga ta nie była wyłącznie obawą przed uszkodzeniem cielesnym, a jednak nie byłbym w stanie inaczej jej określić. Wstydzę się wyznać - w tej nawet celi zło czyni wstydzę się wyznać, iż lęk i groza, jaką mnie przejmowało to zwierzę, wzmożyły się znacznie pod wpływem urojenia posuniętego już do niedorzeczności. Żona moja zwracała mi niejednokrotnie uwagę na właściwości wspomnianego już przeze mnie białego znamienia w uwłosieniu, stanowiącego między nowo przybyłym a uśmierconym niegdyś przeze mnie zwierzęciem jedyną widomą różnicę. Znamię to, jakkolwiek

duże, zaznaczało się zrazu nader niewyraźnie, atoli, uwydatniając się z wolna i do tego stopnia niepostrzeżenie, iż przez długi czas rozum mój nie mógł się pogodzić z tym zjawiskiem jako z częścią mrzonką, przybrało w końcu ściśle określone zarzysy. Utworzyło mianowicie podobiznę przedmiotu, którego nazwa przejmuję mnie drżeniem, dla którego przede wszystkim lękałem się tego potwora, przed nim się wzdrygałem i byłbym się odeń uwolnił, ale nie śmiałem; była to podobizna straszliwej i upiornej rzeczy: SZUBIENICY! Jakież to żalosne i okropne narzędzie przerażenia i kaźni - mąk przedzgonnych i śmierci!

I oto stałem się pastwą niedoli, co w kręgu nędz ludzkich już się nie mieści. A przyprawiło mnie o nią nikczemne zwierzę, równe temu, które pogardliwie zgładziłem ze świata. Nikczemne zwierzę sprawcą niedoli istoty stworzonej na podobieństwo Wszechmocnego Boga: co za nieogarniona męka! Już ani na jawie, ni we śnie nie zaznawałem dobrodziejstwa spoczynku. Za dnia ten potwór przebywał nieustannie ze mną, nocą zaś zrywałem się co chwila z niewystłownym przerażeniem, czując na twarzy jego gorący oddech tudzież ogromny jego ciężar, co na kształt ucieleśnionego upiora nie pozwalało mi się podnosić i serce me przywalało wiekuistym brzemieniem!

Śród tych udręczeń słabe poczucie dobra zanikło we mnie doszczętnie. Zagnieżdżyły się w mej duszy jeno złe myśli - najgorsze i najczarniejsze ze wszystkich. Posępność mego zwykłego usposobienia wyrodziła się w nienawiść do wszystkiego i wszystkich; wściekłość moja, której obecnie ślepo się poddawałem, przejawiała się w nader częstych i nieuskromionych wybuchach, zwykłą zaś ich i najbardziej bolejącą ofiarą była, niestety, potulna moja żona.

Pewnego dnia, chcąc załatwić jakiś szczegół dotyczący naszego gospodarstwa, zeszła ona wraz ze mną do piwnicy starego domostwa, w którym obraliśmy sobie mieszkanie, przyniewoleni ubóstwem. Kot podążył za mną po stromych schodach i omal nie strącił mnie na dół, co doprowadziło mnie do szaleństwa. Podniosłem siekiere i zapominając w gniewie o dziecinnej trwodze, co dotychczas krepowała mą rękę, zamierzyłem się do ciosu, który by niewątpliwie zgładził zwierzę ze świata, gdyby był wypadł wedle mych życzeń. Lecz powstrzymała go dłoń mojej żony. Podniecony tą przeszkodą, rozgorzałem iście demoniczną wściekłością i wydarłszy ramię z uścisku zatopiłem siekiere w jej głowie. Padła nieżywa, nie wydawszy jęku.

Po dokonaniu tego ohydneho zabójstwa, jałem natychmiast z zimną rozumą rozmyślać nad tym, jak ukryć zwłoki. Wiedziałem, iż nie będę mógł wynieść ich z domu ani za dnia, ni w nocy, gdyż dostrzegliby mnie sąsiedzi. Roilo mi się mnóstwo pomysłów. Raz zamierzałem pokrajać trupa na drobne kawałki i spalić je w ogniu. To znów zastanawiałem się, czyby nie wykopać grobu w piwnicy. Po chwili przyszło mi do głowy, by wrzucić zwłoki do studni znajdującej się na podwórzu lub zamknąć je z wszelkimi ostrożnościami do skrzyni i zawezwąć posługacza, by jako towar zabrał je z domu. W końcu nasunęła mi się myśl, która wydała mi się o wiele właściwsza od wszystkich innych. Oto postanowiłem zamurować je w piwnicy - wzorem mnichów średniowiecznych, co podobno w ten sposób pozbywali się swych ofiar.

Piwnica nadawała się do zamierzonego celu. Ściany jej były sklecone dość luźnie i dopiero niedawno otrzymały chropawą powłokę tynku, który nie zdążył jeszcze stężeć w wilgotnym powietrzu. Ponadto na jednej z nich widniał wysterk, kryjący fałszywy komin czy palenisko, które następnie wypełniono gruzem i zarównano na podobieństwo innych ścian piwnicy. Nie wątpiłem, iż uda się mi powyjmować cegły, umieścić trupa w wydrążeniu, po czym doprowadzić mur do poprzedniego stanu tak dokładnie, iż w nikim nie wzbudzi podejrzenia.

Nie pomyliłem się w mych przewidywaniach. Przy pomocy oskarda z łatwością wylupałem cegły, oparłem starannie trupa o wewnętrzną ścianę i przytwierdziłem go do niej, następnie bez trudu dokonałem odbudowy, zachowując we wszystkim dawniejszy wygląd. Przestrzegając wszelkich możliwych ostrożności, postarałem się o wapno, piasek i słomę i sporządziłem rozczyń, nie różniący się niczym od dawniejszego, którym jak najstaranniej powlokłem świeżo zamurowane miejsce. Dokonawszy tego dzieła, byłem zadowolony, że wypadło tak dobrze. Na ścianie nie było znać najlżejszego śladu, iż była kiedykolwiek naruszona. Gruz wybierałem jak najtroskliwiej. Rozejrzawszy się dokoła z tryumfem, rzekłem do siebie: „Oto przynajmniej tym razem praca moja nie poszła na marne”.

Zaraz potem, zabrałem się do poszukiwania kota, co wszystkich tych nieszczęść stał się przyczyną, postanowiłem bowiem niezłomnie zgładzić go ze świata. I gdybym był go podówczas dopadł, na pewno byłby nie uszedł swego losu; lecz chytre zwierzę zlekło się snadź poprzedniego mego zapamiętałego uniesienia i wołało się nie pokazywać, by nie ściągnąć na siebie gniewu. Niepodobna pojąć ni wysławić błogiego uczucia ulgi, jakie roznieciło się w mej duszy, gdym się przekonał o nieobecności tego przebrzydłego potwora. Nie pojawił się również, gdy noc zapadła; odkąd zawitał do mego domu, nie spałem jeszcze nigdy tak zdrowo i spokojnie, jak tej nocy - spałem mimo brzemienia zbrodni, co obarczała mą duszę!

Minął dzień drugi i trzeci - mój prześladowca nie wracał. Wreszcie odetchnąłem swobodnie. Snadź zdjęty popłochem, przepadł na zawsze! Nie ujrzę go już nigdy! Szczęśliwość moja nie znała granic! Wyrzut mego okropnego czynu nie wytrącił mnie z równowagi. Wszczęło się śledztwo, lecz z łatwością odparłem wszelkie podejrzenia. Zarządzono nawet przeszukanie domu - nie wykryto atoli, rzecz prosta, niczego. Pomyślnej przyszłości nie mąciła już żadna niepewność.

Czwartego dnia pojawił się najniespodziewaniej oddział policji i przystąpił ponownie do ścisłego badania domostwa. Wszelako nie zmieszało mnie to wcale, byłem bowiem pewny, iż niepodobna odszukać obmyślonej przeze mnie kryjówki. Urzędnicy wezwali mnie, żebym im towarzyszył przy tych poszukiwaniach. Nie pominęli żadnej skrytki ni kąta. Na ostatek, po raz trzeci czy czwarty, zeszli do piwnicy. Nie drgnął we mnie żaden mięsień. Serce moje biło tak spokojnie, jak u człowieka, co zasnął przeświadczony o swej niewinności. Chodziłem po piwnicy z kąta w kąt. Skrzyżowałem ręce na piersiach i wałęsałem się najspokojniej. Policjanci byli zupełnie zadowoleni i gotowali się do odejścia. W głębi duszy nie posiadałem się z radości. Pałałem chęcią, by rzucić bodaj jedno słowo tryumfu i w dwójnasób utwierdzić ich przeświadczenie o mej nieskazitelności.

- Panowie - rzekłem, gdy wchodzili już na schody - cieszę się wielce, iż powiodło mi się rozwiać wasze podejrzenia. Życzę wam wszystkim powodzenia i nieco więcej uprzejmości. Nawiasem mówiąc, panowie, jest to... doskonale zbudowany dom. (Opętany pragnieniem powiedzenia czegoś stosownego, nie wiedziałem już niemal, co mówić). Rzekłbym nawet, że jest to znakomicie zbudowany dom. Te mury - czy odchodzicie już panowie? - te mury są ogromnie wytrzymałe. - To mówiąc, w rozpętaniu samochwalstwa, trzcina, którą trzymałem w ręce, jałem stukać mocno właśnie w to miejsce, gdzie za ścianą kryły się zwłoki niegdyś ukochanej przeze mnie kobiety.

Aliści chroń mnie, Boże, i ratuj z obieży wiekuistego zatracenia! Nie zdążyły jeszcze zapaść w ciszę echa mych uderzeń, gdy z grobu rozległa się odpowiedź! Był to głos zrazu zdławiony i urywany niby szlochaniem dziecka, ale przedzierzgnął się wnet w długi, ostry i przeciągły krzyk, dziwnie nieludzki i potworny - następnie w wycie i w żalosny

wrask na poły przerażenia, a na poły tryumfu, jakim zieje snadź tylko piekło, gdy jęk, wydarty z gardzieli konających potępieńców, zlewa się z radosnym rykiem strąconych demonów.

Mówić o mych odczuwaniach byłoby niedorzecznością. Nieprzytomny zatoczyłem się pod przeciwległą ścianą. Policjanci, wchodzący na schody, znieruchomieli na razie z nadmiaru przerażenia i grozy. Lecz wnet kilkanaście krzepkich ramion jeło burzyć ścianę. Jakoż runęła. Trup, wyprostowany, cały w skrzepach krwi i w plamach daleko posuniętego rozkładu, ukazał się oczom widzów. Z szeroko rozwartą, krwawą paszczą i palającym jednym okiem siedział na głowie jego ohydny potwór, co najpierw podstępnie popchnął mnie do zbrodni, po czym swym ostrzegawczym głosem wydał mnie w ręce kata. Pospołu z trupem zamurowałem go w grobie!

Łoś(Poranek nad Wissahickon)

Już niejednokrotnie porównywano szczegółowo krajobrazy amerykańskie z krajobrazami Starego Świata, przede wszystkim zaś z krajobrazami europejskimi; i za każdym razem wśród zwolenników tej lub owej części kuli ziemskiej zachwyty rozlegały się równie donośnie jak nagany. Jest to bez wątpienia spór, który nierychło ucihnie; wiele bowiem przewidziano już za i przeciw, wszelako niejedno pozostaje jeszcze do powiedzenia.

Najznamięnitsi turyści angielscy, którzy silili się na podobne porównania, przyszli, jak się zdaje, do wniosku, że nasze połacie północne i wschodnie stanowią na ogół to wszystko, co w Ameryce, lub przynajmniej w Stanach Zjednoczonych, zasługuje na uwagę. Niewiele mówią natomiast o mniej im znanych, wspaniałych krajobrazach, które spotyka się u nas w okręgach zachodnich i południowych - na przykład w rozległej dolinie Luizjany, gdzie stały się rzeczywistością najśmielsze marzenia o raj. Podróżnicy ci poprzestają zwykle na pośpiesznym przeglądzie takich osobliwości krajobrazowych, jak: Hudson, Niagara, Catskills, Harpers Ferry, jeziora nowojorskie, Ohio, prerie i Missisipi. Są to bezsprzecznie widoki godne zachwyty nawet tego, co zwiedzał wieńczone zamkami brzegi Renu i błąkał się „nad błękitnymi kaskadami wartkiego Rodanu” - lecz nie wyczerpują bynajmniej wszystkiego, co może stanowić naszą chwałę. Co więcej, śmiem twierdzić, że istnieją w Stanach Zjednoczonych nieprzeliczone ustronia, zaciszne, głuche, zaledwie znane, które każdy szczyry artysta i człowiek światły, rozmiłowany w szczytnych, dostojnych dziełach bożych, będzie wolał od wszystkich owych krajobrazów opisanych i już sławnych, o których wyżej wspomniałem.

Jakoż istotne raje ziemi naszej leżą opodal szlaków naszych własnych najśmielszych turystów - cóż więc dopiero mówić o cudzoziemcu, który zawarłszy umowę ze swym wydawcą, iż w określonym czasie dostarczy garści spostrzeżeń o Ameryce, musi - o ile chce dotrzymać tej umowy - podążyć spiesznie, z notatnikiem w rękę, i trzymać się dróg najbardziej udeptanych!

Co tylko wspomniałem o dolinie Luizjany. Śród okolic wyposażonych w piękności przyrody jest ona snadź najpiękniejsza. Nie sposób nawet wyśnić czegoś podobnego. Najbujniejsza wyobraźnia mogłaby czerpać natchnienie z jej nieprzebranego czarodziejstwa. Piękność jest wyłączną jej właściwością. Nie ma w niej natomiast nic, co by graniczyło z wzniosłością. Łagodnie sfalowana kraina, gdzie snują się marzycielsko kryształowe ruczaje, obrzeżone rozkwitowymi zboczami, z widniejącą w głębi roślinnością leśną, olbrzymią, soczystą, różnobarwną, rozmigotaną od świergotliwego ptactwa i dyszącą wonnościami - oto rysy, które tworzą z doliny Luizjany najprzedziwniejszy krajobraz całego świata.

Atoli nawet w tym błogosławionym zakątku do najczarowniejszych okolic prowadzą nader kręte drogi. W całej przeto Ameryce podróżny, który chce się napawać pięknosciami przyrody, musi szukać ich nie przy pomocy wagonu kolejowego, statku, dyliżansu, powozu czy wierzchowego konia - lecz pieszo. Musi chodzić, przedzierać się przez wąwozy, zawisać nad przepaściami - lub wyrzec się poznawania najistotniejszych, najszczerzejszych, najbardziej niewysłownych cudowności, które stanowią chwałę tej ziemi.

W przeważnej części Europy konieczności takie nie istnieją. W Anglii nie ma niczego podobnego. Każdy elegancik pozujący na turystę może zwiedzić okolice zasługujące na uwagę, nie narażając przy tym swych jedwabnych pończoch, gdyż wszystkie miejsca ciekawsze są dokładnie znane, a drogi do nich utrzymane w należyтым porządku. Przy porównywaniu widoków Starego Świata z widokami drugiej półkuli nie bierze się tych względów należyście pod uwagę. Całkowite piękno pierwszego zestawia się z najbardziej znanymi, ułankowymi tylko i w całości piękna bynajmniej nie najważniejszymi urokami drugiego.

Krajobrazy pobrzeżne zawierają bezsprzecznie wszystkie najważniejsze czynniki piękna i były od niepamiętnych czasów ulubionym wątkiem poetów. Atoli niemałą część swojej chwały zawdzięczają one tej okoliczności, iż o wiele częściej zwiedza się okolice nadrzeczne niż okolice górskie. We wszystkich krajach otacza się nadmiernym podziwem wielkie rzeki, gdyż stanowią one zazwyczaj główne szlaki. Widuje się je częściej, więc częściej o nich się mówi niż o rzekach pomniejszych, jakkolwiek nieraz więcej zasługujących na uwagę.

Jako szczególniejszy przykład na poparcie moich spostrzeżeń niechaj posłuży Wissahickon, strumyk (gdyż niepodobna dać mu świetniejszego nazwania) wpadający do Schuylkill o sześć mil na zachód od Filadelfii. Wissahickon jest tak nadzwyczajnie piękny, że gdyby płynął w Anglii, byłby opiewany przez wszystkich bardów i stanowiłby przedmiot powszechnego uwielbienia, zaś jego wybrzeża podzielono by na parcele i sprzedawano by jako place budowlane pod wille dla bogaczy. Lecz gdy Wissahickon zaledwie od kilku lat jest dokładnie znany, większa i spławniejsza rzeka, do której wpada, słynie już od dawna jako jeden z najwspanialszych krajobrazów rzecznych w Ameryce. Schuylkill, którego uroki mocno są przechwalone i którego brzegi, przynajmniej w pobliżu Filadelfii, są bagniste jak brzegi Delaware, nawet w przybliżeniu nie dorównywa malowniczości skromniejszej i mniej rozgłośniej rzeczulki, o której jest tu mowa.

Trzeba było dopiero Fanny Kemble, która w swej cudacznej książce o Stanach Zjednoczonych dała znać filadelfijczykom o niespotykanym pięknie ruczaju, płynącego tuż przed ich progiem, by to piękno przestało być czymś zaledwie przeczuwanym przez kilku przedsiębiorczych piechurów z sąsiedztwa. Gdy „Journal” otworzył oczy ludziom, Wissahickon stał się od razu w pewnej mierze osobliwością. Powiadam „w pewnej mierze”, gdyż istotne piękno tego ruczaju rozciąga się daleko od szlaku uczęszczanego przez filadelfijskich miłośników malowniczości, którzy nader rzadko zapuszczają się dalej niż na mile lub dwie od ujścia - oczywiście dla tej prostej przyczyny, iż w tym właśnie miejscu urywa się gościniec dostępny dla pojazdów. Śmiałkowi, który by pragnął poznać najpiękniejsze widoki, radziłbym pójść Ridge Road, drogą, która przebiega na zachód od miasta, i kiedy dotrze do drugiej ścieżyny za szóstym kamieniem milowym, iść dalej tą ścieżką aż do końca. W ten sposób zobaczy Wissahickon w najpiękniejszych miejscach jego łożyska, po czym w czólnie lub pieszo wzdłuż brzegu może podążyć dowolnie z biegiem lub przeciw biegowi wody, a wszędzie znajdzie szczerą za swe trudy nagrodę.

Powiedziałem już lub przynajmniej powinienem był powiedzieć, że ruczaj jest wąski. Brzegi jego, na ogół zewsząd widoczne, są urwiste i składają się z wysokich wzgórz, pokrytych u podnóży gąszczem szlachetnych krzewów i uwieńczonych u szczytów przewspaniałymi okazami leśnej roślinności amerykańskiej, wśród których wyróżnia się przede wszystkim *Liliodendron tulipifera*. Właściwe zbrzeża są granitowe, o załamach ostrych, tu i ówdzie omszonych, o które świetlista roztrąca się woda, falując miękko jak błękitne tonie Śródziemnego Morza na stopniach marmurowych pałaców. Niekiedy pod wiszarami rozciągają się niewielkie, szczodrze zielenią umajone płaskowyże, co są jakby przez najbujniejszą wyobraźnię wyśnione, najbardziej malownicze ustronia dla chat i ogrodów. Zakręty ruczaju są liczne i nagle, jak to bywa zazwyczaj ze strumieniami o stromych brzegach; toteż wędrowiec, idąc coraz dalej, odnosi wrażenie, że rozciąga się w oddali łańcuch drobnych i nieskończenie od siebie różnych jeziorzek lub raczej sadzawek.

Wissahickon należałoby zwiedzać nie jak jakąś *Melrose la belle* przy blasku księżycy lub chmurnej pogodzie, lecz przy jaśniejącej pełni południowego słońca, gdyż wąskość gardzieli skalnych, przez które się przedziera, w połączeniu z wysokością obrzeżających go wzgórz i gęstością ulistnienia wywołuje wrażenie jeżeli nie upiorne, to przynajmniej melancholijne, które, nie złagodzone promienną jasnością, odwracałoby umysł od czystej i surowej piękności widoku.

Niedawno zwiedzałem ten ruczaj w opisany już sposób i spędziłem znaczniejszą część parnego dnia kołysząc się w czółnie na jego wodach. Skwar stopniowo mnie przytłoczył; poddałem się wpływowi widoku, atmosfery i pięściwego prądu: pogrążyłem się w półśnie, w którym jęły mi się marzyć wizje Wissahickonu z dni zamierzchłych, z „dawnych dobrych czasów”, kiedy nie było demona Maszyny, kiedy nikt nie myślał o piknikach, kiedy nie kupowano i nie sprzedawano praw do rzek i gdy czerwonoskóry chadzał samotnie z łosiem po wyniosłościach, co piętrzyły się nade mną. Kiedyś tak marzyłem, niesiony gnuśną falą, okrążyłem z wolna przylądek i ujrzałem przed sobą inny, który zamykał widok w odległości jakichś czterdziestu czy pięćdziesięciu metrów. Był to wiszar skalisty, skrzesany, wrzynający się daleko w wodę. Przypominał mi on o wiele więcej niż inne części widzianego już wybrzeża krajobrazy Salvatora Rosy.

To, co ujrzałem na tym wiszarze, aczkolwiek ze względu na czas i miejsce mogłoby się wydawać wprost czymś nadzwyczajnym, nie sprawiło mnie bynajmniej w zdumienie ni osłupienie - gdyż pozostawało w najzupełniejszej zgodzie z rozwałęsanymi myślami, które opanowały mego sennego ducha. Oto ujrzałem lub zwidziało się mi, że ujrzałem na najwyższym skraju urwiska jednego z owych sędziwych i wyniosłych łosiów, które w mej wizji skojarzyły się z czerwonoskórymi; stał z wyciągniętą szyją i nastawiał uszu, a całe jego zachowanie wyrażało ciekawość głęboką i melancholijną.

Jak powiedziałem, zjawa ta zrazu nie wywołała we mnie zdumienia ni osłupienia. Jedynie uczucie głębokiej sympatii wypełniło moją duszę. Wyobrażałem sobie, że łoś jest zdziwiony i przygnębiony zmianami na gorsze, jakie przed niedawnym czasem dokonały się w strumieniu i jego okolicy pod nieubłaganą ręką człowieka chciwego zysku. Wszelako lekki ruch głowy zwierzęcia położył kres memu rozmarzeniu i jasno zdałem sobie sprawę z niezwykłości mojej przygody. Przykląkłem na jedno kolano w łodzi i kiedy zastanawiałem się, czy mam zatrzymać się, czy też podплыć bliżej ku przedmiotowi mego podziwu, usłyszałem z pobliskich krzaków: „Psst! psst!” -wyrzeczone pośpiesznie, lecz ostrożnie. Po chwili z zarośli wynurzył się jakiś Murzyn, rozchylając bez szmeru gałęzie i posuwając się krok za krokiem. Miał dłoń pełną soli i wyciągnąwszy ją ku zwierzęciu, szedł z wolna, lecz bezustannie. Szlachetne zwierzę, acz nieco zaniepokojone, nie próbowało ucieczki. Murzyn zbliżył się, podał mu sól i wymówił kilka słów otuchy czy pochlebstwa. łoś pochylił łeb, po czym uderzywszy w ziemię nogą, położył się na niej spokojnie i pozwolił wziąć się na linkę.

Tak zakończyła się moja przygoda z łosiem. Był oswojony, w podeszłym już wieku i bardzo łagodny. Należał do rodziny angielskiej, zamieszkującej pobliską willę.

Bujda balonowa

Zdumiewające wieści ostatnio otrzymane via Norfolk! Przeprawa przez Atlantyk w przeciągu trzech dni! Tryumf maszyny do latania Mr Monck Masona! Przybycie na wyspę Sullivan w pobliżu Charlestonu, Karolina Południowa. Po siedemdziesięciopięciogodzinnej podróży z jednej części świata na drugą wylądował balon „Victoria”, wiozący Mr Masona, Mr Roberta Hollanda, Mr Hensona, Mr Harrisona Ainswortha oraz jeszcze cztery inne osoby! Wszystkie szczegóły podróży!

Załączony *jeu d'esprit* z powyższym nagłówkiem, wydrukowany okazałymi kapitalikami i upstrzony szczodrze oznakami podziwu, pojawił się pierwotnie jako wiadomość rzeczywista w dzienniku „New York Sun” i wywiązał się znakomicie ze swego zadania, dostarczając jałowej strawy różnym gapiom podczas kilkogodzinnej przerwy między jedną pocztą z Charlestonu a drugą. Popyt na „jedyny dziennik, który ma najświeższe wiadomości” stał się istną kołowacizną; jeżeli jednak - jak niektórzy utrzymują - „Victoria” nie odbyła wcale owej podróży, to niepodobna pojąć, dlaczego nie miała jej odbyć.

Wielkie zagadnienie ostatecznie rozwiązane! Powietrze, podobnie jak ziemia i morze, uległo podbojowi nauki, by stać się utartym i wygodnym szlakiem dla ludzkości! Udało się przelecieć przez Atlantyk balonem! i to bez nadzwyczajnych trudności, bez wielkiego niebezpieczeństwa, sterując dowolnie maszyną, w nieprawdopodobnie krótkim czasie siedemdziesięciu pięciu godzin od jednego wybrzeża do drugiego! Dzięki energii naszego korespondenta z Charlestonu, S. C., możemy pierwsi dostarczyć publiczności szczegółowego sprawozdania z tej wiekopomnej podróży, rozpoczętej w sobotę, 6 bm. o godzinie 11 rano, a ukończonej we wtorek, 9 bm. o godzinie 2 po południu przez - Sir Everarda Bringhursta; Mr Osborne'a, siostrzeńca lorda Bentiucka; Mr Monck Masona i Mr Roberta Hollanda, znanych powszechnie aeronautów; Mr Harrisona Ainswortha, autora Jacka Shepparda; Mr Hensona, który był twórcą niefortunnego pomysłu ostatniej maszyny do latania, oraz dwu marynarzy z Woolwich - czyli ogółem przez osiem osób. Szczegóły poniższe mogą być uważane za autentyczne i pod każdym względem dokładne, ile że poza nielicznymi wyjątkami przepisano je słowo w słowo z połączonych dzienników Mr Monck Masona i Mr Harrisona Ainswortha, których uprzejmości nasz korespondent zawdzięcza również wiele informacji ustnych, dotyczących samego balonu, jego konstrukcji oraz innych urządzeń. Zmiany poczynione w nadesłanym nam rękopisie polegają jedynie na ujęciu pośpiesznie naszkicowanego sprawozdania naszego korespondenta, Mr Forsytha, w potoczystą i przystępną formę.

Balon

Dwa ostatnie zupełne niepowodzenia Mr Hensona i Sir George'a Cayleya były przyczyną, iż publiczność przestała niemal zajmować się sprawą żeglugi napowietrznej. Projekt Mr Hensona, który zrazu znajdował wielkie uznanie nawet wśród uczonych, polegał na zastosowaniu zasady płaszczyzny pochylej, pchniętej z wysoka przez siłę zewnętrzną, wytwarzaną i podtrzymywaną za pomocą obrotu stykających się śmig, przypominających z kształtu i z ilości śmig wiatraka. Wszelako wszystkie doświadczenia czynione z modelami w Adelaide Gallery wykazały, iż owe śmigi nie tylko nie popędzają naprzód maszyny, lecz nawet stanowią przeszkodę w jej locie. Jedyną siłą napędową istotnie działającą był rozpęd uzyskany przez pchnięcie z równi pochylej; rozpęd ten popędzał maszynę znacznie dalej, kiedy śmigi znajdowały się w spoczynku, niż kiedy były w ruchu, co dostatecznie dowodziło ich nieużyteczności; o ile zaś nie było czynnika napędowego, który zarazem stanowił siłę nośną, cały aparat musiał bezwarunkowo spaść na ziemię. Te spostrzeżenia skłoniły Sir George'a Cayleya, iż postanowił zastosować śmig napędową do maszyny posiadającej niezależną siłę nośną, czyli, inaczej mówiąc, do balonu. Za pomysłem tym, bynajmniej nie nowym i nie oryginalnym, przemawiał tylko sposób, w jaki Sir George zamierzał użytkować go w praktyce. Wystawił on model swego wynalazku w Zakładzie Politechnicznym. Zasada napędowa polegała również w tym wypadku na zastosowaniu płaszczyzn przerywanych, czyli śmig wprawianych w ruch. Tych śmig było cztery; wszelako okazało się, iż nie miały zupełnie wpływu na ruszenie balonu z miejsca i nie były przyczyną spotęgowania siły wznoszenia się. Cały ten projekt skończył się zatem zupełnym niepowodzeniem.

Taki był stan rzeczy, gdy Mr Monck Mason (którego podróż z Dovru do Weilburga w balonie „Nassau” wywołała ogromne zaciekawienie w 1837 r.) powziął myśl zastosowania zasady śruby Archimedesowej do celów żeglugi napowietrznej - słusnie przypisując niepowodzenie projektów Mr Hensona i Sir George'a Cayleya przerywanej powierzchni śmig, od siebie niezależnych. Pierwsze doświadczenie publiczne wykonał on w Willis's Rooms, lecz potem przeniósł swój model do Adelaide Gallery.

Balon jego, podobnie jak Sir George'a Cayleya, miał kształt elipsoidy. Długość jego wynosiła trzynaście stóp i sześć cali, wysokość - sześć stóp i osiem cali. Zawierał on trzysta dwadzieścia stóp sześciennych gazu, który był czystym wodorem, i po pierwszym napełnieniu, zanim zdążył zepsuć się lub ulotnić, mógł unieść dwadzieścia jeden funtów. Ciężar całej maszyny i aparatu wynosił siedemnaście funtów - a więc pozostawało jeszcze w zapasie około cztery funty. Poniżej ośrodka balonu znajdowało się lekkie rusztowanie drewniane, przytwierdzone do balonu za pomocą zwyczajnej sieci. Z rusztowania tego zwieszał się kosz wiklinowy.

Śrubę stanowi oś, utworzona z wydrążonej rury mosiężnej, długości osiemnastu cali. Przez rurę tę, na śrubownicy, pochylonej pod kątem piętnastu stopni, przebiega szereg promieni z drutu stalowego, długich na dwie stopy, wystających zatem na stopę po obu stronach. Na krańcach zewnętrznych promienie te są połączone dwiema obręczkami ze spłaszczonego drutu. W ten sposób całość tworzy trzon śruby, której dopełnia osłonka z naoliwionego jedwabiu, powykrawanego kończasto i obciążonego w ten sposób, by stanowił względnie gładką powierzchnię. Po obu końcach osi śrubę podtrzymują słupki z wydrążonych rur mosiężnych, zwieszające się od pierścieni. W dolnych końcach słupków znajdują się otwory, w których obracają się czopy osi. Z końca osi, położonego bliżej kosza, wybiega trzpień stalowy, łączący śrubę z dźwignią mechanizmu sprężynowego, umieszczonego w koszu. Pod naciskiem tej sprężyny śruba porusza się obracać z wielką chyżością, udzielając całości ruchu postępowego. Za pomocą steru można dowolnie kierować maszyną. Sprężyna w porównaniu do swych rozmiarów przedstawia ogromną siłę, gdyż może udźwignąć czterdzieści pięć funtów po pierwszym skręceniu, gdy słupek ma cztery cale średnicy, zaś siła ta stopniowo się zwiększa w miarę dalszego skręcania. Waży ona ogółem osiem funtów i sześć uncji. Ster był lekki, trzcinowy, powleczony jedwabiem, miał trzy stopy długości i stopę największej szerokości. Ważył jakie dwie uncje. Mógł obracać się na płask, poruszać się zarówno w górę i w dół, jak w prawo i w lewo, dawał przeto aeronauce możność przenoszenia oporu powietrza, który musi powstawać w ruchu przy każdym nachyleniu, na tę stronę, na którą pragnąłby oddziaływać, by zwrócić balon w kierunku przeciwnym.

Model ten (którego dla braku czasu niepodobna opisać dokładniej) puszczono w ruch w Adelaide Gallery, gdzie wykazywał chyżość pięciu mil na godzinę. Rzecz dziwna, iż bynajmniej nie wzbudził takiego zaciekawienia, jakie okazywano poprzednio wielce złożonej maszynie Mr Hensona - jak gdyby na dowód, iż ludzie lekceważą to, co ma pozory prostoty. Przypuszczano bowiem powszechnie, iż chcąc rozwiązać wielkie zagadnienie żeglugi napowietrznej, należy posłużyć się niezmiernie złożonym zastosowaniem jakiejś nader głębokiej zasady dynamicznej.

Mimo to Mr Mason był tak bardzo zadowolony z ostatecznego powodzenia swego wynalazku, iż postanowił zbudować, o ile możliwości niezwłocznie, balon odpowiednich rozmiarów i sprawdzić jego celowość większą podróżą - pierwotnie miała to być przeprawa przez La Manche, odbyta poprzednio na balonie Nassau”. By tym łatwiej urzeczywistnić swój zamiar, postarał się o patronat Sir Everarda Bringhursta i Mr Osborne'a, dwu dzentelmenów znanych powszechnie ze swych zamiłowań naukowych, przede wszystkim zaś z entuzjazmu, z jakim śledzili postępy żeglugi napowietrznej. Na życzenie Mr Osborne'a cały projekt pozostawał w najgłębszej tajemnicy - znały go tylko osoby zajęte przy budowie maszyny. Wykonano ją (pod kierownictwem Mr Masona, Mr Hollanda, Sir Everarda Bringhursta i Mr Osborne'a) w majątności tego ostatniego, koło Penstruthal w Walii. Mr Hensona oraz jego przyjaciela, Mr Ainswortha, dopuszczono do obejrzenia balonu dopiero ubiegłej soboty - kiedy obaj ci dzentelmeni dopełnili w zupełności warunków, które im umożliwiły wzięcie udziału w wyprawie. Nie wiemy, co było przyczyną, iż zabrano ponadto dwu marynarzy - wszelako za jaki dzień lub dwa dni podamy do wiadomości naszych czytelników pomniejsze szczegóły tej niezrównanej podróży.

Balon wykonano z jedwabiu, powleczonego pokostem kauczukowym. Jest on wielkich rozmiarów i zawiera przeszło 40 000 stóp sześciennych gazu; ponieważ jednak użyto gazu świetlnego zamiast kosztowniejszego i mniej dogodnego wodoru, przeto siła maszyny, całkowicie napełnionej, zaraz po napełnieniu nie przekracza 2 500 funtów. Gaz świetlny nie dość że jest tańszy, lecz ponadto daje się łatwiej wykorzystać i zastosować.

Zastosowanie tego gazu do celów żeglugi napowietrznej zawdzięczamy Mr Greenowi. Przed jego odkryciem napełnianie balonu było rzeczą nie tylko kosztowną, lecz także wielce niepewną. Marnowano nieraz dwa lub trzy dni na jałowych wysiłkach wytworzenia dostatecznej ilości wodoru, który, skutkiem swej nadzwyczajnej subtelności oraz powinowactwa z otaczającą atmosferą, okazuje wielką skłonność do ulatniania się z balonu. W należyście uszczelnionym balonie łatwiej jest przechować gaz świetlny w nie zmienionej ilości i jakości przez sześć miesięcy, niż utrzymać taką samą ilość wodoru w stanie jednakiej czystości przez sześć tygodni.

Siłę nośną obliczano na 2 500 funtów, zaś połączone ciężary

osób biorących udział w wyprawie zaledwie na jakieś 1 200; pozostawała zatem nadwyżka 1 300 funtów, z czego 1 200 przypadło na balast, pomieszczonego w workach różnej wielkości, ze szczegółowym oznaczeniem ich ciężaru; dalej na liny, barometr, teleskopy, beczułki zawierające zapas żywności na dwa tygodnie, baryłki z wodą, wory do spania, ciepłą odzież tudzież na inne niezbędne przedmioty. Zaliczono do nich również grzejnik do kawy, dostarczający ciepłego napoju bez użycia ognia, przed którym roztropność kazała się mieć na baczności. Wszystkie te przedmioty, z wyjątkiem balastu oraz niektórych drobiazgów, zawieszono w górze, u pierścienia. Kosz jest znacznie lżejszy i mniejszy od swego wzoru, widniejącego na modelu. Wykonany z lekkiej wikliny, jest nadzwyczaj mocny jak na tak pozornie wątłą maszynę. Ma on około czterech stóp głębokości. Ster jest znacznie większy w stosunku do modelu, natomiast śruba bez porównania mniejsza. Ponadto balon posiada kotwiczkę i niezbędną linę kierowniczą. W tym miejscu uważamy za potrzebne wtrącić zwężłe wyjaśnienie dla czytelników nie obeznanych z techniką żeglugi napowietrznej.

Balon, opuściwszy ziemię, podlega oddziaływaniu wielu czynników, które powodują zmiany w jego wadze, zwiększając lub zmniejszając przez to jego siłę wznoszenia się. Zdarza się na przykład, iż na jedwabiu osadza się rosa, której ciężar może wynosić niekiedy nawet kilkaset funtów; trzeba zatem wyrzucić balast, gdyż inaczej balon opadnie. Skoro jednak wyrzucimy balast, a ciepłe słońce wypije rosę, prężność gazu w jedwabnej powłoce natychmiast się wzmoże i balon znów nagle wzbije się w górę. By zahamować ten wzlot, nie pozostaje (a raczej nie pozostawało do czasu zastosowania przez Mr Greena liny kierowniczej) nic innego, jak wypuścić przez wentyl nieco gazu; lecz utrata gazu pociąga za sobą odpowiednie zmniejszenie siły wznoszenia się, toteż nawet najlepiej zbudowany balon musiałby w stosunkowo krótkim czasie wyczerpać wszystkie swe zasoby i spaść na ziemię. Stanowiło to wielką przeszkodę w dłuższych podróżach.

Lina kierownicza zapobiega tym utrudnieniom w sposób niezmiernie prosty. Jest to bardzo długa lina zwisająca z kosza, której zadaniem jest zapobiegać, żeby balon nie zmieniał swego poziomu w znaczniejszym stopniu. Jeżeli, na przykład, na powłoce jedwabnej utworzy się warstwa wilgoci i balon skutkiem tego pocnie opadać, to nie zachodzi już potrzeba wyrzucania balastu, by zaradzić zwiększeniu się wagi, gdyż zapobiega się, a raczej przeciwdziała temu za pomocą opuszczania na ziemię odpowiedniego kawałka liny. Jeżeli natomiast inne okoliczności wywołają nadmierną lekkość i następcze wzbijanie się balonu, to tej lekkości przeciwdziała się natychmiast za pomocą dodatkowego ciężaru liny podciągniętej w górę. Zatem balon może wznosić się i opadać tylko w bardzo ograniczonej mierze, a jego zasoby gazu czy balastu pozostają względnie nienaruszone. Kiedy balon unosi się nad rozleglejszym przestworem wodnym, trzeba użyć małych beczulek, miedzianych lub drewnianych, napełnionych balastem płynnym, lżejszym od wody. Beczułki te pływają i spełniają najzupełniej zadania samej tylko liny na lądzie stałym. Drugim, nader ważnym zadaniem liny kierowniczej jest nadawanie kierunku balonowi. Lina wlecze się po lądzie lub po morzu, gdy balon jest wolny; wyprzedza on ją zatem stale, o ile podąża naprzód. Porównanie względnych pozycji tych dwu przedmiotów za pomocą kompasu będzie zawsze wskazywało kierunek. W ten sam sposób kąt, utworzony przez linę z pionową osią maszyny, oznacza chyżość. O ile więc nie ma kąta - czyli innymi słowy, gdy lina zwisa prostopadłe - aparat stoi w miejscu; natomiast im większy jest kąt, to znaczy, im znacznie wyprzedza balon koniec liny, tym chyżość jest większa; i odwrotnie.

Ponieważ pierwotnym zamierzeniem była przeprawa przez kanał La Manche i wylądowanie, o ile możliwości, w pobliżu Paryża, przeto podróźni, mając się na ostrożności, zaopatrzyli się w paszporty zezwalające na pobyt we wszystkich krajach kontynentu, wyszczególniające cel wyprawy, podobnie jak podczas podróży balonem „Nassau”, i zwalniające ich od obowiązujących formalności. Jednakowoż skutkiem nieprzewidzianych wypadków paszporty te okazały się zbędne.

Napełnianie balonu rozpoczęło się nader spokojnie w sobotę, o świcie, 6 bm. na podwórku siedziby MrOsborne'a, Wheal-Vor House, oddalonej o jaką milę od Penstruthal w Walii Północnej. W siedem minut po jedenastej wszystko już było gotowe; zwolniony balon jął podnosić się łagodnie, lecz statecznie w kierunku niemal południowym. Przez pierwsze pół godziny nie robiono wcale użytku ani ze śruby, ani ze steru. Dalszy ciąg naszego sprawozdania będzie odąd stanowił dziennik przepisany przez Mr Forsytha z połączonych rękopisów Mr Monck Masona i Mr Ainswortha. Główną część przytoczonego dziennika spisywał Mr Mason, uzupełniał go zaś codziennie dopiskami Mr Ainsworth, który przygotowuje i wyda wkrótce jeszcze dokładniejsze i bez wątplenia ogromnie zajmujące sprawozdanie z tej wyprawy.

Dziennik

Sobota, 6 kwietnia. Wszystkie przygotowania, które mogły stawać nam jeszcze na przeszkodzie, pokończyliśmy ubiegłej nocy; dziś o świcie przystąpiliśmy do napełniania balonu, atoli skutkiem gęstej mgły, która napełniła wilgocią fałdy powłoki jedwabnej i uczyniła ją niepodatną, zdążyliśmy się uporać z tą pracą dopiero około jedenastej przed południem. Przecieliśmy liny w uroczystym nastroju i jeliśmy wzlatywać z wolna, lecz statecznie z lekkim powiewem północnym, który niósł nas w kierunku kanału La Manche. Siła wznoszenia się okazała się większa, niż przypuszczaliśmy; kiedy zaś wzniesiliśmy się tak wysoko, iż minęliśmy okoliczne wiszary i jeliśmy się pławić w blaskach słonecznych, wzlot nasz stał się niezmiernie szybki. Nie chcąc jednakże tracić gazu w samym początku wyprawy, postanowiłem na razie nie przerywać wzlotu. Wnet wszakże jeliśmy podciągać naszą linę kierowniczą, lecz mimo to, iż wcale nie dotykała w końcu ziemi, podążaliśmy w górę bardzo chyżo. Balon poruszał się nadzwyczaj pewnie i przedstawiał się okazale. W niespełna dziesięć minut po wzlocie barometr wskazywał wysokość 15 000 stóp. Pogoda była nader piękna, a rozokolona pod nami i wszystkimi romantycznymi urokami wyposażona okolica miała wyjątkowy czar wzniosłości. Gęste opary, podnoszące się z licznych i głębokich czeluści, świadczyły o istnieniu jezior, zaś urwiska i wiszary, spiętrzone od południowego wschodu w nierozwiklaną gmatwaninę, przypominały miasta olbrzymów z baśni wschodnich. Zbliżaliśmy się spiesznie do gór widniejących od południa, wszelako znajdowaliśmy się na takiej wysokości, iż mogliśmy przelecieć nad nimi bez obawy. Wnet unosiliśmy się majestatycznie nad nimi. Mr Ainsworth i marynarze, wyglądając z kosza, dziwili się ich pozornie nieznacznej wysokości; pochodziło to stąd, iż ogromne wzniesienie balonu zrównało wszystkie nierówności powierzchni ziemi niemal do poziomu. O wpół do dwunastej, podążając wciąż w kierunku prawie południowym, ujrzelśmy po raz pierwszy Kanał Bristolski; zaś w piętnaście minut później linia raf przybrzeżnych ukazała się tuż pod nami i wnet pławiliśmy się nad przestworem morskim. Postanowiliśmy tedy wypuścić tyle gazu, żeby nasza lina kierownicza przywiązany do jej końca beczułkami wlokła się po wodzie. Do wykonania przystąpiliśmy niezwłocznie i wnet zaczęliśmy stopniowo opadać. Po jakich dwudziestu minutach zanurzyła się pierwsza nasza beczułka, kiedy zaś dotknęła wody druga, jeliśmy się utrzymywać na jednakiej wysokości. Z kolei zapragnęliśmy wszyscy doświadczyć skuteczności steru i śruby i wprawiliśmy je natychmiast w ruch, chcąc zwrócić się więcej na wschód, w kierunku Paryża. Za pomocą

steru osiągnęliśmy rychło pożądaną zmianę i podążyliśmy niemal pod kątem prostym do kierunku wiatru. Następnie uruchomiliśmy sprężynę śruby i byliśmy wielce radzi widząc, iż działa sprawnie i zgodnie z naszymi życzeniami. Uczciliśmy to zdarzenie dziewięciokrotnym radosnym okrzykiem i wrzuciliśmy w morze butelkę zawierającą skrawek pergaminu z krótkim opisem zasady wynalazku. Zaledwie jednak zdążyliśmy zakończyć tę uroczystość, gdy zaszedł nieprzewidziany wypadek, który wywołał wśród nas niemałe przygnębienie. Trzpień stalowy, łączący sprężynę z przyrządem napadowym, wyskoczył nagle ze swego miejsca u skraju kosza (z powodu rozkołysania się kosza, wywołanego jakimś ruchem jednego z marynarzy) i wnet zawisł rozważany, z dala od nas i od czopa osi śruby. Kiedy staraliśmy się przyciągnąć go z powrotem i skupiliśmy na nim wszystką naszą uwagę, dostaliśmy się w mocny prąd wschodniego wiatru, który ze wzmagającą się siłą unosił nas w kierunku Atlantyku. Wnet znajdowaliśmy się nad pełnym morzem, lecąc z chyżością jakich pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu mil na godzinę, i dotarliśmy do Cape Clear, położonego o czterdzieści mil ku północy, zanim zdążyliśmy przytwierdzić z powrotem trzpień i zdaliśmy sobie sprawę, co czynić należy. Wówczas to Mr Ainsworth wpadł na pomysł, wprawdzie niezwykły, lecz według mnie niedorzeczny, któremu jednak bez wahania przyklasnął Mr Holland - mianowicie, żebyśmy korzystając z silnego wiatru, który nas ponosił, nie zawracali w kierunku Paryża, lecz starali się dotrzeć do wybrzeży Ameryki Północnej. Po chwili namysłu zgodziłem się na ten zuchwały projekt, który - rzecz dziwna - spotkał się z oporem tylko dwu marynarzy. Jednakże mieliśmy po swej stronie przewagę, poskromiliśmy ich obawy i podążyliśmy dalej naszym szlakiem. Obraliśmy kierunek zachodni. Ponieważ beczułki opóźniały naszą podróż, a balonem mogliśmy dowolnie powodować w górę i w dół, przeto wyrzuciliśmy najpierw pięćdziesiąt funtów balastu, a następnie za pomocą korby tak zwinęliśmy linę, iż nie dotykała wcale fali morskiej. Następstwa tych zarządzeń objawiły się natychmiast ogromnym przyśpieszeniem chyżości, a ponieważ wiatr dął coraz ostrzej, mknęliśmy z szybkością wprost niesłychaną; lina kierownicza fruwała za koszem niby flaga okrętu. Nie potrzebuję nadmieniać, iż nader rychło straciliśmy z oczu wybrzeże. Przelatywaliśmy ponad niezliczonymi statkami wszelkiego rodzaju, z których jedne zaledwie lawirowały, inne zaś stanęły w dryfie. Ze wszystkich pokładów pozdrawiano nas z ogromnym entuzjazmem ku wielkiej naszej radości, przede wszystkim zaś ku zadowoleniu dwu naszych marynarzy, którzy pod wpływem kilku kieliszków jałowcówki gotowi byli puścić z wiatrem wszystkie wahania i obawy. Z niektórych statków rozległy się sygnały armatnie; zewsząd posyłano ku nam radosne okrzyki, które dolatywały z zadziwiającą wyrazistością, powiewano chustkami i czapkami. Przez cały dzień podążaliśmy bez żadnego wypadku, kiedy zaś zaczęło się zmierzchać, obliczyliśmy w przybliżeniu przebytą drogę. Wynosiła ona z jakichś pięćset mil lub nawet znacznie więcej. Aparat napędowy był nieustannie w ruchu i niewątpliwie przyczyniał się wielce do przyśpieszenia naszego napędu. Gdy słońce zaszło, wiatr zamienił się w istny huragan. Ocean był najzupełniej widoczny z powodu fosforescencji fal. Wiatr dął przez całą noc od wschodu i był dla nas zwiastunem świetnego powodzenia. Dolegało nam wielce zimno, nasycona mgłą atmosfera dawała się nieprzyjemnie we znaki; znajdowało się jednakże tyle miejsca w koszu, że można się było położyć. Pootulani w płaszcze i dery, czuliśmy się jako tako.

PS (Mr Ainswortha). Ostatnich dziewięć godzin zaliczam bez wahania do najbardziej wstrząsających w moim życiu. Nie mogę sobie wyobrazić niczego wznioślejszego od dziwnej nowości i grozy podobnej wyprawy. Daj nam, Boże, powodzenie! Nie pragnę go dla mej nic nie znaczącej osoby, lecz radowałbym się nim ze względu na wiedzę ludzką i ogrom tryumfu. Wydaje się mi on tak uchwytny, iż wprost nadziwić się nie mogę, dlaczego ludzie nie podjęli wcześniej tej myśli. Dość jednej takiej wichury jak obecna - dość burzy, która ponosiłaby balon przez cztery lub pięć dni (często trwają one dłużej), a podróżny z łatwością przedostawałby się z jednego wybrzeża na drugie. Przy sprzyjającym wietrze bezbrzeże Atlantyku staje się zwykłym jeziorem. Zastanawia mnie, w chwili gdy to piszę, ogromna cichość zalegająca pod nami morze pomimo jego wzburzenia. Nie wołają wody do niebios. Płomienista roztoz oceanu wije się w mękach, ale się nie skarży. Spiętrzone zwały są niby niezliczone, nieme demony, zmagające się w bezsilnym konaniu. Takiej nocy, jak dzisiejsza, człowiek żyje - przeżywa całe wieki życia powszedniego - co do mnie, nie oddałbym tej porywającej rozkoszy za setki lat zwyczajnego bytu.

Niedziela, 7 kwietnia. (Rękopis Mr Masona). Dziś rano około dziesiątej siła wiatru osłabła do ośmiu lub dziewięciu węzłów (dla statków na morzu) i niesie nas z chyżością trzydziestu mil na godzinę lub nieco więcej. Atoli przybrała kierunek wprost północny. Obecnie, o zachodzie słońca, podążamy na zachód głównie przy pomocy steru i śruby, których sprawności jest zadziwiająca. Uważam nasze przedsięwzięcie za uwieńczone najzupełniejszym powodzeniem, zaś zagadnienie żeglugi powietrznej w dowolnych kierunkach (nie tylko z wiatrem) za ostatecznie rozwiązane. Nie mogliśmy wprawdzie stawiąć czoła wichurze wczorajszej, lecz wzniosłszy się wyżej, byłibyśmy mogli usunąć się poza jej zasięg, gdyby zachodziła potrzeba. Mam przekonanie, iż tegiemu, ciągłemu wiatrowi sprostałoby przy pomocy aparatu napędowego. Około południa wzniesiliśmy się do wysokości niemal 25 000 stóp, wyrzuciwszy nieco balastu. Zrobiliśmy to, by dostać się w prąd bardziej bezpośredni, lecz żaden nie sprzyjał nam w takiej mierze jak obecny. Do przeprawy przez ten stawek mamy tyle gazu, że moglibyśmy podróżować nawet trzy tygodnie. O wynik nie obawiam się zgola. Rzecz dziwna, jak trudności wyolbrzymiano i jak sobie nie zdawano z nich sprawy! Umiałbym dobrać prąd, gdybym zaś miał wszystkie prądy przeciwko sobie, zdołałbym utorować sobie drogę przy pomocy aparatu napędowego. Nie zaszło nic godnego uwagi. Noc zapowiada się dobrze.

PS (Mr Ainswortha). Niewiele mam do nadmienia, prócz szczegółu (który był dla mnie istną niespodzianką), że, na wysokości tej samej co Cotopaxi nie doznawałem zbyt dotkliwego zimna, nie miałem bólu głowy ni przeszkód w oddychaniu. Sądzę, iż tego samego doświadczyli Mr Mason, Mr Holland i Sir Everard. Mr Osborne skarżył się na ucisk w piersiach - ale to rychło przeszło. Lecieliśmy przez cały dzień z wielką chyżością i zdaje mi się, że mamy już za sobą przeszło połowę drogi przez Atlantyck. Przelecieliśmy ponad dwudziestu czy trzydziestu okrętami wszelkiego rodzaju i na wszystkich dostrzegliśmy radosne zdumienie. Przeprowadzić się balonem przez Ocean nie jest bynajmniej taką trudną rzeczą! Omne ignotum pro magnifico!

U w a g a. Na wysokości 25 000 stóp niebo wydaje się niemal czarne, a gwiazdy są najzupełniej widoczne: natomiast morze nie wydaje się wypukłe (jakby ktoś przypuszczał), lecz najzupełniej i najoczywiściej wklęsłe.

Poniedziałek, 8 kwietnia. (Rękopis Mr Masona). Uziś rano mieliśmy znowu nieco kłopotu z trzpieniem aparatu napędowego, który trzeba będzie zupełnie przekształcić, gdyż zachodzi obawa groźniejszego wypadku - mówię o trzpieniu stalowym, nie zaś o śmigach. Tych nie potrzeba ulepszać. Wiatr, ostry i nieprzerwany, dął przez cały dzień od północnego wschodu; szczęście zatem zda się nam sprzyjać. Tuż przede dniem zaniepokoiły nas nieco jakieś głuche szmery i wstrząśnienia w balonie, połączone z nagłym zastojem maszyny. Zjawiska te wywołała rozprężność gazu, spowodowana wzmocnieniem się ciepłoty atmosferycznej, oraz rozsypywanie się drobnych okruchów lodu, którymi okryła się sieć podczas

nocy. Zrzucał kilka butelek na statki przepływające pod nami. Zauważyłem, iż jedną z nich wyłowił wielki okręt - prawdopodobnie parowiec transportowy linii nowojorskiej. Próbowaliśmy odczytać jego nazwę, wszelako nie jesteśmy pewni, czy to nam się udało. Przez teleskop Mr Osborne'a dostrzegliśmy jakby słowo „Atalanta”. Jest obecnie północ; podążamy dalej pośpiesznie w kierunku niemal zachodnim. Morze fosforyzuje przedziwnie.

PS (Mr Ainswortha). Jest godzina druga po północy. O ile mogę sądzić, w powietrzu zalega cisza - wszelako trudno jest to określić, gdyż mkniemy wraz z tym powietrzem. Nie zmrzyłem oka, odkąd opuściliśmy Wheal-Vor, lecz nie mogę wytrzymać dłużej i muszę się zdrzemnąć. Powinniśmy być już w pobliżu wybrzeży amerykańskich.

Wtorek, 9 kwietnia. (Rękopis Mr Ainswortha). Pierwsza po południu. Przed nami roztaczają się niskie pobraża Karoliny Południowej! Wielkie zagadnienie rozwiązane. Przeprawiliśmy się przez Atlantyk - snadnie i łatwo przeprawiliśmy się balonem. Chwała Bogu! Któż odważy się teraz powiedzieć, że istnieją niepodobieństwa?

Tu dziennik się urywa. Wszelako Mr Forsyth zdołał jeszcze dowiedzieć się nieco od Mr Ainswortha o samym wylądowaniu. Panowała niemal martwa cisza, gdy podróżni ujrzeli po raz pierwszy wybrzeże. Niezwłocznie rozpoznali je obaj marynarze i Mr Osborne. Pan ten miał znajomości w Forcie Moultrie, więc natychmiast postanowiono wylądować gdzieś w pobliżu. Skierowano balon ku niskiemu brzegowi (skąd właśnie ustąpił przypływ, a piasek był zbity, gładki i przedziwnie nadający się do lądowania) i wyrzucono kotwiczkę, która zaryła się mocno od pierwszego rzutu. Mieszkańcy wyspy i fortu zbiegli się oczywiście, by zobaczyć balon; atoli dopiero z największą trudnością uwierzyli, iż podróż ta była przeprawą przez Atlantyk. Kotwiczka chwyciła się ziemi dokładnie o drugiej po południu; podróż, trwała zatem siedemdziesiąt pięć godzin, a raczej nieco mniej, od jednego wybrzeża do drugiego. Wypadku groźniejszego nie było. Ani przez chwilę nie zachodziła obawa istotnego niebezpieczeństwa. Opróżnienia i zabezpieczenia balonu dokonano bez trudu. Kiedy z Charlestonu wysyłano kurierem rękopisy, które stanowią podstawę niniejszego opowiadania, podróżni znajdowali się jeszcze w Forcie Moultrie. O ich dalszych zamierzeniach nic pewnego na razie nie wiadomo, przyrzekamy jednakże solennie naszym czytelnikom, iż dostarczymy jeszcze dodatkowych informacji bądź to w poniedziałek, bądź też najpóźniej następnego dnia.

Jest to niewątpliwie najbardziej zdumiewające i najważniejsze przedsięwzięcie, jakiego kiedykolwiek dokonał lub bodaj zamierzał dokonać człowiek. Byłoby rzeczą najzupełniej zbyteczną zastanawiać się nad przedziwnymi następstwami, jakie stąd mogą wynikać.

Przedwczesny pogrzeb

Istnieją pewne tematy przejmujące do głębi, wszelako nazbyt okropne, iżby mogły stać się przedmiotem rzetelnej literatury powieściowej. Rzetelni pisarze muszą ich unikać, jeśli nie chcą wywołać zgorszenia lub niesmaku. Godzi się je podejmować tylko w takich razach, gdy uświęca je i usprawiedliwia surowe dostojeństwo prawdy. Drżymy, na przykład, wstrząsani przenikliwym dreszczem „zachwycającej męki”, gdy czytamy o przejściu przez Berezynę, o trzęsieniu ziemi w Lizbonie, o dżumie w Londynie, o nocy św. Bartłomieja albo o uduszeniu stu dwudziestu trzech więźniów w Czarnej Jaskini w Kalkucie. Wszelako w tych opowieściach wstrząsają nami zdarzenia, rzeczywistość, historia. Gdyby były zmyślane, przejmowałyby nas tylko odrazą.

Przytoczyłem kilka najznamienszych i najszczytniejszych klęsk, jakich zaznała pamięć ludzka: rozplamieniają one wyobraźnię zarówno rozmiarami, jak i swoim charakterem. Nie uważam za potrzebne zaznaczać, że z długiego i złowrogiego korowodu nieszczęść ludzkich mógłbym wybrać wiele przykładów poszczególnych, nierównie więcej obarczonych istotną męką niż wszystkie te ogromy niedoli zbiorowej. Nędza istotna, rozpacz ostateczna - bywają, zaiste, udziałem jednostki, nie zbiorowości. Dziękujemy miłosierdziu boskiemu, iż upiornych mąk konania doznaje jednostka ludzka, a nie ludzka gromada!

Być pogrzebanym za życia jest niewątpliwie najostateczniejszą okropnością, jaka może przydarzyć się człowiekowi śmiertelnemu. Że zdarzała się często, bardzo często - temu zapewne nie zaprzeczą ludzie myślący. Rubieże, które dzielą życie od śmierci, są co najmniej mroczne i nieokreślone. Któż może powiedzieć, gdzie pierwsze się kończy, a drugie zaczyna? Wiemy, iż istnieją choroby, w których przejawia się zupełny zastój wszystkich widomych czynności życiowych, wszelako jest on tylko tym, co zwykliśmy nazywać zahamowaniem. Są to tylko chwilowe przerwy w niedocieczonym mechanizmie. Po pewnym czasie jakiś nieuchwytny, tajemniczy czynnik znów wprawia w ruch magiczne sprężyny i zakłete koła. Srebrny wątek nie rozsnął się na wieki i nie roztrzaskała się bezpowrotnie złota czara. Lecz co podówczas działo się z duszą?

Pomijając atoli nieunikniony wniosek a priori, że podobne przyczyny muszą wywoływać podobne skutki - że znane powszechnie przykłady takiego zahamowania czynności życiowych muszą powodować od czasu do czasu przedwczesne pogrzeby - pomijając, powtarzam, te teoretyczne wnioski, posiadamy bezpośrednie świadectwa lekarzy oraz innych osób, które stwierdzają, że takie pogrzeby zdarzały się nader często. Mógłbym przytoczyć niezwłocznie, jeżeli zachodziłaby potrzeba, setki wypadków niezawodnie autentycznych. Jeden, nadzwyczaj osobliwy, którego szczegóły nie zatarły się zapewne jeszcze w pamięci mych czytelników, zdarzył się nie tak dawno temu w sąsiednim mieście Baltimore i stał się przyczyną silnego, przykrego i powszechnego wzburzenia. Małżonka jednego z najszanowniejszych obywateli - znakomitego prawnika i członka Kongresu - uległa jakiejś nagłej i niepojętej chorobie, wobec której okazała się najzupełniej bezsilna wszelka umiejętność lekarska. Po wielu cierpieniach umarła lub przynajmniej wydawało się, że umarła. Nikt nie podejrzewał i nie miał powodu do podejrzeń, że zgon jej istotnie nie nastąpił. Okazywała wszystkie zwykłe oznaki śmierci - rysy zaostrzyły się i twarz zapadła. Usta powlokły się bladeścią marmuru. Oczy zgasły. Chłód ogarnął członki. Tętno ustało. Zwłoki spoczywały przez trzy dni nie pogrzebione i przybrały stężałość kamienia. Przyśpieszono obchód żałobny, gdyż szybko dokonywało się to, co wydawało się rozkładem.

Złożono tę panią w grobowcu rodzinnym, do którego nie zajrzano następnie przez trzy lata. Otwarto go dopiero wówczas, gdy było trzeba wstawić sarkofag; lecz jakież straszliwe wstrząs przeniknął małżonka, który sam otworzył drzwi! Kiedy podwoje rozwarły się; na zewnątrz, jakiś obleczony w biel przedmiot obsunął mu się w ramiona. Był to kościotrup jego żony w nie zbutwiałym jeszcze całunie.

Staranne badania wykazały, iż powróciła do życia w jakieś dwa dni po złożeniu do grobu; skutkiem jej szamotań trumna spadła ze skraju podwyższenia na posadzkę i rozbiła się, umożliwiając jej wyzwolenie. Lampa, którą przypadkiem pozostawiono w grobowcu napełnioną olejem, była pusta; co prawda, płyn mógł wyparować. Na najwyższym stopniu

schodów, prowadzących do żałobnego przybytku, znaleziono duży odłamek trumny, którym zapewne kołatała w żelazne drzwi, by zwrócić na siebie uwagę. Prawdopodobnie postradała przy tym przytomność lub może nawet wyzionęła ducha z samego tylko lęku. Kiedy padała, całun jej zaplątał się w żelazną kratę, której nierówności wystawały do wewnątrz. Pozostała tak, wyprostowana, i tak uległa rozkładowi.

W roku 1810 pogrzebano we Francji osobę żyjącą wśród okoliczności, które dowodzą, iż rzeczywistość bywa dziwniejsza od zmyślenia. Bohaterką tego zdarzenia była Mademoiselle Victorine Lafourcade, młoda dziewczyna ze znakomitej rodziny, bogata i bardzo piękna. Do licznych jej wielbicieli należał także Julien Bossuet, ubogi littérateur czy dziennikarz paryski. Zdolnościami swymi i pogodą swej natury zwrócił na siebie uwagę panny, która, jak się zdaje, szczerze go pokochała; wszelako za podszeptem dumy rodowej wyrzekła go się w końcu i poślubiła niejakiego Monsieur Renelle, bankiera i dość cenionego dyplomata. Ożeniwszy się, jął ją zaniedbywać a nawet prawdopodobnie źle z nią się obchodzić. Po kilkoletnim nieszczęśliwym pożyciu umarła - lub przynajmniej stan jej był tak podobny do śmierci, iż złudził całe jej otoczenie. Pochowano ją, atoli nie w sklepionym grobowcu, lecz w zwykłej mogile, na cmentarzu jej wsi rodzinnej. Zrozpaczony i z duszą rozgorzałą wspomnieniami głębokiego uczucia, kochanek wyjeżdża ze stolicy w - dalekie strony, gdzie leży owa wioska, zamierzając odgrzebać jej zwłoki i wejść w posiadanie szczodrych jej warkoczy. Odnajduje grób.

O północy odkopuje trumnę, otwiera ją i ma przystąpić do ucięcia włosów, gdy otwierają się ukochane oczy. Kobietę tę pochowano żywcem. Wszelako życie nie wygasło w niej zupełnie; z letargu, który wydawał się śmiercią, obudziły ją pieśczoły kochanka. Wprost nieprzytomny zaniósł ją do swego mieszkania we wsi. Dzięki swej niemałej wiedzy lekarskiej umiejętnie zastosował lekarstwa pokrzepiające. Ostatecznie powróciła do życia. Poznała swego zbawcę. Pozostała z nim i z wolna, stopniowo odzyskała w zupełności zdrowie. Jej kobiece serce nie było z diamentu i rozrzewniło się tym dowodem miłości. Oddała je Bossuetowi. Nie powróciła już do męża, lecz zataiwszy swe zmartwychwstanie wyjechała z kochankiem do Ameryki. W dwadzieścia lat później powrócili oboje do Francji w przeświadczeniu, że czas zmienił zupełnie wygląd owej pani i że znajomi nie będą mogli jej poznać. Wszelako się pomylili, gdyż przy pierwszym spotkaniu Monsieur Renelle poznał swoją żonę

I upomniał się o nią. Oparła się jego żądaniami, a sąd przyznał jej słusność orzekłszy, iż wyjątkowe okoliczności oraz długi przeciąg czasu unieważniły nie tylko ze względów godziwości, lecz także w znaczeniu prawnym wszelkie zobowiązania małżeńskie.

„Czasopismo Chirurgiczne” lipskie - które posiada takie zasługi i znaczenie, iż należałoby je przetłumaczyć i wydać - opowiada w swym ostatnim numerze o godnym ubolewania wypadku tego samego rodzaju.

Pewien oficer artylerii, człowiek olbrzymiego wzrostu i żelaznego zdrowia, spadł z narowistego konia i doznał tak ciężkich uszkodzeń głowy, iż wystąpiły u niego od razu oznaki obłędu. Czaszka była lekko nadwierzona, wszelako nie zachodziła obawa niezwłocznego niebezpieczeństwa. Dokonano trepanacji, która się powiodła. Puszczono mu krew i zastosowano inne środki kojące. Mimo to pogrążał się coraz bardziej w beznadziejnym stanie odrętwienia i w końcu zdawało się, że umarł.

Panowały gorąca, pochowano go przeto z niewłaściwym pośpiechem na jednym z cmentarzy publicznych. Pogrzeb odbył się w czwartek. W niedzielę; cmentarz zapełnił się, jak zwykle, ciżbą ludzką. Około południa wywołał ogromne zamieszanie jakiś chłop, który jął opowiadać, iż siedząc na grobie owego oficera uczuł wyraźnie, że ziemia pod nim się porusza, jak gdyby ktoś tam się, szamotał. Zrazu na słowa te niewielką zwracano uwagę. Wszelako widoczne przerażenie i zawzięty upór, z jakim podtrzymywał prawdziwość swego opowiadania, wywarły w końcu wrażenie na tłumie. Przyniesiono pośpiesznie łopaty i w kilka minut rozkopano haniebnie płytki grób, z którego ukazała się głowa nieboszczyka. Miał wygląd nieżywego, jednakże niemal prosto siedział w trumnie, której wieko, szamocząc się wściekle, zdołał częściowo podnieść w górę.

Odstawiono go natychmiast do najbliższego szpitala, gdzie okazało się, iż żyje jeszcze, aczkolwiek bliski uduszenia. Po kilku godzinach odzyskał przytomność, jął poznawać znajomych i urywanymi zdaniem opowiadać o swej męce w grobie.

Z opowiadania jego wynikało, iż był przytomny przez jakąś godzinę, kiedy go grzebano, i dopiero później postradał świadomość istnienia. Grób wypełniono niedbale luźną i mocno rozpulchnioną ziemią, skutkiem czego dopływało nieco powietrza. Słyszał stąpanie ciżby nad sobą i robił wysiłki, by go wzajem usłyszano. Zgiełk tłumy - jak mówił - obudził go z głębokiego uśpienia; obudzony, zdał jasno sobie sprawę ze straszliwej grozy swego położenia.

Chory ten miał się dobrze i był - jak się zdaje - bliski zupełnego wyzdrowienia, lecz padł ofiarą niedorzecznych eksperymentów lekarskich. Zastosowano baterię galwaniczną i wyzionął nagle ducha w przystępie ekstazy w ten sposób wywołanej.

Bateria galwaniczna wiąże się ze wspomnieniem powszechnie znanego i nadzwyczaj dziwnego wypadku; mianowicie przy jej pomocy przywołano do życia pewnego młodego adwokata londyńskiego, który przez dwa dni przebywał w grobie. Wypadek ten zdarzył się w 1831 r., a wieść o nim wywołała wszędzie głębokie wrażenie.

Chory, Mr Edward Stapleton, zmarł rzekomo na gorączki; tyfoidalną, połączonej z jakimiś niezwyklejmi objawami, które wiele zaciekawiły czuwających nad nim lekarzy. Po jego pozornym zgonie domagano się od rodziny, by zezwoliła na sekcję zwłok, ale pozwolenia nie otrzymano. Jak często się zdarza w podobnych wypadkach, lekarze postanowili odkopać zwłoki i dokonać sekcji po kryjomu. Wszelkie przygotowania poczyniono z łatwością przy pomocy nader licznych w Londynie złodziei, którzy kradną trupy. Trzeciej nocy po obchodzie żałobnym wydobyto domniemane zwłoki z dołu, głębokiego na osiem stóp, i złożono je w sali operacyjnej pewnej lecznicy prywatnej.

Dość duże cięcie, wykonane w okolicy jamy brzusznej, pozwoliło stwierdzić, iż trup jest jeszcze świeży i nie dotknięty rozkładem; postanowiono zatem zastosować baterię. Odbywały się doświadczenia jedne po drugich, występowały zwykłe objawy, nie wykazujące atoli niczego charakterystycznego prócz dwu czy trzech wzmoczonych skurczów, które były jakby oznaką życia.

Noc była późna. Miało się już ku świtanu, więc obecni postanowili dłużej nie zwlekać i przystąpić od razu do sekcji całkowitej. Wszelako pewien student, pragnąc sprawdzić swą teorię, nalegał, by poddano działaniu baterii któryś z mięśni piersiowych. Zrobiono głębokie cięcie i połączono pośpiesznie mięsień z baterią, gdy przedmiot badań ruchem nagłym, lecz „bynajmniej nie kurczowym, zerwał się ze stołu, postąpił na środek sali, rozejrzał się błędnie dokoła i przemówił. Niepodobna było zrozumieć, co mówił, ale wymawiał jakieś słowa i zgłoski brzmiały wyraźnie. Przemówiwszy, powalił się ciężko na posadzkę.

Zrazu wszystkich ubezwładniła groza - lecz opamiętali się rychło, gdyż nie było ani chwili do stracenia. Przekonali się, że Mr Stapleton jest żywy, jakkolwiek nieprzytomny. Otrzeźwiony eterem, wnet odzyskał zdrowie i powrócił do rodziny, którą o jego zmartwychwstaniu zawiadomiono dopiero wówczas, kiedy wszelkie niebezpieczeństwo minęło. Nietrudno wyobnażyć sobie jej zdumienie - jej osłupiałą radość.

Wszelako najbardziej wstrząsające szczegóły zawierały się w tym, co sam Mr Stapleton opowiadał. Utrzymywał on, że ani przez jedno mgnienie nie był zupełnie nieprzytomny, że niejasno i bezładnie wiedział o wszystkim, co z nim się działo od chwili, kiedy lekarze orzekli, że jest martwy, aż do utraty przytomności w szpitalu. „Jestem żywy” - brzmiały owe niezrozumiałe słowa, które cisnęły mu się na struchlałe usta, kiedy zobaczył, że znajduje się w sali prosektoryjnej.

Z łatwością mógłbym przytoczyć jeszcze mnóstwo podobnych przykładów, lecz nie czynię tego, gdyż, zaprawdę, nie są one potrzebne, by dowieść, że przedwczesne pogrzeby się zdarzają. Jeżeli zważymy, jak niezmiernie rzadkie z natury rzeczy są okoliczności, które pozwalają nam je odkryć, to musimy przypuścić, iż zdarzają się one często bez naszej wiedzy. Jakoż prawie zawsze przy uprzątnięciu cmentarzy na znaczniejszych przestrzeniach spotyka się kościotrupy, których postawy nasuwają najstraszniejsze przypuszczenia.

Strasliwie, zaiste, przypuszczenie, lecz stokroć strasliwszy los! Można zapewnić bez wahania, iż nie ma nieszczęścia, które by mogło w tak okropnej mierze pogłębić do ostateczności ciało i duszę, jak przedwczesne złożenie do grobu. Nieznośny ucisk płuc, duszące wyziewy wilgotnej ziemi, wpijanie się rąk w pośmiertne całuny, nieubłagana cieśń szczupłego pomieszczenia, mrok wiekuiestej nocy, cisza jak ogłuszające morze, niewidzialna wprawdzie, lecz dająca się wyczuć obecność robaka-zwycięzcy - wszystko to w połączeniu z myślami o powietrzu i zieleni rozpostartej hen, w górze, ze wspomnieniami o ludziach nam bliskich, którzy by pośpieszyli z pomocą, gdyby wiedzieli, co z nami się dzieje, ze świadomością, iż oni o tym nigdy dowiedzieć się nie mogą, że beznadziejnym udziałem naszym jest nieunikniona śmierć - myśli te napawają serce, co jeszcze bije, takim ogromem przerażenia i nieuskromionej trwogi, iż cofa się z drzeniem przed, nimi nawet najśmielsza wyobraźnia. Nie znamy niczego równie rozpaczliwego na ziemi, nie możemy wyśnić niczego bodaj na poły równie potwornego w otchłani najostateczniejszych piekieł; i dlatego opowieści z tej dziedziny są tak ogromnie zajmujące. Jest to następstwem świętej grozy, jaką wywołuje sam przedmiot, iż zajęcie to pozostaje w najzupełniejszej i najściślejszej zależności od naszego przeświadczenia o prawdziwie rzeczy opowiadanej. To, co zamierzam opowiedzieć obecnie, jest mi doskonale znane - polega na mym osobistym i rzeczywistym doświadczeniu.

Od kilku lat doznawałem objawów jakiegoś dziwnego niedomagania, które lekarze uznali zgodnie za katalepsję, nie mogąc się zdobyć na ściślejsze określenie. Aczkolwiek predyspozycja, przyczyny bezpośrednie a nawet rozpoznanie bieżące tej choroby przedstawiają się jeszcze nader niejasno, to przecież widoczne i charakterystyczne jej przejawy są już dostatecznie znane. Odmiany jej zależą głównie od nasilenia. Niekiedy chory tylko dzień jeden lub nawet krócej znajduje się w stanie jakby wzmoczonego letargu. Jest bez czucia i zewnętrznie bez ruchu, lecz słabe tętno serca daje się wciąż jeszcze wyczuwać; ciepłota w zupełności nie zanika; nikły ślad rumieńca mży jeszcze pośrodku policzków; przyłożywszy mu lusterko do ust można zauważyć opieszalą, chwiejną i nierówną czynność płuc. Innym razem odrętwienie to może trwać całymi tygodniami lub nawet miesiącami, najdokładniejsze badania, najprzenikliwsze dociekania lekarskie nie mogą wówczas wykryć istotnej różnicy między stanem, w którym znajduje się chory, a między tym, co nazywamy śmiercią. Przedwczesnemu jego pogrzebowi zapobiega zwykle tylko to, że najbliżsi wiedzieli już od dawna o jego niedomaganiu kataleptycznym, więc mają się na baczności, zaś przede wszystkim to, że nie występują oznaki rozkładu. Rozwój choroby odbywa się, na szczęście, stopniowo. Pierwsze objawy, aczkolwiek zmienne, są niedwuznaczne. Paroksyzmy zaznaczają się coraz wyraźniej; każdy następny przeciąga się dłużej od poprzedzającego. Na tym polega przede wszystkim zabezpieczenie przed złożeniem do grobu. Nieszczęśliwy, u którego pierwszy paroksyzm przejawiłby się od razu w formie najkrańcowszej, jak to niekiedy się zdarza, zostałby na pewno pochowany żywcem.

Mój wypadek różnił się wcale znacznie od przytaczanych w podręcznikach lekarskich. Niekiedy bez widocznej przyczyny zapadałem z wolna jak gdyby w nieprzytomność, w połowiczne omdlenie. Pozostawałem w tym stanie, nie doznając bólu, nie mogąc się ruszać ani też - by wyrazić się ściśle - myśleć, zachowując jednakże niejasne, letargiczne poczucie życia jako też osób otaczających moje łoże, aż do chwili, kiedy w chorobie następowało przesilenie i nagle powracała mi zupełna świadomość. Innym razem ulegałem jakby spiesznemu i natarczywemu porażeniu. Przychodziły zawroty i mdłości, zastygałem, krzępłem i padałem bezwładnie na ziemię. Potem następowały długie tygodnie, kiedy wszystko ziało czczością, czernią i milczeniem, a nicosiś stawała się wszechświatem. Nie byłoby snadź niczym innym zupełne unicestwienie. Paroksyzmy tego rodzaju mijały tym wolniej, im poczynały się naglej. Podobnie jak świta dzień opuszczonemu, bezdomnemu żebrakowi, co przez całą długą, beznadziejną noc zimową błąkał się po ulicach - tak samo opieszale, tak samo smętnie, tak samo radośnie rozwidniała się znów we mnie światłość duszy.

Poza tą skłonnością do paroksyzmów zdrowie moje na ogół zdawało się niezłe i nie byłbym zauważył wcale, że je podkopuje jakaś ciężka choroba, gdyby nie pewne właściwości mojego snu, które wystąpiły jako objaw dodatkowy. Po przebudzeniu nie odzyskiwałem nigdy od razu pełnego posiadania mych zmysłów tudzież pozostawałem zawsze przez czas jakiś w stanie silnego rozstroju i odurzenia, przy czym władze umysłowe w ogólności, zaś pamięć w szczególności pogrążyły się w zupełnym bezwładzie i zastoiu.

We wszystkich tych niedomaganiach nie było wcale cierpień fizycznych, przygnębiał mnie natomiast cały beżmiar udręczeń psychicznych. Wyobraźnia moja oblekała się całunem. Mówiłem o robakach, o mogiłach, o napisach na grobach. Zaprzepaszczałem się w marzeniach o śmierci, zaś myśl o przedwczesnym pogrzebie nieustannie snuła mi się po głowie. Czyhało na mnie upiorne niebezpieczeństwo, prześladowało mnie dniem i nocą. Za dnia tortura myśli była ogromna - w nocy stawała się beżmierną. Gdy posępne mroki zalegały ziemię i ogarniała mnie ostateczna groza mych rozmyślań, drżałem - drżałem jak chwiejne pióropusze na pojazdach żałobnych. Kiedy moje ciało nie mogło znieść dłużej beżsenności, opierałem się mimo to uspieniu, gdyż przerażała mnie myśl, iż po przebudzeniu mogę ujrzeć się w grobie. Kiedy zaś w końcu pogrążyłem się we śnie, zapadałem natychmiast w świat widziadeł, nad którym na olbrzymich, złowieszczych, przyćmiewających wszystko skrzydłach unosiła się przemożna i jedyna świadomość żałoby.

Z niezliczonych, smętnych zwidzeń, które udręczały mnie we śnie, przytoczę tylko jedno. Zdawało mi się, iż nurzam się w odrętwieniu kataleptycznym, nierównie przewleklejszym i głębszym niż zazwyczaj. Nagle czyjaś lodowata ręka spoczęła na moim czole i jakiś niecierpliw, szwargoczący głos słowo: „Wstań!” szepnął mi do ucha.

Zerwałem się. Ciemność była nieprzebita. Nie mogłem dostrzec, kto mnie obudził. Nie mogłem zdać sobie sprawy, ani kiedy zapadłem w odrętwienie, ani gdzie obecnie przebywam. Siedziałem nieruchomo i starałem się zebrać myśli, gdy owa mroźna dłoń ujęła mnie za rękę i potrząsnęła nią zuchwale, zaś ów szwargoczący głos odezwał się znów:

- Wstań! Czy ci już nie mówiłem, żebyś wstał?

- Ale kto - pytałem - kto ty jesteś.

- W krainie, gdzie przebywam obecnie, me mam imienia - odparł głos posępnie. - Byłem człowiekiem, lecz jestem demonem. Byłem bezlitosny, lecz jestem pełen miłosierdzia. Czy nie czujesz, że drżą cały; szcękają mi zęby, gdy mówię do ciebie, wszelako nie z zimna tej nocy - lecz nocy co nie ma końca. Ta ohyda jest nie do zniesienia. Jak możesz spać spokojnie? Wołania tych mąk bezgranicznych nie pozwalają mi usnąć. Te widoki są nad moje siły. Wstawaj! Pójdź ze mną w tę noc zagrobową, a odsłonię ci tajnie. Czyż to nie obraz żalości? Patrz!

Spojrzałem; za sprawą niewidzialnej postaci, co wciąż jeszcze trzymała mnie za rękę, otwarto się przede mną groby całej ludzkości. Promieniowały wszystkie fosforyczną poświatłą rozkładu, mogłem więc zajrzeć aż do najtajemniejszych podziemi i zobaczyłem tam spowite w całuny ciała, co swe uroczyste, smętne odpoczywanie dzieliły z robactwem. Ale, niestety! tych, którzy spali, było niewiele w porównaniu z milionami tych, którzy usnąć nie mogli. Pełno tam było słabych wysiłków, i wszędzie żaloszny panował niepokój: i w głębi niezliczonych dołów szemrały posępnie czechła umarłych. I dostrzegłem, że wielu z tych, którzy leżeli spokojnie, zmieniło mniej lub więcej niewygodną, sztywną pozycję, w jakiej pierwotnie złożono ich do grobu. Kiedym tak patrzył, głos ów odezwał się znowu:

- Cóż... czy nie jest to żaloszny widok? - Zanim jednak zdążyłem odpowiedzieć, postać owa puściła mą rękę, fosforyczne światła pogasły i zatrzasnęły się nagle groby, z których zawtórował zgiewk rozpaczonych okrzyków: - Nie jest to, o Boże, przeżaloszny widok?

Złowieszczy wpływ tych zwidzeń nawiedzających mnie nocą przenikał także głęboko w moje życie na jawie. Nerwy moje uległy zupełnemu rozstrojowi i stałem się pastwą niewygasającej trwogi. Unikałem jazdy konnej, przechadzek, słowem wszystkiego, co mogłoby mnie oddalić od domu. Po prostu nie odważałem się przebywać z dala od osób, które wiedziały o mojej skłonności do katalepsji, obawiałem się bowiem, iż gdyby zdarzyło mi się ulec zwykłemu paroksyzmowi, mógłbym zostać pogrzebany, zanim zdołano by sprawdzić mój stan istotny. Powątpiewałem o troskliwości, o przywiązaniu najmilszych przyjaciół. Wzdrygałem się na myśl, iż w razie dłuższego niż zwykle paroksyzmu mogliby zachwiać się w swoim przeświadczeniu i uznać mnie za ostatecznie straconego. Posunąłem się nawet tak daleko, iż jałem się lękać, by korzystając z jakiego przewlekłego paroksyzmu nie byli radzi, że mogą uwolnić się od wielu trosk, których byłem przyczyną, i nie uważali ich za dostateczne usprawiedliwienie, żeby pozbyć się mnie na zawsze. Na próżno starali się mnie uspokoić uroczystymi przyrzeczeniami. Wymogłem na nich najświętszą przysięgę, iż nie złożą wcześniej zwłok moich do grobu, aż zupełny rozkład uniemożliwi dalsze ich przechowywanie. Wszelako nawet wówczas mój lęk śmiertelny nie chciał słuchać głosu rozumu, nie dawał się ukoić żadnym pocieszeniem. Poczyniłem zatem mnóstwo nadzwyczaj starannie obmyślonych zarządzeń. Między innymi kazałem w ten sposób przebudować grobowiec rodzinny, żeby go można było z łatwością otworzyć od wewnątrz. Najlżejszy nacisk na długą dźwignię, sięgającą daleko w głąb sklepu grobowego, wystarczał, by żelazne podwoje rozwarły się na oścież. Były tam także urządzenia umożliwiające swobodny dopływ światła i powietrza jako też odpowiednie schowki na pokarm i wodę, znajdujące się w bezpośrednim pobliżu trumny przeznaczonej na moje przyjęcie. Trumna ta była miękko i ciepło wysłana. Posiadała wieko urządzone w taki sposób, jak podwoje grobowca, z dodatkami sprężyn, które przy najlżejszym poruszeniu ciała uwalniały je z zamknięcia. Ponadto na dachu grobowca kazałem zawiesić wielki dzwon, od którego przez otwór w trumnie miano przeprowadzić linę łączącą go z ręką trupa. Ale niestety, czyż może mierzyć się czujność ludzka z przeznaczeniem? Mimo tych urządzeń, zapewniających zupełne bezpieczeństwo, nic nie mogło ocalić od ostatecznych mąk mnie, nieszczęsnego, skazanego przedwiecznym wyrokiem na pochowanie żywcem w grobie!

Przyszła chwila - jak to niejednokrotnie bywało już przedtem - iż wśród zupełnej nieprzytomności jęło mi świtać nikle, nieokreślone poczucie istnienia. Z wolna - złotym krokiem - zbliżały się mdłe, szare brzaski psychicznego rozwidnienia. Odretwiałość niedomagania. Bezwolne poddanie się głuchej męce. Stan próżen troski, wysiłku, nadziei. Po długiej przerwie - dzwonienie w uszach; po czym, po jeszcze dłuższej - pieczenie i klucie w kończynach; następnie pozornie wiekuiasty okres rozkosznego spokoju, podczas którego budzące się odczuwania siłą się, by stać się myślami; potem krótkie, ponowne zaprzepaszczenie się w niebycie, a po nim nagłe ocknienie. W końcu lekkie drgnienie powiek i w okamgnieniu elektryczny wstrząs grozy, śmiertelnej i nieokreślonej, co sprawia, iż krew przelewa się strumieniami ze skroni ku sercu. I oto pierwszy, rzeczywisty odruch myśli. I oto pierwsze drgnienie pamięci. I oto powodzenie częściowe i pierzchliwe, i zaraz potem pamięć, odzyskująca w tym stopniu swą władzę, że mogę w pewnej mierze zdać sobie sprawę z mego stanu. Czuję, iż nie budzę się ze zwykłego snu. Przypominam sobie, że jestem chory na katalepsję. I w końcu jakby ocean mnie przywalił, bo oto mój spiorunowany duch gnie się pod brzemieniem jedyne potworne niebezpieczeństwa - jedynej, upiornej i wiekuiście władczej idei.

Opełniony przez to urojenie, leżałem czas jakiś nieruchomo.

I dlaczego? Nie mogłem zdobyć się na odwagę, by się poruszyć. Nie śmiałem uczynić wysiłku, który by mi dał świadomość mego losu; a jednak było coś w moim sercu, co szeptało, iż był nieuchronny. Rozpacz, jakiej niezdolna jest wzniecić żadna inna niedola - rozpacz tylko zniewoliła mnie po długim wahaniu, bym rozwarł ciężkie powieki. Rozwarłem je. Było ciemno - wszędzie ciemno. Wiedziałem, że paroksyzm minął. Wiedziałem, że przesilenie mej niemocy dawno się skończyło. Wiedziałem, że odzyskałem w zupełności zdolność widzenia, a jednak było ciemno - wszędzie ciemno - głęboka, nieprzenikniona ciemność nocy wygasłej na wieki!

Chciałem krzyknąć; wargi moje i spieczony język drgały kurczowym wysiłkiem, ale z czeluści płuc nic dobył się głos. Jakby przywalone brzemieniem jakiejś góry, dyszały i dygotały wraz z sercem przy każdym uciążliwym i wysiłonym oddechu.

Ruch szcęk, które rozwarłem, by krzyknąć głośno, uświadomił mi, że były podwiązane, jak zwykle u umarłych. Uczułem również, że leżę na czymś twardym i że coś podobnego zwiera się ciasno koło mnie z obu stron. Dotychczas nie śmiałem drgnąć żadnym członkiem, lecz teraz mocno szarpnąłem rękami, które spoczywały wyciągnięte i skrzyżowane powyżej dłoni. Uderzyły o jakąś silną, drewnianą zaporę, która wysklepiała się nade mną o jakie sześć cali od twarzy. Nic mogłem już wątpić dłużej, iż spoczywałem wreszcie w trumnie.

I oto wśród bezmiaru męczarni zaszemrał mi słodko cherub nadziei - gdyż pomyślałem o moich urządzeniach. Wiłem się i przeżyłem z całej siły, by podnieść wieko - ani drgnęło! Macałem rękami szukając sznura od dzwonu; nie było go! Jakoż pierzchnął na zawsze mój pocieszyciel i zawładła tryumfująco jeszcze okrutniejsza rozpacz; nie mogłem bowiem znaleźć wyściółki, którą tak starannie przygotowałem, a ponadto nagle uczułem w nozdrzach dziwnie mocny zapach wilgotnej ziemi. Wniosek był nieodparty. Nie znajdowałem się w sklepie grobowym. Uległem paroksyzmowi gdzieś poza

domem - wśród obcych ludzi. Jak i kiedy, nic mogłem sobie przypomnieć. Oni to pochowali mnie jak psa - zabili gwoździami w biele jakiej trumnie i zagrzebali głęboko, głęboko i na zawsze w pierwszym lepszym, bezimiennym dole.

Gdy to bolesne przeświadczenie wtargnęło do najgłębszych tajni mej duszy, wyteżyłem znów wszystkie siły, by krzyknąć na całe gardło, i tym razem mi się udało. Długi, przeciągły, dziki wrzask, a raczej potępieńcze wycie rozległo się w przestworzach podziemnej nocy.

- A co tam takiego? - odpowiedział szorstko jakiś głos.

- Co mu, u diabła, się dzieje - odezwał się drugi.

- Cicho być! - odezwał się trzeci.

- Co on sobie myśli, że drze się jak dzikie zwierzę? - rzekł czwarty, po czym szajka jakichś nieokrzesanych postaci przystąpiła do mnie i jęła mną tarmosić bez ceremonii przez kilka minut. Nie obudzili mnie - gdyż nie spałem już wcale, kiedy krzyknąłem - lecz pomogli mi się opamiętać.

Zdarzyło mi się to w pobliżu Richmond w Wirginii. W towarzystwie jednego z przyjaciół wybrałem się na polowanie o kilka mil poniżej mielizn na rzece James. Noc zbliżała się, kiedy zaskoczyła nas burza. Kabina małej szalupy, stojącej u brzegu na kotwicy i naładowanej ziemią ogrodową, była jedynym pobliskim schronieniem. Urządaliśmy się możliwie najwygodniej i spędziliśmy noc na pokładzie. Ułożyłem się do snu na jednym z dwu posłań, jakimi rozporządzała załoga statku, a nie potrzebuję chyba nadmieniać, czym są posłania w szalupie o pojemności szesnastu czy siedemnastu ton. Na tym, które zająłem, nie było wcale pościeli. Największa jego szerokość wynosiła zaledwie osiemnaście cali, zaś odległość tego tapczanu od wysklepiającego się nad nim pomostu była dokładnie taka sama. Wcisnąłem się na to łóżko z największą trudnością. Mimo to spałem jak kamień, widzenie moje - nie był to bowiem sen ani nocna zmora - było naturalnym następstwem nader niewygodnej pozycji. Ponadto wynikło z nawykowych skłonności mojego umysłu jako też ze wspomnianej już opieszałości, z jaką odzyskiwałem władzę nad mymi zmysłami, zwłaszcza zaś, z jaką powracała mi pamięć po przebudzeniu. Ludzie, którzy mnie tarmosili, należeli do załogi szalupy, lecz było wśród nich także kilku robotników zajętych przy jej wyładowaniu. Zapach ziemi pochodził od ładunku. Opaską dokoła szczęk była jedwabna chustka, którą zawiązałem sobie głowę nie mając pod ręką używanej zazwyczaj czapeczki nocnej. Męczarnie, jakich podówczas doznałem, nie różniły się na pewno od rzeczywistych. Były straszliwe - były bezgranicznie ohydne: wszelako zło było początkiem dobrego, gdyż pod ich uciskiem ocknęła się odporność mych władz duchowych: Dusza moja nabrała krzepkości - nabrała hartu. Począłem dużo chodzić, jąłem się usilnie ćwiczeń fizycznych. Oddychałem powietrzem przestworów niebieskich. Myślałem o innych rzeczach - nie o śmierci. Buchana rzuciłem w ogień, Zarzekłem się podręczników lekarskich. Nie czytywałem Myśli nocnych ani bajań o cmentarzach, ani karawaniarskich opowiadań, takich jak niniejsze. Słowem, stałem się nowym człowiekiem i żyłem jak człowiek. Od owej pamiętnej nocy wyzbyłem się na zawsze żalobnych przewidywań, a wraz z nimi znikły niedomagania kataleptyczne, które prawdopodobnie były raczej ich następstwem niżeli przyczyną.

Bywają chwile, kiedy nawet dla trzeźwych oczu rozumu świat naszego nieszczęsnego człowieczeństwa staje się podobny do piekła; atoli wyobraźnia ludzka nie może, jak Carathis, badać bezkarnie wszystkich jego czeluści. Niestety! straszliwy korowód lęków pogrzebowych nie jest tylko urojeniem. Niby owe demony, które towarzyszyły Afrasiabowi w jego podróży przez Oksus, muszą one spoczywać we śnie albo nas pochłonąć - trzeba je uspić, jeśli nie chcemy zginać.

Skradziony list

Nil sapientiae odiosius acumine nimio!

(Seneka)

Było to w Paryżu, jesienią 18.. r. Pewnego burzliwego wieczora, wnet po nastaniu ciemności, zażywałem podwójnej rozkoszy zadumy i fajki piankowej, siedząc w towarzystwie mojego przyjaciela, C.A. Dupina, w jego niewielkiej bibliotece lub raczej zapełnionej książkami pracowni, na trzecim piętrze domu nr 33 przy rue Donot, Faubourg Saint Germain. Już od jakiejś godziny zachowywaliśmy głębokie milczenie. Komuś, kto by nas wówczas przypadkowo podpatrzył, mogłoby się wydawać, iż jesteśmy wyłącznie i skrzętnie zajęci kłębiącymi się odmętami dymu, który przesycił atmosferę pokoju. Jeśli jednak chodzi o mnie, to roztrząsałem w duszy pewne zagadnienia, o których rozmawialiśmy poprzednio owego wieczora. Mam mianowicie na myśli zbrodnię przy rue Morgue oraz tajemnicę zabójstwa Marii Rog?t. Dopatrywałem się właśnie w nich niejakich zbieżności, gdy drzwi się otwały i wszedł do pokoju dawny nasz znajomy. Monsieur G., prefekt policji paryskiej.

Powitaliśmy go serdecznie; człowiek ten miał bowiem w swej naturze tyleż właściwości ujmujących, co niegodnych, i nie widzieliśmy go już od kilku lat. Siedzieliśmy po ciemku, więc Dupin podniósł się z miejsca, by zapalić lampę, lecz usiadł znowu, gdy G. oznajmił, iż przyszedł poradzić się nas, a raczej zasięgnąć zdania mojego przyjaciela w pewnej sprawie urzędowej, która czyni mu mnóstwo kłopotu.

- Jeżeli jest to coś, co wymaga skupienia - powiedział Dupin powstrzymując się od zapalenia światła - to będzie lepiej zastanowić się po ciemku.

- Jak widzę, uroił pan sobie jeszcze jedną dziwną mrzonkę - rzekł prefekt, dla którego wszystko, co nie mieściło się w jego pojęciu, było „dziwaczne”, więc plątał się przez całe życie wśród nieprzebranego mnóstwa „dziwaczności”.

- Istotnie - odparł Dupin częstując swego gościa fajką i podsuwając mu wygodny fotel.

- A jakież to ma pan kłopot? - zapytałem. - Spodziewam się, iż nie chodzi o nowe zabójstwo?

- Och, nie, nic podobnego! Sprawa jest w rzeczywistości nader prosta i nie wątpię, iż poradzilibyśmy z nią sobie sami; ale przyszło mi na myśl, że Dupina zaciekawiłyby jej szczegóły, ponieważ jest ogromnie dziwna.

- Prosta i dziwna - odezwał się Dupin.

- Ależ tak, chociaż, mówiąc ściślej, nie w jednakiej mierze. To pewna, iż jesteśmy mocno zakłopotani, ponieważ ta sprawa, aczkolwiek taka prosta, zupełnie zbija nas z tropu.

- A może nadzwyczajny jej prostota wprowadza was w błąd? - zagadnął mój przyjaciel.

- Co za głupstwa pan gada! - odparł prefekt śmiejąc się serdecznie.

- Może tajemnica jest nieco za przejrzysta? - rzekł Dupin.

- Na miłość boską! Czy kto słyszał kiedy coś podobnego?

- Może za bardzo leży jak na dłoni?

- Ha, ha, ha! Ha, ha, ha! Ho, ho, ho! - rżał nasz gość, niezmiernie ubawiony. - Oh, Dupin, ja umrę kiedyś przez pana!

- O cóż jednakże w końcu chodzi? - zapytałem.

- Owszem, powiem panom - odpowiedział prefekt i puszczając w zadumie nieustanne i gęste kłęby dymu zasiadł w fotelu. - Opowiem wszystko w kilku słowach; lecz zanim rozpocznę, uważam za konieczne ostrzec panów, iż jest to sprawa wymagająca najgłębszej tajemnicy i że straciłbym najprawdopodobniej moje stanowisko, gdyby się dowiedziano, że mówiłem o niej komukolwiek.

- Proszę przystąpić do rzeczy - odezwałem się.

- Albo nie - rzekł Dupin.

- Więc będę mówił! Zawiadomiono mnie, i to z bardzo wysokich sfer, iż z pokojów królewskich skradziono nadzwyczaj ważny dokument. Wiadomo, kto skradł; nie ulega to wątpliwości; widziano jak go zabrał. Wiadomo również, iż dokument ten znajduje się wciąż jeszcze w jego posiadaniu.

- Skądże to wiadomo? - zapytał Dupin.

- Wynika to niezawodnie z treści dokumentu oraz stąd, iż nie było pewnych następstw, które musiałyby od razu się objawić, gdyby przestał znajdować się w posiadaniu złodzieja - to znaczy, gdyby został tak użyty, jak tenże w końcu użyć go zamierza.

- Proszę wyrazić się jaśniej - rzekłem.

- Dobrze, posunę się tak daleko, iż dodam, że ten papier użycza osobie, która nim się wykaże, pewnej władzy w pewnym miejscu, gdzie ta władza jest niezmiernie cenna.

Prefekt był wielbicielem cantu dyplomatycznego.

- Niezupełnie jeszcze rozumiem - przemówił Dupin.

- Nie? A więc, o ile by dokument ten stał się dostępny komuś trzeciemu, którego nazwiska nie wymienię, to mógłby wyniknąć stąd uszczerbek czci dla osoby wysoce dostojnej; skutkiem tej okoliczności przywłaszczyciel tego dokumentu ma przewagę nad ową dostojną osobą, której spokój i cześć są wielce narażone.

- Wszelako ta przewaga - przerwałem - zależy od tego, czy złodziej wie, iż jako sprawca tej kradzieży jest znany osobie okradzionej. Któż by śmiał...

- Złodziejem - odparł prefekt - jest minister D., który odważa się na wszystko... na rzeczy godne i niegodne mężczyzny. Sposób kradzieży był nie mniej pomysłowy jak zuchwały. Dokument ów - powiedzmy otwarcie, list - otrzymała osoba okradzona, kiedy znajdowała się sama w buduarze królewskim. Zajęta była właśnie czytaniem tego listu, gdy przeszkodziło jej nagłe wejście innej dostojnej osoby, przed którą przede wszystkim pragnęła go kryć. Na próżno starała się pośpiesznie wrzucić go do szuflady musiała w końcu położyć go na stole tak, jak był otwarty, wszelako odwróciła go adresem do góry, treść zatem nie była widoczna i nie zwracała uwagi. Kiedy to się działo, wszedł minister D. Jego rysie oczy natychmiast dostrzegły ten papier; poznał pismo na adresie, zauważył zmieszanie osoby, do której list był pisany, i przeniknął jej tajemnicę. Załatwiwszy na łeb, na szyję, jak to zwykł czynić, kilka spraw, wyjął jakiś list, nieco podobny do leżącego na stole, otworzył go, udał, że czyta, i położył tuż obok poprzedniego. Po czym znów rozmawiał przez, jakieś piętnaście minut o sprawach publicznych. W końcu pożegnał się i wziął ze stołu list, który do niego nie należał. Widziała to osoba poszkodowana, ale nie śmiała mówić o tym, co się stało, w obecności osoby trzeciej, stojącej u jej boku. Minister wyszedł, pozostawiając na stole swój list, pisany w jakiejś błahej sprawie.

- Masz zatem - rzekł Dupin do mnie - właśnie to, o co ci chodzi, by przewaga była zupełna; mianowicie złodziej wie, iż jako sprawca tej kradzieży jest znany osobie okradzionej.

- Tak jest - potwierdził prefekt - zaś władzę, w ten sposób zdobytą, wyzyskuje od kilku miesięcy dla swych celów politycznych w rozmiarach wprost niebezpiecznych. Osoba poszkodowana z dnia na dzień utwierdza się w przekonaniu, iż trzeba będzie odzyskać ten list. Nie można jednak zrobić tego jawnie. W końcu, doprowadzona do rozpaczy, zwróciła się w tej sprawie do mnie.

- Bo czyż można było - rzekł Dupin nurzając się w istnym obłoku dymu - wyszukać lub bodaj wyobrazić sobie urzędnika równie roztropnego?

- Pochlebia mi pan - odpowiedział prefekt - wszelako jest rzeczą możliwą, iż istotnie utarła się o mnie taka opinia.

- To pewne - powiedziałem - iż spostrzeżenie pańskie jest słuszne i że list ten znajduje się jeszcze w posiadaniu ministra; bowiem posiadanie tego listu, nie zaś jego użycie, zapewnia władzę. Gdyby go zużytkował, władza by pierzchła.

- Istotnie - odparł G. - i w tym przeświadczeniu przystąpiłem do rzeczy. Zająłem się przede wszystkim przeszukaniem pałacu ministra, zaś kłopot sprawiała mi głównie konieczność szukania bez jego wiedzy. Poza tym musiałem mieć się na baczności przed niebezpieczeństwem, jakie by wynikło, gdyby dostarczyło się mu powodu do podejrzewania naszych zamiarów.

- Ależ - napomknąłem - w tej dziedzinie jest pan jak u siebie w domu! Policja paryska niejednokrotnie już czyniła takie poszukiwania.

- Właśnie, i dlatego nie zwątpiłem. Przy tym nawyknięcia ministra wielce ułatwiają mi zadanie. Często nie bywa w domu całymi nocami. Służbę ma niezbyt liczną. Sypia ona dość daleko od pokojów swego pana i składa się głównie z neapolitańczyków, których łatwo spoić. Wiecie panowie zapewne, iż mam klucze, którymi można otworzyć wszystkie pokoje i skrytki w całym Paryżu. Od trzech tygodni nie było ani jednej nocy, żebym osobiście nie szperał w pałacu D. Chodzi tu o mój honor, a przy tym - wyznam panom w wielkiej tajemnicy - nagroda jest olbrzymia. Toteż nie ustawałem w poszukiwaniach, aż przekonałem się niezawodnie, iż złodziej jest przebiegły ode mnie. Mniemam, iż przetrząsnąłem w całym domu wszystkie kąty i zakamarki, w których można ukryć papier.

- Czy wszakże nie byłoby rzeczą możliwą - zauważyłem - żeby ten list, acz znajdujący się niewątpliwie w posiadaniu ministra, był jednakże schowany gdzie indziej niż w jego własnym mieszkaniu?

- Nie, to niemożliwe! - odezwał się Dupin. - Szczególniejszy obecnie stan spraw dworskich, przede wszystkim zaś intryg, w które D., jak wiadomo, jest wplątany, sprawia, iż natychmiastowe zużytkowanie tego dokumentu - możliwość okazania go w każdej chwili - jest niemal równie ważne, jak samo posiadanie.

- Możliwość okazania go każdej chwili? - zagadnąłem.

- Aby można go zniszczyć, gdy zajdzie potrzeba - odpowiedział Dupin.

- To prawda - rzekłem - papier znajduje się zatem niewątpliwie w mieszkaniu. Bo żeby minister przechowywał go przy sobie, o tym chyba nie może być mowy.

- Istotnie - odezwał się prefekt - dwukrotnie był zatrzymywany niby to przez rzezimieszków, przy czym przetrząsnęto dokładnie całą jego odzież pod moim osobistym nadzorem.

- Mógł pan sobie oszczędzić tego kłopotu - powiedział Dupin. - D., jak sądzę, jeszcze nie całkiem ma bzika, przewidział zatem te napaści, jako rzecz nieuniknioną.

- Jeszcze nie całkiem ma bzika - powtórzył G. - ale jako poeta niedaleki jest od niego.

- Zapewne - odparł Dupin puszczać po długim namyśle kłęb dymu z fajki - aczkolwiek ja także mam na sumieniu jakieś tam wierszydła.

- Czy mógłby pan nam opowiedzieć szczegółowo o swych poszukiwaniach? - spytałem.

- Mogę zaręczyć, że nie marnowaliśmy czasu i szukaliśmy wszędzie. Nabrałem dużo doświadczenia w tych sprawach. Przetrzęsaliśmy budynek, pokój po pokoju, poświęcając na każdy wszystkie noce całego tygodnia. Zbadaliśmy najpierw meble. Pootwieraliśmy wszystkie możliwe szuflady, a zapewne wiecie panowie, iż dla dobrze wyćwiczonego agenta policyjnego skrytki nie istnieją. Byłby kpm, gdyby przy podobnych szperaniach jaka „skrytka” uszła jego uwagi. To rzecz taka prosta! W każdym pokoju ma się do obliczenia pewną ilość brył przestrzeni. Są na to dokładne prawidła. Nie można się omylić ani o włos. Po pokojach przyszła kolej na krzesła. Poduszki przeszukaliśmy za pomocą cienkich, długich igieł. Pokazywałem już panom, jak to się robi. Ze stołów zdejmowaliśmy wierzchy.

- Po co?

- Zdarza się, iż ludzie, chcący coś ukryć, zdejmują wierzch stołu lub podobnie sporządzonego mebla, po czym wydrążają nogę, chowają ów przedmiot w wydrążeniu i przytwierdzają wierzch z powrotem. W podobny sposób przeszukuje się również od góry i dołu nogi u łóżek.

- A czy nie można znaleźć takiego wydrążenia za pomocą opukiwania? - zapytałem.

- Bynajmniej, jeżeli ktoś, wkładając przedmiot, owinie go grubo watą. Przy tym musieliśmy unikać wszelkiego hałasu.

- Przecież nie mogliście rozbierać - nie mogliście rozkładać na kawałki wszystkich mebli, które nadawałyby się do urządzenia schowka w sposób przez pana wspomniany! List można zwinąć w cienką rurkę spiralną, nie różniącą się kształtem ni rozmiarem od wielkiej iglicy do dzierzgania, i umieścić, na przykład, w poręczy krzesła. Czyście rozbierali wszystkie krzesła?

- Oczywiście że nie; lecz poradziłem sobie inaczej - zbadaliśmy poręcze wszystkich krzeseł w pałacu oraz spojenia wszystkich mebli za pomocą silnych szkieł powiększających. Wszelkie ślady jakichkolwiek niedawnych zmian bylibyśmy dostrzegli niezawodnie. Jedna drobna trocinka, pozostała po użyciu świderka, byłaby przybrała rozmiary jabłka. Dość, byłoby najmniejszej niedokładności w sklejeniu - jakiegokolwiek nieszczelności w spojeniu, a bylibyśmy zaraz odnaleźli skrytkę.

- Przypuszczam, iż obejrzelicie lustra, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie zachodzą za ramy, że przeszukaliście łóżka, kapy jako też portierey i dywany.

- Oczywiście, kiedy zaś przejrzeliliśmy najdokładniej całe urządzenie mieszkania, przystąpiliśmy do zbadania samego domu. Podzieliliśmy całą powierzchnię na odcinki i oznaczyliśmy je liczbami, aby żadnego nie pominąć; po czym badaliśmy kolejno za pomocą szkieł powiększających każdy cal kwadratowy pałacu oraz obu domów przyległych.

- Obu domów przyległych? - zawołałem. - Ależ to było połączone z ogromnym trudem!

- Zapewne, lecz nagroda, którą mi obiecano, jest także ogromna.

- A nie pominęliście ziemi dokoła domów?

- Wszystkie podwórza są wybrukowane ceglami. Nie mieliśmy z nimi zbyt wiele kłopotu. Zbadaliśmy mech między ceglami i przekonaliśmy się, że był nietknięty.

- Przejrzelicie oczywiście papiery ministra i książki w bibliotece?

- Tak jest, przeglądaliśmy wszystkie zvitki i pliki; otwieraliśmy wszystkie książki i odwracaliśmy kartkę po kartce w każdym tomie, nie zadowalając się bynajmniej samym tylko potrząśnięciem, jak to czynią niektórzy oficerowie naszej policji. Mierzyliśmy również najdokładniej grubość każdej okładki i poddawaliśmy je nieubłaganemu badaniu przez szkła powiększające. Gdyby w którejkolwiek okładce umieszczono jakiś przedmiot, to nie byłby on na pewno uszedł naszej uwagi. Pięć czy sześć tomów, które tylko co wyszły z pracowni introligatorskiej, przeszukaliśmy iglicami.

- Czy badaliście posadzki pod kobiercami?

- Niewątpliwie. Zdejmowaliśmy wszystkie dywany i oglądaliśmy deski przez szkła powiększające.

- A tapety na ścianach?

- Tak jest.

- Zajrzeliście do piwnic?

- Oczywiście.

- Zatem - rzekłem - jest pan na błędnym tropie; tego listu nie ma w pałacu, jak panu się zdaje.

- Obawiam się, że ma pan słuszność - odparł prefekt. - Cóż teraz robić, panie Dupin?

- Przeszukać jeszcze raz cały pałac.

- Ależ to jest najzupełniej bezcelowe! - zawołał G. - Ręczę własną głową, że tego listu nie ma w pałacu.

- Nie mogę dać panu lepszej rady - rzekł Dupin. - Zapewne ma pan dokładny opis tego listu?

- O, tak! - I wyjąwszy notatnik z kieszeni, prefekt jął czytać głośno szczegółowy opis wewnętrznego, zaś przede wszystkim zewnętrznego wyglądu zaginionego dokumentu. Przeczytawszy ten opis pożegnał się wkrótce i odszedł z takim wyrazem przygnębienia, jakiego przedtem nie zdarzyło mi się u niego widzieć.

W jakiś miesiąc później odwiedził nas powtórnie i zastał mnie więcej przy tych samych zajęciach. Przyjął podaną fajkę i usiadłszy w fotelu, jął gawędzić o rzeczach potocznych. W końcu zagadnąłem:

- No, a cóż słyhać o skradzionym liście? Sądzę, iż w końcu pogodził się pan z myślą, że to nietatwa rzecz podolać ministrowi.

- Bodaj go licho wzięło! Wszelako zrobiłem, co radził Dupin, i przetrząsnąłem wszystko raz jeszcze - ale cała praca poszła na marne, jak to zresztą przewidywałem z góry.

- Ile wynosi naznaczona nagroda? Pan coś mówił... - rzekł Dupin.

- No... jest duża, bardzo hojna - ale nie mogę dokładnie powiedzieć... To tylko powiem, że gotów byłbym dać czek na pięćdziesiąt tysięcy franków człowiekowi, który by mi postarał się o ten list. Z dnia na dzień nabiera on coraz większego

znaczenia. Nagrodę w ostatnich czasach podwojono. Lecz gdyby ją nawet potrojono, nie mógłbym nic więcej zrobić, niż zrobiłem.

- Czemu by nie? - mówił Dupin przeciągle, pykając swą piankową fajkę. - Naprawdę, mnie się zdaje, że pan się nie wyteżył, nie dotarł do dna tej sprawy. Mógł pan zrobić... nieco więcej. Tak mi się zdaje, nie?

- Co? W jaki sposób?

- Ależ - puf, puf - mógłby pan - puf, puf - zasięgnąć rady, he? - puf, puff, puff. - Pamięta pan anegdotkę o Abernethym?

- Nie! Do diabła z Abernethym!

- Nic nie mam przeciw temu! Niechaj będzie do diabła, jeśli pan tak chce. Otóż zdarzyło się raz, że pewien bogaty skąpiec powziął zamiar wykpienia od tegoż Abernethy'ego porady lekarskiej. By cel ten osiągnąć, zawiązał z nim w przygodnym towarzystwie rozmowę, w której opowiedział mu o swych własnych niedomaganiach, mówiąc niby to o jakimś zmyślonym chorobie. „Przypuścimy - mówił skąpiec - że objawy są takie a takie. Cóż by pan przepisał, panie doktorze?” „Co? - odparł Abernethy. - Poradziłbym mu, oczywiście, żeby się poradził”.

- Ależ - odezwał się prefekt nieco zmieszany - jestem najzupełniej gotów zasięgnąć porady i za nią zapłacić. Ofiarowałbym naprawdę pięćdziesiąt tysięcy franków osobie, która by mi dopomogła w tej sprawie.

- W takim razie - odparł Dupin otwierając szufladę i wyjmując z niej książeczkę czekową - niechże pan wypełni mi czek na tę sumę. Skoro pan go podpisze, wręcę panu list.

Oślupiałem. Prefekt był po prostu spiorunowany. Na chwilę znieruchomiał i oniemiał. Rozchyliwszy usta spoglądał niedowierzająco na mojego przyjaciela, a oczy jego zdawały się występować z orbit. Po czym, odzyskawszy w niejkiej mierze panowanie nad sobą, uchwycił pióro, zaważał się, spojrzawszy kilka razy czcym wzrokiem, lecz w końcu wypełnił i podpisał czek na pięćdziesiąt tysięcy franków. Dokonawszy tej formalności, podał go przez stół Dupinowi. Ten przejrzał go uważnie i włożył do swego portfela. Następnie otworzył sekretarzyk, wyjął stamtąd list i wręczył go prefektowi. Urzędnik uchwycił go, nieprzytomny z radości, rozłożył drżącymi rękami, powiódł oczyma po jego treści, rzucił się z rozmachem ku drzwiom i wybiegł bez ceremonii z pokoju, nie rzekłszy ani słowa od chwili, kiedy Dupin zagadnął go o podpisanie czeku.

Po jego odejściu przyjaciel mój jął wyluszczać przebieg sprawy.

- Policja paryska - mówił - jest nadzwyczaj biegła w swym zawodzie. Urzędnicy jej są wytrwali, pomysłowi, chytry i doskonale obeznani z tymi gałęziami wiedzy, które należą do zakresu ich obowiązków. Toteż gdy G. opowiedział nam, w jaki sposób przetrząsano pałac D., byłem najzupełniej przeświadczony, że poszukiwania odbyły się należycie - w tej mierze, na jaką było go stać.

- W tej mierze, na jaką było go stać? - zagadnąłem.

- Tak jest - odparł Dupin - poczynione zarządzenia były nie tylko najlepsze w swoim rodzaju, lecz także doprowadzone do ostatecznej doskonałości. Gdyby list ów znajdował się w zasięgu ich poszukiwań, to byłiby go niewątpliwie znaleźli.

Uśmiechnąłem się tylko, aczkolwiek zdawał się mówić to najzupełniej poważnie.

- Zarządzenia zatem - mówił dalej - były dobre w swym rodzaju i dobrze wykonane; wadliwość ich polegała na tym, iż nie dawały się zastosować ani do człowieka, ani do wypadku, o który chodziło. Pewien zestrój nadzwyczaj pomysłowych środków stanowi dla prefekta rodzaj łoża Prokrusta, w które wtłacza przemocą swe zamierzenia. Wszelako myli się nieustannie, gdyż jest albo za głęboki, albo za płytki dla sprawy, którą się zajmuje, i wielu uczniów rozumuje lepiej od niego. Znałem pewnego ośmioletniego chłopca, którego powodzenia w odgadywaniu przy grze „para, nie para” wywoływały podziw powszechny. Gra ta jest łatwa; używa się do niej krągłych kamyczków. Jeden z graczy trzyma w garści pewną ilość tych kamyczków i zapytuje drugiego, czy liczba ich jest parzysta, czy nieparzysta. Jeżeli zgadujący odpowie trafnie, to zyskuje jeden kamyczek, jeżeli zaś się pomyli, to jeden traci. Chłopczyk, o którym nadmieniałem, wygrał wszystkie kamyczki w całej szkole. Odgadywał on wedle pewnej zasady, która polegała tylko na spostrzegawczości i na przystosowaniu się do bystrości swych przeciwników. Kiedy, na przykład, przeciwnik jego był skończonym głuptasem i podniósłszy zaciśniętą rękę, pytał: „Para czy nie para”, dzieciak odpowiadał: „Nie para” i przegrywał. Wszelako za następnym razem już wygrywał, gdyż powiadał sobie w duszy: „Głuptas przy pierwszej kolejce wziął w rękę parzystą ilość kamyczków, ale jego przebiegłość sięga zaledwie tak daleko, iż za drugą kolejką weźmie nieparzystą, powiem zatem: «nie para», mówi tak i wygrywa. Natomiast mając do czynienia z przeciwnikiem nie tak ograniczonym, rozumował w ten sposób: „Ten chłopiec wie, iż za pierwszym razem powiedziałem: «nie para», kiedy więc kolej przyjdzie na drugi, zaświta mu w pierwszej chwili myśl najprostszej odmiany, mianowicie, by po parze wziąć nie parę, jak to uczynił pierwszy głuptas; wszelako później pomyśli sobie, że ta odmiana zbyt jest prosta, i ostatecznie weźmie ilość parzystą, jak poprzednio. Będę zatem zgadywał: «para». Powiada: „para” i wygrywa. Otóż ten sposób rozumowania, którzy koledzy uczniaka nazywali: „szczęściem” - czymże jest, gdy go wyluskamy do ostatka?

- Jest to po prostu - rzekłem - identyfikowanie się umysłu rozumującego ze swym przeciwnikiem.

- Istotnie - odparł Dupin - kiedy zaś zapytałem tego chłopca, w jaki sposób osiąga tę zupełną identyfikację, która stanowi o jego powodzeniu, odpowiedział: „Gdy chcę wiedzieć, w jakim stopniu jest ktoś mądry czy głupi, dobry lub zły, i co myśli w danej chwili, staram się możliwie najdokładniej uzgodnić wyraz mojej twarzy z wyrazem jego twarzy, a następnie śledzę, jakie myśli i uczucia rozbudzą się w moim mózgu i moim sercu i niejako uzgodnią się i upodobnią do wyrazu przeze mnie przybranego”. Ta odpowiedź dziecka sięga dużo głębiej niż kłamane głębie, przypisywane La Rochefoucauldowi, La Bruy'ere'owi, Machiavellemu i Campanelli.

- Zaś ta identyfikacja umysłu rozumującego z umysłem swego przeciwnika zależy - o ile dobrze cię pojmuję - od ścisłości, z jaką ocenia się intelekt tegoż przeciwnika.

- Praktyczne jej znaczenie zależy od tego warunku - odpowiedział Dupin. - Prefekt i jego podwładni myślą się tak często dlatego, iż, po pierwsze, nie są zdolni do owej identyfikacji, po wtóre zaś, że przystosowują się niewłaściwie lub raczej nie przystosowują się wcale do intelektu, z którym mają do czynienia. Mają na oku tylko swe własne, przebiegłe pomysły i kiedy szukają czegoś ukrytego, myślą tylko o tym, w jaki sposób oni by je ukryli. Mają słusność o tyle, że ich pomysłowość jest wiernym obrazem pomysłowości tłumu; kiedy jednak chytryść występnej jednostki różni się swymi właściwościami od ich chytryści, złoczyńca bierze nad nimi górę. Zdarza się to zawsze, gdy przewyższa ich przebiegłością, i nader często, gdy im w niej nie dorównywa. Nie umieją zmieniać zasad, na których opierają swe dochodzenia śledcze; w najlepszym razie, kiedy przynagli ich jakaś ostateczna konieczność, jakaś niezwykła nagroda, przeholowują do przesady

swe dawne sposoby praktyczne, nie tykając przy tym swych zasad. Co, na przykład, uczyniono, kiedy chodziło o sprawę ministra D., by zastosować zmienione zasady działania? Czymże jest to wiercenie, przetrząsanie, sondowanie, badanie za pomocą szkieł powiększających, rozkładanie powierzchni budynku na ponumerowane całe kwadratowe - czymże jest to wszystko, jeśli nie przesadą w zastosowaniu jednej zasady czy też całej więzi zasad śledczych, opartych na jedynym skojarzeniu pojęć o pomysłowości ludzkiej, do którego prefekt nawykł w długoletniej rutynie służbowej? Czyś nie zauważył, iż dla niego jest rzeczą dowiedzioną, jakoby wszyscy ludzie, którzy chcą ukryć jakiś list, posługiwali się - jeśli niekoniecznie otworem wywierconym w nodze od krzesła, to przynajmniej jakimś otworem czy kryjówką nadzwyczaj osobliwą, a podsuniętą przez to samo skojarzenie myśli, które zniewala do chowania listów w otworach wywierconych w nodze od krzesła? I czy nie zdajesz sobie sprawy, że takie wyszukane skrytki bywają używane w pospolitych okolicznościach i przez umysły pospolite, gdyż ilekroć chodzi o jakąś rzecz ukrytą, wszelki wyszukany sposób jej ukrycia od razu daje się odgadnąć i bywa też zawsze odgadany; toteż znalezienie jej bynajmniej nie zależy od przenikliwości, lecz tylko od pilności, cierpliwości i stanowczości szukającego. Kiedy jednak chodzi o rzecz ważną lub o coś, co w oczach policji ma to samo znaczenie, mianowicie o szczerą nagrodę, wszystkie te zalety na pewno zawiodą. Sądzę, iż zrozumiesz teraz, co miałem na myśli, powiadając, iż gdyby skradziony list był ukryty w zasięgu poszukiwań prefekta - czyli, wyrażając się innymi słowami, gdyby zasada jego ukrycia mieściła się w zasadach prefekta, to odszukanie jego nie nasuwałoby bynajmniej wątpliwości. Tymczasem urzędnik ten dał się najzupełniej zbić z tropu, a pierwotnej przyczyny jego porażki należy szukać w przeświadczeniu, że minister ma bzika, ponieważ dał się poznać jako poeta. Wszystkie półgłówki są poetami wedle mniemania prefekta - i cała jego pomyłka polega na non distributio medii², na wysnutym stąd wniosku, iż wszyscy poeci są półgłówkami.

- Jestże on naprawdę poetą? - spytałem. - O ile wiem, ma brata, który również zasłynął na polu literackim. Minister podobno znany jest z cennej pracy o rachunku różniczkowym. Jest zatem matematykiem, a nie poetą.

- Mylisz się, znam go dobrze; jest jednym i drugim. Jako poeta i matematyk nawykł do ścisłego rozumowania. Gdyby był tylko matematykiem, nie rozumowałby wcale i byłby zdany na łaskę prefekta.

- Zadziewasz mnie - rzekłem - tymi poglądami, które pozostają w sprzeczności z powszechnie przyjętą opinią. Sądzę, iż nie zamierzasz unicestwić przeświadczeń ustalonych przez wieki. Rozum matematyczny uchodzi od dawna za rozum par excellence.

- Il y a ? parier - odparł Dupin, cytując Chamforta - que toute idée publique, toute convention reçue, est une sottise, car elle a convenu au plus grand nombre³. Zgadza się z tobą, że matematycy przyczynili się wielce do rozpowszechnienia utartego błędu, o którym mówisz, a który mimo to jest błędem, uważanym za prawdę. Z artyzmem godnym lepszej sprawy przyzwyczaili nas, na przykład, do używania słowa „analiza” w zastosowaniu do algebry. Francuzi pierwsi dali początek temu pomieszaniu pojęć, a jednak, jeżeli słownictwo ma jakiegokolwiek znaczenie, jeżeli słowa wyprowadzają swą wartość z zastosowania, to analiza odpowiada algebrze mniej więcej w tej samej mierze co łacińskie słowo ambitus - ambicji, religio - religii lub homines honesti - zespołowi ludzi szanowanych.

- Goś mi się zdaje, że będziesz miał zatarg z niejednym algebraikiem paryskim, ale mów dalej.

- Podaję w wątpliwość znaczenie a wraz z nim wartość rozumu kształconego w jakiś inny sposób niż abstrakcyjno-logiczny. W szczególności zaś podaję w wątpliwość rozum wykształcony na studiach matematycznych. Wiedza matematyczna jest nauką formy i wielości, zaś rozumowanie matematyczne najzwyczajniejszą logiką, zastosowaną do badania kształtu i wielości. Wielki błąd tkwi w mniemaniu, jakoby pewniki algebry - tak zwanej czystej - były pewnikami abstrakcyjnymi czy powszechnymi. Zaś błąd ten jest tak ogromny, iż słupię nad jednomyślnością, z jaką go przyjęto. Pewniki matematyczne nie są pewnikami prawdy powszechnej. Co jest prawdą względności - formy i wielości - to bywa często grubym błędem, na przykład w dziedzinie nauk moralnych. W dziedzinie tej zazwyczaj jest nieprawdą, iż części składowe równają się całości. W chemii pewnik ten również zawodzi. Nie dopisuje także, gdy chodzi o czynniki ruchowe, jeżeli bowiem dwa czynniki ruchowe, których siły są znane, połączymy razem, to otrzymana w ten sposób siła wypadkowa niekoniecznie musi się równać sumie sił składowych. Jest jeszcze wiele innych prawd matematycznych, które są prawdziwe tylko w granicach względności. Atoli matematyk wnioskuje nawykowo wedle swych prawd ograniczonych, jak gdyby miały one zastosowanie absolutne i nieograniczone - co zresztą powszechnie im się przyznaje. Bryant w swej nader cennej Mitologii wspomina o podobnym źródle błędu, mówiąc, iż „jakkolwiek nikt nie wierzy w baśnie pogańskie, to jednak zapomina się o tym nieustannie i wyprowadza się z nich wnioski, jak gdyby z istniejącej rzeczywistości”. Jakoż algebraicy, którzy sami są poganami, wierzą w „baśnie pogańskie” i wyprowadzają z nich wnioski, nie tyle dlatego, że im pamięć nie dopisuje, ile z powodu niepojętej zaśniedziałości mózgow. Słowem, nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać czystego matematyka, na którym można by polegać poza jego równaniami i pierwiastkami lub który by nie uznawał potajemnie za dogmat swej wiary, iż x^2+px równa się bezwarunkowo i absolutnie q . Spróbuj powiedzieć któremuś z tych panów, jeżeli cię to bawi, iż zdaniem twoim mogą zajść okoliczności, kiedy x^2+px niekoniecznie równać się będzie q , jednakże powiedziawszy, co masz na myśli, usuń się mu co rychlej i najuprzejmiej spod ręki, gdyż na pewno będzie chciał cię grzmotnąć.

- Chcę przez to powiedzieć - mówił dalej Dupin, któremu przerwałem na chwilę, śmiejąc się z tych jego spostrzeżeń - iż gdyby minister był tylko matematykiem, to prefekt nie byłby musiał wręczyć mi tego czeku. Wiem jednakże, iż jest matematykiem i zarazem poetą, więc przystosowałem swe postępowanie do jego uzdolnień, uwzględniając przy tym okoliczności, w jakich się znajdował. Wiem również, iż jest dworakiem i zuchwałym intrygantem. Niepodobna, żeby taki człowiek - pomyślałem sobie - nie znał zwyczajnych, policyjnych metod działania. Zapewne przewidział - a wypadki późniejsze potwierdziły, iż przewidział istotnie - przygotowane na niego zasadzki. Musiał się liczyć - rozumowałem - z tajemnymi poszukiwaniami w swym pałacu. Nie bywał często nocami w domu, co prefekt powitał jako niezawodną zapowiedź swego powodzenia, ja zaś uważałem tylko za podstęp zmierzający do tego, by ułatwić policji szczegółowe szperanie i tym rychlej wpoić w nią przeświadczenie, do którego G. istotnie doszedł, iż listu w pałacu nie ma. Wyczułem również, iż cały ten tok myśli, o których ci tylko co nadmieniałem, a które odnoszą się do nieodmiennych zasad czynności policyjnych przy poszukiwaniu ukrytych przedmiotów - wyczułem, powtarzam, iż cały ten tok myśli przemknął niezawodnie przez umysł ministra. Musiało go to stanowczo skłonić do wyrzeczenia się wszelkich kryjówek zwyczajnych. Niepodobna - rozumowałem - żeby był taki słaby i nie wiedział, iż najniebezpieczniejsze i najtajemniejsze skrytki jego pałacu będą równie jawne jak najpospolitsze schowki dla oczu, iglic, świdrów i szkieł powiększających prefekta. W końcu uświadomiłem sobie, że nieodzownie będzie musiał dążyć do prostoty, jeżeli nie rozmyślnie, to z wrodzonego upodobania.

Może jeszcze pamiętasz, jak do rozpuku śmiał się prefekt, kiedy za pierwszą jego bytnością wyraziłem się, że owa zagadka może dlatego jest tak bardzo kłopotliwa, iż zanadto leży jak na dłoni.

- Tak jest - odparłem - przypominam sobie, jaką miał uciechę. Myślałem już, że dostanie drgawek.

- Świat materialny - wyluszczał dalej Dupin - pełen jest nader ścisłych analogii ze światem niematerialnym i stąd to pochodzi, iż niejaki zabarwienie prawdy posiada ów dogmat retoryczny, który utrzymuje, iż przenośnia czy porównanie nadają się równie dobrze do poparcia jakiegoś argumentu, jak do upiększenia jakiegoś opisu. Zasada tak zwanej *vis inertiae* jest na przykład, jak się zdaje, jednakowa w dziedzinie fizycznej i metafizycznej. Niemniej jest ona prawdziwa, kiedy utrzymuje, iż ciało większe trudniej jest puścić w ruch niż ciało mniejsze i że wynikłe stąd momentum jest współmierne z ową trudnością - jak kiedy twierdzi, iż umysły o rozleglejszej zdolności pojmowania, ponieważ są zarazem możniejsze, krzepsze i bardziej nieobliczalne w swych poruszeniach niż umysły niższego rzędu, trudniej też dają się wprawić w ruch oraz większym ulegają wahaniom i nieomogom w pierwszych początkach swego postępu. Albo też: czyś kiedy zastanawiał się, jakie godła sklepowe najwięcej zwracają uwagę?

- Nie przyszło mi to nigdy na myśl - odparłem.

- Istnieje gra polegająca na odgadywaniu, do której używa się mapy- Jeden z graczy domaga się od drugiego, by odnalazł jakieś słowo - nazwę miasta, rzeki, kraju lub państwa - na pstrej i pogmatwanej płaszczyźnie mapy. Ktoś, kto jeszcze nie umie grać, na ogół stara się wprowadzić w zakłopotanie swych przeciwników zadając im do odgadnięcia nazwy uwidocznione najdrobniejszym drukiem, natomiast gracz doświadczony wybiera słowa rozwleczone, nakreślone wielkimi literami od jednego krańca mapy do drugiego. Uchodzą one uwagi podobnie jak godła i plakaty uliczne wypisane nadmiernie wielkimi głoskami, gdyż są zanadto widoczne. Otóż to przeoczenie fizyczne jest jota w jotę podobne do roztargnienia psychicznego, które sprawia, iż umysł nie ogarnia spostrzeżeń zbyt namacalnie i wyraźnie oczywistych. Wszelako jest to przejaw, który - jak się zdaje - znajduje się powyżej czy poniżej umysłowości prefekta. Nie wydawało mu się nigdy rzeczą prawdopodobną lub bodaj możliwą, żeby minister mógł umieścić ów list wprost na oczach całego świata i w ten sposób najniezawodniej uczynić go niewidzialnym dla pewnych jednostek, zaliczających się do tegoż świata.

W miarę jednak jak zastanawiałem się nad śmiałą, rzutką i przezorną umysłowością ministra D., nad tym, iż dokument ów musiał mieć zawsze pod ręką, o ile chciał go użyć we właściwej chwili, wreszcie nad niewzruszoną pewnością, z jaką utrzymywał prefekt, iż nie jest on dostępny dla zwykłych jego poszukiwań - tym silniejszego nabierałem przeświadczenia, iż minister, chcąc ukryć ów list, wpadł na przenikliwy i roztropny pomysł, by nie ukrywać go wcale.

Mając głowę nabitą tymi refleksjami, zaopatrzyłem się w zielone okulary i pewnego pięknego poranka zaszedłem niby to przypadkiem do pałacu ministerialnego. D. był w domu - jak zwykle ziewający, rozleniwiony i rozpróżniany. Udawał, że po prostu zatracą się w beżmiarze nudy. Tymczasem jest to może najenergiczniejszy człowiek, jaki obecnie żyje na świecie - ale tylko wówczas, gdy nikt go nie widzi.

Żeby mu dorównać, jałem uskarżać się na słaby wzrok i ubolewać, że muszę używać okularów. Zajęty pozornie rozmową z mym gospodarzem, rozglądałem się spoza nich bacznie i skrzętnie po całym mieszkaniu.

Szczególniejszą baczność zwróciłem na duże biurko, przy którym siedział, zawalone bezładnie wszelkiego rodzaju listami oraz innymi papierami. Spomiędzy nich wyzierało kilka książek tudzież jeden czy dwa instrumenty muzyczne. Mimo długich i nader uważnych badań, nie dostrzegłem tam jednak niczego, co by mogło wydawać się podejrzanym.

W końcu wzrok mój, błądząc po całym pokoju, zatrzymał się na niepozornym porte-cartes, ozdobionym świecidelkami i zawieszonym za pomocą przybrudzonej, niebieskiej wstążki na gwoźdźniku mosiężnym, który wysterczał nad gzymsem kominka. Ów porte-cartes miał trzy czy cztery przegródki, zawierające pięć lub sześć biletów wizytowych i jeden jedyny list. Był on mocno zabrudzony i pomiętoszony. Przedarto go przez środek niemal na dwoje i wyglądał, jak gdyby w pierwszej chwili chciano go podrzeć zupełnie niby rzecz bezwartościową, lecz później zamiar ten zmieniono lub niezupełnie go wykonano. Miał wielką, czarną pieczęć, na której zaznaczał się bardzo wyraźnie monogram ministra, i był zaadresowany do tegoż drobnym, kobiecym pismem. Wtłoczono go niedbale i nawet - jak się zdawało - nieco pogardliwie w jedną z przedziałek górnych.

Rzuciwszy okiem na ten list, wywnioskowałem natychmiast, że jest to przedmiot moich poszukiwań. Nie da się zaprzeczyć, iż z wyglądu różnił się najzupełniej od dokumentu opisanego nam tak drobiazgowo przez prefekta. Ten miał pieczęć wielką i czarną z monogramem D., tamten zaś małą i czerwoną z książęcymi herbami rodziny S. Na tym adres do ministra był nakreślony drobnym pismem kobiecym; tamten zaadresowany był do pewnej osoby z domu królewskiego ręką śmiałą i stanowczą. Podobne były do siebie jedynie z rozmiaru. Atoli krańcowa sprzeczność tych różnic: przedarcie, niechlujny i pomiętoszony wygląd tego papieru, nie dający się pogodzić z istic pedantycznymi nawykami ministra D. i jakby zmierzający do wprowadzenia widza w błędne mniemanie o błahości tego dokumentu - wszystko to wraz z natrętnym po prostu jego umieszczeniem, rzucającym się w oczy każdego przybysza i przeto najzupełniej zgodnym z poprzednimi moimi wnioskami - wszystko to, powtarzam, mogło wielce utwierdzić w podejrzeniach człowieka, który przyszedł już pełen podejrliwości.

Przewlekałem moją wizytę możliwie najdłużej i podtrzymując nader ożywioną rozmowę o przedmiocie, który - jak już wiedziałem - ministra bardzo obchodzi, skupiałem wyteżoną uwagę na owym liście. Przy tym oglądaniu zakarbowałem sobie w pamięci jego zewnętrzny wygląd oraz przegródkę, w której go umieszczono; w końcu zaś zdążyłem dokonać spostrzeżenia, które rozproszyło do ostatka moje, nikłe już zresztą, wątpliwości. Przypatrując się mianowicie brzegom papieru, zauważyłem, iż są więcej poprzecierane, niż to widuje się zazwyczaj. Wyglądały jak przelamane, co dzieje się tylko wówczas, kiedy sztywny papier złoży się i przygniecie mocno jakimś narzędziem, po czym znów się rozłoży i pozagina na wywrót, ale w ten sposób, aby nowe zgięcia czy brzęgi odpowiadały dokładnie załamaniom poprzednim. Odkrycie to zadowoliło mnie zupełnie. Widocznie list wywrócono jak rękawiczkę, złożono na nowo i nową zaopatrzoną pieczęcią. Pożegnałem ministra i odszedłem spiesźnie, pozostawiając na stole złotą tabakierkę.

Nazajutrz zaszedłem po tabakierkę i znów wdaliśmy się w zajmującą rozmowę z dnia poprzedniego. Byliśmy już w niej pogrążeni, kiedy rozległ się donośny huk, jak gdyby wystrzał pistoletowy, tuż pod oknami pałacu, a hukowi temu zawtórowały wrzaski i okrzyki przerażonego tłumu. D. podbiegł do okna, otworzył je i wyjrzał na ulicę. Równocześnie przystąpiłem do porte-cartes, wyjąłem z przegródki list, schowałem go do kieszeni, a na jego miejsce włożyłem podobny (przynajmniej co do wyglądu zewnętrznego), który zawczasu przygotowałem w domu, naśladowując nader udatnie pieczęć z monogramem D. takąż pieczęcią z chleba.

Najście na ulicy wywołał swoim niepoczytalnym zachowaniem się jakiś człowiek uzbrojony w muszkiet. Wystrzelił z niego w ciżbę dzieci i kobiet. Jednakże okazało się, że strzał był ślepy, więc puszczono wolno tego draba, uważając go za pijaka lub wariata. Kiedy poszedł, D. oddalił się od okna, dokąd podążyłem za nim zapewniwszy sobie posiadanie listu. Wnet potem pożegnałem się z nim. Rzekomy wariat był przekupiony przeze mnie.

- Lecz w jakim celu - spytałem - zastąpiłeś ów list podobizną? Czyż nie było można, już za pierwszym razem, zabrać go bez ogródek i pójść sobie?

- D. - odparł Dupin - jest człowiekiem porywczym i zdolnym do wszystkiego. Przy tym w pałacu ma służbę nader sobie oddaną. Gdybym był postąpił, jak powiadasz, mógłbym być swe odwiedziny u ministra przyplacić życiem. Pocziwy ludek paryski nie usłyszałby już o mnie. Ale poza tymi względami miałem na oku jeszcze coś innego. Znasz moje sympatie polityczne. W sprawie tej działałem jako zwolennik kobiety poszkodowanej. Przez osiemnaście miesięcy minister miał nad nią przewagę. Teraz ona ma ją nad nim - ponieważ nie wiedząc, że listu już nie posiada, będzie dopuszczał się dalej swych nadużyć, jak gdyby go posiadał. To musi przyprawić go niezwłocznie o zgubę polityczną. Przy tym upadek jego będzie nie tylko nagły, ale także niezdarny. Łatwo to mówić o *facilis descensus Avernus*, atoli przy wszelkiego rodzaju wspinaniach można by powiedzieć to, co Catalani mówiła o sztuce śpiewania, mianowicie, iż łatwiej jest wznieść się, niż zejść na dół. W obecnym wypadku nie mam wcale sympatii - ba, nawet współczucia dla tego, który stacza się w dół. To monstrum horrendum - człowiek genialny, ale wyzuty z wszelkich zasad. Wyznaję jednakże, iż bardzo rad bym wiedzieć, co też sobie pomyśli, gdy wyzwany do walki przez kobietę, którą prefekt nazywa „pewną osobą”, będzie musiał poprzestać na otworzeniu listu, który mu pozostawiłem w przegródce *porte-cartes*.

- Co? Czy list ten zawiera coś osobliwszego?

- No, nie wydawało mi się rzeczą właściwą, by nic nie zawierał w swym wnętrzu; wyglądałoby to na obelgę. D. wypłatał mi w Wiedniu złośliwego psikusa; powiedziałem mu wówczas z całą pogodą ducha, że tego mu nie zapomnę. A ponieważ wiem, że będzie nieco ciekaw dowiedzieć się, kto go tak wyprowadził w pole, więc pomyślałem sobie, iż szkoda byłoby nie udzielić mu pewnych wskazówek. Zna on dobrze charakter mego pisma, więc pośrodku białej karty wypisałem słowa:

...un dessein si funeste,
S'il n'est digne d'Atrée, est digne de Thyeste.⁵
Możesz je znaleźć w Atrée Crébillona.

System doktora Smoły i profesora Pierza

Odbываяc jesienią 18.. r. podróż po najdalszych południowych krańcach Francji, znalazłem się w odległości zaledwie paru staj od pewnego prywatnego zakładu dla obłąkanych, o którym wiele słyszałem w Paryżu od mych przyjaciół, lekarzy. Ponieważ nigdy przedtem nie zdarzyło mi się zwiedzać podobnego domu zdrowia, przeto nie chciałem pominąć nadarzającej się sposobności i jałem namawiać mojego towarzysza podróży (którego poznałem przygodnie kilka dni temu), abyśmy zbyczyli z naszej drogi na kilka godzin i zakład ten obejrżeli. Nie zgodził się jednak na to, oświadczając zrazu, że się śpieszy, przyznał się atoli później, iż doznaje, podobnie jak wielu innych ludzi, wrażenia ciekawości, i dodał, że pojedzie dalej tak wolno, iż będę mógł nadażyć za nim jeszcze tego samego dnia, zaś w ostateczności - następnego. Gdyśmy mieli już pożegnać się, przyszło mi na myśl, iż mogę mieć niejake trudności, gdy trzeba będzie uzyskać pozwolenie na zwiedzenie zakładu, i zwierzyłem mu się z moimi obawami. Odparł, że jeżeli nie znam osobiście dyrektora, Monsieur Maillarda, lub nie będę miał odpowiedniego listu polecającego, to istotnie mogę napotkać przeszkody, gdyż regulaminy takich prywatnych domów zdrowia są nierównie surowsze od przepisów obowiązujących w szpitalach publicznych. Zdarzyło się mu atoli kilka lat temu zawrzeć znajomość z Maillardem; może mi zatem dopomóc o tyle, iż odprowadzi mnie konno aż do bramy zakładu i uzyska potrzebne pozwolenie, ale odczuwania, jakich doznaje na widok obłądu, nie pozwolą mu wejść do wnętrza.

Podziękowałem mu i zjechałszy zaraz z głównego gościńca na boczną, zarośniętą trawą drożynę, która po jakiejś pół godzinie zatraciła się w gęstym borze, rozpostartym u podnóża góry. Przez ten podmokły i posepny las ujechałszy jeszcze ze dwa stajania, zanim ujrzelśmy dom zdrowia. Był to fantastyczny zamek, mocno już podupadły, który pod wpływem czasu i zaniedbania nie nadawał się już niemal do mieszkania dla ludzi. Na widok jego przeniknęła mnie jakaś niewysłowiona groza i zatrzymawszy konia, namyślałem się już, czy nie zawrócić. Wnet jednak, zawstydzilem się swej słabości i podążyłem dalej.

Podjechawszy pod bramę zauważyłem, że jest nieco uchylona i że wyziera spoza niej jakaś twarz ludzka. W chwilę później człowiek ten wyszedł przed bramę, przemówił do mego towarzysza po imieniu, uściśnął mu serdecznie rękę i poprosił, żeby zsiadł z konia. Był to Monsieur Maillard we własnej osobie. Wydał mi się okazałym, wytwornym dżentelmenem staroświeckiego pokroju, o dużej oglądzie towarzyskiej, a jego godność, powaga i dostojeństwo wywierały nieodparte wrażenie.

Mój znajomy przedstawił mnie, wspomniął o mym pragnieniu zwiedzenia zakładu i otrzymał od Monsieur Maillarda zapewnienie wszelkiej dla mnie uczynności. Następnie pożegnał się z nami i już odtąd nie widziałem go nigdy.

Kiedy znikł nam z oczu, zaprowadził mnie dyrektor do niewielkiego i nadzwyczaj miłego pokoju, gdzie obok innych oznak wytwornego smaku znajdowało się wiele książek, rysunków, kwiatów doniczkowych i muzycznych instrumentów. Rozkoszny ogień gorzał w kominku. Przy pianinie siedziała młoda i piękna kobieta śpiewając jakąś arię Belliniego. Gdy weszłem do pokoju, przestała śpiewać i powitała mnie z ujmującym wdziękiem. Głos miała niski, a w zachowaniu jej przejawiało się jak gdyby przygnębienie. Zdawało się mi również, iż dostrzegam ślady smutku na jej twarzy, nadzwyczaj bladej, co zresztą nie było dla mnie bez uroku. Była w ciężkiej żalobie i wywołała we mnie uczucie czci, podziwu i zaciekawienia.

Opowiadano mi w Paryżu, iż zakład Monsieur Maillarda był prowadzony wedle systemu polegającego na „pobłażaniu”, że unikano wszelkich kar, że zazwyczaj nie stosowano nawet odosobnienia, że chorym, acz skrycie nadzorowanym, pozostawiano pozornie zupełną swobodę i że większości z nich wolno było chodzić po domu i jego otoczeniu w zwykłej odzieży ludzi zdrowych na umyśle.

Pamiętając o tym, byłem bardzo ostrożny w rozmowie z młodą kobietą, gdyż nie miałem pewności, czy jest zdrowa. Jakoż nieco błędna promienistość jej źrenic nasunęła mi wątpliwości co do stanu jej zdrowia. Ograniczyłem się

zatem do przedmiotów ogólnych jako też do takich, które w mym przekonaniu nie mogły razić ani drażnić nawet szaleńców. Odpowiadała na me zapytania bardzo rozumnie, a czynione przez nią spostrzeżenia były najzupełniej do rzeczy. Zbyt jednak długo zajmowałem się metafizyką obłędu, żeby dowierzać takim pozorom zdrowia, toteż przez cały czas rozmowy miałem się nieustannie na baczności.

Po chwili wszedł służący w strojnej liberii, niosąc tacę z owocami, winem i słodyczami, którymi mnie poczęstowano. Wnet potem młoda kobieta odeszła. Gdy już jej nie było, zwróciłem pytające spojrzenie na mego gospodarza.

- Nie - rzekł - oh, nie! To moja krewna... moja siostrzenica... zresztą niepospolita osoba.

- Najmocniej przepraszam za to podejrzenie! - odparłem. - Lecz jeżeli kto, to właśnie pan może mi wybaczyć. Umiejętne kierownictwo pańskiego zakładu znane jest powszechnie w Paryżu, zdawało się mi przeto rzeczą możliwą - pan rozumie...

- Ach, tak, tak, już wiem! To ja raczej powinienem być wdzięczny za chwalebna roztropność, jaką pan okazał. Rzadko spotykamy się z podobną przezornością u młodzieży i nieraz zdarzył się już niemiły contre-temps skutkiem nieopatrzności osób, co zwiedzały nasz zakład. Ponieważ mój dawniejszy system pozwalał chorym przechadzać się swobodnie, przeto miewaliśmy często niebezpieczne wybuchy furii, wywoływane przez nierozsądnych gości. Musiałem więc zastosować surowy system odosobnienia i odtąd nikogo nie wpuszczam do zakładu, o ile nie mam przeświadczenia, iż będzie umiał zachować się odpowiednio.

- Pański dawniejszy system! - odezwałem się powtarzając jego słowa. - Czy mam to w ten sposób rozumieć, iż „system pobłażania”, o którym słyszałem tak wiele, nie jest już stosowany?

- Mija kilka tygodni - odparł - odkąd postanowiliśmy wyrzec się go na zawsze.

- Istotnie? Zdziwiał mnie pan!

- Uznaliśmy za rzecz niezbędnie konieczną - rzekł z westchnieniem - powrócić do dawnych sposobów. Niebezpieczeństwo systemu pobłażania było zawsze zatrważające, a korzyści jego zbyt przecenione. Mniemam, że jeżeli gdzie, to w tym zakładzie dokonano najodpowiedniejszej próby. Uczyniliśmy wszystko, co tylko podszeptać może rozumna miłość bliźniego. Żałuję, że nie mógł pan odwiedzić nas wcześniej i powziąć o tym wyobrażenia na podstawie własnych spostrzeżeń. Przypuszczam, iż zna pan system pobłażania do najdrobniejszych szczegółów?

- Bynajmniej. To, co słyszałem o nim, pochodziło z trzecich czy czwartych ust.

- Mówiąc ogólnie, mógłbym wyrazić się o tym systemie, iż polega on na wyrozumiałości dla chorych posuniętej do pozostawienia im zupełnej swobody. Nie sprzeciwialiśmy się urojeniom, którym podlega umysł wariata. Nie tylko im pobłażaliśmy, ale nawet dodawaliśmy im jeszcze bodźca i właśnie w ten sposób udawało się nam osiągnąć najzupełniejsze uzdrowienia. Nie ma argumentu, który by tak dosadnie przemawiał do niedołęznego rozumowania szaleńca, jak *reducito ad absurdum*. Miewaliśmy, na przykład, chorych, którym ubrdało się, że są kurczętami. Leczenie polegało na tym, iż to ich urojenie przyjmowało się za pewnik, iż wytykało się choremu jego głupotę, że nie zdaje sobie sprawy z tego pewnika w dostatecznej mierze - i na tej podstawie odmawiało mu się przez jakiś tydzień wszelkiego innego pożywienia prócz tego, jakie zazwyczaj dostają kurczęta. Toteż zdarzało się, iż odrobina poślada i żwiru dokazywała cudów.

- Byłże ten sposób leczenia jedyny?

- Bynajmniej. Pokładaliśmy również wielką ufność w takich zwykłych rozrywkach, jak muzyka, taniec, ćwiczenia gimnastyczne, gra w karty, czytanie odpowiednio dobranych książek itd. Udawaliśmy, iż każdego chorego leczymy na jakieś pospolite niedomaganie fizyczne, i nie używaliśmy nigdy słowa „obłęd”. Niepoślednim szczegółem było również to, iż każdemu wariatowi polecało się czuwać nad zachowaniem się wszystkich innych. Okazać zaufanie do rozsądku czy też dyskrecji szaleńca - to pozyskać go sobie z ciałem i duszą. W ten sposób rozporządzaliśmy licznym gronem dozorców.

- A czy kary jakiegokolwiek rodzaju były w użyciu?

- Nie, żadne.

- A czy nie zdarzało się panu ograniczać swobody swych chorych?

- Nader rzadko. Bywało od czasu do czasu, że choroba tej lub owej jednostki wchodziła w okres przesilenia lub przedzierzgała się nagle w furję. Takiego chorego przenosiło się do tajnej celi, aby swym rozstrojem nie zarażał innych, i trzymało się go w niej aż do chwili, kiedy mógł być oddany pod opiekę rodziny lub przyjaciół, gdyż z furiiatami nie wdajemy się wcale. Zazwyczaj bywają przewożeni do publicznych zakładów leczniczych.

- A teraz zmienił pan to wszystko - i czy sądzi pan, że na lepsze?

- Stanowczo. System ten przedstawia wiele stron ujemnych, a nawet niebezpieczeństw. Zarzucono go już, na szczęście, we wszystkich *maisons de santé* w całej Francji.

- Jestem ogromnie zdziwiony pańskimi słowami - odezwałem się - byłem bowiem przeświadczony, iż innego sposobu obchodzenia się z obłędem już nigdzie w tym kraju się nie stosuje.

- Jest pan jeszcze młody, mój przyjacielu - rzekł na to mój gospodarz - ale przyjdzie czas, że nauczy się pan sądzić o tym, co dzieje się na świecie, wedle własnego zdania, a nie dowierzać gadaninom cudzym. Niech pan nie ufaj temu, co pan słyszy, a tylko w połowie polega na tym, co pan widzi. Otóż, jeżeli chodzi o nasze *maisons de santé*, to widocznie jakiś ignorant wprowadził pana w błąd. Ale po obiedzie, gdy pan należycie wypocznie po trudach swej przejażdżki, będę miał zaszczyt oprowadzić pana po zakładzie i zapoznać z systemem, który nie tylko w mym przeświadczeniu, ale także w przeświadczeniu wszystkich osób obeznanych z jego wynikami jest nierównie skuteczniejszy od wszystkich innych, jakie dotychczas stosowano.

- Czy to pański system? - zapytałem. - System wynaleziony przez pana?

- Jestem dumny - odparł - iż mogę go uważać za swą własność, przynajmniej w pewnej mierze.

Gawędziłem w ten sposób z Monsieur Maillardem z godzinę lub dwie, a on pokazywał mi ogrody i cieplarnie zakładowe.

- Nie mogę pokazać panu mych chorych niezwłocznie - rzekł do mnie. - Dla wrażliwego umysłu jest zawsze coś mniej lub więcej odrażającego w takich widowiskach, a nie chciałbym pozbawić pana apetytu przed obiadem. Zjemy obiad razem. Poczęstuję pana cielęcina ? la Sainte Ménéhould i kalafiorami ? la sauce veloutée, wypijemy przy tym po szklance Clos de Vougeot, co powinno dostatecznie wzmocnić pańskie nerwy.

O szóstej zawezwano nas do stołu. Gospodarz mój zaprowadził mnie do obszernej *salle à manger*, gdzie zebrało się już liczne towarzystwo - jakieś dwadzieścia pięć czy trzydzieści osób. Wszyscy obecni mieli wygląd ludzi wytwornych i dobrze wychowanych, aczkolwiek ich stroje raziły mnie swym przesadnym bogactwem i nieco zanadto przypominały

obliczoną na pokaz wystawność de la vieille cour. Zauważyłem, iż przynajmniej trzy czwarte tego zebrania stanowiły panie i że niektóre z nich zupełnie nie przestrzegały w swych strojach wskazań dobrego smaku obowiązującego obecnie w Paryżu. Wiele na przykład kobiet, które miały zapewne po jakie siedemdziesiąt lat, zwracało na siebie uwagę nadmiarem klejnotów - różnych pierścieni, bransolet i kolczyków, a piersi ich i ramiona były bezwstydnie odsłonięte. Spostrzegłem również, iż bardzo niewiele strojów było dobrze, zrobionych - lub przynajmniej, że bardzo niewiele z nich leżało dobrze na osobach, które miały je na sobie. Rozglądając się zobaczyłem ową zajmującą osobkę, której Monsieur Maillard przedstawił mi w swym saloniku; ale jakież było me zdumienie, gdy ujrzałem, iż ma na sobie ogromny robion, buciki na wysokich korkach i brudny czepk z koronek brukselskich, który był dla niej za duży i pomniejszał jej twarz w komiczny sposób. Przy pierwszym naszym widzeniu była w głębokiej żałobie i wyglądała bardzo ładnie. Słowem, było coś dziwnego w strojach całego tego towarzystwa, coś, co zrazu nasunęło mi moją dawniejszą myśl o „systemie pobłażania” i kazało przypuszczać, iż Monsieur Maillard chciał mnie utrzymać w złudzeniu aż do końca obiadu, abym nie uległ niemiłemu odczuwaniu, że siedzę przy stole i spożywam obiad w otoczeniu wariatów; lecz wnet przypomniałem sobie, co mi mówiono w Paryżu, mianowicie, że południowcy są to wielcy dziwacy, mający mnóstwo staroświeckich nawyków. Zresztą po chwili rozmowy z niektórymi osobami uprzedzenia moje rozwiały się doszczętnie.

Jadalnia, aczkolwiek dość obszerna i wygodna, nie odznaczała się bynajmniej wytwornością. Na przykład na posadzce nie było dywanu, co zresztą we Francji zdarza się często. Okna nie miały firanek; okiennice zamykały się na sztaby żelazne, umieszczone na kształt przekątni, podobnie jak to bywa w sklepikach. Sala ta - jak zauważyłem - tworzyła osobne skrzydło zamku; okna jej mieściły się w trzech ścianach tego równoległoboku, w czwartej zaś znajdowały się drzwi. Było tam ogółem aż dziesięć okien.

Zastawa stołu była wspaniała. Uginał się po prostu pod półmiskami i pod nadmiarem wszelkich przysmaków. Obfitość ich graniczyła z barbarzyństwem. Było tam potraw tyle, iż najedliby się nawet Anakimowie. Nigdy przedtem w życiu nie zdarzyło mi się widzieć takiego ogromnego i rozrzuconego nagromadzenia różnych dobrych rzeczy. Zastawa jednak nie okazywała dobrego smaku, a oczy moje, nawykłe do przyciszonych świateł, raziła wrzaskliwa jaskrawość mnóstwa świec woskowych w srebrnych kandelabrach, ustawionych na stole i rozmieszczonych, gdzie tylko się dało, po całej sali. Usługiwało kilku bardzo skrzętnych służących, zaś w drugim końcu sali, przy wielkim stole siedziało siedmiu czy ośmiu ludzi ze skrzypcami, piszczałkami, trombonami i bębnami. W przerwach pomiędzy daniami udrećzały mnie te rzępoły nieskończoną rozmaitością zgiełków, które miały być muzyką i podobały się widocznie bardzo wszystkim obecnym, prócz mnie jednego.

Na ogół nie mogłem oprzeć się wrażeniu, iż w tym wszystkim, co działo się dokoła mnie, było dużo cudactwa - ale świat składa się z różnych ludzi, którzy mają różne sposoby myślenia i różne konwencjonalne nawyki. Podróżowałem przy tym dość dużo, by stać się bezwzględny zwolennikiem zasady nil admirari. Usiadłem przeto najspokojniej po prawicy mojego gospodarza i z doskonałym apetytem jałem raczyć się znakomicie przyrządzonymi potrawami.

Rozmowa tymczasem stała się powszechna i nader ożywiona. Kobiety swym zwyczajem były najgadatliwsze. Przekonałem się rychło, iż niemal całe towarzystwo składało się z osób dobrze wychowanych i że mój gospodarz był istną skarbnicą zabawnych anegdotek. Zdawało mi się, iż mówi nader chętnie o swym stanowisku dyrektora domu zdrowia, i ku mojemu zdziwieniu obłęd stał się ulubionym przedmiotem rozmowy wszystkich obecnych. Opowiadano mnóstwo ucieśnych historyjek o bzikach różnych pacjentów.

- Mieliśmy tu raz pewnego gościa - odezwał się otyły, niewielki jegomość, siedzący na prawo ode mnie - któremu się uroiło, że jest czajnikiem, i czyż to nie jest - nawiasem mówiąc - rzecz dziwna, iż właśnie ten bzik tak często lęgnie się w mózgu wariatów? Nie ma chyba we Francji zakładu dla obłąkanych, gdzie by nie było czajnika w ludzkiej osobie. Nasz towarzysz był czajnikiem wyrobu angielskiego i czyścił się starannie co rano irchą i sproszkowaną kredą.

- Był tu również - przemówił wysoki mężczyzna z naprzeciwka - niedawno temu pewien pan, któremu się ubrdało, że jest osłem, co, mówiąc przenośnie, było najzupełniejszą prawdą. Był to nieznośny pacjent i mieliśmy dużo kłopotu, by utrzymać go w korbach. Przez długi czas nie chciał nic jeść oprócz ostów; lecz z tej mrzonki wyleczyliśmy go rychło, nie dając mu nic innego do jedzenia. Przy tym nieustannie wierzył nogami - ot, tak - tak...

- Monsieur de Kock! Byłabym wdzięczna, gdyby pan zechciał panować nad sobą! - przerwała jakaś starsza pani, siedząca obok mówiącego. - Proszę trzymać nogi przy sobie! Uszkodził mi pan moją jedwabną suknię! Czyż to potrzeba, mój panie, ilustrować swe słowa takimi praktycznymi pokazami? Ten pan a nasz przyjaciel niewątpliwie pojawiłby się bez tych dodatków. Doprawdy, jest pan niemal takim samym osłem jak ów biedak, któremu to się uroiło. Pańskie postępowanie jest najzupełniej w tym stylu, daję słowo!

- Mille pardons, Mam'zelle! - odparł Monsieur de Kock, w ten sposób zagadnięty. - Przepraszam najusilniej! Bynajmniej nie zamierzałem obrazić pani. Mam'zelle Laplace, Monsieur de Kock będzie miał zaszczyt trącić się z panią kieliszkiem wina.

Przy tych słowach Monsieur de Kock skłonił się nisko, ucałował nader ceremonialnie swą własną rękę i trącił się z Mam'zelle Laplace kieliszkiem wina.

- Pozwól pan, mon ami - przemówił do mnie Monsieur Maillard - że nałożę panu kawalek tej cielęciny? la Sainte Ménéhould; przekona się pan, że jest ogromnie delikatna.

W tej chwili trzech krzepkich służących zdążyło szczęśliwie umieścić na stole olbrzymi półmisek, a raczej nieckę, w której znajdowało się coś, co wydało się mi

monstrum horrendum, informe, ingens, cui lumen ademptum.1

Po bliższym jednak obejrzeniu przekonałem się, iż było to tylko małe ciele, upieczone w całości, wsparte na kolanach, z jabłkiem w pysku, podobnie jak w Anglii przyrządza się zające.

- Nie, dziękuję panu - odparłem - przyznaję się, że nie jestem szczególniejszym lubownikiem cielęciny? la Sainte... Jak to pan powiedział? Po prostu mi nie służy. Może natomiast poleci pan zmienić mi talerz, a pokosztuję tego królika.

Na stole stało po bokach kilka półmisek, które zawierały coś, co wydało mi się, zwykłym królikiem francuskim - nader smakowity morceau, który mogę polecić.

- Pierre! - krzyknął gospodarz - proszę zmienić panu talerz i podać mu królika au-chat.

- Królika au...?

- Tego królika au-chat.

- No, to dziękuję. Po namyśle - nie! Wolę wziąć sobie nieco szynki.

„Nigdy człowiek nie wie, co mu podadzą u tych ludzi na głębokiej prowincji - pomyślałem sobie. - Nie mam ochoty ani na ich królika au-chat, ani też na ich kota au-lapin?”

- Zdarzyło się nam - rzekła jakaś truposzowata postać, siedząca na szarym końcu, podejmując wątek przerwanej rozmowy - zdarzyło się nam, że wśród innych osobliwości mieliśmy jakiś czas temu pewnego chorego, który uporczywie utrzymywał, iż jest serem kordobańskim, i chodził wszędzie z nożem w ręce, naprzykrzając się swym przyjaciółom, by zechcieli skosztować kawałeczek jego nogi.

- Był to bezsprzecznie skończony wariat - wtrącił ktoś inny - ale daleko mu było do pewnego osobnika, którego znamy wszyscy prócz tego obcego pana. Mam na myśli owego chorego, któremu wydawało się, że jest butelką szampana, i nieustannie otwierał się z hukiem i sykiem - ot, w ten sposób...

Przy tych słowach mówiący, bardzo mym zdaniem nieprzyzwoicie, włożył swój prawy wielki palec pod lewy policzek i wyjął go z kłaśnięciem przypominającym wystrzał korka, po czym poruszając zręcznie językiem po zębach, jął wydawać przez kilka minut ostre syki i bzykania naśladując szmery pieniącego się szampana. Widziałem dokładnie, że koncept ten niezbyt podobał się Monsieur Maillardowi, ale nie rzekł nic i rozmowę podjął znowu jakiś nikły chudzielec w wielkiej peruce.

- Był tu także - odezwał się - pewien matolek, któremu uroiło się, że jest zabą, a trzeba wiedzieć, że był do niej istotnie nieco podobny. Szkoda, że go pan nie widział - mówił dalej, zwracając się do mnie - byłby pan zachwycony naturalnością, z jaką wywiązywał się ze swej roli. Panie, jeżeli ten człowiek nie był zabą, to tylko można żałować, że nią nie był. Skrzeczał tak: o-o-o-gh! o-o-o-gh! Była to, zaprawdę, najpiękniejsza nuta na świecie - istny bemo! A kiedy oparł łokcie na tym stole, ot, tak - po jednej lub dwu szklankach wina - i kiedy rozdał usta, ot, w ten sposób, i kiedy jął przewracać oczyma i mrugać nimi nadzwyczaj szybko, ot, tak - no to, proszę pana, zaręczam z całą pewnością, iż byłby pan nie posiadał się z zachwyty nad geniuszem tego człowieka.

- Nie wątpię o tym - rzekłem.

- A potem - przemówił ktoś inny - był tu pewien Petit Gaillard, który mniemał o sobie, że jest szczyptą tabaki, i był szczerze zmartwiony, iż nie może wziąć siebie między palec wielki a wskazujący.

- Mieliśmy tu także niejakiego Jules Desouli?res'a, który był naprawdę niezwykłym geniuszem i któremu pomieszały się klepki w urojeniu, że jest dynią. Naprzykrzał się kucharzowi, żeby zapiekł go w cieście - na co tenże oburzony nie chciał się zgodzić. Osobiście bynajmniej nie jestem pewny, czy dynia zapiekana? la Desouli?res nie byłaby istotnie doskonałą potrawą.

- Dziwię się panu - rzekłem i spojrzałem pytająco na Monsieur Maillarda.

- Ha! ha! ha! - odezwał się tenże - hę! hę! hę! - hi! hi! hi! - ho! ho! ho! - hu! hu! hu! - to doskonale! Niech pan tak się nie dziwi, mon ami; nasz towarzysz to kawalarz - un drôle - nie trzeba brać dosłownie tego, co mówi.

- Przebywał tu również - zabrał głos ktoś inny - Bouffon Le Grand, inna osobliwość w swoim rodzaju. Postradał zmysły z miłości i ubrał sobie, że ma dwie głowy. Jedną z nich miała być głową Cycerona; co do drugiej wyobraził sobie, iż jest złożoną, mianowicie, że od czoła aż po usta jest głową Demonstena, od ust zaś po brodę głową lorda Broughama. Nie jest rzeczą niemożliwą, że był w błędzie, ale byłby pana przekonał, że ma słusność, gdyż posiadał dar wymowy. Lubił namiętnie krasomówstwo i chętnie nim się popisywał. Miał, na przykład, zwyczaj wskakiwać, ot, w ten sposób, na stół i - i...

W tej chwili przyjaciel, siedzący obok mówiącego, położył mu rękę na ramieniu i szepnął coś do ucha, po czym tenże umilkł nagle i opadł znów na krzesło.

- A trzeba panu wiedzieć - przemówił ten, co szeptał - że był tu także Boullard, krętek. Nazywam go krętkiem, gdyż istotnie miał w łbie ćwieka, dziwaczny, acz niezupełnie nieuzasadniony, iż przemienił się w krętka. Można było rzygnąć ze śmiechu patrząc, jak się kręci. Potrafił wiercić się godzinami na jednej pięcie, ot, tak...

Przy tych słowach przyjaciel, któremu przed chwilą przerwał swym szepciem, wyświadczył mu jota w jotę podobną przysługę.

- Co tam! - wrzasnęła jakaś podstarzała dama piskliwym głosem. - Pański Monsieur Boullard był wariatem, i do tego bardzo kiepskim wariatem, bo - proszę pana - czy kto słyszał, żeby człowiek był krętkiem? To brednia. Madame Joyeuse była rozumniejsza, jak pan wie. Miała także bzika, ale bzika rozsądnego i rozweselała wszystkich, którzy mieli zaszczyt ją znać. Po dojrzałej rozwadze przyszła do przekonania, iż skutkiem jakiegoś wypadku stała się kogutkiem. Lecz zostawszy nim, zachowywała się też odpowiednio. Trzepotała skrzydłami z niesłychanym powodzeniem - ot, tak - ot, tak! A jej pianie było przerozkosne! Ko-ko-ko-kukuryku! Ko-ko-ko-kukuryku!

- Madame Joyeuse, byłbym pani wdzięczny, gdyby pani zechciała opamiętać się! - przerwał nasz gospodarz gniewnie. - Albo pani będzie zachowywała się, jak na kobietę dobrze wychowaną przystało, albo proszę natychmiast odejść od stołu. Zechce pani wybrać!

Dama (której nazwisko zdziwiło mnie wielce, ile że przed chwilą sama opowiadała o Madame Joyeuse) zarumieniła się aż po białka i zdawała się być niezmiernie zawstydzona tym upomnieniem. Pochyliła głowę i nie odpowiedziała ani słowa.

Natomiast inna, młodsza od niej osoba podjęła wątek rozmowy. Była nią owa piękna panna z saloniku!

- Oh - zawołała - Madame Joyeuse była głupia! Nierównie więcej słusznosci miała Eugénie Salsafette. Była to bardzo piękna i nadzwyczaj skromna młoda osoba, która uważała zwykły sposób ubierania się za nieprzyzwoity i pragnęła zawsze ubierać się w ten sposób, aby znajdować się poza swymi sukniemi, a nie wewnątrz swych sukien. Zresztą jest to rzecz bardzo łatwa. Trzeba tylko zrobić tak - a potem tak - tak - tak - a potem...

- Mon Dieu! Mam'zelle Salsafette! - krzyknęło naraz kilkanaście głosów - co pani robi? Proszę przestać! To nam wystarczy! Już wiemy, jak to się robi! Dość tego! Dość! - i już kilkanaście osób powstawało ze swych miejsc, by powstrzymać Mam'zelle Salsafette od przyrównania się do Wenus Medycejskiej, gdy wtem zapobiegły temu nagle i skutecznie rozgłosne krzyki i wrzaski dolatujące skądś, z głównej połaci zamczyska.

Krzyki te dały się mocno we znaki moim nerwom, ale wszyscy inni biesiadnicy byli wprost godni pożałowania. Nie widziałem jeszcze w życiu grona rozsądnych ludzi ogarniętych takim przerażeniem. Pobledli wszyscy jak trupy i skuliwszy się w swych fotelach drżeli i bełkotali ze strachu, nadsluchując, czy owa wrzawa się nie powtórzy. Jakoż

wszczęła się znowu - głośniejsza i jakby bliższa; za trzecim razem wzmogła się ogromnie, lecz za czwartym znacznie przycichła. Z zamarciem tego zgielku nowa otucha wstąpiła w towarzystwo, zapanowało znów ożywienie i jęto dalej pleść androny. Odważyłem się wówczas spytać o przyczynę tego zaniepokojenia.

- Ach, to drobnostka! - rzekł Monsieur Maillard. - Jesteśmy przyzwyczajeni do tych rzeczy i nie przejmujemy się zbyt nimi. Obląkańcy co pewien czas zaczynają wyć chórem; jeden pobudza drugiego, podobnie jak to bywa niekiedy nocą ze sforą psów. Zdarza się atoli także, że po tych chóralnych rykach następują połączone wysiłki, by wyłamać się z zamknięcia. W tym ostatnim wypadku można być narażonym na niejakie niebezpieczeństwo.

- Iluż ma pan teraz pod kluczem?

- Obecnie jest ich zaledwie dziesięciu.

- Zapewne same kobiety?

- Oh, nie! Jeden w drugiego mężczyźni; same tęgie draby, mogą panu zaręczyć.

- Istotnie? Słyszałem, iż wśród obląkanych przeważa płeć piękna.

- Tak bywa zazwyczaj, ale nie zawsze. Niedawno temu było tu dwudziestu siedmiu chorych, a wśród nich aż osiemnaście kobiet; ale w ostatnich czasach nastąpiła ogromna zmiana, jak pan widzi.

- Tak jest; nastąpiła ogromna zmiana, jak pan widzi - przerwał jegomość, który nadwerzężył łydki Mam'zelle Laplace.

- Tak jest - nastąpiła ogromna zmiana, jak pan widzi! - zaświergotało zgodnie całe towarzystwo.

- Trzymać język za zębami! - wrzasnął gospodarz z wściekłością.

Po tych słowach całe towarzystwo zapadło na jakąś minutę w głuche milczenie. Jedna z kobiet usłuchała rozkazu Monsieur Maillarda po swojemu, gdyż wywiesiwszy język, nadzwyczaj długi, trzymała go ulegle obiema rękami aż do chwili, kiedy wzburzenie przycichło.

- A ta pani - rzekłem do Monsieur Maillarda nachylając się ku niemu i przyciszając głos - ta zacna osoba, która co tylko mówiła i ubawiła nas swym kukuryku, to pewno nieszkodliwa... co? Zupełnie nieszkodliwa?

- Nieszkodliwa? - zabelkotał z nie udanym zdziwieniem. - Co to znaczy? Co pan chce przez to powiedzieć?

- Tylko lekkie zboczenie? - rzekłem dotykając palcem czoła. - Jestem pewien, że to nic niebezpiecznego, co?

- Mon Dieu! Co też pan sobie wyobraża? Ta pani, moja serdeczna, dawna przyjaciółka, Madame Joyeuse, jest tak samo zdrowa, jak ja. Ma tam swoje drobne dziwactwa, to pewna; ale przecież pan wie - wszystkie stare, bardzo stare kobiety są nieco zdziwaczale.

- Rozumie się - rzekłem - rozumie się, a te inne panie i ci panowie...

- Są moimi przyjaciółmi i współpracownikami - przerwał Monsieur Maillard prostując się wyniośle - moimi najlepszymi przyjaciółmi i asystentami.

- Jak to, wszyscy? - zapytałem. - Czy i kobiety także?

- Oczywiście - odparł - nie możemy nic począć bez kobiet. Są to najlepsze pielęgniarki dla obląkanych; mają swe własne sposoby - zresztą pan wie! Ich promieniste oczy dokazują cudów; coś, jakby zakłęcie węża! Rozumie mnie pan?

- No, tak - rzekłem - zapewne! Ale ich postępowanie jest nieco dziwaczne - he? Są nieco pomyłone - co? Nie sądzi pan?

- Dziwaczne! Pomyłone!... Czy pan naprawdę tak myśli? Nie przeczę, że my, południowcy, nie bawimy się w świętoszków - robimy, co nam się podoba - używamy życia i wszystkiego, co ono dać nam może. Pan rozumie?...

- Ależ tak - odrzekłem - ależ tak!

- A przy tym, wie pan, to Clos de Vougeot jest może nieco za ciężkie, nieco za mocne. Rozumie mnie pan - co?

- To pewne - rzekłem - to pewne! Nawiasem mówiąc, czy dobrze zrozumiałem pana, iż system, który zastosował pan zamiast słynnego systemu pobłażania, jest nadzwyczaj surowy?

- Bynajmniej. Odosobnienie oczywiście jest zupełne; ale zabiegi lecznicze są dla chorych raczej przyjemne.

- A czy ten nowy system jest pańskiego pomysłu?

- Niezupełnie. Niektóre jego szczegóły pochodzą od doktora Smoły, o którym pan niewątpliwie słyszał; są jednakowoż w mym planie pewne odmiany. Jestem szczęśliwy, iż wszelkie prawa do nich mogę przyznać znakomitemu Pierzowi, z którym - o ile się nie mylę - ma pan zaszczyt obcować na stopie zażyłej znajomości.

- Wyznaję ze wstydem - odparłem - iż nie zdarzyło mi się jeszcze słyszeć nazwisk tych panów.

- Na miłość boską! - zawołał mój gospodarz odsuwając nagle swe krzesło i podnosząc ręce w górę. - Czy ja dobrze pana zrozumiałem? Przecież pan chyba nie chciał powiedzieć, iż nie zdarzyło się panu dotychczas słyszeć ani o uczonym doktorze Smole, ani o znakomitym profesorze Pierzu?

- Muszę przyznać się do mej niewiedzy - odrzekłem - ale prawda przede wszystkim! Mimo to czuję się wielce upokorzony, iż nie znam prac tych bez wątpienia niepospolitych mężów. Poszukam ich dzieł i przeczytam je z wyteżoną uwagą. Monsieur Maillard, pan naprawdę - muszę przyznać - pan naprawdę zawstydził mnie w mych własnych oczach.

I tak też było istotnie.

- Nie mówmy już o tym, mój drogi młodzieńcze! - odezwał się łaskawie, ściskając mi dłoń. - Trąćmy się teraz kieliszkiem Sauterne'u.

Wypiliśmy. Biesiadnicy poszli ochoczo za naszym przykładem. Gawędzili, żartowali, śmiali się, płatali tysiące głupstw. Skrzyпки piszczały, bębny dudniły, trombony ryczały jak spiżowe byki Falarisa - i całe to widowisko, mętniejąc w miarę jak wino brało górę, stało się w końcu istnym pandemonium in petto. Tymczasem Monsieur Maillard i ja, mając przed sobą kilka butelek Sauterne'u i Clos de Vougeot, rozmawialiśmy dalej podniesionymi głosami. Słowo wyrzeczone zwykłym tonem nie więcej miało warunków, by dotrzeć do uszu słuchacza, niż głos ryby odzywającej się spod wodospadu Niagara.

- Proszę pana - rzekłem krzyżąc mu do ucha - wspomniął pan coś przed obiadem o niebezpieczeństwach połączonych z dawniejszym systemem pobłażania. Na czymże one polegają?

- Istotnie - odparł - niebezpieczeństwa bywały nieraz wielkie. Zachcianki wariatów są nieobliczalne; i zarówno mym zdaniem, jak zdaniem doktora Smoły i profesora Pierza, nie jest dobrze pozwalać im, aby chodzili samopas, bez żadnego nadzoru. Wariatowi można „pobłażać”, jak to się powiada, do czasu, ale ostatecznie zawsze jest zdolny do jakiegoś wybryku. Przy tym chytróść jego jest przysłowiowa i rzeczywiście ogromna. Jeżeli ma jakiś zamiar, to ukrywa się z nim z przedziwną przebiegłością, a zrećność, z jaką umie podszywać się pod pozory zdrowia, jest dla metafizyka

jednym z najosobliwszych zagadnień psychologicznych. Gdy szaleniec wydaje się zupełnie rozsądny, trzeba mu niezwłocznie włożyć kaftan bezpieczeństwa.

- Ale to niebezpieczeństwo, mój drogi panie, o którym pan mówi! Czy na podstawie własnego doświadczenia - podczas zawiadywania tym oto zakładem - miał pan jakie praktyczne powody do przypuszczeń, iż swoboda jest rzeczą niebezpieczną, gdy chodzi o obłąd?

- Tu? Z własnego mego doświadczenia?... No, mogę powiedzieć, że tak. Na przykład, w tymże samym domu zdrowia, zaszedł niedawno temu osobliwszy wypadek. Stosowano wówczas, jak panu wiadomo, system pobłażania, a chorzy chodzili samopas. Zachowywali się nadzwyczaj nienagannie - jakby umyślnie - i każdy człowiek rozsądny na podstawie tego nienagannego zachowania się byłby doszedł do wniosku, że ci hultaje knują jakiś diabelski plan. Jakoż pewnego pięknego poranku powiązano dozorcóm ręce i wrzucono ich do cel, zaś wariaci, którzy wystrychnęli się na dozorców, nadzorowali ich, jakby to oni byli obłąkami.

- Co też pan mówi? Nie słyszałem jeszcze w życiu czegoś równie niedorzecznego!

- A jednak stało się to istotnie pod wpływem pewnego kpa - wariata, który - nie wiadomo, w jaki sposób - uroił sobie, iż wynalazł lepszy system rządzenia od wszystkich dotychczasowych - rozumie się, system rządzenia wariatami. Zachciało się mu, jak przypuszczam, wypróbować swój wynalazek, namówił przeto innych chorych, by zawiązali spisek i obalili władze kierownicze.

- I udało mu się to?

- Najzupełniej. Dozorcy i dozorowani zmienili rychło swe role, z tą wszakże różnicą, iż obłąkami byli przedtem wolni, gdy tymczasem dozorców uwięziono natychmiast w celach i obchodzono się z nimi - co muszę ze smutkiem wyznać - bardzo nieuprzejmie.

- No, sądzę, że wnet musiał nastąpić nowy przewrót. Taki stan rzeczy nie mógł długo się utrzymać. Chłopi okoliczni, goście przybywający w odwiedzinach zapewne rychło dali znać o wszystkim.

- Myli się pan. Przywódca rokoszu zbyt był na to szczwany. Nie dopuszczał gości wcale - raz tylko pewnego dnia przyjął głupkowato wyglądającego młodego cudzoziemca, którego nie potrzebował się obawiać. Pozwolił mu zwiedzić zakład - ot, tak, dla rozmaitości - żeby nim się trochę zabawić. Kiedy miał go już dosyć, pożegnał się z nim i wyprawił go z powrotem.

- Jakże długo trwało to panowanie wariatów?

- Och, bardzo długo - na pewno z miesiąc, a może i dłużej, ale nie umiem dokładnie powiedzieć. Tymczasem obłąkami mieli dobre czasy - może być pan pewny! Pozrzucali swą szmatławą odzież, a przywdziali salonowe stroje i klejnoty. Piwnice zamku zawierały wielkie zapasy win, a wariaci są to takie diabły, które umieją pić wyśmienicie. Używali też życia - zapewniam pana!

- A lecznictwo - jakież nowy system leczenia zastosował przywódca buntowników?

- No, obłąkany niekoniecznie musi być głupcem, jak to już powiedziałem. Wedle mego skromnego zdania leczenie jego było nierównie lepsze od poprzedzającego. Była to istotnie metoda doskonała - prosta, udatna, niekłopotliwa, słowem, przemiała - była to...

Wątek przemówienia mego gospodarza przeciął nagle nowy odzew wrzasków, nie różniących się od tych, które nas poprzednio zaniepokoiły. Wszelako tym razem zdawały się one pochodzić od osób szybko nadbiegających.

- O, nieba! - zawołałem. - Obłąkami na pewno zdołali się wyłamać. - Obawiam się, że tak jest istotnie - odparł Monsieur Maillard, który pobladł ogromnie. Zaledwie zdążył skończyć te słowa, gdy głośnie nawoływania i klątwy rozległy się pod oknami i wnet potem stało się rzeczą pewną, że kilka osób z zewnątrz stara się utorować sobie dostęp do sali. Walono w drzwi czymś, co było zapewne ogromnym obuchem, a podwoje wyginały się i chygotały z niesłychaną siłą.

Nastąpiła chwila straszliwego zamieszania. Monsieur Maillard, ku niewymownemu memu zdziwieniu, dał nura pod stół. Spodziewałem się po nim większej stanowczości. Członkowie orkiestry, którzy już od jakichś piętnastu minut zbyt byli podchmieleni, aby mogli sprostać swym obowiązkom, zerwali się teraz na równe nogi i wspiawszy się ze swymi instrumentami na stół huknęli Yankee Doodle. Nie zawsze wprawdzie byli w zgodzie z melodią, lecz mimo to rzępolili z nadludzką energią przez cały czas tego zamętu.

Tymczasem na stół biesiadny, między butelki i szklanki, wskoczył ów pan, którego poprzednio z taką trudnością od tego skoku udało się powstrzymać. Umieściwszy się wygodnie, jął wygłaszać mowę, która niewątpliwie byłaby znakomita, gdyby ją tylko było można słyszeć. Równocześnie człowiek z popędami krętka, rozpostarłszy ramiona pod kątem prostym do ciała, jął wirować po sali z takim niesłychanym rozmachem, iż wyglądał istotnie jak krętek roztrzucający wszystko na swej drodze. Słyszając zaś nieprawdopodobne syki i bzykanie szampana przekonałem się w końcu, iż pochodziły one od jegomościa, który podczas obiadu wyręczał butelkę tego przedniego napoju. To znów człowiek - żaba skrzeczał, jak gdyby zbawienie jego duszy zależało od każdego tonu. Górowały nad tym wszystkim nieustające poryki osła. Co zaś do mojej dawnej przyjaciółki, Madame Joyeuse, to doprawdy, na płacz mi się zbierało, kiedy widział to biedactwo w takim okropnym rozstroju. Stała sobie w kąci przy kominku i wyśpiewywała nieustannie przenikliwym głosem: „Ko-ko-ko-ko-kukuryku!”

I oto nastał kres - katastrofa dramatu. Ponieważ poza hukaniem, nawoływaniem i pianiem nie stawiano żadnych innych przeszkód naporowi uderzających od zewnątrz przeciwników, przeto wszystkie okna w mig i omal równocześnie zostały wyłamane. Nie zapomnę jednak nigdy uczuć osłupienia i grozy, jakich doznałem widząc, iż przez okna wtargnęła i runęła na nas bijąc, kopiąc i wyjąc istna zgraja jakichś potworów, które wydały się mi szympansami, orangutanami lub wielkimi pawianami z Przylądka Dobrej Nadziei.

Dostałem straszliwe uderzenie, od którego potoczyłem się pod kanapę i ległem bez ruchu. Poleżawszy jednakże tam z jakichś dziesięć minut, podczas których pilnie nadstawiałem uszu na wszystko, co działo się w sali, doszedłem w końcu do zadowalającego dénouement tej tragedii. Monsieur Maillard opowiadając mi o obłąkanym, który namówił do rokoszu swych towarzyszy, był - jak się zdaje - tylko piewą swjej własnej chwały. Jegomość ten był istotnie jakieś dwa czy trzy lata temu dyrektorem tego zakładu, lecz dostawszy pomieszania zmysłów sam został pacjentem. Nie wiedział o tym mój towarzysz podróży, który mnie jemu przedstawił. Dozorcy, których było dziesięciu, ulegli niespodziewanemu napadowi. Najpierw ich pomazano smołą, po czym starannie oblepiono pierzem, a w końcu wtrącono do cel podziemnych. Byli tak więzieni przeszło miesiąc, a Monsieur Maillard używał im łaskawie nie tylko smoły i pierza (na których polegał jego „system”), ale także nieco chleba i pod dostatkiem wody. Codziennie pompowano ją im z góry. W końcu udało się jednemu z nich umknąć przez kanał i uwolnić innych.

„System pobłażania” po dokonaniu znacznych zmian zapanował znów w zamku; niepodobna mi jednak nie przyznać Monsieur Maillardowi, iż jego „metoda” była doskonała i jedyna w swoim rodzaju. Jak słusznie się wyraził, była „prosta, udatna i niekłopotliwa” - bynajmniej!

Pozostaje mi tylko nadmienić, iż jakkolwiek przetrząsnąłem wszystkie biblioteki europejskie w poszukiwaniu dzieł doktora Smoły i profesora Pierza, to jednak nie zdołałem po dziś dzień i mimo wszystkich wysiłków znaleźć ani jednego egzemplarza.

Beczka Amontillado

Mnogie przykrości, wyrządzone mi przez Fortunata, znosiłem, jak mogłem, lecz kiedy ośmielił się mnie znieważać, poprzysiągłem zemstę. Zbyt dobrze znałem naturę mej duszy, byście mogli przypuszczać, że groźba moja objawiła się w słowach. Odwet mój miał być nierychły; to było rzeczą ostatecznie postanowioną - zaś ścisłość, z jaką go obmyśliłem, wykluczała wszelką myśl o niepowodzeniu. Chodziło mi o to, by nie tylko ukarać, lecz także ukarać bezkarnie. Obrazo nie zostaje powetowana, o ile każń dosięga tego, który ją powetował. Nie jest ona również zmaszana, jeżeli mściciel nie daje się poznać temu, co go zelżył.

Nietrudno się dorozumieć, iż moje słowa i czyny nie nasunęły nigdy Fortunatowi wątpliwości co do mej dobrej woli. Uśmiechałem się jak dawniej do niego, ale nie podejrzewał, że ten mój uśmiech wynikał teraz z myśli o jego unicestwieniu.

Ten Fortunata miał swą słabość, jakkolwiek z innych względów zasługiwał na poszanowanie, a nawet na obawę. Chętnie się swym znawstwem wina. Niewielu Włochów posiada dar rzetelnego znawstwa. Ich zapach nagina się zazwyczaj do czasu i okoliczności, stanowiąc narzędzie do oszukańczego wyzysku milionerów angielskich i austriackich. O gemmach i obrazach Fortunato, jak wszyscy jego ziomkowie, nie miał pojęcia, ale na starych winach znał się istotnie. Pod tym względem nie ustępowałem mu bynajmniej; obeznałem się dokładnie z włoskimi winobraniami i czyniłem zakupy wszędzie, gdzie tylko się dało.

Pewnego razu, późnym już wieczorem, kiedy karnawał szalał zapamiętałe, spotkałem mojego przyjaciela. Powitał mnie z ogromną czułością, gdyż był pijany. Miał na sobie pstry kostium. Strój był wykwinny, obcisły, w różnokolorowe prążki, a dopełniała go stercząca na głowie stożkowata czapka z dzwoneczkami. Ucieszyłem się tak bardzo, gdym go zobaczył, iż uściskom nie było końca. Rzekłem do niego:

- Jakże to dobrze, mój drogi Fortunato, że cię spotykam! Wyglądasz dziś przewybornie. Lecz wiesz co? Dostałem antał czegoś, co uchodzi za Amontillado, i mam wątpliwości.

- Co? - odezwał się. - Amontillado? Cały antał? Niepodobna! I to teraz, śród karnawału?

- Mam wątpliwości - odparłem - i byłem taki niemądry, iż zapłaciłem jak za Amontillado, nie poradziwszy się wprzód ciebie. Nie mogłem cię odszukać, a obawiałem się nie wyzyskać sposobności.

- Amontillado!

- Mam wątpliwości.

- Amontillado!

- I chciałem się upewnić.

- Amontillado!

- Jak widzę, jesteś zajęty, więc pójdę do Luchesiego. Jeżeli kto ma zmysł krytyczny, to właśnie on. On mi powie...

- Luchesi nie odróżni Amontillada od sherry!

- A jednak zdarzają się tacy głupcy, którzy utrzymują, iż smak jego może współzawodniczyć z twoim.

- Chodź, pójdziemy!

- Dokąd?

- Do twoich piwnic.

- Nie, mój drogi. Nie chcę nadużywać twej dobroci. Widzę, że jesteś zaproszony. Luchesi...

- Nie jestem zaproszony pójdź!

- Nie, mój drogi! To nie chodzi o zaproszenie, lecz o to, że jesteś mocno przeziębiony. Piwnice są niemożliwie wilgotne. Po prostu szklą się od saletry.

- To mniejsza, chodźmy. Co mi tam przeziębienie! Amontillado! Oszukano cię; co zaś do Luchesiego, to nie odróżni on sherry od Amontillada.

To mówiąc Fortunata ujął mnie pod ramię. Włożyłem na twarz czarną jedwabną maskę i otuliwszy się szczelnie w moją roquelaure podążyłem z nim pośpiesznie do mojego pałacu.

Służby w domu nie było; rozbiegła się na hulanki, by nie zrobić wstydu zapustom. Zapowiedziałem, iż powrócę dopiero nad ranem, i nakazałem wyraźnie, by nikt nie wychodził. Wiedziałem, iż po tym rozkazie rozpierzchną się na pewno co do jednego, skoro tylko próg przestąpię.

Wyjąłem dwie pochodnie z pierścieni umieszczonych na ścianach i wręczywszy jedną z nich Fortunatowi poprowadziłem go krętą drogą poprzez komnaty ku sklepionemu krużgankowi, skąd schodziło się do piwnic. Po czym po długich, kręconych schodach zbiegłem w dół, prosząc go, by podążył za mną ostrożnie. W końcu stanęliśmy u podnóża na wilgotnej posadze katakumb Montresorów.

Chód mego przyjaciela był niepewny, a dzwoneczki u czapki brząkały za każdym jego stąpieniem.

- Antał! - odezwał się.

- Hen, dalej - odparłem - lecz spójrz na białą tkankę, co skrzy się na ścianach podziemia.

Odwrócił się i wytrzeszczył na mnie wilgotne oczy, zabiegłe pijackim szklivem.

- Saletra? - zapytał w końcu.

- Saletra - odpowiedziałem. - Odkądże to nabawiłeś się tego przeziębienia?

Mój biedny przyjaciel tak zaniósł się od kaszlu, że nieprędko zdobył się na odpowiedź.

- To nic - rzekł w końcu.

- Pójdź - odparłem stanowczo - wracajmy; zdrowie twoje nazbyt jest cenne. Tyś bogaty, poważany, uwielbiany, kochany; jesteś szczęśliwy, jak ja - ongiś. Stratę twoją odczuliby wszyscy. Co innego ze mną. Wracajmy! Jeszcze mi zachorujesz, a ja nie chcę brać na siebie odpowiedzialności. Zresztą Luchesi...

- Dość tego - zawołał - kaszel to drobnostka; nie zabije mnie. Nie umrę z kaszlu!

- To prawda, nie przeczę - rzekłem na to - właściwie nie zamierzałem niepokoić cię bez potrzeby, lecz powinienes mieć się na baczności. Łyk tego oto Medocu uchroni cię przed wilgocią.

To mówiąc utraciłem szyjkę butelki, którą wybrałem spośród wielu innych, leżących pokotem na piaszczystej pościółce.

- Pij! - odezwałem się podając mu wino.

Podniósł butelkę do ust patrząc na mnie spod oka. Zawahał się i skinął mi głową, aż dzwonki zabrzęczały.

- Pije - przemówił - na cześć nieboszczyków, co spoczywają dokoła nas.

- A ja - byś żył długo!

Ujął mnie znów pod ramię i poszliśmy dalej.

- To bardzo obszerne podziemia - zagadnął.

- Montresorowie - odparłem - byli możnym i licznym rodem.

- Nie pamiętam waszego herbu.

- Potężna złota stopa. W lazurowym polu. Miażdzy ona przeczące się węza, który klami wpija się w pięte.

- A dewiza?

- Nemo me impune lacessit!

- Dobra! - powiedział.

Wino zaigrało mu w oczach, a dzwonki zabrzęczały. I moja wyobraźnia rozgorzała od Medocu. Mijaliśmy stopy napiętrzonych kości, poprzekładanych antałami i beczkami, zmierzając ku najtajemniejszym kryjówek katakumb. Przystanąłem znowu i pozwoliłem sobie ująć Fortunata za ramię powyżej łokcia.

- Widzisz - rzekłem - saletry coraz więcej! Omszyła całe sklepienie. Jesteśmy pod łożyskiem rzeki. Wilgoć kroplami sączy się wśród kości. Pójdź, wracajmy, nim będzie za późno. Twój kaszel...

- To nic - odparł - chodźmy dalej! Lecz przedtem napiłbym się jeszcze Medocu.

Otarłem i podałem mu butelkę De Grève. Wychylił ją duszkiem. Oczy jego roziskrzyły się dzikim ogniem. Zaśmiał się, podrzucił butelką w górę i uczynił gest, którego nie zrozumiałem.

Spojrzałem na niego zdumiony. Powtórzył swój gest dziwaczny.

- Czy nie rozumiesz? - zapytał.

- Nie - odrzekłem.

- A więc nie należysz do bractwa?

- Jakiego?

- Nie jesteś masonem?

- O, tak - powiedziałem - tak.

- Ty masonem? To niemożliwe!

- Jestem masonem - odparłem.

- Zrób znak! - rzekł do mnie.

- Patrz! - odpowiedziałem wysuwając kielnię spod fałdów mego płaszcza.

- Żartujesz! - zawołał odskakując ode mnie. - Lecz chodźmy do Amontillada.

- Dobrze - rzekłem chowając narzędzie i podałem mu znów ramię. Wsparł się na nim ciężko. Poszliśmy dalej, szukając Amontillada. Przeszliśmy pod niskimi łukami sklepień, zeszliliśmy po schodach, podążyliśmy jeszcze dalej, napotkaliśmy znów schody, minęliśmy je i dotarliśmy do głębokiej krypty, gdzie powietrze było tak stęchłe, iż pochodnie nasze raczej - się tliły, niż jarzyły.

W najdalszym kącie krypty widniała inna, nie tak obszerna. Mury jej były pokryte ludzkimi szczętami, napiętrzonymi aż po sklepienie na podobieństwo wielkich katakumb paryskich. Ozdoby te dokoła trzech wewnętrznych ścian krypty stały jeszcze nie naruszone. Od czwartej odgarnięto kości, które leżały bezładnie na ziemi, tworząc w jednym miejscu stos dość znacznych rozmiarów. W ścianie tej, ogołoconej w ten sposób z kości, dostrzegliśmy jeszcze dalszą skrytkę, głęboką mniej więcej na cztery stopy, szeroką na trzy, a wysoką na sześć lub siedem. Nie miała ona, jak się zdaje, żadnego określonego celu i stanowiła po prostu wnękę między dwiema olbrzymimi wsporami podtrzymującymi powalę katakumb, a ograniczało ją zakole potężnej granitowej ściany. Fortunato, podniósłszy w górę swą przygasłą pochodnię, na próżno starał się rozejrzeć w głębiach tej kryjówki. Przy słabym świetle nie mogliśmy dostrzec jej krańców.

- Idź dalej - rzekłem - tam jest Amontillado. Co do Luchesiego...

- To głupiec - przerwał mój przyjaciel krocząc niepewnie naprzód, ja zaś podążałem tuż za nim. Po chwili dosięgnął krańca wnęki i widząc, że dalszą drogę zapierają mu głazy, zatrzymał się w bezmyślnym osłupieniu. W okamgnieniu przytwierdziłem go do granitowej ściany. Wystawały z niej w tym miejscu dwie żelazne klamry, umieszczone poziomo w odległości dwu stóp. Przy jednej wisiał krótki łańcuch, przy drugiej znajdowała się kłódka. Błyskawicznie opasałem go łańcuchem, który zamknąłem na kłódkę. Był tak zdumiony, iż nie stawiał oporu. Wyjąłem klucz z zamka i wybiegłem z wnęki.

- Przesuń ręką po ścianie! - rzekłem. - To niepodobna, byś nie wyczuł saletry. Wierz mi, tu wilgoć ogromna. Jeszcze raz zaklinam cię, byś wracał. Nie? To ostatecznie muszę cię opuścić. Lecz pierwszej uczynię dla ciebie wszystko, co tylko jest w mej mocy.

- Amontillado! - wybełkotał mój przyjaciel, nie ochłonawszy jeszcze z osłupienia.

- Aha! - odparłem - tak, to Amontillado.

Mówiąc to, pochylilem się nad stosem kości, o którym wspomniałem poprzednio. Rozgrzebawszy go, znalazłem rozczyzione wapno i spory zapas ciosanego kamienia. Nie szczędząc budulca, przy pomocy kielni jałem skrzętnie zamurowywać wejście do wnęki.

Nie zdążyłem jeszcze ułożyć pierwszej warstwy ciosu, kiedy zauważyłem, że Fortunato znacznie otrzeźwiał. Najpierwszą tego otrzeźwienia oznaką był głuchy, żaloszny krzyk, dolatujący z głębi kryjówki. Nie był to krzyk pijanego człowieka. Potem nastąpiło przewlekłe, uparte milczenie. Ułożyłem drugą, trzecią warstwę; wówczas rozległo się wściekle szarpanie łańcucha. Zgiełk ten trwał czas jakiś, ja zaś by rozkoszować się nim do woli, zaprzestałem pracy i usiadłem na stosie kości. Kiedy szczekanie ustało, podjąłem kielnię i ułożyłem bez przeszkód piątą, szóstą i siódmą warstwę. Nowa ściana sięgała mi już niemal do piersi. Przerwałem znowu i wzniosłszy pochodnię powyżej muru, zwróciłem nagle jej światło na zamkniętą w głębi postać.

Z gardzieli zakutego w łańcuchy kształtu jęły rozlegać się kolejno przeraźliwe, ostre wrzaski, co zdały się przemocą odtrącać mnie precz. Zawahałem się na razie - i zadrzałem. Dobyłem rapieru z pochwy i jałem żgać nim w głąb wnęki, lecz po chwili namysłu odzyskałem spokój. Dotknąłem dłonią potężnych murów katakumb i uczułem, że wstępuje we mnie otucha. Powróciłem znów do swej ściany. Na wycia wołającego odpowiedziałem wyciem. Wtórowałem, przedrzeźniałem, przemogłem je siłą i natężeniem głosu. Jakoż dokazałem, że wołania ucichły.

Nastała północ i praca moja miała się ku końcowi. Ułożyłem ósmą, dziewiątą i dziesiątą warstwę. Po czym wykończyłem w części jedenastą i zarazem ostatnią; pozostawał jeszcze tylko jeden kamień, który trzeba było włożyć na miejsce i otynkować. Podźwignąłem go z wysiłkiem; samym tylko krańcem wtłoczyłem do otworu. Wówczas ozwał się z wnęki głuchy śmiech, od którego włosy stanęły mi na głowie. Następnie rozległ się dziwny głos, po którym niełatwo było poznać dostojnego Fortunata. Głos ów wołał: - Ha, ha, ha! - he, he! - zaiste, wyborny pomysł, przedziwny żart! Co to będzie śmiechu w pałacu - he, he, he! - z naszego wina - he, he, he!

- Z tego Amontillada! - odezwał się.

- He, he, he! - he, he, he! - tak, z tego Amontillada. Lecz czy to nie późno? Czyż nie oczekują nas w pałacu goście i Signora Fortunato? Chodźmy tam!

- Dobrze - rzekłem - chodźmy!

- Na miłość boską, Montresorze!

- Tak jest - odparłem - na miłość boską!

Wszelako po tych słowach na próżno oczekiwałem odpowiedzi. Jałem się niecierpliwić. Krzyknąłem więc głośno:

- Fortunato!

Nie odezwał się. Krzyknąłem znowu:

- Fortunato!

Nie było odpowiedzi. Wetknąłem jedną pochodnię w niezupełnie zasklepiony otwór i wrzuciłem ją do wnętrza. Odpowiedziało mi tylko brzęczenie dzwonek. Uczułem mdłość w sercu - wywołaną zapewne wilgocią katakumb. Dokończyłem pośpiesznie pracy. Wepchnąłem ostatni kamień na właściwe miejsce i pokryłem go tynkiem. Nową ścianę zasłoniłem rusztowaniem z napiętrzonych kości. Przez pół wieku nikt ich nie ruszał. In pace requiescat!2

Żabi Skoczek

Nie znałem jeszcze człowieka, który by był tak całą duszą oddany krotoczwili, jak król jegomość. Zdawało się, iż żyje tylko dla żartu. Dość było opowiedzieć jakąś udatną a ucieszną facecję i opowiedzieć ją dobrze, a można było na pewno utorować sobie drogę do jego łaski. Jakoż zdarzyło się, iż wszyscy jego ministrowie, jak było ich siedmiu, słynęli ze swych uzdolnień do sowizdrzalstwa. Wszyscy wzorem królewskim byli rośli, tężdy i otyli i wszyscy byli niezrównanymi żartownisiami. Czy nabrali tuszy od żartów, czy też jest coś w tuszy, co usposabia do żartów, z tego nigdy nie umialem całkowicie zdać sobie sprawy, ale to pewna, że chudy żartowniś jest rara avis in terris.1

W subtelnościach czy też, jak się wyrażał, w „mrzonkach” dowcipu nie lubował się król zbyt. Uwielbiał w konceptach przede wszystkim szerokość i dla szerokości mógł niejednokrotnie pogodzić się z długością. Nadmiar wytworności nuzył go. Wołałby Rabelais'go Gargantuę niż Voltaire'owskiego Zadiga; zaś na ogół żart w czynie nierównie więcej dogadzał jego upodobaniom niż żart w słowie.

W epoce mojego opowiadania sowizdrzały zawodowi nie zniknęły jeszcze w zupełności z dworów monarszych. Kilka wielkich łądowych mocarstw zachowało swych błaznów w pstrych przyodziewkach i w czapkach z dzwonekami. W zamian za okruszyny ze stołów królewskich musieli oni być zawsze gotowi do ostrego i przystosowanego do okoliczności kpiarstwa.

Król, o którym mówię, zatrzymał oczywiście swego błazna. To pewna, iż potrzebował czegoś w rodzaju błazeństwa - chociażby po to, by dać przeciwwagę ciężkiej mądrości siedmiu mędrców, którzy byli jego ministrami - pomijając już jego własną.

Błazen jego, czyli zawodowy wesołek, nie był jednakże tylko błaznem. W oczach królewskich trzykrotną miał wartość, ile że był zarazem karłem i kaleką. Karły bywały podówczas na dworach równie częste jak błazny i wielu monarchów nie wiedziałoby, co począć ze swymi dniami (które bywają na dworach dłuższe niż gdzie indziej), gdyby nie mieli błazna, z którym mogli się pośmiać, i karła, którego mogli wyśmiać. Atoli, jak już nadmieniałem, żartownisie w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto są spaśli, kragli i ocieźali - toteż nie byle jakim źródłem zadowolenia było to dla króla, że Żabi Skoczek (tak zwał się ów błazen) przedstawiał trzykrotny skarb w jednej osobie.

Nie ulega wątpliwości, iż imienia „Żabi Skoczek” nie otrzymał karzeł przy chrzcie, lecz że nadano mu je na podstawie jednomyślnej uchwały siedmiu ministrów, gdyż nie umiał chodzić jak inni ludzie. Jakoż Żabi Skoczek mógł posuwać się naprzód tylko jakimś krokiem pośrednim, co był na poły podrygiem, na poły zataczaniem się. Ruchy te wywoływały bezgraniczną uciechę i bawiły króla, który mimo wypukłego brzucha i chronicznego obrzęku twarzy, uchodził na swym dworze za postać nader okazałą.

Aczkolwiek Żabi Skoczek skutkiem ułomnych nóg tylko z wielkim wysiłkiem i trudem mógł poruszać się po drodze lub posadzce, to jednak niesłychana siła, którą otrzymały od przyrody mięśnie jego ramion, jak gdyby w zamian za niemoc kończyn dolnych, pozwalała mu dokonywać cudów zręczności, gdy chodziło o drzewa, liny lub inne przedmioty, po których mógł się wspinać. Wszelako przy tych popisach podobny był raczej do wiewiórki lub małpeczki niżeli do żaby.

Nie umiem dokładnie określić, skąd Żabi Skoczek pochodził. Ojczyzną jego była jakaś barbarzyńska kraina, o której nie zdarzyło się jeszcze słyszeć nikomu - niezmiernie odległa od stolicy królewskiej. Żabiego Skoczka i młodą dziewczynę, nieco mniej karłowatą od niego (aczkolwiek nadzwyczaj kształtną i niezrównaną tancerkę), porwano przemocą z ich siedzib znajdujących się w przyległych prowincjach i na rozkaz jednego z zawsze zwycięskich generałów posłano w darze królowi.

Nie można się dziwić, iż w tych okolicznościach między dwojgiem małych jeńców zadzierzgnęła się ścisła zażyłość. Bardzo rychło poprzysięgli sobie przyjaźń. Żabi Skoczek, który mimo swych igraszek bynajmniej nie był lubiany, niezbyt mógł przysługiwać się Tripetcie; natomiast ona dzięki swej gracji i niezrównanej urodzie (mimo iż była karliczką) stanowiła przedmiot powszechnej życzliwości i podziwu, toteż posiadała wielkie wpływy i, ilekroć tylko mogła, używała ich na korzyść Żabiego Skoczka.

Z powodu jakiejś wielkiej, państwowej uroczystości - zapomniałem już jakiej - król postanowił urządzać bal maskowy; zaś za każdym razem, gdy na dworze miała się odbyć maskarada lub inna podobna zabawa, uzdolnienia

zarówno Żabiego Skoczka, jak Tripetty znajdowały niezawodne pole do popisu. Zwłaszcza Żabi Skoczek był tak pomysłowy w urządzaniu świetnych widowisk, wynajdywaniu nowych, charakterystycznych maszkar i sporządzaniu kostiumów na bale maskowe, iż zdawało się, że niczego dokonać nie było można bez jego współudziału.

Nastał wieczór wyznaczony na ową fetę. Wspaniałą salę przystrojono pod nadzorem Tripetty wszelakimi ozdobami, które mogły przyczynić się do uświetnienia maskarady. Cały dwór opanowała gorączka oczekiwania. Wszyscy, jak z góry było można przypuszczać, wiedzieli już, w jakich ukażą się kostiumach i jakie będą wyobrażali postacie. Wielu dworaków od tygodnia, a nawet od miesiąca przemyślało nad stosowną dla siebie rolą. Jakoż nikt już nie wahał się prócz króla i jego siedmiu ministrów. Dlaczego się ociągali, nie umiem powiedzieć - może dla żartu. Dużo jednak jest prawdopodobieństwa, iż po prostu za trudno im było o czymś pomyśleć, gdyż byli na to za otyli. Bądź co bądź czas upływał; w ostatniej przeto chwili posłali po Tripettę i Żabiego Skoczka.

Para małych przyjaciół usłuchała wezwania królewskiego i zastała monarchę wraz z siedmiu jego doradcami przy winie; mimo to władca był widocznie w bardzo złym humorze. Wiedział on, że Żabi Skoczek nie znosi wina, które podniecało biednego kalekę niemal do szaleństwa, a szaleństwo nie jest uczuciem przyjemnym. Ale król miał upodobanie do żartów w czynach i lubił zmuszać Żabiego Skoczka do picia (jak się wyrażał) „na frasunek”.

- Pójdź no, Żabi Skoczku! - odezwał się, gdy błazen i jego przyjaciółka weszli do komnaty. - Wypij ten kielich na zdrowie swych nieobecnych przyjaciół (tu Żabi Skoczek westchnął) i popisz się swym dowcipem. Potrzeba nam charakterystycznych ról - czegoś, co by miało charakter, rozumiesz? - czegoś nowego, niebywałego. Nudzi nas już ta nieustanna jednostajność. Chodź tu, napij się! Wino rozjaśni ci we łbie.

Żabi Skoczek próbował, jak zwykle, bryznąć dowcipem w odpowiedzi na łaskawość królewską, ale było to nad jego siły. Przypadkiem był to dzień urodzin biednego karła, a wezwanie do picia na zdrowie „nieobecnych przyjaciół” wycisnęło mu łzy z oczu. Rzęsiste i gorzkie spadały do pucharu, gdy brał go pokornie z rąk tyrana.

- Cha! cha! cha! - ryknął tenże, gdy karzeł niechętnie wychylał kielich. - Widzisz, co to może szklanka dobrego wina! Aha, oczy już ci się świecą!

Biedny kaleka! Duże jego oczy raczej żarzyły się, niż świeciły, gdyż oddziaływanie wina na jego pobudliwy mózg było nie tylko potężne, lecz także niezwłoczne. Postawił nerwowo puchar na stole i spojrzał na obecnych nieprzytomnym niemal wzrokiem. Wszyscy udawali, że ich ogromnie bawi ten udatny „figiel” królewski.

- A teraz do rzeczy! - odezwał się pierwszy z ministrów, człek ogromnej tuszy.

- Tak jest - rzekł król - chodź no, Żabi Skoczku, pomóż nam! Chodzi o coś charakterystycznego, mój chwacki chłopcze; wszyscy chcielibyśmy wyglądać charakterystycznie - cha! cha! cha! - a ponieważ te słowa miały uchodzić za dowcip, więc śmiechowi jego zawtórowało chórem siedmiu dostojników.

Żabi Skoczek zaśmiał się także, aczkolwiek blado i nieco bezmyślnie.

- Rusz no się! - zawołał król niecierpliwie. - Czy nie przychodzi ci nic na myśl?

- Właśnie staram się wymyślić coś nowego - odparł karzeł z roztargnieniem, gdyż był odurzony winem.

- Starasz się? - wrzasnął tyran ze złością. - Co to ma znaczyć? Ach, rozumiem. Coś ci dolega i chciałbyś jeszcze wina. Masz, pij! - mówiąc to nalał drugi kielich i podał go kalece, który patrzył osłupiałymi oczyma i ciężko dyszał.

- Pij, mówię ci! - ryknął tyran - lub do wszystkich diabłów... Karzeł ociągał się. Król poczerwieniał z wściekłości. Dworacy zanieśli się od śmiechu. Tripetta ze śmiertelną bladłością na twarzy podeszła do krzesła monarchy i upadłszy przed nim na kolana jęła błagać, by miał litość nad jej przyjacielem.

Tyran patrzył na nią przez chwilę, jak gdyby nie mogąc wyjść z podziwu nad jej zuchwalstwem. Zdawał się być w niepewności, co ma uczynić czy powiedzieć - w jaki sposób najwłaściwiej objawić swe oburzenie. W końcu nie rzekłszy ani słowa, odrzucił ją mocno od siebie i bluznął jej w twarz całą zawartość kielicha.

Biedna dziewczyna zniosła to cierpliwie i nie odważywszy się nawet westchnąć, wróciła znów na szary koniec stołu. Zaległa na jakie pół minuty tak głucha cisza, iż było można słyszeć szmer spadającego liścia lub pierza. Przerwał ją przyciszony, lecz ostry i przeciągły zgrzyt, który zdawał się dochodzić równocześnie ze wszystkich kątów komnaty.

- Co... co... co za hałas ty tu wyprawiasz? - spytał król zwracając się z wściekłością do karła.

Ochłonął on już widocznie w znacznej mierze z odurzenia, gdyż patrząc śmiało i spokojnie w twarz tyrana, odparł krótko:

- Ja... ja? Czyż to możliwe?

- Szmer, jak się zdaje, dolatywał od zewnątrz - wtrącił któryś z dworaków. - Myślę, że to papuga za oknem ostrzyła dziób o pręty swej klatki.

- Być może - odparł monarcha, jak gdyby przypuszczenie to przyniosło mu ulgę - ale byłbym poprzysiągł na honor rycerski, że to ten włóczęga zgrzyta zębami.

Na te słowa karzeł zaśmiał się (król zanadto lubił wesołość, by gniewać się za czyjś śmiech), pokazując rząd dużych, silnych, i nader drapieżnych zębów. Co więcej, objawił chętną gotowość wypicia wina, którym go raczono. Monarcha się rozpogodził. Wychyliwszy bez widocznej odrazy drugi kielich, Żabi Skoczek jął od razu i z wielkim ożywieniem rozprawiać o maskaradzie.

- Nie umiałbym powiedzieć, na czym polegało to skojarzenie myśli - mówił bardzo spokojnie, jak gdyby nigdy nie przełknął wina - lecz właśnie po tym, kiedy Wasza Królewska Mość odrzucił dziewczynę i oblał ją winem - wnet po tym, kiedy Wasza Królewska Mość to uczynił i kiedy za oknem rozległ się ów dziwny szmer wywołany przez papugę - strzelił mi do głowy nadzwyczajny zabawny pomysł - figiel, znany w mej ojczyźnie i często uprawiany na balach maskowych, ale tu zupełnie nowy. Nieszczęściem potrzeba do niego aż ośmiu osób i...

- Które tu są! - zawołał król rozradowany swą przenikliwością, która zdołała to zauważyć. - Okrągło osiem! Ja i moich siedmiu ministrów. No, na czymże ten figiel polega?

- Nazywamy go - odparł kaleka - „ośmiu splepanych orangutanów” i jest to istotnie przewyborny koncept, jeśli dobrze go się wykona.

- Już my to zrobimy - zauważył król wyciągając się i przyzymkając oczy.

- Urok tej zabawy - mówił dalej Żabi Skoczek - polega na popłochu, jaki wywołuje się wśród kobiet.

- Znakomicie! - ryknął monarcha, a zawtórowali mu ministrowie.

- Przebiorę Wasze Dostojności za orangutanów - podjął znowu karzeł. - Pomyślę o wszystkim. Podobieństwo będzie tak dalece wierne, iż uczestnicy maskarady będą sądzili, że to rzeczywiste zwierzęta, i będą zarówno zdziwieni, jak przerażeni.

- O, to nadzwyczajne! - wykrzyknął król. - Zobaczysz, Żabi Skoczku, zrobię ja z ciebie człowieka!

- Łańcuchy są potrzebne, by swym szczekaniem pomazały zaniepokojenie. Ludzie będą przypuszczali, że to małpy, co umknęły gromadnie ze swych klatek. Wasza Królewska Mość może nie zdaje sobie sprawy, jakie wrażenie wywoła na balu maskowym pojawienie się ośmiu zakutych w łańcuchy orangutanów, które ogromna większość towarzystwa będzie uważała za rzeczywiste. Co to będzie, gdy z dzikimi wrzaskami wpadną w ciżbę wytwornie i wspaniale postrojonych pań i panów! Kontrast po prostu niezrównany.

- Musimy go wywołać! - rzekł król i całe towarzystwo zerwało się ze swych miejsc pośpiesznie (gdyż było już późno), by przystąpić do wykonania pomysłu Żabiego Skoczka.

Sposób, w jaki przebrał ich za orangutanów, był bardzo prosty, lecz najzupełniej odpowiadający jego zamierzeniom. Małpy tego rodzaju w epoce mojego opowiadania bardzo rzadko zdarzało się widywać w krajach ówczesnego cywilizowanego świata, a ponieważ maskary, obmyślane przez króla, miały wygląd dość zwierzęcy, a przy tym wielce potworny, przeto mniemano, iż wierności stało się zadość. Król i jego ministrowie przede wszystkim przywdziali obcisłe, z grubej tkaniny bawelnianej sporządzone koszule i spodnie. Odzież tę nasycono następnie mazią. Kiedy to się stało, niektórzy z uczestników jęli przemawiać za pierzem, wszelako pomysłowi temu sprzeciwił się karzeł i przekonał ich naocznie, iż podobieństwo do sierści takiego zwierzęcia, jak orangutan, da się nierównie lepiej osiągnąć za pomocą lnu. Jakoż na grube pokłady mazi nalepiono grube warstwy przędzy. Następnie przyniesiono długi łańcuch. Łańcuchem tym opleciono w pasie króla i zawiązano; po czym opasano drugiego uczestnika i również łańcuch zawiązano. W podobny sposób postąpiono kolejno ze wszystkimi innymi. Gdy to pętanie ukończono, uczestnicy, odsunawszy się od siebie możliwie najdalej, utworzyli koło. By zaś podobieństwo uczynić jeszcze naturalniejszym. Żabi Skoczek przeciągnął pozostałą część łańcucha na kształt dwu przekątni krzyżujących się pod kątem prostym przez środek tego koła, podobnie jak to czynią obecnie ci, co łowią szympanse i inne wielkie małpy na wyspie Borneo.

Wielki salon, w którym bal maskowy miał się odbyć, był kształtu kolistego. Światło dzienne napływało do niego tylko przez jedno okno, umieszczone pośrodku bardzo wysokiego sklepienia. Nocną porą, na którą głównie był przeznaczony, oświetlano go za pomocą wielkiego świecznika, zawieszzonego na łańcuchu, który przechodził przez owo okno górne. Do opuszczania lub podciągania tego świecznika służyły, jak zwykle, przeciwwagi, które, żeby były niewidoczne, znajdowały się na zewnątrz kopuły, na dachu.

Urządzenie wnętrza powierzono kierownictwu Tripetty, wszelako w pewnych szczegółach dawała się ona, jak się zdaje, powodować wytrawniejszemu sądowi swego przyjaciela - króla. Za jego to radą świecznik usunięto. Wosk kapiący ze świec (czemu w rozgrzanej atmosferze niepodobna było przeszkodzić) mógł poplamieć kosztowne stroje gości, którzy w natłoczonej sali nie mogli przecie trzymać się z dala od jej środka - to znaczy, od miejsca pod świecznikiem. Zawieszono natomiast w różnych odsłoniętych nieco miejscach kandelabry ścienne, zaś kariatydom, których pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt stało dokoła sali, włożono do prawic pochodnie wydzielające słodkie wonie.

Ośmiu orangutanów, stosując się do wskazówek Żabiego Skoczka, czekało cierpliwie, by ukazać się dopiero o północy, kiedy sala będzie już pełna zamaskowanych gości. Jakoż nie wcześniej niż o dwunastej podążyli oni lub raczej potoczyli się wszyscy razem - gdyż przeszkoda, jaką stanowiły łańcuchy, była przyczyną, iż niektórzy upadli, a wszyscy potknęli się wchodząc do sali.

Zaniepokojenie wśród zamaskowanych gości było niesłychane i napelniło serce królewskie radością. Jak przewidywano, nikt niemal z obecnych nie wątpił, iż te dziko wyglądające potwory mogą być istotnie zwierzętami, jakkolwiek niekoniecznie orangutanami. Wiele kobiet zemdlało z przerażenia i gdyby król nie był rozkazał przezornie, by usunięto wszelką broń z sali, on sam i jego towarzysze byliby mogli przypłacić swój figiel własną krwią. Wszyscy jęli tłoczyć się ku drzwiom, ale król zawczasu wydał rozkaz, by je pozamykano, skoro tylko pojawi się na sali. Klucze oddano do rąk króla, jak było umówione.

Gdy zamieszanie dosięgło szczytu i wszyscy uczestnicy balu zaczęli myśleć tylko o swym własnym bezpieczeństwie (gdyż ścisk przerażonej ciżby istotnie jął się stawać niebezpieczny), można było zauważyć, iż łańcuch, na którym zazwyczaj wisiał świecznik i który podciągnięto w górę po jego zdjęciu, zaczął stopniowo się opuszczać coraz niżej, aż wreszcie hak, którym był zakończony, zawisł na jakie trzy stopy nad posadzką.

Wkrótce potem król i jego siedmiu towarzyszy, przebiegłszy salę we wszystkich kierunkach, znalazło się w samym jej środku i w bezpośrednim pobliżu owego łańcucha. W tej chwili karzeł, który podążył tuż za nimi i zachęcał ich do biegu, ujął łańcuch, którym byli owiązani, w tym miejscu, gdzie krzyżował się on pod kątem prostym na podobieństwo dwu przekątni przecinających koło. Z szybkością myśli zaczął go o hak, na którym zwykle wisiał świecznik, i w okamgnieniu jakaś niewidzialna siła podciągnęła łańcuch tak wysoko w górę, iż dosięgnąć haka już nie było można, zaś nieuniknionym dalszym następstwem było to, że orangutany stłoczyły się w jedną zbitą masę twarzą w twarz do siebie.

Tymczasem zamaskowani goście, ochłonawszy nieco z przerażenia, jęli patrzeć na to wszystko jak na uciészne widowisko i śmiali się do rozpuku z tego małpiego grona.

- Proszę zostawić ich mnie! - wrzasnął nagle Żabi Skoczek, którego przenikliwy głos dotarł do wszystkich uszu mimo wrzawy. - Proszę pozostawić ich mnie. Sądzę, że ich znam. Gdybym mógł tylko dobrze im się przyjrzeć, to zaraz odgadłbym, co to za ludzie.

Koziółkując niemal ponad głowami tłumu, zdołał dotrzeć do ściany, wziął z ręki którejś z kariatyd pochodnię, powrócił znów na środek komnaty, wspiął się ze zręcznością małpy na głowę króla, po czym przeskoczył na łańcuch, na którym zwiesił się o kilka stóp wyżej, i świecąc w dół pochodnią, jak gdyby chciał przypatrzeć się orangutanom, wrzasnął znowu: „Zaraz będę wiedział, kto to jest!”

Po tych słowach, gdy wszyscy obecni (nie wyłączając małp) zanosili się po prostu od śmiechu, rozległ się nagle z ust wesołka przeraźliwy świst i łańcuch poderwał się spiesznie w górę na jakie trzydzieści stóp, unosząc ze sobą zatrwożone i szamoczące się orangutany i zawieszając je w przestworzu między oknem kopuły a posadzką. Żabi Skoczek, trzymając się mocno łańcucha, nie zmienił wcale swej postawy w stosunku do kłębiących się pod nim ośmiu maskar i wciąż jeszcze (jak gdyby nic nie zaszło) pochylał ku nim swą pochodnię, niby to badając, kim one mogą być.

To poderwanie się łańcucha wywołało w całym towarzystwie takie osłupienie, iż na chwilę zaległa w sali głucha cisza. Przerwał ją przyciszony i ostry zgrzyt, jota w jotę podobny do owego, który poprzednio już zwrócił uwagę króla i jego doradców, kiedy monarcha bryznął w twarz Tripetty winem. Wszelako obecnie nie ulegało już wątpliwości, skąd ten szmer pochodził. Dobywał się on spomiędzy drapieżnych kłów króla, który pienieł się i zgrzytał nimi, wpatrując się z opętającą złością w zwrócone ku niemu oblicze króla i jego siedmiu towarzyszy.

- Aha! - rzekł w końcu rozwścieczony błazen.-Aha! Zdaje mi się, że już widzę, co to za ludzie! - I jak gdyby chcąc lepiej przyjrzeć się królowi, przytknął pochodnię do lnianej przędzy, która go okrywała. Len zajął się natychmiast jasnym płomieniem. W niespełna pół minuty gorzały już wszystkie orangutany wśród krzyków cizby, która przerażona patrzyła na nich z dołu, nie mogąc przyjść z pomocą.

W końcu żar płomieni wzmógł się do tego stopnia, że wesołek musiał wspiąć się wyżej. Tłum, śledząc jego ruchy, pogrążył się znów na chwilę w milczeniu. Skorzystał z tej sposobności karzeł i przemówił raz jeszcze:

- Teraz już widzę dokładnie, co to za maskary. To możny król i siedmiu jego doradców - król, co nie wahał się uderzyć bezbronnej dziewczyny, i ministrowie, co przyklasnęli tej zniewadze. Ja zaś jestem zwykłym sobie wesołkiem. Żabim Skoczkiem, a to jest mój figiel ostatni.

Len i znajdującą się pod nim maź pożerał płomień z taką chciwością, iż karzeł nie zdążył jeszcze ukończyć swego krótkiego przemówienia, kiedy dzieło zemsty było już dokonane. Na łańcuchach zawisło bezwładnie osiem trupów - osiem cuchnących, szernalych, ohydnych i bezkształtnych brył. Kaleka cisnął w nie pochodnię, wspiął się bez pośpiechu aż pod samo sklepienie i znikł za oknem.

Istnieją przypuszczenia, iż Tripetta, która czekała na dachu salonu, dopomagała swemu przyjacielowi w jego okrutnym odwecie i że oboje zdołali zbiec do swej ojczyzny, gdyż nigdy już ich odtąd nie widziano.

Von Kempelen i jego wynalazek

Po nadzwyczaj drobniagowej i sumiennej pracy, której autorem jest Argo, nie mówiąc już o streszczeniu zamieszczonym w „Silliman's Journal” wraz ze szczegółowym sprawozdaniem ogłoszonym niedawno przez porucznika Maury - nie posądzę mnie zapewne nikt, jakobym, kreśląc tych kilka ulotnych uwag o wynalazku von Kempelena, miał zamiar rozpatrywać go z naukowego punktu widzenia. Chciałbym po prostu powiedzieć najpierw nieco o samym von Kempelenie (z którym przed kilku laty miałem zaszczyt zawrzeć przelotną znajomość), ile że wszystko, co go dotyczy, nie jest w obecnej chwili bez znaczenia; po wtóre zaś rozważyć ogólnikowo wyniki tego odkrycia.

Godzi się jednakowoż poprzedzić te moje pobieżne spostrzeżenia stanowczym zaprzeczeniem powszechnego już, jak się zdaje, poglądu (zaczerniętego, jak zwykle w takich rzeczach, z dzienników), jakoby to odkrycie, acz bezsprzecznie zdumiewające, nie było poprzednio przez nikogo brane pod uwagę.

Dość zajrzeć do Dziennika Sir Humphreya Davy'ego (Cottle and Munroe, Londyn, 150 str.), by na stronie 53 i 82 znaleźć dowód, że ten znakomity chemik nie tylko powziął pomysł, o którym jest mowa, lecz zdążył nawet poczynić niemałe postępy drogą doświadczalną w tej samej analizie, z której tak świetnie wywiązał się obecnie von Kempelen. Nie czyni on wprawdzie o tym nigdzie najłżejszej wzmianki, wszelako nie ulega wątpliwości (oświadczam to bez wahania i mogę dowieść w razie potrzeby), że przynajmniej pierwsze bodźce, które nasunęły mu myśl o podobnym przedsięwzięciu, zawdzięcza owemu Dziennikowi. Nie mogą się powstrzymać od przytoczenia stamtąd dwu ustępów z wywodami matematycznymi Sir Humphreya, aczkolwiek wchodzą one już w zakres techniczny.

Ponieważ nie mamy potrzebnych czcionek ze znakami algebraicznymi, a Dziennik jest dostępny dla wszystkich w Athenaeum Library, przeto pomijamy w tym miejscu niewielki ustęp z rękopisu Mr Poego (przyp. wydawcy).

Artykuł z „Courier and Enquirer”, który obiega obecnie całą prasę i chciałby przysądzić ów wynalazek Mr Kissamowi z Brunswicku, stan Maine, wydaje mi się, mówiąc otwarcie, z niektórych względów nieco podejrzany, aczkolwiek nie zawiera niczego niemożliwego lub nazbyt nieprawdopodobnego. Zbyteczną byłoby rzeczą wdawać się w szczegóły. Zdanie moje o tym artykule opiera się głównie na jego tonie. Jest w nim coś nieszczerego. Ktoś, kto zdaje sprawę z faktów, rzadko rozwodzi się - jak to czyni Mr Kissam - szczegółowo nad datami i określaniem miejscowości. Ponadto, jeżeli Mr Kissamowi pomysł tego odkrycia zaświtał w czasie przez niego podanym - to znaczy jakieś osiem lat temu - to czemuż nie postarał się niezwłocznie zagarnąć olbrzymich korzyści - które nawet dla najpospolitszego głupca leżały jak na dłoni - bodaj dla siebie samego, jeżeli już nie dla całego świata? Wydaje mi się rzeczą najzupełniej niewiarygodną, ażeby człowiek, nie pozbawiony zdrowego rozsądku, dokonawszy - jak to Mr Kissam o sobie utrzymuje - takiego wynalazku, mógł postępować potem jak niemowlę lub jak kiep czy jak sowa - co właśnie Mr Kissam miał rzekomo uczynić. Przy tym nasuwa się pytanie, kto to jest ten Mr Kissam i czy cały artykuł w „Courier and Enquirer” nie jest wytworem obliczonym na hałaśliwą sensację. Niepodobna zaprzeczyć, iż trąci przeraźliwie księżycową bujną. Nie wymagam wcale, by liczono się zbytnio z moim skromnym zdaniem; gdybym jednak nie wiedział z doświadczenia, jak łatwo uczeni dają się wyprowadzić w pole, ilekroć chodzi o sprawy leżące poza obrębem ich zwyczajnych badań, byłbym wielce zdumiony, dowiadując się, iż tak znakomity chemik, jak profesor Draper, może poważnie zastanawiać się nad pretensjami, jakie Mr Kissam (a może Mr Quizzem?) rości sobie do tego odkrycia.

Wróćmy jednakże do Dziennika Sir Humphreya Davy'ego. Broszurka ta nie była przeznaczona dla publiczności, nawet po zgonie autora, jak o tym każdy obeznany nieco z twórczością pisarską może się sam przekonać, zastanowiwszy się bodaj powierzchownie nad jej stylem. Na przykład na stronie 13, mniej więcej w połowie, pisząc o swych badaniach nad związkami azotowymi, wyraża się Sir Humphrey w ten sposób: „W niespełna pół minuty, podczas której oddychanie odbywało się dalej, zmniejszyły się stopniowo i wywołały następczo podobne do łagodnego ucisku wszystkich mięśni”. Wyrazy „zmniejszyły się” nie mogą oczywiście odnosić się do „oddychania”, jak to wynika nie tylko z dalszego ciągu, lecz także z użycia liczby mnogiej. Zdanie to niewątpliwie miało brzmieć następująco: „W niespełna pół minuty, podczas której oddychanie odbywało się dalej, (odczuwania te) zmniejszyły się stopniowo i wywołały następczo (wrażenia) podobne do łagodnego ucisku wszystkich mięśni”. Setki podobnych przykładów dowodzą, że rękopis ten, tak nierozważnie ogłoszony drukiem, był tylko podręcznym notatnikiem, przeznaczonym wyłącznie dla samego autora; ręczę, iż rozejrzenie się w tej broszurze może przekonać naocznie każdego myślącego człowieka o prawdziwości mych uwag. To pewna, iż nie było może istoty na świecie, która by mniej pozwalała sobie na gmatwaninę pojęć naukowych niż Sir Humphrey Davy. Nie tylko dlatego, że miał wprost niezwykłą odrazę do wszelkiego szalbierstwa, lecz także dlatego, iż chorobliwie lękał się wszystkiego, co nie opierało się na doświadczeniu; mając zatem wszelką pewność, iż w poruszanej tu sprawie jest na właściwej drodze, nie byłby mimo to twierdził niczego, zanim nie zdołałby twierdzeń tych poprzeć oczywistymi dowodami. Jestem mocno przekonany, iż byłby się czuł nieszczęśliwy w ostatnich chwilach życia, gdyby miał bodaj najłżejsze podejrzenie, że życzeniem jego, aby ów Dziennik (pełen niedojrzałych jeszcze spostrzeżeń) rzucono w ogień, nie

stanie się zadość. Powiadam: „życzeniom jego”, gdyż wątpić niepodobna, iż pragnął dołączyć ów notatnik do różnych papierków przeznaczonych „na spalenie”. Zobaczymy kiedyś, czy przypadek, który kartki te uchronił przed płomieniem, był pomyślny czy niepomyślny. Iż ustępy przytoczone powyżej oraz im podobne dostarczyły von Kempelenowi bodźca, to nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości; wszelako - powtarzam - dowiemy się później, czy to ważne odkrycie (ze wszech miar ważne) wyjdzie w końcu na korzyść czy też na szkodę ludzkości. Byłoby szaleństwem powątpiewać bodaj przez chwilę, iż von Kempelen oraz jego najbliżsi zbiorą obfite plony. Nie będą takimi kpami, by nie „zrealizować” ich zawczasu, nie zakupić mnóstwa domów i majątków ziemskich tudzież innego mienia, posiadającego wartość istotną.

W krótkim sprawozdaniu von Kempelena, zamieszczonym najpierw w „Home Journal” a następnie przedrukowywanym bez końca, tekst niemiecki uległ - jak się zdaje - zniekształceniu z winy tłumacza, który oświadcza, iż wziął ten artykuł z ostatniego numeru preszburskiej „Schnellpost”. Wiele na pewno nie zostało właściwie przełożone (jak to często się zdarza), zaś to, co tłumacz oddał przez „smutki”, w oryginale brzmi prawdopodobnie Leiden i znaczy dokładnie: „cierpienia”. Treść całego tego sprawozdania przedstawiałaby się zatem zupełnie inaczej; są to jednakże tylko moje domysły.

Mogę zapewnić, iż von Kempelen bynajmniej nie jest „mizantropem”, przynajmniej z wyglądu, jeśli nie w rzeczywistości. Znajomość nasza była tylko przypadkowa i trudno byłoby mi ręczyć, że znam go istotnie; wszelako widywać się i rozmawiać z człowiekiem, który już pozyskał lub wnet pozyska taką niesłychaną wziętość, nie jest w obecnych czasach rzeczą byle jaką.

„The Literary World” utrzymuje o nim bez wahania, iż jest rodem z Preszburga (prawdopodobnie opierając się na błędnej relacji „Home Journal”), mogę atoli stanowczo zapewnić, gdyż wiem to z jego własnych ust, iż urodził się w Utica, w stanie Nowy Jork, aczkolwiek rodzice jego, o ile pamiętam, mieli oboje pochodzić z Preszburga. Rodzina ta pozostaje w jakimś powinowactwie z Mäelzlem, słynnym wynalazcą automatu do gry w szachy. (Jeżeli się nie mylimy, to nazwisko wynalazcy tego automatu miało coś wspólnego z Kempelen, von Kempelen lub czymś podobnym - Wydawca). Jest on niski i krępy, ma duże, niemrawe, niebieskie oczy, płowają jak piasek czuprynę i zarost, szerokie, lecz niebrzydkie usta, ładne zęby i, jak się zdaje, orli nos. Utyka z lekką na jedną nogę. Zachowanie się jego jest swobodne, a usposobienie dobrodusze. Na ogół nie widziałem jeszcze człowieka, który by z mowy, wyglądu i czynów mniej zatracał mizantropem. Mieszkaliśmy obok siebie z jaki tydzień, sześć lat temu, w Earl's Hotel w Providence, Rhode Island; o ile mnie pamięć nie myli, rozmawialiśmy ze sobą przy różnych sposobnościach ogółem nie dłużej niż trzy lub cztery godziny. Mówił głównie o rzeczach potocznych i z niczego wywnioskować nie mogłem, że ma uzdolnienia naukowe. Opuścił hotel przede mną, zamierzając udać się zrazu do Nowego Jorku, a potem do Bremy. W tym to mieście wielkie jego odkrycie doszło do wiadomości publicznej albo raczej tam po raz pierwszy zaczęto go o nie podejrzewać. Oto niemal wszystko, co wiem osobiście o nieśmiertelnym obecnie von Kempelenie; mało tego, co prawda, chociaż mniemałem, iż nawet te nieliczne szczegóły mogą być zajmujące dla publiczności.

Można twierdzić z całą pewnością, iż dziwaczne pogłoski, które rozpleniły się dokoła tej sprawy, są w przeważnej części pospolitymi wymysłami, zasługującymi w tej mierze na wiarę, co baśń o lampie Aladyna; a jednak wypadki tego rodzaju, podobnie zresztą jak odkrycia w Kalifornii, dowodzą niezbicie, iż prawda może być osobliwsza od zmyślenia. Anegdota, którą pozwolę sobie tu przytoczyć, ma za sobą taką powagę autentyczności, że może być przyjęta bez zastrzeżeń.

Podczas pobytu w Bremie Kempelenowi bynajmniej nie sprzyjało powodzenie i wiadomo było powszechnie, iż uciekał się nieraz do najkrańcowszych podstępów, by zdobyć trochę pieniędzy. Kiedy ku ogromnemu wzburzeniu rozeszła się wieść, iż w domu Gutsmutha i S-ki bije ktoś po kryjomu fałszywe pieniądze, podejrzenia padły na Kempelena, kupił bowiem dużą posiadłość przy uliczce Gasperitch i nie chciał powiedzieć, skąd wziął na to kupno pieniądze. W końcu go uwięziono, ponieważ jednak nie przemawiały przeciw niemu żadne ważniejsze poszlaki, przeto wypuszczono go na wolność. Mimo to policja czuwała pilnie nad nim i zdążyła wysledzić, że często wychodzi z domu, że chadza zawsze tą samą drogą i nieodmiennie znika z oczu swych prześladowców w labiryncie krętych i ciasnych zaułków, noszących dwuznaczną nazwę Dondergat. Ostatecznie, dzięki upartej wytrwałości, dotarli oni za nim aż na poddasze starej, siedmiopiętrowej kamienicy, położonej przy Flätplatz; wtargnąwszy niespodzianie, zastali go przy fałszerskiej, jak mniemali pracy. Przerażenie jego tak dalece podobno nie miało granic, iż urzędnicy byli najzupełniej przeświadczeni o jego winie. Założywszy mu na ręce kajdanki jęli przetrząsać jego izbę lub raczej izby, gdyż, jak się zdaje, zajmował on cały stryżek.

U wejścia na poddasze, gdzie go pojmano, znajdowała się komórka, na dziesięć stóp długa i na osiem szeroka, posiadająca urządzenie złożone z kilku przyrządów chemicznych, których przeznaczenia nie zdołano dotychczas określić. W kącie komórki stał małeńki piecyk, napełniony żarem, a na nim coś jakby podwójny tygiel - lub raczej dwa tygla, połączone rurą. Jeden z tych tygli był niemal pełen topiącego się ołowiu, którego poziom nie dosięgał jednakże otworu rury wystającej z wrębu. Drugi tygiel zawierał jakiś płyn, który, kiedy urzędnicy weszli, wrzał mocno, zamieniając się w parę. Opowiadali oni, iż von Kempelen, widząc się w pułapce, chwycił obiema rękami (które, jak się później okazało, miały rękawice azbestowe) tygla i wylał ich zawartość na ceglana posadzkę. Wtedy to założyli mu kajdanki. Zanim przystąpili do przeszukania sprzętów, poddali go rewizji osobistej, nie znaleźli jednak niczego nadzwyczajnego prócz kawałka papieru w bocznej kieszeni, zawierającego, jak następnie stwierdzono, mieszaninę antymonu i jakiejś nieznannej substancji w równym niemal, lecz nie tym samym stosunku. Wszystkie próby zbadania nieznannej substancji na razie zawiodły, nie ulega jednak wątpliwości, iż analiza ta da się w końcu uskutecznić.

Wyszędłszy z komórki ze swym więźniem, obejrzeni urzędnicy przedpokój, w którym nie znaleźli niczego podejrzanego, i udali się do sypialni chemika. Przeszukali tam kilka szuflad i szkatulek, znaleźli atoli tylko trochę nic nie znaczących papierów oraz pewną ilość prawdziwych monet srebrnych i złotych. W końcu zajrzawszy pod łóżko, zobaczyli wielką, zwyczajną, z nie heblowanych desek skrzynię bez okucia, zawiasów i zamka, której wieko leżało niedbale w poprzek na części dolnej. Chcąc wyciągnąć tę skrzynię spod łóżka przekonali się, że połączone ich siły (a było ich trzech i wszyscy krzepy) nie mogły jej „ruszyć ani na cal z miejsca”. Zdziwiło ich to wielce, aż jeden z nich, wlaższy pod łóżko, zajrzał do skrzyni i rzekł:

- Nic dziwnego, że jej ruszyć nie można - napełniona jest aż po brzegi starym złomem miedzianym!

Po czym zaparł się nogami w ścianę i pchał mocno skrzynię, - którą jego towarzysze ciągnęli ze wszystkich sił. Wyszepili ją wreszcie z niemałym trudem spod łóżka i zbadali jej zawartość. Wypełniały ją małe, gładkie kawałki rzekomej miedzi. Wielkość ich była różna - od ziarenka grochu do dolara. Kształt miały nieregularny, choć mniej lub więcej

spłaszczony - i były na ogół „bardzo podobne do ołowiu, który wylano w stanie płynnym na ziemię i pozwolono mu tak zastygnać”. Ani jeden z tych urzędników nie przypuszczał, że kruszec ten może być czymś innym niż miedzią. Myśl, że to może być złoto, nie przyszła im do głów, bo i jakżeż mogło się im coś tak dziwaczno uroić? Nietrudno wyobrazić sobie ich zdumienie, gdy następnego już dnia gruchnęła wieść po całej Bremie, iż ów „ładunek miedzi”, który tak lekceważąco odstawił do biura policyjnego, nie przywłaszczył sobie ku wielkiemu zmartwieniu ani odrobiny, nie dość że był złotem - prawdziwym złotem, lecz nadto nierównie czystszy od tegoż kruszcu, używanego do bicia monet - złotem absolutnie czystym, dziewiczym, bez śladu jakiegokolwiek domieszki!

Nie uważam za potrzebne rozwodzić się nad szczegółami wyznań (jeśli tak o nich wyrazić się można) von Kempelena ani też nad jego uwolnieniem, bo są to rzeczy znane publiczności. Żaden człowiek o zdrowym rozsądku nie będzie powątpiewał, iż powiodło mu się urzeczywistnić z istoty i z ducha, jeżeli nie z litery, odwieczną chimerę kamienia filozoficznego. Zapewne, że zdanie takiego znakomitego uczonego, jak Arago, zasługuje na najpilniejszą uwagę; wszelako bynajmniej nie jest nieomyłne; to zaś, co mówi on o bismucie w swoim sprawozdaniu, przedłożonym Akademii, należy przyjąć cum grano salis. Prawda po prostu przedstawia się tak, iż dotychczas wszystkie analizy zawiodły; jeżeli zatem von Kempelen nie raczy dostarczyć nam klucza do swej ujawnionej zagadki, to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa sprawa ta pozostanie jeszcze przez długie lata in statu quo. Wszystko, co obecnie na pewno powiedzieć można, da się zawrzeć w tych słowach: czyste złoto można wytwarzać dowolnie i bardzo łatwo z ołowiu w połączeniu z pewnymi innymi substancjami, których skład i stosunek jest nieznan.

Roi się, oczywiście, od rozmyślań nad bezpośrednimi i ostatecznymi wynikami tego odkrycia - którego nieliczni ludzie myślący nie przypiszą zapewne wzrostowi zainteresowania, jakie rozbudziło się dla wszystkiego, co dotyczy złota, pod wpływem ostatnich zdarzeń w Kalifornii; zaś ta refleksja naprowadza nieodzwrotnie na inną - mianowicie, że analiza von Kempelena przyszła nadzwyczaj nie w porę. Skoro wiele osób nie chciało się narażać na przygody w Kalifornii jedynie z obawy, iż bogactwo tamtejszych kopalń może wpłynąć tak dalece na obniżenie się wartości złota, że stanie się rzeczą wątpliwą, czy opłacałoby się szukać go tak daleko - to jakież wrażenie na umysłach tych, którzy gotowali się do wyjazdu, zaś przede wszystkim tych, co już przebywają w okęgach złotośnych, wywrze wiadomość o tym zdumiewającym odkryciu von Kempelena, odkryciu, które obwieszcza wielkim głosem, że poza wartością istotną do celów przemysłowych (bez względu na to, jaką ta wartość być może) złoto nie ma lub wkrótce nie będzie miało (gdyż trudno przypuścić, by von Kempelenowi udało się zachować długo swą tajemnicę) większej wartości niż ołów, a znacznie mniejszą niż srebro. Zaiste, jest ogromnie trudno snuć jakiegokolwiek przypuszczenia co do następstw tego odkrycia, wszelako jedno stwierdzić należy - iż odkrycie to, ogłoszone przed sześciu miesiącami, byłoby miało donośny wpływ na osadnictwo w Kalifornii.

W Europie, jak dotychczas, następstwem była dwustuprocentowa zwyżka ceny ołowiu i prawie dwudziestopięcioprocentowa ceny srebra.

2 Edgar Poe and His Critics (Edgar Poe i jego krytycy).

1 Pestis eram vivus... (łac.) - Żywy byłem zarazą - umierając będę twoją śmiercią (przyp. red.).

3 Mercier w L'an deux mille quatre cent quarante podtrzymuje poważnie doktrynę metempsychozy. a J. D'Israeli powiada, iż „nie ma systemu bardziej prostego i mniej niezgodnego z rozumem” O pułkowniku Ethan Allenie, zwanym „Green Mountai Boy”, utrzymuje się również, że był naprawdę wyznawcą metempsychozy (E. A. P.).

4 Ne demeure qu'une seule fois dans... (f r.)-(dusza) raz tylko przebywa w ciele spostrzegalnym zmysłami - poza tym koń, pies, nawet człowiek jest tylko mało uchwytnym obrazem tych stworzeń (przyp. red.).

1 Intensos rigidam... (łac.) - Scierpiał to, że starcy usiłovali przyłączyć się do pierwszego szeregu (przyp. red.).

2 Aleph; Tau; Jod - pierwsza; ostatnia; najmniejsza litera alfabetu hebrajskiego (przyp. red.).

3 Talizmany (przyp. tłum.).

1 Qui n'a plus qu'un moment... (fr.) - kto ma przed sobą tylko chwilę życia, nie musi już udawać (przyp. red.).

1 Światło zodiakalne jest prawdopodobnie tym, co starożytni zwali Trabes Emicant Trabes quos docos vocant. - Pliniusz. ks. 2 str. 26 (E.A.P.).

2 Heveliusz pisze, iż przy zupełnie pogodnym niebie, kiedy bywały widoczne nawet gwiazdy szóstej i siódmej wielkości, zdarzało mu się niejednokrotnie zauważyć, że pomimo tej samej wysokości Księżyca, tej samej odległości od Ziemi oraz tego samego doskonałego teleskopu Księżyc i jego plamy nie zawsze występowały z jednakową wyrazistością. Ze szczegółów tych spostrzeżeń wynika, iż przyczyny tego zjawiska nie należy szukać ani w naszym powietrzu, ani w przyrządzie, ani w Księżycu, ani w oku widza, lecz w czymś (w atmosferze?), co istnieje dokoła Księżyca.

Cassini poczynił spostrzeżenia, że Saturn, Jowisz oraz gwiazdy stałe, w chwili kiedy dokonywało się ich zasłonięcie przez Księżyc, zmieniały kształt kolisty na kształt owalny, natomiast przy innych zasłonięciach kształty ich wcale nie ulegały zmianie. Można by stąd wnioskować, iż czasami, lecz nie zawsze, spowija Księżyc jakaś gęsta obłonka, w której załamują się promienie gwiazd (E.A.P.).

1 Tarpaulin (ang.) - dosłownie: płótno nasyczone smołą. W gwarze marynarskiej: majtek (przyp. tłum.).

2 Imiona potomstwa Króla Mora brzmią w oryginale: Pest-Iferous, Pest-Ilential, Tem-Pest i Ana-Pest; nie było można przełożyć ich dosłownie, gdyż zatraciłyby dowcipny kalambur, utworzony ze słowa Pest (Mór) (przyp. tłum.).

3 Davy Jones (ang.) - imię nadane przez marynarzy duchowi mórz (przyp. tłum.).

4 Czarna Jucha - po angielsku Black Strap, co w gwarze oznaczało portwajn (przyp. tłum.).

5 toddy (ang.) - napój z wody, rumu, cukru i gałki muszkatołowej (przyp. red.).

1 Son coeur est... (fr.) - Jego serce jest lutnią zawieszoną, zaledwie go dotknąć, dźwięczy (przyp. red.).

2 Watson, dr Percival, Spallanzani. przede wszystkim zaś biskup z Landall. Patrz: Chemical Essays, tom V (E.A.P.).

1 la peine forte et dure (fr.) - wysokiej i surowej kary (przyp. red.).

2 Oh, le bon temps... (fr.) - O, szczęśliwy to był czas, ów wiek żelaza (przyp. red.).

1 C'est grand malheur... (fr.) - Nie móc być samym to wielkie nieszczęście (przyp. red.).

1 et id genus omne (łac.) - i to jest cały rodzaj (przyp. red.).

2 Perdidit antiquum... (łac.) - Pierwsza litera straciła dawne brzmienie (przyp. red.).

3 robe de chambre... (fr.) - szlafroka, aby lepiej słuchać muzyki (przyp. red.).

4 Je les ménageais (fr.) - Oszczędzałem je (przyp. red.).

5 de nier ce qui... (fr.) - przeczenie temu, co jest, równa się tłumaczeniu tego, czego nie ma (przyp. red.).

1 „Dial”, „Down-Easter” - czasopisma transcendentalistów; redaktorem „Dial” był słynny myśliciel amerykański, R.W. Emerson (przyp. tłum.).

2 Defuncti iniuria ne afficiantur (łac.) - Krzywda nie powinna dotyczyć zmarłych.

3 De mortuis nil nisi bene (łac.) - O umarłych mów tylko dobrze (przyp. red.).

4 Parodia słownictwa filozoficznego Carlyle'a i Emersona, których Poe nie cierpiał jako transcendentalistów (przyp. tłum.).

5 Dammit - urobione od słowa to damm (ang.), oznacza po polsku tyle co przeklętnik (przyp. tłum.).

6 Styl Mr Lorda - turnstile lub w skróceniu stile w języku angielskim oznacza kołowrót; ale style oznacza także styl pisarski. Stąd porównanie do stylu W. W. Lorda, podrzędnego literata, któremu Poe zarzucał, iż dopuszcza się plagiatu na jego utworach (przyp. tłum.).

1 Przy pierwotnym ogłoszeniu drukiem opowiadania o Marii Rog?t dołączone obecnie przypiski mogły wydawać się zbędne. Upłynęło już jednak kilka lat od czasu, kiedy zdarzyła się tragedia, która posłużyła temu opowiadaniu za osnowę, i okazała się potrzeba umieszczenia ich jako też dodania kilku słów wyjaśniających myśl przewodnią. W pobliżu Nowego Jorku padła ofiarą zbrodni młoda dziewczyna, Maria Cecylia Rogers, i aczkolwiek śmierć ta wywołała silne i długotrwałe zaniepokojenie, spowijającej ją tajemnicy nie zdołano przeniknąć do chwili, kiedy niniejsza nowela została napisana i pojawiła się w druku (listopad 1842). Pod płaszczykiem opowieści o losach gryzетки paryskiej autor wdał się tu w drobiazgowy wywód szczegółów istotnych, jako też równoległych z nimi szczegółów nieistotnych rzeczywistego zabójstwa Marii Rogers. W ten sposób wszelkie dowodzenie, oparte na zmyśleniu, daje się zastosować do prawdy, zaś celem było właśnie poszukiwanie prawdy.

Tajemnica Marii Rog?t była pisana z dala od widowni zbrodni i bez żadnych innych środków śledczych prócz zebranych przygodnie dzienników. Wiele zatem szczegółów uszło uwagi autora, który byłby się z nimi zapoznał, gdyby był na miejscu i zajrzał osobiście do wszystkich zakątków. Wypada jednakowoż nadmienić, że zeznania dwu osób (z których jedną jest, Madame Deluc z noweli), poczynione w różnych czasach i na długo przed ogłoszeniem opowieści, potwierdziły nie tylko wniosek ostateczny, lecz bezwzględnie wszystkie ważniejsze szczegóły hipotetyczne, które do wyprowadzenia tego wniosku posłużyły (E.A.P.)

2 Istnieje szereg zjawisk natury idealistycznej, które przebiegają równoległe do rzeczywistości. Rzadko się z nią zbiegają. Ludzie i przypadki wywierają zwykle swój wpływ na tego rodzaju zjawisko, tak że występuje ono w formie niezupełnie prawidłowej; tak że jego skutki również są nieprawidłowe. Podobnie było z Reformacją: zamiast protestantyzmu nastąpił luteranizm. (Novalis: Morale Ansichten)

3 Ofiara zbrodni, wspomnianej w przypisku autora (przyp. tłum.).

4 Nassau Street w Nowym Jorku (E.A.P.).

5 Anderson (E.A.P.).

6 Hudson (E.A.P.).

7 Weehawken (E.A.P.).

8 Payne (E.A.P.).

9 Crommelin (E.A.P.).

10 Nowojorski „Mercury” (E.A.P.).

11 Nowojorski „Brother Jonathan”, redagowany przez Mr Hastingsa Welda (E.A.P.).

12 Nowojorski „Journal of Commerce” (E.A.P.).

13 Filadelfijska „Saturday Evening Post” (E.A.P.).

14 Adam (E.A.P.).

15 Nowojorski „Commercial Advertiser” (E.A.P.).

16 Teoria oparta na właściwościach jednego przedmiotu nie może osiągnąć rozwoju, który by pozwolił jej ogarnąć wszystkie wchodzące w skład jej przedmioty; kto zaś porządkuje zjawiska wedle ich przyczyn, ten przestaje je oceniać wedle ich wyników. Jakoż dowodzi prawodawstwo wszystkich narodów, iż prawa przestają być sprawiedliwością, kiedy staną się nauką i systemem. Błędy, w jakie ślepa, uległość względem zasad klasyfikacji wtrąciła prawo zwyczajowe, nietrudno jest dostrzec, kiedy się zważy, jak często władze ustawodawcze musiały śpieszyć z pomocą słuszności, która zdążyła się zatracić w swych schematach (Landor) (E.A.P.).

17 Nowojorski „Express” (E.A.P.).

18 Nowojorski „Herald” (E.A.P.).

19 Nowojorski „Courier and Inquirer” (E.A.P.).

20 Mennis był jedną z osób, zrazu podejrzanych i aresztowanych; rychło go jednak uwolniono dla zupełnego braku dowodów (E.A.P.).

21 Nowojorska „Evening Post” (E.A.P.).

22 Nowojorski „Standard” (E.A.P.).

23 Et hinc illae irae (łac.) - i stąd te gniewy (przyp. red.).

24 Przypisek redakcji czasopisma, w którym ta praca po raz pierwszy się ukazała.

1 Impia tortorum longas hic turba furores... (łac.) - bezbożny tłum katów niesyty krwi niewinnej dokonywał tu nie kończących się szaleńczych czynów. Teraz, gdy ojczyzna jest zbawiona, po wyłamaniu grobowej jaskini - tam gdzie panowała groźna śmierć, jest miejsce na życie i zbawienie (przyp. red.).

1 scarabeus caput hominis (łac.) - skarabeusz głowa ludzka (przyp. red.).

2 Kidd - po angielsku: koźle; (przyp. tłum.).

1 Omne ignotum pro magnifico (łac.) - Wszystko nieznanne jest nadzwyczajne (przyp. red.).

2 Mr Ainsworth nie zadał sobie trudu zrozumienia tego zjawiska, które tłumaczy się bardzo prosto. Lina zwisająca z wysokości 25 000 stóp prostopadle do powierzchni ziemi (lub morza), utworzyłaby prostopadłą trójkątą prostopadłego, którego podstawa sięgałaby od kąta prostego do widnokregu, a przeciwprostokątnia od widnokregu do balonu. Wszelako

25 000 stóp wysokości jest prawie niczym w porównaniu z rozległością widoku. Innymi słowy, podstawa i przeciwprostokątnia domniemanego trójkąta byłyby tak długie w porównaniu z prostopadłą, iż można by je uważać niemal za równoległe. Z tego powodu widnokrąg lotnika zda się znajdować na tym samym poziomie, co kosz balonu, ponieważ jednak punkt, położony bezpośrednio pod nim, wydaje się i jest istotnie w ogromnej głębokości, przeto odnosi się wrażenie, że punkt ten znajduje się również w ogromnej głębokości poniżej widnokregu. Stąd wrażenie wklęsłości; wrażenie to pozostaje do chwili, kiedy wzniesienie w stosunku do rozległości widoku stanie się tak przeważające, iż pozorna równoległość podstawy i przeciwprostokątnej zaniknie; wówczas istotna wypukłość ziemi musi stać się widoczna (E.A.P.).

1 Nil sapientiae... (łac.) - Nic nie jest bardziej wrogie mądrości niż dzielenie włosa na czworo (przyp. red.).

2 non distributio medii (łac.) - niedzielenie środka (przyp. red.).

3 Il y a ? parier... (fr.) - Można iść o zakład, że wszelka myśl powszechna, wszelkie odziedziczone przekonanie jest głupie, ponieważ dogadzało większości (przyp. red.).

4 facilis descensus Avernii (łac.) - zejście do piekiel jest łatwe (ale powrót trudny) (przyp. red.).

5 un dessein si funeste... (fr.) - zamiar tak zgubny, o ile nie jest godny Atreusza, godny jest Tyestesa (przyp. red.).

1 monstrum horrendum... (łac.) - potwór okropny, niekształtny, olbrzymi, któremu życie odjęto (przyp. red.).

2 au-chat, au-lapin (fr.) - a la kot, a la królik (przyp. red.).

1 Nemo me impune lacessit (łac.) - Nikt nie wyzwie mnie bezkarnie (przyp. red.).

2 In pace requiescat (łac.) - Niech spoczywa w pokoju (przyp. red.).

1 rara avis... (łac.) - rzadki ptak na ziemi, tu: wyjątkowy okaz, (przyp. red.).

Portret owalny

Zamek, do którego mój sługa, zamierzył raczej siłą się przedostać, aniżeli pozwolić mi, ciężko rannemu, na nocleg pod gołym niebem, należał do rodzaju tych ogromem i melancholią obciążonych budynków, które zarówno w rzeczywistości, jak w wyobraźni mistress Radcliffe wznosiły swe zasępione czoła wśród Apeninów. Według wszelkich pozorów – do czasu jeno i zgoła niedawno opuszczono ów zamek. Zajęliśmy jedną z najszczuplejszych i z najmniejszym przepychem umeblowanych komnat. Znajdowała się na wieży, przyległej budynkowi. Ozdoby miała bogate, lecz zgrzybiałe i zniszczone. Mury powlekało obicie i świetniały na nich obfite godła heraldyczne wszelakiego kształtu oraz godna zaiste podziwu ilość obrazów nowożytnych, pełnych stylu, w ramach złotych i po arabsku wzorzystych. Zaciekały mnie do głębi – zapewne pod wpływem nawiedzającej mnie gorączki – zaciekały mnie do głębi owe obrazy, wiszące nie tylko na widocznych powierzchniach muru, lecz i po niezliczonych zakątkach, których nie mogła uniknąć dziwaczna architektura zamku.

Koniec końcem – ponieważ noc już nadchodziła – kazałem Pedrowi zawrzeć ciężkie okiennice komnaty, zapalić stojący u mego wezgłowia olbrzymi, kilkuramienny świecznik i odsłonić całkowicie kotary z czarnego aksamitu, ozdobione frędzlami a okalające moje łóżko. Życzyłem sobie tych wszystkich przysposobień w tym celu, abym mógł w razie bezsenności uprzyjemnić sobie czas na przemian już to oglądaniem obrazów, już to odczytywaniem niewielkiej książki, którą znalazłem na poduszce, a która zawierała opis i ocenę wspomnianych obrazów.

Czytałem długo i długo. Oglądałem nabożnie i w skupieniu. Godziny upływały – odlatujące i uroczyście, i głucha północ nadeszła. Położenie świecznika zdało mi się niedogodne i, nie chcąc budzić pogrążonego we śnie sługi, wyciągnąłem z wysiłkiem dłoń i utwierdziłem świecznik tak, aby pełnią promieni rozwidniał karty książki.

Wszakże mój czyn wytworzył wręcz niespodziane skutki. Promienie mnóstwa świec (a była ich spora gromada) padły na wnękę komnaty, którą jedna z kolumn mego łóżka przesłaniała dotąd głębokim cieniem.

W rzęsim światłem postrzegłem obraz, który uszedł dotąd mej uwadze. Był to portret młodej dziewczyny w okresie dojrzewania i posiadającej już niemal urok kobiety. Byстрым rzutem oka dotknąłem malowidła i zwarłem powieki. Czemu? Na razie sam nie rozumiałem, czemu? Lecz podczas gdy powieki moje były zamknięte, badałem pośpiesznie przyczynę, która mię zniewoliła do zamknięcia powiek. Był to odruch mimowolny dla wygrania na czasie i pochwylenia myśli – dla upewnienia siebie samego, że oczy mię nie mylą, dla uciszenia i przysposobienia duszy do spokojniejszych i trafniejszych oglądań. Po kilku chwilach znów z uporczywością spojrziałem na obraz.

Nie mogłem wątpić, mimo żądzy zwątpienia, że go już uprzednio wypatrzył z niezmierną dokładnością. Pierwszy bowiem pocisk światła na owo płótno rozwiął skostniałość majaczeń, która zawładnęła moimi zmysłami, i od razu mię wytrzeźwił.

Był to, jakom już powiedział, portret młodej dziewczyny. Była to jeno – głowa aż po ramiona włącznie, wszystko w tym stylu, który fachowcy nazywają stylem winietowym – sposób malowania przypominał wielce Sully'ego – w ulubionych jego głowach. Ramiona, piersi, a nawet kończyny prześwietlonych włosów tajały niepochwytne w rozwiewnym, lecz głębokim cieniu, który stanowił tło całości. Rama była owalna, bogato złocona i ozdobna w stylu mauretańskim. Jako dzieło sztuki obraz ten był tak godny podziwu, że nie można było chyba znaleźć mu nic równego.

Lecz bardzo być może, iż ani wykonanie dzieła, ani nieśmiertelne piękno samej twarzy nie były tym, co mię tak nagle i tak gwałtownie wzruszyło. Jeszcze mniej mam powodów do przypuszczeń, że moja wyobraźnia, wymykając się swemu półsnowi, zwidziała w tej twarzy – twarz pewnej żyjącej osoby. Postrzegłem od razu, że odcienie rysunku, styl winiety i widok ramy rozwiąłyby niezwłocznie podobną mrzonkę i uchroniłyby mnie od chwilowych nawet przwidzeń.

Bezpodzielnie i zapalczywie oddany tym rozmyślaniom, godzinę niemal całą trwałem, na wpół leżąc, na wpół siedząc, z oczyma przykutymi do portretu. Wreszcie – odgadłem istotną tajemnicę jego oddziaływań i upadłem na łóżko. Domyśliłem się, że czar malowidła polega na żywotności wyrazu, który jest bezwzględny równoważnikiem samego życia, a który od pierwszego wejrzenia przejął mię dreszczem i ostatecznie – stropił, ujarzmił, przeraził. Z głębokim strachem usunąłem świecznik na dawne miejsce.

Ująwszy w ten sposób oczom oglądania przedmiotu mych głębokich wzruszeń, chwyciłem gwałtownie do rąk książkę, która zawierała ocenę i opis obrazów.

Trafiwszy z miejsca na numer, którym był oznaczony portret owalny, przeczytałem niejasną i osobliwą opowieść, i tę poniżej podaję: „Była to młoda, niezmiernie rzadkiej urody dziewczyna – zarówno powabna, jak wesoła. Przeklęty jest ów dzień, gdy ujrzała i pokochała, i poślubiła – malarza.

On – zapałony, namiętnie oddany pracy, surowy i już w swej sztuce mający – oblubienicę.

Ona – młoda dziewczyna, niezmiernie rzadkiej urody – zarówno powabna, jak wesoła: nic, jeno światło i uśmiech, i swawolność młodego jelonka. Kochała i wielbiła rzecz wszelaką. Nienawidziła jeno sztuki – swojej rywalki. Przeraziła ją jeno – paleta i pędzle, i inne dokuczliwe narzędzia, które ją pozbawiały widoku kochanka. Straszka były dla tej pani nawet te słowa malarza, w których zdradzał chęć utrwalenia na płótnie swojej młodej małżonki. Lecz była pokorna i posłuszną i całymi tygodniami trwała – przesłodka – w ciemnej a górnej komnacie na wieży, kędy światło jeno od sklepień sączyło się na błądź płótna. Wszakże malarz całą swą chlubę widział w swym dziele, które z godziny na godzinę, z dnia na dzień powstawało.

A był to człowiek – pelen zapału, i dziwny, i zamyślony, i tak zapodziały w marzeniach, że nie chciał postrzec, jak światło, tak ponuro wpadające do wnętrza tej samotnej wieży, niszczy zdrowie i ducha jego żony, która widomie nikiła dla całego świata, z wyjątkiem jego osoby. Mimo to uśmiechała się wciąż i wciąż – bez skargi, gdyż widziała, że malarz (który wielką cieszył się sławą) z płomienną i żarliwą uciechą oddaje się swej pracy i trwa w niej nocami i dniami, aby przenieść na płótno tę, która go kocha, lecz która z dnia na dzień coraz bardziej niszczeje i marnieje.

I doprawdy – ci, którzy oglądali portret, półgłosem zaznaczali podobieństwo, jako skutek wielmożnego cudu i jako dowód nie tylko niezmierniej potęgi samego mistrza, lecz i jego głębokiej miłości dla tej, którą tak przedziwnie odtwarzał na obrazie. Po pewnym jednak czasie, gdy trud dobiegał do końca, nikt nie miał dostępu do wieży, mistrz bowiem oszalał w swych wysiłkach i rzadko odrywał oczy od płótna, nawet w celu przyjrzenia się obliczu swej żony. I nie chciał dostrzec tego, że barwy, które gromadził na płótnie, były odjęte obliczu tej, co przed nim siedziała.

A po upływie wielu tygodni, gdy już praca była na ukończeniu i brakło zaledwo jednego rzutu pędzlem po wargach i jednej plamy na oku, dusza w piersiach pani tliła się jeno jak płomyk w lampie. I wówczas pędzel dokonał swego rzutu – i plama na oku spoczęła – i przez jedno mgnienie; mistrz trwał w zachwyceniu przed dziełem spełnionym, lecz w chwilę potem, gdy przedłużył jeszcze swe oglądanie, zadrzał – i zbladł – i wręcz się przeraził! I głosem wzburzonym krzyząc:

– „Zaiste! To życie samo!” – odwrócił się zniecka, aby zobaczyć swoją kochankę. Ta wszakże już nie żyła.

Prawdziwy opis wypadku z P. Waldemarem

Trudno – doprawdy – dziwić się temu, że nadzwyczajny wypadek, jaki się zdarzył panu Waldemarowi, stał się przyczyną sporów. Cud by to był, gdyby się stało inaczej – szczególnie w takich, a nie innych okolicznościach. Chęć wszystkich stron zainteresowanych dochowania sprawie tajemnicy, przynajmniej na razie lub do czasu pozyskania sposobności nowych badań, oraz nasze ku ich skutecznieniu wysiłki dały powód do rozpowszechnionych wśród ogółu, nie uzasadnionych lub przesadnych pogłosek, które, ukazując sprawę w świetle najdotkliwiej mylnym, stały się, ma się rozumieć, źródłem głębokiej niewiary.

W chwili obecnej istnieje konieczność, abym podał fakty, w tej przynajmniej postaci, w jakiej sam je rozumiem.

Oto są – w streszczeniu:

W ostatnich trzech latach uwagę moją kilkakrotnie pociągały ku sobie zjawiska magnetyzmu¹ i mniej więcej dziewięć miesięcy temu niemal zniecka uderzyła mię myśl, że w szeregu dotychczasowych doświadczeń popełniono jedną zastanawiającą i niewytłumaczoną lukę: nikogo nie poddano dotąd magnetyzmowi in articulo mortis. Wypadało tedy zbadać: po pierwsze – czy pacjent w tym stanie posiada jakąkolwiek wrażliwość na prąd magnetyczny; po wtóre – czy, w razie twierdzącym, wrażliwość owa pod wpływem danych warunków uszczupla się lub wzrasta.; po trzecie – w jakim stopniu i na jaki przeciąg Czasu można drogą owych doświadczeń powściągnąć zaborczość śmierci. Były i inne punkty do zbadania, lecz powyższe najbardziej podlegały moją ciekawość, szczególnie ów ostatni ze względu na niepomiaralną doniosłość wynikających zeń następstw.

Szukając wokół osobnika, za którego pomocą mógłbym wyjaśnić owe punkty, mimo woli zwróciłem uwagę na przyjaciela mego – Ernesta Waldemara, znanego kompilatora „Biblioteka Forensica” oraz autora (pod pseudonimem Issachara Marxa) polskich przekładów Walensteino. i Gargantuy. Waldemar, który ód roku 1839 przebywał głównie w Harlemie (Nowy Jork), jest lub był godny szczególnej uwagi z powodu swej niezwyklej chudości – dolną połową ciała przypominał niezmiernie Johna Randolpha – oraz z powodu białych baków, odrzynających się od czarnej czupryny w ten sposób, że każdy brał ową czuprynę za perukę.

Był wyjątkowo nerwowego usposobienia i dzięki temu stanowił doskonałe narzędzie dla doświadczeń magnetycznych. Po dwakroć lub po trzykroć przyprawiłem go o sen bez zbytnich wysiłków, lecz zawiodły mię inne oczekiwania, powzięte na zasadzie osobliwej budowy jego ciała.

Nigdy wola jego nie uległa mi istotnie i całkowicie, zaś pod względem Jasnowidzenia nie osiągnąłem skutków, w których mógłbym cokolwiek ugruntować. Moje w tym kierunku niepowodzenia przypisywałem zawsze chwiejnym stanom jego zdrowia. Na kilka miesięcy przed naszą znajomością lekarze stwierdzili w nim zgoła wyraźne suchoty. Miał niezaprzeczenie zwyczaj mówienia o swej bliskiej śmierci ze sporą obojętnością, jak o rzeczy nieuniknionej i nie nadającej się do żalu.

Nic więc dziwnego, że gdy wyżej skreślone myśli po raz pierwszy przyszły mi do głowy, przypominałem sobie Waldemara. Zbyt dobrze znałem poważny światopogląd tego człowieka, ażeby obawiał się jakichkolwiek z jego strony przeszkód; przy tym nie miał on w Ameryce krewnych, którzy by mogli pod pozorem słuszności wtrącić się do sprawy.

Zgoła otwarcie wyznałem mu moje zamiary i, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, okazał w tym kierunku bardzo gorliwą ciekawość. Rzekłem: ku wielkiemu zdziwieniu, ponieważw pomimo zawsze łaskawego udzielania mi swej osoby, gwoli doświadczeń, nigdy nie zdradzał współzucia dla mých badań. Choroba jego należała do rodzaju tych, które pozwalają na dokładne przewidzenie chwili swego rozwiązania, i koniec końcem zapadł pomiędzy nami układ, że uprzedzi mnie na dwadzieścia cztery godziny przed owym. kresem, który lekarze zgonowi jego wyznaczają.

Siedem miesięcy upłynęło obecnie od czasu, gdy od Waldemara otrzymałem list następującej treści:

„Kochany P.

„Uczynisz chyba niezgorzej, jeżeli przyjdiesz teraz, D. i F. twierdzą zgodnie, iż nie przetrwam jutrzejszej północy i – moim zdaniem – rachuby ich są trafne lub też niewiele od prawdy odbiegają.

Waldemar.”

¹ Za czasów Poego zjawiskom, które dzisiaj znane są pod nazwą hipnozy, przydawano jeszcze pierwotną nazwę mesmeryzmu lub magnetyzmu, używaną i obecnie dla określenia tzw. magnetyzmu zwierzęcego (p.t.).

Otrzymałem ów list w pół godziny po jego napisaniu i najwyżej w kwadrans potem. – byłem już w pokoju konającego. Nie widziałem go od dni dziesięciu i przerażała mię straszliwa zmiana, która, w nim zaszła w tak krótkim okresie czasu.

Twarz jego miała barwę ołowiu, oczy zgoła wygasły, a wychudł tak znacznie, że skóra na policzkach popękała. Wydzieliny flegmy stały się niezwykle obfite, puls zaledwo wyczuwalny.

Mimo to zachował w sposób dziwnie osobliwy wszystkie władze umysłowe oraz pewną dozę sił fizycznych. Mówił wyraźnie, sam bez niczyjej pomocy zażywał lekarstwa, które były jeno półśrodkami, i w chwili gdym wszedł do pokoju, był zajęty kreśleniem jakichś uwag w notatniku.

Znajdował się w łożu, wsparty na poduszkach. Doktorzy D. i F. czuwali nad nim.

Uściskawszy dłoń Waldemara, wziąłem tych panów na stronę i otrzymałem od nich szczegółowe sprawozdanie ze stanu chorego.

Lewe płuco od osiemnastu miesięcy znajdowało się w stanie na wpół zwapniałym lub chrząstkowym i całkowicie zatraciło zdolność jakiegokolwiek funkcji życiowej. Prawe zaś – w swej górnej okolicy było – jeśli nie doszczętnie – w każdym razie częściowo zwapniało, podczas gdy dolna jego połać była jeno miazgą ropnych, przenikających się nawzajem wrzodów.

Stwierdzono kilka głębokich rozpadów oraz w jednym miejscu – ścisły przyrost żeber. Te zmiany prawego płuca były stosunkowo świeżej daty. Wapnienie odbywało się z niezwykłą szybkością – miesiąc temu nie wykryto jeszcze jego śladów – zaś przyrost zauważono dopiero w ostatnich trzech dniach. Niezależnie od suchot domyślano się aneurysmu aorty, lecz pod tym względem symptomy wapnienia wzbraniały dokładnej diagnozy. Zdaniem obydwu lekarzy śmierć p. Waldemara miała nastąpić nazajutrz, w niedzielę, około północy.

Była właśnie sobota, godzina siódma wieczorem. Opuszczając łożo konającego dla rozmowy ze mną, doktorzy D. i F. pożegnali go na zawsze. Nie zamierzali doń powrócić, lecz ustępując moim prośbom, zgodzili się odwiedzić chorego około godziny dziesiątej w nocy. Po ich wyjściu mówiłem z Waldemarem swobodnie o jego bliskiej śmierci i ze szczególnym naciskiem – o zamierzonym przez nas doświadczeniu.

Okazał, jak zawsze, szczerą ku temu gotowość, a nawet zdradził gorącą chęć poddania się doświadczeniu i naglił mię do natychmiastowego wykonania. W pokoju do pomocy było dwoje służby – mężczyzna i kobieta, lecz nie czułem się dość na siłach, aby się podjąć tak poważnego zadania bez zapewnienia sobie skuteczniejszego współpracownictwa niżli to, którego mogłyby udzielić wspomniane osoby w razie niespodzianego wypadku. Odsunąłem tedy doświadczenie na godzinę ósmą, kiedy przybycie znajomego mi poniekąd Teodora L. – studenta medycyny – miało mnie ostatecznie wybawić z mego zakłopotania. Pierwotnie postanowiłem wyczekać przyjścia lekarzy, lecz skłoniły mię do natychmiastowego rozpoczęcia doświadczeń – po pierwsze – usilne prośby Waldemara, po wtóre zaś – moje własne przekonanie, iż nie mam chwili do stracenia, gdyż było jasne, że chory kona.

P. L... był tyle uprzejmy, iż zadośćuczynił wyrażonej przeze mnie prośbie notowania wszystkiego, cokolwiek się zdarzy. I właśnie na jego sprawozdaniu, że tak powiem, wzoruję moją opowieść.

Pomijając skróty, przytaczam je dosłownie.

Było mniej więcej pięć minut do ósmej, gdy ujrawszy dłoń pacjenta prosiłem go, aby możliwie jasno stwierdził wobec p. L., że na jego – Waldemara – wyraźne życzenie mam go poddać doświadczeniom magnetycznym w takich a takich okolicznościach.

Odpowiedział cicho, lecz wyraźnie:

„Tak, pragnę poddać się doświadczeniom magnetycznym – i natychmiast dorzucił: – Obawiam się nie bez powodu, żeś zwlekał zbyt długo”.

Podczas gdy mówił, rozpocząłem ów rodzaj pasów, których skuteczność dla uspienia jego osoby była mi już wiadoma.

Pierwszy ruch mej dłoni, przesuniętej po jego czole, wywarł na nim wpływ widoczny, lecz pomimo zużycia całej mojej usilności, nie osiągnąłem żadnego innego, postrzegalnego skutku aż do godziny dziesiątej minut dziesięć, kiedy lekarze D. i F. przybyli zgodnie z umową. W kilku słowach wytłumaczyłem im moje zamiary i, ponieważ nie czynili mi żadnych przeszkód, twierdząc, iż pacjent jest w okresie agonii, bez wahania trwałem nadal w swej czynności, zastępując wszakże pasy poprzeczne – wzdłużnymi i skupiając wszystkie mój wzrok w oku konającego.

W tym czasie puls jego stał się niewyczuwalny, zaś oddech utrudniony i nacechowany półminutowymi przerwami.

Stan ów trwał kwadrans niemal bez zmiany, po upływie tego czasu wszakże z piersi konającego wyrwało się jedno prawidłowe, chociaż straszliwie przepastne westchnienie, i chrapliwość oddechu minęła, a raczej chrapanie stało się niesłyszalne. Przerwy nie zmniejszyły się. Kończyny jego ciała były zimne jak lód.

O pięć minut do jedenastej zauważyłem nieomylnie oznaki przemocy magnetycznej. Szkliste migotania oka przybrały mozolny wyraz spojrzeń do wewnątrz, które się zdarzają jeno w wypadkach somnambulizmu i co do których nie można się pomylić. Za pomocą kilku poprzecznych, szybkich pasów zniewoliłem powieki do drgania, które nas zazwyczaj przed snem nawiedza, i przedłużając nieco tę czynność zdziałąłem, iż zamknęły się zupełnie. Nie poprzestałem na tym i nadal wykonywałem swe ruchy dosadniej i z bardziej natężonym wysiłkiem woli, aż całkowicie sparaliżowałem członki śpiącego, nadawszy im uprzednio wygodne według wszelkich pozorów położenie. Nogi były całkowicie wyprostowane wzdłuż. Ręce z lekka wyciągnięte, spoczywały na łożku w umiarkowanej odległości od bieder. Głowa była bardzo nieznacznie wzniesiona.

Gdym tego dokonał, wybiła północ, i zwróciłem się do obecnych z prośbą zbadania stanu, w którym się znajduje Waldemar. Po kilku próbach stwierdzili, iż znajduje się w stanie niezwykle doskonałej katalepsji magnetycznej². Ciekawość obydwu lekarzy wielce urosła. Doktor D. postanowił niezwłocznie całą noc spędzić przy chorym – podczas, gdy doktor F. pożegnał nas, obiecując wrócić skoro świt. P. L. i służba zostali.

Pozostawiliśmy Waldemara w całkowitym spokoju aż do godziny trzeciej z rana – wówczas zbliżyłem się doń i znalazłem go ściśle w tym samym stanie, co w chwili odejścia doktora F. – to znaczy, iż trwał w tej samej pozycji, iż miał

² W procesie snu magnetycznego (hipnozy) wyróżniano trzy stany a) letarg, b) somnambulizm, c) katalepsję. (p.

puls niewyczuwalny, oddech słaby, zaledwo pochwytany – dostępny jeno probierzowi zbliżonego do ust zwierciadła, oczy zamknięte, a ciało sztywne i zimne jak marmur. Wszakże wygląd ogólny bez wątpienia nie był wyglądem – trupa.

Zbliżając się do Waldemara, zrobiłem coś w rodzaju ja półwysiłku, aby zniewolić jego prawą dłoń do stowarzyszenia się z moją w ruchach, które z lekka kreśliłem ponad nim. Dawniej, próbując tych doświadczeń z chorym, nie osiągałem nigdy całkowitego skutku i doprawdy nie miałem nadziei, że tym razem uda mi się lepiej, lecz ku memu wielkiemu zdziwieniu, dłoń jego powtarzała bardzo łagodnie, chociaż z lekka jeno kreśląc, wszystkie dłońią moją wskazane kierunki.

Postanowiłem narazić go na kilka słów rozmowy.

– Waldemarze – rzekłem – czy śpisz?

Nie odpowiedział, lecz zauważyłem dreszcz w jego wargach i byłem zmuszony powtórzyć moje pytanie po dwakroć i po trzykroć. Za trzecim razem nieznaczne drżenie poruszyło Jego ciałem, powieki uniosły się same przez się, jak gdyby po to tylko, aby odsłonić białe pasmo ocznej gałki – wargi poruszyły się leniwie i w zaledwo pochwytym szepcie uroniły te słowa:

– Tak – śpię teraz. Nie budźcie mnie! Pozwólcie fić umrzeć: w tyns stanie!

Dotknąłem ciała – było sztywne jak wprzódy. Dłoń prawa, jak przed chwilą, ulegała wskazaniom mojej dłoni. Spytałem znowu śpiącego somnambulicznie:

– Czy zawsze czujesz ból w piersi, Waldemarze? Odpowiedź nastąpiła nie natychmiast, a była jeszcze mniej wyraźna niż pierwsza:

– Ból? – Bynajmniej. – Umieram.

Uważałem w danej chwili za niestosowne – niepokojenie nadal jego osoby, toteż nie przybyły żadne słowa ani czyny – aż do przyjścia doktora F., który uprzedził nieco wschód słońca i doznał zdziwienia bez granic, zastawszy chorego jeszcze przy życiu. Po zbadaniu pulsu śpiącego i zbliżeniu do ust zwierciadła, prosił mię, abym doń przemówił:

– Czy wciąż śpisz, Waldemarze?

Jak wprzódy, upłynęło kilka minut bez odpowiedzi i – w przeciągu tego czasu – konający zdawał się skupiać wszystkie swe siły dla pozyskania mowy. Na powtórzone po raz czwarty przeze mnie pytanie odpowiedział bardzo cicho, prawie niesłyszalnie:

– Tak, wciąż – śpię – umieram.

Było to wnioskiem, a raczej życzeniem lekarzy, aby Waldemar pozostał – bez żadnych przeszkód – w obecnym stanie widomego spokoju aż do chwili, kiedy śmierć przyjdzie, a przyjść miała – według jednogłośnego zdania – w przeciągu minut pięciu. Postanowiłem wszakże raz jeszcze doń przemówić i powtórzyłem po prostu pytanie poprzednie.

Podczas gdy mówiał, w twarzy śpiącego odbyło się znaczne przeobrażenie. Oczy, z lekka widoczne spoza przesłaniających je powiek, zapadły się w swych orbitach – skóra nabrała trupich zabarwień przypominających nie tyle pergamin, ile biały papier, i dwa okrągłe suchotnicze wypieki, które dotąd tkwiły uporczywie na środku każdego policzka, zgasły zniemacka. Używam tego określenia, ponieważ nagłość ich zaniku narzuciła mej wyobraźni raczej zgaszoną świecę, niżli wszelkie inne porównania. Jednocześnie górna warga skurczyła się, uchodząc wzwyż ponad zęby, które przed chwilą szczelnie przesłaniała, podczas gdy dolna szczęka w pochwytanych niemal dla ucha podrygach opadła, pozostawiając usta w zupełnym rozwarciu i odsłaniając w pełni szerniały i obrzmiałe jęzory. Przypuszczam, iż wszyscy obecni oswojeni byli z okropnościami śmiertelnego łoża, lecz wygląd Waldemara był w tej chwili tak potworny, tak ponad wszelką wyobraźnię potworny, że wszyscy tłumnie cofnęli się precz – od obrębu łoża.

Czuję oto teraz, że doprowadził moją opowieść do chwili, kiedy zbuntowany czytelnik odmówi mi wszelkiego zaufania. Mimo to – uważam za swój obowiązek – ciągnąć dalej opowieść.

Zanikła w Waldemarze najślubsza oznaka życia i, sądząc, że umarł, poleciliśmy go opiece służby, gdy nagle sprężysta fala ruchu zaznaczyła swą obecność w języku. Trwało to zapewne jedną chwilę. Po upływie tego czasu z wyważonych i znieruchomiłych szczęk wypłynął głos – głos taki, że próba określenia tego głosu byłaby szaleństwem. Są wszakże dwa lub trzy przymiotniki, które doń można w przybliżeniu zastosować: oto mogą powiedzieć, iż dźwięk ów był ostry, poszarpany i stłumiony, lecz potworna jego całość wymyka się określeniom, a to z powodu, że nigdy dźwięki podobne nie dotykały swym rykiem ucha ludzkiego. Były wszakże dwa szczegóły, którym, jak myślałem wówczas i myślę dotychczas, można było przypisać cechy charakterystyczne owego tonu i które zdolne były dać wyobrażenie o jego niezmierniej poczwalności. Po pierwsze – głos zdawał się dosięgać naszych, a w każdym razie moich uszu tak, jakby wybiegał z niezmiernie odległej przestrzeni lub z podziemnej przepaści. Po wtóre (obawiam się doprawdy nieuniknionej niezrozumiałości mych słów) wywierał na mnie takie wrażenie, jakie na zmyśle dotyku wywiera lepka lub galaretowata miazga.

Mówię jednocześnie o dźwięku i o głosie. Otóż chcę zaznaczyć, iż dźwięk posiadał rozczłonkowanie wyraźne, a nawet straszliwie, przerażająco wyraźne. Waldemar zdobył się na mowę, najwidoczniej odpowiadając na zadane mu przeze mnie kilka minut temu pytanie. Czytelnik sobie przypomina, że go zapytałem, czy śpi nieustannie? Odpowiedź teraz brzmiała:

– Tak, nie – spałem, a teraz – teraz jestem martwy.

Nikt z obecnych nie próbował odeprzeć ani nawet przytłumić nieopisanego, pełnego zgrozy przerażenia, które tak nieodparcie wznieciły te nieliczne, a w ten sposób wymówione słowa. Student L. – stracił przytomność. Służba niezwłocznie pierzchnęła z pokoju i nic by jej nie zmusiło do powrotu. Co się zaś tyczy moich własnych wrażeń – tych nie próbuję nawet udostępnić zrozumieniu czytelnika. Godzinę niemal krzaliśmy się w milczeniu (nikt słowa nie uronił) dokoła p. L., aby go ocucić. Gdy odzyskał zmysły, przystąpiliśmy ponownie do badań nad stanem Waldemara.

Stan ów pod każdym względem trwał w tej samej postaci, w jakiej opisałem go ostatnio, z tą jeno różnicą, że zwierciadło nie dawało już żadnej oznaki oddechu. Próba upustu krwi z ręki speliła na niczym. Muszę też zaznaczyć iż wspomniana część ciała odmówiła posłuszeństwa mej woli. Na próżno próbowałem zaprawić ją do powtarzania ruchów mej dłoni.

Jedyna, rzeczywista oznaka magnetycznego wpływu ujawniała się obecnie w ruchliwym trzepotaniu się języka. Ilekroć zwracałem się do Waldemara z pytaniem, zdawało się, że czyni wysiłek w celu odpowiedzi, lecz że akt jego woli nie jest dość trwały. Na pytania, zadawane nie przeze mnie, jeno przez inne osoby, był bezwzględnie nieczuły, chociaż starałem się nawiązać styczność magnetyczną pomiędzy nim a każdym z obecnych. Przypuszczam, że podałem teraz wszystkie wiadomości, niezbędne dla zrozumienia w danym okresie stanu śpiącego snem somnambulicznym.

Pozyskaliśmy innych pielęgniarzy i o godzinie dziesiątej opuściłem mieszkanie w towarzystwie obydwu doktorów oraz p. L.

W porze popołudniowej wszyscy ponownie odwiedziliśmy pacjenta. Stan jego był bezwzględnie jednaki. Wszczęliśmy spór na temat pomyślności i możliwości obudzenia go ze snu, lecz wkrótce przyszedliśmy do zgodnego wniosku, iż w ten sposób nią pozyskamy żadnych pożądaných skutków.

Było jasne, iż przemoc magnetyczna powściągnęła działanie śmierci lub tego, o czym zazwyczaj słowo śmierć napomyka. Stało się dla nas wszystkich oczywistością, iż obudzenie Waldemara byłoby po prostu stwierdzeniem jego zgonu lub przyspieszeniem śmiertelnego rozkładu.

Od owej chwili aż do końca zeszłego tygodnia – mniej więcej siedmiomiesięczny odstęp czasu – zbieraliśmy się codziennie w mieszkaniu Waldemara w towarzystwie innych jeszcze doktorów i znajomych. W przeciągu tego czasu śpiący trwał ściśle w jednakim, opisanym już przeze mnie stanie. Dozór pielęgniarzy trwał nieustannie.

W zeszły piątek postanowiliśmy ostatecznie poddać go ocknieniu lub przynajmniej próbie ocknienia i właśnie oplakane zapewne skutki tej ostatniej próby dały powód do tylu sporów wśród kół prywatnych oraz do tylu mylnych pogłosek, w których nie mogę się nie dopatrzeć wyniku niczym nie usprawiedliwionej łatwowierności tłumu.

Dla pozbawienia Waldemara katalepsji magnetycznej uciekłem się do zwykłych pasów. Przez czas pewien nie było żadnych skutków. Jedyną oznaką powrotu do życia był częściowy opad tęczówki. Zauważyliśmy jako zjawisko wielce odmienne, iż owej zniżce tęczówek towarzyszyły bardzo obfite wydzieliny żółtawej wilgoci (spod powiek) o zapachu ostrym i niezmiernie przykrym.

Wówczas poddano mi myśl wypróbowania mych wpływów magnetycznych na dłoni pacjenta, jak to uprzednio czyniłem. Jałem próbować, lecz nadaremnie. Doktor F. wyraził życzenie, abym zadał pacjentowi jakiekolwiek pytanie. Uczyniłem temu zadość w sposób następujący:

– Waldemarze, czy możesz nas objaśnić, jakie uczucia lub pragnienia posiadasz obecnie?

Tu – nastąpił natychmiast powrót gorączkowych wypieków na policzki, język drgnął lub raczej zakłębił się gwałtownie w jamie ustnej (choćby szczęki i wargi zachowywały wciąż swój bezruch) i wreszcie ten sam straszliwy głos, o którym mówiłem, wyszarpnął się stamtąd:

– Na miłość Boga! prędzej – prędzej! pograżcie mnie we śnie! – Lub – prędzej – zbudźcie mnie! Toć mówię wam, że martwy!

Byłem do głębi wstrząśnięty i przez chwilę wahałem się, co mam czynić? Zrobiłem zrazu wysiłek, aby uspokoić pacjenta, lecz nie osiągnąwszy w tym kierunku skutków dla zupełnego braku woli, odwróciłem zamiar i starałem się co prędzej obudzić go ze snu. Postrzegłem wkrótce, iż ten zamiar uwieńczy się zupełnym tryumfem, lub raczej roilem, iż mój tryumf będzie zupełny, i jestem pewien, iż wszyscy obecni spodziewali się ocknienia śpiącego. Lecz żadna istota ludzka nie mogła się spodziewać tego, co się w rzeczywistości zdarzyło, wybiega to poza wszelką granicę prawdopodobieństwa. Gdy szybko czynił p a s y magnetyczne wśród okrzyków: „Martwy! martwy!”, którymi po prostu bluzgał język, nie zaś wargi śpiącego, całe jego ciało – od razu – w przeciągu minuty lub mniej niż minuty – obłuźniło się – rozpadło się aa żdzbla – doszczętnie zgniło mi w rękach. Na łożu – w oczach wszystkich obecnych – leżała wstrętna, na wpół płynna miazga – coś w rodzaju potwornej zgnilizny.

Serce – oskarżycielem

Bez wątpienia – jestem zbyt nerwowy, strasznie nerwowy, zawszem był taki... Na jakiej wszakże zasadzie chcecie koniecznie upatrzeć we mnie szaleńca? Choroba zaostrzyła moje zmysły – nie zniesteściła ich – nie przytłumiła. Ponad innymi zmysłami – słuch mój górował niezwykłą czujnością. Słyszałem wszystko, cokolwiek działo się w niebiosach i na ziemi. Słyszałem wiele z tego, co się działo w piekle. Skądże mi do szaleństwa? Chwila uwagi! Baccie jeno, z jakim nadmiarem zdrowia i pogody ducha mogę wam opowiedzieć wszystko, co się stało.

Określenie tego, jakim sposobem wiadoma myśl powstała pierwotnie w mym mózgu, wymyka się wszelkim możliwościom. Wszakże od chwili powstania myśl ta przebywała we mnie dniem i nocą. Przedmiot? Myśl była bez przedmiotu. Była pozbyta wszelkiej namiętności.

Lubiłem poczciwego starucha. Nigdy mi nic złego nie uczynił. Nigdy mnie nie uraził. Nie pożądałem zgoła jego złota. Przypuszczenia moje dotyczą raczej jego oka... Tak, to było to! Miał jedno oko podobne do sępiego – oko płowoniebieskie, bielmem przysłonięte. Ilekroć to oko zwracało się ku mnie, tylekroć krew we mnie stygła, i oto – z wolna – stopniowo – uknęła mi się w głowie zachcianka odebrania starcowi życia, aby w ten sposób raz na zawsze uwolnić się od jego oka.

Otóż właśnie, tu tkwi sęk! Sądźcie mnie szalonym. Szaleni nie wiedzą nic a nic. Gdybyście mogli jednak podpatrzeć, jak sprawnie działałem! – jak ostrożnie, jak zapobiegliwie, jak przebiegle zakrzętałem się dokoła mej roboty! Nigdy nie byłem dla starucha tak uprzejmy, jak w ciągu całego tygodnia, który poprzedzał spełnienie morderstwa. I co noc – około północy – pokręcałem zasuwę jego drzwi – i otwierałem je – o, jakże bezszmernie! I w chwili, gdy uchylał drzwi na objętość mej głowy, wsuwałem ślepą latarnię, zamkniętą szczelnie, szczelnie zamkniętą, wzbraniającą przepustu najmniejszemu promieniowi – w ślad za nią wtlaczałem głowę. O, moglibyście się uśmieć, widząc, jak zręcznie wtlaczałem głowę. Nadawałem jej ruch powolny, bardzo, bardzo powolny, by nie zakłócić snu starca. Dobrą godzinę musiałem tracić na przewleczenie mej głowy poprzez otwór tak daleko w głąb, aby go oglądać zmożonego snem na łożu. Szalenieć – czyż zdobyłby się na taki rozsądek? I w chwili, gdy głowa moja przebywała goła w pokoju, odsłaniałem latarnię spokojnie, ostrożnie – o, jakże ostrożnie, jak ostrożnie! Zawiasa bowiem powrzaskiwała.

Odsłaniałem jeno tyle, ile było trzeba, ażeby jedna, niepochwytana nić światła trafiła do sępiego ślepie. I w tej czynności ćwiczyłem się przez siedem długich nocy – co noc – o samej północy, lecz zastawałem zawsze ślepie zamknięte, nie mogłem przeto dopełnić mego zamiaru, nie starzec bowiem mnie męczył, lecz jego Złe Oko. I co rano, gdy dzień świtał, wchodziłem bezczelnie do jego pokoju, zawiązywałem z nim śmiało rozmowę, nazywając go po imieniu głosem serdecznym i zapytując, jak spędził noc. Owóż – wyznajcie, że staruch – zaprawdę – musiałby chyba posiadać duszę nadzwyczaj przenikliwą – aby wpaść na domysł, że co noc o samej północy badam go, zdjętego snem.

Osmej nocy powziąłem większą jeszcze baczność przy rozwieraniu drzwi. Mniejsza wskazówka zegara szybciej się porusza, niżli wówczas dłoń moja. Nigdy, do czasu tej nocy, nie odznałem się z mapami Mercatora, na których widać ocean czworgiem ująć wpadający do polarnych otchłani (na północy) i znikający we wnętrzach ziemi – sam biegun przedstawiono w kształcie czarnej skały, która wznosi się na wysokość niepomierną (E.A.P). czułem tak w pełni mych sił –

bystrości mego umysłu. Pomyśleć jeno, że byłem tuż, ja – cierpliwy rozwieracz drzwi – a jemu nawet nie śniło się o tym, co czynię i co zamierzam potajemnie! Na myśl o tym – uroniłem nieco śmiechu – i, być może, starzec mnie posłyszał, gdyż zniecała poruszył się na łożu, jakby się ocknął. W takiej chwili – sądzicie zapewne, że się cofnąłem? – Bynajmniej!

Pokój jego był czarny niby smoła – tak się w nim zagęstwiły cienie – okiennice bowiem z obawy złodziei były starannie zamknięte; tedy wiedząc, że starzec nie może dojrzeć półrozwarcia drzwi, rozchylałem je nadal coraz więcej, coraz szerzej. Przesunąłem już mą głowę i dotarłem do chwili odsłonięcia latarni, gdy duży mój palec pośliznął się na blaszanym zamku i starzec, wyprostowawszy się na łóżku, zawołał: „Kto tam?” Znieruchomiałem całkowicie i nie odrzekłem nic. Przez godzinę całą nie poruszyłem ani jednym ścięgnem i przez cały ten czas nie słyszałem, aby się do snu ponownie układał. Trwał wciąż w postawie siedzącej, na czatach – zupełnie tak samo jak ja, gdy po całych nocach nasłuchiwałem świerszcza, ukrytego w murze.

Lecz oto posłyszałem wąty jęk i wnet poznałem, że był to jęk śmiertelnego przerażenia. Nie był to jęk bólu ani rozpacz – o, nie! Był to głuchy i zdławiony wydech, który się dobywa ze dna duszy, zmiażdżonej przestraciem. Znałem dobrze ów wydech. Przez wiele nocy o samej północy, gdy spał świat wszystkich, wrywał się on z mej własnej piersi, wyotchłaniając swym straszliwym echem widma trawiących mię przerażeń. Powtarzam: znałem go dobrze. Wiedziałem, czego doznawał starzec, i czułem dlań litość, chociaż się śmiało coś w mym sercu. Wiedziałem, że trwockniony od chwili pierwszego, maluczkiego szmeru, gdy się przewracał na łożu.

Lęk jego wciąż się wzmagał. Starał się, ale nie mógł przekonać siebie samego, że lęk to bez przyczyny. Mówił sam w sobie: „To nic innego, jeno wiatr w kominie – to tylko mysz przemknęła wzdłuż podłogi” – albo: „to tylko świerszcz zazgrzytał”.

Tak, silił się dodać sobie otuchy takimi domysłami, tle to wszystko było nadaremne. Wszystko było nadaremne, albowiem śmierć, która się zbliżała, przeszła obok niego ze swym wielkim, czarnym cieniem i spowiła weń swoją ofiarę. I właśnie żałobna (rzemoc niewidzialnego cienia zdziałała, iż wyczuł chociaż starzec nic nie widział i nie słyszał) pobyt mej głowy w pokoju.

Przeczekawszy czas długi – bardzo cierpliwie i nie słysząc, aby się do snu ponownie układał, postanowieni odsłonić z lekka latarnię; lecz tak z lekka, tak z lekka, jakby wcale nic. Odsłoniłem ją wreszcie tak niepostrzeżenie, tak niepostrzeżenie, że trudno to sobie nawet wyobrazić, aż w końcu samotny, błydy pronień, na kształt nici pajęczej, wysnuł się ze szczeliny padł na śpiące oko.

Rozwarło było, na oścież rozwarło i wpadłem we wściekłość w tej samej chwili, gdy je ujrzałem.

Ukazało mi się z doskonałą jasnością – całe – w zadymie błękitnej i powleczone pokalaną błoną, której widok zmroził mnie aż do szpiku kości. Z całej twarzy jednak i z całej postaci starucha nie mogłem dojrzeć nic, prócz tego, com zobaczył. Skierowałem bowiem promień, jakby pod wpływem instynktu, nie gdzie indziej, jeno właśnie w samo sedno przekłętego miejsca.

Otóż tedy – czyż wam nie nadmieniałem, że to, co uważacie za szaleństwo, jest jeno przeculeniem zmysłów?

Otóż – powiadam wam – dotknął mych uszu głuchy, zdławiony, częstotliwy szmer, podobny do tego, który wytwarza zegarek, owinięty w watę. Dźwięk ów – poznałem tak samo i niezgorzej...

Było to bicie serca w piersi starucha. Dźwięk ów wzmógł moją wściekłość, na kształt uderzeń bębna, które podjudzają odwagę żołnierza. Wszakże pohamowałem się raz jeszcze i trwałem nadal bez ruchu.

Oddychałem z trudnością. Znieruchomiłem w dłoni latarnię. Sposobiłem się do utrwalenia promyka wręcz – na samym ślepiu. A jednocześnie serce biło na alarm coraz mocniej. Uderzenia jego nabierały co chwila pośpiechu i nabierały co chwila odgłosu. Według musowego prawdopodobieństwa – przerażenie starca dosięgało kresów ostatecznych. Odgłos owych uderzeń z każdą chwilą – powtarzam – stawał się mocniejszy i mocniejszy? Uważnie mnie słuchacie? Wszakże was uprzedziłem, że jestem nerwowy, i rzeczywiście – jestem nerwowy.

I oto – w pełni nocy, wpośród przeraźliwego milczenia tego starego domostwa – ów tak osobliwy szmer poraził mnie niepokonanym lękiem. W przeciągu kilku mgnień następnych wściągałem się i trwałem nieporuszenie. Lecz odgłos uderzeń wciąż wzmagał się i wzmagał. Zdawało mi się, że serce pęknie. I oto ogarnęła mnie troska nowa! Dźwięk ów mógł dolecieć uszu sąsiada!

Godzina starca wybiła! Wyjąc wniebogłosy, odsłoniłem nagle latarnię i wdarłem się do pokoju.

Staruch wydał jeden tylko okrzyk – jeden – jedyny. W okamgnieniu cisnąłem nim na oślep o podłogę i przytłoczyłem go całym miążdzącym ciężarem łoża. I tu się dopiero uśmiechnąłem radośnie na widok tak wynagrodzonych trudów. Lecz przez kilka minut serce się ożywało zakapturzonym wydzwiękiem. Ta wszakże okoliczność nie trwożyła mię zgoła, nikt bowiem nie mógł poprzez mury dosłyszeć owego wydzwięku. A i ten się z wolna uciszył. Staruch był martwy.

Podniosłem łoże i zbadiałem ciało. Tak, na miejscu padł trupem – na miejscu. Przyłożyłem mu dłoń do serca i przetrzymałem ją tam kilkanaście minut. Ani śladu tętna. Padł trupem na miejscu.

Odtąd już jego ślepie nie będzie mnie dręczyło.

Jeśli trwacie w przekonaniu, że jestem szalony – przekonanie owo pierzchnie, gdy wam opiszę, jakich przebiegłych sposobów użyłem dla ukrycia trupa. Noc nadchodziła, a ja pracowałem pośpiesznie, chociaż w milczeniu. Odciałem głowę, a potem ręce – a portem – nogi.

A potem wylamałem trzy deski z podłogi i złożyłem wszystkie zespół pomiędzy dranicami. A potem przystosowałem deski do dawnego miejsca tak zręcznie, tak chwacko, że żadne oko ludzkie – nawet jego oko – nie mogłoby dojrzeć nic podejrzanego. I nic nie było do zmycia, ani jednej plamy, ani jednego śladu krwi. Byłem zbyt z tym zapobiegliwy. Nic nie zostało na dnie pełnego przed chwilą cebrzyka! Cha, cha!

Gdy dokonałem tych wszystkich zabiegów, była godzina czwarta i ciemno, jak o północy.

Podczas gdy zegar wydzwaniał godzinę, zapukano do drzwi od ulicy. Lekko mi było na sercu, gdy szedłem otworzyć – Czegóż bowiem bać się mogłem – obecnie? Weszło trzech ludzi, którzy z przedoskonalonym ugrzeczniem przedstawili mi się jako urzędnicy policyjni. Pono ktoś z sąsiadów słyszał nocą jakiś okrzyk, dzięki temu powstało podejrzenie, że zaszło coś złego – podano wiadomość do biura policji – i ci panowie (urzędnicy) przybyli właśnie, jako wysłańcy, gwoli zbadania miejsca.

Uśmiechnąłem się – jakież bowiem miałem powody do obaw? Gościnnie powitałem tych jegomościów.

„Co do krzyku – rzekłem – sam właśnie przez sen krzyknąłem. Stary zaś człeczyna – dorzuciłem – udał się w podróż po kraju.” Oprowadziłem mych gości po całym domu. Prosiłem, aby wszędzie zajrzeli i aby zajrzeli dokładnie. Wreszcie wprowadziłem ich do jego pokoju. Pokazałem im cały jego dobytek w zgoła bezpiecznym schronieniu i w bezwzględny

ładzie. Przesadzając w zapale ufność we własne siły, wniosłem krzesła do pokoju i prosiłem ich, aby spoczęli, podczas gdy sam z zawrotną odwagą zupełnego tryumfu utwierdziłem swe krzesło w tym samym właśnie miejscu, gdzie były ukryte zwłoki ofiary, Urzędnicy wykazali zadowolenie. Przekonało ich moje postępowanie. Czułem osobliwy błogostan. Usiedli i zagaili rozmowę byle jakiej treści, ja zaś wesoło im odpowiadałem. Lecz po upływie pewnego czasu poczułem, że błędę, i pożałowałem w duszy ich odejścia. Począł mię dręczyć ból głowy i zdawało mi się, że mi dzwoni w uszach. Oni wszakże nie powstali z swych siedzeń i rozmawiali nieustannie. Dzwonienie wyrażało.

Trwało wciąż i wyróżniało coraz bardziej. Wzmogłem swoją gadatliwość, aby się odczepić od owego wrażenia. Lecz dzwoniło dobitnie i przybrało cechy zgola nieodparte, aż w końcu wykryłem, że to nie w uszach moich dzwoni.

Bez wątpienia – bardzo wówczas pobladłem. Lecz gawędziłem ze zdwojoną jeszcze płynnością i głosem podniesionym. Dźwięk wciąż się rozrastał – co miałem począć? Był to szmer głuchy, zdławiony, częstotliwy, szmer niezwykle podobny do tego, który wytwarza zegarek, owinięty w watę.

Oddychałem z trudnością. Urzędnicy nie słyszeli jeszcze. Zacząłem gadać szybciej i z większą gwałtownością, ale szmer wzmagal się nieustannie. Wstałem i wszcząłem spór o jakieś drobnostki w tonie wielce wzniosłym, z przydatkiem gestów popędliwych, lecz szmer się wzmagal – wzmagal nieustannie. Czemuż ci ludzie nie chcą stąd odejść? Tam i sam – ciężkimi i wielkimi krokami zacząłem odmierzać pokój, jakby rozjątrzony uwagami moich rozmówców. Lecz szmer wzrastał miarowo. O, Boże! Cóż miałem począć? Burzyłem się – plotłem trzy po trzy – przeklinałem.

Poruszałem krzesłem, na którym siedziałem, szurałem nim po podłodze. Wszakże szmer wciąż trwał i wzmagal się bez końca. Krzepnął coraz bardziej – coraz bardziej i wciąż coraz bardziej.

A goście wciąż gadali – i uśmiechali się – i żartowali. Możliweż to, że nic nie usłyszeli?

Boże wszechmogący! Nie, nie! Słyszeli! – Domyślali się! – Wiedzieli! Bawili się jeno moim przerażeniem! Tak pomyślałem – i dotąd jeszcze tak myślę. Wszystko byłoby łatwiejsze do zniesienia, okrom tego pośmiewiska. Nie mogłem znieść dłużej tych uśmiechów! Uczułem, że albo krzyczeć muszę, albo skonać! I teraz jeszcze – czy słyszycie? – Nasłuchujcie! Coraz głośniejszy, coraz głośniejszy, wiecznie głośniejszy, wiecznie głośniejszy!

– „Nikczemni! – krzyknąłem – Nie udawajcie dłużej! Wyznaję wszystko! Zerwijcie te deski! To – tam! To – tam! To – trzepot jego straszliwego serca!”

Berenice

Dicebant mihi sodales, si sepulchrum amicae visitarem, curas meas aliquantulum fore levatas.

Ebn Zaiat

Umart syn Boży – jest ta prawdopodobne dlatego właśnie, że niedopuszczalne; I pogrzebiony zmartwych”

wstat – jest to pewne dlatego właśnie, że niemożliwe

Nieszczęście ma postać rozmaita. Wielokształtna jest marność tej ziemi. Na wzór tęczy, rozpostarta poad rozległym widnokregiem posiada barwy tak samo różnorodne, tak samo poszczególnie odmienne, a przecież tak samo ścisłym spojone węzłem. Rozpostarta [jad rozległym widnokregiem na wzór tęczy! Jakim Sposobem godło piękna mogłem przedzierzgnąć w symbol brzydoty?

Ze znamienia zgody i pokoju uczynić Smutkom przenośnię? Lecz jako w świecie etycznym ełe jest wynikiem dobrego, tak samo w świecie rzeczywistym z radości rodzą się bóle. Albo wspomnienie minionego szczęścia rozpaczą napelnia dzień dzisiejszy, albo męka, która się staje, ród swój wywodzi od uniesień, które stać się mogły. Zamierzam opowiedzieć zdarzenie, którego treść jest pełna zgrozy. Przemilczałbym je chętnie, gdyby nie było raczej kroniką wrażeń niż zdarzeń.

Na imię mam Egeusz, nazwisko – pominę milczeniem. Nie ma w kraju pałacu bardziej obciążonego sławą i wiekiem niż moje melancholijne i stare gniazdo rodzinne. Ród nasz od dawna przeżywano rodem wizjonerów, i rzeczywiście, w niektórych zastanawiających szczegółach – w charakterze naszego magnackiego domu – we freskach głównej sali – w obiciach komnat sypialnych, w rytowniczych ozdobach słupów zbrojowni, a przede wszystkim w galerii starych obrazów, w zewnętrznym pozorze biblioteki i wreszcie w zgola osobliwej zawartości owej biblioteki – tkwi coś, co aż nadto usprawiedliwia owo mniemanie.

Wspomnienia moich lat młodocianych wiążą siei ściśle z ową komnatą i z jej foliałami, których treść zgola przemilczę. Tam właśnie umarła moja matka. Tam właśnie przyszedłem na świat.

Wszakże nadaremnie by twierdzono, że nie istniał uprzednio – że duch mój nie posiadał trwania przedstworzonego. Przeczyście temu? Poniechajmy wszelkich pod tym względem sporów. Mam przekonanie osobiste i nie zamierzam przekonywać innych. Istnieje zresztą pewne wspomnienie kształtów bezcielesnych, oczu niewidzialnych a wymownych, dźwięków melodyjnych, a pełnych melancholii – wspomnienie, które się wzbrania wszelkim odlotom, rodzaj pamięci podobnej do mętnego, zmiennego, nieokreślonego cienia, i dopóki mój duch będzie słoneczniał, dopóty nie mogę się zgodzić na rozłąkę z tym cieniem, który jest rzeczywistością.

W tej to właśnie komnacie przyszedłem na świat. 2 odmętów długiej nocy, która miała pozór, lecz nie była nicością, wyłoniłem się po to, aby wkroczyć nagle w krainę baśni, w pałacowe przepychy fantazji, w dziwaczne dziedziny myśli i wiedzy klasztornej. Nie dziw tedy, że przerażonym a płomiennym wzrokiem badałem świat dookolny, że dzieciństwo spędziłem wśród ksiąg, a młodość roztrwoniłem na marzeniach; lecz zastanawia ta okoliczność, że gdy lata upływały i południe dojrzałego wieku zastało mnie jeszcze żywcem w gnieździe mych przodków – zastanawia, powtarzam, ta okoliczność, że bijące źródła mojego życia zaprawiły się nagłym zastojem, że w kierunku najwłaściwszego mi myślenia stał się przewrót zupełny. Zjawiska rzeczywistości potraçały o mnie jak sny, tylko jako sny, podczas gdy szaleńcze pomysły krainy snów stały się w zamian nie tylko strawą ego codziennego istnienia, lecz stanowczo jedynym całkowitym istnieniem w samym sobie.

Z Berenice łączyły mnie węzły pokrewieństwa wzrastaliśmy razem w gnieździe ojczystym.

Lecz wzrastaliśmy odmiennie, ja – chorowity i spowinięty r melancholię, ona zwinna, urocza i obdarzona nadniarem sił żywotnych; jej działem była włóczęga po wzgórzach, moim – samotnicze zgłębianie ksiąg; jam ył sam w sobie, ciałem i duchem oddany najusilniejszym i najmoźolniejszym rozmyślaniom – ona bez roski szła przez życie, nie myśląc o cieniach tkwiących na drodze i o niemym odlocie kruczo oskrzydłonych godzin.

Berenice! Wymawiam jej imię – Berenice! – i ze pnurszałych ruin mej pamięci na skinięcie tego Dźwięku wynika tysiąc burzliwych wspomnień!

Ach, postać jej żywcem stoi mi w oczach, jak w pierwszych dniach naszych uniesień i naszego wesela! O, wspaniale, a jednak fantastyczne piękno, o, sylfida z gajów Arnheimskich! O, najada wpośród kaskad! A potem – a potem wszystko staje się tajemnicą i zgrozą, powieścią, która się nie chce wypowiedzieć. Choroba, choroba złowieszczą dopadła jej eiała jak samum i nawet wówczas, gdy ją oglądałem, uch przemian snuł się po niej i opanowywał ją, przenikając na wskroś jej duszę, jej nawyknięcia, jej charakter i zakłócając w sposób najniepochwytniejszy i nastrasliwszy nawet tożsamość jej istoty! Niestety, oprawca przyszedł i odszedł, lecz ofiara, lecz istotna Berenice – kędyż się podziela? Tej, która trwała, nie Bałem, a w każdym razie nie poznawałem już w niej perenice.

Nieodparta i zasadnicza niemoc, która tak straszliwym przewrotem dotknęła jej ciała i ducha, przyprawiła ją jednocześnie o liczny szereg chorób. Wśród nich muszę wymienić; jako najsmutniejszy i najuporczywszy objaw, rodzaj epilepsji, która często kończyła się katalepsją – katalepsją mającą całkowity pozór śmierci, a z której Berenice ocykała się niekiedy gwałtownym i nagłym ocknięciem. W tym samym czasie moja choroba – gdyż zdaniem ogólnym nie mogłem innym nazwać jej imieniem – moja choroba wzrastała szybko i, wskutek pogorszenia objawów pod wpływem nadużycia opium, nabrała ostatecznie cech nowej i niezwykłej monomanii, z godziny na godzinę, z minuty na minutę szerzyła się z większą mocą i wreszcie pozyskała nade mną zbyt osobliwą i niepojętą władzę. Monomania owa, jeśli koniecznie mam używać tej nazwy, polegała na chorobliwej podnieciwości władz umysłowych, które język filozoficzny określa słowem: uwaga. Jest to bardziej, niż prawdopodobne, że nie jestem zrozumiąły, lecz obawiam się doprawdy, że zgoła nie potrafię udzielić przeciętnemu czytelnikowi dokładnego pojęcia o tym nerwowym natężeniu baczości, dzięki której zdolności myślenia – że uniknę tutaj fachowej terminologii – skupiały się i zaprzepaszczwały w oglądaniu najcodzienniejszych przedmiotów.

Niestrudzone i wielogodzinne rozmyślania z uwagą, przykutą do byle jakiego błahego przypisu na marginesie lub w tekście książki, skupione tkwienie duchem przez większą część dnia letniego w dziwacznym cieniu, który ukosem wydłużał się na ścianach lub na podłodze, zapamiętałe przez noc całą wpatrywanie się w sztywny płomień lampy lub w zużłe kominka, całodzienna zaduma o woni jakiegoś kwiatu, jednostajne powtarzanie jakiegokolwiek potocznego słowa aż do chwili, gdy jego dźwięk pod przymocą powtarzań przestawał udzielać myślom jakiegokolwiek treści, ztracanie wszelkiego poczucia ruchu lub istnienia fizycznego za pomocą bezwzględnych i uporczywie przedłużanych znieuchomień – oto niektóre z najogólniejszych i najmniej groźnych zbroczeń mego umysłu, zbroczeń, które z pewnością nie były całkiem pozbawione uzasadnień, lecz bezwarunkowo urągały wszelkim tłumaczeniom i wszelkiej analizie.

Jeszcze jeden szczegół – chcę bowiem, aby mnie dobrze rozumiano. Nienormalna, natężona i chorobliwa uwaga, budzona błahymi skądinąd przedmiotami, posiada tego rodzaju pozory, iż nie należy jej mieszać z właściwą każdemu człowiekowi skłonnością do marzeń, którym przede wszystkim hołdują osoby obdarzone płomienną wyobraźnią. Nie tylko nie jest ona, jak to można na pierwszy rzut oka przypuścić, najwyższym stopniem i wyolbrzymieniem owej skłonności, lecz przeciwnie, posiada źródłowe i rdzenne różnice. W pierwszym wypadku marzyciel, posiadacz wyobraźni, pociągnięty przedmiotem zazwyczaj niebłahym, z wolna traci z oczu ów przedmiot pod nawałą wysnutych zeń wniosków i napomknien tak, że przy końcu swych marzeń, częstokroć pełniących się rozkoszą, całkowicie ztraca i zapomina pobudkę, czyli pierwoprzyczynę zadumy.

W moim zaś wypadku punkt wyjścia bywa stale błahy, chociaż w środowisku chorobliwych przywidzeń nabiera urojonej i widmowej wydosłności. Wniosków wyprowadzam mało, jeśli je w ogóle wyprowadzam, i w danym razie zdążają one powrotnie do głównego przedmiotu jak do ogniska. Zaduma nigdy nie dostarcza rozkoszy i przy końcu marzeń pierwsza pobudka, daleka od zniknięcia mi z oczu, dosięga tej nadprzyrodzonej wyolbrzymiałej baczości, która stanowi główną cechę mej choroby. Słowem, władza umysłowa, która we mnie szczególniejszej podlega podniecie, jest zdolnością uwagi, podczas gdy u zwykłego marzyciela jest ona zadumą.

Książki, które w tym okresie czasu czytałem, jeśli nie syciły bezpośrednio mej choroby swą treścią, w każdym razie, jak to łatwo zgadnąć, swym kierunkiem marzeniowym i bezrozumnym zadość przytakiwały głównym cechom samej choroby. Przypominam sobie bardzo dokładnie między innymi traktat dostojnego Włocha Coeliusa Secundusa Curiona De Amplitudine Beati Regni Dei – wielkie dzieło świętego Augustyna pt. Gród Boży oraz De Carne Christi Tertuliana, którego niepojęte zdanie: Mortuus est Dei Filius, CTeđibile est quia ineptum est; et sepultus resurrexit, certum est quia impossibile est⁴⁷ – pochłonęło wyłącznie całą moją umysłowość w ciągu kilku tygodni pilnych i bezpłodnych badań.

Ci i owi bez wątpienia pomyślą, że mój rozum, tracący równowagę pod wpływem błahostek, był poniekąd pokrewny owej skale morskiej, o której Ptolemeusz Hefestion opowiada, że opierała się niewzruszenie wszelkim napaściom ludzkim i straszliwszym jeszcze wściekłościom wałów wodnych i wichrów, a drżała jedynie pod dotykiem kwiecica zwanego asfodelą. Umysł mało spostrzegawczy uważałby za rzecz zgoła prostą i niewątpliwą, że straszliwa zmiana, która pod wpływem nieszczęsnej choroby zaszła w stanie duchowym Berenice, winna była dostarczyć mi niejednej pobudki do owych natężonych i nienormalnych rozmyślań, których istotę z pewnym trudem odsłoniłem. Otóż nic podobnego nie miało wcale miejsca. W przestankach mej choroby jej klęska sprawiała mi wprawdzie ból, często i z goryczą rozmyślałem o tajemniczych i dziwnych drogach, na których mógł się odbyć tak cudaczny i nagły przewrót. Lecz rozmyślania owe nie miały nic wspólnego z idiosynkrazją mej choroby; były tego rodzaju, że mogłyby w podobnych okolicznościach nawiedzić pierwszego lepszego śmiertelnika. Co się tyczy choroby, wiernej swym własnym zamysłem, znalazła ona strawę w zmianach mniej ważnych, lecz bardziej uderzających, które się zaznaczały w istocie fizycznej Berenice, w szczególnie w straszliwym rozprzężeniu jej tożsamości osobistej. W najśrodszych dniach rozkwitu jej nieporównanego piękna nie kochałem jej nigdy, jestem tego aż nadto pewien. W moim dziwnie zbroczonym życiu nie doznawałem nigdy uczuć z serca pochodzących i namiętności moje zawsze wylęgały się w mrokach rozumu. Poprzez biel zmierzchową – w południe, wpośród zwiłanych cieniów leśnych, i noca w ciszy mej biblioteki – jawiła się mym oczom i oglądałem ją – nie jako Berenice żywą i dyszącą, lecz jako Berenice w snach przywidzianą, nie jako istotę ziemską, istotę cielesną, lecz jako widmo owej istoty – nie jako zdobywcę ukochań, lecz jako powód do rozmyślań tyleż zawiłych, ile błędnych. A obecnie – obecnie drżałem na jej widok, bladłem, gdy się zbliżała. Wszakże, gorzkim lamentem oplakując w duchu jej zgubę, pomny byłem na to, że kochała mnie długo, i w złej chwili napomknąłem jej o ślubie. Zbliżał się wreszcie dzień naszego ślubu, gdy w zimowe popołudnie, podczas jednego z tych samozwańczo ciepłych, cichych i omglonych dni, które nianczą piękną Halcyonę – siedziałem, sądząc się samotnym, w gabinecie bibliotecznym. Lecz, uniósłszy wzwyż oczu, postrzegłem Berenice, która stała przede mną.

Byłże to skutek zbyt rozzarzonej wyobraźni, czy też wpływ mgieł dookolnych, czy raczej działanie mętnych zmierzchów komnaty – lub może oblekająca jej ciało mglista szata udzieliła drżenia i nieokreśloności zarysom jej postaci?

Nie umiem na to odpowiedzieć. Być może urosła od czasu swej choroby. Nie rzekła ani słowa, ja zaś za nic w świecie nie chciałem uronić jednej zgłoski. Zimny dreszcz przeniknął moje ciało, przytłoczyło mnie uczucie trwogi nie do zniesienia.

Pochłonna ciekawość ogarnęła mą duszę i na opak odwróciwszy się w fotelu, trwałem czas pewien bez tchu i bez ruchu, ze wzrokiem przykutym do tej osoby. Niestety, zmarniała doszczętnie i ani jeden pozór jej dawnego kształtu nie przetrwał i nie przechował się ani w jednym zarysie postaci.

Wreszcie wzrok mój żarliwie zdążył do jej twarzy. Czoło wysokie i bardzo blade jaśniało niezwykłym spokojem, a włosy niegdyś czarne jak węgiel przesłaniały je częściowo i l i ociemniały zapadłe skronie bezlikiem kędziurów, obecnie znośnie zlocistych, których powab fantastyczny wyprzysięgał się uparcie panującej na obliczu melancholii. Oczy były bez życia i bez blasku, jak gdyby pozbawione źrenic, tak że mimo woli odwróciłem się od ich szklistych znieruchomieli, aby przenieść wzrok na zwężone i pokurczone wargi. Te rozwarły się i w dziwnie porozumiewawczym uśmiechu odsłoniły z wolna mym oczom zęby tej nowo powstałej Berenice. O, gdybyż Bóg zwolił, abym ich nigdy nie widział lub, raz ujrzawszy, skonał!

Zaniepokoił mnie skrzyp drzwi zamykanych i, podnosząc oczy, stwierdziłem, że moja krewna opuściła alkowę. Lecz białe i straszliwe widmo jej zębów nie opuściło i nie chciało opuścić obłąkanej alkowy mego mózgu. Nie było ani jednego szczerbu na ich powierzchni, ani jednej skazy na ich emalii, ani jednej cętki na ich krawędzi, której by ów uśmiech przelotny nie zdążył zakarbować w mej pamięci!

Teraz właśnie widziałem je daleko wyraźniej niż l i przed chwilą. – Zęby! – Zęby! – Były tu, były tam – były wszędzie – widzialne, namacalne, tuż przede mną. Długie, wąskie i niezwykle białe z pokurczonymi wokół bladymi wargami, które rozwarły się straszliwie, jak to czyniły uprzednio. Wówczas szal mej monomanii objawił się w pełni i nadaremnie borykałem się z jej niepokonanym i cudacznym wpływem. Wśród niezliczonych przedmiotów świata zewnętrznego nie znalazłem dla swej myśli innej ostoi prócz owych zębów. Pałałem ku nim żądzą rozszałą.

Wszelkie przedmioty, wszelką ku różnym rzeczom ciekawość pochłonał ten jedyny sen o zębach.

One i tylko one stały przed oczami mego ducha i ich wyłączna odrębność przedzierzgnęła się w treść mego życia duchowego. Po całych dniach miałem je w oku. Oglądałem je na wszelkie sposoby.

Badalem ich swoistość. Wpatrywałem ich szczególnie oznaki. Rozmyślałem o ich kształcie.

Zastanawiałem się nad zmiennością ich natury. Drżałem w chwili, gdy w wyobraźni przypisywałem im wrażliwość i uczuciowość, a nawet zdolność odzwierciedlania stanów ducha bez pomocy ust. Bardzo trafnie powiedział ktoś o panie Salle, że każdy jej krok był wzruszeniem, w stosunku zaś do Berenice byłem głębiej jeszcze przeświadczony, że każdy jej ząb był zagadką.

Zagadką! – Oto myśl niedorzeczna, która mnie zgubiła! Zagadką! – Oto więc przyczyna, dla której tak obłudnie pożądałem tych zębów! Czuję, że jedynie posiadanie ich może mi przywrócić spokój i rozum.

I tak zadumanego dosięgną! mnie wieczór – i cienie przyszły, utrwaliły się i odeszły, nastął dzień nowy; i mgły następnej nocy spiętrzyły się wokół mnie – a ja wciąż trwałem nieruchomy w tej komnacie samotnej, wciąż w postawie siedzącej, wciąż pogrążony w zadumie – i wciąż widmo zębów dzierżyło swą władzę strasliwą z najwyższą i najpotworniejszą wyrazistością, mającąc tam i sam wskroś zmienne światła i cienie komnaty. I wreszcie wśród ostępów mych marzeń rozległ się wielki krzyk zgrozy i przerażenia, i po krótkiej chwili nastąpił po nim zgiełk głosów złamanych, przerywanych głuchymi jękami bólu czy też żaloby. Wstałem, i otworzywszy drzwi biblioteki, znalazłem w sieni sługę całą we łzach, która mi oświadczyła, że Berenice już nie żyje!

Epilepsja zaskoczyła ją nad ranem i teraz z nadejściem nocy mogła wyczekiwała swej przyszłej mieszkanki, i wszystkie przedwstępne do pogrzebu czynności były już dopełnione. Z sercem pełnym trwogi i obarczony obawami, z odrazą podążyłem do sypialni zmarłej. Pokój był obszerny i bardzo ciemny i na każdym kroku potykałem się o sprzęty pogrzebowe. Kotarami łóżka, jak mi rzekł służący, osłonięte trumnę i w tej trumnie, jak dorzucił głosem cichym, tkwiło to wszystko, co zostało z Berenice. Któż to był, co się mnie spytał, czyli chcę widzieć zwłoki?

Nie postrzegłem, aby się poruszyły czyjejkolwiek wargi. A jednak pytanie zadane było wyraźnie i echo ostatnich zgłosek trwało jeszcze w komnacie. Nie mogłem dać odpowiedzi odmownej i z uczuciem zgnębienia przywlekłem się do krawędzi łoża. Uchyliłem z lekka posępnych fałd zasłony, lecz, umknąwszy mym dłoniom, spadły mi na plecy i, dzieląc mnie od świata żyjących, zespoliły mnie najściślejzym węzłem komunii ze zmarłą.

Całe wnętrze komnaty tchnęło śmiercią, lecz osobliwy zaduch trumny przyprowadził mnie o zawrót głowy i zdawało mi się, że śmiertelne wyziewy dobywają się już z trupa. Oddałbym świat cały za możliwość ucieczki, za możliwość pozbycia się jadowitych wpływów śmierci, za jeden choćby łyk świeżego powietrza, zaczerpniętego z wiecznotrwałych niebiosów. Lecz nie miałem już sił poruszyć się z miejsca, kolana ugięły się pode mną i wrosłem, zda się, w ziemię, nieruchomo wpatrując się w sztywnego trupa, poległego wzdłuż na dnie rozwartej trumny.

Boże w niebiosach! Czyliż to możliwe? Czy rozum mi się obłąkał, czy też palec zmarłej zakrzętnął się w białym płótnie, które ją oblekało? Zdjęty dreszczem niewypowiedzianego strachu, uniosłem z wolna oczu, aby się w twarzy trupa rozejrzeć. Opaską przewiązano mu szczęki, lecz nie wiem, jakim sposobem opaska zdołała się rozwiązać! Zsiniałe wargi kureczyły się w rodzaj uśmiechu i spoza ich posępnej ramy białe, połyskliwe, straszne zęby Berenice wpatrywały się we mnie, aż nadto jeszcze żywe w swej nieodpartej jawie. Konwulsyjnie odrzuciłem się od łoża i, nie mówiąc ani słowa, uciekle jak szalony z tego przybytku tajemnicy, zgrozy i śmierci.

Ujrzałem się znów w bibliotece. Trwałem siedząc – byłem sam. Zdawało mi się, że ocknąłem się z mętnych i niespokojnych snów. Postrzegłem, że była północ, a przyłożyłem wszelkich zabiegów, aby Berenice pochowano po zachodzie słońca. Lecz nie zachowałem dość trwałego i dość określonego wspomnienia tych zdarzeń, które zaszły w tej posępnej przerwie. A mimo to wspomnienia owe pełne były zgrozy, zgrozy tym strasliwszej, że nieokreślonej, przerażeń tym strasliwszych, że mglistych. Była to jakby krwawa karta w kronice mego istnienia, zapisana od końca do końca wspomnieniami ciemnymi, potwornymi i niepojętymi. Staralem się ją odcyfrować, lecz na próżno. Wszakże od czasu do czasu, na kształt duszy przebrzmiałego dźwięku, zdawał się dzwonić w mych uszach krzyk słaby i przenikliwy – krzyk kobiety. Popęliłem coś, co się już nie odstanie – lecz cóż by to było? Głośno zadawałem sam sobie owo pytanie i echo komnaty szeptało w odpowiedzi: cóż by to było?

Na stole przede mną płonęła lampa i w jej pobliżu stała mała szkatułka hebanowa. Styl tej szkatułki nie był godzien uwagi i już ją częstokroć widywałem, ponieważ była własnością lekarza domowego. Lecz jakim trafem zjawiła się tu, na moim stole, i czemu drżałem na jej widok. Były to błahostki, na które nie warto zwracać uwagi, lecz wzrok mój upadł

wreszcie na kartę jednej księgi otwartej i na zdanie podkreślone. Były to osobliwe, lecz proste słowa poety Ebna Zaiata: Dicebant mihi sodales, si sepulchrum amicae visitarem, curas meas aliquid antulum fore leyatas.

Czemuż, gdym słowa te czytał, włosy zjeżyły mi się na głowie i krew zastygła w mych żyłach?

Zapukano z lekka do drzwi biblioteki i, blady jak przybysz z tamtego świata, wszedł na palcach służący.

Oczy miał obłąkane przerażeniem i rzekł mi coś głosem bardzo cichym, drżącym i zdławionym.

Co mi powiedział? Posłyszałem kilka zdań na chybił trafił wyrwanych. Powiedział, jak mi się zdaje, że straszliwy krzyk zakłócił ciszę nocną – że zbiegła się cała służba, że podążono w ślad za owym dźwiękiem – i w końcu głos jego stał się wyraźny aż do stopnia zgrozy, gdy mówił mi o pogwałceniu grobu, o zwłokach zeszpeconych, odartych z całunu, lecz jeszcze dyszących – jeszcze drgających, żywych jeszcze!

Spojrzał na moje szaty – były zbrzyzgane błotem i krwią. Nie mówiąc ani słowa ujął mnie za rękę – zdradzała ślady paznokci ludzkich. Skierował moją uwagę na pewien przedmiot tkwiący u ściany. Przyglądałem mu się przez minut kilka: był to rydel. Z krzykiem dopadłem do stołu i pochwyciłem szkatułkę hebanową, lecz zbrakło mi sił, aby ją otworzyć. Wymknęła mi się z drżących rąk, upadła ciężko i stłukła się na kawałki – i wypadło z niej, tocząc się z wrzaskliwym szczękiem żelastwa, kilka narzędzi dentystycznych, a wraz z nimi trzydzieści dwa drobne białe, barwy kości słoniowej przedmioty, które rozsypały się po podłodze.